

HANNA GREŃ

IMIĘ ŚMIERCI



IMIĘ ŚMIERCI

HANNA
GREŃ

IMIĘ ŚMIERCI



Copyright © Hanna Greń, 2022

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2022

Redaktorka prowadząca: Anna Rychlicka-Karbowska

Marketing i promocja: Marta Kujawa

Redakcja: Karolina Borowiec-Pieniak

Konsultacja historyczna: Marek Daroszewski

Korekta: Marta Akuszevska, Joanna Pawłowska

Projekt typograficzny, skład i łamanie: Stanisław Tuchołka |
panbook.pl

Projekt okładki i stron tytułowych: Magdalena Palej

Fotografie na okładce: © Igor Ustynskyy, CreativaStudio |
gettyimages

Fotografia autorki na skrzydełku: Mateusz Sosna | Ogniskova.pl

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

eISBN 978-83-67324-63-2

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

redakcja@czwartastrona.pl

www.czwartastrona.pl

Rozdział 1

Przemoc

Luty 1985, Bielsko-Biała

Tego dnia, jak zawsze w południe, cztery młode kobiety pracujące w dziale księgowości Zakładów Instalacyjno-Budowlanych „Instal-Bud” piły kawę, pogadując leniwie o mniej lub bardziej ważnych sprawach. Za oknami słońce odbijało się od śnieżnych czap okrywających drzewa, krzesząc srebrne iskierki, a lutowy mróz wymalowywał na szybach białe kwiaty, i to właśnie ten widok wywołał całą awanturę, sprowokowawszy Lucynę Jagielską do niezbyt dyplomatycznej uwagi.

– Zobaczcie, jak pięknie – zachwyciła się, chłonąc cudny widok. – Aż żał siedzieć w tych murach. Uśka, przecież ty miałaś w połowie miesiąca wyjechać z Andrzejem do Zakopanego – przypomniła sobie naraz. – Już po dwudziestym, a wy nadal w robocie. Zrezygnowaliście?

Urszula Zaleska spojrzała na nią niechętnie i zacisnęła wargi. Miała zamiar zignorować niewygodne pytanie, lecz poczucie krzywdy było zbyt wielkie. Musiała się przed kimś wygadać, a wiedziała, że biurowe koleżanki, chociaż niepozbawione wad, potrafią zachować dyskrecję.

– Andrzej powiedział, że teraz nie możemy sobie na to pozwolić – odpowiedziała, odstawiając podnoszoną do ust szklankę z kawą. – Nie chodzi o pieniądze – zastrzegła natychmiast. – On nie chce dawać żonie broni do ręki. Bo gdyby się wydało, że wyjechaliśmy razem, miałyby przekichane przy sprawie rozwodowej. – Umilkła, lecz zaraz znów się odezwała: – Chyba będę musiała się zwolnić.

Dziewczęta czujnie nadstawiły ucha. Zaleska od kilku dni zachowywała się bardzo dziwnie, nawet jak na nią, a przecież już przedtem jej sposób bycia niejednokrotnie wydawał się im całkowicie niezrozumiały. Nadmierna ambicja szła u niej w parze z niezdrowym uzależnieniem od kochanka, co dawało często zaskakujące efekty.

Jak na przykład wtedy, gdy oskarżyła Inge Piątkowską, iż ta chce odebrać jej zasłużony awans na zastępcę głównego księgowego. Krążąc nerwowym krokiem po pokoju, przez ponad godzinę udowadniała koleżankom, że to właśnie ona powinna awansować, po czym po rozmowie z kochankiem oświadczyła nagle, że awans jej nie interesuje, ma bowiem zupełnie inne życiowe priorytety.

– Najśmieszniejsze w tym wszystkim jest, że Haratykowa wcale nie zamierza odchodzić, więc cała ta dyskusja była całkiem bezprzedmiotowa –

mówiła potem Inga do Lucyny, gdy analizowały dziwaczne zachowanie Urszuli.

Teraz więc miały niemal całkowitą pewność, że Zaleska znowu wywoła awanturę z jakichś kompletnie irracjonalnych powodów, tym bardziej że przez cały tydzień prawie do nikogo się nie odzywała, a jedynie spoglądała na koleżanki oczami pełnymi łez. Czyżby miała zamiar wymusić awans groźbą zwolnienia?

– Czemu miałybyś musieć? – spytała Lucyna, nie próbując nawet skrywać zaciekawienia. – Musi to na Rusi, nie słyszałaś?

Urszula posłała jej niechętnie spojrzenie.

– Andrzej mówi, że to niedobrze, że razem pracujemy. Że to może nam zaszkodzić przy sprawie rozwodowej, bo przecież tu wszyscy wiedzą, że jesteśmy ze sobą. I że łatwiej mi będzie awansować tam, gdzie nikt mnie nie zna.

Czwarta z dziewczyn, Jolanta Tarnawa, rzadko włączała się w ich dyskusje, a jeżeli już to czyniła, zazwyczaj popierała najbardziej właśnie ją, Zaleska bowiem była z nich najbardziej konserwatywna. Teraz jednak popatrzyła na Urszulę niemal ze zgrozą.

– Czy ty słyszysz, co mówisz?! – wykrzyknęła, gwałtownym ruchem odsuwając krzesło. Wstała i zaczęła krążyć po pokoju, cały czas piorunując koleżankę wzrokiem. – Myślisz, że ten twój Andrzej jest tak mądry, że trzeba wierzyć w jego każde słowo, bo on tak powiedział? Nie zauważyłaś, że to jest jedno wielkie pieprzenie? Co to zmieni, że odejdiesz z „Instal-Budu”? Myśli, że ludzie doznają wtedy zbiorowej amnezji? Uśka, zlituj się i nie

słuchaj tego kretyna! Czy ty nie masz własnego rozumu?

– Mam go więcej niż ty! – Urszula nie zamierzała być jej dłużna. – Ja przynajmniej nie pozwalam tłuc się po pysku i nie wmawiam sobie, że to dowód miłości.

Inga aż wstrzymała oddech, pewna, że wypowiedź Zaleskiej stanie się przyczynkiem do monstrualnej awantury; w przerażonych oczach Lucyny wyczytała, iż koleżanka oczekiwała tego samego.

Od dawna wiedziały, że w małżeństwie Joli nie dzieje się dobrze. Zbyt często widywały zamaskowane grubą warstwą pudru sińce na twarzy i rękach koleżanki, by się nie domyśliły, że Zdzisław Tarnawa bije żonę. Nieraz namawiały Jolantę do podjęcia radykalnych działań i oferowały pomoc, niestety Jola nie dawała się przekonać.

Nie dalej jak miesiąc temu, gdy koleżanka znowu przyszła do pracy mocno umalowana, natychmiast zauważyły, że ostry makijaż miał na celu zamaskować podbite oko.

– Ona w końcu wyląduje przez niego w szpitalu – szeptała wówczas Lucyna do Ingi, ukradkiem spoglądając z troską na upartą koleżankę.

– Wiem przecież, ale co z tego? Nie możemy nic zrobić. A może Jurek zna jakiś sposób?

Na te słowa Lucynie rozbłyśły oczy. Dwa lata temu wyszła za mąż za milicjanta służącego w wydziale dochodzeniowo-śledczym, lecz nawet do głowy jej nie przyszło, żeby zapytać go o zdanie w tej sprawie. Niestety teraz, po kilku dniach, nadzieja zgasła, gdyż wzięty na spytki Jurek nie przekazał jej dobrych wieści.

– Okazuje się, że oni też mają związane ręce. Dopóki Jolka będzie się upierać, że spadła ze schodów albo przywaliła głową w ścianę, nie mogą interweniować – przekazała Indze złą nowinę.

Tym razem jednak Jolanta je zaskoczyła. W pierwszej chwili wprawdzie stanęła jak wryta, oczy jej błysnęły gniewem, a policzki pokryły się krwistą czerwienią, lecz prawie natychmiast rumieniec ustąpił bladości, a gniew zmieszaniu.

– Masz rację – odezwała się cicho. – Jestem ostatnią osobą, która ma prawo wypominać komuś uzależnienie. Zmarnowałam siedem lat na życie z... z... – zająknęła się, jakby imię męża nie mogło jej przejść przez gardło. – Z tym sadystą – dokończyła po króciutkiej przerwie. – A powinnam była go zostawić już wtedy, gdy pierwszy raz mnie zbił. Wtedy miałam jeszcze szansę ułożyć sobie życie, a teraz... – Westchnęła tak ciężko, jakby ukończenie dwudziestu siedmiu lat kwalifikowało ją do grona staruszek.

Słuchały tych słów w osłupieniu. Tak dalece przywykły uważać, że Tarnawa zbyt zdominował żonę, by potrafiła go opuścić czy chociażby mu się sprzeciwić, że teraz nie mogły uwierzyć własnym uszom. Tym bardziej że Jola niechętnie mówiła o życiu prywatnym, a jeśli już to czyniła, z jej oszczędnych słów wyłaniał się zawsze obraz małżeństwa szczęśliwego, nieborykającego się z żadnymi poważnymi problemami. I gdyby nie widziane niejednokrotnie siniaki, pewnie nigdy by się nie domyśliły, jak wygląda prawda.

Lucyna pierwsza otrząsnęła się z chwilowego szoku i spojrzała uważnie na piękną twarz koleżanki. Nie znalazła na niej kłamstwa,

dostrzegła natomiast zasinienie pod okiem, nie dość dokładnie zamaskowane pudrem.

– Znowu cię pobił?

Jolanta zagryzła wargi, po czym nagłym ruchem podciągnęła w górę bluzkę wraz z biustonoszem. Mogły teraz ujrzeć nieduże, kształtne piersi, pokryte gęsto krwiami, i wielkie, ciemne sińce na żebrach.

– Jezu Chryste! – krzyknęła Lucyna i z wrażenia upuściła papierosa wprost do kawy. – Co za bydlę! Mam nadzieję, że od niego odeszłaś!?

– Uciekłam do sąsiadów, a oni zadzwonili na milicję. Przyjechali i go zabrali, ale powiedzieli, że potem... potem... Ten milicjant mówił, że muszę dzisiaj przyjść i złożyć zeznanie, bo inaczej posiedzi najwyżej czterdzieści osiem godzin.

Jola skrzywiła się żałośnie i poprawiła na sobie ubranie, potem usiadła przy swoim biurku i zwiesiła ramiona. *Uroda też nie gwarantuje szczęścia* – pomyślała Inga, głęboko współczując koleżance. Jej własne problemy wydały jej się naraz banalne, nic nieznaczące.

– Musisz złożyć te zeznania. – Lucyna nie miała żadnych wątpliwości. – Inaczej nie będą mieli podstawy do zatrzymania i rzeczywiście będą musieli go puścić.

Urszula spojrzała na nią z nagłą uwagą.

– Skąd to wiesz?

– Przerabialiśmy to w domu. Gdy ojciec popił, to zawsze mu się coś nie podobało. Rzucił wtedy tym, co mu wpadło w ręce, i nas bił. Tyle razy musieliśmy uciekać z domu, że nie jestem w stanie

tego policzyć. Były takie miesiące, że milicja przyjeżdżała nawet dwa razy w tygodniu, a dzielnicowy mówił, że równie dobrze mogłby u nas zamieszkać.

– I co? Ojciec poszedł do więzienia?

– Ani razu. – Lucyna zaklęła, zaciskając dłonie w pięści. – Mama odmawiała złożenia zeznań i jeszcze go broniła. Że taki biedny, że chory, że ma kłopoty w pracy. Gliniarze go wypuszczali, a on wracał i z wdzięczności spuszczał matce wpierdol za to, że pozwoliła, żeby sąsiad ich wezwał. Bo przecież mu ślubowała i w ogóle to grzech sprzeciwiać się mężowi.

– Ja pieprzę – westchnęła Inga i przeniosła wzrok na zasłuchaną Jolantę. – U was też tak jest?

Zapytana pokręciła głową.

– Zdzisek prawie w ogóle nie pije. Ale wiecie co? To chyba jest jeszcze gorsze.

Z oczu popłynęły jej długo tłumione łzy, znacząc jaśniejsze ścieżki na pokrytych pudrem policzkach. Inga i Lucyna popatrzyły na siebie ze zrozumieniem, tylko Urszula, zniżywszy głos do szeptu, natrętnie dopytywała o sens wypowiedzianych słów.

– Czemu gorzej? O co jej chodziło? Rozumiecie coś z tego?

– Chryste, przestań się zachowywać jak idiotka! – Lucynę w końcu wyprowadziła z równowagi ta natarczywa indagacja. – Kobieto, pomyśl trochę. Pijany często nie wie, co robi.

Inga nie pozwoliła jej dokończyć, na jej twarzy pojawił się wyraz rozczarowania.

– Nie myślałam, że będziesz bronić pijaków. Kto jak kto, ale ty?! Dobrze wiesz, że dla wielu z nich alkohol stanowi tylko wymówkę, usprawiedliwienie, bo tak naprawdę lubią stosować przemoc i w gruncie rzeczy nie potrzebują do tego żadnego pretekstu.

Jagielska poczerwieniała z gniewu, lecz zdołała opanować emocje. Wzięła głęboki wdech, po czym odpowiedziała całkiem spokojnie:

– Na drugi raz słuchaj uważnie, zamiast się czepiać. Powiedziałam „często”, nie „zawsze”, poza tym miałam na myśli podobnych do mojego ojca, bo innych nie znam na tyle, żeby się wypowiadać. Chodziło mi o to, że taki jak tata najczęściej nie panuje nad sobą, ma jakieś zwidy-ułudy, wydaje mu się, że wszyscy są przeciwko niemu. A ten bydlak zrobił jej to po trzeźwemu. Zdecydował na zimno, że musi ją skatować. Teraz kapujesz!?

– Ale czemu? Za co? Jolka, co ty mu zrobiłaś?

Inga aż się zatrzęsła ze złości, usłyszawszy ostatnie pytanie Zaleskiej. Sądząc po stłumionym przekleństwie Lucyny, ona także miała ochotę co najmniej potrząsnąć bezmyślną koleżanką. Obie nie zdążyły w żaden sposób zareagować, Jolanta bowiem okazała się szybsza. Gwałtownie odjęła rękę od zapłakanej twarzy.

– Ja mu zrobiłam?! – powtórzyła głosem wibrującym furją. – Ja? Kurwa mać!

– Nie miałam na myśli, że to twoja wina – broniła się Urszula. – Chodziło mi o to, czemu cię pobił.

– Bo kupiłam sobie majtki! – wybuchnęła Jolanta. – Bo wydałam pieniądze na majtki bez zapytania swojego pana i władcy o pozwolenie! –

Odetchnęła głęboko kilka razy i dokończyła już w miarę spokojnie: – Dlatego nie poszłam zaraz rano na milicję. Bo jak ja mam im to powiedzieć?

Inga trochę ją rozumiała. Sama też pewnie by się wstydziła mówić obcym mężczyznom o majtkach. Ale z drugiej strony, co w tym wstydliwego? Majtki noszą wszyscy. W dodatku tak błahy powód czynił pobicie tym straszniejszym, bardziej odrażającym.

– Właśnie dlatego powinnaś pójść i to powiedzieć – oświadczyła, a widząc niezdecydowanie Joli, przedstawiła koronny argument: – Gdy gliniarze usłyszą, z jakiego powodu cię pobił, nie będą mieć dla niego litości. Tak samo sąd. A może wolisz żyć tak słodko, jak mama Lucyny? – dodała, nie mogąc powstrzymać się od sarkazmu. – Jeśli nie będziesz zeznawać przeciwko niemu, on wyjdzie i na pewno pięknie ci podziękuję, że załatwiłaś mu dwie doby w areszcie.

– Brawo, mała! – Lucyna zaczęła klaskać. – Sama lepiej bym tego nie ujęła. A ty się, Jolka, zastanów, czy warto się nad nim litować.

– Nie warto. – Jola wstała i sięgnęła po torebkę. – Idę do starej po przepustkę, a potem na milicję.

Ruszyła zdecydowanym krokiem w stronę drzwi, lecz Inga, tknięta nagłą myślą, powstrzymała ją głośnym „zaczekaj” i gorączkowo zaczęła grzebać w portmonetce.

– Pewnie wszystko cię boli, a chyba... – Urwała, zawstydzona własną ingerencją w cudze sprawy. Nie leżało w jej naturze wtrącenie się do czyjegoś życia. Ale przed oczami znów stanęły jej posiniaczone piersi koleżanki, toteż odsunęła na bok skrupuły i mężnie dokończyła: – Chyba nie

masz pieniędzy. Weź, to na taryfę. W autobusie mógłby cię ktoś potrącić albo kierowca gwałtownie zahamuje...

Wetknęła jej w rękę zwinięty banknot. W niebieskich oczach błysnęły łzy wzruszenia, lecz Jola otarła je szybko i skinęła głową. Jednak zanim wyszła, musnęła szybkim gestem zarumieniony policzek młodszej koleżanki.

Całe to zdarzenie tak wybiło je z rytmu, że już do końca dnia nie umiały skupić się na pracy i tylko w kółko rozważały, czy Jolanta zdoła uwolnić się od domowego oprawcy i przede wszystkim czy nie wycofa się w ostatniej chwili.

– Jutro na pewno się okaże, że wszystko zostało po staremu – wieszczyła Urszula z jakąś dziwną satysfakcją w głosie.

– A ty się z tego cieszysz? – Jagielska nie mogła uwierzyć. – Z tobą chyba jest coś nie tak.

Zaleska wydeła pięknie wykrojone wargi.

– Głupia jesteś. Wcale się nie cieszę, tylko znam życie. A tak w ogóle, to skąd wiadomo, że to wszystko jest winą Tarnawy? W małżeństwie najczęściej obu stronom można wiele zarzucić, a my znamy tylko wersję Joli. Jak się kogoś prowokuje...

W następnej chwili pisnęła i zasłoniła się segregatorem, gdyż rozwścieczona Lucyna doskoczyła do niej z taką miną, jakby miała zamiar ją uderzyć. Skuliła się, lecz Jagielska tylko popatrzyła na nią z pogardą.

– Mogłabym ci teraz przypierdolić, a każdy sąd by mnie uniewinnił. Bo jak się kogoś prowokuje...

Proroctwa Urszuli się nie sprawdziły, a Inga i Lucyna lojalnie kibicowały Jolancie, która wytrwała w postanowieniu uwolnienia się od domowego dręczyciela. Wprawdzie nie wszystko poszło tak, jak sobie zaplanowała, gdyż najpierw Tarnawę zwolniono po czterdziestu ośmiu godzinach, a później sąd okazał się dla niego wspaniałomyślny, uwierzywszy w skruchę i obietnicę poprawy, ale nie zmieniła zdania.

Zdzisław Tarnawa dostał wyrok w zawieszeniu i to utwierdziło go w przekonaniu, że żona także da mu jeszcze jedną szansę, mimo że po jego uwolnieniu nie wpuściła go do mieszkania rodziców, dokąd przeniosła się zaraz po złożeniu zawiadomienia. Nie mógł pogodzić się z jej odejściem i zaczął wystawać pod biurowcem „Instal-Budu”, licząc, że prędzej czy później przydybie żonę i zmusi do powrotu. Wiedziała o tym, gdyż pewnego dnia zobaczył ją w oknie i nie zdołał się opanować.

– Wracaj do domu, dziwko! – wrzeszczał pod biurem, zadzierając głowę, a jego głos docierał na drugie piętro tak wyraźnie, jakby mężczyzna stał w tym samym pomieszczeniu co Jolanta i jej koleżanki. – Jesteś moją żoną i musisz mnie słuchać. Tak powiedział ksiądz. Przysięgałaś mi przed Bogiem i nie pozwolę ci odejść. „Oraz że cię nie opuszczę aż do śmierci”, pamiętasz?

Dość długo trwało, nim się zorientował, że wystawaniem na ulicy robi z siebie jedynie

pośmiewisko, gdyż Jola nie zamierzała ryzykować spotkania z nim i poprosiła kierowcę zakładowego osinobusu, by wywoził ją poza bramę; wysiadała na tyle daleko od biurowca, że mąż nie mógł tego zobaczyć.

Wtedy spróbował ponownie wtargnąć do mieszkania rodziców żony i znowu nie udało mu się wejść dalej jak na klatkę schodową. To rozsierdziło go do tego stopnia, że usiłował wyważyć drzwi, a sąsiedzi, zaalarmowani hałasem, wezwali milicję. Tym sposobem mężczyzna wylądował w areszcie, a w tym czasie Jolanta złożyła pozew o rozwód.

Niestety Tarnawa wkrótce ponownie został wypuszczony, by odpowiadać z wolnej stopy. Nadal ją nachodził i dziewczyna nosiła się z zamiarem wyjazdu z Bielska-Białej, żeby raz na zawsze odseparować się od męża, który już wkrótce miał się stać eksmężem.

– Powinnaś sobie kogoś poszukać – oświadczyła któregoś dnia Urszula. – Gdybyś miała faceta, zrobiłby porządek ze Zdziskiem i nie musiałabyś się bać.

Jolanta spojrzała na nią niemal ze zgrozą.

– Zwariowałaś – orzekła z głębokim przekonaniem. – Jeszcze się nie rozwiodłam, a ty już mi każesz szukać nowego faceta? Nie ma mowy!

Zaleska nie rozumiała jej wzburzenia.

– A czemu nie? Zadbалby o ciebie, dopilnował...

– Wiesz co, Usia? Takiego, co mnie pilnował, już miałam i przez niego na długie lata wyleczyłam się z mężczyzn. Teraz chcę mieć tylko święty spokój.

Ostry, nieprzyjazny ton koleżanki nie spodobał się Urszuli. Naburmuszyła się, urażona, że jej dobre rady nie spotkały się z należyтым uznaniem.

– Jak tam chcesz – burknęła. – Tylko potem nie becz, że musisz uciekać przed Zdziskiem na drugi koniec Polski.

– Gdybym miała pewność, że znajdę gdzieś pracę i mieszkanie, to wyjechałabym już dawno – odpowiedziała Jola i pochyliła głowę nad rejestrem, oznajmiając w ten sposób koniec rozmowy.

Niestety takiej pewności nikt jej dać nie mógł, a nie dysponowała oszczędnościami, które pozwoliłyby przetrwać bez pracy. W tej materii na rodziców również nie mogła liczyć. Matka pobierała niską rentę, a ojciec wprawdzie pracował, ale wspomagał finansowo swoich rodziców, schorowanych do tego stopnia, że prawie całe emerytury wydawali na lekarstwa. Musiała więc zrezygnować z wyjazdu i w dalszym ciągu przemykać chyłkiem w obawie, że Tarnawa ją zobaczy i zaatakuje.

Paradoksalnie, zamiast stracić na pewności siebie, dziewczyna niespodziewanie na niej zyskała.

– Pewnie przez to organizowanie się na nowo. Nauczyłam się sama o sobie decydować – wyznała Jola w rozmowie z Piątkowską. – Miałaś rację, mówiąc, że to moje życie, więc powinnam kierować nim tak, jak sama uznam za stosowne.

– Ty w ogóle jesteś jak nowa.

W głosie Ingi brzmiała taka duma, jakby to ona osobiście stworzyła nową Jolantę. Starsza koleżanka poniechała perfekcyjnego makijażu i idealnej fryzury, a jej stroje wiele straciły na

wykwintności, nie były też uszyte wedle najświeższej mody. Teraz Jola bardziej zwracała uwagę na cenę i na praktyczność, kwestię modowych trendów stawiając na ostatnim miejscu.

Co ciekawe, ta zwyczajnie ubrana Jolanta, ograniczająca się tylko do przyciemnienia rzęs tuszem, z włosami zebranymi w kitkę, wydawała się Indze dużo piękniejsza niż przedtem. Status samotnej kobiety wyraźnie jej służył.

Rozdział 2

Zaczątek kolekcji

Kwiecień 1985, Bielsko-Biała

– Przestań wreszcie się mnie czepiać! Nie jestem twoją własnością, ty głupi bucu! Gównu cię obchodzi, gdzie byłam!

Zaczerwieniona z gniewu Dorota złapała szklankę z niedopitą herbatą i rzuciła ją w stronę stojącego w progu kuchni mężczyzny. Rajner nawet nie drgnął, jakby przewidywał, że pocisk chybi celu, a ten rzeczywiście uderzył w ścianę pół metra od futryny. Szkło posypało się z brzękiem, na kremowych kafelkach wykwitły brązowe rozbryzgi upstrzone ciemniejszymi plamkami herbacianych fusów.

Milewski ze stoickim spokojem przekroczył okruchy szklanki, usiadł przy stole i zrobił zapraszający gest.

– Nie wróciłaś na noc, rano i w południe dalej cię nie było. Co w tym dziwnego, że pytam? Usiądź, Dota, porozmawiajmy jak ludzie.

– Jak ludzie?! – wysyczała wściekle. – Do tego musiałbyś być człowiekiem!

Nie ruszyła się nawet na krok, nadal trwała w tym samym miejscu przy piecu, na którym mimo zbliżającej się godziny szesnastej nie stał ani jeden garnek. Trudno zresztą, żeby stał. Sam przecież nie mógł tam zawędrować, a wszystko wskazywało na to, że z wczorajszych imienin koleżanki Dorota wróciła dopiero przed chwilą. Rajner pewności oczywiście nie miał. Mogła pojawić się w domu zaraz po jego wyjściu do pracy, a potem wyjść ponownie, ale to nie zmieniało faktu, że gdy po północy kładł się do łóżka, żona jeszcze nie wróciła. Gdy się obudził, nie było jej nadal, i podobnie piętnaście minut temu.

W inny dzień pewnie nie zrobiłby z tego afery. Popiła to popiła, każdemu może się zdarzyć, że przesadzi z alkoholem, on sam także kilkakrotnie po jakiejś popijawie obudził się we własnym mieszkaniu, chociaż do dziś nie wiedział, jak się w nim znalazł. Na swoje nieszczęście przypomniał sobie, że wczoraj rano uprzedził Dorotę, że wróci do domu dopiero pojutrze, nic więc dziwnego, że na widok popłochu w jej oczach zapaliło mu się w głowie ostrzegawcze światło. Zapytał więc, czy imieniny trwały blisko dobę, i wtedy rozpętało się piekło.

Żona wygłosiła istną przemowę. Zarzuciła mu nieczułość, brak zainteresowania, stawianie pracy ponad małżeństwo, do tego ograniczone horyzonty, chamstwo, a nawet alkoholizm. Wszystko to

poparła litanią przewin, z których z tylko bardzo nikłą częścią się zgadzał, resztę zaś nazwał wymysłami histeryczki. Wtedy cisnęła szklanką, uznając najwyraźniej, że szkło rani dotkliwiej niż słowa. Rajner nie mógł odmówić temu słuszności, kategorycznie natomiast zaprotestował przeciwko twierdzeniu, jakoby nie był człowiekiem.

– W takim razie nie rozumiem, czemu urząd stanu cywilnego wyraził zgodę na nasz ślub. Wydawało mi się, że do tego bycie człowiekiem jest warunkiem koniecznym.

– Widocznie jednak nie – warknęła, a po chwili dodała, nie zważając, że zaprzecza wcześniejszemu twierdzeniu: – Jesteś strasznym człowiekiem, Rajner. Z tobą nie da się żyć. Chcę się rozwieść.

Już od dłuższego czasu spodziewał się usłyszeć te słowa, a jednak poczuł zaskoczenie. Nie sądził, że Dorota zdobędzie się na tyle stanowczości, zawsze do tego stopnia unikała podjęcia jakiegokolwiek decyzji, że nieraz się zastanawiał, jak to się mogło stać, że wyraziła zgodę, kiedy poprosił ją o rękę. I nie raz tego żałował.

– W porządku – odpowiedział, siląc się na spokój.
– Złóż pozew. Nie bój się, nie będę ci niczego utrudniać. Ale na ułatwienia też nie licz.

Na widok jej oszołomionej miny poczuł odrobinę satysfakcji. Chyba się nie spodziewała takiej odpowiedzi. Nic dziwnego, dotychczas to on zawsze łagodził kłótnie i przepraszał nawet wtedy, gdy wina leżała ewidentnie po stronie Doroty.

– Rajner – odezwała się cicho, bez uprzedniej agresji. – Ty mówisz poważnie? Naprawdę chcesz się rozejść?

– Ty chcesz – przypomniał. – Powiedziałem, że się dostosuję...

– Bo tobie wcale na mnie nie zależy! – przerwała mu, a jej oczy wypełniły się łzami. – Nie zwracasz na mnie uwagi, masz w dupie to, co ja czuję. Nie kochasz mnie, nigdy mnie nie kochałeś. Dla ciebie jest ważna tylko ta twoja pierdolona praca, nie obchodzi cię, że całymi dniami jestem tu sama...

Przestał słuchać. Pomyślał, że gdyby Dorota o tym wiedziała, nie omieszkałaby powiększyć listy jego przewin o jeszcze jeden zarzut. A gdyby tak jej to podpowiedział? Żeby utwierdzić ją w przekonaniu, że rozwód to najlepsza rzecz, jaką może zrobić? Żeby nie zmieniła zdania?

I pomyśleć, że kiedy niespełna rok temu brali ślub, uważał się za najszcześliwszego mężczyznę na ziemi. Powinno było dać mu do myślenia, gdy przyjaciel napomknął dyskretnie, że może należałoby trochę poczekać, lepiej się poznać, przekonać się, czy uczucie do Doroty nie jest tylko chwilową fascynacją. Obraził się wtedy, zerwał więzi przyjaźni trwające od czasu liceum, a później nie próbował tego naprawić, choć niemal natychmiast pożałował wybuchu.

Szybko się dowiedział, jak wielką omyłkę popełnił. Norbert miał stuprocentową rację, to on okazał się kretyńcem, o czym przekonał się, zanim jeszcze minęło pół roku, teraz natomiast coraz częściej łapał się na tym, że nienawidzi kobiety, którą przysiągł kochać.

Dzwonek telefonu? Teraz? To mogło oznaczać tylko jedno i na twarzy mężczyzny mimo woli pojawił się uśmiech. Z ulgą opuścił kuchnię

i skierował się ku wiszącemu na ścianie w przedpokoju aparatowi telefonicznemu. Rozmowa nie trwała długo. Rajner wysłuchał uważnie podanego telegraficznym stylem polecenia, rzucił zwięźle „już jadę” i po kilku minutach, gotowy do wyjścia, ponownie zajrzał do kuchni.

Żona siedziała przy stole zwrócona w stronę okna, mógł więc zobaczyć tylko drgające spazmatycznie plecy i fragment dłoni zasłaniającej twarz. Jasne włosy spływały miękką falą aż na biodra. Pamiętał, jak bardzo podniecał go ich widok, teraz jednak poczuł żal, że uczucie między nim a Dorotą zostało zaprzepaszczone, zginęło gdzieś pomiędzy jedną a drugą kłótnią, odeszło, gdy w miejsce czułych słów ze stworzonych do pocałunków ust żony zaczęły płynąć inwektywy.

– Dota? Muszę iść, dzwonili...

– To, kurwa, idź, na co czekasz?!

Miał już tego dość. Miał dość jej.

– Uspokój się. Nie doprowadzaj mnie do ostateczności, bo pożałujesz.

Odjęła dłonie od twarzy i spojrzała suchymi, pełnymi nienawiści oczami.

– Spierdalaj do tej swojej ukochanej roboty!

Skrzywił się i nie powiedział już nic, wiedząc dobrze, że wykorzystalaby każde jego słowo jako pretekst do nowej awantury, tak jak wykorzystwała uwagę o wulgaryzmach do robienia mu na złość.

Na początku znajomości Milewski wyznał, że irytuje go nadmierne przeklinanie u kobiet. Nie to, żeby był jakimś świętoszkiem. Sam również czasem klął, choć starał się panować nad językiem, nie

gorszyło go również, gdy w zdenerwowaniu przedstawicielki płci pięknej rzucały jędrnym słówkiem. Ale używanie przez nie wulgarnych wyrazów zamiast znaków interpunkcyjnych lub jako uniwersalnych przymiotników czy czasowników uważał za niedopuszczalne, jego zdaniem kłóciło się z pojęciem kobiecości.

Wydawało mu się wtedy, że Dorota pochwała jego zdanie, gdy jednak w ich małżeństwie zaczęło dziać się źle, natychmiast wykorzystała tę informację, by doprowadzać go do gniewu nieustannym przeklinaniem. Od tamtej pory już się przed nią nie odkrywał, nie chcąc dawać jej do ręki kolejnej broni.

Wyszedł cicho z mieszkania i dopiero przed blokiem, gdy wciągnął w płuca rześkie majowe powietrze, poczuł, jak duszna jest atmosfera domu, który miał być azylem, a stał się siedliskiem zła.

– Najwyższy czas z tym skończyć – powiedział do siebie, gdy znalazł się przed blokiem i zobaczył dwoje ludzi trzymających się za ręce. – Z nią.

Nie wierzył, że Dorota wystąpi o rozwód. Zbyt dobrze ją poznał, by nie wiedzieć, że ona nigdy nie zrezygnuje z wygodnego życia i pozycji, jaką dawało jej bycie jego żoną. Nie odejdzie, za to zamieni mu życie w piekło. Musiał zatem poszukać innego sposobu, by odzyskać wolność.

Podporucznik Jerzy Jagielski zmusił się do ponownego spojrzenia na potwornie okaleczone

zwłoki. Jeszcze nigdy nie spotkał się z podobnym bestialstwem, choć służył w milicji już prawie dziesięć lat. Gdy spoglądał na leżące na łóżku, skąpane we krwi ciało, miał wrażenie, że kobieta została poszatkowana. Takie samo zdanie chyba miał lekarz, gdyż po stwierdzeniu zgonu niezbyt się kwapił do dalszych oględzin.

– Najlepiej przewieźcie ją razem z tymi wszystkimi bambetlami. – Wskazał na przesiąkniętą krwią pościel. – Inaczej gotowa rozpaść się na kawałki i będziecie musieli zbierać je szufelką.

Jagielski mruknął coś niezobowiązującego i odsunął się aż pod drzwi wejściowe, robiąc miejsce fotografowi. Po chwili miejsce zbrodni rozjarzyło się błyskami flesza.

Na schodach zatupotały szybkie kroki, potem za plecami podporucznika szczęknęła klamka. Jerzy odwrócił się i zobaczył młodego funkcjonariusza z ciągle jeszcze pozieleniałą twarzą. Szeregowy wyglądał na zakłopotanego.

– Obywatelu poruczniku, na dole jest jakiś cywil. Strasznie się awanturuje, bo koniecznie chce tu wejść.

– Kto to? Mąż? – ożywił się Jagielski.

Młody milicjant zaprzeczył ruchem głowy. Potem się zreflektował i odpowiedział pełnym zdaniem, na wszelki wypadek przyjąwszy postawę zasadniczą.

– To nie mąż, obywatelu poruczniku. Mówi, że jest prokuratorem.

– Kur...

Jerzy z trudem opanował wybuch złości. Nie mógł winić szeregowego, sam przecież mu nakazał nie

wpuszczać nikogo, nawet gdyby chętny do odwiedzin twierdził, że jest Panem Bogiem. Zapomniał o przedstawicielu prokuratury, zatem pretensje powinien kierować wyłącznie do siebie.

Wyszedł z mieszkania i dla uspokojenia zapalił papierosa.

– Obywatelu poruczniku...? – przypomniał o swoim istnieniu mundurowy. Nadal stał w progu.

– Co? A tak, prokurator. Wpuść go, ale najpierw zamknij te cholerne drzwi.

– Tak jest, obywatelu poruczniku!

Ciężkie buty znów zatupotały, a po niedługim czasie na schodach rozległy się inne kroki, lżejsze i daleko mniej szybkie. Minęło jeszcze kilkanaście sekund i na półpiętro wywindowała się korpulentna postać, na której widok Jagielski miał ochotę puścić wymyślną wiązanekę. Ochabczyk! Tylko tego jeszcze brakowało! Ostatnim razem, gdy współpracował z tym człowiekiem przy prowadzeniu śledztwa w sprawie zabójstwa pewnego Kanadyjczyka, kilkakrotnie łapał się na tym, że najchętniej odstrzeliłby mu ten pusty łeb.

Mieczysław Ochabczyk był wyjątkowo odporny na wszelkie argumenty, a termin „logiczne myślenie” był mu tak znany, jak słowo „mężczyzna” bohaterkom filmu *Seksmisja*. Niestety sprawowanie nadzoru prokuratorskiego nad śledztwem stawiało go nad milicjantami, zmuszając ich do wykonywania idiotycznych najczęściej poleceń. Wzajemnych kontaktów nie ułatwiał też kompletny brak poczucia humoru prokuratora, zastępowany nadmiernym poczuciem własnej wartości.

Na drugą część schodów Ochabczykowi wyraźnie zabrakło już kondycji i gdy w końcu, stękając i sapiąc niczym parowóz, wszedł na piętro, dość długo nie mógł wydobyć słowa i tylko rzucał Jerzemu wściekłe spojrzenia. Musiało upłynąć kilka minut, nim zdołał wyartykułować wypowiedź.

– Jagielski? No tak, mogłem się tego domyślić. Co wy tu, kurwa, odstawiacie?! Utrudnianie wejścia przedstawicielowi prokuratury to jest...

– Nieporozumienie, panie prokuratorze – wszedł mu w słowo Jerzy. – Przepraszam pana. Zabroniłem młodemu wpuszczać tu kogokolwiek, a on to wziął zbyt dosłownie.

Mówił ugodowym tonem, by udobruchać przewrażliwionego na punkcie własnej pękatej osoby Ochabczyka, choć wszystko w nim aż się skręcało z niechęci do tego człowieka. Nie miał jednak innego wyjścia, chyba że chciałby się na długie lata pożegnać z awansem, bo jak wieść gminna głosiła, mężczyzna miał kolegów na wysokim szczeblu.

Prokurator popatrzył uważnie na milicjanta, widocznie jednak nie doszukał się nieszczerości, ponieważ skinął lekko głową i zapytał:

– Gdzie jest miejsce zdarzenia?

– Pod numerem piątym. Ale...

Nieciekawy owego „ale” Ochabczyk nie zaczekał na dokończenie wypowiedzi i szybko wkroczył do mieszkania. Po niedługim czasie znalazł się tam również Jagielski i na widok pozieleniałego na twarzy prokuratora, który z dłonią przyciśniętą do ust długimi susami sadził do łazienki, musiał zaangażować całą siłę woli, by nie wybuchnąć

głośnym śmiechem. Technik także walczył z rozbawieniem, a gdy ustawiał na szafce nocnej tabliczkę z numerem oznaczającym kolejny ślad, ramiona trzęsły mu się jak w febrze.

Cały ten incydent miał dla nich zbawienne efekty. Po opuszczeniu łazienki Ochabczyk wyraźnie spuścił z tonu. Przycichł i jakby skurczył się w sobie. Postał kilka minut pod ścianą jak najdalej od łóżka, po czym zwrócił się do podporucznika, starannie unikając spojrzenia czy to na niego, czy na denatkę.

– Myślałem, że załatwimy to szybciej. Muszę iść, jestem umówiony w Komitecie. Dokończcie tu sami, poruczniku, a jutro opowiecie mi o ustaleniach. Dacie sobie radę? – spytał i nie czekając na odpowiedź, ruszył ku drzwiom.

Gdy tylko zamknęły się za nim, obaj milicjanci wybuchnęli śmiechem, i tylko lekarz stał z dość głupią miną, nie wiedząc, czy powinien się przyłączyć do tej eksplozji wesołości, której powodów nie rozumiał. Tamci jednak uspokoili się dość szybko i zajęli się pracą. To znaczy zajął się nią technik, fotografując coraz to inne miejsca, Jagielski natomiast przechadzał się wolno po pokoju, nie przekraczając przy tym linii wytyczonych tabliczkami oznaczonymi numerami, ustawionymi w miejscu, gdzie na jasnej wykładzinie dywanowej odbiły się ostatnie krwawe ślady protektorów. Dalej już ich nie było, co mogło oznaczać tylko, że w tym miejscu zabójca zdjął zakrwawione obuwie.

– Przecież nie wyfrunął – burknął Jagielski, gdy nudzący się lekarz przedstawił mu swój wielce odkrywczy domysł.

– Skończyłem z częścią artystyczną – oznajmił technik. – Przyjrzyjmy się teraz tej pięknej pani, żeby doktor mógł wrócić do swoich zajęć.

Jagielski już wcześniej doszedł do wniosku, że Milewska sama wpuściła zabójcę do domu. Drzwi nie były uszkodzone, zamki raczej też nie, a stanowiący dodatkowe zabezpieczenie łańcuch luźno zwisał na drzwiach. Prócz tego leżąc pod kołdrą kobieta miała na sobie szlafrok, co wydało mu się dość niewygodnym strojem do spania.

– Ja to widzę tak, że ktoś zadzwonił, ona wstała z łóżka, włożyła szlafrok i wpuściła gościa do środka – odezwał się mężczyzna w białym kitlu, uprzedzając podporucznika. – Przepuścił ją przodem i walnął w głowę, po czym zaciągnął do łóżka i zaczął zabawę. Nie mam na myśli gwałtu – odpowiedział na pytające spojrzenie Jagielskiego. – To chyba nie miało nic wspólnego z seksem.

Wstępne oględziny zwłok nie dały co prawda odpowiedzi na pytanie, kto mógł się dopuścić tak strasznego czynu, wykazały natomiast, że istotnie Milewska została uderzona w głowę. Pozostałe rany były liczne i tak głębokie, że czarna prognoza lekarza miała realne szanse się sprawdzić. Mężczyzna wymieniał je głośno, dodając do każdej krótki opis.

– Naliczyłem dwadzieścia jeden – stwierdził w podsumowaniu – ale bez dokładniejszych badań nie jestem w stanie stwierdzić, czy któraś z nich była śmiertelna. Tylko że to chyba nie ma znaczenia, bo dam głowę, że zmarła z upływu krwi. Popatrzcie tu, tu i tu. – Wskazywał po kolei na szyję, przedramię i udo.

– Krwotok tętniczy? – zaryzykował Jerzy.

Dla niego wskazane przez lekarza rany nie różniły się niczym od pozostałych; na wypowiedzianą supozycję naprowadziły go wyłącznie miejsca zranienia.

– Potrójny, stąd takie rozbryzgi.

– Czas zgonu?

Lekarz skrzywił się lekko.

– Powiedziałbym, że osiem do dziesięciu godzin, ale to tylko tak orientacyjnie. Dokładniej powie panu...

– Doktor od nieboszczyków – wszedł mu w słowo Jagielski. – Dziękuję, to na razie mi wystarczy. Mirek, mamy jej dane? – zwrócił się do technika omiatającego pędzelkiem daktyloskopijnym niedużą, elegancką torebkę.

– Moment.

Chorąży Mirosław Kazimierczak utrwalił na folii daktyloskopijnej widoczne na powierzchni torebki odciski, przyjrzał im się przez lupę i rozsunął zamek błyskawiczny.

– Na moje oko te wszystkie paluchy należą do tej samej osoby. Pewnie do niej. – Pogrzebał w torebce i wyciągnąwszy ciemnozieloną książeczkę, szybko ją przekartkował. – Dorota Jadwiga Milewska z domu Pawełek. Lat dwadzieścia dziewięć, mężatka, brak informacji o zatrudnieniu.

– Jeszcze jedno – znów odezwał się lekarz. – Jeżeli było tak, jak mówiłem, to szukacie mężczyzny, w dodatku wysokiego. – Ponownie wskazał ranę na głowie denatki. – Cios padł z góry, a ta kobieta ma

jakieś metr sześćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu.

Po wypisaniu aktu zgonu mężczyzna wyszedł, a milicjanci wrócili do swoich zajęć. Kazimierczak zaczął od przedpokoju, a Jagielski, chwilowo bezrobotny, przyglądał się bezmyślnie, jak kolega omiata pędzelkiem daktyloskopijnym wieszak na ubrania. Naraz wzrok zahaczył o brązową smugę na ścianie, ledwie widoczną wśród kwiatowego wzoru tapety. Zaciekawiony, spojrzał niżej i już wiedział, że lekarz miał rację.

– Miro, zerknij na to.

Wskazał palcem interesujące go miejsce. Technik podszedł, przyjrzał się smudze przez szkło powiększające i powiódł wzrokiem niżej. Gwizdnął cicho.

– Miał nosa pierdolony doktorek. Pomyślałem, że gówno wie, bo przecież mogła siedzieć, kiedy dostała w łeb, ale tutaj raczej nie siedziała. Poza tym na czym? Musiałoby być tak wysokie jak stółek barowy.

Machinalnie rozejrzał się, jakby oczekiwał, że nagle w wąskim przedpokoju zobaczy bar obstawiony stołkami. Jerzy zauważył to i parsknął śmiechem.

– Nie wysilaj się, Miruś. Stółek na pewno się tu nie zmaterializuje, a nawet gdyby, to dalej sprawcą będzie wysoki mężczyzna.

W pierwszej chwili Kazimierczak nie zrozumiał i zapatrzył się w porucznika z niemądrą miną. Potem ponownie przeniósł wzrok na smugę zaczynającą się na wysokości jego szyi i w oczach błysnęło mu zrozumienie.

– Walnął ją, a ona zatoczyła się na ścianę – wyjaśnił niepotrzebnie i sięgnął po nożyk, by wyciąć poplamiony krwią fragment tapety.

– Idę na fajkę – poinformował Jagielski, nieznoszący bezczynnego czekania. – Kupię coś do żarcia. Chcesz?

W sklepie była kolejka i kiedy wrócił, technik zdążył uporać się już z sypialnią. Jerzy przejrzał zawartość szuflad stolika nocnego i przystanął przed wysoką szafką. Przeszklona od połowy, nosiła na sobie ślady proszku daktyloskopijnego, mimo to wolał się upewnić.

– Zrobiłeś już tę szafkę?

Kazimierczak z cichym stęknieniem dźwignął się z kolan.

– Zrobiłem. Widziałeś to zdjęcie?

Jerzy nie zdążył odpowiedzieć, gdyż właśnie pojawili się przyodziani w kombinezony ochronne mężczyźni z noszami. Po krótkiej rozmowie zgodnie z sugestią lekarza wstawiali na nosze denatkę wraz z pościelą, przykryli płachtą i po podpisaniu stosownych dokumentów zniknęli za drzwiami.

– Zrobiłem kuchnię – oznajmił Kazimierczak po ich wyjściu. – Ale jestem niewyspany. – Ziewnął szeroko, nie starając się nawet zasłonić ust. – Graliśmy w brydża do drugiej w nocy, bo miałem mieć wolne, ale wyszło jak zawsze. Gdzie masz to żarcie, bo głodny jestem jak cholera. Gospodarz chyba nie oskarży nas o kradzież, jeśli zrobimy sobie herbatę? Nie umiem jeść bez popijania.

– Właśnie, gospodarz. Trzeba by go zawiadomić. Tylko, kurwa, jak? Na aparacie jest miejsce na

numer, ale kartka jest pusta. Byłem u cecia, potem zadzwoniłem od niego do administracji i nic. Nikt nie wie, gdzie facet pracuje, numeru też nikt nie zna.

– Został mi jeszcze duży pokój. Może tam coś znajdę?

Rozdział 3

Pierwszy podejrzany

Kwiecień 1985, Bielsko-Biała

– Widziałeś to zdjęcie?

Jagielski właśnie rozsuwał szyby, by wziąć do ręki ślubną fotografię oprawioną w pozłacaną ramkę, gdy Kazimierczak powtórzył zadane wcześniej pytanie. Zdjęcie przedstawiało piękną blondynkę i mężczyznę o surowych rysach twarzy i spoglądających zimno oczach. Podporucznik zerknął na dowód osobisty denatki, potem znów na fotografię i skinął lekko głową.

– To ona.

– A facet to zapewne mężuś, który dziwnym trafem nie nocował w domu, kiedy mordowano mu żonę.

Sugestia zawarta w słowach technika była całkiem prawdopodobna, jednak Jerzy w żaden sposób się do niej nie odniósł. Nadal wpatrywał się

w fotografię, marszcząc brwi w zastanowieniu. Wreszcie ze zniechęceniem odłożył ją na miejsce.

– Miro, zrób mi zdjęcie tej fotki. Takie bardzo dokładne.

– Po co ci to? – spytał Kazimierczak, lecz bez sprzeciwu sięgnął po aparat. – Też uważasz, że to on ją tak ukochał? Mordę ma taką bardziej bandycką, raczej nie miałby oporów przed przerobieniem żony na siekane kotlety. Jeśli go zdradzała...?

Podporucznik wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia, czy to on zabił, ale skądś go znam. – Spojrzał na technika z nagłym zainteresowaniem. – Skąd wiesz, że go zdradzała?

– Nie wiem, założyłem tylko – bronił się tamten. – No bo popatrz. Taka ładna dziewczyna pewnie mogła wybierać w chłopach jak w jabłkach na straganie, ale z jakiegoś powodu wyszła za tego troglodytę. Założę się, że szybko tego pożałowała i poszukała sobie przystojnego i dzianego faceta. Baby już tak mają.

Jagielski w żaden sposób nie odniósł się do jego słów, choć miał na ten temat krańcowo różne zdanie. Gdyby o skłonnościach do dokonywania czynów wzbronionych prawem miał świadczyć wygląd, można by zlikwidować większość milicyjnych etatów. Nie uważał też, by przy wyborze życiowych partnerów kobiety kierowały się wyłącznie prezencją, a te, które wyszły za mniej przystojnych, natychmiast szukały miłszego oku kochanka. Wiedział, że wygłaszając podobne opinie, Mirek daje upust własnej frustracji. Trzy miesiące temu żona Kazimierczaka zostawiła go i związała

się z przystojnym taksówkarzem, a chorąży zmienił się w zgorzkniałego, zawziętego mizogina.

– Bardziej mnie męczy coś innego. Jestem pewien, że gdzieś już tego gościa widziałem, ale nie mogę sobie przypomnieć gdzie i kiedy. Będę musiał sprawdzić kartotekę, bo gębę ma faktycznie nieciekawą.

Nie miał tu na myśli rysów twarzy mężczyzny, lecz jego minę, niezbyt adekwatną do uroczystości zaślubin. W takim dniu powinien być szczęśliwy, tymczasem nieznany z imienia Milewski wyglądał jak ktoś, kto tylko ogromnej sile woli zawdzięcza, że nie stracił opanowania i nie rozszarpał nieujętego na fotografii wroga na kawałki.

Ostatnie stwierdzenie sprawiło, że wzrok podporucznika bezwiednie skierował się do pokoju, gdzie jeszcze niedawno leżały zwłoki młodej kobiety. Przez chwilę bawił się myślą, że owym wrogiem była Dorota Milewska, a on omylił się w swych rachubach o tyle, że mąż posiekał ją, zamiast rozszarpać. Zaraz jednak zrezygnował z brania tej hipotezy za pewnik. Zadawane bezładnie ciosy świadczyły o graniczącej z szaleństwem furii napastnika, a Jerzy gotów był postawić swoją roczną pensję na to, że mężczyzna ze zdjęcia potrafi zachować samokontrolę nawet w ekstremalnych sytuacjach.

Zapytał Kazimierczaka o postęp prac, po czym wyszedł na korytarz i kierując twarz w dół schodów, zawołał:

– Szeregowy Adamiec, gdzie ten facet, który nas wezwał?

– Wracalem z nocnej zmiany. Kiedy przechodziłem obok drzwi do mieszkania numer pięć, zauważyłem, że są otwarte. Pomyślałem, że może pan Milewski zapomniał je zamknąć, kiedy wrócił do domu, dlatego wszedłem i zwołałem.

Mężczyzna zamilkł i niespokojnie popatrzył na Jagielskiego.

– Co pan zwołał? – spytał Jerzy. – Panie Hamster, wszystko może być ważne.

– Ja... ja nie wiem dokładnie, wszystko mi się miesza... Bo wie pan, jak ją zobaczyłem, to tak się przeląknęłem...

Stanisław Hamster mówił drżącym głosem i bez przerwy wykonywał jakieś nerwowe gesty. A to drapał się po karku, a to przegarniał dłonią rzednące włosy, to znów usiłował uchwycić zębami naderwaną skórę przy paznokciu. Słuchając go, Jagielski zastanawiał się nad przyczyną tej nerwowości. Czy wywołała ją konieczność rozmowy z milicjantem, czy wspomnienie widoku zastanego w mieszkaniu Milewskich, który z pewnością jeszcze długo będzie mu się pojawiać pod powiekami, gwarantując senne koszmary? A może bał się, że zostanie zdemaskowany, bo to on zabił Dorotę Milewską?

– Kogo pan zwołał? Ją czy jego?

– Najpierw jego, bo kilka razy go widywałem, jak wracał rano do domu. Kiedyś nawet się zgadaliśmy i zapytałem, czy on też po trzeciej zmianie. Roześmiał się i powiedział, że można to tak nazwać.

Dlatego dzisiaj pomyślałem sobie, że pewnie wrócił po nocce i zapomniał zamknąć. Zawołałem, nie pamiętam dokładnie, to było chyba: „Halo, panie Milewski”, ale nikt nie odpowiedział.

– Co pan wtedy zrobił?

Hamster zmarszczył brwi i wydał wargi, przez co jeszcze bardziej upodobił się do stworzenia, które użyczyło mu nazwiska. Jagielski już w pierwszej chwili zwrócił uwagę na podobieństwo twarzy i sylwetki do sympatycznego zwierzątka, nawet pulchne różowe dłonie mężczyzny kojarzyły mu się z chomiczymi łapkami.

– Pchnąłem drzwi, bo one nie były szeroko otwarte, tylko niedomknięte. No więc otworzyłem je, wszedłem do przedpokoju i znowu go zawołałem. Pomyślałem, że może wyszedł na balkon zapalić, bo ja też muszę wychodzić, panie...

Popatrzył bezradnie na ramiona milicjanta i zamilkł. Jerzy przypomniał życzliwie:

– Jestem podporucznikiem.

– No tak, mówił pan na początku, ale zapomniałem, a po cywilnym ubraniu nie da się rozpoznać szarży.

– Do rzeczy, panie Hamster – pospieszył go Jagielski. – Muszę jeszcze porozmawiać z innymi mieszkańcami.

– Tak, tak, przepraszam, panie poruczniku. No więc tym razem zawołałem: „Pani Dorotko, mąż zostawił otwarte drzwi”.

– To ciekawe – przerwał mu Jerzy. – Do niego zwracał się pan po nazwisku, a do niej po imieniu. Znał pan wcześniej panią Milewską?

Przez chwilę miał nadzieję, że natrafił na coś ważnego, lecz Hamster zaraz wyprowadził go z błędu, stwierdzając, że nie znał małżeństwa Milewskich, dopóki się tu nie sprowadzili zaraz po nowym roku. Do pani Milewskiej oboje z żoną zwracali się po imieniu, bo sama o to poprosiła, gdy kiedyś przyszła do nich na kawę.

– Mówiła, że tęskni za domem, za matką, pewnie dlatego przyłgnęła do żony – opowiadał Hamster. – A pan Milewski...

Znów się zawahał, czym zirytował podporucznika.

– Niechże pan to wreszcie z siebie wydusi. Może pan mówić śmiało, on się nie dowie. Był złym człowiekiem? Bił żonę, a może się awanturował?

– Co też pan! – oburzył się Hamster. – Milicja to w każdym bandytę widzi. Bo jak ktoś się nie wdaje z sąsiadami w rozmowy, to od razu zły. A to dobry człowiek jest. Uczynny. Jak moja chorowała i nigdzie nie szło lekarstwa kupić, co to doktor je przepisał, to pan Milewski od razu gdzieś je załatwił. Głupot panu nagadali, niech pan w to nie wierzy, że bił żonę. On świata poza panią Dorotką nie widział.

– Taki był dobry, a jednak mówi pan do niego po nazwisku, jak do obcego.

Starszy człowiek wyraźnie się zmieszał, potem popatrzył na milicjanta z prośbą w oczach.

– Bo nie pamiętam, jak on ma na imię – wyznał w końcu. – Przedstawił mi się, kiedy się tu sprowadzili, ale to imię ma takie dziwne. Coś jak Rajmund, ale inaczej. Nie dosłyszałem, a nie chciałem się przyznać przed nieznanym, że mam problemy ze słuchem. Nigdy nie wiadomo, na kogo

się trafi, mogliby się w zakładzie dowiedzieć, a ja tam na dyspozytorni robię. Pan porucznik mnie nie zdradzi przed szefem?

Jagielski mógł z czystym sumieniem zapewnić, że nikogo nie poinformuje o tym drobnym defekcie. Nawet gdyby musiał z jakiegoś powodu pofatygować się do zakładu zatrudniającego Hamstera, niedosłuch z pewnością nie byłby tematem rozmowy. Musiał natomiast wyjaśnić całkiem inną sprawę.

– Panie Stanisławie, o której skończył pan dzisiaj pracę?

– Jak zwykle o szóstej – odpowiedział wyraźnie zdziwiony mężczyzna. – Dlaczego pan pyta?

– Pod numer alarmowy zadzwonił pan sześć minut po ósmej. Zastanawia mnie, jak to możliwe, że szedł pan do domu aż dwie godziny. Przecież to niedaleko, moim zdaniem zdążyłby pan w dziesięć, góra piętnaście minut. Proszę wytłumaczyć tę rozbieżność.

Hamster ani trochę się nie zmieszał. Swobodnie wytłumaczył, że określenie „wracałem z nocnej zmiany” było skrótem myślowym, i przeprosił za brak precyzji. Później wytłumaczył, że jeżeli w soboty wypada mu druga lub trzecia zmiana, wówczas po pracy lub przed nią robi sobie spacer na targowisko przy ulicy Lompy, gdzie można kupić nie tylko świeże jarzyny, ale i niereglamentowane mięso, takie jak baranina, konina, a czasem nawet drób.

– Panie poruczniku – zakończył nieco urażonym tonem. – Kupowałem w kiosku przed blokiem „Dziennik Zachodni” i pochwaliłem się, że udało mi

się wystać kaczkę. Osiem osób może poświadczyć, że była w siatce, bo sąsiadki ją oglądały.

– Wierzę panu – odparł Jerzy ugodowym tonem. Nie chciał rozdrażniać człowieka, który jak na razie okazał się skory do współpracy. Mógł się jeszcze przydać. – Ale nazwiska tych pań proszę podać, bo prokurator czepia się każdego drobiazgu. Jutro zgłosi się pan na komendę celem złożenia oficjalnych zeznań. Do widzenia.

Wyszedł na korytarz, żegnany pełnym wyrzutem spojrzeniem żony Hamstera. Nie wybaczyła mu, że kategorycznie sprzeciwił się, by była obecna podczas rozmowy z jej mężem. Nie powiedziała tego wprost, ale się domyślił, że wolałaby być na bieżąco, dzięki czemu miałyby najświeższy temat do plotek.

Porozmawiał z pozostałymi mieszkańcami bloku, a ci potwierdzili słowa Hamstera. Milewscy sprowadzili się tam drugiego stycznia. Skąd? Tego nie wiedział nikt, podobnie jak nikt nie znał imienia Milewskiego, sąsiedzi nie mieli także pojęcia, gdzie mężczyzna pracuje. Widywali go o różnych porach, a niektórzy twierdzili nawet, że wychodził do pracy w środku nocy. *Całkiem jak ja. Albo złodziej* – pomyślał rozbawiony Jagielski.

Dorota Milewska była bardziej otwarta, stąd informacje, że nigdzie nie pracowała, że tęskniła za matką, z którą była bardzo zżyta, i że jest mężatką od niespełna roku. Pytana o męża, odpowiadała tak ogólnikowo, że z jej słów właściwie nic nie wynikało. Mimo to małżonkowie mieli w bloku opinię uczynnych i sympatycznych, nikt nie zarzucił im nawet jednego złego postępu. *Noż kurwa, normalnie święta rodzina, tylko małego*

Jezuska brakuje – zżymał się milicjant, zmierzając do ostatniego z mieszkań.

Sąsiadka zajmująca lokal na parterze, bezpośrednio pod mieszkaniem Milewskich, jako jedyna nie próbowała wystawić im laurki, choć minęło sporo czasu, nim podporucznikowi udało się skierować rozmowę na właściwe tory. Zapytana bowiem o wzajemne stosunki małżonków, kobieta zaczerwieniła się jak piwonias, co było dziwne o tyle, że sama przed chwilą powiedziała, iż urodziła siedmioro dzieci. Jagielski domyślił się, że zrozumiała pytanie opacznie i już miał je ponowić przy użyciu innych słów, gdy Bernadetta Włodarska pacnęła się dłonią w czoło.

– Jaka ja głupia jestem! – zachichotała. – Myślałam, że pan pyta o to, jak oni to robili... No wie pan...

– Wiem – odpowiedział z poważną miną. – I zapewniam panią, że milicji nie interesuje, ile razy małżonkowie się kochają, o jakiej porze to robią i w jakiej pozycji. Jak pani zapewne już wie, Dorota Milewska została zamordowana. Dlatego muszę dowiedzieć się czegoś więcej o tych ludziach.

Włodarska skrzywiła się wymownie.

– Wszyscy pewnie teraz opowiadają, jaka ta Dorotka była dobra, jaka miła i dobrze wychowana. Mam rację? A prawda jest taka, że to było głupie, puste dziewuszyisko, przy tym złośliwe i bezczelne. Ale Bogiem a prawdą to na taki los nie zasłużyła. Mógł ją przecież tylko zgwałcić. Chociaż jaki to gwałt w małżeństwie? Niepotrzebnie ją zabił, za to na pewno pójdzie siedzieć, nawet jeżeli to zrobił

w tym... No tym... Pan wie, o co mi chodzi. Jak człowiekowi puszcza nerwy.

– W afekcie – mruknął Jagielski, a kobieta energicznie przytaknęła. – O kim pani mówiła? O Milewskim?

– No przecie nie o Jaruzelskim! – W tym momencie musiało do niej dotrzeć, że rozmawia z milicjantem, gdyż zasłoniła usta dłonią i wymamrotała niewyraźnie: – Ja nie chciałam... Nic złego...

Podporucznik pominął ten incydent milczeniem, poprzednie słowa Włodarskiej interesowały go dużo bardziej.

– Skąd przypuszczenie, że Dorotę Milewską zabił mąż?

– Bo wczoraj okropnie się pokłócili. Nie wróciła na noc, on pytał, gdzie była, ona zaczęła go wyzywać, wspominała też o rozwodzie. Potem on powiedział, że musi iść do pracy, a ona na to, żeby spierdalał.

Tym razem się nie zarumieniła, widocznie zawstydzало ją tylko mówienie o seksie, przekleństwa natomiast uznawała za naturalne. Wyraźnie czekała na jakąś reakcję i Jerzy niemal namacalnie wyczuł jej zawód, gdy ta nie nastąpiła. Skierował wzrok na ścianę i skupił go na jaśniejszym prostokącie po zdjętym obrazku. Milczał, tylko dłoń poruszała się nieznacznie nad notatnikiem, a na kartce powstawała plątanina bezładnych, zdawać by się mogło, kresek. Słyszał kobiecy głos, lecz treść wypowiedzi nie docierała do mózgu zajętego analizowaniem wcześniejszych słów.

Nagle się ocknął, spojrzał z zaciekawieniem na naburmuszoną gospodynię i dopiero po chwili

uświadomił sobie, że słyszał szmer głosu Włodarskiej. Obraziła się, bo jej zdaniem nie poświęcił jej słowom najmniejszej uwagi, będzie więc musiał jakoś ją ułagodzić. Nie mogła wiedzieć o jego zwyczaju odseparowywania się od rzeczywistości, tworzenia wokół siebie kokonu, by nic nie mąciło biegu myśli.

– Jakie to ładne – odezwała się nagle, zerkając na notes. – Toż to moja Izabelka, całkiem jak żywa!

Naburmuszona mina należała już do przeszłości, teraz kobieta cała była podekscytowaniem, ciekawością i żądzą posiadania. Jagielski spojrzał na notes i zobaczył, że tym razem w trakcie odłączenia się od zewnętrznych bodźców nie naszkicował żadnego fantastycznego stworzenia, lecz dziewczęcą twarz. Zdezorientowany rozejrzał się po pokoju i obok pustego miejsca na ścianie zobaczył portretowe zdjęcie młodej dziewczyny. Porównał z nim szkic i skrzywił się lekko. Miał rację, gdy po ukończeniu Akademii Sztuk Pięknych podjął pracę w milicji. Artysta z niego żaden.

Włodarska nadal piała peany nad niedokładnie odwzorowaną twarzą i podporucznik postanowił to wykorzystać. Pochylił się ku niej, dając tym do zrozumienia, że to, co powie, stanowi tajemnicę.

– Podoba się pani ten portret? – Nie czekając na odpowiedź, wyjaśnił: – Kiedyś chciałem studiować malarstwo, ale w domu się nie przelewało. Ojciec był na rencie, mama robiła na taśmie w „Belosie”, a w domu jeszcze młodsze rodzeństwo... Musiałem iść do roboty, a w milicji dobrze płacą.

W tym, co mówił, nie było nawet krzty prawdy, lecz kobieta nie mogła tego wiedzieć.

– Dobry z pana syn – rozkrochmaliła się. – Pewnie, że w milicji lepsze warunki i kiełbasę bez kartek macie.

Nie podjął tematu. Zdawał sobie sprawę, że gdyby nawet zdarł gardło i wypluł płuca, tłumacząc, jak wygląda rzeczywistość, ludzie i tak wiedzą lepiej i żadna siła ich nie przekona, że są w błędzie. Zamiast tego wskazał portrecik.

– To pani córka?

– Tak, to Iza, nasza najmłodsza. Miało jej nie być, bo już swoje lata miałam, a tu się dzieciak przytrafił. – Zachichotała, zasłaniając dłonią usta.

– Ładna dziewczyna – pochwalił nie całkiem szczerze. – W takim razie proszę – wydarł kartkę z notatnika i podał Włodarskiej. – Na pamiątkę.

Zarzuciła go podziękowaniami, jakby wręczył jej co najmniej szkic sporządzony przez Wyspiańskiego. Potem zaproponowała kawę, na co przystał z ochotą, bo choć w większości mieszkań przyjmowano go bez wrogości, nikomu nie przyszło do głowy zaoferować coś do picia.

Milicjant wypił kilka łyków i zagadnął:

– Powiedziała pani, że Milewską pewnie zabił mąż, bo się kłócili. To trochę za mało. Nie mogę zamknąć tego faceta tylko dlatego, że pokłócił się z żoną, bo siebie też bym musiał zamknąć. Nie wierzę w idealne małżeństwa.

Włodarska posłała mu karcące spojrzenie.

– Nie chodzi o to, że się kłócili, ale jak. Mówiłam już, ale pan chyba nie słyszał, bo rysował pan Izunię. Zanim Dorota kazała mu spierdalać, on powiedział coś, czego nie dosłyszałam, bo ci

Lipkowie spod trójki akurat wodę puścili. – Pretensja w jej głosie była tak wielka, że omal się nie roześmiał. – Za to wiem, co powiedział na końcu. Coś tam o „ostateczności, bo pożałujesz”. – Spojrzała na Jerzego z triumfem. – W dodatku mówił to takim tonem, że sama się przełękłam. Na miejscu tej Doroty chybabym się zesrała ze strachu.

Reszta z wielu słów wypowiedzianych przez Włodarską nie przedstawiała dla śledztwa żadnej wartości, pożegnał więc gadatliwą kobietę, wymawiając się nawałem obowiązków. Wyszedł przed blok, zapalił papierosa i poszedł w stronę schowanej za kioskiem „Ruchu” ławki, jedynej, która nie stała w pełnym słońcu.

Usiadł, wyciągnął przed siebie nogi i przymknął powieki. *Dziesięć minut laby* – postanowił, wiedząc dobrze, że odpoczynek będzie trwać do chwili, gdy wypali papierosa, i ani sekundy dłużej.

– Proszę pana? Panie poruczniku?

Niechętnie uniósł powieki i spojrzał na właścicielkę drżącego dziewczęcego głosu, zakłócającą mu krótki czas relaksu. Była bardzo ładna i jeszcze bardziej wystraszona. Powściągnął irytację i przywołał na twarz uśmiech, by odrobinę ją ośmielić, choć nie przewidywał, by mogła mu powiedzieć coś istotnego.

– Siadaj i powiedz, jak masz na imię.

Poklepał zachęcająco ławkę i dziewczyna po krótkim wahaniu przysiadła ostrożnie na samym brzeżku.

– Pan się zajmuje panią Milewską? To znaczy tym, co się stało...? Chciałam powiedzieć, czy pan

śledzi...?

– Prowadzę śledztwo w sprawie zabójstwa Doroty Milewskiej – sprecyzował, gdy dziewczyna trzeci raz poległa na nazewnictwie. – Nazywam się Jerzy Jagielski. A ty?

Zawahała się i spięła w sobie. Uciekać czy nie uciekać, oto jest pytanie – sparafrazował na swoje potrzeby Hamletowski dylemat i znów przymknął powieki. Decyzja dziewczyny była mu w zasadzie obojętna.

– Grażyna Lipka.

Otworzył oczy. Więc jednak się zdecydowała. Musi być przeświadczona, że to, co ma do powiedzenia, jest bardzo ważne. Lipka? Gdzieś już słyszał dzisiaj to nazwisko. Ale gdzie? Przypomniał sobie pełny pretensji głos Bernadetty Włodarskiej i słowa: „...ci Lipkowie spod trójki akurat wodę puścili”. Omal się nie roześmiał, uświadomił sobie bowiem, że usłyszawszy słowo „Lipkowie”, w ogóle nie pomyślał o nazwisku, tylko o Tatarach z *Pana Wołodyjowskiego*, i uznał je za przezwisko nadane nielubianym sąsiadom.

– Mieszkasz pod trójką, prawda? Dzwoniłem do drzwi, ale nikt nie otworzył.

– Rodzice byli w pracy, a ja udawałam, że nie ma mnie w domu.

Tym razem zdołała go zaskoczyć. Dlaczego miałyby unikać rozmowy a milicją? Przecież nie ona zabiła Milewską.

– Czemu nie otworzyłaś?

– Bo nie umiem kłamać, a nie chciałam donosić. Ale potem pomyślałam, że jeżeli on naprawdę ją

zabił...

– Kto zabił i kogo? – spytał surowo. – Musisz mówić precyzyjnie, to poważna sprawa.

Pokiwała głową i powtórzyła ostatnie zdanie, tym razem zamiast zaimków używając nazwiska:

– Pomyślałam, że jeżeli pan Milewski zabił panią Dorotę Milewską, powinnam panu powiedzieć, co słyszałam. – Zerknęła niepewnie, a gdy zobaczyła aprobujące skinienie, wzięła głęboki wdech i wyznała: – Mój chłopak odprowadził mnie do domu. Staliśmy przy wejściu i trzymaliśmy się za ręce, kiedy z bloku wyszedł pan Milewski. Popatrzył tak jakoś przez nas i powiedział: „Najwyższy czas z tym skończyć”. Myślałam, że on tak do nas, że mu się nie podoba, że tam stoimy, ale on to mówił do siebie. Bo zaraz potem dodał: „Z nią”.

Rozdział 4

Maszyna do walki

Kwiecień 1985, Bielsko-Biała

Na ogół Jagielski unikał uczestniczenia w sekcji zwłok. Tu wyjątkowo zgadzał się ze zdaniem Ochabczyka, że obecność prokuratora lub milicjanta jest zbędna, gdyż w niczym patologowi nie pomogą, mogą natomiast przeszkadzać. Tym razem jednak pozwolił sobie na odstępstwo od normy, licząc na to, że jeśli będzie na miejscu, dowie się wszystkiego od razu.

Sekcję przeprowadzał Włodzimierz Stareczek. Podporucznik nie miał z nim dotychczas do czynienia i na widok wysokiego, chudego mężczyzny o ascetycznej twarzy i ponurym spojrzeniu pomyślał, że doktor wygląda wyjątkowo adekwatnie do swojego zajęcia. Tak mógłby się prezentować mityczny Charon lub Anubis, albo inny pośrednik między światami żywych i umarłych.

Stareczek w zasadzie nie odkrył nic, czego by nie powiedział już lekarz z pogotowia, stwierdzający zgon. Potwierdził, że najpierw nastąpiło uderzenie w głowę tak silne, że pozbawiło kobietę przytomności.

– Najprostsze wyjaśnienie jest takie, że sprawca walnął ją w głowę, gdy siedziała. Niestety nie mogę wykluczyć, że zrobiła to kobieta czy nawet starsze dziecko. W tym przypadku mógł uderzyć każdy, kto ma około metra sześćdziesięciu wzrostu.

– A gdyby stała? – spytał Jagielski, mając przed oczami ślad krwawy na przedpokojowej tapecie.

Stareczek rozmyślał jakiś czas nad odpowiedzią, przeglądając własne zapiski dotyczące wzrostu denatki.

– Musiałby mieć co najmniej tyle, co ja – odparł w końcu. – Mam metr osiemdziesiąt sześć. Narzędzie tępokrawędziste o długości dwunastu centymetrów, z tolerancją do pięciu milimetrów w obie strony. Szerokość narzędzia to trzy centymetry, z tolerancją jak wyżej, z tym że od mniej więcej dwóch trzecich długości szerokość ulega zmianie, zwężając się z obu stron, by pod koniec uzyskać wymiar około pięciu, sześciu milimetrów.

Jagielski naszkicował wspomniane narzędzie.

– Walnął ją młotkiem obróconym na płask – stwierdził, a Stareczek potwierdził skinieniem głowy i przeszedł do opisu głównych obrażeń.

Dwadzieścia jeden ciosów nożem, w tym trzy przecinające arterie, nie były zwykłymi pchnięciami. Po zagłębieniu ostrza w ciele ofiary zabójca nie wyciągał go, lecz ciął tkanekę tak, jak

rozcina się puszkę konserw bez otwieracza. Lekarz opisał to obrazowo, markując najpierw pchnięcie, by później przyciągać do siebie niby to stawiającą opór dłoń dzierżącą wyimaginowaną rękojeść.

– To nie był zwykły nóż – oznajmił po pewnym czasie, po dokładnym obejrzeniu, sfotografowaniu i pomierzeniu zadanych denatce ran. – Parametry wskazują na glocka FM78 – stwierdził i dodał z ponurą miną: – Powinien pan poszukać zabójcy wśród swoich, bo w taką broń wyposażeni są ludzie z Plutonów Specjalnych.

Przed budynkiem komendy Jagielski przystanął na moment, by zapalić papierosa. Był zmęczony. Właściwie „zmęczony” to za małe słowo, on czuł się tak, jakby rozjechał go walec, jak taki stan zwykła obrazowo określać jego żona. Na myśl o Lucynie wróciło mu trochę energii, zaraz jednak znowu oklapł, uświadomił sobie bowiem, że tego wieczoru nie powita go ani jej olśniewający uśmiech, ani żadna z nieco kpiących uwag, które tak uwielbiał. Dzisiaj jest skazany wyłącznie na swoje towarzystwo.

– Pilnujesz, żeby nam fabryki nie ukradli?

Pograżony w myślach Jerzy nie zauważył nadchodzącego kolegi. Teraz uśmiechnął się dość niemrawo i wyciągnął dłoń na powitanie.

– Cześć, Norbert. Co słychać w kręgach безпеki? Ekstrema pokonana? Bo widzę, że ręce z krwi już umyłeś.

Porucznik Norbert Swift ze Służby Bezpieczeństwa parsknął śmiechem i walnął go w bark. Z racji służby w wydziale śledczym nie zajmował się ściganiem opozycjonistów, więc uwaga Jerzego była jak kulą w płot. Stanowiła jedynie swoisty rytuał powitania, o czym obaj doskonale wiedzieli.

– Dzisiaj pruli się sami i nie miałem komu dać w mordę. Może jesteś chętny? Zawsze to ciekawsze niż ściganie sprawcy kradzieży farelki i słoika kompotu.

W innym dniu Jagielski odwzajemniłby złośliwości Swifta jakąś ciętą ripostą, dzisiaj jednak nie miał na to siły. A gdy pomyślał, że jutro również spędzi cały dzień na poszukiwaniu człowieka, który zdawał się nie istnieć, miał ochotę kląć ze złości.

– Tym razem mam jeden-cztery-osiem i nawet mi się gadać nie chce.

Norbert gwizdnął cicho. Zabójstwa nie były w Bielsku-Białej zjawiskiem powszednim, najczęściej śledztwo wykazywało nieumyślne spowodowanie śmierci.

– Skąd wiesz, że to nie wypadek? Jedno nieszczęśliwe uderzenie...

– A pozostałe dwadzieścia były twoim zdaniem szczęśliwe? Nie sądzę, żeby denatka się z tobą zgodziła. – Jerzy zdeptał niedopałek. – Idę do domu. Cześć.

Swift przytrzymał go za ramię.

– Czekaj, podwiozę cię, też już skończyłem. Gdzie masz kancioka?

Ruszyli razem w stronę wiśniowego poloneza i po kilku minutach Jagielski z ulgą rozsiadł się na wygodnym fotelu.

– Dzisiaj Lucy nim powozi. Pojechała z matką do jakiejś ciotki do Jordanowa.

Po dwóch minutach znaleźli się na miejscu. Jagielscy mieszkali tak blisko komendy, że pokonanie pieszo tego dystansu nie zabrałoby dużo więcej czasu, ale tym razem Jerzy nie miał ochoty nawet na tak krótki spacer.

– Dzięki – powiedział, gdy polonez zatrzymał się pod blokiem. – Idę celebrować status słomianego wdowca, czyli euro specjal i telewizor, a po kilku minutach kimono.

Norbert z aprobatą kiwnął głową.

– Piękny plan. Sam też mam podobne zamiary, niestety bez specjale. Na moim zadupiu jest tylko zwykły żywiec.

Jerzy znał dobrze jego upodobanie do tego niszowego produktu żywieckiego browaru, toteż od razu zaproponował:

– Mogę ci dać kilka butelek.

Nie musiał dwa razy powtarzać i już po chwili obaj mężczyźni wchodzili na drugie piętro, gdzie na drzwiach nadal widniała tabliczka „Łucja Bukowiecka”, choć Lucyna już od ponad dwóch lat była panią Jagielską.

– Nie wiedziałem, że Lucy ma na imię Łucja.

Jerzy przekręcił klucz w zamku i popatrzył na kolegę.

– Mało kto wie, bo ona nigdy nie używała tego imienia. Od małości wszyscy mówili na nią Lucyna i podobno nikt nie wie, skąd się ta Łucja wzięła. – Pchnął drzwi i wszedł do środka. Niespecjalnie miał ochotę na towarzystwo, lecz względy gościnności przeważyły: – Włącz. Chcesz kawy?

Norbert się zawahał. W przeciwieństwie do Jagielskiego chętnie spędziłby czas na pogawędce, bo wizja kolejnego samotnego wieczoru nie jawiła mu się zbyt zachęcająco. Rozumiał jednak kolegę, sam też niekiedy miał dość ludzi.

– Może innym razem. Przecież widzę, że wolisz być sam.

– To przez tę sprawę. Najpierw oględziny. Denatka wyglądająca, jakby sprawca chciał zrobić z niej mizerię, i miejsce zbrodni jak z horroru, a potem godziny spędzone na słuchaniu pierdół, bo im mniej ktoś wie, tym więcej ma do powiedzenia.

Z pierwszej części wypowiedzi Swift zrozumiał niewiele, mógł tylko się domyślać, co miały oznaczać użyte porównania. Druga natomiast była oczywista i zgadzał się z nią w całej rozciągłości.

– Jurek, mnie to mówisz? Daj to piwo i już mnie nie ma, a ty się walnij do wyra i pośpij do południa. Od razu poczujesz się lepiej.

– Jutro to będę dalej szukać tego pierdolonego Milewskiego. Kurwa, facet się tak zakamuflował, jakby był co najmniej agentem CIA. Mam wrażenie, że ścigam cień.

Norbert popatrzył na Jagielskiego ze zdumieniem.

– Jakiego Milewskiego? Rajnera? Po co go szukasz?

W pierwszej chwili zaaferowany, poirytowany i zmęczony Jerzy nie zwrócił uwagi na dwa pierwsze pytania, gdyż całkowicie skupił się na trzecim.

– Żeby go poinformować o śmierci żony. To chyba oczywiste. Poza tym facet jest moim pierwszym podejrzanym... Zaraz! Co ty powiedziałaś? On ma na imię Rajner? Skąd to wiesz? Znasz go?

Swift nie odpowiedział na ani jedno z ciągu pytań. Na oślep namacał za sobą taboret, usiadł ciężko i spojrzał na kolegę, jakby sprawdzając, czy ten nie żartuje.

– Dorota nie żyje? Kurwa mać! Jurek, powiedz, że robisz sobie jaja.

– Nie robię sobie jaj – odparł zimno Jerzy. – Ubiegłej nocy Milewska została zamordowana. A teraz ty mi powiedz, skąd ją znasz i kim, do chuja, jest jej mąż.

Lodowaty ton głosu podporucznika pomógł Norbertowi odzyskać spokój. Mężczyzna uśmiechnął się nawet leciutko, gdy odpowiedział:

– Mogę dostać tę obiecaną kawę, zanim mnie weźmiesz w krzyżowy ogień pytań? – Jagielski bez słowa włączył czajnik, podczas gdy starszy stopniem kolega kontynuował wywód: – Trochę dziwnie się z tym czuję, dotychczas to zawsze ja byłem tym, który zadaje pytania. Być po drugiej stronie to jednak nic przyjemnego. Teraz już rozumiem, czemu rozmówcy nie są do nas zbyt przyjaźnie nastawieni.

Gawędziarski, lekko kpiący ton Swifta, a jeszcze bardziej wygłaszane przez niego oczywistości rozśmieszyły Jerzego. Pomyślał, że niepotrzebnie naskoczył na niego, jakby to Norbert był wszystkiemu winien. Zalał kawę wrzątkiem, lecz zanim wziął szklanki do ręki, trącił przyjaźnie kolegę w bok. Norbert zrozumiał ten niemy przekaz i machnął ręką na znak, że wszystko jest w porządku.

– Daj te kawy i prowadź.

Odebrał Jagielskiemu szklanki i podążył za nim, choć przewodnik był tutaj całkowicie zbędny. Trudno byłoby nie trafić do pokoju, skoro był tylko jeden, pomniejszony o wnękę pełniącą funkcję sypialni odgradzonej przesuwaną ścianką.

Usiedli przy okolicznościowym stoliku i zgodnym ruchem zamieszcili kawę, chcąc zlikwidować utworzony na gorze kożuch. Podobna synchronizacja towarzyszyła im, gdy podnosili szklanki do ust.

Norbert pierwszy przerwał milczenie. Zdecydowanym ruchem odstawił kawę na stół i spytał zwięźle:

– Co chcesz wiedzieć?

Odpowiedź była równie zwięzła:

– Wszystko.

– Kolejność?

– Obojętna. Albo nie. – Jerzy zastanawiał się kilka sekund, nim zdecydował: – Najpierw Milewska.

Zerknął spod oka na kolegę, lecz na szczęście Swift nie wyglądał na zbytnio przejętego jej

śmiercią. Chyba nie byli ze sobą zbyt blisko.

– Nie musisz mi się tak przyglądać – mruknął Norbert, a Jagielski omal nie zakrztusił się kawą. Nie sądził, że jego ukradkowa obserwacja zostanie dostrzeżona. – Nie ze mną te numery, Bruner, na Służbę to ty jesteś za cienki.

– Pierdolony esbek – odciął się Jerzy i obaj się zaśmiali. – No dobra, co z tą Milewską?

– Nie to, co podejrzewasz. O Dorocie to akurat zbyt długo nie pogadamy, bo rozmawiałem z nią góra cztery razy.

– Skąd ją znałeś?

– Przez Rajnera. Przedstawił mi ją, kiedy zaczęli się spotykać.

– Jaka była? Spodobała ci się? Nie w sensie erotycznym, tylko jako człowiek.

Mina Norberta w zasadzie wystarczyła za odpowiedź. Skrzywione w grymasie niesmaku usta nie pozostawiały złudzeń co do opinii o denatce, więc Jerzy przeformułował pytanie:

– Co z nią było nie tak?

– Jeżeli ktoś lubi niezbyt inteligentne, puste i cholernie zarozumiałe laski, to nic. – Swift upił łyk kawy i rozwinął charakterystykę: – Dorota dobrze wiedziała, jakie wrażenie na mężczyznach robi jej uroda, i wykorzystywała to bez skrępow. Na mnie też próbowała swoich sztuczek, ale ja jestem zaimpregnowany, więc nic z tego nie wyszło. Bardzo mnie z tego powodu zniechęciła. Mówiłem Rajnerowi, żeby dał sobie z nią spokój, ale zyskałem tyle, że się na mnie obraził. Potem spotkałem ją jeszcze dwa razy, już po ich ślubie,

i mogłem się przekonać, że obrączka na palcu jej nie zmieniła. W dalszym ciągu w rozmowach królował zaimek „ja” odmieniany przez wszystkie przypadki, a Dorota musiała koniecznie zostać zauważona i adorowana przez wszystkich mężczyzn. A Rajner nie wyglądał już na tak szczęśliwego, jak w dniu ślubu.

Norbert zamilkł i nie wyglądało, by miał zamiar kontynuować. Jerzy odczekał jakiś czas, wreszcie postanowił się upewnić.

– To wszystko?

– Uprzedzałem, że nie wiem o niej zbyt wiele. Nie znośłem baby i żał mi było Rajnera, dlatego nie odwiedzałem ich w domu. Zresztą, jak mówiłem, Milewski się na mnie wkurwił, więc też nie tęsknił do spotkań.

Odmalowany przez Swifta obraz Milewskiej różnił się diametralnie od tego, który przedstawili sąsiedzi. Zastanawiał się, jak to możliwe, że tylko jedna Włodarska miała o zamordowanej kobiecie taką samą opinię jak Norbert. Dlaczego wszyscy inni kłamali? Bo raczej nie wierzył, by Milewska przez cztery miesiące zamieszkiwania w tym bloku tylko jednej Włodarskiej pokazała swoje prawdziwe oblicze.

– Ten Milewski... – zwrócił się znów do Swifta. – Naprawdę ma na imię Rajner?

Kolega pokiwał głową z uśmiechem.

– Podobno dyrektorka w bidulu miała szajbę na punkcie wierszy Rilkego. Rainer Maria Rilke, austriacki poeta. Nie miałeś w szkole polskiego?

Jagielski idealnie odwzorował minę kompletnego przygłupa.

– Miałem, ale sam powiedziałeś, że to był Austriak. Wychował się w domu dziecka?

Norbert z lekkim uśmiechem wyjaśnił:

– Podrzucono go w nocy pod drzwi pewnej bezdziejnej bogatej kobiety. Ten, kto to zrobił, liczył pewnie, że będzie chciała zatrzymać noworodka, ale to przecież tak nie działa. Babeczce żal było dzieciaka, lecz nie zamierzała starać się o zezwolenie na adopcję. Za to obiecała łożyć co miesiąc pewną kwotę na jego potrzeby, pod warunkiem że będzie nosić jej nazwisko. Tym sposobem narodził się Rajner Milewski.

Po wyjaśnieniu najmniej istotnej kwestii Jagielski przeszedł do dużo ważniejszych pytań.

– Skąd ty w ogóle go znasz? Kim, do kurwy nędzy, jest ten facet?

– Znamy się od dawna, w ogólniaku przez cztery lata siedzieliśmy razem w ławce. A jest tym samym, co ty i ja. Milicjantem. Naprawdę nigdy go nie spotkałeś? Służy w Plutonie Specjalnym ZOMO.

Jerzy zwalczył początkowe zaskoczenie. Już miał zamiar skomentować wypowiedź Swifta, gdy przypomniał sobie swoje niedawne rozważania na temat powodów nocnych wypraw Milewskiego i roześmiał się głośno.

– Sąsiedzi zastanawiali się, gdzie on może pracować, bo wychodził z domu o różnych porach, często nad ranem albo w środku nocy. Ja też nad tym myślałem i wyszło mi, że to albo gliniarz, albo złodziej.

– To faktycznie trafiłeś. Ale jakim cudem się z nim nie zetknąłeś?

– Może się zetknąłem, może nie. Sam nie wiem, musiałbym zobaczyć go na żywo.

Jagielski opowiedział o swoim wrażeniu na widok ślubnej fotografii, gdy twarz nowożeńca wydała mu się znajoma. Nazwisko natomiast nic mu nie powiedziało, zajął się więc pracą, zamiast tracić czas na rozmyślanie. Wówczas uprzytomnił sobie, jak wielu funkcjonariuszy zna tylko z imienia, a jeszcze więcej tylko z twarzy. Tych z ZOMO prawie w ogóle nie kojarzył, od czasu wydarzeń sierpniowych w 1980 roku współpracowali głównie z SB, dostarczając tam zatrzymanych.

– Dopiero teraz do mnie dotarło – odezwał się nagle Norbert. – Rajner jeszcze nie wie o śmierci Doroty?

– A jak go miałem zawiadomić? – zdenerwował się Jerzy. – Facet nie wrócił do domu, nikt z sąsiadów nie wie, gdzie on pracuje, więc numeru do pracy siłą rzeczy nikt nie ma. W ogóle ten twój Rajner to jakiś dziwny gość. Wiesz, że on w domu nie ma nic osobistego? W sensie dokumentów. Znalazłem teczkę, ale tam wszystkie papiery dotyczą jego żony, a po mężu ani śladu. Zero świadectw szkolnych, dyplomów czy starych rachunków, nawet aktu ślubu nie ma. Dlatego nazwałem go cieniem.

Swift wyglądał na zaskoczonego, chyba nawet on nie znał szkolnego kolegi od tej strony. Odezwał się dopiero po dość długim milczeniu.

– Rajner zawsze aż do przesady dbał o zachowanie prywatności, ale nie myślałem, że do tego stopnia. Hmm, jak by go tu znaleźć...?

– Kumplowaliście się przecież. Nie masz do niego numeru do pracy? – zdziwił się Jagielski.

Kolega spojrzał na niego z niedowierzaniem.

– Przecież Milewski służy w Plutonie Specjalnym. Naprawdę myślisz, że oni siedzą przy biurkach?

– No nie. – Jagielski się zmieszał. – O tym nie pomyślałem. Ale musi być do niego jakiś kontakt. Wolałbym, żeby wiedział, jak się sprawy mają, zanim po powrocie do domu natknie się na taśmę na drzwiach. Poza tym muszę go pilnie przesłuchać.

– A właśnie – przypomniał sobie Swift. – Powiedziałeś, że Rajner jest twoim pierwszym podejrzanym. Ty tak na poważnie?

Jerzy opowiedział mu o dotychczasowych ustaleniach śledztwa, zwłaszcza co do wzrostu zabójcy. Wspomniał też o zeznaniach sąsiadów kierujących podejrzenia w stronę męża denatki oraz przytoczył dość jednoznaczne wypowiedzi Milewskiego podsłuchane przez Bernadettę Włodarską i Grażyną Lipkę.

– Nie mogę zlekceważyć tych informacji tylko dlatego, że gość jest jednym z nas – tłumaczył koledze, który słuchał go z ponurą miną. – Gdyby nie chodziło o twojego kumpla, na pewno przyznałbyś mi rację.

Norbert skinął lekko głową, lecz nadal nie wyglądał na przekonanego. Dość długo milczał, nim przedstawił swoje argumenty.

– Znam Rajnera od piętnastu lat i przez ten czas nigdy nie zauważyłem u niego skłonności do okrucieństwa czy nieuzasadnionej agresji.

– Sprawcy czynów przeciwko życiu i zdrowiu na ogół są zdania, że ich agresja była uzasadniona – zauważył Jagielski.

Zniecierpliwiony Norbert machnął ręką, jakby odganiał natrętnego owada.

– Nie pierdol, Jurek, dobrze wiesz, że nie chodzi mi o sytuację, gdy jeden facet walnie drugiego w mordę. Daj mi powiedzieć. Miałem na myśli, że Rajner nie jest jakimś tam zomowcem, co to w jednej ręce pała, w drugiej gaz i dawaj, lać protestujących. Ten facet jest mistrzem w strzelaniu, zna sztuki walki i techniki samokontroli. Nie wyobrażam sobie sytuacji, w której nie umiałby zachować zimnej krwi. To wyszkolona maszyna...

– Do zabijania – dokończył za niego Jagielski z nieskrywaną satysfakcją.

Swift nie dał się sprowokować, popatrzył tylko przeciągle na kolegę i zakończył zdanie po swojemu:

– Do walki. W dodatku cholernie inteligentna maszyna. Naprawdę myślisz, że taki facet nie umiałby wymyślić innego sposobu na pozbycie się żony? Założę się, że gdyby chciał, Dorota zniknęłaby bezśladowo i nie znalazłbyś jej ciała do końca świata.

Jerzy nie zamierzał zbyt łatwo się poddać i natychmiast wysunął nowy argument.

– Wkurwiła go o jeden raz za dużo i gościa poniosło.

W jego głosie zabrakło jednak przekonania, co Norbert natychmiast wychwycił i nie omieszkał

wytknąć.

– Sam w to nie wierzysz. Okej, teoretycznie każdemu mogą kiedyś puścić nerwy. Dźgnął ją nożem? Też teoretycznie możliwe. Ale dwadzieścia jeden razy?! Niby co, w oczko chciał zagrać?

Jagielski uparcie trwał przy swoim, co prawda teraz już jedynie pro forma, by nie dać koledze satysfakcji.

– Może wkurwiła go tak bardzo, że nie mógł przestać?

– Facet wyszkolony w zakresie zachowania samokontroli? – spytał Norbert z ironią. – Dobra, niech ci będzie. W takim razie powiedz mi, dlaczego zostawił ciało, a sam zniknął? Powinien był zrobić odwrotnie, bądź co bądź to gliniarz, musi wiedzieć, że pierwszym podejrzanym zawsze jest mąż. Zwłaszcza kiedy często kłóci się z żoną.

– Zniknął, bo go wezwali do roboty. Sąsiedzi widzieli, jak wychodził z domu. Dlatego nie sprzątnął ciała.

Jerzy znów poczuł się pewniej, gdyż wyjaśnienie wydawało mu się logiczne i spójne. Dlaczego więc Swift patrzył na niego z takim rozczerowaniem? Poczuł się nieswojo. Już chciał zapytać, co takiego powiedział, gdy kolega sam to wyjaśnił.

– Nie myślałem, że jesteś z tych, co z góry upatrzą sobie podejrzanego i dopasowują wyniki śledztwa do osoby.

– Pojebało cię?!

– A co mam myśleć? Sam mówiłeś, że lekarz ustalił czas zgonu na okres pomiędzy dwudziestą trzecią a pierwszą, a podobno Rajner wychodził

z domu wieczorem. To raz. A dwa to otwarte drzwi wejściowe. Zostawił je uchylone, żeby każdy mógł wejść i zobaczyć jego dzieło?

Jagielski już chciał skontrolować, że Milewski mógł na chwilę wrócić, zabić żonę i znów pojechać do pracy, a drzwi nie zamknął z powodu pośpiechu lub podenerwowania. Na szczęście zdążył ugryźć się w język, zanim zrobił z siebie kompletnego idiotę. Akcja Plutonu Specjalnego to nie patrolowanie ulicy czy zabezpieczanie imprezy, gdzie można w miarę niezauważenie się wymknąć, a wyćwiczony w samokontroli człowiek nie popełniłby takich elementarnych błędów jak niedomknięcie drzwi czy pozostawienie śladu buta.

– Mózg mi się chyba zlasował od tego wszystkiego, dlatego zapomniałem o tych pieprzonych drzwiach i czasie zgonu – usprawiedliwił się i dorzucił: – To były rozważania czysto teoretyczne, bo dopóki nie porozmawiam z Milewskim, nie będę wiedział nic pewnego. Dzwonię do Wapienicy, tam muszą wiedzieć, gdzie on jest.

– Jeżeli na realizacji, to na pewno nie przekażą mu informacji o śmierci żony – zauważył Norbert.

– Ale koordynator może mu przekazać, żeby po akcji natychmiast skontaktował się ze mną. Sam mu to powiem.

Bez dalszej zwłoki Jagielski zadzwonił najpierw do dyżurnego, by uzyskać numer do jednostki w Wapienicy, gdzie stacjonowały oddziały ZOMO, potem próbował się połączyć z funkcjonariuszem odpowiedzialnym za działania Plutonu Specjalnego. Przełączano go kilkakrotnie i już stracił nadzieję na

telefoniczne załatwienie sprawy, gdy wreszcie słuchawkę podniósł właściwy człowiek.

Jerzy przedstawił się ze stopnia, nazwiska oraz pełnionej funkcji, po czym krótko zreferował swój problem. Potem zamilkł i tylko co jakiś czas potakiwał na znak, że słucha. Po zakończeniu rozmowy wolno odłożył słuchawkę na widełki.

– Rajner Milewski leży w szpitalu w Katowicach. Wczoraj w nocy został ciężko ranny. Żony nie powiadomiono na jego wyraźne życzenie.

Rozdział 5

Tajemniczy mąż

Maj 1985, Bielsko-Biała

Podporucznik Jagielski z ciekawością przyglądał się człowiekowi, o którym tyle słyszał. Dotychczas nie miał okazji z nim rozmawiać, bo gdy przyjechał do szpitala i chciał wejść do separatki, pielęgniarka narobiła takiego krzyku, jakby co najmniej próbował Milewskiego uprowadzić.

Co gorsza, jej wrzaski sprowadziły ordynatora i przez następne kilka minut Jagielski musiał wysłuchiwać tyrady o bezduszności milicjantów w ogóle i swojej w szczególności. Lekarz, niewątpliwie specjalista wysokiej klasy, o czym świadczył profesorski tytuł, pałał wyjątkową niechęcią do stróżów prawa.

Było to zaskakujące, zważywszy, że pracował w poliklinice MSW, a pacjent, którego tak zawzięcie chronił, również był funkcjonariuszem milicji. „Niezbadane są wyroki Pana”, stwierdził

sentencjonalnie podporucznik, czym naraził się na kolejne pretensje, tym razem o kpiny z religii. Wobec takiego nastawienia nie próbował więcej dostać się do Milewskiego, pozostawiając jego dowódcy przekazanie informacji o tragicznej śmierci żony.

Mógłby oczywiście postawić sprawę na ostrzu noża i zażądać, by wpuszczono go do chorego, uznał jednak, że nie warto robić sobie z ordynatora wroga. Owszem, chciał osobiście porozmawiać z rannym, ale mógł z tym poczekać, gdyż Milewski definitywnie wypadł z listy podejrzanych.

O osiemnastej piętnaście Rajner zgłosił się w swojej jednostce i pół godziny później wraz z kolegami wsiadł do UAZ-a i pojechał do Katowic, gdyż tamtejsza komenda poprosiła o wsparcie w osobach najlepszych ludzi. Dowódca Plutonu Specjalnego w Bielsku-Białej wytypował do tego zadania Milewskiego i jeszcze trzech innych funkcjonariuszy jako niekwestionowanych mistrzów w gromieniu przestępców.

Minęli właśnie Tychy, gdy pędząca z naprzeciwka nysa niespodziewanie zjechała na ich pas ruchu. Jak się później okazało, jej kierowca był kompletnie pijany. Tym razem powiedzenie, że nad pijanym Pan Bóg czuwa, okazało się kłamliwe, gdyż zginął na miejscu, kiedy po zjechaniu z drogi uderzył w jedyne rosnące w tym miejscu drzewo. Milicjanci mieli więcej szczęścia. Co prawda zepchnięty z drogi UAZ dachował kilka razy, nim wreszcie zatrzymał się na środku pola obsianego jakimś zbożem, a kierowca i pasażerowie odnieśli poważne obrażenia, ale wszyscy uszli z życiem z wypadku.

Jak poinformowano Jagielskiego, starszy chorąży Milewski o dwudziestej trzeciej dwadzieścia trafił na stół operacyjny z pękniętymi trzema żebrami, przebitym płucem i złamaną ręką.

– Siadaj – powitał go Jagielski. – Jak się czujesz?

– Bywało lepiej – odparł oględnie Milewski.

Gdy siadał, po twarzy przemknął mu krótki, ledwo zauważalny grymas bólu i natychmiast zniknął, zastąpiony nieobejmującym oczu półuśmiechem, mającym prawdopodobnie oznaczać przyjazne nastawienie. On też zresztą po kilku sekundach został wyparty przez minę tak doskonale obojętną, że podporucznik poczuł się nieswojo. Rajner Milewski skojarzył mu się z szykującą się do ataku kobrą.

– Rozmawiałem o tobie z Norbertem Swiftem – zagadnął przyjaźnie, chcąc go nieco obłaskawić.

– Wyobrażam sobie, jaką opinię mi wystawił. Niezbyt się ostatnio kochamy.

– Wiesz co, Rajner? Nigdy nie miałem cierpliwości do idiotów, a ty się zachowujesz jak szajbnięty. Z takim nastawieniem do ludzi musisz mieć przyjaciół od zajebania.

Tym razem Milewski uniósł lekko prawą brew.

– Wydawało mi się, że mam przyjaciela. I wydawało mi się, że mam żonę, dla której coś znaczę. Pomyliłem się w obu przypadkach.

– Ty jednak jesteś zwyczajnie głupi – ocenił Jagielski z cichym westchnieniem. – Kurwa mać, naprawdę nie wiem, gdzie Norbert widział tę twoją rzekomo niebywałą inteligencję. Nie wiedziałem, że tej nocy, kiedy zginęła twoja żona, ty zostałeś ranny – wyznał, decydując się na szczerość. – Nie wiedziałem nawet, że też służysz w milicji, bo w domu nie masz żadnych papierów. Wytypowałem cię na sprawcę.

Udało mu się wreszcie zachwiać samokontrolą starszego chorążego. Niewiele, bo niewiele, nadwątlenia wystarczyło zaledwie na lekkie skrzywienie warg, ale Jerzy i tak uznał to za sukces.

– Słyszałem o tym, co ten pojęb zrobił z Dorotą i jakie ślady zostawił. Musiałbym być debilem, żeby nie zetrzeć odcisku buta i nie zamknąć drzwi. I przede wszystkim, gdybym chciał się pozbyć żony, nie zabijałbym jej w domu.

Jak na niego była to istna erupcja słów i jednocześnie znak dla Jagielskiego, że opanowanie Rajnera też ma swoje granice. Jerzy postanowił zirytować go jeszcze bardziej; nie uśmiechała mu się rozmowa z człowiekiem odpowiadającym monosylabami.

– Właśnie przed chwilą ustaliłem, że jesteś idiotą, a debil to chyba to samo.

Milewski spojrzał na niego z byka i zacisnął zęby, potem je rozluźnił i niespodziewanie ryknął śmiechem.

– Punkt dla ciebie – przyznał, a po chwili dodał: – Podobno byłeś w szpitalu. Mam nadzieję, że po rozmowach z lekarzami i moim szefem nie uważasz

mnie już za żonobójcę... – Urwał, zastanowił się i nieoczekiwanie skonkludował: – Kurwa, zabrzmiało to jak kwestia z jakiegoś filmu historycznego.

Jerzy aż na moment osłupiał, tak ogromna zmiana zaszła w zachowaniu Rajnera. Gdyby na własne oczy nie widział twarzy pozbawionej nawet minimalnej ekspresji i nie słyszał słów wypowiedzianych bez żadnej niemal intonacji, nie uwierzyłby, że siedzi przed nim ten sam człowiek. Oczy nie spoglądały już zimno, rysy się wygładziły, tracąc ów szczególny, nieprzyjemny wygląd, określony przez technika bandycką mordą.

– Wykluczyłem cię już wcześniej, dokładnie rzecz biorąc, po rozmowie z Norbertem. – Udał, że nie zauważył wrażeń, jakie jego słowa wywarły na Milewskim, i kontynuował jak gdyby nigdy nic: – Dobrze, że nie zostałem adwokatem, bo prokurator nie miałby z nim najmniejszych szans. Skurczysyn bez żadnego wysiłku wykazał, że jestem idiotą, jeśli podejrzewam cię o zabicie żony.

– To jest nas już dwóch – odgryzł się Milewski. – W kupie zawsze raźniej. A gdyby tak połączyć nasze upośledzone rozumy, jest szansa, że powstanie jeden dobry. – Zamilkł na kilka sekund. – Co chcesz wiedzieć? – spytał nagle.

Zaskoczył Jagielskiego, który był pewien, że będzie musiał siłą wywlekać odpowiedzi z tego dziwnego mężczyzny.

– Nie będę się wygłupiać pytaniem, czy masz wrogów. Ale może jest wśród nich ktoś, kto nienawidzi cię do tego stopnia, że mógłby zrobić coś takiego?

Starszy chorąży wstał, podszedł do okna i z uwagą przyglądał się widocznej stamtąd okolicy. Ponieważ widok ograniczał się do milicyjnego parkingu i stojących na nim radiowozów, Jerzy nie podejrzewał, by to on skupił na sobie uwagę mężczyzny. Rajner potrzebował czasu do namysłu, a może nie chciał zdradzić się ze swoimi uczuciami? Był żonaty zaledwie od roku. Jakkolwiek się układało między nim a żoną, niemożliwe, by jej śmierć w ogóle go nie obeszła.

Minęło pięć minut. Podporucznik zdążył zagotować wodę na kawę i nalać wrzątku do szklanek, i właśnie miał przeszkodzić Milewskiemu w kontemplacji zaokiennego krajobrazu, gdy ten oderwał łokcie od parapetu. Wyprostował wysoką sylwetkę, wciągnął powietrze nosem i odwrócił się do Jagielskiego z pytaniem:

– Mogę też dostać...?

Nie dokończył, ponieważ Jerzy wskazał mu stojące na biurku dwie szklanki.

– Podobno kawa rozjaśnia umysł.

– Nie musi – burknął Rajner. – Do tego nie trzeba wielkiego rozumu, wystarczy dobra pamięć.

Zdmuchnął kożuch i wypił chciwie kilka łyków, jakby to była oranżada, a nie płyn tylko kilkoma stopniami różniący się od wrzątku.

– Masz podniebienie z azbestu czy jak? – nie wytrzymał Jerzy, patrzący na to z nieskrywaną zgrozą.

– Gdybym miał czekać, aż ostygnie, mógłbym nigdy się nie napić, bo dziwnym trafem zawsze

wtedy, gdy chcę wypić kawę, przychodzi polecenie wyjazdu.

Coś w tym było. Jagielski miał podobnie ze śniadaniem. Gdy tylko przyniósł sobie coś smakowitego, wystarczyło, by pomyślał o jedzeniu, a od razu telefon na jego biurku przeraźliwym jazgotem oznajmiał, że powinien obejść się smakiem, bo albo było to wezwanie do naczelnika lub prokuratora, albo polecenie wyjazdu na oględziny.

– Co ci podpowiedziała ta twoja dobra pamięć? – zawrócił rozmowę na właściwy kurs.

– Dziwiłeś się, że nie mam w domu żadnych osobistych dokumentów, a sąsiedzi nic o mnie nie wiedzą – odpowiedział pozornie bez związku Rajner.

– Sąsiadów rzeczywiście trzymam z daleka od moich spraw, ale papiery w domu były. – Posłał Jerzemu nieco złośliwy uśmiech. – W sejfie, którego nie znaleźliście. – Niespodziewanie się zasępił. – Jasny szlag by to trafił. Znowu będę musiał szukać dla niego miejsca.

– Po co? My naprawdę nie znaleźliśmy żadnego sejfu.

– Nie o to chodzi – zniecierpliwił się Milewski. – Chyba nie myślisz, że tam zostanę? Cały czas ją widzę, jak leży w czerwonej od krwi pościeli, a on wbija w nią nóż i ciągnie ku sobie, by jeszcze bardziej ją poranić. A Dota patrzy na mnie...

– Przestań! – wrzasnął podporucznik. Krzyk poskutkował; Rajner zamilkł w pół słowa i zapatrzył się tępo w blat biurka. – Czytałeś protokół sekcji – stwierdził oskarżycielsko Jerzy. –

Po chuj ci była ta wiedza? Żeby ci było jeszcze ciężiej?

– Jurek, tak szczerze... Gdyby to twoją żonę zabito, nie chciałbyś znać ustaleń? Wiedzieć, jak zginęła?

– Chyba tak – mruknął Jagielski, nie umiejąc zdobyć się na kłamstwo.

Rajner nawet nie uniósł głowy, mamrocząc coś do siebie, i można by pomyśleć, że nie słyszał odpowiedzi.

Jagielski postanowił dać mu czas na odzyskanie równowagi. Pomyślał przy tym, że jednak prawdą jest, co kiedyś wyczytał w jakiejś fachowej książce z zakresu psychologii. Stało tam, że ludzie nieuzewnętrzniający swoich uczuć, wbrew powszechnej opinii, przeżywają wszystko dużo silniej, bo nie mogą odreagować płaczem, krzykiem czy zwykłym wygadaniem się przed kimś bliskim. Taki zawór bezpieczeństwa – czy innymi słowy wentyl do spuszczenia pary – jest dla nich niedostępny, przez co zostają sam na sam z kotłującymi się w nich myślami.

Wyczytał tam również, że czasem nagromadzonych emocji jest tak wiele, iż nawet najbardziej kontrolujący się ludzie nie mogą ich opanować. Wtedy następuje eksplozja, przyjmująca różne formy, od napadu furii aż po stupor.

Do dziś niespecjalnie wierzył w te psychologiczne mądrości, jednak widok Milewskiego znajdującego się o krok od ostatniego stanu kazał mu zweryfikować poglądy. Poczuł żal do autora tamtego dzieła, że ten ograniczył się do opisu objawów,

ale nie zadał sobie trudu, by podać sposób przywrócenia ofiary takiego stanu do przytomności.

– Chowam dokumenty właśnie dlatego, żeby pozostać nierozpoznawalny – usłyszał naraz głos Rajnera i z wrażenia oblał się kawą.

– Kurwa mać! Milewski, jaja se robisz? Myślałem, że...

Urwał, nie bardzo wiedząc, w jakie słowa ubrać swoje podejrzenia. Okazało się jednak, że obiekt jego troski nie ma najmniejszych problemów z ich zwerbalizowaniem.

– Że straciłem kontakt z centrum dowodzenia? – W dalszym ciągu zaszokowany Jerzy milczał, Rajner najwyraźniej uznał więc za stosowne wyjaśnić sprawę w sposób bardziej zrozumiały: – Że mi się popierdoliło w głowie z rozpacz? To jeszcze nie teraz. Najpierw chcę widzieć, jak będziesz prowadzić tego skurwysyna w kajdankach. – Zerknął na podporucznika i niespodziewanie się uśmiechnął. – A potem się zobaczy.

Ten uśmiech oraz ostatnie słowa przekonały Jerzego, że siedzący naprzeciwko mężczyzna daleki jest od popadnięcia w stupor lub niekontrolowaną furję. Eksplozja emocji raczej mu nie groziła.

Jagielski uświadomił sobie naraz, że przesłuchanie świadka dziwnie mu się rozlazło i mimo upływu czasu nadal niczego się nie dowiedział.

– Co dalej z tymi dokumentami? – spytał szybko w obawie przed ponownym zdryfowaniem z kursu.

– Z dokumentami nic. Wspomniałem o nich, żeby ci uświadomić, że z cywili nikt nie wie, gdzie

pracuję.

– A żona? Wiedziała? – Jerzy zauważył minę Rajnera i dodał: – Nie twierdzę, że sprzedała cię celowo. Ale mogła niechcący coś chlapnąć.

– Wiedziała, że jestem milicjantem, ale nie miała pojęcia, że służę w Plutonie Specjalnym. To również ze względu na nią ukryłem sejf. Przecież żyć by mi nie dała, dopóki bym jej nie pokazał, co tam przechowuję, a ja jej powiedziałem, że pracuję w finansach.

Niespodziewający się takiego wyjaśnienia Jagielski znowu oplotł się kawą. Odwinął kolejny kawałek papieru toaletowego i wytarł koszulę, składając przy tym podziękę dobrym mocom, które kazały mu dzisiaj ubrać się w czern.

– Naprawdę tak jej powiedziałeś? – upewnił się, nie ufając własnym uszom. – I ona uwierzyła?! Przecież wychodziłeś z domu o różnych porach, nieraz późnym wieczorem lub nocą. Do domu też nie wracałeś o stałej godzinie, a często pewnie w ogóle. Jak mogła się nie domyślić, że wydział finansów to pic?

– Moja żona była specyficzna. Jak by ci to powiedzieć? Dota nie była zbyt mądra. Nie to, że miała niedostatek intelektu, chodzi mi o mądrość życiową. Tej nie miała, bo prawda wygląda tak, że nie interesowało jej nic oprócz niej samej. Przyjęła na wiarę moje słowa, bo w gruncie rzeczy latało jej to koło pióra, byleby miała szmal na swoje zachcianki.

– Ktoś jednak mógł się dowiedzieć – rozmyślał głośno Jerzy. – Zobaczył cię na ulicy, rozpoznał i śledził. Przyszedł w nocy, pewny, że śpisz we

własnym łóżku, a kiedy odkrył, że cię nie ma, zemścił się na twojej żonie.

W swoim scenariuszu celowo pominął fakt, że po poznaniu adresu Milewskiego zabójca musiał w jakiś sposób zadzierzgnąć z jego żoną bliższe relacje, inaczej nie wpuściłaby go do domu o tak późnej porze. Dla przedstawienia przebiegu akcji nie miało to znaczenia, a mogło tylko przysporzyć Milewskiemu bólu.

Niepotrzebnie się wysilał, próbując go chronić. Rajner popatrzył na niego i ze smutkiem pokręcił głową.

– Dzięki, Jurek, ale nie musisz kombinować. Zapomniałeś, że czytałem protokół sekcji. Ona sama go wpuściła. Pewnie myślała, że to kochanek, i nie zerknęła przez wizjer, albo rzeczywiście zabił ją kochanek. Nie patrz tak. O stosunku płciowym, który się odbył za jej przyzwoleniem na mniej więcej dziesięć godzin przed śmiercią, też czytałem. Byłem wtedy w pracy, więc wniosek jest oczywisty.

– Wiesz, kto to może być?

– Nie mam pojęcia. Pytałeś, kto mógłby mnie nienawidzić bardziej niż inni. Jest tylko jeden taki gość. Nazywa się Gerard Pieczyk, ksywa Jerry. Pół roku temu publicznie przysiągł mi zemstę, bo w trakcie działań zastrzeliłem mu brata. Ale nawet gdyby chciał ją zrealizować, nie wydaje mi się, żeby się zdobył na zrobienie czegoś takiego. Co innego dźgnąć kogoś nożem, a co innego kroić na zimno.

Jagielski wypytał jeszcze Rajnera o krewnych i znajomych denatki, lecz tutaj także nie znalazł punktu zaczepienia. Milewska kłamała, gdy mówiła sąsiadom, że tęskni za rodziną. Dlaczego to robiła?

Prawdopodobnie nigdy już się nie dowiedzą. Faktem było jednak, że podobnie jak mąż, ona również wychowała się w domu dziecka, a jej jedyną żyjącą krewną była matka ojca. Rajner twierdził jednak, że Dorota nie utrzymywała z babką żadnego kontaktu, nie mogąc jej darować, że po tragicznej śmierci syna i synowej nie zajęła się osieroconą wnuczką.

Według słów Milewskiego jego żona nie miała żadnej przyjaciółki ani nawet koleżanki. Podobno nie tolerowała obok siebie innych kobiet, widząc w każdej z nich potencjalną rywalkę. Gwiazda mogła być tylko jedna.

Rajner nie miał natomiast żadnej wiedzy o mężczyznach w życiu żony, co wcale nie zdziwiło. Nawet jeśli skupiona wyłącznie na sobie Dorota lekceważyła męża, musiała mieć chociaż odrobinę rozsądku, a ten z pewnością nakazywał, by nie doprowadzała Rajnera do ostateczności. Wszak to on, a raczej jego milicyjna pensja gwarantowała jej życie na poziomie, do którego zapewne zdążyła przywyknąć. Rezygnacja z dobrobytu dla niepewnego życia z kochankiem w przypadku kobiet tego pokroju raczej nie wchodzi w grę.

Maj zbliżał się ku końcowi, a Jagielski nie posunął się w śledztwie nawet o krok, mimo że przesiadywał w komendzie do późnych godzin wieczornych. Naraził się tym żonie, która początkowo znosiła jego ciągłą nieobecność ze stoickim spokojem. Nadszedł jednak dzień, gdy stwierdziła, że ma tego serdecznie dość.

– Wiedziałam, na co się piszę, kiedy się zdecydowałam wyjść za mąż za gliniarza – powitała go gniewnymi słowami, gdy ostatniego maja stanął

w progu ich małego mieszkania. Demonstracyjnie spojrzała na zegar. – Ale nie sądziłam, że nagle zaczniesz dzień w dzień wracać do domu po dziesiątej wieczorem. Niedługo zapomnę, jak brzmi twój głos.

– Teraz to przesadziłaś – stwierdził i ruszył w stronę łazienki, lecz Lucyna zastawiła mu drogę.

– Nic z tego, kochanie. Zawiaż sobie na węzeł albo lej pod siebie, bo najpierw porozmawiamy. Nie przesadziłam ani trochę. Kiedy rano wychodzę, ty jeszcze śpisz, a kiedy wracasz, ja już śpię. To kiedy mamy rozmawiać?

Jagielski westchnął i zrezygnował z odwiedzenia łazienki.

– Dobrze wiesz, że nie przesiaduję w robocie dla przyjemności. Mam paskudne śledztwo, którego nijak nie mogę ugryźć.

Jego słowa musiały trafić żonie do przekonania, bo nagle przestała się upierać przy natychmiastowej rozmowie. Odsunęła się od drzwi łazienki i zrobiła zapraszający gest, a gdy po piętnastu minutach wyszedł odświeżony szybką kąpielą, na stole czekały już ciepły posiłek i świeżo zaparzona herbata.

Mężczyzna rzucił się na łazanki niczym wilk na upolowaną zwierzynę. Po zaspokojeniu pierwszego głodu uniósł głowę i zauważył, że Lucyna nie spuszcza z niego wzroku. Poczuł się dziwnie nieswojo i szybko zrobił w myślach rachunek sumienia, lecz oprócz późnych powrotów nie mógł się dopatrzeć w swoim zachowaniu niczego naganego. Szybko dokończył posiłek i sięgnął po szklankę, lecz żona zabrała mu ją spod ręki.

– Chodźmy do pokoju. Muszę ci coś powiedzieć, ale najpierw ty mi powiedz, czemu to śledztwo jest paskudne.

– Bo ofiarą zabójstwa jest żona naszego kolegi.

Jagielski przekazał jej mocno okrojoną wersję wydarzeń, unikając przy tym wymieniania nazwisk. Ufał Lucynie, lecz zakaz rozpowszechniania informacji miał pierwszeństwo nad zaufaniem.

– Ta kobieta... – Lucyna się zawahała. – Nie znam zbyt wielu żon milicjantów, bo spotkania w Kole Rodzin Milicyjnych to jednak nie moja bajka. Dlatego mogę się mylić, ale do opisu jak ułał pasuje Dorota Milewska. – Jerzy musiał mieć wyjątkowo głupią minę, gdyż popatrzyła ze zdumieniem. – Nie mów, że trafiłam?

Pokiwał melancholijnie głową.

– Czarownica! Skąd wiedziałaś, że to ona? I skąd w ogóle ją znasz? Milewska chyba nie udzielała się w Kole?

– Ona nie. Ale żona Emila Adamaszka owszem, zresztą Aśka zna chyba wszystkie żony gliniarzy. Pokazała mi ją kiedyś, gdy byłam z nią i Ingą na kawie w „Mikronie”, stąd wiem, że przykłądną żoną to ta Dorotka nie była. Siedziała tam z facetem i czulili się do siebie, ale to nie był jej mąż.

Jerzy poczuł dreszcz emocji. Nigdy by się nie spodziewał, że rozmowa z żoną może doprowadzić do zwrotu w śledztwie.

– Jak wyglądał ten mężczyzna?

Niecierpliwie czekał na odpowiedź i omal nie jęknął z zawodu, gdy usłyszał, że Lucyna nie umie go opisać.

– Siedziałam do nich tyłem – tłumaczyła się podenerwowana, choć nie robił jej wyrzutów. Nie mogła przecież wiedzieć, że po kilku tygodniach okaże się to istotne. – Odwróciłam się, żeby obejrzeć sobie tę kretynekę, a na faceta w ogóle nie zwróciłam uwagi. Kurde, Jurek, to jest takie ważne?

– Nawet bardzo.

– W takim razie musisz porozmawiać z Ingą, bo ona chyba go zna. Pamiętam, że powiedziała coś takiego.

Jerzy parsknął śmiechem. Mógł właściwie się tego domyślić, bo jakimś dziwnym trafem przyjaciółka żony wywierała przedziwny wpływ na jego życie. Nie kto inny jak właśnie Piątkowska stała za akcją drukowania ulotek, dzięki którym poznał się z Lucyną. To z powodu Piątkowskich do Bielska-Białej przyjechał Kanadyjczyk Brink Speedman, lecz zamiast rodziny napotkał śmierć. I wreszcie znów Inga pomogła Jagielskiemu go zidentyfikować, i młody mężczyzna po blisko trzech latach figurowania w aktach jako NN ofiara odzyskał wreszcie tożsamość.

– Porozmawiam z nią jutro. – Ziewnął szeroko. – Idę spać.

Już prawie zasypiał, gdy poczuł, że Lucyna mości się obok niego. Zbyt zmęczony, by się zainteresować, dlaczego lubiąca siedzieć do późna żona położyła się o wczesnej jak na nią porze, przytulił ją tylko i zapadł w głęboki sen.

Rozdział 6

Komandos i Szerszeń

Czerwiec 1985, Bielsko-Biała

Rozmowa z Ingą Piątkowską w pierwszej chwili rozczarowała Jagielskiego, okazało się bowiem, że dziewczyna wcale nie zna mężczyzny, który pewnego majowego popołudnia towarzyszył w „Mikronie” Dorocie Milewskiej.

– Lucyna musiała mnie źle zrozumieć – mówiła zmartwiona Inga. – Albo ja niezbyt zręcznie się wyraziłam. Chodziło mi o to, że kilkakrotnie go widziałam, dlatego jego gęba rzuciła mi się w oczy. To tyle.

Minęło dobrych kilka minut. Inga zdążyła zjeść wuzetkę, a Jerzy wypalić papierosa, gdy nagle dotarł do niego podtekst wypowiedzi.

– Powtórz to jeszcze raz – poprosił. – To o gębie tego człowieka. – Wysłuchał uważnie jej słów, po

czym stwierdził: – Wynika z tego, że dobrze faceta zapamiętałaś. Mogłabyś go opisać?

Jeśli dziewczynę zdziwiła prośba, nie dała mu tego odczuć. Przymknęła na moment powieki, potem je uniosła i spojrzała na milicjanta.

– Oceniałabym go na jakieś trzydzieści lat. Był wysoki... – Urwała i pokręciła głową. – Tego lepiej nie zapisuj, bo właściwie wcale nie mam pewności, czy rzeczywiście był wysoki. Przecież za każdym razem, kiedy go widziałam, siedział przy stoliku. Założyłam tak, bo górował nad innymi, ale równie dobrze może być nieproporcjonalnie zbudowany. Wiesz, o co mi chodzi. Wyrośnięty tułów i nóżki kurdupla.

Pochwalił ją za rzetelność wypowiedzi, zanotował słowa „prawdopodobnie wysoki, zawsze widziany na siedząco”, a w następnej chwili parsknął śmiechem. Notatki jednak nie poprawił, by nie marnować czasu. Ważne, że on wiedział, co się kryje pod topornie sformułowaniem zdaniem.

– Zakładam, że jednak był wysoki. Co jeszcze o ogólnym wyglądzie? Gruby, chudy, umięśniony czy cherlak?

– Ani gruby, ani chudy, taki w sam raz. Coś jak ty, ale szerszy w barach i chyba bardziej umięśniony. Kojarzył mi się z komandosem.

Jagielskiemu skojarzenie Ingi wyjątkowo się nie spodobało, gdyż wywołało jego własne skojarzenie. Czym prędzej odsunął je na bok, pocieszając się myślą, że w mieście liczącym blisko sto osiemdziesiąt tysięcy mieszkańców z pewnością znajdzie się wielu mężczyzn odpowiadających tej charakterystyce.

Zanotował podany przez Piątkowską opis.

– Kiedy to było?

– W marcu – odpowiedziała bez wahania. – Z Bogdanem widywałam go w marcu i raz na początku kwietnia, jakoś tak przed świętami. A z tą kobietą raz, też przed świętami.

Jagielski natychmiast podchwycił temat.

– Jakim Bogdanem?

– Bogdan Olszar. Jest mężem Kingi, mojej siostry. Pamiętasz włamanie do mojego pokoju w hotelu robotniczym?

Zadała to pytanie całkiem niepotrzebnie. Jerzy doskonale wiedział, o kim mowa, gdyż do dziś był zdania, że to właśnie Olszar włamał się wtedy do pokoju Piątkowskiej, chcąc zdobyć dla siebie starą mapę. Teraz jednak bardziej interesowały go powiązania szwagra Ingi z człowiekiem, który mógł być zabójcą Milewskiej.

– Szkoda, że nie znasz imienia tego faceta.

Piåtkowska odwzajemniła uśmiech.

– Nie przesadzasz trochę z zachciankami? Ale zaraz! Bogdan powinien je znać, przecież chyba wie, z kim pije.

– Skąd przypuszczenie, że ci dwaj się znają?

Pełne politowania spojrzenie Ingi powiedziało mu, że właśnie zrobił z siebie kompletnego idiotę. Potwierdziły to zresztą jej słowa:

– Jak mawiał Kartezjusz: *Cogito ergo sum*. Powinieneś wziąć sobie do serca te słowa i zacząć robić użytek z tych kilku szarych komórek.

Jagielski lubił przekomarzać się z Ingą, która miała język równie cięty jak Lucyna i nie zwykła przepuszczać okazji. Przybrał więc lekko zniesmaczoną minę i odpowiedział równie zniesmaczonym głosem:

– Naprawdę powiedział: „Myślę, że jestem sumem”? Też mi maksyma! Ci filozofowie mieli jednak ładnie nasrane w głowach.

Tak rozbawił tym Piątkowską, że roześmiała się w głos. Dopiero później się odezwała, a wówczas w jej głosie nie wychwycił już wesołości.

– Wtedy w „Mikronie” widziałam tego mężczyznę czwarty albo piąty raz. Najciekawsze jest to, że zawsze siedział w towarzystwie Bogdana. To nie mógł być przypadek, stąd wniosek, że mój szwagier musi go znać.

Jagielski zapisał te informacje i wrócił do wyglądu mężczyzny, prosząc o szczegóły.

– To, co zwykle się wymienia przy podawaniu rysopisu – sprecyzował. – Kolor włosów, oczu, znaki szczególne czy jakieś wyróżniające go cechy.

Inga znów przymknęła powieki; widocznie to pomagało jej się skupić.

– Nie bardzo wiem, jak określić kolor włosów. Coś pomiędzy ciemnym blond a bardzo jasnym brązem. Ale może to wina oświetlenia, za każdym razem widziałam go w kawiarni, a to zupełnie co innego.

– Jakiej długości te włosy?

– Ostrzyżone bardzo krótko. To pewnie jeden z powodów, dla których skojarzył mi się z wojskowym. I przez wyraz twarzy, taki odpychający i obojętny. Oglądałam kiedyś film

wojenny i tam bohater wyglądał podobnie niemiło. Twarz szczupła, pociągła, z mocno zarysowaną szczęką. Co by tu jeszcze...? Aha, brwi. Zaskakująco ciemne przy dużo jaśniejszych włosach i takie bardziej poziome. – Przejechała palcem po swojej brwi, niwelując łuk. – Lewa jest przecięta starą blizną.

Jagielski spojrzał nieufnie, niepewny, czy Inga z niego nie żartuje. Wydało mu się niemożliwe, by mogła zauważyć i zapamiętać aż tyle. Mimo to nie przerwał indagacji.

– Skąd wiesz, że starą?

– Po kolorze. Świeża by się odznaczała, a ta praktycznie się nie odróżniała od reszty skóry. Gdyby nie przedzieliła brwi na pół, pewnie bym jej nie zauważyła.

– Kolor oczu też zauważyłaś?

Nie zdołał się powstrzymać i kpina w jego głosie dała się słyszeć całkiem wyraźnie. Piątkowska jednak jej nie zauważyła.

– Oczy jasnoszare, takie jakby stalowe – odpowiedziała z niezmałconym spokojem. – Zimne i nieprzyjemne. Spojrzał na mnie, kiedy szłam do toalety, i aż mnie ciarki przeszły, bo miałam wrażenie, że patrzy na mnie jadowita żmija. Czułam się tak, jakby zaraz miał skoczyć mi do gardła.

Nie miał pojęcia, czy żmije atakują w ten sposób, lecz ta akurat kwestia nie zaprzątnęła jego uwagi. Ważniejsze było, że nie dalej jak wczoraj on porównał kogoś do kobry. Przypadek? Raczej nie, tym bardziej że reszta cech także pasowała do

mężczyzny, którego on definitywnie wykluczył z grona podejrzanych.

Czy mógł aż tak się pomylić? Niemożliwe! Rajner Milewski miał niezbite alibi; w czasie gdy mordowano jego żonę, na bloku operacyjnym katowickiej polikliniki lekarze z uporem walczyli o jego życie.

– Wiesz coś jeszcze?

Pozostawił na później rozważania o ewentualnym sprawstwie Milewskiego, w które nie mógł i przede wszystkim nie chciał uwierzyć. Polubił tego człowieka, co więcej, był pewien, że mógłby się z nim zaprzyjaźnić. Nie bez znaczenia była też opinia Norberta o Rajnerze, gdyż Swift miał w sobie jakiś czujnik pozwalający już z daleka wychwytywać podłość, zakłamanie i zło. Nieraz wystarczyło, że spojrzał na zdjęcie...

– Chryste, ale ze mnie idiota!

Zignorował Ingę dopytującą się ciekawie, co aż tak go zbulwersowało, i wyjął z szafy akta sprawy zabójstwa Doroty Milewskiej. Przerzucił szybko kilka kart i znalazł to, czego szukał – dossier Rajnera Milewskiego wraz z przypiętym do karty zdjęciem legitymacyjnym. Odpiął je szybko i położył przed dziewczyną.

Inga tylko rzuciła okiem i oddała fotografię.

– To nie on.

Poczuł taką ulgę, jakby to on sam wypadł właśnie z listy podejrzanych, ale jeszcze chciał się upewnić.

– Wygląda dokładnie tak jak facet z twojego opisu – nie ustępował. – Pociągła twarz, mocno zarysowany podbródek, niemal poziome brwi.

- Nie ma blizny – skontrowała Piątkowska.
- Mogła powstać później. Nie wiemy, kiedy zrobiono to zdjęcie.
- A ja ci mówię, że to nie on – zaperzyła się Inga.
- Niby jest pewna zbieżność, jeśli chodzi o zimne spojrzenie i minę, ale tylko powierzchowne podobieństwo. Ten tutaj ma na twarzy tylko obojętność, a tamten miał okrucieństwo. Temu ze zdjęcia bym zaufała i poprosiła go w razie potrzeby o pomoc, a od tamtego wiałybym jak najdalej. Moim zdaniem to zwyczajny psychopata.
- Psychopata raczej zwyczajny nie jest. – Jerzy się uśmiechnął.

Napięcie ustąpiło, pozostała tylko nadzieja, że opisany przez Ingę mężczyzna jest poszukiwanym przez niego zabójcą.

- Nie wiem, czemu go szukasz, i nie chcę wiedzieć, ale uważaj na siebie.

Powiedziała to z taką powagą, jakby posiadała moc widzenia przyszłości, i Jerzy poczuł się cokolwiek nieswojo.

- Inga, co ty? Udajesz Kasandrę? – Próbował obrócić jej słowa w żart, lecz chwyciła go za rękę, zmuszając do milczenia.

– Jurek, nie lekceważ go. Ten facet to naprawdę psychopata. A ty jesteś najlepszym, co mogło spotkać Lucynę, jej światłem i sensem życia. Nie spieprz tego przez nadmierną pewność siebie. Możesz mi obiecać, że będziesz ostrożny?

Jerzy przełknął ślinę, by pozbyć się guli, która zaległa mu się w gardle przy słowach Ingi

o Lucynie. Ciekawe, czy wiedziała, że żona jest dla niego tym samym.

– Nie bój się, ani myślę wdawać się z nim w walkę. Nie jestem taki jak Rajner.

Jego słowa jeszcze nie wybrzmiały do końca, a już żałował, że w ogóle wdał się w tę dyskusję. Tak bardzo chciał uspokoić Ingę, że zapomniał o ostrożności i powiedział zbyt wiele. Przez moment łudził się, że dziewczyna nie zwróci uwagi na nieznane imię, lecz już w następnej chwili wyprowadziła go z błędu.

– Kto to jest Rajner? Bo raczej nie mówisz o Rillem, a o innym nie słyszałam. Rajner to imię czy nazwisko?

– Kolega z pracy. Ma na imię Rajner – odparł krótko.

Do pokoju zajrzał jakiś funkcjonariusz i chcąc nie chcąc, Piątkowska musiała zakończyć fascynującą rozmowę i pozwolić Jagielskiemu zająć się służbowymi sprawami.

Andrzej Szerszak, bardziej znany jako Szerszeń, z pewnością miał wiele za uszami, jednak wbrew swojemu mniemaniu nie był w bielskim półświatku nikim ważnym. Ot, jeden z wielu kombinatorów uważających, że praca jest dla frajerów. Prawdziwi mężczyźni zdobywają pieniądze inaczej, w dodatku nie są to takie nędzne grosze jak pensja urzędnika

czy fizola, jak pogardliwie mawiał o robotnikach fizycznych.

On co prawda do drugiego etapu jeszcze nie doszedł i wielkie pieniądze nadal pozostawały w sferze marzeń, za to fazę pierwszą opanował do perfekcji. Ten dwudziestodwuletni mężczyzna od chwili ukończenia szkoły zawodowej nie skalał się żadną pracą, pozostając na utrzymaniu matki.

Jagielskiemu żal się zrobiło kobiety wykorzystywanej przez bezwzględnego syna nieroba, lecz po rozmowach najpierw z nią, a później z sąsiadami całe współczucie gdzieś się ulotniło. *Do wszystkiego trzeba dwóch* – powtarzał starą maksymę, zmierzając do radiowozu. – *A w tym przypadku dwojga. On ją ciągle robił w wała, a ona się litowała.* Szerszakowa bowiem uważała syna za kogoś pomiędzy świętym a wcieleniem Jezusa, tych natomiast, którzy ośmielili się krytykować Andrzeja, odsądzała od czci i wiary.

– Panie władzo, Andrzejek niewinny jest, to takie dobre dziecko. „Dzień dobry” starszym mówi, drzwi przytrzyma, jak któraś z kobiet zakupy do domu taszczy. Pewnie sąsiedzi nagadali na niego, bo mądry jest i ładny taki, to i w oczy kole. Panie władzo, co to za ludzie dzisiaj! Podłe to i zawistne, a wredne! Ze świętego by z tej zazdrości kryminała zrobili. – Naraz twarz kobiety przybrała chytry wyraz. – A Andrzejka w domu nie ma, z dziewczyną gdzieś na parę dni pojechał.

Kłamstwo było tak grubymi nićmi szyte, że nawet szeregowy z kilkutygodniowym stażem w milicji zorientowałby się, w czym rzecz.

– Pani Szerszakowa, ja nic do Andrzeja nie mam, porozmawiać tylko chciałem. Gdzie go znajdę?

To akurat była prawda. Szerszeń w żaden sposób nie mógł być zamieszany w śmierć Milewskiej, gdyż tamtą feralną noc spędził w izbie wytrzeźwień. Natomiast rozpoznanie operacyjne powiązało go z Gerardem Pieczykiem, który jako jedyny miał jasny motyw, by się zemścić na Milewskim. Niestety Pieczyk nagle zniknął, jakby się pod ziemię zapadł, a o ile informatorzy się nie mylili, Szerszak znał miejsce jego pobytu i mógł milicjantów do niego doprowadzić.

Było to ważne, gdyż jak na razie Jerry nie figurował w milicyjnych kartotekach, a funkcjonariusz od niedawna pełniący funkcję dzielnicowego w ogóle go nie kojarzył. Jego poprzednik przeszedł na emeryturę i przeprowadził się na drugi koniec Polski, więc z oczywistych względów Jagielski nie mógł poprosić go o informacje.

– Porozmawiać? Już wam wierzę, znam to wasze rozmawianie! – Szerszakowa nagle podniosła głos. – Z moim starym też podobno chcieliście tylko porozmawiać, a borok już dziesiąty rok siedzi!

– Niech się pani uspokoi i nie robi cyrku – rzucił zimno Jagielski. – Tak pani wrzeszczy, że zaraz pół kamienicy się tu zleci. Dobrze pani wie, że mąż zgwałcił i zabił osiemnastoletnią dziewczynę...

– To kłamstwo! Mój Marian nigdy by czegoś takiego nie zrobił. Po co by mu to było? Wszystko, czego chłop potrzebuje, miał w domu.

Jerzy obrzucił wzrokiem kobietę przyodzianą w pogniecioną i brudną stylonową podomkę. Na

pokryte żyłakami łydki i obwisłe piersi nie mogła nic poradzić, ale zadbać o ubranie mogła, podobnie jak o włosy, tak tłuste, że przylegały ciasno do czaszki. Pomyślał, że gdyby rzeczywiście Szerszakowa była tym, czego mężczyzna potrzebuje, wolałby dać się wykastrować.

Wiedział, że dalsza rozmowa z tą głupio zaślepioną kobietą mija się z celem, ruszył więc do wyjścia, ignorując jej wyrzekanie. Jeszcze za drzwiami słyszał wywrzaskiwaną mowę obrończą:

– Wrobiliście go, boroczka niewinnego. Mój Marianek gnije w kryminale, a prawdziwy zbój chodzi se wolno. Skurwysyny! Ale Andrzejka nie dam zabrać...

Podporucznik zbiegł szybko po schodach i reszta słów do niego nie dotarła. Nie żeby żałował.

Na podwórzu zaczepił go mężczyzna reperujący motocykl marki WSK. Machał znacząco ręką, a gdy Jagielski nie zareagował, syknął ze zniecierpliwieniem i przyłożywszy palec do ust w odwiecznym geście nakazującym zachowanie ciszy, wskazał na otwarte drzwi szopki służącej mieszkańcom za składzik na narzędzia. Zaciekawiony milicjant podszedł i stanął w drzwiach, a wtedy mężczyzna złapał go za rękę i wciągnął do środka.

– Nie chcę, żeby widziała, że rozmawiamy – wytłumaczył się szybko.

Zrobił to w samą porę, gdyż podporucznik już miał zamiar użyć siły; odebrał jego działanie jako atak.

– O co chodzi? – spytał ostro, jeszcze nie całkiem przekonany o przyjaznym nastawieniu rozmówcy.

Niepokoili go zwlaszcza brudne od smaru ogromne dlonie męczyzny, same w sobie mogące stanowić broń.

– Pewnie szuka pan Andrzeja? – zagaił tamten tonem towarzyskiej pogawędki. – Maryśka Szerszakowa nic panu nie powie, to wariatka. Cała rodzina jest pojeba... znaczy się nienormalna.

Gdyby nie to małe potknięcie, po którym lekko się zmieszał, sprawiałby wrażenie kompletnie zrelaksowanego, jakby rozmawiał z kumplem, nie z milicjantem. Jagielski nie zauważył w jego zachowaniu dystansu i niepewności właściwych ludziom zmuszonym do kontaktów z milicją, widocznych zwlaszcza od czasu wprowadzenia stanu wojennego.

– Nie bał się pan mnie zaczepić?

– A czego miałbym się bać? – zdziwił się mężczyzna. – Żyję uczciwie, pracuję, nikomu nic nie ukradłem i mam w dupie całą politykę. Niech się boją tacy jak ten zasrany Andrzejek, bo on rąk pracą nie ubrudził, a forszą szasta.

– No właśnie, Andrzej Szerszak. Wie pan może, gdzie on jest?

– Temu pana zawołałem. Stara na pewno go uprzedzi, ale może zdążycie przed nią. Żona mi mówiła, że on przesiaduje u Krysi, bo jej rodziców nie ma w domu. Ale ja wątpię, żeby przesiadywał. – Zmrużył porozumiewawczo oko. – Prędzej poleguje, bo ta Krysia całkiem niczegowata. Bufory ma takie...

Ponieważ wdzięki niczegowatej Krysi podporucznika niespecjalnie interesowały, przerwał te wywody, kierując rozmowę na właściwe tory.

– Gdzie mieszka ta Krysia i jak się nazywa?

– Nazywa się Gacek, a mieszka dwie kamienice dalej, pod siódmką. Na drugim piętrze. Ale niech pan lepiej nie idzie sam, bo jak Szerszakowa tam wparuje, to będzie kłopot. Ona naprawdę ma nie po kolei, już ze trzy razy była w Rybniku.

Jerzy nie zwykł lekceważyć takich informacji, dlatego postanowił wezwać wsparcie, choć w ten sposób dawał Szerszakowej fory. Tym razem jednak szczęście mu sprzyjało. Gdy wyszedł na ulicę, zobaczył patrol, dzięki czemu dzwonienie po posiłki okazało się zbędne. Milicjanci, znudzeni patrolowaniem spokojnej w ciągu dnia okolicy, z ochotą podjęli się asystowania podkomisarzowi i wkrótce wszyscy trzej stanęli przed drzwiami oznaczonymi samym nazwiskiem, wydrapanym jakimś ostrym narzędziem wprost na sklejce.

Otworzyła im dwudziestoletnia może dziewczyna, wygląd wskazywał, że właśnie owa Krysia, o której mówił właściciel motocykla. Na widok mundurów cofnęła się i usiłowała zamknąć milicjantom drzwi przed nosem, lecz jeden z patrolowców przytomnie zablokował je nogą. Wówczas go zaatakowała, celując paznokciami w oczy, jednocześnie ostrzegając kochanka:

– Andrzej, gliny! Chodu!

Jagielski nie czekał na finał potyczki mundurowego ze wściekłą kocicą, tylko wbiegł do środka, w samą porę, by powstrzymać młodego człowieka przed ucieczką przez okno drugiego piętra. Drugi mundurowy został z tyłu, nie mogąc się przedrzeć przez żywą zaporę złożoną z dwojga kłębiących się w drzwiach ludzi.

– Nie bądź głupi, Szerszeń. Chcesz skończyć na wózku?

Szerszak się zawahał i to wystarczyło podporucznikowi, by dobiec do okna i uchwycić desperata za ramię. Drugi patrolowiec wreszcie zdołał dostać się do mieszkania i pomógł mu ściągnąć z parapetu młodego człowieka, który zresztą niespecjalnie się przed tym bronił. Najwyraźniej słowa Jagielskiego przywróciły mu rozsądek.

– Kurwa, czego znowu ode mnie chcecie? Nic nie zrobiłem – zarzekał się na wszelki wypadek.

– No właśnie. – Jerzy się uśmiechnął. – Nic nie robisz, a to podpada pod uchylanie się od pracy. Wiesz, że mógłbym cię wysłać na Żuławy? Pomachałbyś sobie łopatą przy kopaniu rowów i od razu zatęskniłbyś do pracy na etacie.

– Co się mnie czepiłeś, człowieku? Dzielnicowy cię przysłał, żebyś mnie pouczał? To możesz mu powiedzieć, że nic z tego. Ze szkołą już skończyłem, więcej nauk mi nie trzeba. Kim ty w ogóle jesteś?

Pierwszy z mundurowych spacyfikował wreszcie szalejącą dziewczynę i wprowadził ją teraz skutą kajdankami.

– Panie poruczniku, co z nią robimy?

– Jak to co? – Jagielski wzruszył ramionami. – Wsadzi się panienkę na cztery osiem na dołek, a potem prokurator zadecyduje, co dalej.

Przerażona skutkami swojej spontanicznej obrony kochanka Krystyna Gacek uderzyła w płacz i zwróciła się w stronę Szerszaka, spodziewając się zapewne, że chłopak stanie w jej obronie. On

jednak nie zwracał na nią uwagi, skupiony na swoich problemach.

– Poruczniku? – powtórzył, przenosząc wzrok z mundurowego na mężczyznę ubranego w cywilne ubranie. – Pan nie jest od dzielnicowego?

– Podporucznik Jagielski, wydział dochodzeniowo-śledczy milicji – przedstawił się Jerzy. – Jestem tu w sprawie zabójstwa...

– Co mi pan tu pasuje? – zdenerwował się Szerszak. – Nic nie wiem o żadnym zabójstwie. To nie ja, przysięgam!

Patrowcy, mający z nim już nie raz do czynienia, spoglądali z uciechą, jak z rzekomego twardziela buta uchodzi niczym powietrze z przekłutego balonika. Podporucznik natomiast nie zwrócił na to uwagi, zaprzątnięty poważniejszymi problemami. Obawiał się, że mimo wszystko Szerszak nie zechce współpracować, kierowany poczuciem lojalności wobec kolegów od szemranych interesów, szukał więc sposobu na pokonanie ewentualnego oporu młodego człowieka.

– To miło, że nie ty, ale ja w całkiem innej sprawie. Powiedz mi, gdzie znajdę Gerarda Pieczyka, czyli Jerry'ego.

– Nie wiem, nie znam człowieka.

– Czyli to jednak ty. Zabierzcie ich na dołek – polecił mundurowym Jagielski. – Panią Gacek za naruszenie nietykalności, atak na milicjanta i groźby pod jego adresem, a Szerszenia za zabójstwo Doroty Milewskiej.

– Niczego nie naruszyłam! – wrzeszczała przerażona dziewczyna. – Nie dotknęłam jego gęby

nawet palcem. Jaki atak, do chuja pana?! Przecież to on mnie złapał, nie ja jego. Andrzej, ratuj!

Andrzej bynajmniej nie zamierzał jej ratować, prawdopodobnie bardziej interesowało go w tej chwili ocalenie własnej skóry, naraz bowiem się okazało, że jego lojalność jest jakby mniej niezłomna.

– Wiem, gdzie jest Jerry, ale z nerwów zapomniałem – zaczął w swoim mniemaniu bardzo chytrze. – Puści mnie pan, jeżeli sobie przypomnę? I Kryškę też – dodał, gdy dziewczyna znów zaczęła błagać go o pomoc.

– Puszczę – obiecał Jerzy. – Puszczę was oboje pod warunkiem, że odpowiesz na moje pytania.

Andrzej „Szerszeń” Szerszak nie był bohaterem, toteż nie zastanawiał się ani sekundy. Odpowiedział.

Rozdział 7

Porwanie

Czerwiec 1985, Bielsko-Biała

Niewysoki, dość krępy mężczyzna niespodziewanie wyskoczył zza rosnących wzdłuż chodnika krzaków forsycji. Pomimo wieczornego półmroku natychmiast go rozpoznała i zawróciła, lecz nie miała żadnych szans na ucieczkę. Zdzisław Tarnawa poruszał się zaskakująco szybko, dogonił ją w kilku krokach i od tyłu objął ramionami, gniotąc żebra kobiety w bolesnym uścisku. Usiłowała się wyrwać, lecz zrezygnowała, gdy chwyt przybrał na sile do tego stopnia, że zaczęło jej brakować tchu.

– Zostaw mnie, gnoju.

Chciała wykrzyczeć te słowa, wyrzeshczec mu je prosto w twarz, lecz z ust wydobył się zaledwie szept, zakonczony charczeniem, gdy pozbawione powietrza pluca usilowaly zdobyc bodaj odrobine tlenu. Nagle uscisk zelzal. Kobieta z glonnym

świsem wzięła głęboki wdech i zaraz potem spięła się w sobie, czekając sposobnej chwili.

Niespodziewanie poczuła bolesne ukłucie w łopatkę. Czyżby dźgnął ją nożem? Zanim zdążyła się zastanowić, czy to możliwe, przed oczami zatańczyły złote iskierki i zgasły równie szybko, jak się pojawiły. Powrócił mrok, tylko że teraz wydawał się gęstszy, bardziej nieprzenikniony i nadnaturalnie ekspansywny, nie tylko przesłaniał wzrok, ale wyłączał także wszystkie inne zmysły.

Młoda kobieta zdążyła pomyśleć, że jest idiotką. Jakże mogłaby wykrzyczeć mu cokolwiek w twarz, skoro Tarnawa złapał ją od tyłu? Czy to zresztą ma jakieś znaczenie? Ważniejsze było, że naprawdę okazała się idiotką, ufając, że jest bezpieczna. Potem mrok otulił także mózg i myśl się urwała.

Mężczyzna uśmiechnął się, gdy zwiotczała mu w rękach. Zwolnił uścisk, by uchwycić kobietę pod ramiona, potem pociągnął ją do stojącego przy chodniku samochodu. Zastosowanie pierwszej pomocy nie przyszło mu do głowy, przeciwnie, ucieszył się, że jest nieprzytomna, bo dzięki temu było mu łatwiej ją przetransportować.

Nie minęło kilka minut, a polonez z Tarnawą za kierownicą i kobietą wiszącą bezwładnie na podtrzymującym ją pasie bezpieczeństwa jechał wolno w stronę Kamienicy. Zdzisław nie mógł doczekać się chwili, gdy znajdą się w domu, lecz przez głupią niecierpliwość nie wpaść w ręce milicji.

Przez szeroko otwartą bramę wjechał na podwórze i od razu poczuł się bezpiecznie. Tu już

nic mu nie groziło – posesja graniczyła tylko z dwoma domami, oddalonymi o mniej więcej sto pięćdziesiąt metrów. Prócz nich jako sąsiedztwo miał tylko nieużytki, które nawet kiedyś chciał wykupić, żeby nikt się na nich nie wybudował i nie zaglądał mu później w okna, niestety właściciel gruntu nie chciał się go pozbywać.

Mimo pewności, że nikt go nie obserwuje, Tarnawa nie poniechał ostrożności i wjechał do garażu, przez co musiał potem wnieść bezwładne ciało po wąskich schodach.

– *Langsam, langsam, aber sicher* – powtarzał przez zaciśnięte zęby, pokonując kolejno strome stopnie.

Na szczycie z cichym stęknieniem położył kobietę na podłodze, sam zaś przez jakiś czas stał oparty o ścianę, dysząc ciężko z wysiłku. Po kilku minutach otarł rękawem spocone czoło, schylił się i wypróbowanym chwytem ujął kobietę pod ramiona, by zawlec ją do sypialni i rzucić na łóżko. Tam, gdzie było jej miejsce.

Nadal nie odzyskała przytomności, skorzystał więc z okazji, by bez krzyków i szarpaniny pozbawić ją ubrania. Sam także błyskawicznie zrzucił odzież, po czym szeroko rozłożył uda kobiety, by sycić oczy podniecającym widokiem. Wcześniej planował kochać się z nią, gdy już oprzytomnieje, teraz jednak poczuł, że nie chce i nie może dłużej czekać. Ułożył się na bezwładnym ciele i naparł, szukając do niego drogi, jednocześnie siłą otworzył jej usta i wsunął w nie język, wodząc nim po języku kobiety w parodii pocałunku.

Wreszcie zdołał wedrzeć się w ciało, którego tak długo musiał sobie odmawiać. Poruszał się w nim gwałtownie, jak zawsze za nic mając fakt, że sprawia kobiecie ból. Liczyło się tylko jego zaspokojenie.

– Doris, moja słodka, cudowna Doris – jęczał jej prosto w usta. – Zaraz się spuszcę, a potem wydupczę cię jeszcze raz. Obejmij mnie nogami, Doris.

Zapomniał, że jest nieprzytomna, więc kiedy nie zareagowała, zdziwiony uniósł głowę. Zobaczył spokojną, nieruchomą twarz i wykrzywione wargi. Nie pamiętał już, że siłą je rozchylił, i teraz wydało mu się, że kobieta śmieje się z niego. Choć był tylko o krok od spełnienia, jego penis nagle zwiotczał i wyslizgnął się z jej ciała.

– Kurwa! Ty dziwko, ty szmato pierdolona, zabiję cię!

Okładał ją pięściami gdzie popadnie, nie przejmując się, że pozostawi na jej ciele wyraźne ślady. Bił ją przecież od dawna, a ona wiedziała, jak zamaskować siniaki dobrymi kosmetykami z Pewexu, na które nie żałował pieniędzy. Teraz zresztą nie będą jej już potrzebne, gdyż zdecydował, że Doris więcej do pracy nie wróci. Nie będzie w ogóle opuszczać domu, bo on sobie nie życzy, by mężczyźni gapili się na nią i, czego był pewien, później się onanizowali, mając jej twarz pod powiekami. Była jego żoną, jego ukochaną, jego własnością – i tylko on miał prawo na nią patrzeć. Miał prawo zrobić z nią wszystko.

Wstał i podszedł do komody, skąd wyjął z szuflady swoje ulubione zabawki. Jeszcze nigdy

go nie zawiodły; gdy ich używał, nie zdarzyło się, by się nie sprawdził jako mężczyzna. Przywiązał ręce Jolanty do wezgłowia, trzecim sznurem owinał jej szyję. Potem zapalił papierosa, by móc przytknąć rozżarzoną końcówkę do nagiego ramienia kobiety. Pod wpływem bólu drgnęła i otworzyła oczy. Wtedy zaczął zaciskać sznur na jej szyi, a gdy rozpaczliwie walczyła o oddech, znów stwardniał. Wdzierał się w miękkie kobiece ciało, wiedząc, że tym razem będzie inaczej niż przedtem. Teraz na pewno się uda.

Po przebudzeniu Jolanta przez dłuższy czas leżała nieruchomo, usiłując zrozumieć, co się właściwie stało. Pamiętała, że wyszła z pracy po zmroku i zmierzała na przystanek autobusowy. Potem wszystko się zamazywało. Czy naprawdę zobaczyła przed sobą męża, czy może jej się to tylko śniło?

Uniosła się na łokciu i wtedy coś ją tknęło. To nie był wąski tapczan w jej panińskim pokoiku w domu rodziców, tylko olbrzymie małżeńskie łóżę, na którym jej mąż kilka razy na dobę dochodził swoich praw. Usiłowała przekonać samą siebie, że to niemożliwe, lecz nagle pamięć podsunęła nowe obrazy. *Uśpił mnie czymś – pomyślała, drżąc ze strachu. Uśpił i przywiózł z powrotem. Wiedziałam, że mi tego nie daruje.*

Aż podskoczyła, gdy z prawej strony łóża dobiegło ją chrapnięcie. Był tu! Leżał koło niej, spał z nią. Co jeszcze z nią robił? Przejęta podejrzeniem

usiadła, a raczej chciała usiąść, lecz nagły ból powalił ją z powrotem na łóżko. Jolanta stłumiła jęk i wsunawszy rękę pod kołdrę, delikatnie obmacała swoje ciało. Nie miała na sobie ubrania, wniosek wydawał się oczywisty. Po chwili zyskała pewność co do zdarzeń w czasie, gdy leżała bez przytomności. Obolałe piersi, żebra i brzuch świadczyły o solidnym biciu. Sięgnęła między nogi i omal nie krzyknęła, tak bardzo ją zabolalo, mimo że dotyk był zaledwie muśnięciem. Wyczuła też znajomą lepkość i od razu domyśliła się, co zaszło; przeżyła przecież z tym sadystą aż siedem lat.

Zacisnęła zęby i zmusiła się, by usiąść. Ból był silny, lecz dało się go znieść, i ten fakt nieco ją podbudował. Wstała z łóżka i skulona podreptała do łazienki, gdzie dokładnie obejrzała najpierw twarz. Nie wyglądała źle, dużo gorzej prezentowały się piersi, gęsto pokryte czerwonymi śladami po uderzeniach i uszczypnięciach. W najgorszym stanie były okolice żeber i brzuch, widocznie to na nich wyżył się najwięcej.

Jolanta miała ochotę wejść pod prysznic, by zmyć z siebie obmierzły dotyk, wiedziała jednak, że nie wolno jej tracić czasu. Musiała uciekać, i to uciekać już teraz, dopóki Zdzisław spał. Na palcach przemknęła z powrotem do sypialni, gdzie w zajmującej prawie całą ścianę szafie znajdowały się ubrania. Na chybił trafił wyszarpnęła jakąś bluzkę ze schludnie ułożonego stosu, zdjęła z wieszaka spódnice, nie przejmując się ewentualnym niedopasowaniem. Najważniejsze to natychmiast stąd zniknąć.

Schyliła się do szuflady, gdzie przechowywała bieliznę, i wtedy rozbłysło światło, a od strony łóża

rozległ się głos, który już dawno znienawidziła z całej duszy.

– Dokąd to się wybieramy?

Odwróciła się wolno i spojrzała na męża. Sprawiał wrażenie zrelaksowanego i całkiem spokojnego, lecz to jej nie zwiodło. Jola wiedziała, że Zdzisław pod tym względem jest jak kameleon, w razie potrzeby w jednej chwili potrafił się przeobrazić z sympatycznego mężczyzny w bestię lub odwrotnie.

– Do pracy – odpowiedziała, starając się zapanować nad drżeniem głosu. – Mamy teraz prawdziwe szaleństwo, bo szefowa się rozchorowała...

– Najpierw musimy zjeść śniadanie i porozmawiać, a potem się pokochamy. – Odrzucił kołdrę i wstał, dumnie prezentując wzwód. Uśmiechnął się z zadowoleniem. – A może zaczniemy dzień właśnie od tego? Chociaż nie. Dawno nie jadłem domowego śniadania, będziesz musiała trochę poczekać. Zrobię ci dobrze potem. Nie próbuj się ubierać – dorzucił z groźbą w głosie. – Wiesz, że nie będę tego tolerować.

Posłusznie poszła do kuchni, wiedząc dobrze, że sprzeciw nie ma sensu, gdyż mąż i tak postawi na swoim. „Zrobię ci dobrze”, powtórzyła w myślach z goryczą. Ostatni raz było jej dobrze niespełna miesiąc po ślubie. Później Zdzisław coraz mniej dbał o zadowolenie żony, odkrywał natomiast coraz więcej swoich mrocznych stron.

Wkrótce Jolanta wiedziała już, że mąż ma nienasyconą ochotę na seks i mało co jest w stanie go powstrzymać przed jej zaspokojeniem. Gdy pewnego dnia w trakcie obiadu u teściowej nagle

wstał, zaciągnął ją do kuchni i wziął na stojąco, jęcząc przy tym głośno, myślała, że umrze ze wstydu. Okazało się jednak, że starszej z kobiet zachowanie syna w ogóle nie zbulwersowało. Spokojnie tłumaczyła później synowej, że nie powinna się przejmować, a już tym bardziej sprzeciwiać. Co z tego, że Zdzisek chce się kochać częściej niż przeciętny mężczyzna? Jej się nie wymyśli, a gdzie znajdzie drugiego takiego, który nie dość, że jest wierny jak pies, to jeszcze nie żałuje jej pieniędzy?

Jolanta zaciskała więc zęby i znosiła niechciane i niedające jej zadowolenia akty seksualne, na szczęście trwające bardzo krótko, gdyż Tarnawa całkiem przestał zważać na żonę i za każdym razem parł do jak najszybszego spełnienia. To wtedy zarządził, by po domu chodziła nago. Jako mąż ma prawo oglądać jej ciało i brać ją, kiedy zechce, gdzie zechce i jak zechce. A ona ma obowiązek rozkładać nogi, gdy tylko on sobie tego zażyczy.

Była pewna, że Zdzisław żartuje, i roześmiała się w głos. Wtedy zbił ją i zgwałcił po raz pierwszy. Następnego dnia co prawda przeprosił i odkupił swoje winy sweterkiem z Pewexu, lecz zdania w kwestii chodzenia nago nie zmienił, a ona zbyt się bała kolejnego bicia, by zdobyć się na sprzeciw. Tylko że jej uległość niczego nie zmieniła. Mąż odkrył, że katowanie żony pobudza go seksualnie, i odtąd sięgał po ten afrodyzjak pod byle pretekstem, a potem kupował jej prezenty i przysięgał, że kocha ją nad życie, lecz to Jola swoim zachowaniem zmusza go, by ją karał.

– Pospiesz się z tym śniadaniem, Doris – zagderał, przerywając tok jej myśli. – Ileż można

czekać?

Chryste, jak ona nienawidziła, gdy ją tak nazywał. Po ślubie nagle przestało mu się podobać jej imię, uznał je za zbyt przeciętne, za mało dystyngowane i zaczął używać drugiego, lecz ono także wydawało mu się za bardzo pospolite. Wtedy wymyślił tę idiotyczną Doris i tak długo tresował Jolantę, aż zaczęła reagować na nowe imię.

Podawała mężowi śniadanie, sama łyknęła odrobinę kawy i przesunęła się ku drzwiom, lecz przystanęła, gdy napotkała jego wężowy wzrok.

– Naprawdę muszę już iść. Muszę być wcześniej...

– Siadaj, Doris – polecił tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Zapomnij o pracy. Nie pójdziesz tam więcej.

Nie rozumiała, dlaczego naraz zaczęło mu to przeszkadzać. Gdy w październiku 1977 roku poznała Zdzisława, właśnie zatrudniła się w „Instal-Budzie”. Po sześciu miesiącach wzięli ślub i przez te wszystkie lata mąż ani razu nie napomknął, że nie chce, by pracowała.

Z trudem zdobyła się na odwagę, by zadać pytanie.

– Czemu nie chcesz, żebym pracowała?

– Wszystko przez mamę – warknął w odpowiedzi.

– Zakrzyczała mnie, gdy powiedziałem, że nie powinnaś chodzić do pracy, bo to dla mnie poniżające. „Co z tego, że cię stać na utrzymanie rodziny? Ojca też było stać, a nigdy mi nie zabraniał pracować” – przedrzeźniał ze złością nieco egzaltowany głos swojej matki.

– No właśnie, mama przecież była kierownikiem wydziału w urzędzie wojewódzkim – ośmieliła się przypomnieć Jolanta. To był błąd.

– Zamknij się, kurwo! – ryknął. – Nie masz nic do gadania. I nie porównuj się z mamą, ona nigdy by ojca nie zostawiła. Myślałaś, że zapomniałem?! Uciekłaś do swojej matki i jeszcze nasłatała na mnie blacharzy. Nigdy ci tego nie daruję. W dodatku wystąpiłaś o rozwód! Pewnie te pizdy z biura cię namówiły. Ale teraz już, kurwa, dość. Wycofasz pozew i zaczniesz się zachowywać jak porządna żona albo cię tu, kurwa, zatłukę. – Wstał zza stołu i mogła zobaczyć, jak bardzo jest pobudzony. – Marsz do sypialni, szmato! Ale już! Biegiem! Bo jak się wkurwię, to będzie źle.

Wlokła się noga za nogą, jak zwykle nie umiając zdecydować, co lepsze – gwałt czy bicie. Jedno i drugie napawało ją przerażeniem, tym większym, że przez cztery ostatnie miesiące na nowo poznała smak życia bez strachu i poniżenia. Powinna była przewidzieć, że Tarnawa nie da jej możliwości wyboru, przecież od dawna serwował jej te atrakcje na zmianę, z obu czerpiąc przyjemność.

– Kładź się – rozkazał.

Wiedziała dobrze, że sprzeciw jest bezcelowy, że nic nim nie zyska, a tylko rozjuszy Zdzisława. Nagle jednak zrozumiała, że nie ma już nic do stracenia. Nawet jeśli bicie i gwałty miały być karą za chciwość, to uważała, że odpokutowała już wystarczająco. „Oraz że cię nie opuszczę aż do śmierci”? W takim razie niech może śmierć się trochę pospieszy, lepsze to niż takie życie.

– Po co?

Natychmiast napięła mięśnie w oczekiwaniu na cios będący karą za bezczelność, lecz ku jej zdumieniu Tarnawa zaczął się tłumaczyć.

– Nie po to się ożeniłem, żeby teraz się brandzlować albo chodzić na kurwy. Mam prawo cię wydupczyć, kiedy przyjdzie mi ochota. No, na co czekasz? Kładź się i nogi szeroko, bo chcę zobaczyć twoją cipę.

Skrzywiła się, zniesmaczona nie tyle treścią wypowiedzi, do której zdążyła już przywyknąć, ile jej formą. Zdzisław nigdy nie był romantykiem i nawet przed ślubem nie powiedział jej słodkich słówek, ale nie był też ordynarny. Co ciekawe, nie zmienił się pod tym względem nawet później, gdy jedyną grą wstępną, na jaką mogła liczyć, było okładanie pięściami. Czyżby przez ostatnie miesiące zatracił powoli resztę człowieczeństwa?

Wzruszyła ramionami i zamiast w stronę łóżka ruszyła ku oknu, modląc się w duchu, by przed domem zatrzymało się jakieś auto. Albo chociaż przechodzień, którego mogłaby poprosić o pomoc. Ale Bóg chyba nie lubił kobiet, bo jak zwykle stanął po stronie Tarnawy, który wreszcie otrząsnął się z zaskoczenia i ruszył w jej stronę. Jego wściekła mina nie wróżyła nic dobrego, lecz Jola nie próbowała przed nim uciec.

– Kazałem ci się położyć.

– Po co? I tak po dwóch ruchach ci opadnie.

Spodziewała się, że ją uderzy, lecz nie sądziła, że zrobi to tak mocno. Cios w brzuch wycisnął z niej powietrze, pozbawił tchu i wywołał mdłości. Zaczęła osuwać się po ścianie, lecz następne uderzenie trafiło Jolantę w bok i posłało w stronę łóżka.

Dalsze nie nastąpiły, nadeszła za to fala bólu, gdy Zdzisław podniósł jej bezwładne ciało i rzucił na łóżko, a potem kolejna, gdy w nią wszedł.

– Moja śliczna Doris – jęczał w rytm gwałtownych ruchów. – Nikt nie ma takiej pięknej żony. Tak mi z tobą dobrze. Kocham cię, Doris.

Nie straciła przytomności, nie zamknęła nawet oczu. Przez cały, na szczęście niezbyt długi akt gwałtu zachowała pełną świadomość i nie spuszczała wzroku z twarzy sapiącego nad nią mężczyzny. Myślała przy tym tylko o tym, że musi wytrwać, bo gwałt nie będzie trwać wiecznie, a gdy mąż skończy i jak zwykle potem zaśnie, będzie miała szansę wydostać się z tego przeklętego domu.

Tarnawa zauważył jej spojrzenie i musiał odebrać je inaczej, nagle bowiem z wściekłością uderzył ją w twarz.

– Przestań na mnie patrzeć! Ty kurwo, ty czarownico! Nienawidzę cię, Doris.

Przygryzł krwawiącą wargę żony, zmuszając ją, by otworzyła usta, i pocałował ją brutalnie, a potem znów uderzył. Wtedy wbił się w nią konwulsyjnie, zadrżał i z głośnym krzykiem opadł bezwładnie, wywołując nowy paroksyzm bólu. Jola nawet nie jęknęła. Leżała pod nim nieruchoma, jakby martwa, i zdawać się mogło, że żyją tylko jej oczy, płonące niemal szaloną determinacją.

Rozdział 8

Ucieczka

Czerwiec 1985, Bielsko-Biała

Jagielski tylko spojrzał na fotografię uzyskaną z Biura Ewidencji Ludności i od razu wiedział, że Gerard Pieczyk nie mógł być mężczyzną widzianym z Dorotą Milewską w „Mikronie”. Uderzająco przystojna i całkiem sympatyczna twarz ciemnowłosego młodzieńca w żaden sposób nie odpowiadała rysopisowi podanemu przez Inge, a Jerzy wiedział, że dziewczyna jest dokładna i nie ma zwyczaju konfabulować.

Wezwany na rozmowę Rajner Milewski dość obojętnie przyjrzał się zdjęciu i wzruszył ramionami.

– Nie mogę ci pomóc. Nigdy go nie widziałem.

– Jak to? Chcesz powiedzieć, że ten tu podszył się pod prawdziwego Pieczyka? – zdenerwował się Jerzy.

Milewski wykrzywił lekko kąciki ust, co w jego przypadku równało się atakowi rozbawienia.

– Nic z tych rzeczy. Nie widziałem tego faceta ze zdjęcia, ale Gerarda Pieczyka też nigdy nie widziałem, więc nie mam pojęcia...

– Powiedziałeś przecież, że Pieczyk miał motyw – przerwał mu Jagielski z pretensją, lecz kolega tylko ponownie wzruszył ramionami.

– Bo miał. W końcu odstrzeliłem mu brata. I tego brata znałem, natomiast Jerry'ego nigdy nie widziałem na oczy.

– Ja pierdolę – jęknął Jerzy, lecz zaraz wziął się w garść. – Zaraz mi go tutaj przywiozą, więc znikaj. – Zobaczył minę Rajnera i postawił się na jego miejscu. – Znikaj, czyli schowaj się tak, żeby nikt nie wiedział, że tu byłeś. A spróbuj tylko pisać! – Ponownie zerknął na zomowca, zobaczył jego kamienną twarz i mruknął: – Okej, tematu nie było.

Milewski bez słowa wstał z krzesła i ruszył w kąt pokoju, gdzie częściowo zasłonięty szafą i wieszakiem na ubrania stał stolik z czajnikiem, kilkoma szklankami oraz słoikiem z kawą. Mężczyzna musiał mieć niebywałą zdolność wtapiania się w otoczenie, bo gdy podporucznik po pewnym czasie znów popatrzył w tamtą stronę, nie ujrzał nikogo. Później nie miał już czasu się nad tym zastanawiać; w pokoju pojawił się Gerard Pieczyk, eskortowany przez umundurowanego funkcjonariusza.

– Siadaj, Jerry, miło, że do nas wpadłeś.

Niewyglądający na swoje dwadzieścia cztery lata przystojniak spojrzał na podporucznika z urazą.

– Musieliście mnie wywlec z domu w kajdankach jak jakiegoś bandziora? Nie dało się wręczyć normalnego wezwania?

– A kim ty jesteś, jak nie bandziorem? – zdziwił się Jerzy. – Chcesz powiedzieć, że pracujesz na etacie, uczestniczysz w pracach społecznych, a dwudziestego drugiego lipca zabierzesz swoją dziewczynę na festyn?

Pieczyk zmieszał się lekko, lecz zaraz odzyskał rezon.

– Moja dziewczyna nie lubi takich imprez.

Jagielski ze zrozumieniem pokiwał głową.

– Dorota Woźnica, tak? Też nigdzie nie pracuje. Jak to robicie, że jeszcze nie umarliście z głodu?

– Rodzice nas karmią – odburknął Pieczyk.

Na jego twarzy odmalował się niepokój. Milicjant obserwował go przez jakiś czas, wreszcie złapał teczkę z aktami i uderzył nią w blat biurka.

– Dosyć tego pierdolenia! Dlaczego zabiłeś Dorotę Milewską?

Jerry sprawiał wrażenie bardziej zaskoczonego niż przestraszonego.

– Dorota Milewska? Nie znam nikogo takiego. Zabiłem? Że niby ja? O co tu, kurwa, chodzi?!

– Uspokój się i przestań drzeć mordę, tylko grzecznie odpowiadaj na pytania. No więc? Czy to z zemsty za brata, żeby jej mąż też cierpiał?

– Panie... – Tak jak jakiś czas temu Hamster, Pieczyk spojrzał bezradnie na pozbawioną pagonów cywilną marynarkę Jerzego. – Proszę pana, ja

naprawdę nie wiem, o czym pan mówi. Myślałem, że chodzi o dolary...

Jagielski znów poddał go wnikliwej obserwacji, potem otworzył teczkę i odszukał właściwą kartę.

– Wiesz, Jerry – zagał przyjaznym tonem, jakby prowadzili towarzyską pogawędkę – twoje cinkciarskie interesy w ogóle mnie nie interesują. Mam je w dupie, przyswajasz? Jestem podporucznikiem wydziału dochodzeniowo-śledczego i zajmuję się sprawą zabójstwa Doroty Milewskiej.

– Ale ja nie znam żadnej Doroty! – wykrzyknął Pieczyk z rozpaczą.

– Kłamiesz, Gerard. Przecież mieszkasz właśnie z Dorotą. Ciekawy zbieg okoliczności, prawda? Z jedną Dorotą śpisz, drugą zabiłeś.

Mężczyzna poczerwieniał na twarzy, widać było wyraźnie, że walczy ze sobą, by nie wybuchnąć.

– Panie poruczniku, chodziło mi o to, że nie znam innej Doroty. Czemu miałbym się na niej mścić? Mój brat zginął w trakcie ucieczki po napadzie na konwój i żadna kobieta nie miała z tym nic wspólnego. Tak, Marek był bandziorem. Zadowolony pan?!

– Marek Pieczyk, ksywa Marlon – rzekł wolno podporucznik, nie spuszczając czujnego wzroku z Jerry'ego. – Nie, nie jestem zadowolony, bo twój brat odebrał konwojentowi broń i go z tej broni zastrzelił, a kiedy po kilku dniach milicjanci z grupy realizacyjnej chcieli go zatrzymać, otworzył do nich ogień. Zginął w trakcie strzelaniny, a ty przysięgałeś zemstę temu, kto go trafił.

Pieczyk otworzył usta ze zdumienia. Jego zaskoczenie było tak wielkie, że Jagielski zwątpił, by siedzący przed nim mężczyzna mógł być poszukiwanym przez niego sprawcą zabójstwa.

– Pan tak na poważnie? – upewnił się Jerry. – To pewnie się pan rozczaruje, ale ja nawet nie wiem, ile razy mój brat został trafiony. Pamiętam, że gadałem coś o zemście, ale byłem najebany, a poza tym akurat siedziałem przy piwie z ludźmi takiego jednego gościa, który robił z Markiem interesy. On na pewno oczekiwał takiej deklaracji, więc mu ją dałem, żeby nie myślał, że nie przejąłem się losem brata.

Urwał i popatrzył niespokojnie na milicjanta, sprawdzając, jak przyjmowane są jego słowa. Podporucznik pomyślał, że ten chłopak składa się z samych sprzeczności, nie tylko jeśli chodzi o charakter, ale również o sposób mówienia. Gdy zapominał pozować na wielkiego gangstera, wysławiał się całkiem poprawnie, a chwilami wręcz elegancko. Jednak nie zasób słownictwa Jerry'ego był powodem wezwania chłopaka do komendy, toteż Jagielski czym prędzej go ponaglił:

– Mów, Gerard, mów, ja słucham.

– No więc coś tam bredziłem, że się zemszczę, ale prawda wygląda tak, że miałem ochotę odszukać tego gliniarza i mu podziękować, bo nienawidziłem tego gnoja. Mojego brata – uściślił po króciutkiej przerwie. – To przez niego rodzice stracili zdrowie. Tata miał atak serca, kiedy Marek pierwszy raz poszedł siedzieć, a mama prawie się na śmierć zapłakała. Był ich oczkiem w głowie, pierworodnym ósmym cudem świata... Nie wytrzymali, kiedy się okazało, że wychowali bandytę.

– Pewnie się ucieszyli, że młodszy poszedł w jego ślady – rzucił ironicznie Jerzy, lecz jego głos znacznie złagodniał.

Pieczyk zmieszał się i zaczerwienił.

– Byłem głupim szczeniakiem i Marek mi wtedy imponował. Dlatego zacząłem z dolarami. Ale on mnie wyśmiał, mówił, że handel jest dobry dla bab, a prawdziwy facet powinien sprawdzić się w walce.

– Aha – mruknął Jagielski. – I w ramach tej walki zastrzelił bezbronnego człowieka? Wszystko jasne. Bardzo ciekawy sposób na udowodnienie swojej męskości. Dlaczego się ukrywałeś?

– Ja nie... – zaczął Jerry, lecz pod wpływem drwiącego spojrzenia milicjanta znów poczerwieniał. Opuścił głowę i niewyraźnie coś wymamrotał.

– Głośniej, Gerard, tu nie konfesjonał – pouczył go podporucznik.

Pieczyk wyprostował się i wziął głęboki wdech, nim wyznał:

– Nie ukrywałem się przed glinami, znaczy się, przed milicją. Nawet nie wiedziałem, że mnie szukacie.

– Mamusia nie przekazała?

– Odpierdolcie się od mojej mamy! – wrzasnął Jerry z wściekłością. – Nie macie prawa jej dręczyć!

Odpowiedziało mu pogardliwe prychnięcie. Jerzy zlustrował go zaciekawionym wzrokiem z miną kogoś, kto niespodziewanie natknął się na niespotykany dotąd w przyrodzie okaz fauny, i uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Tak myślisz? To jeszcze bardzo mało wiesz, chłopaku. Ale nie szkodzi, pod całą cię wyedukują.

– Jakie „pod całą”?! – zdenerwował się przesłuchiwany. – Ja nic nie zrobiłem! Mama nie mogła mi nic przekazać, bo od dawna nie byłem w domu.

– Dlaczego?

– To moja sprawa – warknął Pieczyk. – Może mam się spowiadać nawet z tego, ile razy chodzę się wysrać?

Jagielski westchnął. Z pełnego sprzeczności zachowania chłopaka wywnioskował, że Jerry jeszcze nie przekroczył linii, zza której nie było już odwrotu. A przynajmniej nie było go dla większości młodych ludzi podążających ślepo za złudzeniem, że po drugiej stronie prawa czeka ich prawdziwe *dolce vita*. On nadal miał szansę zawrócić. Jeśli tylko będzie dość silny, by postawić się kolegom.

– Nie będę ci wciskać farmazonów o tym, że milicja może ci pomóc w kłopotach, bo najczęściej wygląda to tak, że choć bardzo byśmy chcieli, to oficjalnie gówna możemy zrobić. Ty to wiesz i ja też to wiem. Ale mógłbym ci pomóc poza drogą służbową, jeżeli masz kłopoty.

Jego słowa musiały trącić jakiś czuły punkt, bo Jerry zagryzł wargi w wewnętrznym zmaganiu.

– Ukrywam się przed Karatem – wyrzucił z siebie niespodziewanie. Musiał zobaczyć zaskoczenie na twarzy milicjanta, bo natychmiast pospieszył z wyjaśnieniem: – To właśnie ten kumpel mojego brata, o którym wcześniej wspominałem. Jestem mu winien za ostatnie dwa miesiące, a nie mam

forsy na spłatę długu. I co pan robi? Da mi pan te pieniądze, żeby mi pomóc?

Milicjant miał ochotę głośno skłać przepisy i sztywne procedury, których miał obowiązek się trzymać. Gdyby mógł przedstawić Ochabczykowi bodaj cień dowodu na sprawstwo Karata, być może prokurator wyraziłby zgodę na wręczenie Pieczykowi odpowiedniej kwoty, by ten pod pretekstem spłaty długu zwabił bandziora w pułapkę. Niestety podejrzenie, że to właśnie Karat zabił Dorotę Milewską, w dalszym ciągu nie zostało poparte żadnymi konkretami i Jerzy doskonale wiedział, jaka w tej sytuacji byłaby reakcja pryncypialnego urzędnika prokuratury.

– Dobrze wiesz, że to niemożliwe. Przykro mi, Gerard. Wróćmy teraz do powodów, dla których cię tu zaprosiłem. Znasz ją?

Położył na biurku zdjęcie Milewskiej i przesunął je w stronę Jerry'ego. Ten najpierw obojętnie rzucił okiem, potem wpatrzył się w fotografię ze zdumieniem, wreszcie wybuchnął śmiechem.

– Noż kurwa, przecież to Dota! Ale jaja! Taka niby mądra, tyle ciągle opowiada o robieniu gliniarzy w chuja, a macie ją w swojej kartotece!

– Jaka Dota? Skąd ją znasz?

– No Dota, tak ją wołają. Z wyglądu fajna dupa, ale charakter to ma wyjątkowo wredny. Kręci z Karatem.

Jagielski rzucił niespokojne spojrzenie w stronę stolika z czajnikiem i pożałował, że pozwolił Rajnerowi zostać. Teraz jednak było już za późno.

– Wiesz może, jak długo są ze sobą?

Pieczyk rozłożył ręce w odwiecznym geście oznaczającym bezradność.

– Nie mam pojęcia. Wydaje mi się, że od zawsze. W każdym razie byli już ze sobą, kiedy Marek poznał mnie z Karatem jakoś tak dwa lata temu. Ten Karat musi mieć z głową, bo ta cała Dota jest nie do wytrzymania na dłuższą metę. Na jego miejscu już dawno bym nie wytrzymał i babę utłukł.

Znowu się roześmiał. Jerzy przyglądał się podrygującym ramionom i nie miał już żadnych wątpliwości. Ten człowiek nie był wprawdzie zbyt praworządnym obywatelem, ale nie był też zabójcą. Naraz uświadomił sobie jeszcze jedno i zadał sobie pytanie, czy to możliwe, by sprawa była aż tak prosta.

Jedyny sposób na poznanie odpowiedzi wymagał niewielkiego wysiłku – należało zadać jedno pytanie i położyć przed Pieczykiem jeden portret pamięciowy. Jagielski ponownie przerzucił stronicę akt i wyjął jeszcze jedną kartę.

– Czy to jest Karat?

Podsunał Jerry'emu portret sporządzony przez niego na podstawie opisu Ingi. Ponieważ Piątkowska uznała podobieństwo mężczyzny z rysunku do oryginału za doskonałe, zdecydował się dołączyć portret do akt.

Pieczyk długo spoglądał na rysunek, wreszcie skinął głową.

– Tak, to jest Karat. Nie wiem, jak naprawdę się nazywa – odpowiedział na niezadane pytanie i zamilkł. Po jego minie można było się domyślić, że chętnie dorzuciłby coś więcej do wygłoszonego

oświadczenia, lecz nie ma odwagi. Jerzy czekał cierpliwie i wreszcie po kilku minutach wytrzymałość milicjanta została nagrodzona. – Uważajcie, kiedy go będziecie zwijać. On jest jeszcze bardziej jebnięty niż mój brat, w dodatku kiedyś się chwalił, że on i jego ludzie mają broń.

– A ty niby nie jesteś jego ludziem? – zakpił Jagielski.

– Ja jestem swój własny – odburknął Pieczyk. – Dlatego muszę się skurwysynowi opłacać. To stąd wziął się mój dług.

– Czemu wy, chłopaki, jesteście tacy durnowaci? Nie lepiej było od razu przyjść do nas i powiedzieć, co i jak? Jak długo możesz się ukrywać? Prędzej czy później ten bandzior cię dorwie i w najlepszym razie obije mordę. A w najgorszym...

– A wy na pewno mi pomożecie? Akurat! Jak znam życie, wsadzilibyście mnie do śledczego za handel walutą, a Karat dalej śmigałby po mieście i kroił konwoje albo obrabiał kwadraty. Bo na takich jak on jesteście za ciency, lepiej przycapić cinkciarza, bo to bezpieczniej. Mały zawsze dostaje w dupę.

– Biedaczysko – rzucił milicjant, rozśmieszony wygłoszoną przez rozzalonego Pieczyka tyradą. – Takie już to życie, że zawsze jest na malutkiego. Powiedz lepiej, gdzie znajdę tego Karata?

Jerry ponownie rozłożył ręce.

– Nie wiem. Ja go nie widuję, po szmal przychodzi jeden z jego pomagierów.

Podporucznik zastanawiał się gorączkowo nad kolejnym ruchem. To, co właśnie przyszło mu do

głowy, mogło przynieść pożądane efekty, ale było niebezpieczne. Czy miał prawo narażać innych? Przypomniawszy sobie o słowach Ingi i zdecydował, że najpierw porozmawia z Olszarem. Może kolejne działania nie będą już konieczne?

Jolanta leżała w szpitalnym łóżku i ze wszystkich sił usiłowała zapomnieć o przeżyciach ostatnich dni. Na próżno. Mimo oszołomienia wywołanego sączącym się przez kroplówkę silnym środkiem przeciwbólowym uparta pamięć ciągle podsuwała coraz to nowe sceny: pełne wściekłości wrzaski Tarnawy, jego pięści lądujące na jej twarzy, piersiach i brzuchu, chorobliwe wyznania miłości i potworny ból krocza nieprzygotowanego na wtargnięcie, obolałego po poprzednim gwałcie. A potem wizyta w łazience, gdzie chciała zmyć z siebie jego dotyk, i nagłe olśnienie na widok okienka bez krat.

Pewnie by stchórzyła, gdyby zaczęła rozważać wszystkie za i przeciw, na szczęście podjęła tę szaloną decyzję bez zastanowienia. To był impuls, a ona go posłuchała. Tym razem nie szukała ubrań, wolałaby przebiec nago nawet pół miasta niż zaryzykować powrót do sypialni. Mąż znów mógłby się obudzić, a Jola wątpiła, czy byłaby w stanie znieść jeszcze jedno bicie i gwałt.

Przemknęła na palcach do przedpokoju i wyjęła z niewielkiej ozdobnej komody duży śnieżnobiały obrus. Będzie musiał wystarczyć jej za przykrycie.

Już miała wyjąć inne, by zrobić z nich linę, gdy przypomniała sobie o paskach do spodni. Tarnawa miał na ich punkcie prawdziwego bzika; Jolanta nie słyszała o innym mężczyźnie, który miałby ich aż tyle. Ale inny mężczyzna z pewnością nie używał ich do dyscyplinowania własnej żony.

Spowita w białą tkaninę wyglądała jak duch i jak duch cicho przebiegła do pokoju obok sypialni, gdzie na relingu łączącym dwie szafki wisiało czternaście pasków. Lub nawet więcej, gdyż nie mogła wykluczyć, że przez ostatnie miesiące kolekcja się powiększyła. Nie miało to jednak większego znaczenia, ważne, że było ich dużo.

Wybrała osiem najszerszych, zakładając, że będą również najmocniejsze, i znów przebiegła przedpokój. Zmierzała do łazienki, lecz przy komodzie przystanęła, tknięta nagłą myślą. Na próbę pchnęła mebel, a gdy się przesunął, wprowadziła pomysł w czyn. Mimo podenerwowania i strachu uśmiechnęła się złośliwie i podciągnawszy komódkę pod drzwi sypialni, zablokowała klamkę poprzez wepchnięcie pod nią miotły. Wiedziała, że mąż poradzi sobie z tą blokadą, wystarczy, by naparł mocniej na drzwi, a mebel zmieni położenie. Ale nawet te dwie, trzy minuty zwłoki mogły ją uratować.

Po uporaniu się z blokadą wróciła do łazienki, gdzie zapięła jeden z pasków na nóżce wanny i przysiadła na jej brzegu, by połączyć razem resztę. Potem otworzyła okienko, wyrzuciła przez nie tak skonstruowaną linę, a kilka sekund później zerwała z siebie obrus i tą samą drogą wyekspediowała go na zewnątrz. Teraz nie miała już odwrotu.

– Rusz się, kretynko, bo jeżeli on to odkryje, zatłucze cię na śmierć – szepnęła, chcąc się zmotywować do energiczniejszego działania.

Początkowo wszystko wskazywało na to, że ucieczka się nie powiedzie. Jolanta zawsze była szczupła, a życie w ciągłym strachu sprawiło, że schudła jeszcze bardziej, toteż bez większego wysiłku przeciskała głowę i ramiona przez wąskie okienko. Problem leżał w tym, że stosując tę metodę, wydostawała się głową w dół, a wątpiła, by potwornie bolące żebra pozwoliły jej zmienić pozycję. *Nie utrzymam się i zlecę na łeb* – rozmyślała, wycofując się w głąb łazienki. – *Może to jedyne wyjście, żeby raz na zawsze z tym skończyć?*

Miała jednak zbyt silną wolę walki, by się poddać. *Inga na pewno by walczyła* – uświadomiła sobie, wspomniawszy koleżankę, która, choć sporo młodsza, stanowiła dla niej wzór kobiety z uporem dążącej do wyznaczonego sobie celu i niepoddającej się mimo przeciwności losu.

To pomogło. Jolanta uważnie zlustrowała łazienkę i zdecydowała się postawić wszystko na jedną kartę. Wspięła się na wannę i mocno chwyciwszy w dłonie rurkę centralnego ogrzewania, podciągnęła się, by nogą dosięgnąć parapetu. Manewr się udał, choć rozciągnięte krocze protestowało falą bólu, a ręce omdlewały z wysiłku. Jola przeniosła drugą nogę na parapet i zawisała niemal poziomo, w dalszym ciągu uczipiona rurki. Nie mogła jej puścić, a niczego innego nadającego się na uchwyt nie było. Chociaż...?

Mniej więcej w połowie odległości między rurką a oknem wisiała drewniana półka. Znajdowała się

wyżej niż okienko, gdyby więc dziewczyna zdołała się jej złapać, przyjęłaby pozycję co prawda nie pionową, ale mocno do tego zbliżoną. Tylko czy wkręty wytrzymają dodatkowy ciężar?

– Rusz się – warknęła. – Nie masz już nic do stracenia.

Powoli oderwała lewą rękę od rurki i skierowała ją w tył i w górę, i po chwili rozpaczliwego macania, która wydała jej się wiecznością, natrafiła na drewno. Wbiła w nie palce i nie dając sobie czasu na zastanowienie, przeniosła tam również prawą rękę i uwiesiła się na półce. Z ust wydobył się zdławiony jęk, gdy zmuszony do gwałtownego skrętu tułów odpowiedział bólem żeber. Jolanta ze świstem wypuściła powietrze i przesunęła ręce na sam brzeg półki, jednocześnie wciskając nogi w głąb otworu.

Przedtem była całkowicie pewna, że uchwycenie się półki to najtrudniejsza część operacji, tymczasem okazało się, że zaliczała się do tych łatwiejszych. Dużo więcej kłopotów nastręczyło jej puszczenie półki przy równoczesnym uchwyceniu się parapetu i gdy w końcu zdołała to zrobić, dość długo leżała przewieszona przez okienko, z tułowiem wewnątrz budynku i nogami na zewnątrz, niezdolna chwilowo do dalszego wysiłku.

Nowy przyływ energii zawdzięczała fali panicznego strachu, nagle bowiem wydało jej się, że słyszy głos męża. Przez głowę przebiegła jej myśl, że lepiej już spaść i roztrzaskać się na betonowych kostkach niż znów stać się obiektem jego sadystycznych praktyk. Zacisnęła więc zęby, mocno chwyciła pasek i zaczęła przeciskać tułów przez nieduży otwór. O ile biodra wcześniej przeszły bez

większych problemów, o tyle z biustem nie poszło już tak łatwo i Jolanta straciła kilkadziesiąt cennych sekund na rozpaczliwą szamotaninę, nim wreszcie wyswobodziła się z pułapki.

Przedostatnia faza ucieczki, której bała się najbardziej, okazała się nad podziw łatwa. Owszem, twarda skóra paska raniła dłonie, gdyż Jola nie umiała uchwycić go tak, by dać stosowny odpór sile ciężkości ciągnącej ją w dół. Zamiast przenosić uchwyt, po prostu się ześlizgiwała, i gdyby użyła sznura, pewnie zjechałaby w zastraszającym tempie, kończąc solidnym grzmotnięciem w ziemię. W myślach słała dziękczynne modły do nieznanej siły, która kazała jej posłużyć się mężowskimi paskami, gdyż klamry powodowały skuteczne wytracanie impetu. I choć pokaleczone dłonie protestowały coraz większym bólem, dziewczyna wytrwała do końca.

Miała ochotę rozplakać się z ulgi, gdy poczuła pod stopami upragniony grunt. Ale to musiało poczekać, jeszcze nie była wolna. Podniosła z ziemi obrus i owinąwszy się nim, związała oba rogi, by ta dziwaczna szata nie zsunęła się w którymś momencie, po czym pognała na tyły budynku, gdzie zamiast eleganckiego ogrodzenia z żeliwnych elementów znajdował się zwykły płot z drewnianych sztachet.

Jolanta sprawdziła mocowanie kilku z nich, nim natrafiła na wybrakowany element. Zbyt cienkie drewno zareagowało cichym trzaskiem, dziewczyna poczuła też jego sprężynowanie. Spróbowała ponownie, zapierając się przy tym z całych sił, a sztacheta nie wytrzymała naporu i złamała się w miejscu mocowania do poprzecznej żerdzi. Teraz

wystarczyło odgiąć kikut, by odłamał się przy drugim gwoździu i droga na wolność stanęła otworem.

Przeciskając się przez dziurę, Jola dziękowała Bogu za skąpstwo Zdzisława, któremu nie dość, że żał było pieniędzy na otoczenie całej posesji reprezentacyjnym ogrodzeniem, to jeszcze dla oszczędności kazał przybijać sztachety przy zachowaniu dużego rozstawu, gdyż ani myślał wykosztowywać się na coś, czego nikt nie mógł zobaczyć i podziwiać. W jego mniemaniu wydatki były uzasadnione tylko wtedy, gdy podkreślały jego status człowieka majątnego, w przeciwnym wypadku uważał je za zbędne. To dlatego tak się wściekł, gdy bez uzgodnienia kupiła sobie nowe majtki. Bo choć nie żałował jej na stroje, ten akurat nabytek uznał za ekstrawagancję – majtek nikt nie będzie podziwiał, więc wystarczy jej to, co ma w szufladzie.

Poniechała bezproduktywnych rozważań i wróciła do rzeczywistości. Nie miała czasu do stracenia, on mógł w każdej chwili ruszyć w pościg, toteż po wydostaniu się na ulicę pobiegła w stronę centrum Kamienicy, trwożnie oglądając się za siebie. W pewnej chwili usłyszała odgłos silnika samochodu i wrosła ze strachu w ziemię, pewna, że to Tarnawa odkrył jej ucieczkę i wyruszył w pościg. Rozum podpowiadał, że powinna natychmiast się ukryć, ale lęk sparaliżował ją do tego stopnia, że nie była w stanie ruszyć się z miejsca. Widziała migające światła zbliżającego się auta, wkrótce i ono wychynęło zza zakrętu, i dopiero wtedy uświadomiła sobie, że niepotrzebnie uległa panice. Samochód nadjeżdżał z przeciwnego kierunku, nie

stanowił więc żadnego zagrożenia. Mógł natomiast okazać się jej wybawieniem.

Ruszyła naprzód na ciągle jeszcze drżących nogach, a gdy auto się przybliżyło, zaczęła jak szalona machać rękami, by zwrócić na siebie uwagę kierowcy. Półprzytomna wskutek niedawnych przeżyć i otumaniona strachem, Jolanta nie zwróciła uwagi ani na oznakowanie, ani na koguta na dachu, biorąc go za podświetlony napis „taxi”. Gdy radiowóz zahamował przy krawężniku i zobaczyła wysiadającego mężczyznę w milicyjnym mundurze, ulga była tak wielka, że dziewczyna poczuła nagłą słabość i gdyby nie szybki refleks funkcjonariusza, upadłaby mu u stóp.

W pierwszej chwili milicjanci uznali, że jest pijana. Wyczytała to z ich min oraz porozumiewawczych spojrzeń, a także wymienianych ściszonymi głosami uwag. Tak było do chwili, gdy podtrzymujący ją starszy szeregowy nie zauważył krwawych plam na spowijającym ją obrusie.

– Jest pani ranna?

Nie zdążyła odpowiedzieć, gdy z radiowozu wysiadł drugi milicjant, w randze starszego sierżanta, i uważnie zlustrował ją wzrokiem. Spojrzał na zakrwawione stopy i posiniaczone nadgarstki, przeniósł wzrok na rozbitą wargę oraz prawe oko zapuchnięte tak bardzo, że spoglądało na świat przez wąską szparkę, popatrzył na rozbity łuk brwiowy i podbiegnięty krwawymi wybroczynami lewy policzek, i zaklął głośno, po czym wziął ją na ręce i zaniósł do samochodu.

– Jedź na ostry dyżur – polecił kierowcy. – Może pani mówić? – spytał łagodnie. – Proszę nam powiedzieć, kto to pani zrobił.

Jolanta zawahała się, niepewna, czy nie pogorszy swojej sytuacji. Mąż twierdził, że ma milicję w kieszeni, a dotychczasowe nieudane próby wyekspediowania go do więzienia zdawały się te słowa potwierdzać. Ale milicjanci spoglądali na nią z taką troską, że dziewczyna postanowiła uwierzyć ich zapewnieniom, że oprawca poniesie karę. Wzięła głęboki wdech i zaczęła opowiadać.

Rozdział 9

Na tropie Karata

Czerwiec – lipiec 1985, Bielsko-Biała

Tarnawa obudził się wypoczęty, zrelaksowany i znów gotowy do miłości. To go nie zdziwiło, jego potrzeby seksualne zawsze sięgały ponad przeciętność, a teraz chciał sobie odbić cztery miesiące nieobecności żony.

– Doris? Gdzie ty znowu polazłaś? Chodź tutaj – zawołał, gdy odkrył, że żony nie ma w pokoju.

Odpowiedziała mu cisza. Wstał z łóżka i przeklinając żonę, przez którą nabrzmiałe przyrodzenie pulsowało, nie mogąc się doczekać spełnienia, ruszył do wyjścia. Szarpnął za klamkę, jednocześnie robiąc krok naprzód, i omal nie rozbił sobie głowy. Zdezorientowany, spróbował ponownie i dopiero wtedy zrozumiał, że coś ją blokuje. Mimo naporu drzwi drgnęły tylko odrobinę.

Ta suka mnie zamknęła! – przebiegła mu przez głowę pełna zdziwienia myśl.

Był przekonany, że ponownie ją złamał, oduczył raz na zawsze buntowania się przeciw niemu, a ona zwyczajnie go oszukała i ośmieliła się zablokować w jakiś sposób klamkę oraz dodatkowo zastawić czymś drzwi. Naparł na nie z całej siły raz i drugi, potem znów. Za którymś razem jakiś przedmiot grzmotnął o podłogę, a skrzydło, przesuwając coś z hurgotem, wreszcie zaczęło się odchylać.

Po odzyskaniu wolności Tarnawa przekonał się, że przeszkodą blokującą klamkę była miotła, leżąca teraz pod ścianą ze złamanym styliskiem. Drzwi natomiast zastawione zostały niedużą komodą, od niepamiętnych czasów zdobiącą przedpokój, a teraz tkwiącą na środku przejścia. Było to do przewidzenia, z cięższym meblem żona by sobie nie poradziła. *Ale i tak niepotrzebnie się uszarpała* – pomyślał z fałszywym współczuciem. *Nic tym nie zyskała, bo już nigdy stąd nie wyjdzie.*

Doris nie wiedziała, bo i skąd mogłaby wiedzieć, jak dobrze przygotował się na jej powrót. Na pewien czas darował sobie śledzenie żony, zajął się za to remontem domu. O tym, jak nietypowy był ów remont, nie miał pojęcia nikt, nawet robotnicy, którym kolejno zlecał tylko mały odcinek prac. Zresztą część tych ludzi pracowała u niego w przedsiębiorstwie, które odziedziczył po ojcu, byli więc od niego zależni, bo niby budowlaniec wszędzie znajdzie zatrudnienie, ale nie za tak wysoką pensję. Nie zaryzykowaliby utraty pracy po to, by się pochwalić, co robili w domu szefa.

A robili przedziwne rzeczy. Przede wszystkim założyli grube kraty w oknach, nie pomijając nawet

tych na piętrze oraz małego okienka w łazience na parterze. Gdy już się z tym uporali, dostali polecenie wymiany drzwi frontowych i garażowych oraz montażu wymyślnych zamków.

– Jestem zamożnym człowiekiem, a w okolicy była seria włamań – opowiedział na niezadane pytania, gdy budowlańcy ze zdumieniem oglądali nowe skrzydła drzwiowe wzmocnione stalową kratownicą.

Jeśli nawet robotników zdziwił pomysł, że włamywacze mogliby się posunąć do prób porąbania drzwi na kawałki, nie dali tego po sobie poznać i w milczeniu wstawili kolejne, odgradzające piętro od klatki schodowej.

Po zakończeniu prac budowlanych Tarnawa wezwał zatrudnione u niego w firmie sprzątaczkę i wkrótce potem dom był przygotowany na powrót Doris, która nie miała już żadnych szans na ucieczkę. Dlatego teraz w ogóle nie przejął się jej buntem i po zdziwieniu będącym jego pierwszą reakcją nastąpiło rozbawienie. Tarnawa zarechotał, wyobraziwszy sobie minę żony, gdy ta odkryła, że nie może wydostać się z domu, i z uśmiechem na ustach zaglądał do kolejnych pokoi, nawołując wesoło:

– Uważaj, Doris, nadchodzę! Zaraz cię znajdę!

Po półgodzinie jego humor znacznie się pogorszył. Nie znalazł żony w żadnym z pomieszczeń, choć zajrzał do wszystkich możliwych schowanków i zakamarków, i poszukiwania przestały go bawić.

– Doris, kochanie, dość tego. Chodź po całusa na przeprosiny. Słyszysz, szmato? Wychodź, bo zaraz się wkurwię.

Nie pomogły jednak ani prośby, ani groźby – gdziekolwiek Doris się schowała, nie zamierzała zdradzić swojej kryjówki. Błady z wściekłości Tarnawa wrócił do sypialni i podszedł do szafy, uświadomiwszy sobie, że wygląda idiotycznie, miotając się po domu z dyndającym między nogami przyrodzeniem. Ubrał się szybko i właśnie zmierzał do kuchni, gdy ktoś zadzwonił do drzwi. *Pewnie mama* – pomyślał, gdyż rodzicielka nabrała ostatnio niemiłego zwyczaju osobistego sprawdzania, czy ukochany jednak nie przymiera aby głodem. Najchętniej by ją pogonił, lecz czekała go sprawa w sądzie, a tu ze swoimi znajomościami mogła mu się jeszcze przydać.

Otworzył skomplikowany zamek drzwi prowadzących na klatkę schodową, zbiegł na parter i zajął się otwieraniem kolejnego. Ledwo zdążył się z nim uporać, gdy do środka wpadli milicjanci. Zdzisław milczał, gdy poinformowali go, że został zatrzymany pod zarzutem gwałtu, pobicia oraz bezprawnego pozbawienia wolności, i nie protestował, gdy zakładali mu kajdanki. Był zbyt ogłupiały. Przecież odciął wszystkie drogi ucieczki, jak więc Doris zdołała się wydostać?

Przy radiowozie milicjant nagle się zatrzymał, obejrzał się na dom i na jego twarz wypłynął złośliwy uśmiech.

– Patrz, Darek, jaki debil – zwrócił się do kolegi, łypiąc znacząco na Tarnawę. – Niby bogacz, dom jak forteca, a pożałował forsę na kratę do takiego małego okienka.

Zdzisław zerknął przez ramię we wskazanym przez funkcjonariusza kierunku i dopiero teraz zrozumiał, jak żonie udało się uciec. Rzeczywiście

zrezygnował z okratowania okna łazienki na piętrze, gdyż wydawało mu się niemożliwe, by Doris mogła się tamtędy wymknąć. Wymiary czterdzieści dwa na czterdzieści dwa centymetry z pewnością nie były wystarczające do tego, by zmieścić w sobie biodra dorosłej kobiety.

Prócz tego okienko znajdowało się nad wjazdem do garażu i od ziemi dzieliło je jakieś sześć metrów. Jak więc Doris zdołała się wydostać?

Tarnawa ponownie się obejrzał i zanim wepchnięto go do suki, zdążył zobaczyć lekko kołyszącą się na wietrze linę skonstruowaną z jego własnych pasków do spodni. Ten widok przelał czarę goryczy. Mężczyzna zacisnął w pięści skute kajdankami dłonie i wyrzucił z siebie litanie przekleństw.

– Dzień dobry. Panie poruczniku, przyprowadziłem Bogdana Olszara, który zgłosił się na wezwanie – odezwał się od progu młody funkcjonariusz.

Olszar był dokładnie taki, jak postrzegała go Inga – arogancki, zarozumiały, bezczelny i niegrzeszący inteligencją. W przeciwieństwie do praktykanta wszedł bez przywitania. Rozejrzał się po pokoju i nie zwracając się bezpośrednio do żadnego z trzech obecnych w pokoju mężczyzn, zapytał:

- Który to Jagielski?
- Dla ciebie pan porucznik Jagielski, głupi tłuku
- odezwał się siedzący przy biurku Jerzego

Mirosław Kazimierczak, który wpadł tutaj przed chwilą, by się podzielić najświeższymi informacjami.

– Tylko nie „tłuku”! – wrzasnął rozzłoszczony Olszar. – Nie macie prawa obrażać obywateli.

– To nie była obraza, tylko ocena, a oceniać mamy prawo – odpowiedział mu Marek Zapała, dzielący ten pokój z Jagielskim. – Jeżeli dorosły mężczyzna nie wie, że należy powiedzieć „dzień dobry” i grzecznie się przedstawić, to jest głupim tłukiem, bucem, matołem i co tam jeszcze. Możesz sobie wybrać.

Mężczyzna zrozumiał, że znajduje się na straconej pozycji, toteż poniechał dalszej pyskówki i zapytał, siląc się na grzeczny ton:

– Czy to długo potrwa? Bo mam ważne sprawy do załatwienia.

– To zależy od ciebie. Jak nie przestaniesz nas wkurwiać, to zajmie się tobą Komisja do Walki ze Spekulacją, a wtedy posiedzisz u nas trochę dłużej – poinformował go Zapała z szerokim uśmiechem.

Olszar zamierzał mu odpysknąć, lecz napotkał spojrzenie trzeciego z obecnych i słowa uwięzły mu w gardle. Gdy patrzył na surowe rysy i lodowate oczy tamtego, skłonny był uwierzyć nie tylko w opowieści o tysiącach niewinnych ludzi pobitych do nieprzytomności bądź zakatowanych na śmierć przez żądnych krwi sadystów w mundurach, ale nawet w to, że później milicjanci ćwiartują ich ciała, by sprzedać mięso na czarnym, nieregulowanym kartkami rynku. Poczuł nagły chłód i bezwiednie stulił ramiona.

– Emil, lepiej tak na niego nie patrz, bo jeszcze mi się tu zesra ze strachu – odezwał się Jagielski zza szafy, gdzie zmieniał spodnie, doszczętnie przemoczone po blisko trzygodzinnym staniu na deszczu podczas oględzin. – Idź sobie stąd, Miro – polecił. – Przyjdę do ciebie, jak skończę z panem Olszarem – odpowiedział na protesty technika. – Dobrze wiesz, że nie możesz uczestniczyć w przesłuchaniu.

Kazimierczak ze złością zacisnął wargi, zawahał się, lecz wstał niechętnie i wyszedł. Dopiero na zewnątrz dał upust uczuciom i z całej siły trzasnął drzwiami. Na ten odgłos starszy sierżant Zapala uniósł wysoko brwi.

– Nie wiedziałem, że ma tyle pary. Ty to pewnie tak pierdolniesz, że wyjebiesz pół ściany, co nie, Adamaszek?

– Nie – odparł zwięźle zaczepiony, po czym dorzucił bardziej na użytek wychodzącego zza szafy Jerzego niż jego współlokatora: – Nie pierdolnę, bo nigdzie nie wychodzę. W końcu ja też robię przy tej sprawie.

Rzucił Jagielskiemu wyzywające spojrzenie, lecz ten tylko wzruszył ramionami. Emil miał rację. Jako funkcjonariusz wydziału kryminalnego zdobywał wszelakie informacje, dlatego powinien znać ustalenia śledztwa. Jerzy podszedł do swojego biurka, usiadł, przysunął bliżej starego łucznika i wkręcił do niego czysty druk protokołu przesłuchania.

– Jak chcesz – mruknął. – Nie szkoda ci czasu? Możesz sobie potem przeczytać. – Wskazał wkręcony w maszynę formularz.

– Nie szkoda – odparł Adamaszek. – Lubię być na bieżąco. Poza tym akurat teraz mam trochę luzu, więc mogę sobie popatrzeć, jak ten cienias sra w gacie ze strachu. Zawsze to jakaś rozrywka.

Olszar zrobił minę, jakby miał zamiar zaprotestować, lecz najwyraźniej wystarczył mu jeden rzut oka na wykrzywione w paskudnym uśmiechu wargi stojącego pod oknem mężczyzny, by zrezygnował ze sprzeciwu. Jagielski także się uśmiechnął, przy czym ten uśmiech był tylko odrobinę mniej nieprzyjemny.

– Siadaj – polecił wezwanemu mężczyźnie. – Nazywam się Jagielski, jestem podporucznikiem milicji i zadam ci teraz kilka pytań. A w twoim interesie jest odpowiadać szczerze i wyczerpująco. Czy to jasne?

Bogdan Olszar usiadł na wskazanym mu krześle z boku biurka, lecz nie zamierzał biernie czekać na rozwój sytuacji.

– Ale ja nic nie wiem... – zaczął asekuracyjnie, lecz zaraz zamilkł, zmrożony spojrzeniem milicjanta.

– Ile jest dwa razy dwa? – spytał Jerzy. Wysłuchał poprawnej odpowiedzi i zadał następne pytanie: – Z jakim państwem Polska graniczy na południu?

– Chyba... z Czechosłowacją – odparł ogłupiały Olszar, niepewny w tej chwili bodaj własnego imienia.

– Czyli skłamałeś, mówiąc, że nic nie wiesz – stwierdził podporucznik ze smutkiem. – Szkoda, bo składanie fałszywych zeznań jest karalne.

Od strony okna dobiegł dźwięk przypominający parsknięcie, lecz gdy Jagielski tam popatrzył, mina Emila nadal wyrażała całkowitą obojętność. Starając się zachować powagę, przeniósł wzrok z powrotem na Olszara, przypominającego teraz karpia wyjętego z wody. Minęło dość dużo czasu, nim mężczyzna przemógł zaskoczenie nieoczekiwaną konkluzją milicjanta i ostro zaprotestował:

– To jest nieuczciwe! Skąd miałem wiedzieć, że pan już zaczął przesłuchanie? Ja naprawdę myślałem...

– Myślenie zostaw tym, którym wychodzi to lepiej – pouczył go podporucznik. – Przedtem żartowałem, ale teraz już koniec śmichów-chichów i robienia se jajec. Jak Karat ma na nazwisko?

– Nie wiem, nigdy nie... – Olszar w ostatniej chwili przełknął resztę wypowiedzi, zerknął na milicjanta i dokończył inaczej, niż pierwotnie zamierzał: – Nigdy o kimś takim nie słyszałem.

– To ciekawe – zauważył Jagielski i przyjrzał mu się z taką uwagą, jakby oglądał jakiś interesujący eksponat na wystawie osobliwości. – „Mikron” to twój ulubiony lokal. Nie ma co zaprzeczać, zbyt wielu świadków zeznało, że bardzo często cię tam widywali. Niektórzy nawet podejrzewali, że masz tam stałe zameldowanie.

Wyraźnie poirytowany mężczyzna darował sobie odżegnywanie się od rzekomych odwiedzin w wymienionej przez podporucznika kawiarni, co zgodnie z przewidywaniami Jerzego miał zamiar zrobić. Zamiast tego przeszedł do ataku.

– I co z tego, że tam chodzę? To nie jest zabronione. A pan chyba musi się bardzo nudzić i dlatego czepia się pan pierdół.

– Olszar, nie wystawiaj mojej cierpliwości na próbę i nie zgrywaj robaczka świętojańskiego, bo w końcu tak mnie wkurwisz, że ci jebnę. Właśnie w „Mikronie” widywano cię z Karatem.

Jagielski podsunął świadkowi portret pamięciowy. Olszar rzucił okiem, przybladł lekko, lecz jeszcze się nie ugiął.

– Nie znam...

– Nie znasz?! Piłeś z tym gościem co najmniej pięć razy, ale twierdzisz, że go nie znasz?! W takim razie jednak posiedzisz sobie u nas trochę dłużej, bo słyszałem, że to ponoć dobrze robi na pamięć.

Twarz przesłuchiwanego mężczyzny przybrała siną barwę. Olszar potoczył wkoło błagalnym wzrokiem, lecz napotkał tylko obojętne spojrzenia pozostałych funkcjonariuszy. Ten spod okna ani na moment nie zmienił wyrazu twarzy, w którym nie można było dopatrzeć się żadnych uczuć, z kolei ten siedzący naprzeciwko Jagielskiego uśmiechał się drwiąco. Naraz wstał i ruszył ku drzwiom.

– Idę po jakąś szmatę, bo prędzej czy później poszcza się ze strachu.

Olszar zrozumiał, że z ich strony nie doczeka się pomocy. Był zdany na łaskę i niełaskę przesłuchującego.

– Wiem, że mówią na niego Karat, ale nie mam pojęcia, jak ma na nazwisko. Przysięgam! – wykrzyknął z rozpaczą. – Raz się tym

zainteresowałem, ale tak na mnie popatrzył, że odechciało mi się więcej pytać.

– Czemu się z nim spotykałeś?

– To on kiedyś się do mnie dosiadł i potem jakoś tak poszło. – Olszar popatrzył niepewnie. – To nie jest żaden mój kumpel, spotykaliśmy się przypadkowo.

– Co najmniej pięć razy? Już ci wierzę!

– Panie poruczniku, naprawdę tak było. Nie wiem, czemu chciał ze mną gadać, ale przychodził do „Mikrona” wtedy, kiedy ja tam byłem, dosiadał się i stawiał mi wódkę. Może chciał się załapać do roboty? Bo ciągle wypytywał o firmę rodziców.

Teraz już nie udawał twardziela; naprzeciwnie Jagielskiego siedział wystraszony i chętny do współpracy człowiek. Jerzy obserwował go spod zmrużonych powiek. Był pewien, że świadek wreszcie postawił na szczerość, lecz to w żaden sposób nie wyjaśniało nadmiernego zainteresowania Karata jego osobą. Chyba że...?

– Co robicie z utargami? – zapytał znienacka. Napotkał pusty wzrok Olszara i doprecyzował: – Odwozicie do banku sami czy zatrudniacie konwojentów?

– To zależy. Przed świętami utargi są duże i wtedy się zdarza, że ojciec wynajmuje kogoś do ochrony. Ale normalnie zawozimy sami. A czemu pan o to pyta? Karata na pewno nie wynajmował.

Podporucznik zignorował tak zdziwioną minę świadka, jak i jego naiwne pytania i zadał własne:

– Jak było przed Wielkanocą? Czy to konwojent odwoził utarg?

Olszar zastanawiał się jakiś czas, nim odpowiedział:

– Utarg nie był duży, dlatego ja miałem odebrać forszę ze sklepów. Ale dostałem sraczki, dlatego wysłałem żonę. Pamiętam to dobrze, bo ta idiotka wymyśliła sobie, że ktoś za nią jedzie, i zamiast do banku, przywiozła pieniądze do domu.

Jagielski wyobraził sobie wściekłość przestępcy liczącego na przejęcie utargu i mimo woli się uśmiechnął, co dodatkowo wystraszyło i tak już dostatecznie przerażonego świadka. Bogdan Olszar wyglądał teraz na kogoś, kogo tylko jeden krok dzieli od popadnięcia w histerię.

– Czy jeszcze potem widziałeś się z Karatem?

– Nie, to był ostatni raz. Nie chodziłem później do „Mikrona”, bo kumpel uznał, że w „Słupskiej” jest lepiej.

Nie objaśnił, na czym miałyby polegać owo „lepiej”, milicjant także nie skomentował tej wypowiedzi, choć miał wielką ochotę zauważyć, że przynajmniej jeden z nieciekawego towarzystwa Bogdana wykazał się myśleniem. Załatwianie lewych interesów w lokalu z niemal całkiem przeszkloną ścianą, przez którą każdy przechodzień mógł zobaczyć gości siedzących przy kawiarnianych stolikach, nie należało do zbyt mądrych rozwiązań. Ale, jak to określiła Inga Piątkowska, jej szwagra żadną miarą nie dałoby się zaliczyć do najostrzejszych kredek w piórniku.

Jagielski nie powiedział też, że dzięki temu koledze Olszar uniknął dalszych kontaktów z Karatem, a co za tym idzie, ocalił sklepowy utarg

od rabunku. Zamiast tego wyjął fotografię Doroty Milewskiej.

– Znasz ją?

Zdumienie w oczach świadka w zasadzie wystarczyłoby za odpowiedź.

– Przecież to Dota! Dorota... – Olszar urwał i spojrzał z przestrachem na Jagielskiego. – Nie znam jej nazwiska. Widziałem się z nią tylko dwa razy.

– Kiedy i gdzie?

– W sali „Pod Orłem” na imprezie z okazji Dnia Handlowca. Przypadkowo się z nią zderzyłem, kiedy schodziliśmy z ojcem ze sceny. Dostaliśmy wyróżnienie za wkład w rozwój miasta – wyjaśnił z dumą.

Jagielski w jednej chwili zrozumiał, skąd wzięło się zainteresowanie Karata niedużą firmą Olszarów. Wyróżnienie mogło im zasugerować uzyskiwanie przez „Olbut” wielkich obrotów, a prywatny konwój łatwiej i bezpieczniej napaść niż państwowy. Bogdan zderzył się z Milewską przypadkowo? Akurat!

– Co było potem?

– Nic. Pogadaliśmy chwilę, ale na sali była moja żona, więc sam pan rozumie. – Olszar posłał milicjantowi porozumiewawczy uśmiešek. – Umówiłem się z Dotą w „Mikronie”, ale nie przyszła – wyznał z wyraźnym żalem.

– Przyszedł za to Karat – dopowiedział Jerzy. – Bo to wtedy spotkałeś go po raz pierwszy, prawda?

– Skąd pan wie? – zawołał zaskoczony Olszar.

– Bo ja, w przeciwieństwie do ciebie, czasem myślę.

Nie dodał nic więcej, pozostawiwszy przesłuchiwanego w niepewności. Nie zamierzał go ostrzegać przed prawdziwymi intencjami Karata. Niech Olszar na własnej skórze się przekona, jak to przyjemnie czuć się bezradnym, zdecydował nie całkiem zgodnie z ideą milicyjnego ślubowania, za to zgodnie z ideą przyjaźni.

– Czy to już wszystko? – spytał Bogdan. – Bo trochę mi się spieszy. Mam jeszcze dużo ważnych spraw do załatwienia.

Najwyraźniej przestał odbierać Jagielskiego jako zagrożenie, ponieważ znowu przybrał pełen wyższości ton. Jerzy celowo uśmiechnął się przepraszająco.

– Jeszcze tylko jedno pytanie. Wspomniałeś, że wasze pierwsze spotkanie nastąpiło w Dniu Handlowca. A kiedy odbyło się drugie?

Olszar dość długo nie odpowiadał. Marszczył brwi i drapał się po głowie, jakby chciał w ten sposób pobudzić do działania komórki mózgowe. Po kilku minutach, kiedy Jagielski już zwątpił, że doczeka się jakiejś sensownej reakcji, mruknął niepewnie:

– Zadzwoiła do mnie jakoś tak przed Wielkanocą, czyli musiało to być albo końcem marca, albo początkiem kwietnia. Chciała się spotkać, więc znów umówiłem się z nią w „Mikronie”. Myślałem...

Urwał i wbił wzrok w blat w biurka.

– Myślałeś, że na ciebie leci, a ona wypytywała cię o sklepy. Tak było, prawda? – roześmiał się

podporucznik. – Swoją drogą, nie wiem, na co liczyłeś. Babka przez dwa miesiące cię olewała i co? Nagle sobie przypomniała, że się jej podobasz?

– Nie rozumiem – bąknął Olszar. – W takim razie po co to wszystko?

– Ty naprawdę jesteś taki głupi czy tylko udajesz?
– Jagielski znowu westchnął. – Ona już nie zadzwoni. Ale gdybym był na twoim miejscu, to na widok Karata spierdalałbym ile sił w nogach, a już na pewno bym z nim nie pił ani nie gadał. Chyba że chcesz, żeby wasz utarg zasilił jego kieszenie.

Rozdział 10

Plan Rajnera

Lipiec – sierpień 1985, Bielsko-Biała

Pod koniec lipca Lucyna poinformowała koleżanki w biurze, że jest w czwartym miesiącu ciąży, co było dla nich sporym szokiem. Widząc ich rozzalone miny, wyjaśniła prędko, że nie chciała mówić wcześniej, żeby nie zapeszyć.

Przyszła matka z dumą obnosiła się z coraz większym brzuchem, w którym, ku ogromnemu zdziwieniu koleżanek, mieszkała tylko jedna istotka. Tak zapewniał lekarz, choć one skłaniały się bardziej ku wersji, że dzieci jest tam co najmniej troje, taki był duży.

– Sama sobie zrób trojaczki – zirytowała się Lucyna, usłyszawszy któregoś dnia o tym podejrzeniu. – Ja wolałam rozłożyć to na raty. Po co dobrowolnie rezygnować z przyjemności? – Ujrzawszy niezrozumienie na twarzy Joli, dodała mentorskim tonem: – Zgodnie z naukami Kościoła

seks powinien służyć wyłącznie prokreacji. W takim razie troje dzieci po jednym seksie to kiepski interes. Jako księgowa powinnaś to wiedzieć. Ale z drugiej strony, skoro nie masz dzieci, to ty pewnie jeszcze ani razu.

Jolanta prychnęła i demonstracyjnie odwróciła się do niej tyłem, zwracając twarz w stronę Ingi.

– Nie rozmawiam z tą wariatką. – W jej głosie brzmiał śmiech. – Od kiedy wyszła za mąż, tylko seks jej w głowie, co zresztą widać po jej figurze.

– Wszystko przez to, że pan mąż zapomniał o przestrodze – oznajmiła Lucyna. – Dlatego teraz noszę to brzuszysko.

– Jakiej przestrodze? – Piątkowska spojrzała na nią podejrzliwie. – Na mózg ci ta ciąża padła?

– Jurek mówił, że podobno najlepszym środkiem antykoncepcyjnym jest powiesić sobie nad łóżkiem napis: „Pamiętaj, że i ty możesz spłodzić Albina Siwaka”.

– I co, nie poskutkowało? – Jola dusiła się ze śmiechu.

– Nie zdążył powiesić – mruknęła Lucyna, co wywołało u koleżanek nowy atak wesołości. Prychnęła, udając gniew. – A wy dałybyście się zabić za taki seks – stwierdziła w rozmarzeniu, zapominając, że miała udawać obrażoną.

– À propos zabijania, to coś mi się przypomniało. – Inga poprawiła się na krześle, by móc widzieć dobrze obie koleżanki naraz. – W moim hotelu powiesili ostatnio kartkę z napisem: „Pamiętaj, wódka zabija powoli”. A rano zauważyłam, że ktoś

pod tym dopisał: „Nie szkodzi, mnie się nie spieszy”.

Znowu wybuchnęły śmiechem i zaczęły wspominać różne mniej lub bardziej dowcipne napisy na murach, ścianach i tablicach ogłoszeniowych. Przerwało im dopiero wejście głównego księgowego, poszukującego pewnej faktury. Lucyna podała mu żądany dokument i już miała zamiar zabrać się do pracy, gdy przypomniała sobie, że najmłodsza z nich nie została jeszcze rozpytana w kwestiach sercowych. Postanowiła czym prędzej naprawić to niedopatrzenie.

– A ty, Piątkunia? Kiedy wreszcie znajdziesz sobie jakiegoś faceta?

Inga rzuciła jej spojrzenie mówiące, że koleżanka dla własnego dobra powinna poniechać tego tematu, ta jednak tylko się roześmiała. Jolanta również zlekceważyła nieme ostrzeżenie i przyłączyła się do indagacji.

– No powiedz, nie bądź taka. Masz kogoś?

– Dobrze wiecie, że nie mam czasu na facetów – burknęła nieco poirytowana Inga. Nie zamierzała zdradzać powodu, dla którego jest samotna. – Muszę się uczyć. Przecież robię magisterkę.

– Nie możesz trochę zwolnić? Wcale nie musisz tak zakuwać, bo nagrody i tak już nie dostaniesz.

W tym Jola miała rację. Pierwszy stopień Inga ukończyła ze średnią 4,7, za co zgodnie z zakładowym regulaminem otrzymała nagrodę pieniężną w wysokości swojej aktualnej pensji. Nagrodę można było otrzymać tylko raz, więc za studia magisterskie już jej nie przysługiwała. Ale

Piątkowska i tak miała zamiar ukończyć je z dobrą lokatą, poza tym było to świetne wytłumaczenie niechęci do randkowania.

– I co z tego? Chcę mieć dobre oceny na dyplomie. Nie wiadomo, czy nie będzie trzeba szukać sobie nowej pracy, a wtedy to może mieć znaczenie.

Inga nawiązała do swojego konfliktu z Teresą Haratyk, która od lat zapowiadała, że wkrótce odejdzie na emeryturę, ale jakoś nie odchodziła i jej słowom chyba już nikt nie wierzył. Kobieta nie była zachwycona studiami Ingi, jakby obawiała się, że Piątkowska ma zamiar wygryźć ją ze stanowiska. Gdyby nie główny księgowy, Inga nie dostawałaby premii, a każde jej spotkanie byłoby wyolbrzymiane do rangi pomyłki roku.

Niestety umowa obligowała ją do odpracowania studiów i dziewczyny wiedziały, że znajdującą się pod ciągłą presją Piątkowska szuka zakładu pracy, który przyjąłby ją wraz z tym zobowiązaniem i wypłacił „Instal-Budowi” rekompensatę, więc jej słowa nie wywołały u nich zdziwienia.

– Nie gadamy o studiach czy o robocie, tylko o facetach – upomniała ją Lucyna. – To są takie stwory, podobno też ludzie, tylko uszkodzeni genetycznie.

– Ciekawe, czy twój mąż wie, jak o nim mówisz.

Lucyna puściła oko do Joli i roześmiała się, wyraźnie rozbawiona pytaniem.

– A jak myślisz, skąd znam tę odzywkę? Podobno ich sekretarka tak twierdzi i Jurek mi o tym opowiedział. A znacie dowcip o tym, jak pewien gliniarz ciągle spóźniał się do pracy i w końcu

wkurzony komendant kazał mu dojeżdżać machalasem?

Dziewczyny nie znały, więc Lucyna opowiedziała im usłyszany od męża kawał, gestykulując przy tym zawzięcie.

– Na to komendant szeroko rozłożył ręce i odpowiedział, że też nie wie, co to za pojazd, ale słyszał kiedyś fragment piosenki: „Jedzie kowboj, macha lassem”.

Serdecznym śmiechem oddały dowcipowi należny hołd, wyraziły też uznanie dla Jurka, który uwielbiał kawały o milicjantach i każdy nowo poznany opowiadał żonie.

Inga sięgnęła po swoją skrzynkę z kontami i spojrzała znacząco na koleżankę.

– Pośmiałyśmy się, ale teraz kastle w ręce i do roboty. Samo się nie zaksieguje, a za niedługo przyjdzie stary i powie: „Koleżanki, proszę dać mi noty”.

Tak udatnie sparodiowała nieco afektowany sposób mówienia głównego księgowego, że dziewczyny znów wybuchnęły śmiechem. Ubawiło je zwłaszcza podkreślenie słowa „koleżanki”, którym szef zwykł się do nich zwracać. Wiedziały, że Ingę zawsze korci, by odpowiedzieć mu zwrotem „kolego”.

– W razie czego powiem mu, że not jeszcze nie ma, bo krasnoludki się opinkalały i nie miał kto zaksiegować – rzuciła beztrosko Jola. – Ale czekaj, kochaniutka. Nie powiedziałaś, jak to jest u ciebie z facetami.

– No właśnie – poparła Jolantę Lucyna. – Coś mi się widzi, że jeszcze ci nie przeszło z tym, do którego wzdychasz od lat. Będzie coś z tego? Bo nie wiem, czy mam oszczędzać na prezent ślubny.

Inga zamarła ze skrzynką pod pachą i ręką wyciągniętą w stronę klamki. Nie przyszło jej do głowy, że ponownie zostanie wzięta w krzyżowy ogień pytań, toteż kompletnie zaskoczona, nie umiała na szybko wymyślić jakiejś wymijającej odpowiedzi.

Zrezygnowana, odłożyła skrzynkę, czuła bowiem, że od trzymania jej pod pachą zaczęła jej omdlewać ręka. Usiadła, zapaliła papierosa i popatrzyła gniewnie na rozweselone koleżanki.

– Gównu będzie. Zresztą nie mam teraz czasu na romanse.

– Ale na latanie na basen i na łożenie po górach z kołem PTTK to masz czas – wytknęła Urszula, włączając się niespodziewanie do dyskusji. Dotychczas księgowwała zawzięcie z głową pochyloną nad fakturami, ignorując plotkujące koleżanki.

– To, że teraz mam luzy, nie oznacza, że zawsze tak będzie – odparła Inga, z trudem panując nad zniecierpliwieniem. – Przecież jest sierpień. Niedługo znowu zaczniesz się zapieprzać, a potem muszę się jeszcze obronić.

– Piątka, ty lepiej nie piernicz o zaliczeniach – pouczyła ją Lucyna, nie mniej zaciekawiona od pozostałych dziewczyn. – Chyba że chcesz nam opowiedzieć, jak zaliczyłeś tego faceta.

Od odpowiedzi uratowało Ingę wejście kierowniczki. Czym prędzej złapała skrzynkę z kontami i pobiegła na halę maszyn, uciekając

przed natarczywą indagacją koleżanek. Nie miała ochoty tłumaczyć się z nieprzemijającego zauroczenia mężczyzną, który nie dość, że nigdy nie był nią zainteresowany, to jeszcze serdecznie jej nienawidził. Wiedziała, że to bezsensowne, tym bardziej że Norbert zapewne zdążył już się ożenić, a może nawet został ojcem. Przecież tylko rok dzielił go od trzydziestki.

Ona była o pięć lat młodsza, lecz chwilami czuła się jak staruszka przygniatana do ziemi balastem przeżytych doświadczeń, z których najgorszym było trwające od czterech lat prześladowanie. *Nawet zwierzęta mają okres ochronny, a ja?* – zadała sobie w myślach pytanie, wykrzywiając wargi w żalonym grymasie.

W następnej chwili pomyślała o Jolancie, która tylko własnej determinacji zawdzięczała wydostanie się z rąk sadystycznego męża. Inga doszła do wniosku, że nie powinna narzekać na swój los. Lepiej już przeżyć życie samotnie niż być narażoną na ciągłe gwałty, bicie i upokorzenie. To prawdziwy cud, że Jola zdołała wrócić do równowagi po tych przejściach i że nadal potrafi się śmiać.

Piątkowska chyba jeszcze nigdy nikogo nie podziwiała tak jak koleżanki, gdy ta jeszcze niedawno leżała pod kroplówką na szpitalnym łóżku. Jolka miała opatrunki na twarzy, ramionach i nadgarstkach oraz ciasno obandażowane żebra, a jednak w jej oczach płonął ogień świadczący o woli walki. Nie zamierzała dać się zastraszyć ani teściowej, ani adwokatowi Zdzisława, który usiłował zmusić ją do wycofania oskarżenia.

Inga westchnęła cicho. To prawda, że Jola miała gorzej. Ale czy z tego powodu ona sama powinna przestać marzyć o odrobinie spokoju i szczęścia?

Karat jakby pod ziemię się zapadł. Milicja w żaden sposób nie mogła natrafić na jego ślad, co w zasadzie nie powinno nikogo dziwić, jeśli wzięło się pod uwagę fakt, że mężczyzna o tym pseudonimie nie figurował w kartotece. Nie znano nawet jego nazwiska, a informatorzy zarzekali się na wszystko, co święte, że nigdy o kimś takim nie słyszeli.

– Myślisz, że nie chcę go dorwać?

Jagielski spoglądał z wyrzutem na Rajnera, który na jego słowa o niemożności namierzenia Karata wykrzywił wargi w ironicznym grymasie.

– Tego nie powiedziałem – odparł Milewski z irytującym spokojem. – Ale moim zdaniem powinienes ich bardziej przycisnąć. Jerry'ego i Olszara – sprecyzował. – Jestem pewien, że wiedzą dużo więcej, niż mówią.

– Być może – odparował Jagielski. – Ale co ja mogę zrobić? Nie zmuszę ich do mówienia. Rajner, to już nie te czasy, gdy wystarczyła dobra pała i wąskie drzwi, a podejrzani od razu zaczynali śpiewać.

– Czy ja mówiłem o pałowaniu? – oburzył się Milewski. – Ludzie od razu dorobiliby im polityczną

przeszłość i mielibyśmy kolejnych męczenników, a nie świadków. Myślałem trochę ich postraszyć.

Podkomisarz zastanawiał się przez jakiś czas, obserwując przy tym uważnie Rajnera, potem przyzwalająco skinął głową.

– Dobra, to można zrobić. Ale jeżeli chcemy uzyskać jakiś efekt, to gościem od przyciskania musisz być ty. Tylko nie przesadz, bo oficjalnie jesteś ciągle na chorobowym, poza tym nie masz z tą sprawą nic wspólnego.

– Wiesz co, Jurek? – Brew Milewskiego drgnęła, co w jego przypadku można było uznać za atak gniewu bądź histerię. – Nie wydaje ci się, że trochę przegiąłeś? Jestem milicjantem, nie bandytą.

– Ale chodzi o dorwanie zabójcy twojej żony – cierpliwie tłumaczył Jagielski. – Wcale bym się nie dziwił, gdyby ci puściły nerwy.

Milewski spojrzał na niego przeciągle, lecz nie odpowiedział od razu. Ważył coś w myślach i dość długo trwało, nim znów się odezwał:

– Pogodziłem się z Norbertem – rzekł pozornie bez związku. – To znaczy przyznałem, że jestem debilem, który pozwolił, żeby rządził nim kutas.

– Chyba nie tylko – zaoponował Jerzy. – Swift mówił, że byłeś zakochany...

– Wydawało mi się, że jestem zakochany – poprawił go Rajner. – Ale się pomyliłem. Gdyby było inaczej, nie przeszłoby mi po dwóch czy trzech miesiącach.

– Mogłeś się rozwieść.

– Mogłem – przytaknął Rajner i zamilkł.

Z jego miny nie dało się nic wyczytać, lecz Jagielski domyślił się powodów, dla których Milewski z uporem trwał w nieudanym małżeństwie. Ludzie, którzy nigdy nie mieli rodziny, często usiłują zdobyć bodaj jej namiastkę i nie dopuszczają do siebie myśli, że erzac nie zastąpi prawdziwego związku, opartego na obopólnym uczuciu i zaufaniu. Niektórzy zaś uważają rozwód za porażkę, a siebie za nieudaczników nieumiejących dokonać właściwego wyboru. Jeszcze inni nie rozwodzą się z obu tych przyczyn, i Jerzy podejrzewał, że Rajner należy właśnie do tej grupy.

– Okej. Chodzi ci o to, że nie kochałeś żony, więc nie masz powodu się mścić? – upewnił się, by później nie spotkała go niemiła niespodzianka.

– Właśnie to chciałem powiedzieć. Zależy mi na ujęciu gnoja, który zabił Dorotę, ale to wszystko. Nie planuję dla niego żadnych specjalnych atrakcji. Ona nie była tego warta, żebym miał dla zemsty ryzykować przyszłość.

Właściwie Jerzy już wcześniej postanowił się zgodzić na propozycję Rajnera, a jego ostatnie słowa dodatkowo utwierdziły go w słuszności podjętej decyzji. Zatwierdził więc pakt poprzez uścisk dłoni i zaraz przeszedł do części organizacyjnej.

– Pieczyk czy Olszar? Którego chcesz najpierw?

Milewski nie miał żadnych problemów z ustaleniem właściwej kolejności.

– Zacznę od Olszara. To cienias, któremu imponuje przestępczy świat, ale sam jest zbyt wielkim tchórzem, żeby do niego wejść.

Jagielski zgodził się z tym argumentem i dorzucił swój:

– W dodatku to Karat ma do niego interes, nie odwrotnie.

Rajner po krótkim namyśle skinął wolno głową, wykrzywiając przy tym wargi w drapieżnym uśmiechu.

– Duży utarg – mruknął. – Większy niż zazwyczaj, i to nie o parę złotych, tylko tak o co najmniej połowę. Takiej okazji Karat raczej nie przepuści.

– Racja – mruknął Jerzy. – Problem w tym, że w najbliższym czasie nie ma żadnych świąt, które mogłyby ten utarg uzasadnić.

– Czym on w ogóle handluje? – zainteresował się Rajner.

Dotychczas o to nie zapytał, a teraz uświadomił sobie, że bez poznania asortymentu trudno mu będzie wymyślić jakiś sensowny plan. Jagielski przybliżył mu profil działalności rodzinnej firmy Olszarów, od dawna produkujących toporne obuwie, na które, o dziwo, znajdowali całkiem duży popyt. Sprzedawali je w trzech własnych sklepach, gdzie prócz tego handlowali galanterią skórzaną i wyrobami ze skaju oraz biżuterią dość udatnie naśladującą wyroby ze złota lub srebra.

– Przed Mikołajem, Bożym Narodzeniem czy popularnymi imieninami na pewno utarg im wzrasta. Albo przed wolnymi dniami. Ale teraz?

Słowa Jagielskiego nie były pozbawione słuszności. Milewski zastanawiał się nad nimi przez jakiś czas, wreszcie wzruszył ramionami.

– Namówię go na zorganizowanie jakiejś akcji. Przecena albo obniżka cen z okazji... bo ja wiem? Na przykład rocznicy powstania firmy czy czegoś w tym stylu. Takie coś powinno nagonić klientów, więc Karat połknie haczyk.

– Namówisz go? Hmm.

Jerzy nie dodał nic więcej, lecz kpiący grymas mówił wyraźnie, że podporucznik nie wierzy, by owo namawianie odbyło się w duchu pacyfizmu. Rajner odczytał go prawidłowo i na jego twarzy znów się pojawił niezbyt przyjemny uśmiech.

– Nie mam zamiaru go bić. Mogę przysiąc, że nie tknę go nawet palcem. Ani inną rzeczą, która moja jest.

– A czy ja coś mówię? – zdziwił się nieszczerze Jagielski i zmienił temat. – Z Pieczykiem też będziesz gadać?

– Jeżeli dogadam się z Olszarem, to nie – zdecydował Milewski po chwili wahania. – Karat na pewno nie jest głupi, od razu się skapuje, że coś jest nie tak, kiedy obaj naraz zaczną go namawiać na spotkanie.

W głębi duszy był przekonany, że wystarczy jedna rozmowa z Olszarem, by ten pokornie przystał na plan zwabienia Karata w pułapkę, życie napisało jednak całkiem inny scenariusz. Niespodziewanie Bogdan Olszar zniknął. Przestał pojawiać się w sklepach, a po utarg przyjeżdżał Olszar senior, od długiego już czasu uważany przez personel za właściciela raczej *de nomine* niż osobę rzeczywiście decyzyjną. Mężczyzna nie dał się nabrać na podstępne pytania ekspedientek zainteresowanych nieobecnością młodego szefa i nawet drgnieniem

powieki nie zdradził, że wie, gdzie przebywa jego syn.

Milicjanci podejrzewali, że do Bogdana wreszcie dotarło, co zamierzał zrobić udający dobrego kumpla Karat, wolał więc wyjechać gdzieś pod byle pretekstem niż stawiać czoła bandzirowi oraz własnemu ojcu, któremu musiałby się przyznać, że to przez jego lekkomyślność Karat wziął ich firmę na cel.

Analizując ponownie protokół przesłuchania, Jagielski doszedł do wniosku, że Olszar przy całym swoim cwaniactwie jest naiwny jak dziecko. Może nawet by go pożałował, gdyby nie pewność, że to właśnie ten mężczyzna stoi za włamaniami do pokoju Ingi w hotelu robotniczym. Jerzy od początku polubił tę bezpretensjonalną dziewczynę, a z biegiem czasu przyjaciółka żony stała się także jego przyjaciółką.

Wprawdzie sprawę włamań prowadzili kryminalni, ale Jerzy interesował się żywo postępami w dochodzeniu, dlatego wiedział, że gdyby nie alibi dane Bogdanowi przez jedną z jego pracownic, Olszar już dawno miałby postawione zarzuty. Dlatego milicjant odpędził niewczesną, błędnie zaadresowaną litość i myślał o nim bez cienia współczucia. Ten człowiek na nie nie zasługiwał.

Plotki natomiast głosiły, że Bogdan odsiaduje wyrok za gwałt/rozbój/pobicie/zabójstwo/inne. *Kolportujący owe pogłoski powinni dołączać do nich instrukcję z napisem „niepotrzebne skreślić”* – doszedł do wniosku Jagielski po wysłuchaniu kolejnej porcji bredni. *Dziwne, że jeszcze nikt nie wpadł na pomysł, że porwały go ufoki.*

Cokolwiek jednak stało się z Olszarem, Rajner musiał w tej sytuacji zmienić koncepcję i zająć się Pieczykiem.

Nie musiał go długo szukać. Kryminalni wiedzieli od informatorów, że Jerry ma swoje stałe miejsce w kawiarni „Pod Orłem”, gdzie przy ulubionym stoliku miał zwyczaj załatwiać cinkciarskie interesy. Podobno po dość długiej przerwie znowu zaczął się tam pojawiać, co oznaczało, że jego konflikt z Karatem został zażegnany, a to dobrze wróżyło planowi wymyślonemu przez milicjantów.

Milewski zastał go tam już pierwszego popołudnia, co uznał za swoisty znak, że wprowadzenie zamysłu w czyn nie nastreczy żadnych problemów. Podeszedł do stolika i bez pytania usiadł na wolnym krześle.

– Zajęte – oznajmił Pieczyk, nie podnosząc głowy.

Rajner zlekceważył tę uwagę. Rozsiadł się wygodnie i zlustrował salę uważnym wzrokiem w poszukiwaniu ewentualnego zagrożenia. Zauważył kelnera i skinął na niego, by zamówić kawę, co wywołało protest Jerry’ego.

– Mówiłem, że zajęte! Głuchy jesteś?

– Może jestem. Sprawdź sobie w Związku Głuchych. Mają siedzibę bodajże przy Karpackiej.

– Co jest, kurwa?! Jaja sobie ro...?

Rozeźlony Pieczyk podniósł głowę, by rzucić intruzowi miażdżące spojrzenie. Gdy zobaczył minę i wzrok obcego, urwał w pół słowa.

– Dokończ, Gerard – powiedział łagodnie Rajner.

Wyglądało jednak na to, że przyjazny ton głosu przeraził Jerry'ego bardziej niż odpychająca mina, gdyż młody mężczyzna nagle poderwał się z krzesła i ruszył ku drzwiom. Niestety był zbyt wolny albo przeciwnik za szybki. Nawet się nie obejrzał, a już siedział na swoim zwykłym miejscu, posadzony tam niezbyt delikatnie przez nieznajomego, który teraz przewiercał go wzrokiem.

– Czego chcesz? – wyjąkał, na próżno usiłując ukryć strach.

– Pogadać o Karacie. Już się z nim rozliczyłeś?

– Chuj cię to... – wybuchnął Pieczyk, po czym urwał nagle i dokończył spokojnie: – Nie znam żadnego Karata. Pan mnie z kimś pomylił.

Milewski uśmiechnął się zwodniczo łagodnie.

– Przecież to właśnie ty się nazywasz Gerard Pieczyk, nosisz ksywę Jerry i handlujesz walutą. Czyż nie? – Zauważył minę młodego człowieka i pokręcił głową. – Nawet nie próbuj. Mam kumpli w milicji, więc wypieranie się nic ci nie da.

Jerry poruszył bezdźwięcznie wargami, jakby się modlił lub obliczał swoje szanse. Rajner założył, że to drugie, i pozwolił mu dokończyć. Rzeczywiście po mniej więcej minucie chłopak odezwał się całkiem innym tonem. Brzmiała w nim rezygnacja.

– Faktycznie tak się nazywam i znam Karata. I co z tego?

Milewski postanowił zagrać w otwarte karty.

– To, że mogę ci pomóc, jeśli ty pomożesz mnie. Bo tak sobie myślę, że chyba nie mogłeś nazbierać forsy na spłatę długu w tak krótkim czasie. Ale

przestałeś się ukrywać, a to oznacza, że Karat tym razem nie zażyczył sobie pieniędzy.

Zdumiony Pieczyk skinął głową.

– Skąd wiesz?

– Nieważne – mruknął Rajner. – Kazał ci zastąpić brata, prawda?

Ponowne skinienie. Potem Jerry dorzucił:

– Dał mi czas na zastanowienie. Do jutra.

– Zgódź się – rozkazał Milewski. – Potem ja zajmę się resztą. Nie patrz tak, bo tu nie ma żadnego haczyka. Wreszcie się uwolnisz od tego gnoja. Przestanie się wpierdalać w twoje interesy i zabierać ci szmal.

– A ty? – ośmielił się zapytać Pieczyk. – Co ty z tego będziesz miał?

Odpowiedź była wyjątkowo zwięzła:

– Karata.

Jerry znów zerknął lękliwie w twarz obcego, lecz ciekawość okazała się silniejsza od strachu.

– Kim ty właściwie jesteś?

– Nikim ważnym. Wołają mnie Rilke i ty też możesz tak do mnie mówić. Więcej nie musisz wiedzieć.

– A jeśli się nie zgodzę?

Rajner nie sprawiał wrażenia przejętego.

– Wtedy rozdám wszystkim ważnym ludziom w Bielsku twoje zdjęcie, na którym siedzisz w budynku komendy i gawędzisz sobie z milicjantami. Jak myślisz, ile czasu upłynie, zanim ktoś wręczy je Karatowi?

Rozdział 11

Zasadzka

Sierpień 1985, Bielsko-Biała

Jerry panicznie bał się tego spotkania, a jednak wcale nie okazało się takie straszne i młody mężczyzna po raz kolejny się przekonał, że gorszy od tego, czego tak bardzo się obawiał, był zrodzony w wyobraźni strach.

Wysłannikiem okazał się Dziki, na oko rówieśnik Gerarda, roztaczający tak piękne wizje przyszłości pod opiekuńczymi skrzydłami Karata, że Pieczykomal się nie ugiął. Czyż może być coś cudowniejszego od pławienia się w bogactwie bez konieczności męczenia się pracą? Zaraz jednak przypomniał sobie brata, który również usiłował go przekonać, że lepsze jutro gwarantuje tylko wybrana przez niego droga. Jeżeli owym jutrem miało być leżenie wzorem Marka w kałuży krwi, to on, Gerard, woli podziękować. Zwłaszcza że

bardziej od Karata bał się człowieka zwanego Rilke.

– To jak będzie? – zniecierpliwił się Dziki, czekający na decyzję Pieczyka. – Karat kazał ci powiedzieć, że musisz dzisiaj zdecydować. Albo oddajesz mu szmalec, albo zajmiesz miejsce Marlona. Trzeciej możliwości nie ma, choć ja na pewno coś bym wymyślił. – Uśmiechnął się w taki sposób, że Gerardowi przez plecy przeleciały ciarki. – Na przykład jeżdżenie do końca życia na wózku inwalidzkim.

Jerry nie chciał wzbudzać sensacji. W końcu „Pod Orłem” to porządny lokal, tutaj nie toleruje się mordobicia. Powstrzymał się więc od gwałtownego okazywania uczuć i tylko wysyczał odpowiedź, wzorem Rilkego starając się zapanować nad emocjami. Nie na darmo miał okazję się przekonać, jakie wrażenie robi to na rozmówcy.

– Za cienki jesteś, chłoptasiu, żeby wymyślać dla mnie atrakcje i straszyć wózkiem. Uważaj, żebyś sam na niego nie trafił. A teraz bierz dupę w troki i leć zameldować swojemu szefowi, że zastąpię mojego brata. Choćby po to, żeby w końcu dorwać skurwysyna, który go zabił. Oko za oko.

Dziki uśmiechnął się szeroko i rąbnął Pieczyka w bark.

– No, chłopie, to od razu inna rozmowa! Taką gadkę to ja lubię, i taką robotę też. Gdybyś potrzebował pomocy w zajebaniu tego gliniarza, wal do mnie jak w dym.

Jego niemal szalony śmiech i wyraz twarzy wykrzywionej w grymasie radosnego oczekiwania wyjaśniły źródłosłów pseudonimu, choć zdaniem

Jerry'ego bardziej adekwatnym byłby przydomek „Psychol”.

– Pomoc zawsze się przyda. – Gerard zrobił dobrą minę do złej gry. – Będę o tobie pamiętać, tylko najpierw muszę gnoja znaleźć.

– No to git. To teraz powiedz, gdzie cię szukać, bo chyba nie siedzisz tu przez cały dzień.

Jerry zastanawiał się, co odpowiedzieć. Nie chciał podawać namiaru na swoje mieszkanie, niestety nie miał czasu na wymyślenie jakiegoś wykrętu. Dlatego posłużył się adresem dziewczyny, która kilka tygodni temu zamieszkała u niego, podczas gdy jej lokal przejął brat, będący bokserem wagi półciężkiej.

– Mieszkam u mojej dziewczyny przy ulicy Żywieckiej.

Podał numer domu i mieszkania, zapominając przy tym, że oficjalnie ulica nosi nazwę Marszałka Greczki, narzuconą przez partyjne władze. Dla mieszkańców ta ulica była nadal Żywiecką.

– Gdzie to jest?

Pieczyk objaśnił, którą linią MPK można dojechać do „jego” domu. Dziki zapisał adres na kartce i wstał z krzesła z zamiarem odejścia. Pieczyk szybko przytrzymał go za rękę, nie chcąc dopuścić do zbyt szybkiego rozstania. Nie miał pewności, czy powiadomiony w ostatniej chwili Rilke zdążył dojechać i obejrzeć wysłannika Karata.

– Poczekaj, Dziki. Nie powiedziałaś, co mam robić.

Tamten nawet się nie obejrzał.

– Na razie czekaj. Dam ci znać – rzucił przez ramię.

Jednym szarpnięciem uwolnił rękę z uścisku i wyszedł z lokalu. Jerry z trudem powściągnął chęć rozejrzenia się dookoła, choć aż go skręcało z ciekawości, czy Rilke jest na miejscu. Sącył powoli kawę, a później nadal podnosił szklankę do ust, choć jej zawartość stanowiły już tylko fusy. Minęło dobre pół godziny, gdy nagle przy stoliku objawił się tak długo wyczekiwany gość, choć Gerard gotów był przysiąc, że jeszcze chwilę temu na pewno nie było go w restauracji.

Nowo przybyły usiadł, zawołał kelnera i zamówił dwie kawy, później zaś oddał się obserwowaniu innych gości. Robił to leniwie, jakby od niechcenia, i był w tym tak naturalny, jakby rzeczywiście mijane wzrokiem twarze niezbyt go interesowały. Kiedy kelner podszedł z zamówionymi napojami, mężczyzna zagadnął go, zadając najpopularniejsze chyba w PRL pytanie, od kilku lat powtarzane przez większość dręczonych kacem obywateli:

– Daleko jeszcze do trzynastej?

Zanim mężczyzna w kelnerskiej marynarce zdążył udzielić odpowiedzi, Pieczyk skorzystał z okazji i włączył się do rozmowy.

– Można by dostać coś ostrzejszego niż kawa? – Przymrużył porozumiewawczo lewe oko. – Na przykład oranżadę?

Kelner odszedł bez słowa, lecz po kilku minutach pojawił się znów. Postawił na stoliku butelkę wody sodowej oraz dwie literatki i zwrócił się do Jerry'ego:

– Proszę uprzejmie. Podałem sodówkę, bo oranżada jest ostatnio za słodka.

Napełnił literatki przezroczystym płynem z zadziwiająco małą ilością bąbelków i odszedł. Rilke sięgnął po szklaneczkę i wskazał drugą Pieczykowi.

– Twoje zdrowie, Gerard.

Wypili. Jerry się wstrząsnął, poczuwszy smak bałtyckiej, której serdecznie nie znosił, i szybko popił go kawą. Jego towarzysz natomiast nawet się nie skrzywił. Rozlał resztę wódki do literatek i ponownie wzniósł toast.

– Za owocną współpracę.

– Obejrzałeś go sobie? – spytał Pieczyk, gdy już zneutralizował kawą ohydny smak podłego alkoholu. – Ma ksywę Dzik.

Rilke tylko skinął głową. Zapalił papierosa, wydmuchnął dym i powiódł obojętnym spojrzeniem po sali.

– Nie znałeś go wcześniej?

– Nie, po forszę zawsze przyjeżdżał inny, taki wielki i nabity w sobie. Podobno mówią na niego Taran.

Jerry spojrzał na swojego towarzysza, ciekaw jego reakcji, lecz jedyne, co zauważył, to leciutkie skrzywienie warg, gdy ten się odezwał:

– Zawsze się zastanawiałem, czemu oni przybierają takie idiotyczne ksywy, po których od razu można ich zidentyfikować. Ale to ich problem.

Zamyślony Rilke nadal błądził wzrokiem po sali. Naraz popatrzył prosto w oczy Pieczyka.

– Ten Dziki na pewno nie jest z Bielska. A Taran i Karat?

– Skąd wiesz, że nie jest z Bielska? – spytał zdumiony Jerry.

Rozmówca wzruszył ramionami.

– Nie wiedział, gdzie jest Żywiecka.

Kompletnie zaskoczony Gerard zagapił się na Rilkego.

– Skąd wiesz? Przecież cię tu nie było.

– Byłem, tylko ty nie umiesz patrzeć. Ale ważniejsze jest, że Dziki nie zna Bielska, czyli tu nie mieszka.

Dotychczas chłopak nie poświęcił temu zagadnieniu żadnej myśli, jednak teraz uświadomił sobie, że to prawda. Co więcej, tamci dwaj także niezbyt dobrze się orientowali w topografii Bielska-Białej. Poinformował o tym Rilkego, a ten ku jego zdumieniu wydawał się szczerze ucieszony i nawet na moment utracił ten swój odpychający wyraz twarzy. Zadał tyle pytań o Karata i jego ludzi, że Jerry w końcu się zirytował:

– Co ty, kurwa, w milicji robisz, że się tak dopytujesz?!

– Może robię – odparł Rilke z niezmaconym spokojem. – A co, nie wyglądam na gliniarza?

Pieczyk przyjrzał mu się jeszcze raz i wybuchnął śmiechem, tak bardzo owa myśl wydała mu się absurdalna.

– Prędeż na kogoś, kogo gliniarze prowadzą w kajdankach.

– Tak? No i bardzo dobrze. – Rilke dopił kawę i odstawił szklankę na spodeczek. – Co ustaliłeś z Dzikim?

Jerry natychmiast się zdenerwował i puścił wiązaną świadczącą o doskonałej znajomości męskiej anatomii. Na jego towarzyszu nie zrobiło to jednak najmniejszego wrażenia. Mężczyzna spoglądał na miotającego przekleństwa chłopaka bez mrugnięcia okiem, a jego wzrok wyrażał tylko lekkie znudzenie. Pieczyk wreszcie sobie ulżył i zaczął rozwlekłe opowiadać o spotkaniu z Dzikim, relacjonując treść rozmowy.

– Trudno – powiedział Rilke, gdy Jerry skończył. Nie sprawiał wrażenia wielce przejętego. – Można się było spodziewać, że facet tak od razu ci nie zaufa.

Jego słowa wcale Gerarda nie uspokoiły. Przesuwanie szklanki, mieszanie w niej fusów po kawie, a także kompulsywne obgryzania odstających skórek przy paznokciach jasno świadczyły o podenerwowaniu.

– Jak w takim razie chcesz go dorwać? – wybuchnął. – Bo ja ani myślę chodzić z nim na robotę. Nie jestem bandytą, mordercą też nie, a on chyba nie ma problemu z zabijaniem ludzi, którzy weszli mu w drogę.

– Dorwę, nie bój nic. Niech cię o to głowa nie boli, mam swoje sposoby.

Mówiąc o swoich sposobach, starszy chorąży Milewski nie rzucał słów na wiatr. Był funkcjonariuszem ZOMO, w dodatku należał do grupy zadaniowej Plutonu Specjalnego. Zabójstwo jego żony było policzkiem wymierzonym całej formacji i sprawca tego czynu nie mógł pozostać bezkarny.

Po rozmowie z Jerryem pojechał do komendy, by zdać relację Jagielskiemu. Podporucznik zadzwonił po chorążego Adamaszka, by uzgodnić plan działania. Milicjant z wydziału kryminalnego wysłuchał go uważnie.

– Plan jest niezły. Zaraz zadzwonię do dowódcy ZOMO, żeby dał mi grupę realizacyjną z Plutonu Specjalnego, która w pełnej gotowości będzie czekać na sygnał. Ale wcześniej załatwię wniosek o obserwację. Dorwiemy tego gnoja!

Wrzesień 1985, Bielsko-Biała

W efekcie rozmów Jerzego Gerard Pieczyk znalazł się pod „opieką” Wydziału B, odpowiedzialnego za obserwację. W recepcji hotelu „Pod Orłem” zainstalowano funkcjonariusza z Sekcji Hotelowej jako pomocnika recepcjonisty, monitorującego wchodzących do restauracji mężczyzn, drugi zaś obserwator siedział w holu i udawał, że czyta gazetę. W razie pojawienia się osobnika odpowiadającego rysopisowi Karata, Dzikiego bądź Tarana miał natychmiast dać znać milicjantom

z grupy realizacyjnej, czekającym w samochodzie zaparkowanym na placu Wolności.

Dodatkowo do sprawy włączył się naczelnik Wydziału III Służby Bezpieczeństwa i oddelegował do operacji sekcję terroru do spraw „Solidarności”. Jak powiedział w rozmowie z majorem Kastelikiem, nie można wykluczyć, że zabójstwo żony milicjanta z ZOMO miało podłoże polityczne. Kto wie, czy nie stała za tym ekstrema chcąc zademonstrować, że jeśli tylko zechce, może dopaść każdego i nie ma dla niej ludzi nietykalnych?

Usłyszawszy o tym, Adamaszek i Jagielski ryknęli śmiechem. Sekcja terroru składała się z jednego tylko człowieka, w dodatku z pewnością niedysponującego nadnaturalnymi mocami. Nie bardzo więc wiedzieli, co mógłby zrobić takiego, czego nie mogli inni funkcjonariusze.

– Może dobierzmy sobie jeszcze kogoś z kadr – zaproponował Jerzy, bezowocnie usiłujący się uspokoić. – Zacytuje kilka przepisów, pogrozi paluszkami i facet poszcza się w gacie ze strachu.

W trzecim dniu obserwacji, gdy Jerry jak zwykle usiadł przy swoim stoliku, w lokalu niespodziewanie pojawiła się jego dziewczyna. Znalazła się tam całkiem przypadkowo, tego dnia bowiem wybrała się na zakupy. Wydała już przeznaczone na ten cel pieniądze, gdy zobaczyła na wystawie jednej z prywatek kurtkę, o której od dawna marzyła. Weszła więc do restauracji „Pod

Orłem”, wiedząc, że zastanie tam Gerarda, a on z pewnością da jej potrzebną kwotę.

Pieczyk nie wyglądał na zachwyconego jej obecnością; Dorota Woźnica odniosła wręcz wrażenie, że najchętniej kazałby jej opuścić lokal. Nietypowe zachowanie chłopaka wzbudziło jej podejrzenia, dlatego pozostała głucha na sugestie, że jej obecność źle wpłynie na interesy, bo odstraszy potencjalnych klientów.

– Wstydzisz się mnie? Taka ze mnie maskara, że na mój widok uciekną z krzykiem? – oburzyła się nie całkiem szczerze.

Znała swoją wartość. Wiedziała, że jest ładna i podoba się mężczyznom, poza tym była inteligenta i miała cięty dowcip, toteż nikt w jej towarzystwie nie mógł narzekać na nudę. Powiedziała tak wyłącznie dlatego, że nie chciała przyznać, iż jest zazdrosna, a zachowanie Pieczyka podpowiedziało jej, że w grę może wchodzić inna dziewczyna. Dorota postanowiła, że nie ruszy się od stolika, dopóki Jerry będzie przy nim siedzieć. Tylko tak mogła się przekonać, czy jej przypuszczenia są słuszne.

– Dorotka, co ty? – bronił się Gerard. – Mnie chodzi o to, że widok kogoś obcego może ich zniechęcić. Będą podejrzewać, że to zasadzka...

– Głupoty opowiadasz – skwitowała krótko. – Każdy głupi wie, że milicja nie wysyła dziewczyn do takiej roboty. Co innego parzenie kawy albo przepisywanie na maszynie mądrych męskich myśli. Nadajemy się tylko do takich zajęć.

Przemawiała przez nią gorycz odrzucenia, gdyż zaraz po maturze chciała wstąpić do milicji, lecz

w odpowiedzi dostała pismo informujące sucho, że obecnie komenda nie dysponuje etatami odpowiednimi dla kobiet. Ponieważ w tym samym czasie dzielnicowy namawiał jej kolegów z klasy do wstąpienia w milicyjne szeregi, wniosek mógł być tylko jeden – uważano kobiety za nieprzydatne do służby.

Zrezygnowany Gerard skinął na kelnera, lecz zanim ten zdążył zareagować, do stolika podszedł nieznajomy chłopak o wyglądzie cherubinka. Na widok Doroty zarzucił blond lokami i spojrzał uwodzicielsko, lecz gdy nie wywołało to spodziewanego efektu, z nadąsaną miną przeszedł do sedna:

– Zbieraj się, Jerry, jedziemy.

– Niby gdzie? – zainteresowała się dziewczyna. Nie raczył jej odpowiedzieć, czym od razu doprowadził ją do furii. Nie znosiła, gdy ktoś ją ignorował, i reagowała słowną agresją. Tak jak teraz. – W takim razie nigdzie nie pojedzie, a ty lepiej spadaj, bo takie aniołki jak ty to ja zjadam na śniadanie.

Poczerwieniał ze złości i zrobił ruch, jakby chciał ją uderzyć, lecz na widok groźnej miny podnoszącego się z krzesła Pieczyka cofnął się o krok.

– Możesz nie jechać, ale Karat nie będzie z tego zadowolony.

Na dźwięk pseudonimu mężczyzny wiszącego nad nim niczym Nemezis Jerry przybladł z obawy.

– Jedź do domu, Dorotka. – Podał dziewczynie zwitek banknotów. – Weź, mogą się przydać, bo nie wiem, kiedy wrócę.

O ile w ogóle wrócę – pomyślał, nagle bowiem naszło go przeczucie, że nigdy więcej się nie spotkają. Zaraz potem okazało się, że był w błędzie, gdyż wysłannik Karata zdecydował inaczej.

– Ona też z nami pojedzie.

– Co?! Nie ma mowy! – warknął Pieczyk.

– Chyba cię pojebało! – równocześnie wykrzyknęła Dorota. – Nigdzie nie pojedę i Gerard też nie pojedzie. Powiedz temu swojemu Karatowi, że może nas w dupę pocałować. Nie będzie byle gnojek mi rozkazywać.

Twarz cherubinka wykrzywiła się w paroksyzmie wściekłości. Wciągnął gwałtownie powietrze, po czym wypuścił je ze świstem.

– A jednak pojedziesz – powiedział przez zaciśnięte zęby.

Odchylił połą dzinsowej katany tak, by mogli zobaczyć rękojeść pistoletu wsuniętego za pasek spodni. Ten argument przeważył.

Wysłanie po Pieczyka obcego mężczyzny zaskoczyło wywiadowców. Niczego niepodejrzewający pomocnik recepcjonisty przesunął po wchodzącym do restauracji cherubinku obojętnym spojrzeniem, jego kolega, zajmujący jak zwykle wygodny fotel w holu, postąpił identycznie. Jerry wychodzący z lokalu w towarzystwie Doroty Woźnicy również nie wzbudził ich podejrzeń, wiedzieli wszak doskonale o związku łączącym tych dwoje. Tuż za nimi

restaurację opuścił młody człowiek z blond lokami do ramion i urodzie uduchowionego młodzieńca z obrazów starych mistrzów.

Wywiadowcy już mieli zameldować, że obiekt opuszcza restaurację i zapewne jak co dzień wraca do domu, gdy Pieczyk odwrócił się do cherubina i coś powiedział, a tamten zareagował gniewnym grymasem i nakazującym gestem wskazał mu drzwi. Milicjant obserwujący hall zorientował się, w czym rzecz, i dał znać koledze z recepcji, by ten zawiadomił Jagielskiego, sam zaś wybiegł na plac, by powiadomić siedzących w nieoznakowanym radiowozie kolegów z grupy realizacyjnej. Ale było już za późno. Na jego oczach troje pasażerów szybko wsiadło do zaparkowanego tuż koło wejścia do restauracji dużego fiata w kolorze yellow bahama i odjechało z piskiem opon.

Wszystko stało się tak prędko, że wywiadowca zdążył zauważyć tylko, że auto miało żywiecką rejestrację i numer zaczynający się cyfrą siedem. Przekazał to kolegom, którzy natychmiast ruszyli w pościg, jednak z ich min wywnioskował, że nie robią sobie większych nadziei na powodzenie.

Rajner wraz z kolegą wyszedł z czteropiętrowego bloku przy ulicy Sterniczej, w którego piwnicy rzekomo drukowano na powielaczu ulotki krytykujące ustrój i nawołujące do walki z komunistycznym reżimem. Jak w wielu podobnych przypadkach, także i ten donos okazał

się fałszywy. Właścicielami piwnicy byli starsi państwo zbyt zajęci ukrywaniem przed sąsiadami grzechów swojej jedynej córki, by zawracać sobie głowę konspiracją, a na pytanie o powielacz kobieta zrobiła wielkie oczy.

– A kto to taki ten powielacz?

– My się z przestępcami nie zadajemy – poparł ją mąż. – Wystarczy nam wstydu, że jedyne dziecko wybrało łatwy chleb. Wiadomo, kurwa się nie narobi.

Przed blokiem zgodnym ruchem sięgnęli po papierosy, zapalili i wolno ruszyli w stronę samochodu.

– Co za ludzie – narzekał kolega Milewskiego. – Pewnie jakiś zawiedziony sąsiad fagas napisał to z zemsty, że mu ta córka kurwa nie dała.

– Albo dała, ale wzięła pieniądze, a on myślał, że po znajomości dostanie za darmo – dorzucił Rajner.

Uniesiony lekko w górę kącik warg świadczył o jego rozbawieniu. Przystanął, chcąc przepuścić dwa pędzące na trójkołowych rowerkach maluchy, i rozejrzał się w poszukiwaniu rodziców pozwalających bez troski, by tak małe dzieci jeździły bez opieki dorosłych tuż obok, bądź co bądź, ruchliwej ulicy.

– Idziesz? – zawołał towarzyszący mu plutonowy, który zdążył wysforować się do przodu i właśnie wsiadał do auta.

Starszy chorąży już miał mu coś odkrzyknąć, gdy w mijającym go samochodzie zobaczył znajomą twarz. Pojazd zwolnił, by przepuścić przechodzącego przez ulicę mężczyznę

poruszającego się o kulach. Dzięki temu Milewski mógł zobaczyć, że siedzący obok kierowcy Jerry co prawda nie wygląda na przerażonego, ale co rusz nerwowo spogląda w tył. Dostrzegłszy mężczyznę, którego poznał jako Rilkego, wyraźnie się uspokoił i zaprzestał lustrowania terenu. Mężczyzna idący o kulach dotarł wreszcie do krawężnika i wiozący Pieczyka samochód mógł ruszyć dalej.

Rajner popędził w stronę radiowozu czekającego z włączonym silnikiem. W przeciwieństwie do Jerry'ego wcale nie czuł się spokojniejszy, nigdzie bowiem nie widział milicyjnego samochodu, którym chłopaki ze Specjalnego powinni podążać za Gerardem. Coś musiało pójść nie tak.

– Jedź do Babiogórskiej! – krzyknął, wsiadając. – Szybko!

Na szczęście kierowca nie zaliczał się do ludzi zadających zbędne pytania i nacisnął gaz, nim jeszcze Milewski zdążył zamknąć drzwi.

Rozdział 12

Pułapka

Wrzesień 1985, Bielsko-Biała

Od samego początku los jakby się uparł, by stawać przeciwko milicjantom. Przez drogę znów ktoś przechodził i kierowca stracił cenne sekundy na jazdę po chodniku, by ominąć przechodnia, który stanął na środku ulicy i gapił się na manewry radiowozu. W tym czasie Rajner z twarzą niemal przylepioną do przedniej szyby wpatrywał się w drogę przed nimi. Odetchnął z ulgą, gdy na skrzyżowaniu z ulicą Babiogórką zobaczył fiata w kolorze yellow bahama czekającego na możliwość włączenia się do ruchu.

Straszy chorąży przyrzekł sobie nigdy więcej nie irytować się na zawalidrogi w postaci traktorów, koparek, walców czy innych pojazdów specjalnych, gdyż tylko przejazdowi koparki i ciągniętego przez traktor średniej wielkości dźwigu zawdzięczali dogonienie ściganego samochodu.

– Za tym żółtym fiatem – polecił kierowcy.

Fiat skręcił w lewo, wyprzedził wlokący się walec i pojechał w górę ulicy. Milicjanci stracili trochę czasu, nim mogli wykonać podobny manewr, potem znów, gdy na skrzyżowaniu z ulicą Orzeszkowej musieli poczekać, aż przejedzie dychawiczny trabant kierowany przez staruszkę w kaszkiecie, kurczowo uczeplonego kierowcy. Na szczęście chwilę później Rajner wypatrzył, że ścigane auto skręciło w stronę lotniska, nie musieli się więc zastanawiać, w którą stronę powinni się udać.

Milewski od początku utrzymywał łączność z funkcjonariuszami grupy realizacyjnej i teraz także podał im przypuszczalny kierunek, w jakim tamci mogą zmierzać.

– Jadą w kierunku lotniska. Albo będą chcieli wyskoczyć na Cieszyńską, albo zawrócą do Kamienicy. Co oni, kurwa, kombinują? Przecież tu nic nie ma – dodał, gdy skręcili w boczną ulicę prowadzącą w stronę terenów należących do bielskiego aeroklubu.

– Jest lotnisko – rzucił w odpowiedzi rozmówca. – Może zamarzyło im się uprowadzić samolot i przelecieć nad Czechosłowacją do Austrii?

– Możliwe – mruknął Rajner, lecz w jego głosie zabrakło przekonania. Gdyby tamci rzeczywiście mieli taki plan, nie zabieraliby ze sobą Pieczyka, w dodatku z dziewczyną. – W którym miejscu jesteście?

– Dopiero na górze Michałowicza. Jedź za nimi i melduj na bieżąco.

Ujechali może pół kilometra, gdy za kępą dzikiego bzu zobaczyli śledzony pojazd. Fiat z maską

częściowo ukrytą pod nisko wiszącymi gałęziami wyglądał na porzucony – miał otwarte wszystkie drzwi, a w stacyjce nadal kołysały się kluczyki. Jadących nim ludzi nigdzie nie było widać.

– Kurwa, w powietrzu się rozplnęli czy jak? – zastanawiał się Rajner.

Wyskoczył z radiowozu i właśnie wtedy powietrze przeszył głośny krzyk przerażonej do szaleństwa kobiety. Dobiegł z lewej, gdzie kończyły się pozbawione roślinności tereny lotniska, przechodząc w typowe nieużytki, porośnięte gęsto krzakami i wysoką trawą.

Milewski bez wahania pobiegł w tamtym kierunku. Radiowóz ruszył za nim, lecz zabuksował, wjechawszy w jakąś dziurę, wobec czego kierowca sięgnął po radiotelefon, a plutonowy pobiegł w ślad za Rajnerem. Ten pierwszy dopadł małej polanki, ze wszystkich stron otoczonej krzakami.

Zobaczył leżącego na ziemi Jerry'ego z koszulką zalaną krwią, z raną od noża nad lewą piersią i z oczami spoglądającymi martwo w bezchmurny błękit nieba. Przeniósł wzrok na blondwłosego chłopaka zamierzającego się nożem na stojącą nad martwym Gerardem dziewczynę i bez zastanowienia strzelił do nożownika. W trzech susach przemierzył dzielący go dystans i z wysoku powalił ją na ziemię, błyskawicznie się podniósł i wycelował pistolet w przeciwnika. Zaraz jednak go opuścił. Młody mężczyzna na środku czoła miał dziurę wykluczającą możliwość, że w dalszym ciągu znajduje się wśród żywych.

Rozejrzał się za kolegą i dopiero wtedy zrozumiał, dlaczego słyszał dwa wystrzały, chociaż tylko raz pociągnął za spust. Plutonowy leżał twarzą w trawie, która powinna być zielona, lecz przybrała czerwoną barwę.

Rajner rozejrzał się po okolicy, usiłując zlokalizować miejsce, z którego padł drugi strzał, i jego wzrok zahaczył o samotne drzewo otoczone niewysokimi zaroślami. Strzelec mógł się ukryć tylko tam. Już miał ruszyć w pościg, gdy wreszcie pojawili się milicjanci z Plotonu Specjalnego, zostawił więc tę sprawę w ich rękach i zwrócił się do dziewczyny. Podniosła się już z ziemi i stała teraz nad ciałem ukochanego w kompletnym bezruchu – niczym Niobe zamieniona w kamień po śmierci dzieci. Pomyślał, że być może Dorota Woźnica wie, kto zabił jej imienniczkę, lub przynajmniej się orientuje, dlaczego Dorota Milewska musiała zginąć.

Usiłowała zrozumieć, co właściwie się stało. Nie lubiła nie panować nad sytuacją, a tak właśnie było od chwili, gdy ten nieznajomy chłopak podszedł do stolika i powiedział: „Zbieraj się, Jerry, jedziemy”. Wdała się z nim w słowne przepychanki, lecz zyskała tylko tyle, że jej także kazał ze sobą pójść. Najgorsze zaś było to, że miał broń. Dorota nie była w stanie stwierdzić, czy jest to rewolwer, czy pistolet, ale w zasadzie nie miało to większego znaczenia. Zobaczyła wystającą zza paska kolbę i odeszła jej chęć sprzeciwu. Nawet gdyby broń

okazała się sześciostrzałowym rewolwerem, i tak wystarczyłoby kul na ich dwoje.

Gerard chyba wyczuł, jakie myśli krążą jej po głowie, bo uspokajającym gestem ścisnął jej rękę. W ogóle wydawał się zbyt spokojny jak na okoliczności, całkiem tak, jakby przewidział tę sytuację i nie miał nic przeciwko udaniu się w nieznane miejsce z nieznanym chłopakiem jako przewodnikiem. Jedynie w hallu, po wyjściu z restauracji, wykazał się jakąś inicjatywą, przystanął bowiem na moment i odwrócił się do blondyna.

– Puść Dorotę. Ona o niczym nie wie i na nic nam się nie przyda.

– Zamknij się – warknął tamten. – Nie prosiłem cię o radę.

Wyszli na plac Wolności. Gdy mijali zaparkowanego naprzeciwko wejścia do lokalu fiata 125p w kolorze określanym elegancko jako yellow bahama, podczas gdy dla większości Polaków był zwyczajnie sraczkowaty, nieznamy niespodziewanie wyjął z kieszeni kluczyki i otworzył drzwi.

– Wsiadać – polecił krótko, a gdy znaleźli się w środku, wsiadł również i ruszył z piskiem opon.

– Co ty odpierdalasz? – spytał podniesionym głosem poirytowany Gerard. – Nie tak się umawiałem z Karatem.

– Ale zgodziłeś się dla niego robić, a on jest ostrożny. Kazał mi sprawdzić, czy nie ciągniesz smugi.

Pieczyk skinął głową, uznając ten argument, zaraz jednak przypomniał sobie o jeszcze jednej sprawie, stanowiącej odstępstwo od umowy.

– Czemu uparłeś się ciągnąć ją z nami? – Wskazał palcem tylne siedzenie. – Bieriecie baby na robotę? Myślałem, że mam do czynienia z fachowcami.

Pogarda w jego głosie musiała dotknąć blondyna, który poczerwieniał ze złości i uderzył pięścią w kierownicę.

– Baby też są potrzebne. Jak inaczej mielibyśmy wiedzieć, który kwadrat warto wysprzątać? Nikt nie zrobi takiego rozpoznania jak ładna, zgrabna dupa. Mieliliśmy taką. Była naprawdę świetna w te klocki, w dodatku wydała się za glinę, żeby mieć dostęp do różnych informacji. Ale źle wybrała, bo on gównu wiedział, nie był prawdziwym gliniarzem, tylko przekładał w biurze papierki.

Blondyn zamilkł i zacisnął zęby w ponurym grymasie. Gerard odczekał jakiś czas, a gdy ten nie podejmował tematu, zapytał:

– Jeżeli jest taka dobra, to po co wam Dorota?

– Bo Doty już nie ma. Ktoś ją utłukł. Może ten mąż w końcu się skapował, że żonka rozkłada nogi dla Karata, i się wkurwił? – Kierowca roześmiał się jak z dobrego dowcipu i machnął ręką. – E, nie, taki zasraniec by tego nie zrobił, to musiał być ktoś z jajami. Ale my zostaliśmy bez laski do rozpoznania i Karat kazał nam kogoś znaleźć. Jeśli twoja panna się nada, zarobi kupę szmalu.

Gerard nie odpowiedział, tylko lekko skłonił głowę, z kolei siedząca na tylnym siedzeniu Dorota zwyczajnie zaniemówiła. Nie z powodu informacji,

że została wytypowana na dziewczkę wysługującą się przestępcom, lecz dlatego, że jej chłopak zdawał się zgadzać na takie rozwiązanie. Zrozumiała, że może liczyć tylko na siebie, i gdy stanęli na światłach, zaczęła się rozglądać, by zobaczyć, dokąd jadą.

Z placu Wolności pojechali w stronę ulicy Dymitrowa, a z niej skręcili w Marszałka Greczki. Z nieznanych Dorocie przyczyn blondyn zatoczył dziwne koło, zjechał bowiem na ulicę Partyzantów i minawszy „Bewelanę”, skręcił w ulicę Karpacką, po czym wjechał w osiedle Beskidzkie. W pewnym momencie zahamował, by przepuścić jakiegoś dziadka kuśtykającego o kulach, i wtedy stało się coś dziwnego. Napięty jak struna Gerard zapatrzył się przez szybę na chodnik, na którym prócz jakichś dzieciaków stał tylko mężczyzna o fizjonomii bandyty. Dziewczyna przez chwilę czuła na sobie jego wzrok, zaraz jednak obcy odwrócił się i odszedł w przeciwnym kierunku, a Gerard odwrócił się do Doroty i uśmiechnął się z zadowoleniem, po czym powiedział:

– Trzy czerwone poszły.

– Co takiego? – spytał blondyn.

– Mówię o swetrach. Dorota pięknie robi na drutach, a ja wszywam zagraniczne metki i opylam jako *made in USA* – roześmiał się Gerard.

Dorota nigdy chyba nie podziwiała go tak jak teraz. W całym swoim życiu nie miała w rękach drutów i nie umiałaby ich użyć, nawet gdyby dzięki temu miała dostać milion dolarów. „Trzy czerwone” oznaczało trzy czerwone serie wystrzelone jako znak. Oboje znali na pamięć wszystkie istotne kwestie z serialu *Cztery pancerni i pies*, dlatego

Gerard mógł mieć pewność, że ona zrozumie przesłanie. Serie poszły, czyli dał komuś znak i teraz w spokoju oczekiwał odsieczy. Nie chciał się wysługiwać jakiemuś bandycie i wcale nie zamierzał mu jej oddać.

Przejechali przez Beskidzkie, skręcili w drogę prowadzącą przez jakieś pola i ujechali nią kawałek, gdy blondyn nagle skierował fiata prosto w jakieś krzaki. Zarył w nie maską i otworzył drzwi.

– Wsiadajcie. Dalej pójdziemy na nogach.

Usłuchali, nie mieli zresztą innego wyjścia, bo pomoc jeszcze nie nadeszła. Blondwłosego chłopak zaprowadził ich na polankę otoczoną zaroślami i prawdopodobnie wykorzystywaną jako miejsce odosobnienia przez spragnione samotności pary, o czym świadczyły porozrzucane gdzieśgdzieś śmieci, wśród których prym wiodły zużyte prezerwatywy. Czekał tam na nich mężczyzna w wieku ponad trzydziestu lat. Byłby całkiem przystojny, gdyby nie oczy, zimne i pełne okrucieństwa.

– Cześć, Jerry – odezwał się pierwszy. – Wreszcie znowu się spotykamy. A tak się zarzekałeś, że nie chcesz mieć ze mną nic wspólnego.

– Cześć, Karat. Tylko krowa nie zmienia poglądów. Wtedy byłem wściekły, miałem do ciebie żal o brata.

Dorota przeraziła się, gdy usłyszała pokorny, drżący głos Gerarda. Gdzie się podział jej nieustraszony, gotowy pójść na każde szaleństwo chłopak?

– Marlon... – odezwał się Karat przeciągle. – To był dobry chłopak, nie taka sprzedajna ciota jak ty.

Myślisz, kurwa, że nie wiem o tym, jak się poprułeś na komendzie? Jak poszedłeś na układ z jakimś byle gliniarzem? Już, kurwa, nie żyjesz!

Pieczyk lekceważąco machnął ręką.

– Brednie. Sam nie wierzysz w to, co mówisz. Byłem w komendzie, ale...

– Nie tłumacz się temu bucowi! – wrzasnęła Dorota, pewna, że słowa Gerarda trafią w próżnię. Karat nie wyglądał na człowieka dającego się przekonać do zmiany zdania nawet najbardziej rozsądnymi argumentami. Na niego mogła podziałać tylko groźba. – Nie strasz nas, kretynie – zwróciła się bezpośrednio do mężczyzny. – W dupie mamy twoje groźby. Za chwilę zrobi się tu niebiesko od glin i to ty będziesz prosił o litość.

– Masz fantazję, dziewczynko – stwierdził i zarechotał szyderczo, lecz w jasnoszarych oczach dostrzegła cień niepewności. – Biały sprawdził, czy nie poszła za wami smuga. Prawda, Biały?

Blondyn potwierdził, po czym dodał:

– Na wszelki wypadek pokręciłem po mieście, żeby ich wykołować. Laska pierdoli od rzeczy, ale jest ładna i ostra. Po mojemu się nada.

– Za to ty do niczego się nie nadajesz. Nie czytaliście o urządzeniach naprowadzających? W Ameryce są bardzo popularne. Przyczepiasz komuś do auta, a potem idziesz za nim jak po sznurku. Nasza milicja też ich używa. – Popatrzyła pogardliwie na Białego, potem przeniosła wzrok na Karata. – Ale żeby to wiedzieć, trzeba czytać coś więcej niż tylko etykietę jabola.

Jak na zawołanie powietrze przeszło wycie milicyjnej syreny. Dorota uśmiechnęła się z triumfem. Była pewna, że Karat i Biały rzucą się do ucieczki, tak przecież zareagowałby każdy normalny człowiek. Tymczasem, chociaż młodszy z mężczyzn rzeczywiście sprawiał wrażenie wystraszonego, to starszy tylko popatrzył na nią nieruchomym wzrokiem i dziewczyna pojęła, że popełniła błąd.

Co ja narobiłam – jęknęła w duchu. Trzeba było się nie odzywać. On mi tego nie daruje, mnie pewnie nie ruszy, ale z zemsty pobije Gerarda. Muszę ich bardziej nastraszyć, żeby dali mu spokój i uciekli.

Plan może i był niezły, niestety w głowie miała tylko pustkę. Nie widząc innego wyjścia, szybko postąpiła naprzód, by zasłonić sobą Pieczyka, który stał zrezygnowany, z miną człowieka, który nie ma już żadnych złudzeń.

Nie doceniła Karata. Wydawał jej się stary w porównaniu z nią i Gerardem, uznała więc, że ma przytępiony refleks, i w tym właśnie widziała szansę Jerry'ego na uciezkę. Niestety znów się omyliła. Mężczyzna był szybki, w dodatku nie miał żadnych skrupułów, by uderzyć kobietę. Przyłożył jej z otwartej dłoni w policzek tak mocno, że upadła, a nim zdążyła porwać się na nogi, dobył z kieszeni nóż. Ostrze zamigotało w blasku słońca i wbiło się w pierś Gerarda aż po rękojeść.

Karat wyszarpnął nóż, wytarł w koszulkę śmiertelnie rannego chłopaka i spojrzał na zastygłą z rozpaczy dziewczynę. Chciał coś powiedzieć, lecz naraz popatrzył w bok w kierunku porzuconego fiata i zmienił zamiar. Schował nóż i rozkazał Białemu:

– Miałeś rację, jest niezła. Nada się na miejsce Doty. Zabierz ją.

Zrobił kilka kroków i zniknął za krzakami otaczającymi polankę. Blondyn złapał Dorotę za rękę i chciał pociągnąć za sobą, lecz się wyrwała i zaczęła uciekać. Dogonił ją w dwóch susach i powalił na ziemię.

– Pójdiesz dobrowolnie czy mam cię pobić, a potem wydupczyć?

– Musiałbyś mieć czym, baranie!

Podkurczyła nogi i z całych sił kopnęła go w przyrodzenie, a Biały zwinął się z głośnym kwikiem. Dorota przestała zwracać na niego uwagę, wiedziała, że chwilowo jest wyłączony. Wróciła do Jerry'ego w złudnej nadziei, że nie jest za późno, że będzie można go uratować. Żył jeszcze. Na jej widok próbował się uśmiechnąć, zdołał jednak tylko lekko wykrzywić wargi, spomiędzy których wypłynął wąski strumyczek krwi.

– Gerard!

Chciała do niego przypaść, lecz powstrzymał ją ledwo zauważalnym ruchem głowy i powiedział coś, czego nie zrozumiała. Zauważył to i powtórzył głośniejsze, a wraz ze słowami z jego ust znów popłynęła krew.

– Ratuj się...

Na wargach rannego wykwitły czerwone pęcherzyki powietrza, lecz zaraz sklęśły, a z ust nie wydobył się już żaden dźwięk. Dorota z płaczem błagała go, by jej nie zostawiał, ale w spoglądających w niebo oczach nie tliła się teraz

nawet iskierka życia i dziewczyna zrozumiała, że jego już nie ma.

Stała nad nim nieruchoma, obojętna na swój los, nie zwracając uwagi na nadbiegających milicjantów. Dyszącego żądzą zemsty blondyna, który właśnie dźwignął się z ziemi i wzorem swojego szefa dobył noża, także nie zauważyła. Nawet huk wystrzałów nie wyrwał jej z marazmu, wróciła do normalności dopiero wtedy, gdy dziewięćdziesiąt kilo żywej wagi zważyło ją z nóg.

Rajner z kamienną twarzą wysłuchiwał opowiadania Doroty Woźnicy o przebiegu zajścia mającego tak tragiczny finał. Sam się dziwił, że był w stanie zachować spokój, gdy dowiedział się wszystkiego. Co za cholerny pech! Nie dość, że Karat wysłał po Pieczyka nieznanego Jerry'emu człowieka, to jeszcze w sprawę musiała się wdać dziewczyna z niewyparzoną gębą. Gdyby sobie nie ubzduriała, że wystraszy przestępców gadaniem o milicji, Jerry i plutonowy Stekla mogliby nadal żyć.

– Chcieli, żebyś zastąpiła tę jakąś Dotę – powiedział wolno.

Sam się zdumiał, że nie czuje zupełnie nic. Ani żalu, ani gniewu, ani nawet zdziwienia, że kobieta, którą wybrał na żonę, okazała się dziwką sypiającą z przestępcą i że dopomagała kochankowi w jego procederze. Bardziej zabolą go śmierć kolegi z plutonu i teraz zastanawiał się, jak to o nim świadczy. Tym większy więc poczuł imperatyw, by

dorwać jej zabójcę i w ten sposób uciszyć wyrzuty sumienia.

– Tak mówił ten rąbnięty blondyn, Biały. Podobno ktoś ją zabił, możliwe, że mąż. Ale ja myślę, że zrobił to jego szef, bo widziałam, jaką miał minę, kiedy pchnął nożem Gerarda. Jakby zrobił sobie dobrze... Wie pan, co mam na myśli?

– Wiem. Powtórz jeszcze raz słowo w słowo, co obaj mówili. I przestań ryczeć, bo płaczem chłopakom życia nie wrócisz.

Dorota wierzchem dłoni wytarła mokre od łez policzki i pociągając nosem, ponownie zrelacjonowała zdarzenie, począwszy od chwili, gdy Biały stanął przy ich stoliku w restauracji „Pod Orłem”. Rajner słuchał równie uważnie jak przedtem, lecz tym razem skupił się na czym innym.

– Naprawdę użył sformułowania „pójdziemy na nogach”?

– Przecież już raz to mówiłam – przypomniała. – Czy to ważne?

Zignorował pytanie i polecił, by kontynuowała. Nie wyłapał już nic interesującego, ale to jedno powiedzenie też dawało jakąś możliwość zaczepienia. Świadczyło, że Biały był biel-szczaninem lub przynajmniej dość długo przebywał w tym mieście, Rajner bowiem nie spotkał się z takim sformułowaniem w ustach mieszkańców innych regionów. Może dzięki tej informacji uda się wreszcie dotrzeć do Karata lub przynajmniej do jego współników?

Aż wierzyć się nie chciało, że przestępca tej klasy nie figurował w żadnej kartotece. Mało tego,

pozostawał nieznany nie tylko dla milicjantów z województwa bielskiego, ale również dla funkcjonariuszy z województw ościennych. Bywało nieraz, że znalazł się ktoś, kto pozostawał na wolności tylko dlatego, że zabrakło dowodów, by go zatrzymać i aresztować, choć milicja dobrze wiedziała, że dokonał czynów wzbronionych prawem. Ale to? Coś tu ewidentnie nie pasowało.

– No dobra – powiedział wreszcie. – Nie mam więcej pytań.

Odetchnęła z wyraźną ulgą.

– Czy to znaczy, że mogę sobie pójść?

– Zapomnij – rzucił zimno. – Zaraz przyjedzie milicja i prokurator, i zabiorą cię na przesłuchanie.

– Jak to? – spytała zaskoczona dziewczyna. – Przecież pan...?

– Nie – odpowiedział na pytanie, którego nie pozwolił jej dokończyć. – Ja nie jestem z milicji. Ale mam z nimi dobre układy i mogę cię wybronić z pomocnictwa w handlu walutami, jeżeli mi pomożesz.

– Przecież ja nie... – zaczęła, lecz znów jej przerwał:

– Czy wszystkie Doroty muszą ciągle kłamać? Kto podsylał Jerry’emu znajomych, którzy chcieli kupić dolary? Mam wymienić nazwiska twoich koleżanek? Znajomych twoich rodziców i brata? Skąd wzięłaś pieniądze na zakup mieszkania przy Greczki, do którego wprowadził się twój brat? Opowieści o spadku możesz sobie darować, już dawno przestałem wierzyć w bajki.

– Nie wiedziałam, że to nielegalne.

Dorota znowu zalała się łzami, lecz na mężczyźnie nie wywarło to żadnego wrażenia. Przesunął obojętny wzrok z jej wilgotnych policzków na przykryte płachtami ciała, potem zaproponował tonem równie obojętnym jak jego spojrzenie:

– Proponuję ci umowę. Ja będę milczeć na temat twojego udziału w interesach Pieczyka, a ty w zamian przyjmiesz propozycję Karata i zajmiesz miejsce Doty.

– Ale jak to? Przecież on chciał mnie zabić! – wykrzyknęła z przerażeniem.

– Nieprawda – skontrował spokojnie Milewski. – Sama mówiłaś, że Karat kazał Białemu cię zabrać. Nawet jeżeli obserwował wszystko z ukrycia, w co zresztą nie wierzę, nie będzie miał powodów do podejrzeń. Gdyby cię pytał, co się stało, powiesz mu prawdę – że Białego zabił facet, na którego mówią Rilke. To ja. – Uniósł lewy kącik w czymś, co przy sporej dozie uporu można by określić jako zapowiedź uśmiechu. – Nie musisz się bać. Jeśli pójdziesz na ten układ, będę cię chronić. A jeśli nie... – Urwał, po czym dokończył zimno: – Nawet jeżeli milicja puści cię wolno, to nadal pozostaje Karat. Powiedział, że się nadasz. Przywykł, że dostaje to, czego chce, a teraz chce ciebie.

Dorota łudziła się, że milicja uniemożliwi mężczyźnie wprowadzenie w życie tego szalonego planu, okazało się jednak, że stało się dokładnie tak, jak przewidywał. Gdy na miejsce przyjechał

funkcjonariusz w cywilu i przedstawił się jako podporucznik Jerzy Jagielski, Rilke natychmiast do niego podszedł, wyciągnął prawą dłoń do przywitania i przedstawił się, kładąc przy tym nacisk na nazwisko.

– Dzień dobry, poruczniku. Nazywam się Rilke.

Jagielski odpowiedział zupełnie bez sensu:

– Rozumiem. – A po chwili: – Co tu się stało?

Wysłuchiwał Rilkego w absolutnym milczeniu, po czym zaczął kląć. Robił to długo i kwieście, a gdy już sobie ulżył, rzucił szybkie spojrzenie na Dorotę.

– Jest niewinna. To przypadkowa ofiara walk o wpływy – wyjaśnił Rilke, a Jagielski dziwnie łatwo się z nim zgodził.

– Okej. Przesłucham ją, a potem ktoś odwiezie ją do domu.

Po dość długiej bytności w budynku komendy zgodnie z obietnicą podporucznika została odwieziona radiowozem pod sam dom. Weszła do mieszkania z absurdalną nadzieją, że zastanie w nim Gerarda, a tragiczne wydarzenia okażą się tylko złym snem. W pierwszej chwili nic nie wzbudziło jej podejrzeń, dopiero gdy zamknęła drzwi i przekręciła łucznik, poczuła zapach kawy. Przerażona, z powrotem sięgnęła do gałki zamka, lecz nie zdążyła go otworzyć. Rilke był szybszy. Zmaterializował się tuż obok i chwyciwszy jej dłonie w żelazny uścisk, poprowadził ją, czy raczej zawlókł, do pokoju.

– Jak było na milicji?

– W porządku – odpowiedziała drżącym głosem. – Chyba uwierzyli, że Gerard nie wciągał mnie

w swoje sprawy.

– No widzisz? Dotrzymałem słowa, teraz twoja kolej.

– Jak ty to sobie wyobrażasz? – zdenerwowała się Dorota. – Mam zaczepiać ludzi i pytać, gdzie mogę znaleźć Karata? Od razu wyląduję w Rybniku, choć ty bardziej się kwalifikujesz do psychiatryka.

Rilke wybuchnął śmiechem. Jeszcze nie otrząsnęła się ze zdumienia na ten ludzki odruch, gdy wyjaśnił:

– Jeśli mu zależy, sam cię odszuka, musisz tylko zająć miejsce Jerry’ego „Pod Orłem”. Jeśli nie, będzie to znaczyło, że znalazł inną dziewczynę. Wtedy rozejrzę się za innym dojściem, a ty będziesz wolna.

Oczywiście miał rację, gdyż już piątego dnia pojawił się wysłannik Karata, ogromny, zwałisty mężczyzna o przydomku Taran. Przedstawił Dorocie propozycję współpracy, a ona ją przyjęła. Nie miała innego wyjścia.

Rozdział 13

Druga w kolekcji

Grudzień 1985, Bielsko-Biała

Spotkali się w jednym z lokali operacyjnych, będącym jedynym miejscem, gdzie mogli porozmawiać bez obaw, że zobaczy ich ktoś niepowołany. Dorota Woźnica co prawda mieszkała sama, nadal zajmowała mieszkanie Gerarda Pieczyka, lecz Rajner gotów był postawić wszystko, co miał, z własną głową włącznie, że dom znajduje się pod stałą obserwacją ludzi Karata. Z tego samego względu nie chciał umawiać się z nią na mieście, a zaproszenie do pokoju, który wynajął po śmierci żony, w ogóle nie wchodziło w grę.

Po krótkim przywitaniu wskazał jej krzesło. Sam też usiadł i czekał cierpliwie, by przekazała mu najświeższe informacje o posunięciach Karata, dziewczyna jednak z uporem milczała, a jej pięknie wykrojone usta wykrzywiły się w kształt podkówki. Zwiesiła ramiona, spoglądając smutnym wzrokiem

w jeden punkt. Wyglądała jak uosobienie beznadziei i tak właśnie pomyślał o niej Rajner Milewski.

– Powiesz mi, co się stało, czy masz zamiar tak siedzieć i wzdychać aż do usra... – Urwał, jeszcze raz obrzucił wzrokiem żalospną postać i dokończył, nieznacznie łagodząc ton. Słowa też były inne. – ... skończenia świata?

– Nie mogę już tego wytrzymać. Proszę cię, Rilke, pozwól mi odejść.

Zerknęła na niego błagalnie, lecz napotkała tylko zimne spojrzenie szarych oczu. Najwyraźniej sezon na okazywanie współczucia trwał tylko kilkanaście sekund, gdyż mężczyzna znów miał twarz jak wykutą z kamienia i trudno byłoby znaleźć na niej bodaj odrobinę współczucia.

– Nic z tego, mój ty niewinny kwiatuszku. Sama się zgodziłaś, pamiętasz? Do niczego cię nie zmuszałem. Teraz już za późno na zmianę zdania, umowa to umowa. Ja swojej części dotrzymałem.

Nie musiał jej przypominać, pamiętała doskonale tamten straszny dzień, gdy nagle cały jej świat rozsypał się na kawałki. Jeszcze przed chwilą leżał u jej stóp, lecz wystarczyło kilka groźnie brzmiących okrzyków poprzedzających dobrze wymierzony cios nożem, by została z niczym, a u jej stóp zamiast świata leżał martwy człowiek.

Gdy później drugi z napastników wymierzył nóż także w nią, była pewna, że za moment sama również zginie. Wtedy niespodziewanie pojawił się on, mężczyzna przedstawiający się jako Rilke, choć wątpiła, żeby podał swoje prawdziwe nazwisko. Nie miało to dla niej żadnego znaczenia, zwłaszcza że

zapropował jej zawarcie umowy. Zgodziła się bez zastanawiania się nad konsekwencjami, strach bowiem zawładnął nią do tego stopnia, że gotowa była przystać na wszystko, byle tylko pozwolili jej żyć.

– Wiem, że się zgodziłam – przyznała pokornie.

– To po co mi zawracasz głowę głupim gadaniem? Mów, czego się dowiedziałaś, i wracaj do Karata.

– Niczego! – wybuchnęła, po czym dodała łamiącym się głosem: – Nie rozmawiają przy mnie o ważnych sprawach. Chyba mi nie ufają, pewnie dlatego, że wcześniej byłam z Jerry. To nie moja wina.

Zerknęła na mężczyznę i aż się wzdrygnęła. Uśmiechał się, ale cóż to był za uśmiech! Już sto razy by wołała, żeby patrzył na nią z nienawiścią.

– A może dlatego nie nabrali do ciebie zaufania, bo nie dość się starałaś? – Pochylił się ku niej i dorzucił konfidencyjnym szeptem: – Bo wiesz, moja śliczna Dorotko, Jerry od trzech miesięcy nie żyje i już nie może im zaszkodzić. Zresztą przedtem też by nie mógł. Był na to za cienki.

Zachnęła się gniewnie. Rilke mógł sobie mieć nad nią przewagę, ale to go nie upoważniało do naigrawania się z umarłego.

– Nie mów tak. Nic o nim nie wiesz. Gdyby chciał, wykosiłby konkurencję...

Głośny śmiech Milewskiego odbił się echem po niemal całkowicie pozbawionym mebli mieszkaniu.

– Kim i czym miałby ją wykosić? Dziewczyno, otwórz wreszcie oczy i zrozum, że twój Jerry był wielki tylko w swoim mniemaniu. Zamiast tracić

czas na wspominki, dowiedz się wreszcie, co Karat planuje. Jeśli to od niego wyciągniesz i mój plan wypali, pozwolę ci odejść.

– On chyba wie, że jestem wtyką. – W oczach Doroty pojawił się paniczny lęk. – Boję się, Rilke. On mnie zabije.

– Przez ciebie zginął mój kolega – przypomniał jej. – To mnie powinnaś się bać. Albo będziesz grzeczną dziewczynką i pójdziesz teraz do Karata, albo osobiście cię zatłukę. Zrozumiałaś czy mam powtórzyć?

Wystarczyło jedno spojrzenie na surową twarz bez żadnej mimiki, by do reszty pozbyła się złudzeń. Apelowanie do uczuć tego mężczyzny nie miało żadnego sensu, bo on nie miał żadnych ludzkich uczuć. Niespodziewanie przypomniał jej się humanoidalny robot z powieści *Pozytronowy[1] detektyw* Isaaca Asimova, którą kiedyś usiłowała przeczytać, lecz przerwała po kilkunastu stronach, gdyż ta postać z nieznanych przyczyn ją przerażała.

Teraz, gdy spoglądała na Rilkego, zrozumiała powody ówczesnego lęku. Otóż Daneel Olivaw wyglądał i zachowywał się jak człowiek, lecz człowiekiem nie był. Rilke stanowił jego odwrotność, gdyż co prawda był człowiekiem, ale wyglądał i zachowywał się jak robot. Sama nie wiedziała, co gorsze. Chyba to drugie.

Po wrześniowej nieudanej operacji nie próbowali już jej powtórzyć. Szefowie zamieszanych w nią

funkcjonariuszy postawili sprawę jasno – jeszcze jedna podobna porażka i na długo mogą pożegnać się z awansem. Uratowało ich właściwie tylko to, że o grupie Karata nie wiedzieli zupełnie nic, nie mogli więc przewidzieć jego ruchów i domyślić się, że na spotkanie z Jerryem zostanie wysłany nieznany im człowiek.

Ten stan nadal nie uległ zmianie. Nie mogli zinfiltrować organizacji, której struktur nie znali, a przywódca nadal pozostawał dla nich czystą kartą. Dlatego Dorota Woźnica musiała poradzić sobie sama, bez milicyjnego wsparcia.

Na razie jednak sprawa jakby przycichła. Dziewczyna, o którą Karat tak zabiegał, wydawała się w jego grupie całkiem zbędna. Nie zlecano jej żadnych zadań, przez co cały czas czuła się na cenzurowanym i ani na moment nie pozbyła się obawy, że w końcu coś się zdradzi. Jedynym pozytywnym aspektem było, że nie sprawdziły się jej najczarniejsze prognozy. Karat nie okazywał jej zainteresowania w sensie erotycznym, a swoim ludziom kategorycznie zakazał nawet najniewinniejszych zaczepk.

– Ona jest moja – oświadczył pierwszego dnia zaraz po tym, gdy Taran przywiózł ją do starego domu w miejscowości, której nie rozpoznawała.

Musiała przyznać, że miał niesamowity posłuch, gdyż ani razu nikt nie zwrócił się do niej niegrzecznie czy wulgarnie, dzięki czemu trochę łatwiej znosiła oczekiwanie. Pewnego grudniowego wieczoru wreszcie nastąpił przełom. Dorota akurat przebywała w mieszkaniu Jerry’ego, opłacanym teraz przez Karata, gdy ktoś zadzwonił do drzwi. Zerknęła na zegar i mimo woli się uśmiechnęła, tak

oczywiste było jej skojarzenie. W samo południe samotny szeryf stanął przeciwko całej bandzie rzezimieszków. Cóż, teraz będzie trochę inaczej, to cała banda stanie przeciwko wybranemu skrupulatnie człowiekowi.

Idąc do przedpokoju, zastanawiała się, który z podwładnych Karata po nią przyjechał. Taran, Dziki, Kosa? A może ktoś inny? Stojący za drzwiami mężczyzna był zbyt wysoki i stał za blisko, by mogła przez judasza zobaczyć jego twarz, ale i tak wiedziała, kto ją odwiedził. Tylko jeden ze znanych jej ludzi był tego wzrostu. Co prawda dotychczas zawsze zostawiał jej w skrzynce na listy informację o terminie i miejscu spotkania, ale na tyle go już poznała, by wiedzieć, że nie zwykł się stosować do żadnych norm. Jeśli miał ochotę coś zmienić, zmieniał to, i już. Zatem jednak konwencja westernu zostanie zachowana. Samotny szeryf ruszy do walki z bezprawiem.

– Cześć, Rilke – powiedziała po uchyleniu drzwi. – Czemu nie dałeś znać, że przyjdiesz? Mogło mnie nie być...

Otworzyła szerzej, spojrzała na ciągle jeszcze milczącego mężczyznę i urwała w połowie wypowiedzi, ujrawszy jego twarz. W tej samej chwili spadło na nią straszliwe uderzenie. Intruz sprawnie podtrzymał upadające ciało, przekroczył próg i nogą pchnął drzwi, a te zatrzasnęły się z hukiem. W przedpokoju odłożył zakrwawiony młotek na półkę i rozejrzał się wkoło, chcąc poznać topografię mieszkania, po czym wykrzywił wargi w pogardliwym uśmiechu. Jerry chyba jednak się nie dorobił na handlu walutą, skoro było go stać tylko na taką klitkę. Ta jego kurwa też chyba

niezbyt się starała. Gdyby była dobra w tym, co robi, wynajęłaby coś większego.

Zawłókł nieprzytomną dziewczynę do małego pokoiku, pełniącego funkcję sypialni, rzucił ją na wersalkę i zaczął się rozbierać. Nie odczuwał seksualnego podniecenia i ta czynność nie była przygotowaniem do gwałtu. On po prostu był ostrożny, w końcu tym razem nie chroniły go nocne ciemności i głupotą byłoby pokazywać się ludziom w biały dzień w skąpanej we krwi odzieży. A że tak by wyglądała, co do tego miał całkowitą pewność. Przy atrakcjach, które dla niej przygotował, nie mogło być inaczej.

Obwiązał jej usta wyjętą z torby apaszką, nadal zachowującą cudowny aromat perfum. Wciągnął zapach w nozdrza tak głęboko, że aż zakręciło mu się w głowie, a w piersiach poczuł dojmujący ból.

– Dlaczego to zrobiłaś, Dora? – jęknął żałośnie. – Nie umiem żyć bez ciebie.

Dziewczyna zatrzepotała powiekami i ten niemal niezauważalny ruch przywołał go do rzeczywistości. Znów sięgnął do torby i wydobył z niej dwa kłębki sznurka, po czym związał Dorocie nogi i przymocował koniec pierwszego motka do nogi stołu, przysunąwszy wcześniej mebel do boku wersalki.

Drugi kłębek użył do związania dziewczynie wyciągniętych za głowę rąk. Wyprostował pochylone plecy i rozejrzał się w poszukiwaniu czegoś, co mógłby użyć do unieruchomienia tej zdradzieckiej dziwki. Nie mógł pozwolić, by machała rękami; nawet związana mogła zadać mu rany tymi długimi

niczym ptasie szpony pazurami. Znał się na tym, już to kiedyś przerabiał.

Bezwiednie dotknął prawego policzka. Palce napotkały gładką skórę i mężczyzna uprzytomnił sobie, że głębokie bruzdy wyżłobione paznokciami tamtej szalonej kobiety już dawno się zagoiły. Potrząsnął głową, chcąc pozbyć się resztek wspomnień, i jego wzrok padł na kaloryfer oraz biegnące od niego rurki. Będą idealne.

Kilka minut później Dorota Woźnica otworzyła oczy. Jęknęła z bólu i chciała dotknąć niezdolnie pulsującej głowy, gdy odkryła, że nie może ruszyć rękami. Nogi także miała unieruchomione, a z ust wydobył się tylko stłumiony materiałem bełkot. *To Karat – pomyślała z rozpaczą. To na pewno on. Wyczuł podstęp i przyszedł mnie ukarać. A mówiłam Rilkemu, że to się nie uda!*

Wtem pamięć podsunęła obraz stojącego za drzwiami wysokiego mężczyzny, szybkiego ruchu ręką i potwornego bólu. *Rilke, ty podstępny, podły skurwysynu!* – krzyknęła bezgłośnie. Potem zobaczyła nagą postać tego, który ją tu uwięził, wychwyciła spojrzenie niemal szalonych oczu i już wiedziała, że nie wyjdzie stąd żywa.

Wiszący na ścianie zegar wybił jedenastą. *Pora kończyć* – pomyślał mężczyzna i odłożył na bok nóż bojowy, pokryty krwią i strzępami tkanki. *Nie powinienem tak się zapamiętywać, to niebezpieczne.*

Popatrzył na odsłonięte w paroksyzmie bólu białe zęby Doroty, na jej zamglone, lecz ciągle patrzące przytomnie oczy i poczuł coś na kształt dumy, że jest taka wytrzymała, dzięki czemu mógł przedłużyć przyjemność karania. Tym razem nie popełnił błędu, tak jak ostatnio, gdy dał się ponieść emocjom do tego stopnia, że zaczął dźgać na oślep i przeciął swojej ofierze tętnice. Przez to wykrwawiła się w kilkadziesiąt sekund i musiał skończyć zabawę, choć do świtu było jeszcze daleko.

Pochylił się i wyszeptał jakieś słowa wprost w miejsce, gdzie jeszcze niedawno znajdowała się ozdobiona kolczykiem kształtna małżowina. Teraz ona sama stanowiła ozdobę. Dorota nie zareagowała, pogładził więc ucho wiszące mu na szyi na srebrnym łańcuszku wraz z medalikiem Matki Boskiej i powtórzył:

– Wiesz już, dlaczego musiałem cię ukarać?

Prawie niezauważalnie skinęła głową, ale oprawca nie zwrócił na to uwagi. Odpowiedź dziewczyny go nie interesowała, wolał słuchać własnych słów. Upajał się nimi tak samo jak przed kilkoma minutami zadawaniem jej cierpienia.

– Bo jesteś zdradliwą kurwą, jak wszystkie Doroty. Twój chłopak jeszcze nie ostygł, a ty już się zaczęłaś gzić z innym. Myślisz, że nie wiem, gdzie się z nim spotykasz?

Zaśmiał się, gdy zobaczył, że dziewczyna rozpaczliwie kręci głową, przesuwając nią po poplamionej krwią poduszce. Jej sprzeciw był taki zabawny! Czyżby naprawdę roiała sobie, że jej zdanie obchodzi go w bodaj minimalnym stopniu?

– Daruj sobie to głupie zaprzeczanie, Dorotko. Jesteś bez serca, choć niby jakieś bije w twojej piersi. Ale można temu łatwo zaradzić.

Znów wziął do ręki skalpel, by pokazać jej, jaki finał zaplanował.

– O ja cię pierdolę, kochana Marysiu – jęknął technik, gdy zielony na twarzy młody milicjant wskazał im miniaturową sypialnię w mieszkaniu nieżyjącego od trzech miesięcy Gerarda Pieczyka. – Musiało znowu trafić na mnie? Chyba, kurwa, przestanę grać w brydża, bo zawsze potem muszę się babrać we krwi. I wdychać smród trupa – uzupełnił, gdy w jego nozdrza uderzyła woń rozkładu.

– Co chcesz, sezon grzewczy w pełni – burknął Jagielski i dokładniej przysłonił nos szalikiem. – I tak dobrze, że ten ciekawski sąsiad uparł się nas wezwać, inaczej mogła stąd wypłynąć.

Józef Purda rzeczywiście zaliczał się do tych, którzy muszą wiedzieć o wszystkim, a zwłaszcza o tym, co dzieje się u sąsiadów. Własny dom obchodził go jakby trochę mniej, o czym nie omieszkala wspomnieć jego ślubna połowica, rozgoryczona faktem, że mąż po raz kolejny zapomniał o ich rocznicy ślubu.

– A ja go rozumiem – poparł męczyznę Kazimierczak, rozkładający na podłodze swoje walizki. – Średnia przyjemność od rana do nocy słuchać tego jazgotania. Nic dziwnego, że chłop woli

patrzeć na co innego. W dodatku to inne miało bardzo ładne cycki.

Wskazał stojące na segmencie zdjęcie, na którym śliczna blondynka tuliła się do ciemnowłosego chłopaka. Jagielski nie miał problemów z rozpoznaniem go, domyślił się więc od razu, kim mogła być denatka.

– Dorota Woźnica, lat dwadzieścia, panna... – Mundurowy odczytywał dane z dowodu osobistego wyjętego z damskiej torebki rzuconej beztrasko na fotel.

– Kurwa mać!

Jerzy rozejrzał się bezradnie dookoła z miną nowicjusza debiutującego w roli milicjanta dokonującego oględzin. Czuł w głowie kompletną pustkę.

– Czemu kurwujesz? – zaniepokoił się technik. – Znałeś ją?

– Tak jakby. Nie pamiętasz tej afery, kiedy zginął Stekla?

– Pamiętam. I co z tego?

Podporucznik pochylił się ku Kazimierczakowi i zniżył głos, by nic z tego, co zamierzał powiedzieć, nie przeniknęło do uszu lekarza z pogotowia, wezwanego do stwierdzenia zgonu. Nie zamierzał ryzykować plotek.

– Ona tam wtedy była. Dorota Woźnica. – Machnął ręką w kierunku denatki. – I teraz nie żyje, a jej obrażenia bardzo przypominają te, które odniosła Dorota Milewska. Zastanawiam się, czy to przypadek.

Technik przywołał w pamięci zdarzenie sprzed ośmiu miesięcy i wolno pokiwał głową. Jagielski miał rację, podobieństwo było uderzające.

– Wtedy typowałeś męża – przypomniał i nagle się skrzywił, jakby zjadł coś niesmacznego. – Jurek, powiedz tak szczerze. Dałeś sobie z nim spokój, bo był niewinny, czy dlatego, że okazał się jednym z nas?

Jagielski posłał mu spojrzenie, jakiego nie powstydziliby się nawet Milewski, słynący z mrożenia rozmówców wzrokiem.

– Zabij swoją żonę. Wtedy się dowiesz, czy będę mieć na względzie fakt, że robimy w tej samej firmie.

Cios był poniżej pasa.

– Kutas z ciebie, nie kolega!

– Nie prowokuj, nie dostaniesz po ryju – odpalił Jerzy. – Miro, znamy się od dawna, a ty naraz wyskakujesz z takim tekstem – powiedział z wyrzutem. – Uważasz, że to było w porządku?

– Nie było – przyznał tamten po chwili. – Głupio wyszło. I niepotrzebnie się wkurwiam, w końcu nie mnie jednego zostawiła żona. Włodek też musi bokiem wchodzić przez drzwi, żeby rogami o futryny nie przywalić. Stareczek – wyjaśnił, ujrawszy pytającą minę podporucznika.

Przeprosiny to może nie były, lecz Jagielski nie oczekiwał kajania się, puścił więc sprawę w niepamięć i zajął się pracą. Coś jednak nie pozwalało mu się skupić. Na miejscu zbrodni nadal nie pojawił się przedstawiciel prokuratury, co wyprawdzało go z równowagi, ale nie tylko ten fakt

był powodem rozkojarzenia. Rozmowa z Kazimierczakiem poruszyła jakąś strunę, lecz ta po kilku drgnięciach zamarła w bezruchu i mimo wyteżania umysłu nie pozwalała pobudzić się ponownie.

– Czy pan ma w sobie jakiś magnes przyciągający trupy? – doszedł go od drzwi czyjś zasapany głos. Nie musiał się odwracać, by móc go przypisać konkretnemu człowiekowi. Ochabczyk. Znowu.

– Mógłbym to samo powiedzieć o panu – skontrolował, lecz okraślił wypowiedź pojednawczym uśmiechem.

Wolał nie robić sobie z prokuratora wroga. Nie wiadomo, przy ilu jeszcze sprawach przyjdzie im współpracować, w dodatku w dalszym ciągu tkwiło między nimi niezakończone sukcesem śledztwo związane z zabójstwem Brinka Speedmana. Jerzy doskonale pamiętał niezbyt przyjemną wymianę zdań nad ciałem Kanadyjczyka i wiedział, że Ochabczyk też to pamięta. Zaostrzanie wzajemnych stosunków było najgłupszą rzeczą, jaką mógłby zrobić. W jego interesie leżało załagodzenie dawnego konfliktu, nie zaś jego zaostrzenie. Dlatego na sakramentalne pytanie „co tu mamy” odpowiedział całkiem szczerze:

– Zabójstwo, w dodatku wyjątkowo paskudne. Pamięta pan stan zwłok Doroty Milewskiej, żony tego zomowca ze Specjalnych? To tutaj jest jeszcze gorzej.

Prokurator lekko pobladł, przełknął ślinę i rzuciwszy krótkie „dziękuję”, potruchtał w głąb mieszkania. W jego głosie Jagielski usłyszał nutę

wdzięczności i pogratulował sobie opanowania, każącego przezorności wziąć górę nad niechęcią.

Po chwili Ochabczyk pojawił się z powrotem, z pozieleniałą twarzą i chusteczką przyciśniętą do ust. Tym razem Jerzy nie poczuł rozbawienia, sam wszak wcale nie zareagował dużo lepiej.

– Sam nie wiem, co gorsze, widok czy zapach – doszedł go stłumiony chusteczką głos prokuratora. – Co za bydlę to zrobiło? – spytał retorycznie. Odjął chustkę od twarzy i wziął głęboki wdech. – Jakiej czynności pan do tej chwili wykonał?

– Na razie jedynie ustaliłem tożsamość denatki. Teraz mam zamiar przesłuchać mężczyznę, który nas powiadomił, o ile nie ma pan dla mnie innych zadań.

Ochabczyk przez chwilę spoglądał na niego z miną człowieka wietrzącego podstęp, najwyraźniej jednak nie doszukał się w słowach milicjanta drugiego dna, gdyż skinął przyzwalająco głową.

– Sam pan najlepiej wie, co należy robić – stwierdził, czym wprowadził podporucznika w zdumienie. – Miał pan rację, porównując to do zabójstwa tamtej kobiety. Mam wrażenie, że zaczął podobnie, tylko dużo dalej skończył.

Po rozmowie z sąsiadem, który powiadomił milicję, Jerzy wiedział już, że tu zabójcy raczej nie znajdzie. Mężczyzna zwykł spędzać niemal całe dnie bądź przy oknie, bądź na podwórku przed blokiem, o ile pogoda na to pozwalała. Dlatego wiedział doskonale, kiedy Dorota Woźnica wróciła do domu, zorientował się również, że coś musiało się stać, gdy przez kilka dni nie opuszczała mieszkania. Wspiął się więc piętro wyżej, by

posłuchać pod drzwiami, co tam się dzieje, widział bowiem obcą osobę płci męskiej wchodzącą do klatki schodowej kilkanaście minut po tym, gdy pojawiła się tam Woźnica, a nie zauważył nikogo wychodzącego. Z mieszkania nie dochodził żaden odgłos, więc sąsiad pochylił głowę do dziurki od klucza, a wówczas poczuł odór tak intensywny, że zakręciło mu się w głowie.

– Już przedtem wydawało mi się, że coś śmierdzi, ale mało to smrodu ciągnie od śmietnika? A ja mam węch uszkodzony i dużo trzeba, żebym coś poczuł.

Mężczyzna tłumaczył, że chcąc złapać równowagę, chwycił klamkę, a wtedy drzwi się otworzyły. Gdy zobaczył chmarę much, od razu się domyślił, że w mieszkaniu są zwłoki, i zadzwonił na milicję.

– Znam się na tym – odpowiedział na niezapowiedziane pytanie. – W czasie wojny napatrzyłem się na trupy, wiem, że muchy towarzyszą śmierci.

Od tegoż mężczyzny Jagielski dowiedział się również, że Pieczyk był jedynym młodym mieszkańcem tego budynku. Inni lokatorzy mieli powyżej sześćdziesiątki, trudno zatem było przypuszczać, by nagle owładnęła nimi mordercza mania. Jerzy wysłuchał ich z obowiązku, lecz tak, jak przewidywał, nie wniesli do sprawy niczego nowego.

Po oględzinach zaparzył kawę i popijając aromatyczny płyn, zamyślił się głęboko. Naraz odstawił szklanekę, sięgnął po telefon i wykręcił numer do jednostki ZOMO w Wapienicy.

– Mówi Jagielski z dochodzeniówki. Możecie przekazać Rajnerowi Milewskiemu, żeby jak najszybciej się do mnie zgłosił?

[1] W 1985 roku dostępne było tylko wydanie z 1960 roku. Poprawna forma tytułu, *Pozytonowy detektyw*, pojawiła się w następnych wydaniach.

Rozdział 14

Siła plotki

Grudzień 1985, Bielsko-Biała

Włodzimierz Stareczek wyglądał dokładnie tak samo jak poprzednio, mimo że od ostatniej wizyty Jagielskiego w prosektorium minęło już blisko osiem miesięcy. A właściwie to prezentował się znacznie gorzej. Wysoka, chuda sylwetka wydawała się jeszcze wyższa i chudsza, twarz bledsza i szczuplejsza, a wzrok – przenikliwszy i bardziej nieprzyjazny. *Jeszcze trochę, a będzie nie do odróżnienia od swoich klientów* – pomyślał Jerzy i uśmiechnął się, wyobraziwszy sobie patologa spoczywającego na metalowym stole, z karteczką informacyjną zawieszoną na dużym palcu nogi.

– Co może mi pan o niej powiedzieć? – zagaił, gdy stwierdził, że Stareczek nie kwapi się do nawiązania kontaktu.

Chyba że ostatniego – skonkludował w myślach z wisielczym humorem.

Patolog przez jakiś czas wpatrywał się w niego nieruchomym wzrokiem, potem przeniósł spojrzenie na pozbawioną górnego fragmentu czaszki głowę denatki.

– Właśnie ważę jej mózg, ale to chyba pana nie interesuje. – Wykrzywił wąskie, blade wargi w grymasie mającym oznaczać uśmiech. – Dwadzieścia jeden pchnięć nożem, nie licząc tego.

Wskazał na sporą dziurę w piersi martwej dziewczyny w miejscu, gdzie powinno znajdować się serce. Jerzy zmusił się, by spojrzeć na potworną ranę.

– Lekarz z pogotowia przypuszczał, że właśnie to było przyczyną zgonu. Chciał się nawet o to założyć.

– Mam nadzieję, że stawka nie była duża, bo niestety pan przegrał.

– Wcale nie – zaprzeczył Jagielski z uśmiechem. – Nie mam w zwyczaju zakładać się z fachowcami. Po jaką cholere wyciął jej serce?

– Nie wyciął, tylko wyrwał – sprostował Stareczek.
– Może chodziło mu o znaczenie metaforyczne?

Zdumiony Jerzy wbił w niego wzrok, usiłując zrozumieć, co patolog mógł mieć na myśli.

– Metaforyczne? – powtórzył bezwiednie. – Czytałem kiedyś w jakiejś książce, jak jeden facet groził drugiemu i powiedział coś mniej więcej takiego: „Wyrwę ci z piersi to podłe zdradzieckie serce”. Dalej było jeszcze o nakarmieniu tym sercem psów. Chodzi panu o wprowadzenie w czyn takiego scenariusza?

Stareczek wydawał się zdumiony, że milicjant nadaża za jego tokiem rozumowania. Pod uważnym

spojrzeniem podporucznika zmieszał się lekko, po czym odpowiedział normalnie, bez obecnej wcześniej nuty wyższości:

– Co do psów, to nie wiem, ale właśnie o czymś takim pomyślałem. Że kogoś zdradziła i ten ktoś postanowił ją ukarać.

– Możliwe – mruknął Jagielski.

Jemu również taki motyw przyszedł do głowy, lecz nie zamierzał go roztrząsać w towarzystwie lekarza będącego, bądź co bądź, cywilem. Nie żeby go podejrzewał o celowe rozpowszechnienie treści rozmowy, na to Stareczek był za poważny i za długo pełnił funkcję biegłego patologa. Ale zawsze mógł niechcący się wygadać, rzucić jakieś nieopatrzone słowo podczas dyskusji ze znajomymi czy żoną.

O ile w ogóle miał znajomych czy żonę, w co Jerzy mocno wątpił, choć obrączka na ręce wskazywała, że myli się w swej opinii. Wcale nie oceniał lekarza po wyglądzie. Ten akurat nie miał dla niego znaczenia, bardziej chodziło mu o zachowanie, a to było zwyczajnie odpychające. Stareczek roztaczał wokół siebie aurę wyższości i niedostępności do tego stopnia, że zdaniem milicjanta jego zdolności komunikacji interpersonalnej oscylowały wokół zera, ze wskazaniem na wartości minusowe.

Naraz przypomniał sobie uwagę technika o rogach, którą wcześniej puścił mimo uszu, i pomyślał, że rozumie nieznaną mu kobietę. Jeśli Stareczek w domu zachowywał się podobnie, nic dziwnego, że odeszła.

– Te dwadzieścia jeden pchnięć... – zagadnął jeszcze, by jak najprędzej zakończyć nieprzyjemną wizytę. – Zauważyłem w trakcie oględzin, że

sprawca prawdopodobnie najpierw wbijał nóż w ciało, a później kierował go od lub do siebie, stąd ogrom ran ciętych. Czy dobrze odgadłem?

– Dobrze – padła odpowiedź.

Jagielski czekał na rozwinięcie zwięzłego potwierdzenia swoich domysłów, lecz nic takiego nie nastąpiło. Zacisnął zęby, by powstrzymać cisnące się na usta przekleństwo, i zadał następne pytanie:

– Pamięta pan Dorotę Milewską? Miała bardzo podobne obrażenia.

Lekarz zmarszczył brwi w zastanowieniu.

– To było jakieś pół roku temu, może trochę więcej, prawda? Dlatego te rany wydawały mi się znajome. Tamtą kobietę podobno zabił mąż. Tak mówili na mieście – wyjaśnił na widok zdziwionej miny milicjanta. – Myślałem, że go wsadziliście. Szkoda. Gdyby siedział, ta dziewczyna by żyła.

Powiedział to z takim przekonaniem, że podporucznik wolał nie wdawać się w dyskusję. Doświadczenie już dawno go nauczyło, że przekonywanie ludzi święcie przeświadczonych o swojej racji jest jedynie stratą czasu.

Prócz tego świadomość, że któryś z kolegów dyskutował ze Stareczkiem o sprawie zabójstwa Milewskiej, wprowadziła go w stan daleko posuniętej irytacji. Bo zdawał sobie sprawę, że wbrew słowom patologa to nie na mieście mówiono, że Rajner Milewski zabił żonę. Gdyby tak było, wieści prędzej czy później dotarłyby do Jagielskiego, tymczasem nic takiego nie miało miejsca. W takim razie wniosek nasuwał się tylko jeden – o podejrzeniach

wobec Milewskiego mógł donieść lekarzowi tylko jeden z milicjantów.

Na koniec patolog powiedział jeszcze, że narzędzie użyte do zadania ran Dorocie Woźnicy jest prawdopodobnie tym samym, którym posługiwał się zabójca Doroty Milewskiej. Do zyskania całkowitej pewności należało wykonać dokładne pomiary, ale lekarz uważał, że się nie myli.

– To na pewno glock FM78, daję za to głowę. Dobrze radzę, niech pan sprawdzi nóż Milewskiego na obecność krwi. W końcu plotki nie biorą się znikąd.

Podporucznik podziękował Stareczkowi uprzejmie za informacje, choć miał wielką ochotę chwycić go za chudą szyję i ścisnąć tak długo, aż wydusiłby z niego nazwisko funkcjonariusza, który zapomniał, co to tajemnica służbowa. Wracał do komendy w niezbyt radosnym nastroju. Lucyna lada moment mogła zacząć rodzić i Jerzy bardzo chciał być przy niej, niestety zabójstwo uniemożliwiło mu powrót do domu o normalnej porze.

Całe szczęście, że jego żona nie była pokroju małżonek kilku kolegów, które wkrótce po ślubie jakby doznały amnezji i nie pamiętały, że wyszły za mąż za milicjantów, a ci nie są panami swojego czasu.

Gdyby wzrok mógł zabijać, Jagielski padłby trupem na miejscu. Podporucznik nie sprawiał jednak

wrażenia kogoś, na kim mogłoby to wyrzucić większe wrażenie. Gestem wskazał gościowi krzesło i spokojnie powtórzył pytanie:

– Jak wyglądały ostatnio twoje stosunki z Dorotą Woźnicą?

Rajner zdążył się już opanować i tym razem jego jedyną reakcją było leciutkie uniesienie lewej brwi.

– Jurek, z tobą na pewno wszystko w porządku? Podejrzewasz mnie, bo jakiś dziadek widział wchodzącego do budynku wysokiego faceta? W takim razie gratuluję wykrywalności, musi być niesamowita.

Podporucznik nie dał się wyprowadzić z równowagi, choć najchętniej potrząsnąłby solidnie tym upartym kretynem albo dałby mu przynajmniej raz w mordę. Może ręczne argumenty przemówiłyby do niego szybciej?

– Milewski, przestań się zachowywać jak pojebany i odpowiedz. Jak na razie nie mówiłem nic o podejrzeniach, ale jak tak prosisz, to mogę zacząć.

Starszy chorąży popatrzył spode łba i wzruszył ramionami, lecz tym razem spełnił prośbę kolegi.

– Nijak nie wyglądały. Namówiłem ją, żeby dała się zwerbować Karatowi, i czekałem na informację o tym, co planują. Widziałem się z nią tydzień temu, w mieszkaniu operacyjnym przy Dzierżyńskiego. Niestety nie miała dla mnie nic, prawdopodobnie nadal ją sprawdzali. – Zamilkł na moment, potem nagle wybuchnął, tracąc całe swoje legendarne opanowanie: – Kurwa, to moja wina! Bała się, mówiła, że Karat jej nie ufa... Prosiła mnie, żebym jej pozwolił się wycofać, ale ja, kurwa,

nie dałem się przekonać. Kazałem jej wracać do Karata, bo przecież ja jestem ten najmądrzejszy.

– Jak to pozwolił się wycofać? To ona nie poszła na to dobrowolnie?!

Rajner z westchnieniem pokręcił głową i przyznał się, w jaki sposób zmusił dziewczynę do współpracy.

– To chyba dlatego pomyślałem, że uważasz mnie za podejrzanego – zakończył. – Bo to ja odpowiadam za jej śmierć.

– Ty naprawdę jesteś pierdolnięty – ocenił Jurek, patrząc na Milewskiego na wpół ze zgrozą, na wpół z podziwem. – Mało ci było, że po akcji z Jerrym dowódca zjebał cię jak psa? Musiałeś wymyślić kolejną operację? I w dodatku nikomu o tym nie powiedziałeś. Nie słyszałeś o drodze służbowej?

– Żebyś wiedział, że musiałem – warknął zomowiec. – Jestem to winien Docie. Wiem, że mnie zdradzała i oszukiwała, że wyszła za mnie z wyrachowania, ale do jasnej kurwy, była moją żoną! Zrozum, Jurek. Wyszkolono mnie do walki. Wiesz, jak nazywają nas, ze Specjalnego? Legalnymi zabójcami! A ja nie umiałem obronić własnej żony.

– Nie musisz na mnie wrzeszczeć. Rozumiem cię i pewnie sam zrobiłbym to samo, ale nie możesz robić poza prawem. Jak ty to sobie w ogóle wyobrażałeś? Że kiedy Woźnica da ci cynk, ty wystąpisz sam jeden przeciwko Karatowi i jego bandzie? Kto ty jesteś? Jakiś pierdolony kamikadze?!

Niespodziewanie Rajner się uśmiechnął.

– Jak na razie to ty na mnie wrzeszczysz – wytknął bez złości. Potem spoważniał. – Co ty byś zrobił na moim miejscu? Od chwili, kiedy wróciłem z L-4, dowódca trzyma mnie na ławce rezerwowych, rzekomo dlatego, żebym nabrał sił. Ale ja dobrze wiem, że przestał mi ufać, że też się zastanawia, czy to przypadkiem nie ja załatwiłem Dotę. Od początku mnie nie znosi i wreszcie ma pretekst, żeby mnie udupić. A w domu... Właściwie to w tej chwili nie mam domu. Nie mam co robić i żony też już nie mam.

Jerzy przypomniał sobie słowa patologa i postanowił wykorzystać sytuację do własnych celów.

– Możesz łatwo udowodnić, że nie masz nic wspólnego z zabójstwem. Używasz glocka FM78, prawda? Oddaj go do badań na obecność krwi.

Milewski posłał mu długie spojrzenie i wolno pokręcił głową.

– Jurek, czy ty myślisz, że my te noże nosimy dla szpanu? Nie wiem, jak to wygląda u innych, ale mój będzie się świecić jak choinka na Boże Narodzenie. Jest poręczny, dlatego często go używam i pamiętam, że kilka razy się zaciąłem. Chyba że nauka poszła tak do przodu, że w laboratorium będą w stanie wykluczyć krew obu ofiar. Swoją drogą trochę to dziwne, że obie miały tak samo na imię. Ten twój zabójca to jakiś kolekcjoner Dorot czy ki chuj?

Zgodnie z tym, co powiedział Rajner, badanie noża wykazało obecność krwi o grupie B Rh minus. To właśnie on miał tę najrzadziej występującą grupę, było więc oczywiste, że zgodnie z jego wyjaśnieniem ta wykryta w laboratorium śladowa ilość pozostała na nożu po skaleczeniach. Wykluczono także obecność krwi innej grupy.

Ale podejrzenie zostało i nagle wokół Milewskiego zrobiło się dziwnie pusto i cicho. Nawet niektórzy koledzy z plutonu unikali jego towarzystwa, a gdy pojawiał się w pobliżu, rozmowy natychmiast cichły. Nie pomógł nawet fakt, że w czasie zabójstwa żony starszy chorąży leżał na stole operacyjnym. Znaleźli się tacy, którzy twierdzili, że jego obrażenia wcale nie były tak ciężkie, a lekarze na pewno dostali łapówkę za zeznanie nieprawdy, tymczasem operacja wcale nie miała miejsca lub odbyła się w innym terminie.

Jeszcze gorzej wyglądała dla niego sprawa zabójstwa Doroty Woźnicy. Tu jego alibi nie było już takie oczywiste. Ze względu na dość mocno posunięty rozkład patolog nie był w stanie zawęzić czasu zgonu bardziej niż do sześciu godzin, co stawiało Rajnera w trudnej sytuacji, bo akurat w tym dniu pojechał do polikliniki na wizytę kontrolną. Bezsporne było, że się tam zgłosił i zarejestrował się do lekarza wkrótce po godzinie jedenastej, nie podlegał dyskusji również fakt, że tego dnia poddał się badaniu. Nikt natomiast nie umiał odpowiedzieć na pytanie, o której godzinie Milewski wszedł do gabinetu, a także gdzie spędził okres oczekiwania na swoją kolej. W poczekalni czy może w mieszkaniu Gerarda Pieczyka, zajęty mordowaniem kolejnej Doroty?

Plotka eskalowała i w końcu dotarła do prokuratora, który wbrew swoim zwyczajom pofatygował się do komendy, by porozmawiać z podporucznikiem Jagielskim oraz z jego przełożonym, majorem Kastelikiem.

Jerzy osłupiał, usłyszawszy, jak wielkie rozmiary przybrała pogłoska o sprawstwie Milewskiego, i jeszcze bardziej, gdy Ochabczyk zarzucił mu stronnictwo i kumoterstwo, i niemalże oskarżył o współudział. Z trudem powściągnął chęć zbluzgania prokuratora i przyłożenia mu na odlew w nalaną gębę.

– Panie naczelniku – zwrócił się do przełożonego, ostentacyjnie ignorując Ochabczyka – nie miałem pojęcia, że ludzie wygadują takie brednie. Nie zajmuję się wysłuchiwaniami pierdół, mam za dużo roboty. W dodatku moja żona lada moment będzie rodzić i nie w głowie mi teraz bajki.

Zanim naczelnik zdążył zareagować, odezwał się prokurator, wściekły tak, że zachodziła obawa, iż pęknie ze złości.

– Bajki?! Brednie?! Pierdoły?! Tak pan ocenia opinie swoich kolegów? Piękne świadectwo pan sobie wystawia, nie ma co mówić. – Machnął ręką i skierował wzrok na Kastelika. – Towarzyszu majorze, musi pan odsunąć podporucznika od śledztwa. Proponowałbym także wdrożenie postępowania tak służbowego, jak po linii partii.

Naczelnik przyjrzał się uważnie obu adwersarzom i po dość długim czasie zdecydowanie pokręcił głową.

– Nie mogę spełnić pana prośby – zaakcentował ostatnie słowo, dając tym do zrozumienia, że

polecenia prokuratora nie mają w sprawach kadrowych żadnej mocy sprawczej. – Porucznik Jagielski nie jest członkiem PZPR, więc partia nie ma nad nim żadnej władzy. Jeśli zaś chodzi...

– Partia zawsze ma władzę – przerwał mu poirytowany Ochabczyk. – Jak to nie jest członkiem? Dlaczego w takim razie znalazł się w korpusie oficerskim?

– To pytanie już nie do mnie – odbił piłeczkę major. – Tak postanowiono wyżej i nie ośmieliłbym się kwestionować tej decyzji.

Policzki zbitego z pantałyku prokuratora poczerwieniały jeszcze bardziej, choć chwilę temu Jerzy gotów byłby przysiąc, że to niemożliwe. Ochabczyk rzucił mu taksujące spojrzenie świadczące, że zaczął się zastanawiać nad koneksjami milicjanta. Mimo to jeszcze nie zrezygnował.

– Uważam, że wdrożenie postępowania wyjaśniającego jest niezbędne. To niedopuszczalne, żeby funkcjonariusz milicji zachowywał się w taki sposób.

– Taki, czyli jaki? – zażądał uściślenia Kastelik.

– To chyba oczywiste – sarknął prokurator. – Kryje tego Milewskiego, a morderca śmieje nam się w twarz.

– To na pewno – nie wytrzymał Jagielski. – Gdybym ja był zabójcą, też bym się śmiał, słuchając takiego pierdolenia.

Ochabczyk omal nie eksplodował i major musiał poświęcić kilka minut na jego uspokojenie.

– Porucznik Jagielski nie miał na myśli pana słów, tylko treść plotki – wybrnął dyplomatycznie. – A ty bądź łaskaw się nie wyrażać, nie jesteś wśród kolegów.

Skarcony Jerzy skłonił lekko głowę, po czym wypowiedział trzy słowa, nie adresując ich do nikogo konkretnego:

– Milewski ma alibi.

– Słucham!?! – znów wrzasnął Ochabczyk.

– Milewski ma alibi – powtórzył podporucznik uprzejmie. – W czasie, gdy ktoś pozbawił życia jego żonę, starszy chorąży Milewski leżał nieprzytomny na stole operacyjnym. I pan doskonale o tym wie, bo na pana biurko trafiły stosowne dokumenty. A skoro nie zabił pierwszej ofiary, nie zabił też drugiej, bo biegli nie mają żadnych wątpliwości, że obu zabójstw dokonała ta sama osoba.

– Podobno to jedna wielka bujda z tą operacją. Wszyscy w komendzie o tym wiedzą, a tylko pan jeden nie ma o niczym pojęcia? Chce mi pan spaskudzić śledztwo tak, jak w przypadku tego Kanadyj...?

Major Kastelik stracił w końcu cierpliwość.

– Panie prokuratorze, proszę o chwilę uwagi. – Mówił cicho, lecz w jego głosie było coś takiego, że Ochabczyk przerwał w pół słowa. – Porucznik Jagielski nadal będzie prowadzić śledztwo w sprawie zabójstw dwóch Dorot. Nie dopatrzyłem się w jego pracy żadnych uchybień. Powiem więcej, sam także nie wziąłbym gadaniny żadnych sensacji ludzi pod uwagę, chyba że ktoś przedstawiłby mi solidne dowody na winę starszego chorążego Milewskiego. A tych, jak rozumiem, jakoś brak.

– Tylko dlatego, że ten zabójca zapłacił lekarzowi...

– Panie prokuratorze, przypominam o domniemaniu niewinności – łagodnie, lecz z naciskiem napomniał go Kastelik. – Nie roszczę sobie pretensji do pouczania pracownika prokuratury, ale uważałbym z tymi pomówieniami o łapówki. Milewski był pacjentem polikliniki, operował go sam ordynator, profesor Ksawery Duniecki. Oprócz tego, że Duniecki jest międzynarodową sławą w swoim zawodzie, jest również sprawdzonym towarzyszem, jednym z ważnych filarów naszej partii.

Wstrząśnięty Ochabczyk spoglądał przerażonymi oczami to na majora, to na podporucznika.

– Nie miałem o tym pojęcia. Nigdy bym sobie nie pozwolił... O mój Boże... to znaczy... Bezczelnie wprowadzono mnie w błąd i mam nadzieję, że panowie będą tak uprzejmi uznać tę rozmowę za niebyłą. Nie zabieram więcej czasu. Do widzenia.

Naczelnik odczekał, aż na korytarzu ucichnie staccato wybijane obcasami prokuratora, po czym zwrócił się do podwładnego:

– Ten Milewski to twój dobry kolega? – Po zapoznaniu się z historią znajomości Jerzego i Rajnera odrobinę się uspokoił, lecz widać było, że nadal coś go dręczy. – Za dużo tych plotek – stwierdził nagle. – Za dużo i za długo. To nie jest normalne. Uważaj, Jurek, i tego Rajnera też powinienes ostrzec, bo moim zdaniem ktoś tym wszystkim steruje. Tylko że ni cholery nie mogę skapować po co.

Koniec roku 1985 był dla Ingi i Jolanty wyjątkowo ciężki, przede wszystkim ze względu na pracę. Lucyna urodziła córeczkę, a ponieważ zdecydowała, że po urlopie macierzyńskim wróci do „Instal-Budu”, na jej miejsce nie przyjęto innego pracownika.

Z Urszuli niewiele ostatnio było w księgowości pożytku. Rozkojarzona, nieobecna duchem, co rusz popadała w zamyślenie, niemające nic wspólnego z fakturami, w które wpatrywała się z zapamiętaniem oczami pełnymi łez.

Inga i Jola czuły się całkowicie bezradne. Nie mając pojęcia, w czym tkwi problem, nie potrafiły pomóc koleżance, tym bardziej że ta zbywała ich pytania zniecierpliwionym: „Nic się nie dzieje. Dajcie mi święty spokój”. Po którejś takiej burkliwej odpowiedzi zaprzestały indagacji. Nie da się pomóc temu, kto tej pomocy sobie nie życzy.

Przyczynę tego dziwnego zachowania poznali dopiero podczas wizyty u młodej mamy. Lucyna jak zawsze uczepiła się życia uczuciowego Ingi, która właśnie zerwała od początku źle rokującą znajomość.

– Ale przynajmniej nie możesz powiedzieć, że nie próbowałam – skontrowała Piątkowska. – Widocznie dalej nie trafiłam na tego jedyne.

– Albo było was w łóżku za dużo – zakpiła Jagielska. – Ty, on i jeszcze ten Norbert, do którego przez tyle lat wzdychasz. Uważaj z tym zapatrzeniem, bo skończysz tak, jak Uśka.

Urszula przeżyła kryzys, dowiedziawszy się, że jej ukochany, od lat obiecujący, że już, już rozwiedzie się z żoną, po raz czwarty został ojcem.

– Wpierał jej, że od dawna z nią nie sypia – mówiła Inga, wściekła w imieniu Urszuli. Na Urszulę również. – Wredny gnój, tyle lat ją okłamuje i zwodzi, a ona ciągle mu wierzy i patrzy na niego jak w święty obraz.

– Z tym spaniem to chyba jej nie okłamał – zauważyła Jola, przegarniając krótką czuprynkę. Niedawno ścięła długie, gęste włosy, twierdząc, że boli ją od nich głowa. Fryzjerka przerzedziła je mocno, wycieniowawszy nożyczkami i żyletką, a efekt przeszedł wszelkie oczekiwania. Już wcześniej piękna, teraz Jolanta wręcz oszałamiała urodą.

– Czemu mówisz, że nie okłamał? – zdziwiła się Lucyna.

Jola wzruszyła ramionami i schyliła się, by pogładzić delikatny policzek Alicji, podobnie jak Inga zachwycona maleństwem.

– Bo gdyby spał z żoną, to nie zrobiłby jej dziecka. Dzieci nie biorą się ze spania. Naprawdę o tym nie wiedziałaś?

Uchyliła się przed lecącą w jej kierunku poduszką i roześmiała się serdecznie. Jednakże gdzieś na dnie tego śmiechu czaiła się nutka gorzkości.

Rozdział 15

Kolekcja się rozrasta

Luty 1986, Bielsko-Biała

– Jurek, słyszałeś, że Stareczkova się znalazła?!

Podeksytowany starszy sierżant Zapała wpadł jak burza do pokoju, który dzielił z Jagielskim, i od progu wykrzyczał sensacyjną wiadomość. Oczekiwał co najmniej okrzyków zdumienia, tymczasem podporucznik spojrzał na niego z umiarkowaną ciekawością i spytał obojętnie:

– Kto to jest Stareczkova?

Zdumiony jego niewiedzą Zapała wzniósł oczy do nieba.

– I ty twierdzisz, że jesteś milicjantem?! Barbara Stareczek, żona doktora od trupów, ty ignorancie. Latasz do niego co chwilę, a nie wiesz, że go żona zostawiła i odeszła z kochasiem w siną dal?

Jagielski nie wyglądał na specjalnie przejętego uwagami kolegi.

– Po pierwsze te twoje „co chwilę” to było tylko dwa razy w ciągu ubiegłego roku, w dodatku z blisko ośmiomiesięczną przerwą. A po drugie, o ile dobrze pamiętam, to chyba kochaś odszedł.

– O czym ty mówisz? Jaki znowu kochaś? – zdenerwował się sierżant.

– Ten z piosenki – odparł pogodnie Jerzy i zanucił: – „U drzwi, u drzwi jej tatuś czyści spluwę...” – Urwał i popatrzył ze zgorszeniem na zdezorientowanego kolegę. – Naprawdę tego nie znasz?

– Nie znam. W dodatku nie bardzo wiem, co jakiś głupkowaty tekst ma wspólnego z kochasiem.

– Głupkowaty? I ty mnie nazywasz ignorantem! Marek, toż to klasyka, pierwszy raz tę piosenkę zaśpiewali Iga Cembrzyńska i Bogdan Łazuka. A kochaś? Posłuchaj dalej. – Jerzy nabrał powietrza w płuca i zanucił dźwięcznym barytonem: „Gdy spytasz go – na czyją to jest zgubę? To na kochasia, który odszedł w siną dal...” – Zamilkł na chwilę, sięgnął po papierosa, zerkając jednocześnie z rozbawieniem na ogłupiałego Zapałę. – Teraz pania? – spytał po wypuszczeniu smugi dymu. – Chodziło mi o to, że jeżeli chcesz coś cytować, rób to porządnie albo nie rób wcale.

– Weź ty mnie w dupę pocałuj! – rozeźlił się sierżant. – Polonista pierdolony się znalazł.

Zamaszystym gestem przysunął sobie kartonową teczkę i z zaciętą miną pochylił się nad aktami. Na ten widok Jagielski miał ochotę zdzielić się porządnie w głowę. Całkiem zapomniał, że Marek

jest obraźliwy i długo pielęgnuje urazy. *Mogłem sobie darować to ostatnie zdanie – stwierdził poniewczasie. Teraz będę musiał przez co najmniej tydzień znosić jego nabzdyczoną minę i ostentacyjne milczenie. Kurwa mać! Trzeba go jakoś przebłagać, inaczej szlag mnie tu jasny trafi.*

– Marek? – zagadnął na próbę. Kolega nawet nie uniósł głowy, co oznaczało, że Jagielski trafnie go zdiagnozował. – Nie wygłupiaj się – spróbował ponownie, niestety z takim samym skutkiem. Wobec tego przeszedł do planu B, czyli pokajania się przed obrażonym Zapałą. – Wkurwiłeś mnie tym ignorantem, dlatego chciałem ci dowalić, bo skąd miałem wiedzieć, że doktorek nosi rogi?

Najwyraźniej tłumaczenie trafiło sierżantowi do przekonania, bo oderwał wzrok od dokumentów i przeniósł go na podporucznika, a z twarzy zniknął wyraz zaciętości. Zrobił nieokreślony gest i wreszcie się odezwał:

– No, ja też deczko przegiąłem. W końcu chodzisz do Stareczka na sekcję, a nie na spotkania towarzyskie, a on raczej się nie chwalił wszystkim dokoła, że go żona zostawiła dla jakiegoś *ragazzo* jak ten z piosenki Woźniaka.

Tym razem Jerzy powstrzymał się przed uwagą, że tekst piosenki *Ragazzo da Napoli* napisał Jacek Zwoźniak, nie Tadeusz Woźniak. Zamiast tego udał zainteresowanie niewierną żoną patologa, choć w gruncie rzeczy obchodziła go tyle, co zeszłoroczny śnieg. A nawet jeszcze mniej, bo ów śnieg przynajmniej widział.

– Poważnie rzuciła go dla jakiegoś Włocha? – zmartwił się nieszczerze. – Pewnie poleciała na

forse, a kiedy Italianiec się skapował, kopnął ją w dupę. I teraz mężuś znowu jest dobry i najukochańszy w świecie.

Zrobił ten arcymądry wywód wyłącznie po to, by Marek znów się nie obraził, tym razem z powodu braku zainteresowania plotką. Nie oczekiwał w odpowiedzi żadnych rewelacji, toteż tym większe było jego zdumienie, gdy dotarły do niego słowa Zapały:

– Nie powiedziałem, że wróciła, tylko że się znalazła. A właściwie to ją znaleziono. Stareczek omal nie zemdlał, gdy dostarczono mu do sekcji NN denatkę, a on rozpoznał w niej swoją żonę.

Jagielski szybko opanował zaskoczenie wywołane nieoczekiwaną puentą. Praca w milicji nauczyła go, że nie ma rzeczy niemożliwych, zwłaszcza tam, gdy do głosu dochodzą najniższe instynkty. Śmierć z ręki kochanka to żaden ewenement, już nieraz w taki sposób kończyła się wielka miłość i w tym konkretnym przypadku zapewne również tak właśnie się zdarzyło. Jerzego zdziwiło coś zupełnie innego, dlatego kierowany ciekawością, zadał następne pytanie, choć przed chwilą chciał zakończyć tę rozmowę.

– Stareczek robił tę sekcję? To chyba nie powinno...

– Nie robił – przerwał mu Zapała. – Kiedy ją rozpoznał, od razu się wycofał. To profesjonalista, nie popełnia takich idiotycznych błędów. Ale słuchaj dalej, teraz jest najciekawsze. Wyobraź sobie, że tę żonę...

Przerwało mu gwałtowne wtargnięcie. To naczelnik tak zamasyście otworzył drzwi, że

klamka wymsknęła mu się z dłoni i uderzyła w ścianę, odłupując kawałek tynku. Mężczyzna nie zwrócił na to uwagi. Posapując gniewnie, zbliżył się do biurka Jagielskiego i spiorunował go wzrokiem.

– No jasne – rzucił zgryźliwie. – Można sobie, kurwa, dzwonić do usranej śmierci, bo panowie są tak zapracowani, że nie mają czasu odebrać telefonu.

Popatrzyli na niego ze zdumieniem, nie umiejąc pojąć, skąd te nagłe pretensje. Zapała jako pierwszy zareagował na bezzasadne oskarżenie.

– Panie naczelniku, to jakieś nieporozumienie, przez ostatnie dwie godziny nasz telefon ani razu nie dzwonił. Pani Krysia musiała wykręcić zły numer.

– Zły numer to ja ci zaraz mogę wykręcić – warknął major Kastelik. – Tłumaczysz się jak dziecko. Telefon ci nie dzwonił...

– Kiedy Marek ma rację – włączył się Jerzy. – Telefon naprawdę ani pisnął. Nawet mnie to zdziwiło, że tyle czasu mamy spo... – Tknięty nagłą myślą, pochylił głowę, by zajrzeć w szparę pomiędzy biurkiem a ścianą. – ...kój – dokończył i dodał: – Teraz już wiem dlaczego. Wypiął się skurwysyn.

– Nie mogliście sprawdzić wcześniej? – pieklił się major.

Zanim Jagielski zdążył zareagować, do rozmowy znów włączył się Zapała, uznawszy za stosowne zwrócić uwagę naczelnika, że winę należy przypisać działaniu siły wyższej, być może nawet nieczystej.

– Szeffie, to nie nasza wina, tylko zwyczajny pech albo ktoś urok rzucił. Przecież nie wiedzieliśmy, że

to kurewstwo się wypło!

Dwaj mężczyźni wytrzeszczyli na niego oczy, spoglądając ze zgrozą połączoną z zafascynowaniem.

– Wypło się?! – ryknął Kastelik. – To zrób, żeby się przypło, ty klitko umysłowa! A potem się dziwimy, że obywatele robią sobie z nas jaja i uważają za niedouków.

Jagielski przezornie milczał. Przyzwyczał się już do tych wszystkich „poszłem”, „chuchłem” czy „usłem”, dlatego użyte przez kolegę słowo nie wywarło na nim aż takiego wrażenia jak na naczelniku. Bardziej zaciekawiło go powołanie się na rzucony urok. Czy jest możliwe, by u schyłku dwudziestego wieku nadal ktoś wierzył w takie brednie? I to jeszcze człowiek deklarujący się jako ateista?

Nie zamierzał czekać, aż Marek ruszy się zza biurka, tylko wstał i odsunął swoje, by móc dostać się do telefonicznego gniazda, z którego wypięło się łącze. Potem ustawił mebel na miejscu i spojrzał na naczelnika, obserwującego w milczeniu jego poczynania. Skoro major pofatygował się osobiście do ich pokoju, sprawa nie mogła być błaha. Nie omylił się; chwilę później Kastelik usiadł na wolnym krześle i wbił w niego wzrok tak przenikliwy, jakby chciał przejrzeć go na wylot.

– Jak stoisz ze sprawą tych dwóch zabójstw?

Jerzy nie musiał pytać, o jakich zabójstwach mowa. Bielsko-Biała to nie Chicago z czasów prohibicji, by trup ścielił się tak gęsto, że milicjanci musieliby ustalać kolejność śledztw wedle im tylko znanej klasyfikacji.

– „Stoję” to właściwe słowo – odpowiedział szczerze. – Nadal nie udało nam się dorwać Karata, bo straciliśmy do niego jedyne dojście. Wsadziliśmy jednego żula, który na początku twierdził, że zna Karata i chciał się z nami układać, ale kiedy usłyszał, że ułożyć to się może co najwyżej do snu, od razu przestał pieprzyć farmazony i przyznał, że chciał nas oszukać, żeby trochę urwać z wyroku.

– Bo niepotrzebnie się pierdolisz z takimi jak on. Dobra pała i wąskie drzwi od razu poszerzyłyby mu horyzonty. Zapamiętałby raz na zawsze, że z milicją się w chuja nie leci – pouczył go Zapała, czym zwrócił na siebie uwagę majora.

– Jeżeli to jest twój sposób na zdobywanie zeznań, to długo w moim wydziale nie popracujesz – rzucił zimno Kastelik, po czym wrócił do omawianego tematu: – Jak to możliwe, żeby nikt w mieście nie wiedział nic o tym facecie?

– Może są tacy, co wiedzą, tylko my na nich nie natrafiliśmy. – Jerzy zamilkł i wążąc coś w myślach, spoglądał niewidzącym wzrokiem gdzieś pomiędzy szafę a wieszak na ubrania. Nagle znów się odezwał: – Jestem prawie całkiem pewien, że on nie jest z Bielska, dlatego nikt go nie rozpoznał.

Major wolno skinął głową i gestem zachęcił go do mówienia, toteż Jagielski już bez oporów przedstawił swoją hipotezę. Według niej Karat mieszkał w nieustalonej jeszcze miejscowości i miał tam opinię na tyle dobrą, że nawet ludzie z najbliższego otoczenia nie podejrzewali go o prowadzenie podwójnego życia. Tym bardziej gdy jego podwładni rekrutowali się z innych miast, a może nawet innych województw, a Jagielski podejrzewał takie właśnie rozwiązanie.

– Chcesz powiedzieć, że ten cholerny Karat stworzył tu coś podobnego do mafii? Chyba trochę przesadziłeś.

Podporucznik wytrzymał taksujące spojrzenie przełożonego, w którym dopatrywał się próby oceny władz umysłowych.

– Panie majorze, wiem, jak to brzmi, ale niech pan popatrzy na sprawę z innej perspektywy. To, że do tej pory nie występowały w Polsce tego typu organizacje, nie oznacza, że nie mogły się pojawić.

Przez jakiś czas w pokoju panowała cisza. W końcu Kastelik przetrwał uwagi podwładnego i podjął rozmowę.

– Czas pokaże, czy masz rację. Gość prędzej czy później wpadnie, bo oni zawsze tak kończą. Nie ma zbrodni doskonałej, za to ja mam dla ciebie kolejną część układanki, może ona rozjaśni ci obraz.

– Jakies nowe dane? – ożywił się Jagielski.

– Można to tak ująć. Nowy trup. – Twarz naczelnika przybrała zacięty wyraz. – Dwa dni temu niejaki Giacomo Merotti, Włoch pracujący w Efesemie, zgłosił zaginięcie kobiety, z którą mieszkał. Milicjant przyjmujący zgłoszenie niespecjalnie się tym przejął, bo była mężatką, więc założył, że wróciła do męża.

Z dalszych słów naczelnika wynikało, że ów funkcjonariusz miał zamiar to sprawdzić, lecz nie zdążył, bo wcześniej pojawił się pewien mężczyzna i zawiadomił, że na budowie natknął się na zwłoki zamordowanej kobiety. Z opisu wyglądu denatki wynikało, że może to być zaginiona kochanka Merottiego, bo ona również była niezbyt wysoką blondynką z długimi włosami. W dodatku budowa

znajdowała się w niedalekim sąsiedztwie osiedla Beskidzkiego.

– Jak to na budowie? – przerwał mu Jerzy, gdyż ten fakt wydał mu się podejrzany. – Dwa dni temu była niedziela. To skąd on się tam wziął?

– Znalazł ją na swojej budowie – wyjaśnił major z lekkim rozbawieniem. – Zdarza się czasem, że ludzie nie chcą mieszkać w blokach i budują sobie dom, a potem zaglądają tam nawet w niedzielę.

Pod wpływem ironicznego spojrzenia porucznik się zmieszał, poczerwieniał i zrobił nieokreślony gest, mogący oznaczać w zasadzie wszystko.

– Teraz jasne – bąknął, a Kastelik skinął głową i podjął opowieść.

– Początkowo chłopaki się nie zorientowali, ale sekcja wykazała jasno podobieństwa obrażeń do tych, które zadano poprzednim ofiarom. Właściwie zawdzięczamy to doktorowi Stareczkowi, bo to on zwrócił na ten fakt uwagę, gdy przeczytał opinię kolegi po fachu. – Zauważył minę Jerzego i odpowiedział na niezadane pytanie: – Sekcjonowana kobieta to jego żona. Zginęła czternastego lutego między trzynastą a szesnastą. Dwadzieścia jeden ciosów nożem, podobne cięcia jak w dwóch poprzednich przypadkach, i narzędzie zbrodni też identyczne.

– O kurwa! – wyrwało się Zapale. – Właśnie opowiadałem o tym Jurkowi, kiedy pan przyszedł. Ale to się chyba jednak nie łączy...

Major popatrzył na niego z zaciekawieniem.

– Skąd wiesz, że te trzy sprawy się nie łączą? Zaczynam myśleć, że ty ją zabiłeś i dlatego masz

pewność.

Sierżant jak zwykle nie zrozumiał żartu i od razu się nabzdyczył.

– To chyba oczywiste, że zabił ją ten Italianiec, z którym uciekła. Poza tym ona miała na imię Barbara, a nie Dorota.

– Kolejna osoba, która się upiera przy teorii, że gość zabija tylko Doroty – burknął Kastelik. – Tak jakby nie istniało takie zjawisko jak przypadek.

Jagielski tym razem był zdecydowanie po stronie kolegi. Życie go nauczyło, że jeśli chodzi o zbrodnię, rzadko kiedy zdarzenia następują przypadkowo. Najczęściej są wynikiem skrupulatnych przemyśleń. A że niezbyt dokładnych lub niezbyt mądrych, to jego szczęście i pech przestępców.

– A mnie się wydaje, że imię jednak ma znaczenie – sprzeciwił się głośno. – Kolekcjoner Dorot. Tak go nazwał Rajner Milewski – wyjaśnił, gdy się zorientował, że nie zrozumieli. – Nie wiem tylko, czy musi to być imię metrykalne.

– A jakie jeszcze inne mogłoby być?

– Nigdy nie słyszałeś o przypadkach, gdy ktoś ma inne imię w papierach niż to, którego używa na co dzień? Na przykład moja żona ma na imię Łucja, ale wszyscy mówią do niej Lucyna.

Naczelnik, nie wdając się w dalsze dyskusje, ruszył w stronę drzwi, a po drodze położył przed Jagielskim cienką teczkę zawierającą kilka kart.

Podporucznik rzucił na nie dość obojętnie okiem i nagle wyprostował się jak dźgnięty czymś ostrym w wyjątkowo wrażliwe miejsce.

– A jednak Kolekcjoner Dorot – powiedział wolno, spoglądając na trzymany w ręce dokument.

Należało już do tradycji, że w dniu wypłaty koleżanki z biura odwiedzały Lucynę, od połowy grudnia przebywającą na urlopie macierzyńskim. Przynosiły jej pieniądze i zostawały na kawie, dzieląc się przy okazji najświeższymi plotkami. I tym razem nie pojawiły się w komplecie. Urszula Zaleska leżała w szpitalu po nieudanej próbie samobójczej i nikt nie umiał określić, jak długo potrwa rekonwalescencja oraz czy dziewczyna w ogóle dojdzie do siebie na tyle, by móc pracować. Lekarze mogli wyleczyć ciało, ale rany w duszy musiały zabić się same.

– Ona była w ciąży – powiedziała nagle Lucyna, wprowadzając koleżanki w całkowite osłupienie.

Inga pierwsza odzyskała zdolność logicznego myślenia. Coś jej się w tej informacji nie zgadzało.

– O kim mówisz? O Urszuli czy żonie tego dupka?

– Niestety o Urszuli.

– Ale jak to? – Piątkowska dalej nie rozumiała. – Przecież to żona była w ciąży. Jesteś pewna, że chodzi o Usię?

Lucyna popukała się palcem w czoło.

– Nie wiedziałas, że facet może zrobić dziecko kilku kobietom? Urszula zaszła w ciążę, a ten sukinsyn kazał jej się wyskrobać. Mówił, że ma już troje, a to spory koszt. Obiecywał, że pomyślą

o dziecku później, kiedy już rozwiedzie się z żoną. Uśka go posłuchała, ale bardzo to przeżyła i w zeszłym miesiącu opowiedziała mi o wszystkim. Chyba musiała się przed kimś wygadać.

– A w tym samym czasie żona chodziła w ciąży – skomentowała Jolanta. – Co za kutas! Takich jak on powinno się kastrować. Wybaczcie, muszę do klopa.

Pobiegła do łazienki. Lucyna chwilę spoglądała za nią, po czym nawiązała do jej ostatnich słów:

– Kutas to mało powiedziane – przyświadczyła z głębokim przekonaniem. – Pomyśl, cały czas oszukiwał je obie.

– Faceci to jednak gnoje.

Przejęta historią Urszuli Inga ze złością zmięta w dłoniach puste pudełko po papierosach. Lucyna zerknęła na nią spod oka i zmieniła temat, myśląc jednocześnie o tym, że życie jednak jest niesprawiedliwe. Koleżanki zasłużyły sobie na szczęście, a jednak w życiu uczuciowym jakoś im się nie układało. Pocieszyła się tym, że przynajmniej Jolanta wreszcie odzyskała spokój.

Jola rzeczywiście odżyła. Przestała przemykać po ulicach z miną ściganego zająca, zaczęła też zwracać uwagę na osobników płci przeciwnej. Dzięki temu odkryła, że do mieszkania sąsiadującego z mieszkaniem rodziców wprowadził się mniej więcej trzydziestoletni mężczyzna. Matka oczywiście nie wytrzymała i zrobiła wywiad na jego temat; wkrótce już wiedziała, że ów człowiek ma trzydzieści cztery lata, jest bezdzielnym rozwodnikiem i przeprowadził się do Bielska-Białej

z Cieszyna, gdyż tamto miasto wydawało mu się zbyt małe, by mogło pomieścić jego i byłą żonę.

Koleżanki z pracy namawiały Jolantę, by jakoś bardziej zdecydowanie podeszła do nowej znajomości, z jej słów wywnioskowały bowiem, że nowy sąsiad wpadł jej w oko. Dało się odczuć, że nie miałyby nic przeciwko zamianie ich wzajemnych relacji na bardziej zażyłe, toteż mniej lub bardziej delikatnie popychały ją w tym kierunku.

Teraz, po dwóch miesiącach ostrożnej obserwacji, mogła wreszcie im wyznać, iż przyjęła zaproszenie na kawę.

– Gdzie cię zaprosił? Chyba nie do „Bałtyku”? – spytała zaraz Lucyna, niesłyszająca z ostrożnego dochodzenia do sedna. Zazwyczaj waliła prawdę prosto między oczy i równie bezceremonialnie zadawała pytania.

– „Bałtyk” jest już niemodny, teraz chodzi się do „Wypoczynku” – odparła Jola z miną osoby bywalej w wielkim świecie.

Wszystkie trzy jak na komendę wybuchnęły śmiechem, oba lokale bowiem zaliczały się do najbardziej obskurnych w Bielsku-Białej. Mordownia, putyka czy speluna, tak najczęściej je określano.

– On taki kulturalny, to pewnie zabierze ją do „Młynówki”. Tam przynajmniej jest kibel, nie będą musieli szczać w bramie – stwierdziła Inga, wymieniając nazwę lokalu podobnej klasy. – Albo do „Polskiego” w Lipniku.

Znowu się roześmiały.

– Zaprosił mnie do „Magury” – zdradziła w końcu Jolanta, co Lucyna natychmiast pochwyciła:

– Do hotelu „Magura”? – spytała z dwuznacznym uśmiechem, a gdy niepodejrzewająca niczego koleżanka potwierdziła, zauważyła z niewinną minką: – Ma facet klasę, i kasę chyba też, bo z tego, co słyszałam, noclegi są tam cholernie drogie.

– Jakie noclegi, gorzej ci?! – oburzyła się Jola. – Przestań wymyślać bajki. Idziemy do kawiarni w hotelu.

– A to przepraszam, źle cię zrozumiałam. – Lucyna mrugnęła do Ingi. – Ale może na wszelki wypadek zarezerwujcie pokój, bo jakby was przy tej kawie przypiliło...

Rozdział 16

Męczyzna w szarej kurtce

Luty 1986, Bielsko-Biała

Na dźwięk podekscytowanego głosu podporucznika major przystanął, obejrzał się i pytająco uniósł brwi. Sierżant także uniósł głowę i przez kilka sekund toczył walkę, w której ciekawość odniosła zwycięstwo nad urazą.

– Co masz na myśli?

Jerzy jednak go zignorował i odpowiadając, zwrócił się do Kastelika.

– Pełne dane ofiary to Barbara Dorota Stareczek.

– Żeby to jasny chuj strzelił. Kolejny seryjny?

Dając upust złości, major tak mocno trzasnął drzwiami, że aż zadrżały szyby w oknach, na co Zapała zareagował postukaniem się palcem w czoło.

– Odbiło staremu czy jak? Jurek, ty wiesz, co go tak podkurwiło? I o co mu chodziło z tym seryjnym?

Popatrzył pytająco na Jagielskiego, lecz ten przestał zwracać na niego uwagę i zignorował litanię pytań. W przeciwieństwie do kolegi doskonale wiedział, o czym, a raczej o kim naczelnik mówił. Minęło dopiero niespełna pięć miesięcy od dnia, gdy w więziennej celi powiesił się na kracie Mieczysław Zub, gwałciciel i morderca kobiet, od kryptonimu grupy operacyjnej nazywany Fantomasem. Przez pięć lat Zub pozostawał nieuchwytny, w dodatku pierwszych gwałtów dopuścił się w czasie, kiedy jeszcze służył w ZOMO, nic więc dziwnego, że Kastelik zareagował tak gwałtownie.

Nie doczekawszy się żadnej odpowiedzi, obrażony Zapała wyszedł z pokoju, na co Jagielski odetchnął z ulgą i w spokoju wczytał się w notatki z dotychczasowych ustaleń.

Już po przeczytaniu kilku pierwszych zdań miał okazję się przekonać, że podejrzenia wobec kochanka Barbary Stareczek byłyby całkowicie chybione nawet przy braku cech wspólnych z zabójstwami Milewskiej i Woźnicy. Stareczek rzeczywiście odeszła od męża i zamieszkała z Giacomo Merottim, zatrudnionym w bielskim oddziale FSM, lecz była to jedyna informacja znajdująca potwierdzenie w faktach. Nic zatem nie wskazywało, by w plotkach o kłótni kochanków, awanturach i ucieczce Barbary od zazdrosnego Włocha tkwiło bodaj źdźbło prawdy.

W dodatku Merotti miał niezbite alibi. Czternastego lutego w godzinach między trzynastą

a szesnastą, a więc w czasie zgonu Barbary Stareczek, jej kochanek nadal znajdował się w Neapolu, gdzie w komisariacie policji zeznawał w sprawie ulicznej strzelaniny, której miał pecha być świadkiem. Do Polski przyleciał dopiero dwa dni później i prawie natychmiast zgłosił zaginięcie Barbary, zaniepokojony jej przedłużającą się nieobecnością.

– Zaraz, zaraz – mruknął Jerzy i jeszcze raz zaczął przeglądać karty.

Coś mu nie pasowało w suchej notatce milicjanta, lecz przez jakiś czas nie umiał dojść powodów. Dopiero przy trzecim czytaniu zrozumiał, co wzbudziło jego niepokój. Zajmujący się początkowo tym śledztwem funkcjonariusz nie napisał ani słowa wyjaśnienia, w jaki sposób Merotti mógł stwierdzić, że nieobecność była długa, skoro od kilku dni przebywał poza Polską.

Jagielski zerknął na parafkę umieszczoną pod treścią dokumentu i pokiwał głową. Chorąży Ryszard Wronowicz zaliczał się do kategorii milicjantów, którzy uważali służbę za kłopotliwy obowiązek i robili wszystko, by zajmowała im jak najmniej czasu. Woleli poświęcić go na picie wódki i opowieści o swoich erotycznych wyczynach. Cały ubiegły tydzień Kastelik przebywał na urlopie, zapewne więc Wronowicz i jego koledzy od kieliszka postanowili wykorzystać do maksimum nieobecność naczelnika. Zatem nic dziwnego, że Rysiek nie znalazł wolnej chwili na sporządzenie wyczerpującej notatki.

Po zastanowieniu podporucznik postanowił się upewnić i zadzwonił w tej sprawie do chorążego. Wronowicz początkowo nie mógł zrozumieć, o co

Jerzy ma pretensje, a gdy po dobrych kilku minutach tłumaczenia wreszcie pojął, w czym rzecz, odburknął, że jeżeli Jagielski mu nie wierzy, może zadzwonić do funkcjonariusza, który przyjął od Merottiego zgłoszenie zaginięcia kochanki. To właśnie w tym dokumencie znajdzie odpowiedź na swoje pytanie. Chorąży jej nie zanotował, gdyż uznał, że nie ma sensu powielać zapisów.

– Wrona, czy ciebie już całkiem pojebało? – nie wytrzymał Jagielski. – To jest śledztwo w sprawie zabójstwa, a nie dochodzenie w sprawie włamu do domku na działce i kradzieży farelki. Co ty, kurwa, pierwszy raz prowadzisz śledztwo? Nie wiesz, że musisz mieć dokument na wszystko? Daję ci godzinę na dostarczenie odpowiedniej notatki, potem zgłaszam sprawę naczelnikowi.

Ze złością rzucił słuchawką, lecz zanim to zrobił, usłyszał jeszcze pełen wściekłości okrzyk Wronowicza:

– Pierdolony kapuś!

Wzruszył ramionami. Niech sobie Rysiek myśli, co mu się podoba, on, Jagielski, nie zamierza traktować służby w milicji jako okazji do bezkarnego picia w pracy i ogólnie stawania ponad prawem.

Nie minęła godzina, a Wronowicz bez słowa położył przed nim notatkę, z której wynikało, że Merottiego po powrocie do domu zaniepokoiły oznaki świadczące, że Barbara od kilku dni była nieobecna. Smród zepsutego jedzenia mieszał się z odorem niewysprzątanej klatki chomika, a zwierzątko wyglądało na wygłodzone. Nade

wszystko zaś Giacomo zwrócił uwagę na stojące pod drzwiami trzy butelki mleka.

Jagielski bez słowa wpiął notatkę do akt i pojechał pod adres Merottiego i Stareczek, by porozmawiać z sąsiadami. Nie potrafił pojąć, dlaczego Wronowicz do tej pory ich nie przesłuchał, a burkliwe wyjaśnienie „nie miałem czasu” go nie przekonało. Wysłuchanie kilkunastu mieszkańców bloku niewiele nowego wniosło do sprawy, ale przynajmniej pozwoliło mu ustalić, że polsko-włoska para była ogólnie lubiana. Zakochani w sobie, bezkonfliktowi i uczynni ludzie, którym nikt nie życzył źle. Ktoś taki jednak musiał istnieć, skoro Barbara znalazła się na stole sekcyjnym.

Ostatni raz widziano ją rano czternastego lutego, gdy wychodząca do pracy sąsiadka znalazła się twarzą w twarz ze Stareczek, która wybierała się na targ po jarzyny.

– Zapomniała o mleku – opowiadała kobieta. – Ale zamknęła już drzwi i nie chciało jej się ponownie ich otwierać. Mówiła, że nic mu się nie stanie, jeśli postoi na korytarzu do jej powrotu.

Jagielski uświadomił sobie, że w mieszkaniu nie znaleziono żadnych jarzyn prócz kawałka mocno podeschniętej marchewki. Musiał się upewnić, gdyż ta kwestia wydała mu się bardzo ważna.

– Na pewno miała kupić jarzyny?

– Oczywiście! Ten jej Giacomo to chyba jakiś królik, nic tylko kupowała różne warzywa i robiła mu a to surówki, a to zapiekanki, a to znowu dziwaczne sosy... Panie, co to za chłop, co zamiast wtrząchnąć jak normalny człowiek schabowego

z kapustą, każe sobie gotować taki długachny makaron i polewać go mazią z pomidorów i papryki? – Kobieta pokręciła głową, dziwiąc się upodobaniom obcokrajowca, lecz zaraz dorzuciła: – Ale po prawdzie to lepszy taki niż niejeden Polak, co woli nasze jedzenie, ale pije, bije i jeszcze pieniądze zabiera. A on, ten Giacomo, to świata poza Basią nie widział. Kwiaty przynosił i ciągle pytał, kiedy ona w końcu dostanie ten rozwód, bo żenić się z nią chciał.

– To ona nie była wolna? – udał zdziwienie podporucznik.

Pytanie wywołało nowy potok słów, z których wynikało, że Barbara celowo odwlekała złożenie pozwu, chcąc najpierw się upewnić co do prawdziwości uczuć Merottiego, który pragnął jak najszybciej zalegalizować ich związek.

– Wie pan, ona się bała, żeby nie było tak jak z jej mężem – opowiadała sąsiadka, niemal nie robiąc przerw na zaczerpnięcie powietrza, przez co Jerzy zaczął się obawiać, czy w którymś momencie kobieta się nie udusi. – Nie to, żeby on był dla niej niedobry. Złego słowa nigdy na niego nie powiedziała i nie podobało jej się tylko, że nazywał ją drugim imieniem. Podobno dlatego, że jej teściowa też miała na imię Barbara, ale przecież do matki nie mówił chyba po imieniu. Za to wiele razy podkreślała, że oddawał jej całą wypłatę, nie awanturował się, nie pił i nie oglądał się za innymi. Tylko że za Basią też się nie oglądał, jeśli pan wie, co mam na myśli.

Jagielski poczuł ulgę, gdy wreszcie przestała mówić i zrobiła głęboki wdech. Nawiązując do jej ostatnich słów, uśmiechnął się porozumiewawczo.

– To była piękna kobieta i jeszcze młoda. Za młoda, żeby sypiać sama.

– No właśnie! – wykrzyknęła sąsiadka i podjęła nową tyradę. – Trzydzieści pięć lat to dla kobiety najlepszy wiek, a on... Co z tego, że stać ją było na wszystko, jeśli mąż wolał pracować niż się nią zająć? Panie, ja tam zdrady nie popieram, ale Basię rozumiem. Kiedyś jej się wypsnęło, że mąż nie spał z nią od ponad roku. Śledziła go nawet, bo myślała, że ma kochankę, ale okazało się, że nie. Badania jakieś robił czy coś, bo podobno doktorat pisze. Patrz pan, niby mądry człowiek, a jaki głupi, myśli, że tytuł mu łóżko ogrzeje?

Spojrzała na podporucznika w oczekiwaniu na jakąś reakcję, przytaknął zatem energicznie. Zrobił to z czystym sumieniem, gdyż zgadzał się z jej opinią. Jedno, co mu trochę zgrzytało w opowieści, to powód seksualnej abstynencji Stareczka. Czy jest możliwe, by zdrowy czterdziestolatek do tego stopnia zafiksował się na doktoracie, że przestał odczuwać pożądanie? Jerzemu trudno było sobie to wyobrazić. Chyba że...?

Myśl została przerwana, gdyż kobieta znowu zaczęła mówić, tym razem o rozpacz Merottiego na wieść o śmierci Barbary. Jagielski słuchał nieuważnie, układając w głowie listę spraw do załatwienia. Nagle do jego świadomości przedarły się słowa będące całkowitą nowością. Nie był pewien, czy dobrze usłyszał, równie dobrze mógł je źle zrozumieć, przebywając myślami gdzie indziej.

– Co pani powiedziała? Może pani powtórzyć ostatnie zdanie?

Popatrzyła zdziwiona, lecz posłusznie spełniła prośbę milicjanta.

– Merotti obraził się na mnie, bo mu powiedziałam, że Basia spotkała się wtedy z jakimś mężczyzną.

Nie zdołał stłumić zdziwienia, wcześniej bowiem o niczym takim nie wspomniała.

– Jak to?!

Wzruszyła ramionami, demonstrując obojętność, lecz gdy się odezwała, w jej głosie dominowała uraza.

– Kazał sobie opisać tego faceta, a potem powiedział, że kłamię. I że to podłe z mojej strony oczerniać kogoś, kto już nie żyje i nie może się bronić. – Podniosła na milicjanta rozżalone oczy. – Naskoczył na mnie, jakbym nie wiem co zrobiła, a ja przecież nie miałam na myśli nic złego.

– Zrozpaczeni ludzie często nie myślą racjonalnie. Nie mogą pogodzić się z nieszczęściem i na siłę szukają kogoś, kogo mogliby obwinić o swoje nieszczęście i wyładować na nim cały gniew i żal. Nie powinna pani brać tych słów na poważnie. Merotti na pewno wcale tak nie myśli – pocieszył ją Jagielski, po czym zapytał: – A ten mężczyzna, z którym widziała pani Barbarę, to ktoś znajomy?

Zaprzeczyła ruchem głowy, a z wyrazu jej twarzy można było wywnioskować, że nie zamierza podejmować tego tematu. Widocznie stosowała się do zasady, że kto raz się sparzy... Nawet ją rozumiał, ale musiał dowiedzieć się więcej.

– Pani Mario – odezwał się po dłuższej chwili poświęconej w całości zastanawianiu się, jak

kobieta ma na imię. – Proszę opisać tego człowieka. To bardzo ważne, bo być może to właśnie on zabił panią Stareczek.

Trącił właściwą strunę. Kobieta westchnęła cicho, a z jej twarzy z wolna znikał wyraz zaciętości.

– Był wysoki. Wyższy od niej co najmniej o głowę, więc na pewno miał dobrze ponad metr osiemdziesiąt.

– Bardzo dobrze – pochwalił Jerzy. – A coś więcej? Włosy, oczy, twarz?

– Włosy ciemnoblond, krótko ostrzyżone – padła natychmiastowa odpowiedź. – Ale to wszystko, co mogę powiedzieć. Widziałam go tylko od tyłu.

No tak, to byłoby zbyt piękne – pomyślał, głośno zaś zapytał:

– Pamięta pani może, w co był ubrany?

Kobieta z zapałem pokiwała głową, zadowolona, że wniesie do śledztwa istotne informacje.

– Miał szarą kurtkę. Taką do bioder, z normalnego materiału, nie z ortalionu. I granatowe spodnie, chyba dżinsy, ale nie jestem pewna. Czapki nie nosił, dlatego zapamiętałam kolor włosów. To wszystko.

Pomyślał, że co prawda pani Maria zapamiętała całkiem sporo, ale jemu niewiele to pomoże. Krótko ostrzyżony ciemny blondyn w szarej kurtce do bioder i w dżinsach? W samej komendzie znalazłoby się takich pewnie ze dwudziestu. Ponad metr osiemdziesiąt wzrostu? Odpadnie połowa, ale nadal zostanie z dziesięciu. A ilu takich będzie w całym mieście? Jak mógłby bardziej zawęzić zakres?

– Pani Mario, jeszcze jedno pytanie. W jakim wieku mógł być ten człowiek?

– Nie mam pojęcia. – Pokręciła energicznie głową dla podkreślenia swoich słów. – Poruszał się bardzo żwawo, więc na pewno nie był starcem, ale trudno mi powiedzieć, ile mógł mieć lat.

– Poruszał się żwawo – powtórzył zamyślony podporucznik. – Czyli raczej nie mógł być grubasem...

– A czy ja powiedziałam, że był gruby?! – oburzyła się pani Maria, po czym zreflektowała się i dodała już mniej pewnie: – Oczywiście mogę się mylić, bo przecież widziałam go tylko od tyłu, ale on absolutnie nie wydawał mi się gruby. Na pewno nie jakiś spaślak, co bez wciągnięcia brzucha własnych butów nie zobaczy.

Jerzy zapisał jej spostrzeżenia, nie omieszkał też sprawdzić, jak to u niego wygląda z zobaczeniem butów. Nie było źle, ale przy tej okazji odnotował, że nad paskiem spodni pojawił się zaczątek wypukłości. Na razie ledwo zauważalny, co nie znaczyło, że nie zechce szybko się rozrosnąć. To praca za biurkiem, brak ruchu i wieczorna butelka żywca zbierały swoje żniwo. Jagielski przypomniał sobie zaproszenie Norberta do wspólnych ćwiczeń i postanowił skorzystać z oferty.

– Co może pani powiedzieć o ich zachowaniu? – zapytał znów, odsuwając jednocześnie niezbyt przyjemne myśli o konieczności wzmożenia wysiłku fizycznego. – Czy sprawiało wrażenie zażyłości?

Kobieta spojrzała niepewnie.

– Chodzi panu o to, czy dobrze się znali? Nie wiem, widziałam ich tylko przez chwilę. On pojawił

się jakby znikąd i chyba ją zawołał, bo Basia się odwróciła i zaczęła, aż do niej podejdzie. Znała go na pewno, ale moim zdaniem nic więcej w tym nie było. Uśmiechała się, ale tak bardziej jak do znajomego, zupełnie inaczej niż do Giacomina. Szkoda, że nie dał mi szansy tego powiedzieć – stwierdziła ze smutkiem.

– Jeszcze będzie okazja, jestem tego pewien – pocieszył ją Jerzy. – Zatem uważa pani, że tych dwoje się znało, ale nie łączyło ich uczucie. Przynajmniej z jej strony. A jak to wyglądało u niego?

Kobieta rozłożyła ręce.

– Sama chciałabym wiedzieć. Ale widziałam go...

– Wiem – przerwał jej z ciężkim westchnieniem i dokończył: – Tylko od tyłu.

Marzec 1986, Bielsko-Biała

Początkiem marca naczelnik ponownie pojawił się w pokoju Jagielskiego. Tym razem nie zastał w nim Zapały, gdyż sierżant od tygodnia przebywał na zwolnieniu chorobowym. Zdaniem Jagielskiego nie robiło wielkiej różnicy, czy Zapała był w pracy, czy też nie, i Jerzy po raz kolejny zwrócił na to uwagę Kastelika.

– Szefie, nie chodzi o to, że lubię podpierdalać kolegów. Ale Marek zwyczajnie nie nadaje się do tej roboty. Nie ma cierpliwości do papierów, nie umie rozmawiać ze świadkami, w dodatku dopasowuje

fakty do swoich hipotez. Może w kryminalnym by się sprawdził, bo u nas go nie widzę.

Major popatrzył na niego z wyrzutem, potem sięgnął po paczkę klubowych i wysupłał papierosa.

– Myślisz, że o tym nie wiem? Że się nie orientuję w pracy własnego wydziału? – Szczęknał zapalniczką i zaciągnął się głęboko. – Już dawno bym się go pozbył, tylko nie mam nikogo na jego miejsce.

Na twarzy Jagielskiego odmalowało się niedowierzanie, dał też temu wyraz, odzywając się wzburzonym głosem:

– Nie rozumiem, jak może nie być chętnych. W tym roku dwóch moich kumpli złożyło papiery o przyjęcie do pracy i obaj dostali odpowiedź odmowną, bo podobno w milicji nie ma wolnych etatów.

– Źle mnie zrozumiałeś – odparł Kastelik. – Mam na myśli wydział, a nie całą milicję. Zresztą chętni są, nawet kilku, tylko że ja ich nie chcę. Nie powiesz mi chyba, że byłbyś zadowolony, gdyby na miejsce Zapały przyszedł taki sam nieuk albo ktoś jeszcze gorszy?

Mina podporucznika wystarczyła za odpowiedź. Ponieważ naczelnik pogrążył się w myślach, Jerzy także zapalił i czekał, aż przełożony zdradzi powody swojej wizyty, nie zakładał bowiem, że major przyszedł wyłącznie po to, by się przywitać i ewentualnie porozmawiać o Marku. Jagielski znał swoją wartość, ale to już byłaby przesada.

Kastelik dopalił papierosa i starannie zgasił niedopałek. Siedział ze zmarszczonymi brwiami i obracając w palcach wytartą do granic możliwości

gumkę, myszkę, przyglądał jej się z niemal nabożnym skupieniem.

– Kolekcjoner Dorot – powiedział nagle i zdecydowanym ruchem odłożył gumkę. – Zrobiłeś jakieś postępy?

Podporucznik skrzywił się wymownie.

– Potwierdziłem, że ani mąż, ani kochanek nie mogli zabić ostatniej ofiary, co raczej trudno nazwać postępem. W tym czasie Merotti przebywał jeszcze we Włoszech, zresztą w dwóch poprzednich przypadkach także nie było go w Polsce. A Stareczek ma alibi. W dniu śmierci żony był na jakimś sympozjum w Katowicach. Trwało od dziewiątej do szesnastej i dotyczyło...

Urwał i zaczął przeglądać notatki, by znaleźć stosowny zapis, lecz naczelnik go powstrzymał, nieciekawy tematyki.

– Daj spokój ze Stareczkiem. Facet ma chody w komitecie i chyba już się pożalił na szykanowanie przez milicję, bo miałem niezbyt przyjemny telefon w tej sprawie. Skoro ma alibi, zostaw go w spokoju i zajmij się innymi podejrzanymi.

– Kiedy nie ma innych! – wybuchnął Jagielski.

– A facet w szarej kurtce? – zasugerował major. – Według świadka się znali, więc musieli się spotykać. Nie wierzę, że nikt ich razem nie widział. Wzięłeś pod uwagę, że to wcale nie musi być świeża znajomość? Powinieneś popytać sąsiadów Stareczka, bo mogli się znać z czasów, gdy ona jeszcze żyła z mężem.

Jerzy posłał przełożonemu spojrzenie, jakiego nie powstydziliby się Zapała, ton głosu podporucznika

także świadczył o urazie.

– Niech pan sobie wyobrazi, że nawet mnie udało się na to wpaść.

Kastelik popatrzył na niego spod oka i nagle parsknął śmiechem.

– Do naszego ulubionego sierżanta jeszcze trochę ci brakuje, ale jesteś na dobrej drodze. Ćwicz, chłopcze, ćwicz, a może mu dorównasz. – Znow sięgnął po papierosa, włożył między wargi, lecz nie zapalił. Przez jakiś czas przesuwiał go z jednego kącika do drugiego, w końcu wyjął, położył na biurku i spytał, chcąc się upewnić, Jagielski bowiem przemilczał efekty poszukiwań. – Tam też pudło?

– Niestety nie – odparł niechętnie zapytany. – Udało mi się znaleźć mężczyznę, który kilka miesięcy temu był świadkiem rozmowy Stareczkowej z nieznanym blondynem, odpowiadającym wyglądem rysopisowi podanemu przez panią Marię. Na nieszczęście nie całej, a zaledwie fragmentu, z którego wynikało, że kłócili się o jakiś dom. Więcej facet nie usłyszał, za to udało mu się poznać imię blondyna. To znaczy on nie był pewien, czy to było imię, nazwisko czy może ksywa, ale ja nie miałem żadnych wątpliwości.

– Imię! – prychnął Kastelik, uczepiwszy się przedostatniego zdania z całkowitym pominięciem późniejszych słów. – Faktycznie kurewsko dużo nam to daje. Założę się o flaszkę, że PESEL wypłut ci setki wyników.

Niespodziewanie Jagielski się uśmiechnął.

– Alkohol można kupić dopiero od trzynastej, ale po znajomości na pewno sprzedadzą panu już

teraz. Wynik był tylko jeden. – Uśmiech nagle zniknął, twarz Jerzego wykrzywił grymas złości. – Według świadka blondyn ma na imię Rajner.

Rozdział 17

Kłopotliwy legat

Marzec 1986, Bielsko-Biała

Nie wyglądało na to, by Milewski przejął się słowami Jerzego, choć te niedwuznacznie świadczyły, że starszy chorąży znów znalazł się na czele listy podejrzanych. Jedynym odstępstwem od normy było, że jego twarz nie skrywała się już za maską obojętności. Uśmiechnął się smutno i rozłożył ręce.

– Czy naprawdę w całym Bielsku nie ma innych mężczyzn? Masz zamiar łączyć mnie z każdym zabójstwem czy tylko z wybranymi? Pytaj, skoro musisz.

– Muszę – rzucił gniewnie Jagielski. – Myśl sobie, co chcesz, ale nie robię tego dla kaprysu. Wskazał cię świadek. To co, miałem udać, że nie dosłyszałem?

Rajner przetarł przekrwione oczy gestem śmiertelnie zmęczonego człowieka.

– Przecież wiem – burknął. – Tylko jestem cholernie zmordowany, musiałem pociągnąć zmianę za kumpla. Po dwudziestu czterech godzinach służby moja odporność na głupotę różnych procedur jakby zanikła. Pytaj i miejmy to już z głowy.

Podporucznik skinął głową i już bez zwłoki przeszedł do meritum:

– Czternastego lutego w godzinach porannych widziano cię w towarzystwie Barbary Stareczek. Jaki był powód tego spotkania?

Milewski zmarszczył brwi w zastanowieniu, potem pokręcił głową.

– Niemożliwe – oświadczył z mocą. – Ostatni raz rozmawiałem z Bašką pod koniec stycznia. Twój świadek musiał mnie z kimś pomylić.

– Opisał cię bardzo dokładnie – zablefował Jerzy.
– Nie ma mowy o pomyłce.

– W takim razie mam sobowtóra – odpowiedział lekko Rajner, od kilku chwil wertujący notatnik. Ręka obracająca strony zastygła, na twarzy mężczyzny pojawił się grymas mający zapewne być uśmiechem. – Czternastego lutego miałem służbę od szóstej do osiemnastej, a zakładam, że musiało być jasno, jeśli świadek mógł mnie porządnie obejrzeć. W takim razie czas przed szóstą i po osiemnastej odpada.

Ponieważ Jagielski dysponował tylko bardzo ogólnym opisem towarzysza Stareczkowej, nie zamierzał upierać się przy swoim zdaniu. Bardziej

niepokoiło go zeznanie sąsiada Stareczków, świadczyło bowiem o bliskiej znajomości Rajnera z Barbarą. Co prawda Milewski wcale tego nie ukrywał, ale to jeszcze nie świadczyło, że jej nie zabił.

– Co cię łączyło ze Stareczkową?

– Nic wielkiego. Długoletnia... – Rajner się zawahał. – Właściwie to nie wiem, jak określić naszą relację. Dużo mniej niż przyjaźń, a jednocześnie więcej niż zwykła znajomość. Chodziłem z jej młodszą siostrą do jednej klasy w ogólniaku, a Baškę poznałem, kiedy się okazało, że jestem zagrożony z rosyjskiego. Dawała mi korepetycje. Możesz spytać Norberta, uczyła nas obu.

– No dobra. A teraz? Wiedziałeś, że odeszła od męża?

– Dowiedziałem się już po fakcie. – Milewski pokręcił głową, jakby się czemuś dziwił. – Nie znałem Stareczka i nawet nie wiedziałem, że jest patologiem, ale zawsze byłem pewien, że są szczęśliwym małżeństwem. Zresztą właściwie do teraz nie wiem, dlaczego od niego odeszła i czy to na pewno była jego wina. Nie rozmawiałem z nią o tym, to były przecież ich prywatne sprawy.

– A o czym z nią rozmawiałeś? – podchwycił Jerzy.

– O prawie.

Ta zwięzła odpowiedź wprowadziła podporucznika w konsternację. Wpatrzył się w rozmówcę, niepewny, czy dobrze usłyszał, wreszcie zapytał:

– O jakim prawie? W sensie nauki czy prawie do czegoś?

Rajner zmrużył oczy.

– Muszę odpowiedzieć? To chyba nie ma związku ze sprawą.

– Lepiej by było, gdybyś odpowiedział.

Milewski nie protestował dłużej, choć nie wyglądał na zachwyconego koniecznością odsłonięcia się przed kolegą.

– W porządku. Powiem, tylko spróbuj tego nie rozgadać, okej? Ostatnio nie mam u dowódcy najwyższych notowań, a gdyby jeszcze się dowiedział, że mam zamiar studiować, to chyba mi łeb upierdolił.

Z dalszych wyjaśnień wynikało, że Rajner spotkał się z Barbarą Stareczek, by dowiedzieć się, czy według niej ma szansę ukończyć prawo. Jako absolwentka tego kierunku wydawała mu się bardziej kompetentna do wydawania w tej sprawie opinii niż koledzy twierdzący, że na pewno sobie nie poradzi. Jego zdaniem fakt, że poległ na egzaminach wstępnych, raczej ich, jako opiniotwórców, dyskwalifikował.

Jerzy wysłuchał uważnie Milewskiego, lecz choć wypowiedź była logiczna i spójna, nie do końca go usatysfakcjonowała. Brakowało w niej jednego, bardzo istotnego elementu i podporucznik się zastanawiał, czy Rajner pominął go, uznawszy za nieistotny, czy może zrobił to celowo. Bardziej się skłaniał do drugiej wersji; jako doświadczony funkcjonariusz Milewski musiał wiedzieć, że w śledztwie ma znaczenie każdy, nawet najmniejszy i pozornie nieważny szczegół. Dlaczego więc pominął ten fragment swojej rozmowy z Barbarą Stareczek? Czyżby mogła go obciążyć?

– Rajner, mam świadka, który twierdzi, że gdy widział cię w styczniu ze Stareczek, wasze spotkanie wcale nie miało tak idyllicznego przebiegu, jak usiłujesz mi to przedstawić. W tej sytuacji twoja wiarygodność staje pod znakiem zapytania.

Starszy chorąży po raz pierwszy wydawał się wytrącony z równowagi. Zamiast standardowego już uniesienia brwi czy kącika ust zareagował wyjątkowo bogatą wiązką kwiatów polskich, wśród których królowało jędrne słowo podające w wątpliwość prowadzenie się matki nieznanego mu świadka. Jagielski ze stoickim spokojem poczekał, aż Milewski przestanie kłąć.

– Bluzgi masz opanowane do perfekcji, ale ja wolałbym usłyszeć coś bardziej konstruktywnego. Może o twojej kłótni ze Stareczek? – zaproponował słodkim głosem. – Co to za dom, o który się z nią pozarłeś, i dlaczego wolałeś o tym nie wspominać? – Zauważył na twarzy kolegi pełen uporu grymas i dorzucił zimnym tonem, jak do obcego: – Radzę odpowiedzieć, jeżeli nie chcesz wyjść stąd w kajdankach.

Na widok wściekłości Rajnera pozbył się złudzeń i zyskał pewność, że ich spotkanie zakończy się według przedstawionego przed chwilą scenariusza. Poczuł żal, bo na tyle już poznał Milewskiego, że uważał go za dobrego człowieka i świetnego milicjanta. Niestety swoim uporem w ignorowaniu istotnej części pytań starszy chorąży pozbawiał go jakiegokolwiek pola manewru.

Podporucznik nie mógł potraktować go ze specjalnymi względami, zwłaszcza że ktoś musiał się wygadać i w mieście zaczęto mówić o wampirze

atakującym kobiety imieniem Dorota. Pojawiły się też pogłoski, że mordercą może być milicjant, wobec czego Jerzy musiał postępować zgodnie z procedurami. Inaczej następna plotka będzie traktować o milicjancie, który krył kolegę-mordercę w imię źle pojętej lojalności.

– Ten cholerny dom nie ma z Baską nic wspólnego – odezwał się niespodziewanie Rajner. – To wyłącznie moja sprawa. Osobista. Wolałbym o tym nie mówić.

– Kurwa mać, Rajner! – Jerzy stracił cierpliwość. – Zapomniałeś, po co tu jesteś? W dupie mam to, co ty byś wolał, przyswajasz, głupi ćwoku? Muszę to usłyszeć i dać na papier albo razem pojedziemy na Żuławy osuszać bagna.

Ku jego zaskoczeniu Milewski zwiesił głowę, a gdy się odezwał, w jego głosie nie wibrowała już wściekłość. Nie było w nim także zwykłej obojętności, stanowiącej wypracowaną latami treningu zasłonę dokładnie skrywającą rzeczywiste uczucia. Jagielski usłyszał żal i smutek zmieszane z nutą zażenowania, i odniósł wrażenie, że dopiero teraz ma przed sobą prawdziwego Rajnera.

– Pewnie o tym nie wiesz, ale wychowałem się w bidulu. Nie mówię tego, żeby wzbudzić litość. Po prostu musisz poznać całą prawdę, żeby zrozumieć.

Urwał, uniósł głowę i zerknął na Jerzego, jakby chciał zobaczyć jego reakcję. Jagielski nie był tak dobry jak on w skrywaniu własnych emocji, ale opanował tę sztukę na tyle, że nie dał po sobie poznać, iż informacja o domu dziecka nie stanowi dla niego niespodzianki. Jeśli miała się wiązać ze Stareczkową, chciał ją usłyszeć z jego ust.

Spokojnie odwzajemnił spojrzenie i dał znak Milewskiemu, by mówił dalej.

– Pewnej nocy podrzucono mnie na próg młodej kobiety. Na szczęście lub nieszczęście mimo końca września noc była ciepła, co wcale nie jest regułą, kiedy więc ta kobieta usłyszała płacz niemowlęcia i wyjrzała z domu, nie zdążyłem się jeszcze wychłodzić. Nie będę wchodzić w szczegóły, które zresztą znam tylko z opowiadań, bo nie są istotne dla sprawy, dość, że wylądowałem w bidulu. Ta kobieta chyba czuła się w pewien sposób za mnie odpowiedzialna, bo obdarowała dom dziecka sporą kwotą, a oprócz tego zobowiązała się łożyć na moje potrzeby, dopóki nie dorosnę i się nie usamodzielnię. Warunkiem było, że mieli nazwać mnie jej nazwiskiem.

Jerzy wydał z siebie stosowne okrzyki mające oznaczać zdumienie i niedowierzanie, choć tę część historii Rajnera poznał już z opowiadania Norberta Swifta.

– Musiała być bogata – skomentował w zamyśleniu. – I miała dobre serce. Poznałeś ją osobiście?

Na słowa o dobrym sercu Milewski drgnął jak ukłuty szpilką, lecz nie skomentował tej części wypowiedzi. Odniośł się za to do kolejnej.

– Miałem już prawie siedemnaście lat, gdy zaczęła u nas pracować nowa wychowawczyni, młoda i pełna zapału. Gdy usłyszała moją historię, odszukała w archiwum stare dokumenty i zanotowała imię i nazwisko oraz adres mojej dobroczyni... Dobroczyni? Chuj z tym, jak zwał, tak zwał. Ważne, że namówiła mnie, żebym tam

poszedł i podziękował. No to poszedłem. Dom wielki jak pałac, otoczony wysokim murem, żeby plebs nie zaglądał. Wiesz, jakie chałupy stoją pod Szyndzielnią? A ta biła inne na głowę.

– Czyli miałem rację, że bogaczka – wtrącił Jerzy.
– Jak cię przyjęła?

– Nijak. Wylazł jakiś facet i zapytał, czego chcę, a kiedy mu powiedziałem, kazał czekać. Za bramę nie wpuścił, czym od razu mnie wkurwił, bo poczułem się jak żebrak. Wrócił nawet dość szybko, ale nie po to, żeby mnie zaprowadzić na salony. – Rajner zrobił nadętą minę, a gdy zaczął mówić dalej, jego głos także się zmienił, był teraz pełny pretensjonalnej wyższości. – „Pani Gerda powiedziała, że nie potrzebuje żadnych podziękowań. Masz się tu więcej nie pokazywać. Kapewu? Bo jak nie, to cofnie zlecenie przekazów i gównu dostaniesz, a nie pieniądze”.

– Dziwne zachowanie – mruknął Jagielski. – Mogę zrozumieć niechęć do wysłuchiwanie podziękowań, zwłaszcza jeżeli jej zależało na utrzymaniu anonimowości. Ale po co od razu tak ostro?

– Właśnie z tego powodu się wkurwiłem – przyznał Milewski. – Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że najlepszą bronią jest samokontrola. Powiedziałem, że nie jestem żebrakiem, a ona pierdoloną księżną panią, i że te przekazy może sobie do dupy wsadzić, bo ja nie potrzebuję jej zasranej forsy. Facet musiał jej to powtórzyć, bo spełniła moje życzenie i pieniądze przestały przychodzić.

– Gerda Milewska? – zainteresował się Jerzy. – Próbowalesz dowiedzieć się o niej czegoś więcej?

Rajner popatrzył na niego spode łba, potem pokręcił głową.

– A po co? Wtedy myślałem, że płaciła, bo miała taki kaprys. I z powodu podobnego kaprysu przestała płacić. Jej szmał, jej wybór.

– Wtedy myślałeś – powtórzył wolno Jagielski. – Coś się w tej materii zmieniło? I jaki to ma związek z tym jakimś domem? Umarła i zapisała ci ten pałac?

– Taa. I do tego gwiazdkę z nieba – prychnął zomowiec. – Z tego, co mi przekazano, Gerda Milewska rzeczywiście nie żyje, zmarła cztery lata temu. Milewska to panięńskie nazwisko, po mężu nazywała się Paszkiewicz. – Rzucił okiem na kolegę i parsknął śmiechem na widok jego zaskoczenia. – Tak, panie poruczniku, była żoną tego właśnie Paszkiewicza, wielkiej szychy z kawu.

Jagielski gwizdnął przeciągle.

– No, no, nie chwaliłeś się, że masz takie znajomości.

– Bo nie mam. Głuchy jesteś? – zdenerwował się Rajner. – W życiu z gościem nie rozmawiałem i nie miałem pojęcia, że jest jej mężem. Przekazy wysyłała jako Milewska. Wyszła za mąż miesiąc po tym, jak mnie zabrano do bidula, i teraz myślę, że dlatego tak ją wkurzyły moje odwiedziny. Bała się, że wszystko rozgadam.

– Wszystko, czyli co konkretnie?

Zamiast odpowiedzieć, Milewski wyjął z kieszeni dość grubą kopertę i położył na biurku, po czym gestem zachęcił podporucznika, by ten zapoznał się z jej zawartością. Jerzy najpierw odczytał dane

nadawcy i uniósł brwi, gdy ujrzał adres kancelarii notarialnej w Cieszynie. Coraz bardziej zaintrygowany szybko przebiegł wzrokiem treść pierwszego dokumentu. Była to kopia testamentu niejkiej Heleny Milewskiej z domu Żaczek, zamieszkałej w Wiśle. Wynikało z niego, że kobieta cały swój majątek, w którego skład wchodziły budynek mieszkalny oraz działka o powierzchni czterech arów, zapisała Rajnerowi Milewskiemu, będącemu jej jedynym najbliższym krewnym.

– To ci się ładnie trafiło. Masz farta. Najpierw ta Milewska... – Jagielski urwał i jeszcze raz zerknął na testament. – O kurwa, druga Milewska? Dziwna sprawa, taki zbieg okoliczności...

Mówiąc te słowa, już wiedział, że żaden zbieg okoliczności nie miał z tym nic wspólnego. Takie przypadki po prostu się nie zdarzają. Zresztą wystarczyło popatrzeć na Rajnera, by pojąć, że takie rozwiązanie nie wchodziło w grę.

– Gerda Milewska była jedynym dzieckiem Heleny i Edwarda Milewskich – powiedział Rajner głosem wypranym z emocji. – Mówiłem, żebyś przeczytał wszystko. Tam jest wyjaśnienie. Ja idę do sklepu, muszę kupić coś do żarcia.

Jerzy dobrze wiedział, że to nie konieczność zrobienia zakupów wyгнаła starszego chorążego z pokoju. Nie chciał być przy tym, gdy kolega będzie poznawać historię jego rodziny i być może jego poczęcia. Bo podporucznik nie musiał zaglądać w dokumenty, by wiedzieć, że Gerda Milewska wcale nie znalazła noworodka na swoim progu. Wystarczyło zerknąć na załączone zdjęcie i stawało się jasne, że to ona go urodziła.

– Sam nie wiem, co robić – wyznał następnego dnia, gdy naczelnik zapytał o efekty przesłuchania Milewskiego. – Teoretycznie ma alibi, ale słabe, bo grupa działała w rozproszeniu i wcale nie jest pewne, że tkwił przez cały czas na wyznaczonej pozycji. Gdyby się urwał na godzinę lub dwie, nikt by się nie zorientował. Ale nie miał motywu. Nie wypierał się znajomości ze Stareczek, a kiedy go przycisnąłem, bez oporów pokazał mi dokumenty otrzymane od notariusza i wytłumaczył, dlaczego się z nią kłócił. Mnie to przekonuje, sam pewnie w jego sytuacji zareagowałbym tak samo.

– Może by tak jaśniej? – sarknął Kastelik. – Nie jestem Duchem Świętym. O co chodziło z tym domem?

Jerzy streścił mu rozmowę z Milewskim, po czym opowiedział o tym, co wyczytał ze znajdujących się w kopercie zapisków autorstwa Heleny Milewskiej. Wynikało z nich, że Gerda była jedynaczką, a rodzice pokładali w niej wielkie nadzieje. Zwłaszcza ojciec, nauczyciel, dla którego posada w szkole w Wiśle miała być tylko przystankiem na drodze do kariery akademickiej. Kiedy jednak zrobił dziecko miejscowej dziewczynie, jego plany pod naciskiem rodziców musiały ulec zmianie. Głęboko wierzący, nie wyobrażali sobie, by ich syn nie ożenił się z dziewczyną, nawet jeśli nie była katoliczką. Doprowadzili do ślubu, a Edward odłożył swoje projekty na później.

– Czyli na święte nigdy – opowiadał Jagielski. – A kiedy się okazało, że córka jest nie tylko bardzo ładna, ale i nieprzeciętnie zdolna, wrócił do nich, z tym że teraz w roli głównej obsadził Gerdę.

– I pewnie unieszczęśliwił ją na całe życie – skonkludował major.

– Tego nie wiem. Za to jest znane wszystkim okolicznym mieszkańcom, że dziewczyna się buntowała i zamiast chodzić na dodatkowe zajęcia, prowadziła bujne życie towarzyskie, przez co nie zdała matury.

Z dalszej opowieści Jagielskiego wynikało, że gdy córka oblała maturę, Edward Milewski szybko skorygował swoje plany i postanowił wydać ją dobrze za męża. Udało mu się zaprosić na urodziny wschodzącą gwiazdę lokalnego oddziału partii, a starszy od córki o piętnaście lat Krzysztof Paszkiewicz już po tym pierwszym spotkaniu dosłownie oszalał na jej punkcie. Ona niezbyt się nim zachwyciła, ale wyznała matce, że woli być bogatą żoną niekochanego męża niż żyć w małżeństwie zawartym z miłości i przez całe życie biedować. Przyznała się też, że jest w ciąży, lecz nie zdradziła, kto jest ojcem. Być może sama tego nie widziała? Liczyła na pomoc rodziców w rozwiązaniu tego problemu, tylko że na radykalne działanie było już za późno.

– Za długo z tym zwlekała – domyślił się Kastelik.

– Dużo za długo, bo zaczął się już szósty miesiąc. Żaden mający choć trochę odpowiedzialności lekarz nie podejmie się usunięcia tak zaawansowanej ciąży.

– Rajner urodził się w pięćdziesiątym piątym, prawda? – upewnił się major. – No to legalnie nie dałoby się przeprowadzić usunięcia ciąży nawet wówczas, gdyby to był szósty tydzień. Wtedy aborcja była zabroniona, a prawo zmieniło się dopiero rok później.

– Nie miałem o tym pojęcia – przyznał Jerzy. – W każdym razie należało szybko coś postanowić, bo czas naglił, a brzuch rósł. Nie mogła wmówić narzeczonemu, że dziecko jest jego, bo z nim akurat niepilno jej było do łóżka. Miała szczęście, że do piątego miesiąca nic nie było po niej widać, dopiero później ciąża zaczęła być widoczna, ale dla niewprawnego oka wyglądało to na zwykłe przybranie na wadze. W każdym razie Paszkiewicz się nie zorientował. Widywał narzeczoną bardzo rzadko, bo jego kariera właśnie ruszyła z kopyta, Milewscy mieli więc nadzieję, że uda się utrzymać go w nieświadomości.

– To jakieś brednie! – oburzył się naczelnik. – Nie wierzę, że chłop mógł być tak głupi i nic nie zauważyć.

– A ja wierzę – skontrował Jagielski. – Facet całkowicie zafiksowany na polityce, do tego w czasach, gdy o takich sprawach w ogóle się nie mówiło? Moim zdaniem możliwe, w dodatku ta kobieta nie miała powodu pisać nieprawdy. W każdym razie z notatek wynika, że Paszkiewicz wyjechał do Warszawy na jakiś kurs, przez co musieli przesunąć ślub. Gerdzie było to bardzo na rękę, a dodatkowo podsunęła narzeczonemu pomysł, że mogłaby pod jego nieobecność pilnować domu. Dzięki temu wyrwała się spod kurateli matki, która planowała oddanie bękarta do domu

dziecka. Gerda uważała to za zbyt ryzykowne, nie chciała figurować w żadnych rejestrach, bo Paszkiewicz był piekielnie zazdrosny. Gdyby się dowiedział, że urodziła dziecko innego mężczyzny, byłby to koniec jej marzeń o życiu w luksusie. Wolała przeprowadzić swój własny plan.

Z zapisków Heleny Milewskiej wynikało, że Gerda dopiero przed śmiercią wyznała jej prawdę. Przedtem utrzymywała, że dziecko urodziło się martwe. Tymczasem wcale tak nie było. Młoda kobieta z taką determinacją dążyła do bycia „kimś”, że zaryzykowała samotny poród. Znowu miała szczęście i wszystko skończyło się szczęśliwie, zaryzykowała więc ponownie i najpierw wystawiła owiniętego w kocyk noworodka za próg, a potem nafaszerowała się środkami przeciwbólowymi i zadzwoniła na milicję.

Jeśli przybyli na miejsce funkcjonariusze mieli w ogóle jakieś wątpliwości, to nazwisko właściciela posesji i informacja o rychłym ślubie skutecznie kazała im poniechać dociekań. Mało tego, Gerda już wcześniej zamówiła międzymiastową, by opowiedzieć narzeczonemu o podrzutku znalezionym na progu oraz o planach, jak mu pomóc, i traf chciał, że właśnie wtedy zrealizowano połączenie. Milicjanci mieli więc okazję wysłuchać jej rozmowy z Paszkiewiczem i to ostatecznie musiało zaważyć na ocenie sytuacji, gdyż nie tylko przestali zadawać kłopotliwe pytania, ale podobnie jak narzeczoney wychwalali jej dobre, współczujące serce i obiecali, że przedstawią jej propozycję kierownictwu placówki, do której trafi noworodek.

– Po co te korowody z nazwiskiem i datkami? Przecież nie chciała tego dziecka.

– Podobno chciała mieć pewność, że dzieciakowi nie stanie się krzywda. Przez cały czas śledziła jego losy, miała nawet zdjęcia Rajnera – wyjaśnił Jerzy. – Dlatego tak zareagowała, kiedy chciał się z nią zobaczyć. Bo gdyby spotkał Paszkiewicza, ten od razu by się zorientował, że żonka zrobiła go w bambuko. Niech pan popatrzy.

Podał naczelnikowi fotografię, na której została uwieczniona młoda, bardzo ładna kobieta. Nawet kiepska jakość białoczarne go zdjęcia nie zdołała zatrzeć uderzającego podobieństwa między nią a Rajnerem. Nie mogłaby się wyprzec pokrewieństwa.

– Wszystko jasne – stwierdził Kastelik. – Tylko dalej nie rozumiem, co to za sprawa z tym domem. Babka mu go zapisała, więc w czym problem?

– W tym, że Helena Milewska dowiedziała się o istnieniu wnuka już cztery lata temu, ale jakoś nie pałała chęcią, żeby go poznać. Dlatego Rajner uznał, że ma w dupie wszystkich Milewskich i nie przyjmie spadku. Spotkał się z Barbarą Stareczek, żeby się dopytać, w jaki sposób powinien odrzucić legat, a ona nazwała go idiotą. Pokłócili się właśnie o ten dom, bo Stareczkowa twierdziła, że jego pomysł świadczy o bezmózgowiu.

– Miała rację – ocenił major, czym zaskoczył Jerzego. – Co się tak patrzysz, jakbym ci ojca i matkę zabił? Przecież nie wiadomo, czy babka go nie szukała.

– I przez cztery lata nie mogła znaleźć? To raczej specjalnie się nie wysiliła – prychnął pogardliwie podporucznik.

Major zgasił go spojrzeniem.

– Rozbestwiłeś się, Jureczku, w tej naszej fabryce. Zapomniałeś, że cywile nie mają takich możliwości jak my. Zlecasz poszukiwania komórce PESEL i masz wynik. Naprawdę uważasz, że Milewska też miała do dyspozycji takie narzędzie?

Rzeczywiście Jagielski w ogóle o tym nie pomyślał, ale nie zamierzał tak łatwo ustąpić pola.

– Mimo wszystko cztery lata to kawał czasu.

Nie zdążył rozwinąć wypowiedzi, gdyż Kastelik mu przerwał, zniecierpliwiony bezsensownym uporem.

– Już się nie dowiemy, jak było, ale to nieważne. Jurek, pomyśl logicznie. Milewski też powinien to zrobić, zamiast unosić się honorem. Komu chce zrobić na złość? Matce? Babce? Przecież obie już nie żyją, więc jego gest co najwyżej ucieszy dalszych krewnych, których on nie zna i nie jest im nic winien. Powiedz mu, żeby się zastanowił, zanim da odpowiedź. O ile nie jest już za późno.

– A w kwestii zabójstwa? Bo moim zdaniem on nie ma z tym nic wspólnego, zresztą na każde z nich ma alibi. Słabsze lub mocniejsze, ale ma.

Naczelnik nie miał żadnych wątpliwości, że należy Milewskiego wyłączyć z grona podejrzanych, a Jagielski bez wahania postąpił według jego wskazówek. Gdy w rozmowie z prokuratorem mówił o zeznaniach świadków, dobierał słowa w ten sposób, by nie zwrócić jego uwagi na Rajnera. Dzięki temu starszy chorąży nie znalazł się na celowniku Ochabczyka, co jednak nie wystarczyło, by zahamować szerzenie się plotek.

Rozdział 18

Kocioł

Kwiecień 1986, Bielsko-Biała

– Mam skurwysyna!

Major Kastelik wolno odstawił podnoszoną do ust szklankę z kawą i spojrzał ze zdumieniem na zazwyczaj opanowanego podporucznika. Teraz o Jagielskim nikt by tak nie pomyślał. W oczach Jerzego czaiło się podniecenie, a na twarzy wyraz napięcia. Widać było, że podwładny z niecierpliwością czeka na reakcję szefa.

– Mógłbyś trochę jaśniej? – zaproponował naczelnik. – Większość twoich klientów to skurwysyny, więc to żadna rewelacja.

– Mówię o Karacie – wyjaśnił już spokojnie Jagielski. – Wreszcie go trafili.

Na dźwięk pseudonimu przestępcy Kastelik zwarł szczęki, powstrzymując przekleństwo. Według niego fakt, że mężczyzna nadal przebywał na wolności,

przynosił hańbę całej formacji. Nie dość, że prawdopodobnie był poszukiwanym przez milicję Kolekcjonerem Dorot, to jeszcze niemal na ich oczach ugodził nożem Gerarda Pieczyka, a potem zastrzelił plutonowego Steklę.

Już za to ostatnie powinien zapłacić głową, a jednak nie zdołali go ująć. Polowali na niego od roku, lecz zakamuflował się tak dokładnie, że dziś wiedzieli o nim tyle, co na początku, a on być może codziennie przechodził koło komendy, śmiejąc się w twarz mijanym funkcjonariuszom.

– Macie jego dane? – zapytał, gdy uspokoił się na tyle, by móc mówić normalnym głosem. – Nazwisko, adres...?

Jerzy w przepaszającym geście rozłożył ręce.

– To nie my go namierzyliśmy, tylko Tychy. Jeden z operacyjnych zobaczył faceta, a że jego gęba wydała mu się znajoma, poszedł za nim. Po powrocie na komendę sprawdził wśród poszukiwanych i w ten sposób wyskoczył mu Karat.

Naczelnik ze złością uderzył pięścią w blat biurka. Zawód był zbyt wielki i męczyzna nagle przestał zważać na formy.

– W takim razie gówno macie! – ryknął. – Kurwa mać! Co za osioł z tego milicjanta. Radia w tych Tychach nie mają czy co? Nie mógł wezwać kogoś do dalszej obserwacji? Zanim tam dojechali, po gościu nie było już ani śladu, prawda? No, gadaj i nie próbuj ich bronić! – ponaglił przezornie milczącego podporucznika. – Czekam na odpowiedź! Karat stamtąd spierdolił czy nie?

– I tak, i nie – brzmiała enigmatyczna odpowiedź. Jagielski zauważył minę majora i szybko rozwinął,

uprzedzając nowy wybuch złości: – W mieszkaniu zastali tylko dziewczynę, jak się okazało, kochankę poszukiwanego. On sam wyszedł do pracy. Tak jej powiedział, z czego wynika, że dziewczyna nie ma pojęcia o jego drugim życiu. Nie wygląda też, by się zorientował, że ma ogon, bo według jej słów zjadł obiad, potem poszli do łóżka, a później wypili kawę. Nie spieszył się, nie był podenerwowany i w ogóle zachowywał się całkiem normalnie. Dlatego uważam, że nie spierdolił, tylko zwyczajnie wyszedł.

– Nie wiem, czy powinni jej wierzyć – mruknął Kastelik. – Powiedziałeś, że nie masz jego danych – przypomniał nagle. – Adres rozumiem, ale nazwisko? Dziewczyna śpi z facetem i nie wie, jak on się nazywa?

– Szefie, to nie tak. Ona zna go jako Wojciecha Karata, tylko że jedyny człowiek noszący takie imię i nazwisko ma ponad osiemdziesiąt lat, od kilku miesięcy nie wychodzi już z domu i nigdy nie spotkał mężczyzny z portretu pamięciowego.

– A oni uwierzyli jej na słowo? – prychnął major. – Ty też, jak widzę.

– Ja też.

Po usłyszeniu potwierdzenia wypowiedzianego twardo, bez najmniejszego wahania, major się zamyślił. Jagielski wykorzystał tę przerwę do zapalenia papierosa, sam też ponownie przeanalizował najświeższe informacje. Nie podzielał sceptycyzmu przełożonego. Przeciwnie, uważał, że przedstawiony przez chorążego Pietrasika scenariusz nosi wszelkie cechy prawdopodobieństwa.

– Czemu wierzysz? – spytał nagle naczelnik.

Jerzy ponownie przywołał w pamięci rozmowę z tyskim kolegą i wyjaśnił, używając tych samych argumentów co Pietrasik:

– Ta dziewczyna... – Zerknął do notatnika. – Ta Renata Stokłosa ma dopiero dziewiętnaście lat, a Karat, według opisu Doroty Woźnicy, dobiega czterdziestki.

– Jaki to ma związek...?

– Już tłumaczę. – Jagielski niezbyt grzecznie wszedł przełożonemu w słowo. – Prawdopodobnie mamy tu do czynienia z typowym schematem. Zna pan powiedzenie „Głowa siwieje, dupa szaleje”? Facet wyrwał młodą laskę i jest cały w skowronkach. Pewnie w przerwach między łózkowymi szaleństwami a rozbojami leży krzyżem i się modli, żeby mu stanął i broń Boże nie oklapł.

Kastelik spojrzał na niego z niedowierzaniem, po czym ryknął śmiechem.

– Jurek, ile ty masz lat?

– Trzydzieści trzy. Bo co?

– Bo niedługo ty też będziesz dobijać do czterdziestki. Nie martwi cię, że może ci nie stanąć? W końcu czterdziestka to już bardzo podeszły wiek, nie wiadomo, czy zamiast kondoma nie będziesz potrzebować pieluchy.

Major pastwiłby się nad nim jeszcze długo, ale mieli do obgadania poważniejsze sprawy niż bezmyślna opinia Jerzego uderzająca także w dobiegającego pięćdziesiątki Kastelika. Zresztą podporucznik już po pierwszym zdaniu zorientował się, że strzelił gafę, skorzystał więc ze sposobności, by się wytłumaczyć.

– Chyba trochę się zapędziłem – przyznał ze skruchą. – Ale chodziło mi o to, że facet może być Stokłosą poważnie zainteresowany, zwłaszcza że podobno jest bardzo atrakcyjna. Dlatego uważamy, że na pewno wkrótce znów ją odwiedzi. Zresztą dziewczyna to potwierdziła, powiedziała, że Wojtek wpada do niej niemal codziennie. Gdy ma dniówkę, przyjeżdża po pracy i często zostaje do rana, a gdy idzie na nockę, pojawia się po południu. Ponoć w tym tygodniu ma nocną zmianę.

– Na drugą zmianę w ogóle nie pracuje? – zdziwił się major. – To gdzie on robi? W ZOMO?

Rozśmieszony Jagielski wyjaśnił, że dziewczyna była przekonana, iż kochanek pracuje na kolei jako nauczyciel. Początkowo nie uwierzyła milicjantom, gdy powiedzieli jej, kim tak naprawdę jest mężczyzna, którego znała jako Wojciecha Karata. Przestępcy kojarzyli jej się wyłącznie jako prymitywni żule, a Karat zachowywał się uprzejmie, był kulturalny i inteligentny. Nie przekonała jej nawet informacja o prawdziwym Wojciechu i byli już pewni, że na współpracę z jej strony nie mają co liczyć, gdy nastąpił niespodziewany zwrot.

Według słów chorążego Pietrasika wywołała go niewinna uwaga jednego z milicjantów. Gdy funkcjonariusz oznajmił, że jeśli chodzi o godziny pracy, kolejarze nie mają wcale lepiej od gliniarzy, skoro dzień w dzień muszą ciągnąć dwunastogodzinne zmiany, Renata Stokłosa nagle zrobiła wielkie oczy, po czym podała w wątpliwość własny rozum i zdrowy rozsądek. Potem wyjaśniła, że chyba musiała całkiem zgłupieć, jeśli przez tyle

czasu nie zwróciła uwagi na ewidentną nieścisłość w słowach kochanka.

– Okazało się, że Stokłosa ma wujka pracującego właśnie w nastawni, dlatego doskonale się orientuje w rozkładzie godzin pracy nauczycielskiego. Oni mają służbę w układzie dwanaście na dwadzieścia cztery, a krótkie wolne, czyli układ dwanaście na dwanaście, zdarza się sporadycznie i na pewno nie trwałby przez cały tydzień.

– Czekaj, czekaj – powstrzymał Jagielskiego Kastelik. – Nie wiem, czy dobrze zrozumiałem. Chcesz powiedzieć, że Karat nie mógłby przez cały tydzień pracować na nocki?

– Właśnie dokładnie o to mi chodziło. Według jakichś tam ichnich przepisów po dwunastogodzinnej służbie powinien mieć dwudziestoczworgodzinną przerwę, a więc kiedy na przykład w poniedziałek miał nocną zmianę, to kolejny raz powinien pojawić się w pracy dopiero w środę rano.

– Ale ja ciągle nie mam pojęcia, jakie to może mieć znaczenie dla sprawy – sarknął gniewnie naczelnik.

Jerzy stłumił w zarodku ogarniające go rozbawienie. Znał słabość szefa, który bardzo nie lubił nie wiedzieć.

– Bezpośrednio nie ma żadnego, ale dzięki tej nieścisłości Renata Stokłosa wreszcie uwierzyła, że ukochany Wojtuś ją okłamywał. Gdyby nie to, musielibyśmy główkować nad innym rozwiązaniem, a tak robi się w mieszkaniu Stokłosa kocioł i po problemie. Facet wejdzie do środka, a tam niespodzianka.

– Ta Stokłosa... Ufasz jej? Jesteś pewien, że nie uprzedzi Karata o zasadzce?

Jagielski z uśmiechem pokręcił głową.

– Szeffie, ja nawet sobie nie ufam. Załatwiliśmy jej L-4, żeby siedziała w domu, a mieszkanie do odwołania jest pod całodobową obserwacją, z kolei na telefon założyliśmy podsłuch. Ona o tym wie, więc na pewno nie zaryzykuje.

Major przez jakiś czas rozważał sprawę, wreszcie skinął głową.

– Przygotujcie wszystko, a ja w tym czasie porozumiem się z szefem tego... jak mu tam? Chorąży Pietraszko?

– Pietrasik. Jeśli nic nie stanie na przeszkodzie, założymy ten kocioł już jutro.

Kwiecień 1986, Tychy

Uzgodnienia z tyskim dowództwem przebiegły po myśli Jagielskiego. Po uzyskaniu zgody na działanie w obcym terenie pięciu bielskich funkcjonariuszy dyskretnie przekradło się do mieszkania zajmowanego przez Renatę Stokłosę, gdzie czekał już na nich chorąży Pietrasik w towarzystwie młodej i bardzo ładnej dziewczyny.

– Cześć. – Przywitał Jerzego uściskiem dłoni. – Witek. Poruczniku, po co was aż tylu? – sarknął. – Idziemy na wojnę czy jak? Moim zdaniem nas dwóch wystarczy.

– Jurek. – Podporucznik odwzajemnił uścisk, lecz w żaden sposób nie odniósł się do pełnych niezadowolenia uwag chorążego. – A to Rajner, szef tej grupy.

Pietrasik ze zdumieniem przyjrzał się czterem roslým mężczyznom o niezbyt sympatycznych twarzach i ponurych błyskach spoglądających czujnie oczu. Gdyby nie słowa Jagielskiego, nigdy by się nie domyślił, że ma przed sobą milicjantów.

Ten, którego Jagielski nazwał Rajnerem, nie tłumacząc przy tym, czy jest to nazwisko, czy pseudonim, podał mu rękę, po czym przedstawił podwładnych:

– Adam, Paweł, Janusz. Musimy się tu rozejrzeć – stwierdził, gdy powitaniom stało się zadość. – Nie ma pani nic przeciwko temu?

Dziewczyna obojętnie wzruszyła ramionami.

– Róbcie, na co macie ochotę, mnie to nie obchodzi.

Objęła wszystkich pięciu nowo przybyłych niechętnym spojrzeniem i obróciwszy się do nich tyłem, podeszła do stojącego przy oknie Pietrasika i zaczęła z nim dyskutować. Mówili ściszymi głosami, lecz nie na tyle, by czujne uszy podporucznika nie wychwyciły treści rozmowy. Jerzy natychmiast się domyślił, że ich pojawienie się przerwało tamtym dość burzliwą wymianę zdań.

– Czy on całkiem zwariował? – denerwowała się dziewczyna. – Tak jakby u nas nie było dość ludzi.

– Nie widzisz, że to „specjalni”?

– I co z tego? U nas takich nie ma? Kurwa mać, ten to ma pomysły!

– Uspokój się, Maria, mów ciszej – syknął Pietrasik i do Jagielskiego wreszcie dotarło to, co powinno być oczywiste od pierwszej chwili.

– Zastanawiałem się, dlaczego nie przedstawiłeś nam tej pani – odezwał się lodowatym tonem, podchodząc do nich. – Co tu robi to dziewczątko i gdzie jest Renata Stokłosa? Nie tak się umawialiśmy.

Celowo użył słowa sprowadzającego dziewczynę do roli nic nieznaczącego dodatku, czegoś w rodzaju maskotki. Wiedział, że ją tym rozwścieczy, domyślił się bowiem, że ona także służy w milicji. Nie mógł wszakże pojąć, jaka ma być jej rola w tej grze.

Zareagowała zgodnie z jego oczekiwaniem. W jednej chwili znalazła się tuż przed nim na środku pokoju, stanęła pomiędzy stołem a meblościanką i ujęła się pod boki niczym przekupka handrycząca się z klientką o cenę kalafiora.

– Nie żadne dziewczątko, tylko sierżant Maria Rojska, baranie – wrzasnęła, łypiąc gniewnie. – I nie twoja sprawa, co tu robię. Tłumaczyć to się muszę przed swoim przełożonym. Dotarło czy mam powtórzyć?

Sprawdzający mieszkanie Milewski od kilkunastu sekund usiłował przejść obok niej, lecz przypadkiem bądź celowo stale to utrudniała, balansując ciałem to w jedną, to w drugą stronę. Zniecierpliwiony zomowiec w końcu złapał ją pod ramiona i bezceremonialnie przestawił, robiąc sobie przejście. Syknęła jak rozzłoszczona kotka.

– Do jasnej cholery, nie znasz słowa „przepraszam”?

– Znam – odpowiedział dobrze znanym Jagielskiemu, mrożącym tonem. – Jeżeli zawinię, to przepraszam. Teraz nie widzę powodu. Jesteśmy grupą realizacyjną, a nie kółkiem wzajemnej adoracji. Stań w kącie i nie płacz się pod nogami.

Rojska poczerwieniała ze złości. Zaciśnęła dłonie w pięści, lecz rzut okiem na twarz Milewskiego sprawił, że je rozluźniła, po czym spojrzała na Pietrasika z miną skrzywdzonej niewinności.

– Witek, zrób coś. Ty tu dowodzisz i pozwalasz, by jakiś tłuk z ZOMO przestawiał mnie jak mebel?

Jagielski poczuł, że ma dość. Przyjechali tutaj, by wykonać ważne zadanie, a zamiast się do niego przygotowywać, tracili czas z powodu milicjantki cierpiącej na przerost ego. Przecisnął się obok Rajnera i stanął przed Rojską.

– Pani pozwoli, że się wypowiem.

– A jak nie... – zaczęła.

– Dosyć! – przerwał jej tak ostro, że zamilkła. – Ten baran, jak była pani uprzejma mnie nazwać, ma stopień podporucznika i nie zamierza przyjmować poleceń od sierżanta. Nie mam munduru, więc byłaby pani usprawiedliwiona, choć przydałaby się odrobina grzeczności. Tylko że chorąży Pietrasik wymienił wyraźnie mój stopień. A może uważa pani, że sierżant stoi wyżej od podporucznika?

– Nie uważam – bąknęła ze wzrokiem wbitym w ziemię, lecz na jej twarzy próżno byłoby szukać skruchy.

– Jeszcze jedno. To ja dowodzę tą akcją, nie chorąży Pietrasik. Nie wiem, skąd pani się tu wzięła, i zaraz to wyjaśnię. Na razie proszę znaleźć sobie jakiś kąt, usiąść tam i nie przeszkadzać. Czy to jasne?

– Tak jest.

Wbrew wypowiedzianym słowom zacięte w grymasie uporu usta wyraźnie dawały znać, że Rojska nie pogodziła się z porażką. Usiadła przy stole z miną obrażonej księżnej i czujnie śledziła poczynania kolegów. Jerzy nie chciał upokarzać Pietrasika, napominając go publicznie, dlatego proponował, by przeszli do kuchni. Tam najpierw zamknął drzwi, dopiero później zapytał:

– Co to za historia z tą Rojską? Miałeś być tutaj w towarzystwie Stokłasy, a nie jakiejś pindzi, której się wydaje, że jest ósmym cudem świata. Gdzie jest kochanka Karata?

Na policzkach Pietrasika wykwitły krwiste rumieńce.

– Rozmawiałem z Marią o tej akcji i ona zwróciła mi uwagę, że to może być niebezpieczne dla Stokłasy.

Urwał, gdyż do pomieszczenia wszedł Milewski. Zomowiec musiał słyszeć jego słowa, bo tylko spojrzał zimno i polecił krótko:

– Mów dalej.

Tyski milicjant się zawahał, lecz zniecierpliwiona mina Jerzego nie pozostawiała żadnych wątpliwości. Odchrząknął nerwowo i podjął:

– Chodzi o to, że gdy ten facet się zorientuje, że kochanka go wystawiła, może jej coś zrobić, a ona

przecież jest cywilem. Dlatego Maria uznała, że najlepiej będzie, jeśli ona zastąpi Stokłosę. – Na widok wściekłości w oczach Jagielskiego pobladł, lecz dzielnie brnął dalej: – Obie są blondynkami, głosy też mają podobne. Uważam, że to może się udać – zakończył, lecz jego słowom zabrakło deklarowanej pewności.

Rajner ze stoickim spokojem zapalił papierosa, zaciągnął się, po czym spojrzał na podporucznika.

– Właściwie możemy się stąd zwijać.

– Też tak myślę. Nic tu po nas.

– Ale jak to? – Pietrasik chwycił Jagielskiego za ramię. – A Karat? Przecież mieliśmy na niego czekać!

– Mieliśmy też utrzymać to w całkowitej tajemnicy. Ja dotrzymałem umowy, o wszystkim wiedział tylko naczelnik. Nawet oni – wskazał Milewskiego – nie mieli pojęcia, gdzie i po co jadą.

– Ja też dotrzymałem – oburzył się tyski milicjant. – Nawet zasugerowałem szefowi, żeby akcję przeprowadzili wasi ludzie, bo nie wiadomo, czy ten Karat nie ma u nas swojej wtyki. Nikt oprócz nas dwóch nie wiedział, co planujemy.

– Zapomniałeś o sierżant „kim to ja nie jestem” Rojskiej – przypomniał mu Jerzy. – Bo jej powiedziałaś mimo wyraźnego polecenia zachowania bezwzględnej tajemnicy. Kiedy to z ciebie wyciągnęła? Przed czy po?

Policzki chorążego z bladych znów stały się rumiane. Pietrasik zaczął coś mówić, lecz Rajner przerwał mu dość obcesowo, zagłuszając wypowiedź.

– W tej chwili nasze plany może już znać połowa tyskiej komendy, bo jak znam życie, wielka pani milicjantka nie wytrzymała, żeby się nie pochwalić przed koleżankami, że kochanek je jej z ręki. Tak przy okazji, ciekawe, jak by zareagowała żona? A może już wie, że masz lewą dupę?

Jagielski wcale nie był mniej zdumiony od Pietrasika. Skąd Rajner wiedział, że chorąży w ogóle ma żonę? Dopiero gdy ten zasłonił twarz rękami, Jerzy zauważył błysk obrączki na prawej dłoni i doszedł do wniosku, że Milewski marnuje się w ZOMO. Byłby z niego doskonały śledczy.

Naraz przypomniał sobie, że tyski milicjant nie udzielił odpowiedzi na bardzo ważne pytanie.

– Nie wyjaśniłeś, gdzie jest Stokłosa.

Mężczyzna wyglądał na zdziwionego. Wzruszył ramionami z miną kogoś zmuszanego do tłumaczenia spraw oczywistych.

– A gdzie miałyby być? Przecież nie w hotelu! – prychnął. – Kazałem jej przeczekać wszystko w domu, u rodziców.

– Ty to wymyśliłeś czy twoja nieświęta Maria? – włączył się Milewski.

Mina Pietrasika w zasadzie wystarczyła za odpowiedź i Jerzy z najwyższym wysiłkiem powstrzymał się przed przyłożeniem mu w tę bezmyślną gębę.

– Trzymaj mnie, Rajner, bo nie zdzierzę i zaraz mu przypierdolę. Kazał lasce czekać u rodziców! Kurwa! A nie pomyślałeś, debilu – zwrócił się do chorążego – że ona w każdej chwili może uprzedzić Karata? – Nie czekał na odpowiedź, tylko ponownie

spojrzał na Milewskiego. – Nie mam pojęcia, co dalej robić, bo bardziej tej akcji już chyba nie dało się zjebać. Masz jakiś pomysł?

– Mam – odpowiedział Rajner ku jego wielkiemu zdumieniu. – Zaraz ci powiem, tylko najpierw trzeba pozbyć się tych uszu.

Wskazał przy tym na chorążego, który aż się zachłysnął z oburzenia. Milewski nie zwrócił na to większej uwagi. Otworzył drzwi i nie podnosząc głosu, wymienił dwa imiona. Nie minęło więcej jak pięć sekund, a ich właściciele stanęli w progu, gotowi do działania. Rajner wystawił palec w stronę Pietrasika, w dalszym ciągu mamroczącego pod nosem słowa sprzeciwu na niesprawiedliwe potraktowanie.

– Weźcie go pod opiekę. Ma zniknąć z widoku i nie wolno mu wyjść z mieszkania. Jego dupa też. Jak już ich zainstalujecie, wróćcie tu.

Na twarzach zomowców nie drgnął nawet jeden mięsień. Wyższy z nich, którego Rajner przedstawił jako Pawła, podszedł do tyskiego milicjanta, drugi natomiast, Adam, spytał zwięźle:

– Jak z ziemniakiem czy jak z jajkiem?

– Jak z jajkiem – odparł Milewski, lecz zaraz dodał: – Na razie. Bo jeżeli się okaże, że byli umoczeni w sprawy Karata, będziecie mogli zmienić jajko na ziemniak i porządnie skopać mu dupsko.

Funkcjonariusze wyszli, wlokąc między sobą opierającego się Pietrasika. Jerzy zamknął za nimi drzwi i popatrzył na Rajnera. Chciał zapytać, skąd taka ostra reakcja, gdy nagle zrozumiał. Sam też się zastanawiał, jak to możliwe, by doświadczony milicjant nie zauważył, że swoim postępowaniem

naraża akcję na niepowodzenie. Tak szkolnych błędów nie popełniłby chyba nawet stażysta. Co innego, gdy weźmie się pod uwagę działanie celowe. Wtedy wszystko nabiera sensu.

– Jak myślisz, które z nich zna Karata?

Ale Rajner pokręcił głową.

– Żadne. Gdyby go znali, nie musieliby palić akcji, tylko zwyczajnie by go ostrzegli. Moim zdaniem zwietrzyli szansę na wyrwanie od niego szmalu za przysługę. Być może liczą na stały kontrakt.

– Taa – mruknął Jerzy. – To ma sens. Dlatego Pietrasik się wkurzył, kiedy was zobaczył. Myślał, że w trakcie składania wyjaśnień będzie jego słowo przeciw mojemu, a tu taki pech. Spróbujemy to ratować?

Milewski skinął głową. Właśnie dlatego kazał swoim ludziom zaraz wrócić, a oni po chwili się pojawili. Na pytanie, co z tamtymi dwojgiem, Paweł wykrzywił się w uśmiechu.

– Siedzą przykuci do kaloryfera i to klną, to się odgrażają. A Janusz już się zainstalował na dachu i przed chwilą zameldował, że na razie spokój.

– Dobrze. Paweł, znajdź sobie jakieś dobre miejsce na tyłach, gdyby facetowi przyszło do głowy wiać oknem. A ty, Adam, pojedziesz pod ten adres i przywieziesz do nas Renatę Stokłosę. Możesz pokazać jej legity, gdyby nie chciała jechać. Ona jest po naszej stronie, nie to, co ta suka.

Zomowcy wyszli. Jagielski zapalił, a Milewski przeglądał szafki w poszukiwaniu kawy. Gdy znalazł, spojrzał pytająco na kolegę.

– Zrób mi też – powiedział Jerzy. – Głupi frajer.

– Co? A, Pietrasik? Faktycznie idiota. Zaprzepaścił lata nienagannej służby i dobrą opinię dla zachcianki tej egoistycznej, zarozumiałej pindy.

Podporucznik po raz kolejny pomyślał, że ze swoim rzutkim umysłem Milewski naprawdę marnuje się w ZOMO. Bo było oczywiste, że to właśnie Rajska namówiła Pietrasika na sprzeniewierzenie się rocie ślubowania.

Coś nagle głośno zaskrzeczało. To zainstalowane w pokoju radio Rajnera dawało znać, że ktoś chce się z nim połączyć. Starszy chorąży wyszedł z kuchni, a Jagielski w tym czasie nasypał kawy do dwóch szklanek. Właśnie miał zamiar zalać je wrzątkiem, gdy Milewski odezwał się od progu.

– Zostaw to, gość idzie.

Wyjął broń z kabury, przeładował i cicho niby duch opuścił mieszkanie. Jerzy szybko przeszedł do przedpokoju, zastanawiając się nad dalszymi krokami. Nie spodziewali się Karata tak wcześnie, w dodatku z powodu intrygi Rojskiej pierwotny plan stał się nieaktualny, bo nie było Renaty Stokłósy, która miała wypowiedzieć tylko jedno, za to bardzo ważne słowo. Czy on, Jerzy, będzie w stanie ją zastąpić?

Dzwonek do drzwi przerwał potok gorączkowych myśli. Nie było już czasu na zastanawianie się i Jagielski wziął głęboki wdech.

– Otwarte – wykrzyknął jak umiał najcieniej.

Możliwe, że Karat da się nabrać. Szansa była minimalna, ale nie pozostało mu nic innego, jak liczyć na cud.

Zgrzyt naciskanej klamki, otwierające się lekko drzwi i dłoń trzymająca pistolet, która wychynęła zza lekko uchylonego skrzydła... Tyle Jagielski zdążył zarejestrować, nim dał susa w bok. Huk wystrzału niemal zlał się z trzaskiem pękającego lustra, a sekundy potem Jerzy usłyszał pozbawiony jakichkolwiek emocji głos Rajnera:

– Milicja! Rzuć broń, bo będę strzelać.

Chwilę później rozległ się kolejny huk wystrzału i łomot upadającego ciała – znak, że Karat polecenia nie usłuchał.

Rozdział 19

Zamrażarka

Maj 1986, Wisła

Budynek był stary. Drewniane bale pociemniały, kryty gontami dach miejscami przybrał zielonkawą barwę, a wypaczona okiennica zwisała krzywo na luźno trzymającym zawiasie. Mimo to krył w sobie jakiś niepokojący urok i spoglądając na niego, Rajner poczuł, że pragnie w nim zamieszkać.

– Opanuj się, idioto – mruknął i sięgnął po klucze.

Wnętrze wyglądało dokładnie tak, jak tego oczekiwał. Co prawda nie bywał zbyt często w starych góralskich budynkach, ale te, które miał okazję zwiedzić, zbudowane zostały według podobnych wzorców. Na środku frontowej ściany znajdowało się wejście prowadzące do wąskiego korytarza dzielącego dom na dwie części i najczęściej kończącego się drugim wyjściem. Po

obu stronach przedpokoju umieszczano drzwi do pomieszczeń użytkowych bądź gospodarczych.

Tutaj także zastosowano takie rozwiązanie. Po lewej stronie korytarza znajdowała się przestronna, widna kuchnia z królującym w niej dużym kaflowym piecem. Rajnera zachwyciły szafki z jasnego drewna, z frontami ozdobionymi wklęsłym reliefem przedstawiającym sylwetki zwierząt. Kroczący dumnie kogut, obok kury dziobiące ziarno, jeszcze dalej pies stojący koło budy i wylegujący się na parapecie kot. Były też królik skubiący trawę, owca z jagniątkiem, krowa i koń z rozwianą grzywą.

Mężczyzna nie mienił się znawcą sztuki, lecz umiał odróżnić kicz od dzieła prawdziwego artysty, toteż natychmiast uznał, że w tym przypadku twórca miał prawdziwy talent. Pomyślał, że nowy właściciel zapewne pozbędzie się tych mebli, przeznaczając je na opał, a w ich miejsce wstawi szafki ze sklejki z obowiązkowo białymi bokami i frontami w okleinie imitującej drewno. Takie jak w większości polskich mieszkań, bo wyróżnianie się czymkolwiek nie jest teraz w modzie.

Poczuł żal, że wszystkie te dzieła sztuki już niedługo staną się pożywką płomieni, lecz czym prędzej go odpędził, karcąc się w myślach za uleganie sentymentom. Nie przyjechał tu po to, by zachwycać się wytworami rąk nieznanego artysty, lecz by zobaczyć, co odziedziczył, a także po to, by sprawdzić, czy nie powinien czegoś naprawić, zanim da ogłoszenie o sprzedaży.

Ponownie rozejrzał się po kuchni i dopiero teraz zauważył w rogu wąskie drzwi. Zajrzał tam i zobaczył małe pomieszczenie z wysokimi regałami

wypełnionymi całą masą słoików. Ogórki, dżemy, grzyby, nawet coś wyglądającego jak mięso w sosie...

– Babka musiała się chyba spodziewać wybuchu trzeciej wojny światowej – mruknął z rozbawieniem.

Wszedł do spiżarki, nie zauważywszy nawet, że użył słowa „babka”, zamiast tak jak zawsze określić ją imieniem i nazwiskiem. Z zaciekawieniem oglądał słoiki i przekonał się, że wszystkie zostały oklejone karteczkami z adnotacją informującą o zawartości i dacie wytworzenia. Zdecydował zabrać kilka ze sobą. I tak będzie musiał opróżnić te regały przed przekazaniem kluczy nowemu właścicielowi.

Za drzwiami zobaczył zamrażarkę przerobioną ze schładzalnika do mleka i przeraził się, że nie została opróżniona przed wyłączeniem prądu. Na szczęście ktoś miał wystarczająco wyobraźni, by wyjąć z niej wszystkie produkty. Szafki kuchenne również były puste i Rajner zapisał w pamięci, że musi koniecznie się dowiedzieć, kim jest ta dobra dusza, i serdecznie podziękować.

Z tą myślą opuścił kuchnię i wszedł do pomieszczenia obok. Zdumiał się i ucieszył na widok dużej, nowocześnie urządzonej łazienki, był bowiem przekonany, że w tak starym budynku nie ma co liczyć na podobne luksusy. Pokiwał głową z aprobatą i wyszedł. Dopiero wtedy zauważył za łazienką jeszcze jedne drzwi, nieco cofnięte w stosunku do innych; pewnie dlatego przedtem nie zwrócił na nie uwagi. Za nimi znajdowały się schody. Zdecydował, że skorzysta z nich później, gdy już zakończy zwiedzanie parteru.

Po drugiej stronie korytarza znajdowały się dwa pokoje, połączone ze sobą wewnętrznymi drzwiami. Jak wywnioskował z umeblowania, ten w głębi domu pełnił funkcję sypialni, ten od frontu natomiast – salonu. Rajner usiadł w wygodnym fotelu i zapatrzył się w zaokienny widok. Drzewa owocowe wyraźnie wracały do życia po zimowym śnie. Jabłonie co prawda były jeszcze całkiem łyse, ale gałęzie czereśni pokryły się już gęsto wielkim pąkami i czekały na stosowny moment, by wybuchnąć bielą kwiatów.

Spoglądając na budzące się drzewa, mężczyzna poczuł nagle, że sam także się odradza, jakby i jego wiosna wyrwała ze snu. Z tą tylko różnicą, że jego sen był dłuższy, trwał blisko trzydzieści lat.

Uśmiechnął się smutno i podszedł do tylnych drzwi, chcąc sprawdzić, co znajduje się za nimi. *Oby to był ogród* – pomyślał, gdyż wiedział, że takie pozornie nic nieznaczące detale w rzeczywistości mają ogromne znaczenie.

Przez kilka sekund walczył z opornym zamkiem, wreszcie drzwi otworzyły się z głośnym skrzypnięciem. Zdażył zanotować w myślach, że powinien naoliwić zawiasy, gdy otworzył się przed nim widok na skąpane w słońcu Jezioro Czerniańskie. W niebieskozielonej tafli odbijały się korony drzew, a gdy lekka bryza naraz zmarszczyła wodę, odniósł wrażenie, że to wiatr poruszył gałęziami utkanymi z cienia.

Dość długo stał bez ruchu, wdychając chłodne górskie powietrze, nim zszedł po trzech kamiennych schodkach i zaczął się przechadzać po posesji. Ogród nie był duży, zresztą nie mógłby być inny na czterech arach powierzchni. Rajner

pomyślał, że dla niego to aż za wiele. W domu dziecka nie miał nawet kawałka podłogi, który w przeciwieństwie do Mr Zooba mógłby nazwać swoim, później zaś dostał w ramach wyprawki przydział na mały pokój z jeszcze mniejszą kuchnią i mikroskopijną łazienką, w której początkowo bał się nawet obrócić, by czegoś nie potrącić.

W końcu przywyknął. Nauczył się oszczędnych ruchów oraz racjonalnego wykorzystywania powierzchni i przez długi czas nawet nie pomyślał, by coś zmienić. Dopiero ślub z Dotą zdopingował go do poszukania większego lokalu. Miał szczęście, gdyż bardzo szybko natrafił na mężczyznę, któremu zależało na szybkiej sprzedaży, i wkrótce Rajner przy wydatnej pomocy swojego ówczesnego dowódcy stał się właścicielem ładnego dwupokojowego mieszkania w nowym bloku. Tego samego, które później stało się miejscem zbrodni.

Od roku znowu mieszkał w małym pokoju wynajmowanym od pary staruszków zameczających go nadmierną troskliwością. Wolał jednak to niż nadal przebywać tam, gdzie każdy wbity w ścianę gwóźdź przypominał mu, że szczęście nie jest nikomu dane na wieczność. A on tak właśnie dawniej myślał, kiedy podśpiewując radośnie, wbijał te cholerne gwoździe, by jego piękna żona miała na czym powiesić swoje obrazki. Mówiła, że wyhaftowała je sama, a on uwierzył, chociaż nigdy nie widział jej z igłą w ręce.

Wkrótce potem zrozumiał, że słowa Doroty o pochodzeniu obrazków zawierały tyle samo prawdy co jej zapewnienia o miłości. Mimo to nadal tkwił w małżeństwie, nie mogąc się zdecydować na podjęcie radykalnej decyzji. Nie rozpatrywał

rozvodu w kategoriach grzechu czy niestosowności, te kwestie nie miały dla niego znaczenia. Gdzieś w podświadomości tkwiło przekonanie, że złożenie pozwu rozwodowego będzie ostatecznym potwierdzeniem jego porażki, przyznaniem się do bycia nieudacznikiem, kompletnie nieprzystosowanym do życia w społeczeństwie.

Rajner znał dobrze statystyki wykazujące, jak wielu wychowanków domów dziecka po osiągnięciu pełnoletności nie umiało odnaleźć się w świecie zewnętrznym, gdzie nagle rzuceni na głęboką wodę, musieli nauczyć się troszczyć sami o siebie. Przerastało ich załatwianie najprostszych spraw, dotychczas bowiem wszystko zapewniał im dom dziecka i ekswychowankowie często nie mieli nawet pojęcia o tak elementarnych sprawach jak konieczność opłacania rachunków za prąd czy gaz.

Większość z nich w końcu dostosowywała się do reguł rządzących społeczeństwem, ale byli też tacy, którzy nie umieli lub nie chcieli tego zrobić. Najpierw zdumieni i zagubieni, a potem wściekli na cały świat, zaczynali od drobnych kradzieży, najczęściej w sklepach spożywczych. Gdy jedna czy druga próba zakończyła się sukcesem, pojawiała się uczucie bezkarności i wtedy pozbywali się resztek skrupułów.

Milewski do nich nie należał, nigdy zresztą nie miał ciągotek do kradzieży czy wymuszeń, toteż jego obawy były całkowicie irracjonalne. Zdawał sobie z tego sprawę, a jednak nie umiał pozbyć się przeświadczenia, że rozwód będzie pierwszym krokiem ku degrengoladzie. Śmierć żony rozwiązała ten dylemat, ale w jego miejsce pojawiły się inne.

Rajner czuł się winny, chociaż to nie on zadał jej śmiertelne rany. On, milicjant służący w Plutonie Specjalnym, morderca w mundurze, jak nieraz złośliwie określali ich opozycjoniści, pozwolił, by jakiś szaleniec zabił mu żonę. Nie upilnował jej, nie ochronił, choć zobowiązywały go do tego przysięga małżeńska i rota ślubowania. Czy w takim razie powinien nadal służyć w milicji? Tym bardziej że od chwili, gdy dowiedział się o śmierci Doty, w głębi duszy odczuwał nie rozpacz, lecz ulgę. Czy to oznaczało, że jest pozbawiony wyższych uczuć? Niezdolny do współczucia, miłości czy żalu? W takim razie tym bardziej powinien odejść z milicji, bo to świadczyło, że niewiele się różni od psychopaty.

Tylko że starszy chorąży Milewski nie wyobrażał sobie innego życia. Już jako mały chłopiec zaczytywał się w opowieściach o kapitanie Żbiku, a w trakcie zabaw z kolegami zawsze chciał być po stronie prawa i pozostawało bez znaczenia, czy odegra rolę szeryfa, milicjanta czy zwykłego człowieka pragnącego pokonać wszelką niesprawiedliwość. Ważne było, że walczył ze złem.

Dzień, w którym dostał się do milicji, nadal uważał za najszczęśliwszy w całym swoim życiu. I teraz miałby zrezygnować? Wykonywać jakąś nudną, niedającą żadnej satysfakcji pracę? Nie umiał się zdobyć na złożenie wypowiedzenia, nie był aż tak silny, by dobrowolnie porzucić to, co nadawało sens jego istnieniu, określało go jako człowieka.

Mężczyzna wziął głęboki wdech i wrócił do domu. Musiał jeszcze obejrzeć piętro, a czas zaczął go już naglić. Miał dzisiaj drugą zmianę, a chciał jeszcze

przed służbą zrobić zakupy, bo lodówka zaczęła świecić pustkami.

Piętro okazało się bardziej strychem niż powierzchnią użytkową. Przestrzeń pomiędzy belkami stropowymi wypełniono trocinami i tylko na wąskiej ścieżce prowadzącej do zamkniętego pomieszczenia ułożono podłogę z nieheblowanych desek. Przeszedł po niej, otworzył drzwi i zobaczył nieduży pokój z ukośnymi ścianami, z potwornie brudnym oknem balkonowym. Ilość kurzu wskazywała, iż nikt tu nie zaglądał od wielu lat.

Rajner się domyślił, że to właśnie tutaj kiedyś sypiała jego matka, lecz nie wywołało to w nim żadnym emocji. Gerda Milewska była dla niego tylko kimś, komu zawdzięczał nieco lepszy niż jego koledzy start życiowy, gdy jednak się dowiedział, że to ona wydała go na świat, ta odrobina sentymentu od razu rozwiała się jak dym. Każdy powinien ponosić konsekwencje swoich czynów, nie robiła mu więc żadnej łaski.

Doszedł do wniosku, że zobaczył już wszystko. Pora wracać do Bielska i spokojnie przeanalizować sytuację. Przede wszystkim powinien stworzyć listę prac do wykonania, potem realizować ją punkt po punkcie, a dopiero później dać ogłoszenie o sprzedaży. Dzięki temu z pewnością uzyska wyższą cenę.

Zamknął dokładnie dom i wsiadł do zaparkowanej przed nim starej syrenki. W drodze do domu zastanawiał się, co jest z nim nie tak. Spadek, który przyjął pod namową Norberta i Jurka, okazał się wart całkiem sporo. Po sprzedaży będzie go stać na mieszkanie o dużo wyższym standardzie niż to, w którym mieszkał

z Dorotą, od jej śmierci puste. Gdyby je także sprzedał, dostałby tyle pieniędzy, że byłoby go stać na zakup wyposażenia i nowszego samochodu. Dlaczego więc czuje dziwny żal, jakby utracił coś bardzo cennego?

Maj 1986, Bielsko-Biała

Przebierając się w szatni, Rajner rozmyślał o tym, że jeszcze rok temu sprawiało mu to radość. Lubił brać udział w zadaniach wykraczających poza zwykłe działania milicji. Czuł się wtedy potrzebny, a nawet niezbędny. Był kimś ważnym i jak zawsze dochodził do wniosku, że dla samych tych chwil warto było poddawać się morderczym treningom i znosić upokarzające traktowanie. Szkolenie funkcjonariuszy Plutonu Specjalnego to nie przedszkole ani nawet wojsko, tylko prawdziwa walka o przetrwanie. Nie na darmo mówiono, że podczas szkolenia „specjalnych” tworzy się z nich maszyny do zabijania.

Ostatnio jednak służba była dla Milewskiego przykrym obowiązkiem. Właściwie stała się nim już ponad rok temu, tylko mężczyzna wolał tego nie zauważać. Poprzedni dowódca odszedł ze względów zdrowotnych na emeryturę i zastąpił go chłystek bez doświadczenia, za to z szerokimi plecami i mocnym poparciem partii.

Oprócz ewidentnych braków w wyszkoleniu i umiejętnościach dowodzenia zespołem podejście nowego szefa, kapitana Andrzeja Hilera, do

podwładnych także pozostawiało wiele do życzenia. Traktował ich jak pozbawione rozumu i własnej woli marionetki, co nie przysparzało mu popularności. Znaleźli się jednak poplecznicy, gotowi za słowa pochwały czy kilka złotych premii wspierać go w najgłupszych nawet posunięciach i donosić na niechętnych nowym układowi kolegów, wśród których znalazł się również Milewski.

Można powiedzieć, że to właśnie Rajner zainicjował powstanie grupy przeciwników Hilera, on to bowiem jako pierwszy publicznie wyśmiał wyjątkowo idiotyczne polecenie, wykazując przy tym, że zastosowanie go w praktyce narazi grupę realizacyjną na poważne niebezpieczeństwo. Dowódca z fałszywym uśmiechem pochwalił go za czujność, by już po kilku godzinach udzielić nagany za wymaginowane przewinienie.

W rewanżu starszy chorąży niby się przejęzyczył przy wymawianiu jego nazwiska. Natychmiast zresztą wypowiedział je w prawidłowym brzmieniu, lecz inni od razu podchwycili okazję i od tej pory między sobą nazywali dowódcę Hitlerem. Dodatkowego smaczku nadawał sprawie fakt, że Hiler był niski, ciemnowłosy i czesał się na lewy bok. Do kompletu charakterystycznych cech brakowało mu w zasadzie tylko wąsika, bo i krzyczeć lubił ponad wszelką miarę.

Szybko znaleźli się inni chętni do pozyskania jego sympatii i czym prędzej donieśli mu o przezwisku i genezie jego powstania, a Rajner stał się dla nowego szefa wrogiem numer jeden. Dla takich jak on, niepokornych, mających własne zdanie i ośmielających się samodzielnie myśleć, nie było miejsca w jednostce dowodzonej przez Hilera.

Kapitan długo szukał pretekstu do pozbycia się najbezpieczniejszego z nich i wreszcie los się do niego uśmiechnął, przybierając imię Kolekcjonera Dorot. Gdy tylko Hiler usłyszał plotkę, jakoby Milewski zabił swoją żonę, natychmiast zwietrzył okazję. Jeśli umiejętnie posteruje wydarzeniami, nie tylko zemści się za wszystkie pogardliwe uwagi i spojrzenia, których starszy chorąży mu nie szczędził, ale także pozbędzie się go z plutonu. A może przy odrobinie szczęścia doprowadzi do wydalenia go z szeregów milicji? To byłoby najbardziej satysfakcjonujące zakończenie ich cichej wojny.

Pierwsze podejście zakończyło się fiaskiem z powodu niepodważalnego alibi Milewskiego. Ale kapitan nie zrezygnował i nadal knuł, rzucając podstępnie tu i ówdzie pełne zdziwienia uwagi, że to chyba niemożliwe, co ludzie mówią. Lekarze z polikliniki mieliby wziąć pieniądze z zamian za poświadczenie nieprawdy? Niewiarygodny pomysł!

Potem podjął kolejne próby zdyskredytowania znienawidzonego podwładnego, lecz te również powiodły się nawet nie połowicznie. Milewski był świetnie wyszkolony, znał się doskonale na swojej robocie, przy tym był lubiany przez kolegów, a grupa, którą dowodził, skoczyłaby za nim w ogień. Chcąc nie chcąc, Hiler musiał czekać i cierpliwie wypatrywać stosownej okazji.

Ta pojawiła się wraz z informacją o zastrzeleniu Piotra Ryszkiewicza vel Karata. Kapitan tak się ucieszył, że rozpoczął kampanię przeciwko niepokornemu podwładnemu przed jej zweryfikowaniem, nic więc dziwnego, że wpadł w furję, gdy okazała się nieprawdziwa. Karat został

ciężko ranny, niestety przeżył, przez co Hiler musiał się wspiąć na wyżyny sprytu, by mimo wszystko obrócić to zdarzenie na swoją korzyść.

Tym razem nie dał się ponieść niecierpliwości i starannie opracował plan działania. Nieważne, że użycie broni zostało uznane za zasadne, i nieważne, że strzelając do uzbrojonego bandyty, Milewski uratował podporucznikowi Jagielskiemu życie. Hiler nie zamierzał zaprzepaścić tej szansy i sprawdzoną już metodą rozpuścił kolejną pogłoskę.

– Jagielski zawdzięcza mu życie. To fakt, którego nie sposób kwestionować. Ale ludzie mówią, że Milewski miał swój interes w tym, żeby sprawa zakończyła się śmiercią Karata, i dlatego do niego strzelił. Sam nie wiem, co o tym myśleć.

Spojrzał na majora Kastelika, z którym stał przed budynkiem WUSW i palił papierosa w oczekiwaniu na naradę u komendanta wojewódzkiego. W jego oczach malowała się stosowna troska. Naczelnik wydziału dochodzeniowo-śledczego powinien na ten widok pomyśleć ze współczuciem, że kapitan Hiler ma potwornego pecha. Jeszcze dobrze nie zdążył zżyć się ze swoimi ludźmi, a tu taka afera. Teoretycznie milicja nie powinna sugerować się plotkami, ale w praktyce wygląda to inaczej, zwłaszcza gdy obiektem jest jeden z funkcjonariuszy.

– Kto mówi i co konkretnie? – spytał major. – Bo do mnie nic takiego nie dotarło.

Hiler zmarszczył brwi w namyśle, wreszcie rozłożył ręce w geście znamionującym bezradność.

– Nie wiem, skąd ta pogłoska się pojawiła, i nawet nie myślę tego sprawdzać. Wiesz, jak to jest z tego typu wieściami. Rozchodzą się między ludźmi jak zaraza i nie sposób dojść, kto był ich źródłem.

– To fakt – przyznał Kastelik. – Są gorsze niż dżuma. A o czym konkretnie mówią tym razem?

– Że śmierć Ryszkiewicza byłaby Milewskiemu bardzo na rękę, bo mógłby go wtedy bez problemu ubrać we wszystkie te zbrodnie, które sam popełnił. Powiedzieć, że to on jest Kolekcjonerem Dorot. – Hiler zmrużył powieki, by ukryć błysk satysfakcji, gdyż naraz wpadł na pomysł, jak może jednocześnie dowalić obrońcom starszego chorążego. – Słyszałem też wersję o tym, że ty i Jagielski specjalnie kryjecie Milewskiego, żeby się nie wydało, że w milicji pojawił się nowy Fantomas.

Zerknął na majora ciekaw jego reakcji. Był pewien, że zobaczy gniew, tymczasem Kastelik się uśmiechnął.

– Tego też jeszcze nie słyszałem. Muszę zacząć zwracać większą uwagę na ludzkie gadanie, bo widzę, że wiele mi umyka. Szkoda, że nie ma tutaj Jagielskiego, na pewno by się uśmieiał. Ten, kto to wymyślił, musiał się głową na dupę zamienić.

Nie tego Hiler oczekiwał i targnęła nim wściekłość. Z najwyższym trudem zdołał się opanować na tyle, by nie dać nic po sobie poznać.

– Ciebie to może bawi, ale ja mam problem, bo ludzie zaczynają mi się burzyć. Nie mówią tego wprost, ale da się wyczuć, że nie chcą robić z mordercą. Tak się zastanawiam, czy nie powinienem go zwolnić dla dobra służby. Jak

uważasz? Czy to będzie wystarczające, czy powinienem także porozmawiać z prokuratorem?

Znów spojrzał spod oka na majora i ponownie się rozczarował, gdy ujrzał obojętną minę. Kastelik zgasił niedopałek i ruszył w stronę wejścia do budynku.

– Andrzej, ja nie jestem od tego, żeby oceniać twoje decyzje – powiedział nagle, przystanawszy tuż przed drzwiami. – Ale chyba się trochę zapędziłeś. Po pierwsze, ty z kolei nie jesteś od zwalniania kogokolwiek, możesz co najwyżej o to wnioskować. Po drugie, o czym chcesz rozmawiać z prokuratorem?

– Jak to o czym? – zaperzył się Hiler, lecz Kastelik zbył go machnięciem ręki i kontynuował swój wywód.

– O tym, że jeden pan drugiemu panu coś tam powiedział? – Prychnął z pogardą. – Gdzie masz jakieś dowody? Gdzie świadkowie, którzy wykażą niezbicie, że Milewski jest winny? I jak masz zamiar obalić jego alibi? Przypominam, że ma je na czas każdego z trzech zabójstw. – Major urwał, popatrzył na zaciętą twarz Hilera i potrząsnął głową. – Zrobisz, jak zechcesz. Ja tylko zwracam ci uwagę na fakt, że twój materiał dowodowy ma dziury jak asfalt na ulicy Pstrowskiego.

Odwrócił się na pięcie i wmaszerował do budynku. Hiler nie od razu poszedł w jego ślady. Najpierw musiał się opanować, wyciszyć buzującą w nim wściekłość.

Dopiero nazajutrz, gdy odzyskał spokój i jasność myśli, doszedł do wniosku, że jeszcze nie wszystko stracone. Kastelik miał rację, numer z oskarżeniem

Milewskiego nie przejdzie. Ale z wnioskowaniem o wydalenie go ze służby jak najbardziej. Tu powinien wystarczyć argument, że pozostając w szeregach milicji, starszy chorąży naraża na szwank dobre imię formacji. Gdyby dołączył do tego jeszcze notatki kolegów z plutonu o braku zaufania do Milewskiego, ten arogancki, przemądrzały typ byłby ugotowany.

– Miałeś rację – zwrócił się Jerzy do Rajnera, gdy tylko zomowiec wszedł do pokoju. – Sprawdziłem tego Ryszkiewicza na dziesiątą stronę i niestety jest tak, jak przewidywałeś. Gnój jest cholernie inteligentny. Pracował sobie przykładowie w kadrach i powoli piał się w górę, aż został kierownikiem, co na takie duże zakłady jak „Tyskie Meble” jest nie lada wyczynem. Nikt nawet nie podejrzewał, że ten poważny służbista o manierach przedwojennego urzędnika stworzył sobie organizację na wzór mafii. Mógłby działać bez wpadki przez wiele lat, gdyby nam nie podpadł z powodu zabójstwa twojej żony. Niestety nie miał z tym nic wspólnego, ze śmiercią tamtych Dorot także.

Milewski wysnuł taki wniosek na podstawie słów Renaty Stokłosy, która wśród całej masy innych niezbyt ważnych informacji o Karacie przekazała też, że mężczyzna musiał kiedyś utracić kobietę, którą kochał. Zdarzyło się bowiem, że będąc pod wpływem alkoholu, zapewniał kochankę, że zadba o jej bezpieczeństwo. „Nie upilnowałem Doty, ale ciebie żaden pojebany gnój mi nie odbierze” –

powtórzyła wypowiedź Ryszkiewicza i Rajner pojął, że zabójca nadal przebywa na wolności.

– Miał alibi na czas zabójstwa? – spytał teraz bez większego zainteresowania.

– I to idealne – odpowiedział Jagielski, przyglądając mu się ze zdziwieniem. – Siedział sobie w wykwinnym pszczyńskim lokalu w towarzystwie kilku partyjnych i milicyjnych notabli, więc raczej do Bielska nie przefrunął. Inna sprawa, że ci gliniarze z Pszczyny chyba są ślepi, że go nie rozpoznali z portretu pamięciowego. – Urwał, znów zerknął na Milewskiego i nie wytrzymał, by nie zapytać: – Rajner, co się stało? Tylko mi, kurwa, nie wmawiaj, że nic, bo mam oczy.

– Od dziś jestem w zamrażarce.

Obojętny ton tak dalece kontrastował z treścią wypowiedzianych słów, że Jagielski w pierwszej chwili nie dał im wiary. Dopiero gdy zobaczył w oczach Milewskiego rozpacz i wściekłość, pojął, że to prawda.

– Nie rozumiem. – Popatrzył bezradnie. – Dlaczego w zamrażarce? Przecież jesteś najlepszy. Zrobili cię dowódcą grupy, a mówiło się nawet o dowodzeniu całym plutonem. Gdybyś miał dłuższy staż i nie był taki niepokorny...

– Właśnie o to chodzi – przerwał mu Rajner. – Hitler od początku kombinował, jak się mnie pozbyć. Ten chuj napisał raport o mojej nieprzydatności do służby. Jako uzasadnienie podał brak zaufania u kolegów ze względu na ciężące na mnie podejrzenia i podobno dołączył nawet podpisane przez nich notatki. Wnioskował

o wydalenie mnie z szeregów, tylko że mu się nie udało. Ale co to za różnica? – mruknął z goryczą.

– Różnica jest. W zamrażarce możesz być nawet rok, w dodatku będziesz otrzymywać sto procent pensji – zauważył Jerzy.

– I co z tego? Potem i tak mnie wypierdolą.

Miał rację. Jagielski nie słyszał jeszcze o przypadku, by ktoś, kto trafił do zamrażarki, jak powszechnie nazywano listę osób „w dyspozycji szefa”, wrócił później do służby. Miał jednak nadzieję, że w tym przypadku będzie inaczej.

– Rok to kawał czasu, może się wiele zdarzyć. Może to Hitlera wypierdolą?

Rajner nawet się nie uśmiechnął.

– W sumie dobrze, że nie zdążyłem pozbyć się tego spadku. Zajmę się remontem i plewieniem grządek w ogródku, a wieczorami będę siedział nad zaporą i patrzył na wodę. Zawsze to jakieś zajęcie. Gdybyś chciał zabrać rodzinę na niedzielny wypad, to zapraszam. Cześć, Jurek. Dzięki za wszystko.

Nim Jerzy zdążył zareagować, Rajner wyszedł z pokoju i zamknął za sobą drzwi.

Rozdział 20

Zerwane więzy

Czerwiec 1986, Bielsko-Biała

Jolanta przyszła do pracy spóźniona. Ledwie przekroczyła próg, a już koleżanki dostrzegły jej zaczerwienione od płaczu oczy. Początkowo zacięła się w sobie i nie chciała zdradzić powodów rozpaczy. Już nabrały przekonania, że postanowiła wrócić do zachowania sprzed rozvodu, kiedy zwykła wszystko dusić w sobie, gdy nagle wyrzuciła z siebie to, co gnębiło ją od kilku dni:

– Zdzisek wyszedł!

Natychmiast zrozumiały. Lucyna wstała i w geście współczucia objęła szczupłe plecy koleżanki, Inga natomiast, zawsze lepsza w działaniu niż w okazywaniu uczuć, zapytała o rzecz najistotniejszą:

– Przeszło mu wreszcie?

W odpowiedzi Jola tylko bluznęła przekleństwem i dość długo trwało, nim była w stanie wyrazić swoje uczucia słowami.

– On chyba jest nienormalny. Minęło przecież tyle czasu, a on się zachowuje tak, jakby nasze małżeństwo nadal trwało. Przyszedł wczoraj i znowu wydzierał się pod drzwiami. Wrzeszczał, że przed Bogiem dalej jest moim mężem, że muszę do niego wrócić, bo jak nie, to nas wszystkich zabije. Mama była przerażona. Ma słabe serce, przeszła już dwa zawały. Co ja mam robić? Przecież już dawno powinno było mu przejść.

– No nie wiem – mruknęła Lucyna. – Naszej Indze nie przeszło przez... Ile to już lat, Piątkunia? Siedem czy osiem?

– Odstosunkuj się ode mnie z łaski swojej. I nie porównuj mnie z tym debilem. Ja nikogo nie nachodziłam ani nikomu nie groziłam – zdenerwowała się Inga. – Czemu właściwie on już wyszedł? Wydawało mi się, że powinien jeszcze jakiś czas posiedzieć.

– Nie mam pojęcia, czemu go puścili. Bredził coś o ciężko chorej matce, ale nie wiem, czy z tego powodu zwalniają. Czy to ważne?

Jola zawisła pełnym nadziei wzrokiem na twarzy koleżanki i Inga poczuła wyrzuty sumienia. Pytała przecież z czystej ciekawości.

– Nie, chyba nie – przyznała. Naraz przypomniała sobie o kimś, kto powinien być wsparciem dla Jolanty. – A co z sąsiadem? Tym od kawy w „Magurze”? Pozwala, żeby były mąż cię gnębił?

– To już od dawna jest nieaktualne – wyznała Jolanta. – Dowiedział się, że jestem rozwódką, i to

był koniec znajomości.

Koleżanki osłupiały.

– Jak to? – wydusiła z siebie Lucyna. – Przecież mówiłaś, że on też jest po rozwodzie. – Zauważyła potakujące skinienie, więc mówiła dalej: – Chyba nie załapałam dowcipu. Jemu wolno, a tobie nie?

– Właśnie o to mu chodziło – potwierdziła Jola. – Jemu wolno, bo on nie miał z byłą żoną ślubu kościelnego, a ja ze Zdziskiem miałam, więc gdyby do czegoś doszło, to musielibyśmy żyć w grzechu.

Lucyna skinęła głową, przyjmując tłumaczenie, lecz Inga z niedowierzaniem pokręciła głową.

– Z nim na pewno wszystko jest w porządku? – W jej głosie zabrzmiała ironia. – Przecież w takim razie żył w grzechu z byłą żoną, bo nie mieli ślubu kościelnego. Wtedy mu nie przeszkadzało, a teraz przeszkadza?

– Nawrócił się – odparła krótko Jolanta i Inga nie zapytała o nic więcej. Odpowiedź wyjaśniała wszystko.

– Jasne – mruknęła tylko. Nie było nad czym dłużej się rozwodzić, miały poważniejszy problem do rozwiązania.

Tego dnia główny księgowy nie doczekał się obiecanych analiz, dziewczyny bowiem nie były w stanie skupić się na pracy, przejęte losem koleżanki. Wiedziały, że Jola mimo upływu roku nadal nosi rany po tym, jak mąż ją porwał, przetrzymywał, bił i gwałcił. Te na ciele zagoiły się już dawno i tylko brzydkie blizny miały już zawsze przypominać jej, że obsesyjna miłość może być równie niebezpieczna jak nienawiść. O ile uczucie

Tarnawy w ogóle miało coś wspólnego z miłością, w co mimo jego zapewnień wszystkie mocno wątpiły.

Gorzej było z ranami na duszy. Wystarczał im byle pretekst, by się otwierały na nowo, jęły się i krwawiły. Wbrew lekkiemu tonowi, którym zrelacjonowała swój niedoszły związek z przystojnym sąsiadem, Jolanta bardzo to przeżyła. Załamała się, gdy własny ojciec wytknął jej w gniewie, że to kara za grzech złamania przysięgi małżeńskiej. Później wprowadzie przeprosił za tę zbyt pochopną ocenę, lecz gorycz pozostała.

Przyszło też zrozumienie. Była późnym dzieckiem i jej rodzice, a zwłaszcza starszy od matki o siedem lat ojciec, nie nadążali za zmianami wywracającymi na nice stary porządek. Ich dobrze znany świat przestawał istnieć, wypierany przez nowy, w którym nie umieli się odnaleźć. Dlatego kurczowo trzymali się dawnych zasad, widząc w nich ocalenie okruchów tego, co stanowiło sens ich życia.

Dopóki Tarnawa był na wolności i zagrażał ich córce, gotowi byli bronić swojego dziecka zębami i pazurami. Jednak kiedy bezpośrednie zagrożenie zniknęło, a na horyzoncie pojawił się inny mężczyzna, ojciec Joli przeraził się, że oto jego ukochana jedynaczka ma zamiar żyć w związku, który dla niego stanowił kwintesencję grzechu. Teraz już tylko jeden krok dzielił go od stwierdzenia, że Tarnawa wcale nie był taki zły, a jako mąż miał prawo karcić błędzącą żonę. Widocznie wcześniej odkrył to, co zaślepionemu ojcu zajęło całe lata. Tym czymś był pociąg Jolanty do grzesznego życia.

Jola wiedziała, że matka, choć nie podziela zdania ojca, stojąc przed koniecznością dokonania wyboru, opowie się po jego stronie. A ojciec, na razie przerażony agresją Zdzisława, z pewnością dałby się przekonać, gdyby Tarnawa z nim spokojnie porozmawiał, zamiast odgrażać się, wrzeszczeć i kląć. Pojęła, że powinna liczyć tylko na siebie.

Dni mijały, lecz dziewczyny nadal nie wpadły na żadne sensowne rozwiązanie. Jolanta zamieniła się w cień dawnej dziewczyny. Wychudła i pobladła, podskakiwała z lękiem na dźwięk sygnału telefonicznego, a na ulicy co chwilę oglądała się trwożnie za siebie, czy nie zobaczy złośliwie uśmiechniętej twarzy Zdzisława Tarnawy.

Okazało się, że brat jego matki piastuje wysokie stanowisko w Komitecie wojewódzkim. Jakimś sposobem Tarnawa zdołał go przekonać, że w tej trwającej tak długo wojnie z żoną właśnie on jest pokrzywdzony. Wuj najął adwokata, który w imieniu Tarnawy złożył do sądu odwołanie od wyroku pierwszej instancji, a przez sąd drugiej instancji Zdzisław został potraktowany wyjątkowo łagodnie. Uniewinniono go od większości zarzutów i wkrótce potem wyszedł na wolność.

Rok spędzony w więzieniu nie zmienił jego nastawienia do Joli. W dalszym ciągu nie pogodził się z jej odejściem, a jego pragnienie, by wszystko było tak jak dawniej, przerodziło się w prawdziwą obsesję. Dzień w dzień wystawał pod blokiem, w którym mieszkali jej rodzice, i zaczepiał wracającą z pracy byłą żonę, usiłując namówić ją do powrotu. Początkowo nie posuwał się do gróźb, lecz dziewczyna zbyt dobrze go знаła, by mu zaufać,

i na widok znajomej sylwetki czym prędzej chroniła się w mieszkaniu.

Niestety tam także nie czuła się już bezpieczna. Ojciec najwyraźniej uwierzył w resocjalizację byłego zięcia, gdyż coraz częściej słyszała z jego ust uwagi, że nie postępuje po chrześcijańsku i przynosi wstyd rodzicom. Doszło do tego, że któregoś dnia po powrocie z pracy zastała Zdzisława w swoim pokoju. Siedział rozwalony w jej ulubionym fotelu, popijał kawę i przeglądał zdjęty z regału album ze zdjęciami. Na widok wchodzącej uśmiechnął się arogancko i zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów.

– Źle zrobiłaś, że obcięłaś włosy. Wyglądasz idiotycznie. Jak jakaś zwykła Jola, nie jak moja piękna Doris. Ale to nic, szybko odrosną i znowu będzie jak dawniej. Zabierz swoje rzeczy, kochanie, najwyższy czas, żebyś wróciła do domu.

Nie zniżyła się do dyskusji, wiedziała, że wszelkie próby przemówienia mu do rozsądku skazane są na niepowodzenie.

– Wyjdź stąd – powiedziała ostro. Nawet nie drgnął, więc zagroziła: – Wynoś się albo zadzwonię na milicję.

W dalszym ciągu nie reagował, wobec czego przeszła do przedpokoju, gdzie od kilkunastu dni pysznił się stojący na szafce aparat telefoniczny. Gdy rozmawiała z dzielnicowym, którego numer miała wyryty w pamięci, Zdzisław nie zwracał na nią uwagi. Siedział w fotelu jak przyspawany i znudzonym wzrokiem gapił się na jakieś zdjęcie. Zareagował natomiast ojciec. Nagle stanął tuż obok i gdyby Jola nie zasłoniła sobą aparatu, rozłączyłby

rozmowę. Nie musiała na niego patrzeć, by wiedzieć, że jest wściekły.

– Czy ty do reszty zwariowałaś?! – ryknął, gdy odwiesiła słuchawkę. – Milicję na własnego męża?!

– To już nie jest mój mąż i dobrze o tym wiesz. Tata, co z tobą?

– Ty się lepiej zastanów, co z tobą! Chłopak zbłądził, to prawda. Ale odpokutował swoje winy, pokajał się i teraz chce naprawić wyrządzone zło. A ty zamiast mu w tym pomóc, odwracasz się i jeszcze milicję na niego nasyłasz. Nie tak cię wychowałem.

Jola zobaczyła w jego oczach fanatyczny błysk i zrozumiała, że w tym domu nie ma już dla niej miejsca. Gdzie w takim razie ono było?

Nie powiedziała już nic, tylko wyminęła ojca i wróciła do pokoju, gdzie wywlokła z pawlacza torbę i zaczęła wkładać do niej swoje rzeczy. Zdzisław niby nie zwracał uwagi na te poczynania, lecz w rzeczywistości nie spuszczał z niej oka, o czym przekonała się, gdy po spakowaniu teczek z osobistymi dokumentami, kilku kosmetyków oraz bielizny podeszła do szafy i zaczęła wyjmować z niej ubrania.

– Zostaw tę szmatę – rzucił nagle, gdy wzięła do ręki elegancką czarną sukienkę. – Moja żona nie będzie się ubierać jak kurwa.

Ponownie obejrzała kreację, usiłując dopatrzeć się w niej czegoś niestosownego. Z rękawami sięgającymi aż za nadgarstki i stójką pod szyją nie mogłaby zgorszyć nawet najbardziej ortodoksyjnego mnicha. Czyżby Tarnawie chodziło o rozcięcie z tyłu? Na litość boską, sięgało zaledwie do kolan!

Inne dziewczyny nieraz wkładały sukienki czy spódnice, gdzie „sznyta” biegła niemal do samych pośladków, a jakoś nikogo to nie bulwersowało! Jola już otwierała usta, by o tym powiedzieć, gdy przyszło opamiętanie. Była wolną kobietą i nie musiała się przed nikim tłumaczyć.

Bez pośpiechu poskładała sukienkę, włożyła do torby i sięgnęła po następny element garderoby.

– Powiedziałem, że moja żona nie będzie...

Głos Zdzisława był cichy, lecz wibrował taką wściekłością, że Jola z trudem zapanowała nad własnym, gdy przerwawszy mu bezceremonialnie, odezwała się na pozór całkiem spokojnie, a nawet z lekką kpina:

– Słyszałam za pierwszym razem, nie musisz się powtarzać. Nie wiem tylko, po co mi to mówisz. Nie interesuje mnie, jak twoja żona będzie się ubierać.

– Kur...!

Urwał w połowie przekleństwa i spojrzał niespokojnie w stronę drzwi. Jola zrozumiała, że na razie może czuć się bezpieczna, bo Tarnawa nie ośmieli się jej zaatakować w obawie przed utratą sojusznika. I choć bała się tak, że aż zbierało jej się na wymioty, uśmiechnęła się drwiąco i wróciła do pakowania, nie zwracając uwagi na jego gniewne mamrotanie. Akurat skończyła i właśnie zaciągała zamek błyskawiczny, gdy rozległ się dźwięk dzwonka, a później głos ojca, tłumaczącego się w jej imieniu:

– Panie sierżancie, to zwykłe nieporozumienie. Córką źle zrozumiała, nie wiedziała, że mąż przyszedł ją przeprosić. On się bardzo zmienił,

zrozumiał, że robił źle. Ale teraz wszystko jest w porządku. Pogodzili się...

Jola czym prędzej wybiegła z pokoju, zgrabnym unikiem mijając chcącego ją powstrzymać Zdzisława, i przepchnąwszy się obok ojca, stanęła przed milicjantem.

– Nie jest w porządku. – Zwróciła na niego błagalne spojrzenie niebieskich oczu. – Tata dał się nabrać, ale ja nie wierzę w żadne cudowne nawrócenie. Poza tym jesteśmy po rozwodzie i ten człowiek nie ma prawa mnie nachodzić. Zadzwoiłam do was, bo kazałam mu wyjść, ale on nie ma zamiaru opuścić mojego pokoju...

– Twojego? – przerwał jej ojciec. – To moje mieszkanie i ja decyduję, kto może w nim być. Zaprosiłem swojego zięcia i nie mam zamiaru go wyganiać.

– Czy były mąż podniósł na panią rękę? Groził lub panią wyzywał?

Na wszystkie pytanie Jola musiała dać odpowiedź negatywną i po minie dzielnicowego widziała, że w tej sytuacji będzie musiał odstąpić od interwencji. Ledwie zdążyła to pomyśleć, gdy milicjant powiedział z wyraźnym żalem:

– Przykro mi, pani Tarnawa...

– Strzelińska – poprawiła go natychmiast.

Choć kwestia użycia prawidłowego nazwiska nie była w tej chwili najważniejsza, musiała się odezwać. Myśl, że miałyby być nadal nazywana znienawidzonym mianem, wywołała w niej gwałtowny sprzeciw.

Milicjant spojrzał na nią uważnie, na jego twarzy pojawiło się zrozumienie.

– Oczywiście. Pani Strzelińska, w tej sytuacji nie mam podstaw do usunięcia pana Tarnawy z mieszkania. – Zawahał się i zerknął z ukosa na gospodarza. – Czy jest coś, co mógłbym dla pani zrobić?

Już miała zaprzeczyć, gdy nagle wpadła na pomysł, jak mogłaby wykorzystać uczynnego funkcjonariusza. Teraz ona zerknęła na mężczyznę, błagając go wzrokiem o pomoc.

– Czy pomoże mi pan zanieść torbę na przystanek autobusowy? Jest dość ciężka, mam w niej cały swój dobytek.

Pełen aprobaty uśmiech świadczył, że dzielnicowy prawidłowo odczytał jej wypowiedź. Ojciec natomiast wytłumaczył ją sobie po swojemu i zaprotestował:

– Ależ córciu, po co masz pana fatygować? I o jakim przystanku mówisz? Zdzisek przecież przyjechał samochodem!

– Jak dla mnie mógł sobie przyjechać nawet furmanką – warknęła w drodze do pokoju. – Zabrała torbę i nie zaszczyciwszy eksmęża nawet spojrzeniem, ponownie zamknęła drzwi, choć była to raczej demonstracja niż rzeczywiste zabezpieczenie przed podsłuchiwaniami. Cienka sklejka i zwykła szyba nie stanowiły żadnej izolacji. – Nie zamierzam nigdzie z nim jechać. Może sobie siedzieć w tym pokoju do usranej śmierci.

– Jolanto!

Zgorszony głos matki, milczącej aż do tej chwili i bojącej się wyściubić bodaj czubek nosa z pokoju, jedynie dolał oliwy do ognia.

– Masz dziwną moralność, mamó. Moje słowa cię gorszą, ale to, że tata chce mnie zmusić, żebym wróciła do tego oprawcy, jakoś cię nie gorszy.

– Bo tata ma rację. Miejsce żony jest przy mężu. Zobacysz, jeszcze nam podziękujesz, i Zdzisławowi też. Kiedy zajdziesz w ciążę...

– Nie zajdę! – wrzasnęła Jolanta, doprowadzona do ostateczności bezmyślną gadaniną. – Nigdy nie zajdę w ciążę. Za to też powinnam mu podziękować?

Wreszcie powiedziała to głośno, wykrzyczała prawdę będącą jej największym koszmarem, i nagle poczuła się pusta, kompletnie wyzuta z uczuć. Obojętnie spojrzała na czekającego w milczeniu milicjanta.

– Możemy iść. Nie ma tu już nic mojego.

Oboje rodzice nie zmienili zaciętego w gniewie wyrazu twarzy i chyba tylko jeden dzielnicowy domyślił się prawdziwego znaczenia jej słów. Pokiwał głową na znak aprobaty i podniósł torbę, która wcale tak wiele nie ważyła.

– Ma pani rację. I proszę nie robić sobie później żadnych wyrzutów, bo to oni dokonali wyboru. Niech pani o tym pamięta.

Po wyjściu z bloku nie ruszył w stronę przystanku, lecz w przeciwnym kierunku. Jola już miała zaprotestować, gdy zobaczyła wystający zza jakiejś ciężarówki tył radiowozu i zrozumiała, co uczynny sierżant zamierza.

– Niepotrzebnie robi pan sobie kłopot – bąknęła, nie bardzo wiedząc, jak powinna się zachować. Życie z Tarnawą odzwyczaiło ją od grzeczności świadczonej przez mężczyzn.

– Dokąd jedziemy? – spytał, gdy siedzieli już w samochodzie. – Ma pani jakiś bezpieczny azyl?

W pierwszej chwili ogarnęła ją panika. Nie spodziewała się, że rodzice otwarcie wystąpią przeciwko niej, wypychając z powrotem w szpony Tarnawy, dlatego nie zastanawiała się dotąd nad wyjściem awaryjnym. Nawet w najczarniejszych wizjach nie brała pod uwagę takiej wersji wydarzeń i nie przewidziała, że może jej być potrzebne. Całkiem załamana, pokręciła głową i nagle uświadomiła sobie, że jest ktoś, na kogo może liczyć.

Piątka! Ona na pewno coś wymyśli. Dziewczyna, która w wieku dziewiętnastu lat zerwała toksyczne więzi i zdecydowała się na wyprowadzkę z rodzinnego domu, bez wątpienia podpowie jej jakieś rozwiązanie.

Inga Piątkowska, zwana przez przyjaciół Piątką, rzeczywiście podsunęła Joli pomysł. Zrobiła to, nim jeszcze dzielnicowy wyszedł z zajmowanego przez nią pokoju w hotelu robotniczym, żegnany wyrazami wdzięczności. Po jego minie poznała, że poczuł ulgę na wieść, iż jego podopieczna trafiła w bezpieczne miejsce, i od razu poczuła do niego sympatię. W jakiś nieokreślony sposób przypominał jej Jurka Jagielskiego, choć zewnętrźnie nie był do podporucznika ani trochę podobny. Dopiero po pewnym czasie uzmysłowiła sobie, co łączy tych dwóch milicjantów: dla nich obu bardziej od przepisów liczyli się ludzie.

– No i czego beczysz? – zwróciła się z udawaną szorstkością do Jolanty, która dopiero teraz odreagowywała stres ostatnich godzin. – Tapczan jest szeroki, na pewno się na nim zmieścimy. A jutro zaraz rano pójdziemy do socjalnego i pogadamy z panią Kazią.

– Boję się – wyznała Jola. Napotkała pytające spojrzenie koleżanki i uśmiechnęła się bezradnie przez łzy. – Chyba wszystkiego. Że nie będzie wolnego pokoju, że komisja się nie zgodzi i że sobie nie poradzę. Tego ostatniego chyba najbardziej. Nigdy nie mieszkałam sama, w dodatku nie mam nic oprócz ubrań.

Inga przysiadła na tapczanie obok zgnębitej dziewczyny i ujęła w ręce jej rozdygotane dłonie.

– Komisja na pewno się zgodzi, a jeżeli nie będzie wolnego pokoju, wstawi się tutaj drugi tapczan. Przecież się nie pozabijamy. – Puściła do Jolanty oko. – A co do twoich obaw, to ja też nie miałam nic. Nie pamiętasz? I tak samo jak ty nigdy nie mieszkałam sama, a jednak jakoś przeżyłam. – Mocniej uścisnęła dłonie koleżanki. – Jola, przecież masz nas. Lucyna i ja na pewno nie zostawimy cię samej z problemami.

W odpowiedzi Strzelińska znów zalała się łzami i Inga doszła do wniosku, że musi skierować jej myśli na inne tory. Miała w zanadrzu informację, która na pewno spełni to zadanie. Co prawda nie chciała tak szybko podawać jej do wiadomości koleżanek, ale teraz nie widziała innego wyjścia.

– Spotkałam Norberta – wypaliła, a potem z satysfakcją obserwowała, jak zdumiona Jolanta

szeroko otwiera oczy, które nie były już zamglone łzami. Teraz płonęła w nich ciekawość.

– Tego Norberta?

– Tego samego. U Lucyny w domu, wyobrażasz to sobie? Okazało się, że to kolega Jurka z pracy i znają się od dawna. Umówiłam się z nim na randkę – zdradziła, uprzedzając pytanie Joli. – Chyba zwariuję ze szczęścia.

Po jej twarzy przeleciał cień, świadczący o jakichś rysach na gładkiej powierzchni deklarowanego szczęścia, lecz Jola go nie zauważyła, tak przejęta niespodziewanymi wieściami, że zapomniała o swoich kłopotach.

Inga miała rację, wierząc w pomoc zakładu pracy. Wiedziała, że koleżance ciężko będzie się zmusić do opowiadania obcym ludziom o swojej gehennie, uprzedziła ją więc i zaraz rano pobiegła do działu socjalnego i przedstawiła całą sytuację. Dzięki temu gdy Jola tam dotarła, wizyta okazała się tylko formalnością. Po napisaniu podania i wypełnieniu kilku oświadczeń stała się pełnoprawną lokatorką pokoju sąsiadującego z pokojem Ingi, co dodatkowo ją uradowało.

Zmiana miejsca zamieszkania nie uchroniła jej niestety przed niechcianymi awansami za strony byłego męża, który znów zaczął wystawać pod „Instal-Budem”, a gdy wychodziła z pracy, głośno deklarował swoje uczucia i usiłował wręczać jej kwiaty. Niezorientowani, a do takich zaliczali się niemal wszyscy pracownicy, spoglądali na niego z coraz większym współczuciem, do Joli zaś odnosili się coraz chłodniej.

Nowa strategia Tarnawy, mająca na celu zdyskredytowanie żony w oczach kolegów, zaczęła przynosić efekty.

Rozdział 21

Ten by się nadał

Czerwiec 1986, Bielsko-Biała

Siedzący naprzeciwko Jerzego mężczyzna nadal milczał z uporem. Nie wydawał się przejęty ani słowami podporucznika, ani swoim losem; nie okazywał żadnych emocji i można by pomyśleć, że niczego nie odczuwa. Zdradzały go jednak błyski wściekłości, pojawiające się od czasu do czasu w jego oczach.

Jagielski od razu je zauważył i pomyślał z satysfakcją, że ocenił go prawidłowo. Po kilku przesłuchaniach, podczas których Ryszkiewicz konsekwentnie odmawiał zeznań, specjalnie przestał się nim interesować, dając bandycie czas na zrozumienie, w jakim położeniu się znalazł. Gdy Karat wreszcie pojmie, że jego władza należy już do przeszłości i teraz to on jest zależny od innych, jego nastawienie z pewnością się zmieni.

Nie tacy twardziele wchodzili w mury aresztu śledczego z przeświadczeniem o własnej niezłomności, a wystarczył tydzień czy dwa, by dotarło do nich, że jedyne, co może im pomóc, to współpraca z organami ścigania. Tylko dzięki niej mogli liczyć na skrócenie okresu odosobnienia, gdzie każdy dzień podobny jest do minionego i nie ma nadziei, by ten mający nastąpić choć trochę różnił się od poprzednich.

– No co tam, Ryszkiewicz? – zagaił niemal przyjaźnie milicjant. – Masz ochotę porozmawiać czy wolisz wrócić pod celę? – Odpowiedziało mu milczenie, lecz się tym nie zraził i mówił dalej, przyjmując ton towarzyskiej pogawędki: – Rozumiem to i wcale się nie gniewam. Twoi nowi kumple na pewno są ciekawszymi rozmówcami niż zwykły gliniarz. Umieli docenić twoją pozycję, okazali szacunek...

– Kurwa! Skończ pan robić sobie podśmiejuchy!
– wrzasnął wyprowadzony z równowagi Karat, a Jerzy roześmiał się serdecznie.

Kilka dni temu Ryszkiewicza umieszczono w celi zajmowanej przez trzech bandziorów. Jeden z nich pobił młodego chłopaka do nieprzytomności, by zabrać mu butelkę wódki, drugi uderzył łomem kierownika sklepu, gdy ten usiłował go powstrzymać przed obrabowaniem kasy. Jednak najgorszy z nich był Jerzy Bobasiński – jeden z trzech braci, którym zarzucano zabicie czwartego. Gdy ich zatrzymano, nie wyparli się swojego czynu. Przyznali się od razu i złożyli obszerne wyjaśnienia, w dużej mierze składające się z relacjonowania wziętych za prawdę alkoholowych omamów. Na szczęście przesłuchujący ich funkcjonariusz miał

wprawę w postępowaniu z podobnymi osobnikami i bez większych problemów oddzielił prawdę od zwiadów.

Uzyskany przez niego obraz ukazywał jasno, że podejrzani skatowali najmłodszego brata, gdy odkryli, że sam wypił ćwiartkę denaturatu przeznaczonego do wspólnej konsumpcji. Po odkryciu, że brat nie daje oznak życia, mieli zamiar wynieść go do lasu i tam zakopać, chwilowo jednak nakryli ciało kołdrą, by widok trupa nie urzął ich zmysłu estetyki, i pili dalej, odbywając coś na kształt stypy.

Pozbycie się denata nie doszło do skutku. Bracia ciągle byli tak pijani, że zrealizowanie planu przerastało ich możliwości, a gdy na krótko wracali do stanu względnej trzeźwości, woleli nie ruszać ciała, pewni, że spod kołdry wyskoczy na nich żądny zemsty duch zamordowanego. I chyba w końcu zapomnieli o rozkładających się pod kołdrą zwłokach, gdy bowiem do rozpadającej się rudery wkroczył patrol wezwany przez sąsiadów mających powyżej uszu pijackich wrzasków, trzech degeneraci wydawali się nie mniej od milicjantów zdziwieni widokiem nieboszczyka.

Nic więc dziwnego, że dla ludzi tego pokroju pozycja Karata w świecie przestępczym nie miała żadnego znaczenia. Ich myśli nie zaprzętały wielkie interesy, strefy wpływów czy walka o władzę; liczyła się tylko pełna butelka. To był znany im świat, innego nie pragnęli poznawać, dlatego Ryszkiewicz nie miał u nich żadnego poważania, a na wieść, że jest abstynentem i rozmowy o trunkach go nie interesują, do reszty stracił w ich oczach. Od tamtej pory jawnie okazywali mu lekceważenie,

a tego przyzwyczajony do pełnego szacunku posłuchu mężczyzna nie mógł znieść.

Wybuch bandyty świadczył jasno, że Jagielski trafnie ocenił sytuację i jeśli nie omylił się w swych rachubach, doprowadzony do ostateczności Karat gotów jest zrobić wszystko, by nie musieć mieszkać w celi razem z prymitywnymi pijakami. Jeśli ceną za uwolnienie się od ich towarzystwa miałoby być złożenie zeznań, teraz zapłaci ją bardziej niż chętnie, choć jeszcze niedawno deklarował wiekuiste milczenie.

– Nie podoba ci się towarzystwo? – spytał z życzliwym zaciekawieniem. – Szkoda, bo na pojedynek nie masz szans. Co innego, gdybyś odpowiedział na pytania. Jest zasługa, jest nagroda. Przecież sam wiesz, jak to się kręci.

Zgodnie z przewidywaniami milicjanta Ryszkiewicz zgodził się zeznawać. Powiadomiony o tym prokurator Ochabczyk polecił, by przewieziono go do budynku prokuratury pod silną eskortą, gdyż obawiał się odbicia więźnia. Jerzy nie widział takiej konieczności, ale zamiast wdawać się w dyskusję, przekazał polecenie milicjantom z konwoju. Nie wierzył, by podwładni Karata spróbowali go uwolnić, ale co szkodziło podjąć wzmożone środki ostrożności? Niech się chłopaki przejadą, zawsze to jakaś atrakcja.

– Skąd wiedziałeś, że jedziemy na darmo? – spytał jeden z nich, gdy szczęśliwie dotarli do celu.

– Bo z tego, co udało mi się dowiedzieć, Karat miał tylko trzech ludzi, którzy znali wszystkich członków jego grupy. Z tej trójki został tylko Dziki, bo Białego zastrzelił Rajner, a Tarana w końcu

dorwaliśmy, ale jest zbyt tępy, by mieć pojęcie o czymś więcej niż to, co szef kazał mu robić.

– A ten Dziki nie mógł...?

– Dziki? – przerwał mu Jagielski. – Nie, Dziki jest za bardzo dziki. Nastraszyć kogoś, nakłąć po mordzie czy nawet spuścić porządny wpierdol to tak, do tego nadaje się świetnie. Ale nie do roboty wymagającej przemyślenia. Na to jest zbyt nieobliczalny.

– A inni? Przecież było ich więcej.

– Tu właśnie jest słaba strona tej bandy. Szef pewnie chciał się zabezpieczyć przed wypadką, dlatego powołał do życia twór, którego członkowie spotykali się tylko na czas akcji, w dodatku nie wszyscy. Kapujecie? Jeżeli któryś z nich by wpadł, nie mógłby zdradzić innych nawet gdyby chciał, bo nic o nich nie wiedział. Ale Karat przefajnował z tą konspirą, bo kiedy sam znalazł się w potrzebie, oni nie mogli mu pomóc. Podejrzewam, że nawet nie wiedzą o jego aresztowaniu, a nawet jeśli, to nie mogą się skrzyknąć bez pomocy jednego z trzech zaufanych ludzi Karata.

Powiedział to wszystko, nie starając się ściszyć głosu, choć wiedział, że Ryszkiewicz uważnie mu się przysłuchuje. Postąpił tak celowo. Niech bandzior wie, że wcale nie jest taki cwany, i niech nie liczy na pomoc z zewnątrz.

Karat rzeczywiście jeszcze bardziej spokorniał i nie było już mowy o warunkach współpracy, nie próbował też przybierać pełnych wyższości min. Zeznawał obszernie, prawdopodobnie mając nadzieję, że zasłuży tym na łagodniejszy wymiar kary. Obciążał też chętnie podwładnych,

a zwłaszcza Białego, wiedząc, że zmarły nie zaprzeczy jego słowom, a milicjanci nie mają dowodów na to, że kłamie.

Koniec końców jednak się przeliczył. Jagielski rzeczywiście nie mógł udowodnić, że było inaczej, lecz dotyczyło to czynów wcześniejszych, jego zaś najbardziej interesowały ostatnie, te dokonane na terenie Bielska-Białej. Ryszkiewicz wreszcie do nich przeszedł, lecz o Dorocie Milewskiej nie wspomniał nawet słowem, podobnie jak o Dorocie Woźnicy czy Barbarze Stareczek. Rozwodził się za to o Jerry'm.

– Marlon, Marek Pieczyk, to był świetny gość – mówił z niekłamany podziwem. – Inteligentny, a przy tym twardy, w dodatku nie wiedział, co to strach. Myślałem, że brat jest do niego podobny, ale się pomyliłem. Poszedł z wami na układ i chciał mnie sprzedać. – Zauważył zaskoczenie milicjanta i uśmiechnął się triumfująco. – Głupi nie jestem. Taran mi doniósł, że zwinęliście Jerry'ego, a on dziwnym sposobem wyszedł już po kilku godzinach. Nawet idiota by się skapował, że coś tu jest nie tak. W dodatku Jerry naraz się zgodził przejść do mnie, choć jeszcze tydzień wcześniej nie chciał nawet o tym słyszeć i twierdził, że nie interesuje go współpraca z bandytami.

Umilkł, napił się wody i przez chwilę wiercił się na twardym krześle w poszukiwaniu wygodniejszej pozycji.

– Mów dalej, Ryszkiewicz. To bardzo ciekawe – pochwalił Jerzy. – Uznałeś, że Jerry został kapusiem, i dlatego kazałeś zawieźć go na lotnisko. Pomysł nie najmądrzejszy, bo jak zamierzałeś ukryć ciało?

– Co pan? Jakie ciało? – oburzył się Karat. – Jerry miał dostać porządny wpierdol, i tyle. Skąd miałem wiedzieć, że Biały sięgnie po nóż? Nie kazałem mu zabijać Jerry’ego.

– No właśnie – wszedł mu w słowo podporucznik.
– Nie kazałeś, więc tego nie zrobił. To ty zabiłeś Pieczyka i już za samo to grozi ci czapa. – Zlekceważył gwałtowne protesty mężczyzny i punktował go dalej: – Mam świadków, którzy widzieli, jak ugodziłeś Jerry’ego nożem w pierś, a potem zabiłeś funkcjonariusza milicji.

– Nieprawda! To nie ja, tylko Biały. To on zastrzelił tego gliniarza, a wcześniej zabił Pieczyka. Mnie tam nawet nie było.

Jagielski uśmiechnął się zwodniczo przyjaźnie.

– Ty, Ryszkiewicz, jesteś mądrym i wykształconym człowiekiem. Dojść w „Tyskich meblach” do kierowniczego stanowiska, to naprawdę nie byle co.

Pod wpływem pochwał twarz przestępcy rozjaśniła się dumą, Ochabczyk natomiast, w milczeniu przysłuchujący się przesłuchaniu, skrzywił się z niesmakiem i doszedł do wniosku, że niepotrzebnie pozwolił, by to Jagielski zadawał pytania.

– Poruczniku – odezwał się surowo – niech pan...

– Jeszcze chwila, panie prokuratorze – przerwał mu Jerzy. – Już kończę.

– Ma pan pięć minut. Potem ja...

Ochabczyk urwał, gdy zauważył, że milicjant przestał go słuchać i wpatruje się uważnie w twarz Karata z miną kota, który dorwał się do śmietanki.

– Dlatego się dziwię – przemówił znów Jagielski. – Nie mogę zrozumieć, jak przy takiej inteligencji można być jednocześnie aż tak głupim. Nie powiedziałem, że milicjant został zastrzelony – wyjaśnił, ujrawszy zagubienie Ryszkiewicza. – A ponieważ o tym wiesz, to znaczy, że ty to zrobiłeś.

Ten zmieszał się, lecz zaraz odzyskał rezon.

– Wiem, bo widziałem, jak Biały zabił najpierw Pieczyka, a potem zastrzelił waszego kolegę.

– Gdzie to widziałeś, Ryszkiewicz? W szklanej kuli? Bo przecież ciebie tam nawet nie było. To twoje własne słowa. – Naraz uśmiech milicjanta zniknął. – Dość tego pierdolenia! Badania potwierdziły, że pocisk, który trafił plutonowego, został wystrzelony z twojej broni, a nie z pistoletu znalezione przy Białym, więc oszczędź nam tej gadki. Opowiedz lepiej o Dorocie Milewskiej. Miała jakichś wrogów?

– To była ostra babka, musiała mieć wrogów. Ale takich, żeby zabić? Bo pewnie o to panu chodzi. Nie, aż tak, to nie.

– A mąż? – Jagielski zauważył pogardliwy grymas Karata i dodał: – Przyprawiała mu rogi, a żaden facet nie lubi wchodzić bokiem przez drzwi. W dodatku jest milicjantem, wie, jak pozacierać ślady.

Prokurator aż pochylił się do przodu, by nie uronić ani słowa z wypowiedzi przestępcy. Prawdopodobnie był całkowicie pewien, że mężczyzna oskarży Rajnera. Świadczył o tym zawód, jaki odmalował się na jego twarzy, gdy Ryszkiewicz głośno się roześmiał, stukając jednocześnie zgiętym palcem w środek czoła.

Skarcony ostro przez podporucznika niby przeprosił, ale z jego ust nadal co jakiś czas wydostawał się niekontrolowany chichot, gdy usiłował wytłumaczyć przesłuchującym swoje kuriozalne zachowanie.

– Bo to całkiem idiotyczny pomysł. Bez obrazy, panie poruczniku. Inny gliniarz może by się na to zdobył, ale ten Milewski to nie facet, tylko guma z kaleson. Siedzi w biurze ubrany w garniturek jak zwykły urzędnik i liczy na kalkulatorku, ile forsy milicja wydała na zakup długopisów.

– Ciekawa opinia...

Zauważywszy, że przesłuchanie jednak nie przebiega po jego myśli, Ochabczyk gestem powstrzymał Jerzego i zadał swoje pytanie:

– Widziałeś go kiedyś czy wiesz to wszystko od Milewskiej?

Ryszkiewicz nie odpowiedział od razu. Najpierw skrzywił się lekceważąco, potem przez jakiś czas się zastanawiał, później celebrował picie postawionej przed nim wody sodowej. Wszystko to trwało dość długo i w końcu milicjant się zniecierpliwił.

– Mamy ciekawsze rzeczy do roboty niż patrzenie na twoją skrzywioną gębę. Daję ci trzydzieści sekund, potem wychodzimy.

Na twarzy przesłuchiwanego na moment pojawił się grymas nienawiści, zastąpiony natychmiast pojednawczym uśmiechem.

– Jezu, co tak nerwowo! Musiałem się zastanowić. W końcu to nikt ważny, żebym miał o nim myśleć.

– Co wynikło z tego zastanawiania?

Karat znowu się skrzywił, tym razem z niechęcią.

– Przypomniałem sobie, że to Dota mi o nim opowiadała. Wkurwiłem się, kiedy powiedziała, że chce za niego wyjść, bo zawsze była moją dziewczyną. Kiedyś nawet zaproponowałem jej małżeństwo, ale odmówiła. Uważała, że w razie wypadki jednego z nas nikt nie powinien nas ze sobą łączyć, wtedy to drugie będzie mogło dalej działać.

– Wychodzi na to, że miała cię w dupie – roześmiał się Jerzy. – Jak się czułeś z tym, że twoja baba rozkłada nogi dla innego?

Teraz Ryszkiewicz nawet nie próbował ukrywać wściekłości. Jego nienawiść do Jagielskiego była wręcz namacalna, a podporucznik dobrze wiedział, że nie wywołały jej tylko drwiące słowa.

Zachowanie Karata wyraźnie wskazywało na to, że mężczyzna ma bardzo wysokie mniemanie o swoim sprycie i inteligencji. Prawdopodobnie uważał milicjantów za ludzi ograniczonych, nadających się jedynie do bezmyślnego wykonywania rozkazów, przez co czuł się bezkarny. Dlatego nie mógł pogodzić się z przegraną, a całą winą za swoją klęskę obarczył tego, który dowodził akcją, a później wielokrotnie go przesłuchiwał, nie szczędząc przy tym kpiących uwag.

– Kołtuństwo i zacofanie – prychnął z pogardą. – Jestem nowoczesnym, światowym człowiekiem, dlatego Dotka nie miała problemu z przekonaniem mnie do swoich racji. To, co robiła w łóżku z tym gliniarzem, nie miało dla niej żadnego znaczenia, a mogła zdobyć ciekawe informacje.

Prokurator przechylił się ku niemu, słuchając z żywym zaciekawieniem, a Jagielskiego kolejny raz

zastanowiło jego obsesyjne pragnienie znalezienia czegoś, co mogłoby obciążyć Rajnera. Czyżby przyjaźnił się z Hilerem?

– I co? – spytał niecierpliwie. – Były warte dzielenia się z nim dziewczyną?

W zasadzie za odpowiedź wystarczyły stek przekleństw i kurczowo zwierające się i rozwierające dłonie. Ryszkiewicz aż poczerwieniał z gniewu. Nie zdołał nad sobą zapanować i w ataku furii rąbnął pięścią w biurko.

– Uspokój się, bo cię skuję – ostrzegł Jagielski.

Nie podobało mu się, że Ochabczyk zaraz na początku polecił zdjąć Karatowi kajdanki. Twierdził, że to wprowadzi przyjaźniejszą atmosferę, przez co przesłuchiwany będzie bardziej skory do współpracy. Podporucznik często korzystał z tej sztuczki, ale w tym konkretnym przypadku uważał ją za nadmiernie ryzykowną. Wiedział, że Ryszkiewicz nie zawaha się przed niczym, by odzyskać wolność.

Groźba podziałała. Mężczyzna jeszcze przez chwilę toczył wkoło wzrokiem przepełnionym wściekłością, lecz z wolna opary gniewu zaczęły opadać, aż odzyskał panowanie nad sobą w stopniu umożliwiającym udzielenie wyjaśnień.

– Gdyby od razu powiedział Docie, że pracuje w finansach, nigdy by za niego nie wyszła. Nie chciała tak od razu dopytywać się o konkrety, żeby nie wzbudzić podejrzeń, i dopiero po ślubie zagadnęła go o to, w jakim wydziale pracuje. Tylko że ten gnój zbywał ją żartami i przyznał się do tych finansów, gdy byli już trzy miesiące po ślubie.

Myślała, że sobie robi jaja, nie miała pojęcia, że nie wszyscy milicjanci zajmują się...

Urwał i sięgnął po szklankę. Pił łąpczywie, z czego Jagielski wywnioskował, że nie była to chęć uniknięcia niewygodnego tematu.

– Nie odpowiedziałeś na pytanie pana prokuratora – przypomniał, chcąc, by zostało zaznaczone wyraźnie i do protokołu, że Milewski nie przekazywał żonie żadnych informacji. – Dowiedzieliście się od niego czegoś, co mogliście potem wykorzystać?

– Gównie się dowiedzieliśmy – warknął Karat. – Dota mówiła, że w ogóle nie gadał o robocie, a każdą próbę skierowania rozmowy na ten temat ucinał, jakby to były wielkie tajemnice. Przegrzebywała mu teczkę i kieszenie, ale nigdy nie znalazła żadnych dokumentów. Dopiero kiedy się przyznał, że jest zwykłym urzędasem, zrozumiała, że niepotrzebnie za niego wyszła, ale było już za późno.

– Biedaczka – westchnął Jerzy z fałszywym współczuciem. – Zmarnowała sobie życie. Nic dziwnego, że zaczęła mu skakać do oczu. Dziwię się tylko, że się go nie bała.

Zerknął przy tym na Ochabczyka i zauważył jego źle tłumioną złość. Panu prokuratorowi w widoczny sposób nie w smak było oczyszczenie Rajnera z zarzutu niedotrzymywania tajemnicy służbowej. Przeniósł wzrok na przesłuchiwanego, który również nie zapanował nad wyrazem twarzy. Jednak w przeciwieństwie do oblicza Ochabczyka na niej nie malował się gniew. Wyrażała rozweselenie.

– Takiego frajera? – Pogarda w jego głosie właściwie wystarczyłaby za odpowiedź. – Dota mówiła, że jest w nią zapatrzony jak w święty obraz. W życiu by jej nie uderzył. To ona go wyzywała i skakała do niego z łapami, a on nigdy jej nie oddał ani nawet nie zbluzgał. Za bardzo był zakochany, poza tym miał zasady, że kobiety nie wolno uderzyć. Taki, kurwa, gliniarz dżentelmen.

– Może doprowadziła go do takiego stanu, że o nich zapomniał?

Na zadane przez prokuratora pytanie Karat tylko prychnął, lecz zwerbalizował swoją opinię na widok jego zniecierpliwienia:

– Nie on. Poza tym, co mogłaby zrobić takiego, czego nie zrobiła już wcześniej? Nie wrócić na noc? To już nieraz przerabiali i nie tknął jej nawet palcem. Przyznać, że sypia z innymi? O tym też dawno wiedział. Dota chciała, żeby to on wystąpił o rozwód, ale nawet tego nie zrobił, głupi szmaciarz.

– Czemu sama nie złożyła pozwu? – drażył Ochabczyk.

– Bo tak jej doradziłem. Nie mogła mu nic zarzucić i sąd pewnie dążyłby do tego, żeby ich pogodzić. A gdyby inicjatywa wyszła od niego, po tym, co na nią miał, dostaliby rozwód od razu. Potem mogłaby zakręcić się koło innego milicjanta i się za niego wydać, gdyby okazał się pożyteczny.

Plan wydał się Jagielskiemu kompletnie irracjonalny. Czy Milewska i Ryszkiewicz naprawdę myśleli, że inny funkcjonariusz zechce za żonę kobietę, która zyskała status rozwódki z powodu własnej niewierności?

– Wątpię, żeby znalazł się chętny – zaczął, lecz nie zdążył wypowiedzieć swoich obiekcji, gdyż Karat wszedł mu w słowo.

– I tu się pan myli – oznajmił z satysfakcją. – Miała na oku kumpla Milewskiego. Facet jest porucznikiem. Kiedyś usłyszała, jak ten Norbert mówił, że brał udział w jakiejś akcji. Na jej widok zamilknął, ale to wystarczyło, by się domyśliła, że na pewno nie jest kolejnym gryzipiórkim.

– Spotykała się z nim? – spytał Jagielski, tłumiąc śmiech.

– Nie sam na sam, ale widziała, że nie mógł od niej oczu oderwać. A w dniu ślubu gadał o niej z Milewskim i strasznie się z nim pożarł, bo nie chciał, żeby ten frajer się z nią żenił. Zepsuł całą uroczystość, bo Milewski już do końca miał taką minę, jakby był na pogrzebie. I pewnie zabronił mu ich odwiedzać, bo ten Norbert więcej się u nich nie pokazał. Ale nadal się w niej kocha, bo kiedy parę razy się spotkali, tak się na nią gapił...

Przerwał mu wybuch śmiechu. To Jerzy nie zdołał zachować powagi, a za każdym razem, gdy napotykał urażone spojrzenie Ryszkiewicza lub zdumione prokuratora, ochota do śmiechu wracała ze zdwojoną siłą.

– Zwariował pan? – Ochabczyk dał wyraz swojej dezaprobachie. – Nie widzę nic śmiesznego w fakcie, że kobieta będąca w zмовie z przestępcą zawróciła w głowie kolejnemu milicjantowi.

Podporucznik podjął próbę opanowania się i po kilku chwilach wysiłki zostały nagrodzone sukcesem, bo uspokoił się na tyle, by móc wyartykułować odpowiedź.

– Niech się pan nie martwi, panie prokuratorze. To tylko brednie zapatrzonej w siebie baby. Norbert nie znosił Doroty Milewskiej. Od początku ją przejrzał i usiłował wyperswadować Milewskiemu ten ożenek. Obserwował ją, żeby mieć argumenty do tej rozmowy, ale wie pan, jak to jest z zakochanymi. Klapki na oczach, wata w uszach.

Zerknął przy tym wymownie na Karata, chcąc uzmysłwić, że on także dał się wziąć na lep pięknej buzi, zgrabnej sylwetki, a zwłaszcza gładkich słów, które z prawdą nie miały nic wspólnego. Ryszkiewicz chyba mu nie uwierzył, bo tylko wzruszył ramionami na znak, że wypowiedź milicjanta w ogóle go nie obeszła. Ochabczyk natomiast najwyraźniej dał się przekonać, nareszcie bowiem zaczął grać do tej samej bramki co Jagielski.

– Szkoda, że zginęła. Z przyjemnością przygotowałbym dla niej akt oskarżenia. Wiecie co, poruczniku? Zastanawia mnie jedna sprawa. Jeśli Milewski był taki skryty, jak wszyscy mówią, to skąd zabójca wiedział, że nie ma go w domu? Z tego, co ustaliliście, wynika, że rozkaz wyjazdu na realizację był niespodziewany...

Urwał, gdy uświadomił sobie, że Ryszkiewicz uważnie mu się przysłuchuje, Jerzemu jednak wystarczyły dwa ostatnie zdania, by naszła go ochota zdzielić się porządnie w głowę. Jak mógł o tym nie pomyśleć? Może dlatego, że przy takim scenariuszu należało wziąć pod lupę wszystkich, którzy mogli ten rozkaz poznać. Czyli zomowców z Plutonu Specjalnego oraz ich dowódców.

Wymienił z prokuratorem porozumiewawcze spojrzenia, zastanawiając się przy tym, czy i na ile

może mu wreszcie zaufać. Postanowił jednak odłożyć tę sprawę na później, gdyż zauważył na twarzy Karata ciekawość, a nie zamierzał dawać mu do ręki nie tylko broni przeciwko Rajnerowi, ale nawet nadziei na jej zdobycie.

– Szkoda, że Milewski akurat tamtej nocy musiał pojechać na akcję. Gdyby był w domu, z pewnością obroniłby żonę.

Ryszkiewicz połknął haczyk. Widać było, że poprzedni temat przestał go interesować, a pogardliwy rechot to wrażenie potwierdził.

– Ten ciotowaty urzędas? Prędzej nasrałby w portki ze strachu. Na takiego skurwiela jak ten morderca potrzeba kogoś, kto nie nosi broni dla szpanu i nie boi się jej użyć. Kogoś takiego jak...

Jerzy domyślił się, że Karat miał na myśli siebie, lecz nie pozwolił mu dokończyć wypowiedzi.

– Jak ten, co cię postrzelił?

Bandyta skrzywił się na wspomnienie swojej klęski i bezwiednie dotknął lewego boku, gdzie trafiła go kula milicjanta, łamiąc mu żebro i przebijając dół płuca. Tylko ogromnej determinacji lekarzy zawdzięczał, że nadal był wśród żywych. Spędził w szpitalu blisko dwa miesiące, a i teraz nachodziły go jeszcze fale słabości. Mimo to nie mógł nie docenić strzeleckiego kunsztu przeciwnika, choć na wspomnienie niewyrażającej żadnych emocji twarzy milicjanta oraz jego wysokiej sylwetki kojarzącej mu się z gotowym do skoku tygrysem przechodziły go ciarki.

– Tak – potwierdził z pewnymi oporami. – Ten by się nadał.

– Wiesz, kto to był? – Jagielski nie czekał na odpowiedź. – Rajner Milewski, mąż twojej ukochanej Doroty.

Oszołomienie i wściekłość na twarzy Ryszkiewicza stanowiły dla niego wystarczającą nagrodę za czas spędzony w towarzystwie Karata.

Rozdział 22

Kuzynka

Lipiec 1986, Wisła

Wbiegł na ukrytą wśród drzew polanę i przystanąwszy, schylił się, opierając dłonie na kolanach. Oddech z wolna wracał do normalnego rytmu, a porywisty wiatr chłodził plecy oblepione mokrą od potu koszulką. Mimo bólu mięśni czuł się wspaniale. Fizyczne zmęczenie zrobiło to, czego nie były w stanie dokonać wielogodzinne rozmyślenia, ataki furii i ogarniający go po nich marazm. Wzbudziły wolę walki, chęć udowodnienia Hilerowi, że jego knowania nie zdały się na nic. Ten podstępny dupek będzie musiał przyjąć do wiadomości, że on, starszy chorąży Milewski, jeszcze nie wypadł z gry.

– Dosyć tego opierdalania się. Pora wrócić do regularnych treningów – rzekł półgłosem, a stojący opodal buk z pokręconym niczym w konwulsjach pniem potwierdził słuszność tej decyzji głośnym

skrzypnięciem gnących się pod naporem wiatru konarów.

Rajner wyprostował się, uniósł głowę i przez jakiś czas obserwował kłębiące się nisko nad ziemią ciężkie ołowiane chmury. Zdążył pomyśleć, że nadciąga burza, gdy poszarzałe niebo rozdarł srebrny zygzak błyskawicy, a chwilę później w powietrzu przetoczył się pierwszy grzmot. *Pora wracać* – zdecydował i ruszył w stronę drzew okalających polanę. Kilka minut później przekonał się, że burza postanowiła go ścigać, bo chmury jeszcze zniżyły swój pułap, zagarniając słoneczne światło, a gdy półmrok rozświetliła kolejna błyskawica, niemal równocześnie rozległ się huk pioruna.

Na ziemię nie spadła jeszcze ani jedna kropla i Rajner spał się do biegu, by zdążyć do domu przed ulewą. Naraz uświadomił sobie, że oprócz grzmotu dotarł do niego także inny dźwięk, toteż w ostatniej chwili się powstrzymał i powoli opuścił uniesioną nogę, analizując w myślach to, co usłyszał. Co to było? Jęk? Okrzyk? Piśnięcie? Raczej to ostatnie, zatem równie dobrze mogło go wydać zwierzę, jak człowiek. W każdym razie wyszło z gardła stworzenia potrzebującego pomocy, musiał więc je odszukać i sprawdzić, czy jest w stanie tej pomocy udzielić.

Miał wrażenie, że odgłos dobiegł z lewej, od strony świerkowego młodnika, gdzie niewysokie drzewka rosły tak gęsto, że tworzyły coś na kształt monolitu. Pomyślał z niechęcią, że przy swoim wzroście będzie musiał się chyba czołgać między nimi, lecz nawet świadomość czekającej go niewygody nie odwiodła mężczyzny od działania. Po chwili

przyznał uczciwie, że w stronę młodnika prowadzi go nie tylko troska, ale i ciekawość. Wbrew opiniom wielu ludzi był tylko człowiekiem ze zwykłymi ludzkimi słabościami.

W pierwszej chwili jej nie zauważył, tak dalece drobna sylwetka okryta sukienką w kolorze khaki zlewała się z leśną ściółką. Dopiero gdy huknął kolejny grzmot, a dziewczyna w panice osłoniła głowę, ten nagły ruch przyciągnął uwagę Rajnera. Nie dostrzegła go, zbyt ogarnięta strachem przed burzą, by zwracać uwagę na otoczenie. Podziękował jej w myślach za to, że nie weszła w głąb młodnika, lecz zatrzymała się na jego skraju, pod osłoną wysokiej jodły, zaraz jednak poczuł złość. Jak mogła być tak bezmyślna, by wybrać jedno z najwyższych drzew w okolicy? To było zwyczajne proszenie się o nieszczęście.

I co tutaj w ogóle robiła? Rozejrzał się w poszukiwaniu koszyka na grzyby lub bańki, bo wiedział, że z tą ostatnią miejscowe kobiety chadzają na jagody, tu na południu Polski zwane borówkami. Niczego takiego nie zauważył, dostrzegł natomiast torebkę i niedużą, mocno wypchaną torbę. Czyżby jakaś wczasowiczka, która zmyliła drogę? Zresztą nie to było w tej chwili najważniejsze. Kimkolwiek by się okazała, należało ją stąd zabrać, zanim dojdzie do tragedii.

Poruszał się jak zwykle prawie bezszelestnie, ale gdy znalazł się jakieś półtora metra od siedzącej pod drzewem dziewczyny, specjalnie nastąpił na suchy patyk. Trzask pękającego drewna przywołał ją do rzeczywistości. Opuściła ręce i odwróciła głowę w stronę źródła dźwięku, a na widok stojącego tuż obok mężczyzny w jej oczach błysnęło

przerażenie. Zakryła dłonią usta, jakby chciała wepchnąć z powrotem pragnący wydostać się z nich okrzyk przestachu, i pozwoliła sobie jedynie na niezbyt głośny pisk, taki sam jak ten, który go tutaj przywiódł.

Nie zapytał o nic, nie próbował również nawiązać rozmowy, schylił się tylko i podniósł torbę oraz torebkę. Tę ostatnią podał jej w wyciągniętej ręce, nie zbliżył się jednak zanadto w obawie, by dziewczyna nie wpadła w panikę. Chwyciła torebkę tak ostrożnie, jakby to był odbezpieczony granat, i zerknęła z ukosa na Rajnera, a on na jej twarzy oprócz strachu i nieufności dojrzał także malującą się ciekawość. To rokowało całkiem nieźle; z nieznanych mu przyczyn dla jej zaspokojenia ludzie byli w stanie znieść naprawdę wiele.

Cofnął się o krok, by nie czuła się osaczona, i zaryzykował nawiązanie kontaktu. Czas po temu był już najwyższy, bo niemal czarne niebo raz za razem rozrywały srebrne zygzaki, a w przerwach między kanonadą grzmotów rozbrzmiewał coraz głośniejszy szum wichru. Tylko deszcz ciągle jeszcze nie podjął ostatecznej decyzji i ograniczył się do wysyłania co jakiś czas zwiadu w postaci kilku kropel.

– Nie możesz tu zostać!

Musiał podnieść głos, by mogła go usłyszeć, sama jednak odpowiedziała tak cicho, że gdyby nie widział poruszających się ust, mógłby pomyśleć, że go zignorowała. Zamierzał ją poprosić, by powtórzyła, gdy naprzeciwno nich, po drugiej stronie polany, rozległ się przerażający trzask. To lecąca z nieba ognista strzała trafiła prosto w wierzchołek najwyższego świerka, zsunęła się po

pniu, pozostawiając po sobie poczerniałą, a miejscami żarzącą się ranę, aż w końcu uderzyła w ziemię.

Rajner poczuł, jak jakaś potworna siła próbuje wyrzucić go w powietrze. W ostatniej chwili uczeplił się młodego buka i przylgnął całym ciałem do miotanego we wszystkie strony pnia. Zajęty walką z szalejącą naturą nie miał czasu martwić się o dziewczynę i dopiero gdy po kilkunastu sekundach, które wydawały mu się wiecznością, napór ustąpił, mężczyzna mógł sprawdzić, czy nic jej się nie stało.

Wszystko wskazywało na to, że wyszła z tej przygody cało, jeśli nie liczyć rozdartej na lewym boku sukienki i dość głębokiego zadrapania, ciągnącego się od łokcia aż po nadgarstek. Z braku opatrunków Rajner obwiązał jej rękę bandażem zrobionym z rękawa koszuli, pomógł odszukać torebkę, którą impet odrzucił w krzaki, podniósł nieco sponiewieraną torbę i spytał z troską:

– Możesz iść?

Zrobiła na próbę kilka kroków.

– Wszystko w porządku. Ale nie chcę nigdzie...

– Nie bądź idiotką. Naprawdę myślisz, że piorun nigdy nie uderza dwa razy w to samo miejsce? A jodła, pod którą stoisz, też jest bardzo wysoka.

Nie oponowała dłużej i bez słowa ruszyła w stronę drogi. W milczeniu dotarli do zaparkowanego na poboczu samochodu. Rajner włożył kluczyk w stacyjkę i spojrzał pytająco, a gdy nie zareagowała, przełożył to na mowę.

– Dokąd cię zawieźć?

Wzruszyła ramionami.

– Dokąd chcesz.

Nienawidził takich odpowiedzi i gdyby nie burza i rana na ręce dziewczyny, zripostowałby, że w takim razie powinna wysiąść, bo on nie chce nigdzie jechać. Ale po tym, co wspólnie przeżyli na polanie, czuł się niejako zobowiązany ją chronić.

– Chyba nie planowałaś zostać w tym lesie na zawsze – zauważył, popatrując na nią kątem oka. – Gdzie miałaś zamiar pójść, gdy już znudzi ci się rola Jane? – Spojrzała pytająco, więc wyjaśnił: – Towarzyszka Tarzana.

– Chciałam iść na autobus. Ale teraz... – Popatrzyła z rozpaczą na obszarpaną, brudną sukienkę. – Teraz wszystko przepadło. Będę musiała pójść do domu, żeby się umyć i przebrać...

Oczy zaszklily jej się łzami, a w głosie zabrzmiało takie rozczarowanie, że Rajner naraz zrozumiał wszystko.

– Uciekłaś z domu – stwierdził z niezachwianą pewnością. – To dlatego siedziałaś w lesie. Chciałaś doczekać zmroku, żeby nikt nie widział, że wsiadasz do autobusu. – Nie zaprzeczyła, więc uznał, że jego przypuszczenia są słuszne. – Jesteś pewna, że ucieczka to dobry pomysł? – Jeszcze raz jej się przyjrzał. Wyglądała na co najwyżej szesnaście lat, a wcale nie miał pewności, czy nie jest młodsza. – Zastanów się, dzieciaku, życie na gigancie to żaden miód. Ile masz lat?

– Osiemnaście.

Tym razem nie zdołał ukryć zaskoczenia. Zaraz potem zauważył, że po jej twarzy przemknął cień

uśmiechu i doszedł do wniosku, że się pomylił. Wcale nie była taka niewinna i naiwna, jak wyglądała.

– Powiedz prawdę – zażądał gniewnie.

– Właściwie to tak jakby dziewiętnaście, bo urodziłam się w październiku.

Wyglądało na to, że mówi prawdę. Jej prawdziwy wiek właściwie nie miał dla niego żadnego znaczenia, przecież wcale jej nie znał. Ale za to diametralnie zmieniał sytuację. Była pełnoletnia, miała prawo dysponować swoim życiem. A skoro zdecydowała się na ucieczkę, oznaczało, że ktoś próbował ją tego prawa pozbawić.

– No dobrze, pomogę ci. Pojedziemy do mnie – powiedział, zaskakując nie tylko ją, lecz przede wszystkim siebie. – Będiesz mogła się umyć i przebrać, a potem zawiozę cię do centrum. Bo zakładam, że tam chciałaś jechać?

Zapuścił silnik, lecz nie ruszył od razu. Czekał na odpowiedź, dziewczyna jednak milczała i tylko rzucała mu spod rzęs podejrzliwe spojrzenia.

– Czemu chcesz mi pomóc? – spytała wreszcie.

Rajner w końcu stracił cierpliwość.

– Rany boskie! – rzucił nieco podniesionym głosem, co w jego przypadku równało się krzykowi. – Gdybym chciał cię zgwałcić lub zabić, to w lesie miałem do tego dużo lepszą okazję. Jedziesz ze mną czy nie, bo nie będę tu stał po wieczność.

Wszystko wskazywało na to, że ostre słowa pomogły, nagle bowiem uśmiechnęła się nieśmiało.

– Przepraszam. I dziękuję. Jedźmy.

Był pewien, że całkowicie pozbyła się obaw, a jednak w trakcie jazdy zachowywała się co najmniej dziwnie. Zauważył to już w momencie włączania się do ruchu. Wydawała się czymś zaskoczona, a jednak milczała aż do momentu, gdy tuż za mostem skręcił w lewo.

– Czemu tu jedziesz? Mogłeś nawrócić na pętli koło *Fojtuli*.

Poczuł rozbawienie, że wzięła go za niedzielnego kierowcę, któremu droga wraz z poboczami wydawała się za wąska, by mógł na niej zawrócić. Nic jednak nie odpowiedział, tylko jechał dalej, pod dom położony nad zaporą. Tam się zatrzymał i wysiadł, by otworzyć bramę. Zaparkował między dwoma drzewami, od kilku dni połączonymi grubą deską stanowiącą zaczątek wiaty, i popatrzył na pasażerkę.

– Koniec jazdy, jesteśmy na miejscu.

Wysiadła i poszła za nim, kurczowo przyciskając torebkę do piersi. Już miał zauważyć, że może się nie obawiać, bo on niespecjalnie lubi paradować z torebką na ramieniu, więc na pewno jej nie ukradnie, gdy przystanęła w progu, opierając się o futrynę.

– To twój dom? – Na jej twarzy malowało się niedowierzanie. – Jak się nazywasz?

Uprzytomnił sobie, że nie tylko on jej się nie przedstawił, ale ona także nie podała mu nawet swojego imienia.

– Rajner Milewski. A ty?

Zamiast odpowiedzieć, parsknęła śmiechem. Rzucił jej pytające spojrzenie, potem drugie, już

trochę poirytowane, zastanawiając się przy tym, co takiego wesołego jest w jego nazwisku. Chyba że rozbawiło ją imię.

– Bo to takie zaskakujące, uciec od rodziny i wpaść w ręce nieznanego krewniaka. Jesteśmy kuzynami.

Rajnera ogarnęła zimna wściekłość. Co za cholerne sępy z tych ludzi! Co ona sobie, do cholery, myśli? Że facet zobaczy ładną buzię i od razu zmięknie? Przyzna, że spadek był ogromny, i rzuci się spełniać ich życzenia?

Mieszkał w odziedziczonym domu zaledwie miesiąc, a to dziewczątko było już czwartą osobą, która oznajmiała o swoim bliskim z nim pokrewieństwie. Pewnie wzorem tamtych zaraz zacznie tę samą śpiewkę, jakie to on ma szczęście, że stara Milewska zapisała mu cały swój majątek, pominęła zaś tych, którzy bardziej na to zasługiwali, chociażby z racji tego, że całe życie biedowali. Ale on, ten ich nieznanany dotąd krewniak, chyba słyszał o Bożym przykazaniu, że z potrzebującymi należy się dzielić, i nie odmówi im wsparcia?

– Nie możesz być moją kuzynką. Moja matka nie miała rodzeństwa, była jedynaczką.

Dziewczyna ciężko wsparła się o futrynę, zwiesiła głowę na piersi i wymamrotała tak cicho, że ledwie dosłyszał:

– Twoja babka i mój dziadek byli rodzeństwem. Jesteśmy kuzynami w drugiej linii.

Takie wyjaśnienie w ogóle nie przyszło mu do głowy, ale też nigdy nie miał bliższej ani dalszej rodziny, więc określanie stopnia koligacji było mu

całkiem obce. To jednak nie zmieniało faktu, że nie miał najmniejszej ochoty na zadzierzganie więzów z ludźmi, bez których radził sobie świetnie przez trzydzieści lat.

– Od których Żaczków jesteś? – spytał bez większego zainteresowania.

Ruchem głowy wskazała za siebie, na wzgórze gęsto porośnięte domami, a zorientowawszy się najwyraźniej, że ów gest niewiele mu wyjaśni, z grymasem złości zwerbalizowała odpowiedź:

– Od Panoczka.

Usta Rajnera również wykrzywił grymas. Przez spędzony w nowym miejscu czas zdążono mu już donieść, że Żaczkowie nie są rodowitymi mieszkańcami Wisły Czarnej, toteż nie powinien oceniać innych wedle ich miary. Najpierw go to ubawiło, bo z tego, co zdążył usłyszeć, początek rodziny Żaczków dał tutaj jego pradziadek. Zatem cztery pokolenia to za mało, by nie być uważanym za obcego.

Później jednak, gdy opowiedziano mu więcej, zaczął rozumieć czernian odżegnujących się od współdzielenia czegokolwiek z potomkami „Wysranego Edy”, jak nazywano Edwarda Żaczka. Słowo „wysrany” w tym przypadku nie miało nic wspólnego z czynnością fizjologiczną, lecz oznaczało człowieka chciwego i skąpego. Żaczek pojawił się w Czarnem nie wiadomo skąd i do tego stopnia zawrócił w głowie miejscowej dziewczynie, że poślubiła go, nie bacząc na sprzeciw rodziców.

Nie minął nawet rok, a Edward zdążył się już skłócić z teściami, domagając się od nich wypłaty posagu, po ich śmierci zaś sądził się ze szwagrem

o spłatę. Z sąsiadami także nie żył w zgodzie, wyklócał się o każdy centymetr gruntu czy nawet zerwane przez dzieci owoce. To wtedy nadano mu owo wdzięczne przezwisko. Nikt też specjalnie po nim nie płakał, gdy pewnego dnia znaleziono go martwego, pływającego w Czarnej Wisłce.

Edward spłodził dwoje dzieci – syna Michała i córkę Helenę, babkę Rajnera. Milewski nie miał okazji się przekonać osobiście, jakim była człowiekiem, ale chyba nie najgorszym, skoro mieszkańcy Czarnej niewiele mieli o niej do powiedzenia. Co innego Michał. Nie dość, że w chciwości i kłótności dorównywał ojcu, to jeszcze wszystkie negatywne cechy charakteru przekazał swoim trzem synom. I to właśnie owi synowie co rusz nachodzili Rajnera, usiłując to prośbą, to groźbą namówić go do podzielenia się odziedziczonym majątkiem, w ich mniemaniu ogromnym.

Panoczek zaś, jak z racji zarozumiałstwa i arogancji nazywano najmłodszego z nich, Andrzeja, był najbardziej namolny. Rozpieszczany w dzieciństwie, przywykł dostawać wszystko, co sobie zamarzył, nic więc dziwnego, że przeżył szok, gdy po śmierci rodziców okazało się, że dla nikogo innego nie jest ósmym cudem świata i nikt nie da mu za darmo nie tylko gwiazdki z nieba, ale nawet łyżki strawy. Wzorem niesławnego dziada poszukał sobie bogatej żony, ale przeliczył się podobnie jak Edward, gdy snuł plany dorwania się do pieniędzy teściów. Musiał więc, chcąc nie chcąc, zabrać się do pracy zarobkowej, ale że jego wysiłki były współmierne do chęci, w domu bieda aż piszczała.

W braciach Panoczka cechy dziada nie były aż tak rozwinięte, jednak oni również łakomym okiem spoglądali na stary dom i działkę tuż nad zaporą. Jeszcze w latach sześćdziesiątych budynek otoczony był polem uprawnym, które ciotka Helena dostała od matki w posagu. Jej brat Michał, którego grunty leżały wyżej, śmiał się nieraz, że gdy Biała Wisetka wyleje, siostra będzie kopać ziemniaki pod wodą. Mina mu jednak zrzędła, gdy zapadła decyzja o budowie zapory, w związku z czym wykupiono od Heleny cały grunt, pozostawiając jedynie przydomowy ogród.

Właściwie dom także pierwotnie zamierzano zburzyć i wszyscy do dziś nie wiedzieli, dlaczego nastąpiła zmiana planów, o którą Helena usilnie zabiegała. Nikt nie dawał jej żadnych szans, a jednak los stanął po jej stronie. *Los albo zięć* – stwierdził Rajner, wspomniawszy pozycję Paszkiewicza.

To wtedy, ponad dziesięć lat temu, narodziła się plotka o niewyobrażalnej kwocie otrzymanej przez Milewską w ramach rekompensaty. Być może wyszła z ust samej Heleny, chcącej zagrać na nosie chciwemu, złośliwemu bratu, a potem rozrosła się, żyjąc własnym życiem. *Jeżeli tak było naprawdę, to dziękuję ci pięknie, babuniu!* – pomyślał Milewski, a kąciaki warg uniosły się lekko w ironicznym uśmiechu. *To tej cholernej plotce zawdzięczam odwiedzinę przemiłych krewnych.*

Musiał jednak przyznać, że dzisiejsza wizyta w niczym nie przypominała poprzednich. Młodziutka kuzynka przebywała na jego posesji już ponad pięć minut, a nadal nie wysunęła żadnych żądań. Poza tym to nie ona do niego przyszła. Sam

ją zaprosił, a wnioskując z jej zachowania, naprawdę nie miała pojęcia, kim on jest.

– W porządku – mruknął. – Niech będzie, że jesteśmy kuzynami, ale na moją pomoc nie licz. Nie mam zamiaru pomagać... Kurwa mać!

Ostatnie słowa nie były przesłaniem kierowanym do nowo poznanej kuzynki. Rajner doskoczył i złapał osuwającą się po futrynie dziewczynę, nim upadła na próg. Od razu się zorientował, że omdlenie nie jest udawane; w trakcie szkolenia przeszedł także kurs pierwszej pomocy, gdzie nauczono go rozpoznawać symulowanie utraty przytomności.

Wziął ją na ręce i wniósł do domu, gdzie ułożył na nowej sofie w reprezentacyjnym pokoju babki. Nadal tak myślał o tym pomieszczeniu, choć coraz bardziej upodobało się do gabinetu, jaki kiedyś, dawno temu sobie wymarzył. Przyniósł z łazienki zmoczony w zimnej wodzie ręcznik i delikatnie zwilżył twarz dziewczyny. Odetchnął z ulgą, gdy zobaczył drgające lekko powieki – znak, że ich właścicielka wraca do przytomności.

Naraz otworzyła oczy i wzdrygnęła się, ujrzawszy go nad sobą. Cofnął się szybko, by nie czuła się osaczona.

– Przepraszam – szepnęła. – Zaraz sobie pójdę.

– Nie tak szybko, kuzyneczko – warknął. – Jesteś mi winna wyjaśnienie.

Nawet nie zauważył, że właśnie połknął haczyk i że gdyby rzeczywiście zarzuciła wędkę, już wkrótce miałaby go w podbieraku.

– Przecież powiedziałaś, że mi nie pomożesz.

– Zmieniłem zdanie.

Nie przyszło mu do głowy zmienić również ton, bardziej pasujący do groźby rychłego morderstwa niż deklaracji pomocy, nic więc dziwnego, że dziewczyna spojrzała na niego z niedowierzaniem. Chciała wstać, lecz z powrotem opadła na sofę. Rajner zauważył krople potu, mimo raczej chłodnego dnia zraszające jej czoło, i pokręcił głową.

– Nie ruszaj się, bo znowu zemdlejesz. Jesteś chora?

– Muszę wstać. Mógłbyś mi pomóc dojść do łazienki? – Zerknęła na zaciętą w grymasie uporu twarz mężczyzny i ostrzegła z nieskrywanym rozbawieniem: – Inaczej zarzygam ci cały pokój.

Nareszcie zrozumiał, w czym rzecz, i od razu poczuł się pewniej. Bez słowa wziął ją na ręce i zaniósł do łazienki, gdzie miał okazję się przekonać, że ani trochę nie przesadziła. Zdążyli w ostatnim momencie. Potem mógł tylko przytrzymywać jej głowę i podawać zmoczony ręcznik, by w krótkich przerwach między niekończącymi się torsjami mogła przemyć spoconą twarz.

– Który to miesiąc? – spytał, gdy po, jak mu się zdawało, wieczności dziewczyna stwierdziła, że chyba nastąpił kres przewidzianych dla niej na ten dzień atrakcji.

– Czwarty. Piętnasty tydzień.

Nachyliła się nad umywalką, nabrała wody w usta i dokładnie je wypłukała.

– Pasta jest w szafce. Niestety nie mam zapasowej szczoteczki. Kawy pewnie nie tolerujesz, ale może zrobię herbaty? Powinnaś się nawodnić.

Wypluła wodę i obtarła wargi wierzchem dłoni.

– Kawa to jedyny napój, który mi wchodzi i nie próbuje zaraz ze mnie uciekać. Za to po herbacie rzygam prawie od razu. – Spojrzała na niego niepewnie. – Możesz teraz stąd wyjść? Chciałabym skorzystać z tej muszli jeszcze w inny sposób.

Rozdział 23

Trzej bracia i drwal

Lipiec 1986, Bielsko-Biała

Rajner zajął się robieniem kawy, potem przygotował kanapki. Po tak gwałtownych torsjach pewnie nie będzie chciała nic jeść, ale kto wie? Nigdy nie miał do czynienia z ciężarną i nie wiedział, czego może się spodziewać, poza tym sam również zgłodniał.

Po dziesięciu minutach poczuł niepokój. Ile może trwać korzystanie z toalety? Nadstawił uszu, lecz z łazienki nie dochodził żaden dźwięk. Odczekał jeszcze minutę, lecz nadal nic się nie wydarzyło i obawa przerodziła się w pewność, że stało się coś złego. Chciał zawołać, gdy uświadomił sobie, że nadal nie wie, jak nowo poznana krewna ma na imię.

– Ej, długo jeszcze?

Odpowiedziała mu cisza. Przerażony Rajner w kilku krokach znalazł się przed drzwiami. Na

wszelki wypadek zapukał, ale gdy i tym razem nie otrzymał żadnego odzewu, przestał zważać na jakiegokolwiek względy.

– W dupie mam całą prywatność – mruknął i nacisnął klamkę. – Najwyżej dostanę po ryju...

Ostatnie słowa wypowiedział już w środku i później nie mógł sobie przypomnieć, czy rzeczywiście padły, czy może zamarły mu na wargach. Faktem jest, że na widok półnagiej dziewczyny zwyczajnie zaniemówił, a nogi wrosły mu w ziemię. Dość długo trwało, nim zadziałała wypracowana przez lata treningu technika utrzymania samokontroli i mógł się odezwać bez obawy, że wściekłość weźmie górę nad rozsądkiem.

Była tak zajęta próbą osiągnięcia rozjątrzonej rany na plecach, że chyba nie zauważyła, że nie jest już sama. Rajner podszedł do niej i powiedział cicho, żeby nie wywołać ataku paniki:

– Daj mi tę gazę.

Pisnęła i odskoczyła, na jej twarzy odmalował się wyraz przerażenia.

– Przepraszam. Musiałam skorzystać z apteczki, bo... Odkupię ci to wszystko.

– Idiotka – podsumował ją zwięźle. – Daj tę gazę, mówię. Sama do końca świata nie nałożysz sobie opatrunku na plecy. Uważaj, zapieczę.

Równy ostrzeżeniem przemył ropyjącą ranę wodą utlenioną. Musiało zaboleć potwornie, lecz dziewczyna tylko z głośnym sykiem wciągnęła powietrze. Rajner delikatnie zebrał gazą pieniącą się wilgoć, wyjął z apteczki tubkę jugosłowiańskiej maści i nasmarował poranioną skórę. Oprócz tej

wielkiej, biegnącej w poprzek całych pleców, dziewczyna miała jeszcze kilka mniejszych ran, i choć te goiły się czysto, na wszelki wypadek również w nie wtarł warstwę maści. Dermazine właściwie stosowało się na oparzenia, ale skoro zgodnie z ulotką miała regenerować nawet pięćdziesiąt procent ubytków skóry, powinna zadziałać również na zranienia i zapobiec infekcji.

Po nałożeniu opatrunków dziewczyna sięgnęła po biustonosz i bluzkę, lecz Rajner pokręcił głową.

– Nie zakładaj tego. Zapięcie stanika będzie cię urażać, a bluzka jest z bistoru, nie przepuszcza powietrza. Chodź, dam ci coś innego.

– Naga mam iść? – zaprotestowała.

Oblała się przy tym rumieńcem zawstydy, co mężczyzna przyjął uniesieniem lewego kącika ust. Nie mogła wiedzieć, że w jego przypadku równa się to wybuchowi śmiechu.

– Co mogłem zobaczyć, już zobaczyłem – objaśnił i wskazał lustro, przed którym cały czas stała. Znowu pisnęła, więc dodał z lekkim zniecierpliwieniem: – Rany boskie, przestań wydziwiać, myślisz, że nigdy nie widziałem kobiecych piersi? O ile życie byłoby łatwiejsze, gdyby przed wiekami kilku księżulków nie wymyśliło, że nagość jest grzeszna.

– A listek figowy? To chyba było już w Biblii.

– Nie mam pojęcia, nie czytałem. Ale sama powiedziałaś, że listek. Czyli jeden, w dodatku niezbyt duży. Na pewno nie mógł zakryć naraz łona i piersi, a z tego wniosek, że te ostatnie wcale nie muszą być zasłanianie. Chodź wreszcie, bo się przeziębisz.

Zaprowadził ją do dziennego pokoju, gdzie w ogromnej trzydrzwiowej szafie nadal znajdowały się ubrania babki Milewskiej. Rajner nie miał pomysłu, co z nimi zrobić. Wyraźnie zniszczone wyrzucił od razu, lecz te wydawały się w ogóle nienoszone, w dodatku były w dobrym gatunku. Mężczyzna nie wyznawał się na damskiej modzie, wiedział jednak, że specjalnie nie odbiegają wyglądem od odzieży noszonej obecnie przez panie i żał mu było wyrzucać porządne rzeczy. Sąsiadów zaś poznał jeszcze za słabo, by podjąć próbę obdarowania ich ubraniami po babce. Mogliby się obrazić, a wolał zachować z nimi w miarę przyjazne stosunki.

– Chciałaś, żebym ci pomógł – zagaił, gdy przebrana w kretonową bluzkę dziewczyna usiadła przy stole i głodnymi oczami wpatrzyła się stos kanapek na talerzu. – Czy to ma związek z ciążą, czy z ranami na plecach? Jedz – dodał, ujrawszy, że cofnęła dłoń, najwyraźniej bezwiednie sięgającą do apetycznie wyglądających kromek.

Nie musiał jej powtarzać dwa razy. Rzuciła się na kanapki jak wygłodzony drwal. Usiłowała jednocześnie odpowiedzieć na pytania, lecz powstrzymał te zapędy krótkim poleceniem, by nie mieszała dwóch czynności. I tak nie zrozumiał ani słowa, a w każdej chwili mogła się zadławić. Cekał cierpliwie, co najwyraźniej ją zdumiało, bo gdy zaspokoila głód, zaczęła od zaspokojenia również ciekawości.

– Dziwny jesteś. W ogóle mnie nie poganiałeś. Ojciec i bracia już dawno by się wściekli, że muszą czekać na odpowiedź.

– Co oznacza, że powinni popracować nad samokontrolą – odpowiedział, niczego w zasadzie nie wyjaśniając. – To jak w końcu jest? W czym potrzebujesz pomocy?

– To się ze sobą wiąże – wyznała po dość długim milczeniu. – Mój chłopak jest w wojsku, zostało mu jeszcze półtora roku. Wie o dziecku i chciał się ze mną ożenić, ale...

– W takiej sytuacji na pewno dostanie przepustkę – przerwał jej Rajner. – Nie wiem, czy będzie musiał wystąpić o zgodę na ślub, ale nawet gdyby, to będzie tylko formalność, więc na razie nie widzę problemu.

– Bo nie pozwoliłeś mi dokończyć. A sprawa wygląda tak, że tata nawet słyszeć nie chce o takim zięciu. Kiedy się okazało, że jestem w ciąży, powiedział rodzicom Tomka, że ojcem dziecka jest ktoś inny.

Milewski popatrzył na nią jak na kogoś niespełna rozumu.

– Nie możesz napisać do tego swojego Tomka i mu wyjaśnić, w czym rzecz?

– Nie traktuj mnie jak idiotki! Odesłał mi moje listy, wszystkie nieotwarte. A jego rodzice nie chcą ze mną rozmawiać.

– I ja mam ich do tego zmusić? A może mam przywlec tego chłopaka przed ołtarz?

Odwzajemniła się podobnym spojrzeniem i pojął, że niezbyt lotny żart został wzięty na poważnie.

– Nie chcę męża z łapanki. Będzie musiał sam do mnie przyjść i przeprosić. Ale do tego czasu

chciałabym żyć bez lęku, że ojciec znowu złapie za bicz.

– To ojciec cię tak pobił? – zapytał, chcąc mieć pewność, że dobrze zrozumiał. Musiał ją mieć, by nie żądać zapłaty od niewinnego.

Ona chyba odebrała to inaczej, jako wątplenie w prawdziwość jej słów, bo wykrzywiła twarz w grymasie wściekłości.

– Tak, pobił mnie własny ojciec – wyskandowała, dokładnie wymawiając każde słowo. – Powiedział, że to kara za grzech nieczystości. A wiesz, co jeszcze powiedział? Że nie wolno mi usunąć ciąży, bo skrobanka też jest grzechem. Ale może jak mnie porządnie zbije, to poronię. Bo on chce mnie wydać za takiego jednego, tylko że ten facet nie zgadza się chować cudzego dzieciaka. – Urwała, zagryzła wargi, po czym podjęła: – To był już trzeci raz. – Sięgnęła ręką w tył, wskazując własne plecy, jakby w obawie, że mężczyzna mógł nie zrozumieć. – Ale ono uparcie trzyma się życia, a ja chyba więcej tego nie wytrzymam.

Zamilkła i zakryła twarz rękami. Milczał także. Widział spływające po bladych policzkach łzy, które starała się przed nim ukryć, i nie mówił nic. Nie mógł. Musiał się najpierw uspokoić, inaczej skończyłoby się tym, że pobiłby Panoczka do nieprzytomności i później wylądował w celi, a nie o taką pomoc chyba jej chodziło.

– Jak w takim razie mogę ci pomóc? – spytał po kilku minutach kompletnej ciszy. – Czego ode mnie oczekujesz?

Odjęła dłonie od twarzy.

– Nie musisz...

– Wiem, że nie muszę – przerwał jej ze zniecierpliwieniem. – Ale chcę. Więc?

– Ludzie gadają, że przedtem mieszkałeś w Bielsku i że byłeś tam kimś ważnym...

Przerwał jej wybuchem śmiechu, tak dla niego obcym, że sam się nim zdziwił.

– Gadają też, że babka zostawiła mi ogromny majątek. Jak myślisz, ile w tym jest prawdy?

– Nie wiem i nie chcę wiedzieć. Nie proszę cię o pieniądze, umiem sama na siebie zarobić. Jestem fryzjerką, podobno bardzo dobrą. Chodzi mi tylko o to, żebyś mi pomógł znaleźć mieszkanie i pracę. Nie znam Bielska i nie wiem, gdzie się obrócić, a ty pewnie znasz kupę ludzi. Nie chcę twoich pieniędzy, mogę sama się utrzymać, tylko...

Nie zauważyła, że zaczęła się powtarzać, tak bardzo chciała go przekonać. Usiłował powstrzymać tę lawinę słów, lecz gdy nie zareagowała ani na gesty, ani na próbę wtrącenia, zostało mu tylko jedno wyjście.

– Cisza! – ryknął tak, że słyszać go było chyba na przystanku autobusowym. – Zamknij się wreszcie i daj pomyśleć.

Urwała w pół słowa, przerażona wybuchem. Potem dotarł do niej sens słów Milewskiego i widniejący w jej oczach strach zaczął ustępować nadziei. Mężczyzna zapalił papierosa, po czym zerknął na lekko wypukły brzuch swojego niespodziewanego gościa i stanął przy otwartym oknie, by wydmuchiwać dym na zewnątrz.

– To się da załatwić – powiedział wreszcie. Zgasił papierosa i wrzucił niedopałek do pieca. – Tylko że

nie od razu, a ty raczej nie powinnaś wracać do domu.

Przedtem tego nie zauważył, dopiero teraz odkrył, że za łagodną powierzchownością kryje się dusza wojowniczkii. Oczy dziewczyny rozbłysły, usta zacisnęły się w grymasie zdecydowania.

– Wytrzymam. Teraz, kiedy wiem, że mam szansę na inne życie, wytrzymam wszystko.

– Nie musisz. – Rajnerowi właśnie wpadł do głowy świetny pomysł. – Czy ty gdzieś pracujesz?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

– Pracowałam w Ustroniu, ale tata kazał mi się zwolnić ze względu na dojazdy. Miał mi załatwić pracę w Wiśle, ale skończyło się na obietnicach.

– To dobrze – powiedział ku jej zdumieniu. – Plan jest taki: pójdziemy teraz do twojego domu i zabierzesz resztę swoich rzeczy. Przeprowadzisz się do mnie.

– Ale jak to? Oni mi nie pozwolą. I nie mogę tak sobie tu mieszkać, nie mam pieniędzy...

Przerwał jej protesty machnięciem ręki i wskazał kuchenne okno aż błagające o porządne umycie.

– Odpracujesz swój pobyt, pomagając mi posprzątać ten bałagan. Nie pozwolą ci odejść? – Tym razem naprawdę się uśmiechnął, a ona pomyślała, że wołałaby tego uśmiechu nie widzieć.

– Niech spróbują. Należy mi się chyba jakaś rozrywka. Ale zanim tam pójdziemy, chciałbym wiedzieć, jak ty właściwie masz na imię.

– Dorota.

Przyszli po nią tydzień później. Chociaż słowa „po nią” były właściwie eufemizmem, gdyż ich głównym celem było wytłumaczenie nowemu krewniakowi za pomocą pięści, że nie powinien być wtrącać się w ich sprawy.

Musieli przejść przez płot, gdyż furтка była zamknięta na klucz, a jednak naraz stanęli w progu kuchni.

Na widok ojca Dorota pobladła straszliwie, lecz Rajner uspokajającym gestem musnął jej ramię.

– Spokojnie – mruknął. – Nie powinnaś się denerwować. Przecież to twój tata i wujkowie, na pewno przyszli sprawdzić, czy u ciebie wszystko w porządku. Nie wiem tylko, kim jest czwarty gość. To też jakiś nasz krewny?

Intruzi nie wydawali się skłonni do pogawędek. Spięte, gotowe do ataku sylwetki i wściekłe błyski w oczach mówiły same za siebie.

– To Tadek Gruca, robi razem z tatą w lesie przy wyrębie – odpowiedziała dziewczyna drżącym głosem. – Tata chce mnie za niego wydać.

Gruca, wysokie, zwaliste chłopisko o ponurej, nieogolonej twarzy, był starszy od Doroty o blisko dwadzieścia lat i wiekowo bardziej zbliżał się do mężczyzn niż do niej. Rajner zmierzył go wzrokiem od stóp do głów i uniósł prawy kącik ust w zapowiedzi zwodniczo przyjaznego uśmiechu.

– Facet, który nie chce wychowywać cudzego dzieciaka, ale nie ma nic przeciwko wzięciu siłą do

łóżka cudzej dziewczyny? Widać ma jednak trochę rozumu i wie, że żadna dobrowolnie z nim nie pójdzie.

Sprowokowany wielkolud zacisnął w pięści wielkie jak łopaty dłonie i ponaglił przewodzącego inwazji Panoczka:

– Jendrys, biermy się za niego, bo już mi nogi do rzici wlazują łód tego stanio.

Andrzej Żaczek skinął głową i zwrócił się do dziewczyny:

– Dorka, do chałpy. Mosh tam czekać i nikaj nie łazić.

Ani drgnęła, więc teraz odezwał się średni z braci, Jan Żaczek.

– Ogłuchła żeś? Nie słyszałaś, co ci foter kazował?

Milewski miał już dość wysłuchiwanie ich wrzasków. Jeśli na co dzień też się tak zachowywali, samo to wystarczało, by usprawiedliwić ucieczkę Doroty.

– A jak nie pójdzie, to co? Panoczek znowu jej przywali biczem po plecach? Bohater jebany! – Splunął im pod nogi. – Wypierdalać stąd. Wszyscy.

– A jak nie, to co? – spytał kpiąco najmłodszy z Żaczków, Józef.

– Będę musiał was wynieść.

Rajner wiedział doskonale, że swoimi słowami sprowokuje ich od do ataku, i właśnie o to mu chodziło. Musiał dać upust furii dławiącej go od chwili, gdy zobaczył na plecach kuzynki ślady po smagnięciach biczem. Ucieszył się, że skłóceni od lat bracia sprzymierzyli się przeciwko niemu,

a fakt, że wzięli ze sobą tego wielkoluda, uradował go jeszcze bardziej. Walka jeden na jednego nie dałaby mu żadnej satysfakcji.

– To sie jeszcze uwidzi!

– Dorota, lepiej wejdź do spiżarni – polecił łagodnie Milewski. – Nie chcę, żebyś przypadkiem oberwała, a ci czterej wyglądają na takich, co mają w dupie, że skrzywdzili słabszego od siebie.

– Dość tego pierdolenia – warknął Panoczek. – Biermy się za niego. Jano! Jozef!

Musieli wcześniej ustalić jakąś strategię, bo na jego wezwanie średni z braci zaczął się przesuwac w bok, by zaatakować Milewskiego z lewej, podczas gdy najmłodszy ruszył w przeciwną stronę. Sam Andrzej został na miejscu, a o krok za nim stał Gruca, zacierający z głośnym chrzęstem ręce.

Jedyną reakcją Rajnera było uniesienie lewej brwi. Podobało mu się to, co widział. Nie wierzył, by napastników stać było na idealną synchronizację, będzie mógł zatem eliminować ich po kolei. Nie żeby miało to wpłynąć na wynik walki, ale gdyby opadli go wszyscy naraz, z pewnością nie obyłoby się bez drobnych obrażeń, a nie miał ochoty prezentować światu posiniaczonej gęby.

Gdy zachodzący go z obu flanek znaleźli się już bardzo blisko, spojrział ponad głową Panoczka i dał ręką ledwo zauważalny znak, a na wypadek gdyby jednak go nie dojrzel, leciutko kiwnął głową. Dali się nabrać ten żałośnie prosty fortel, co świadczyło, że trafnie ocenił ich bojową wartość. Jak na komendę zwrócili głowy w stronę drzwi, a Milewski natychmiast to wykorzystał.

Na pierwszy ogień poszedł Józef. Był z nich najmłodszy i sprawiał wrażenie dość inteligentnego, co stawiało go w pozycji przeciwnika mogącego sprawić najwięcej kłopotów. Rajner nie czekał na atak. Ustawił się bokiem i wymierzył potężne uderzenie w szczękę. Zadany od dołu cios poderwał Józefa i miotnął nim na piec. Mężczyzna zawył z bólu, gdy dotknął odsłoniętymi dłońmi rozżarzonej blachy, odskoczył i wpadł na stół. Zawisł na nim na ułamek sekundy, po czym zsunął się na podłogę, pociągając za sobą obrus i stojące na nim szklanki. Nawet nie drgnął, gdy obsypały go odłamki szkła. Był wyłączony.

Na widok klęski brata dwaj Żaczkowie niemal równocześnie wydali z siebie pełen wściekłości ryk i razem ruszyli na Rajnera, zapominając o jakiegokolwiek taktyce. Widać było, że jedyne, czego pragnęli, to jak najszybciej dostać go w swoje ręce, tylko że Milewski nie zamierzał biernie czekać. Zaskoczył ich, markując atak na Jana. Średni z Żaczków automatycznie uniósł ręce, lecz garda nie była mu potrzebna, gdyż Rajner minął go płynnym zwodem i władował łokieć w splot słoneczny Panoczka, również pewnego, że to właśnie Jana Milewski wziął na cel i niespodziewającego się bezpośredniego starcia. Najstarszy z braci przez kilka minut usiłował złapać powietrze szeroko rozwartymi ustami, po czym nagle zwałił się na ziemię, jakby ktoś odłączył mu zasilanie.

Rajner spodziewał się, że teraz do akcji wkroczy Gruca, lecz olbrzym nie podjął walki. Cofnął się o krok, a wtedy milicjant zrozumiał, że pomylił się w ocenie sytuacji. Odskoczył w bok, dzięki czemu wymierzona w nerkę pięść tylko go musnęła, ale

i tak zabołało. Wypuścił z cichym sykiem powietrze i przeszedł do kontrataku, wymierzając Janowi kilka ciosów to z lewej, to z prawej. Uważał przy tym, by nie włożyć w nie zbyt dużej siły. Jego celem było obezwładnienie przeciwnika, nie zaś połamanie mu kości. Nie chciał, by do innych kłopotów doszła jeszcze sprawa o uszkodzenie ciała w bójce, bo wtedy już na zawsze mógłby pożegnać się z pracą w milicji.

Średni z Żaczków prawdopodobnie zrozumiał, że z tym przeciwnikiem nie ma żadnych szans, bo po kolejnym, wyjątkowo zresztą słabym uderzeniu, nagle upadł i zwinął się w kłębek, symulując utratę przytomności. Rajner mu na to pozwolił. Niech leży, skoro tak mu wygodnie. Wolno odwrócił się w stronę Tadeusza, ale Gruca i tym razem nie wykazywał ochoty do walki. Zrobił dwa kroki w tył i uniósł w górę dłonie w odwiecznym geście oznaczającym kapitulację, potem wymamrotał:

– Nie chcę się bić. Jo żech jeny chcioł sie podziwać, czy Dorocie ni ma tu jako krziwda. To ja już pójdę – mówił mieszaniną wiślańskiej gwary i czystej polszczyzny. – Mam robotę. Muszę jeszcze ściąć smreka, a pote starzikom drzewa narąbać, bo drzewnia je ganc pusto.

Po tych słowach wykonał coś na kształt ukłonu i zniknął za drzwiami, a Rajner przez chwilę spoglądał za nim, po czym przeniósł wzrok na leżących pokotem krewnych. Trącił Jana czubkiem buta.

– Wstawaj i zabieraj się stąd. Nie zapomnij zabrać braci.

Mężczyzna jęknął cicho i zamrugął, udając, że wraca do przytomności. Spojrzał z lękiem na Milewskiego, a gdy ten nawet nie drgnął, wstał i zaczął poklepywać najmłodszego brata po twarzy. Józef musiał się ocknąć już wcześniej, bo naraz ze złością odtrącił jego rękę, zerwał się na nogi i podbiegł do Panoczka.

– Jendrys! – Potrząsnął nim raz i drugi. – Jendrys, łopamientej sie!

Andrzej otworzył oczy.

– Weź sie opierdol, głupi ciulu. Nic mi ni ma.

Dźwignął się przy pomocy braci i chwiejnie ruszył ku drzwiom. W progu przystanął.

– Ty hrómski skurwisynu, to jeszcze nie kóniec!

– Zawsze do usług – opowiedział Rajner. – Tylko na drugi raz weź jeszcze ze sobą synów i paru sąsiadów, żeby wyrównać szanse.

Po ich wyjściu otworzył drzwi do spiżarni i przytulił przerażoną kuzynkę.

– Nie becz. Już po wszystkim. Oni tu nie wrócą. A jeśli nawet, to ciebie już tu nie będzie. Pomożesz mi posprzątać ten syf?

Odpowiedziała drżącym uśmiechem i wskazała na jego poobijane knykcie.

– Może najpierw opatrzę ci ręce? Mam już wprawę.

Jakiś czas później, gdy znów został w domu sam, zniechęcony kolejną nieudaną próbą przyrządzenia sobie posiłku, postanowił wybrać się na obiad do lokalnej gospody. Wiedział, że „Fojtula” nie ma najlepszej opinii, ale kilka razy widział tam pożywiających się turystów, założył więc, że nie może być tak źle.

Najpierw stanął przy barze i zamówił piwo. Oczekując, aż stojąca za ladą kobieta napełni kufel, z przyzwyczajenia obrócił się przodem do sali i zlustrował siedzących przy stolikach. Nagle zauważył znajomą twarz. Tadeusz Gruca wstał i skłonił mu się grzecznie, a gdy Rajner odwzajemnił powitanie, gestem zaprosił go do stolika. Milewski zabrał swoje piwo i ruszył w tamtą stronę, po drodze przystanął jednak na chwilę, by powiedzieć do mijającej go kelnerki kilka słów.

Gruca osobiście podstawiał mu krzesło i przedstawił przybysza kolegom, nie szczędząc przy tym słów pochwały dla jego umiejętności w dziedzinie walki.

– Nie białech się nim, ale to żodno gańba. Nie dołbych mu rady – zakończył i uniósł w toaście opróżniony do połowy kufel.

– Nie dałbyś – przyznał Rajner. – I masz rację, to żaden wstyd. Ja byłem szkolony do walki, a ty nie.

Zaczepiona wcześniej kelnerka postawiła na stoliku pół litra żytniej i cztery kieliszki, co spotkało się z wielkim entuzjazmem, a Rajner po raz drugi urósł w ich oczach do rangi bohatera. Nie był już obcy, lecz swój. I pewnie dlatego, gdy powiedział, że właściwie przyszedł tu na obiad, trzy

głowy energicznym kręceniem dały mu poznać, co ich właściciele sądzą o tym pomysle.

– Lepiej tu nie jeść. – Tadeusz jako jedyny zwerbalizował ostrzeżenie. – Chyba że ktoś lubi mieć sraczkę.

Rozdział 24

Najważniejszy jest człowiek

Sierpień 1986, Bielsko-Biała

W biurze „Instal-Budu” życie toczyło się bez większych wstrząsów, ale i bez fajerwerków. Urszula Zaleska co prawda po długim przebywaniu na zwolnieniu chorobowym wróciła w końcu do pracy, ale nie była już tą samą dziewczyną co przedtem. Stała się cicha i jakby nieobecna, i Inga nieraz myślała o tym, że wolałaby już jej złośliwe uwagi i komentarze wygłaszane tam, gdzie nikt ich sobie nie życzył, od tego nienaturalnego milczenia.

Sama pławiła się w szczęściu, lecz starała się z tym nie obnosić, nie chcąc zapeszyć. Jej związek z Norbertem był jeszcze zbyt kruchy, by mogła mieć pewność, że jego uczucie jest równie trwałe i niezmiennie, starała się więc nawet w wyobraźni nie budować zamków na lodzie, by później nie musieć patrzeć, jak rozpadają się w pył.

Postanowiła żyć chwilą i nie wybiegać myślami w przyszłość.

Przychodziło jej to stosunkowo łatwo, bo prawie cały czas absorbowały ją inne sprawy. Wkrótce miała przystąpić do obrony pracy magisterskiej, czego obawiała się coraz bardziej, gdyż od czerwca nie poświęcała nauce zbyt wiele czasu. Dzieliła go pomiędzy randki z Norbertem a wyjazdy do Komorowic, gdzie obserwowała, czy małej Apolonii nie dzieje się krzywda.

Nie mogła pogodzić się z tym, że bratanica Swifta wychowuje się w takich warunkach, i za każdym razem, gdy widziała babkę dziewczynki, miała ochotę solidnie potrząsnąć pijaczką wyładowującą swoją frustrację na niewinnym dziecku. Co prawda była pewna, że mężczyzna znajdzie sposób, by wyrwać małą z tego patologicznego środowiska, ale, na Boga, mógłby się trochę pospieszyć! Tak samo jak chorąży Adamaszek mógłby wreszcie dopaść tego, kto zaczajał się na Inge, żądając czegoś, o czym nie miała najbledszego pojęcia.

Mimo tych komplikacji czuła się szczęśliwa, gorzej natomiast było z Jolą, a myśl o koleżance żyjącej w ciągłym stresie, w każdej chwili spodziewającej się ataku ze strony byłego męża spędzała jej sen z powiek. Opowiedziała wszystko Norbertowi w nadziei, że mężczyzna znajdzie jakieś wyjście z impasu.

– Czasem się zastanawiam, czy Tarnawa jest zdrowy psychicznie – rozmyślała głośno. – Miłość miłością, ale takie nękanie chyba nie jest normalne?

– Nie sędzę, by w tym przypadku chodziło o miłość – stwierdził Norbert, wysłuchawszy uważnie całej historii. – O miłości z jego strony raczej nie może być mowy, to prędzej chęć posiadania drugiego człowieka na własność. Dodaj do tego urażoną dumę i gniew, że oto zniknął ktoś, na kim zawsze można było bezkarnie wyładować frustrację i pokazać, kto tu rządzi. Dopóki miał nad nią władzę i widział jej strach, czuł się mocny, niezwyciężony. A teraz tego zabrakło...

Urwał, zamyślił się. Inga obserwowała go i widziała nagłe zmarszczenie brwi, zaciśnięcie szczęk i nieobecny wzrok, błędzący po sali, lecz chyba niczego niewidzący.

– Coś się stało?

Dopiero po dłuższej chwili wrócił do niej spojrzeniem.

– Myślałem o tej sytuacji – wyjaśnił. – Jeśli on przez tak długi czas nie zapomniał i dalej ją nęka, może być niebezpieczny...

– Powiedz coś nowego – prychnęła.

– Daj mi dokończyć – poprosił. – Mam na myśli to, że jeśli się nie mylę, on jest tak nabuzowany wściekłością, że jeśli dopadnie tę twoją koleżankę, nie zadowolili się pobiciem. On ją zabije, bo nie będzie umiał przestać.

Inga przypomniała sobie skierowane do Joli słowa dzielnicowego, do którego koleżanka czasem dzwoniła. Od chwili, gdy opuściła mieszkanie rodziców, nie próbowała już nawet zgłaszać nękania na milicję, gdyż miała pewność, że nie nastąpi żadna interwencja. Dzielnicowy powiedział jej to wprost, tłumacząc, że ma związane ręce. Jedyne, co

mógł zrobić, to doradzić jej wyprowadzkę. „Niech pani stąd wyjedzie. To jedyne wyjście, bo on nie przestanie. Teraz dodatkowo ma oparcie w pani rodzicach, a my też mamy zakaz reagowania, bo jego wujek osobiście interweniował u komendanta”.

Piątkowska przytoczyła teraz jego wypowiedź, zamierzając okraszyć ją stosownym komentarzem.

– Milicja...

– Milicja głównie może – wszedł jej w słowo. – Nawet gdyby dali jej ochronę, to zaledwie na kilka dni, a on by odczekał i zaatakował, kiedy tylko zostaliby odwołani. Pokazał już, że cierpliwości mu nie brakuje. Ten dzielnicowy dobrze radzi. Twoja koleżanka powinna wyjechać.

– Łatwo powiedzieć – prychnęła Inga. – Przecież nie zwolni się z pracy, bo z czego będzie żyła? Wyjechałaby już dawno, ale jej rodzice też nie mieli pieniędzy, żeby ją wspomóc, a teraz dodatkowo coś im się poprzestawiało w głowach i trzymają jego stronę przeciwko własnej córce. Bo to ponoć nie po bożemu, żeby żona porzucała męża. A mieszkanie? Pomyślałeś o tym? Przecież nie będzie spać pod mostem.

Po minie Norberta poznała, że w ogóle nie wziął pod uwagę tego aspektu sprawy. Zresztą trudno mu się dziwić. Nie znał Joli, o wszystkim dowiedział się dopiero przed chwilą. Ale pomysł z wyjazdem jawił się Indze jako jedyne możliwe rozwiązanie problemów koleżanki i przyrzekła sobie, że zajmie się tym zaraz po obronie.

Norbert chyba pomyślał o tym samym, gdyż ścisnął delikatnie jej dłoń.

– Zastanowię się, jak jej pomóc, a ty obroń pracę. Na tym powinnaś się teraz skupić. Koleżanką ja się zajmę.

Inga wzięła sobie jego słowa do serca i przysiadła fałdów, dzięki czemu obroniła pracę z całkiem niezłym wynikiem, choć nie tak dobrym jak pracę dyplomową. Wzruszyła się, gdy główny księgowy i jego zastępczyni złożyli jej uroczyste gratulacje w obecności całego zespołu. O ile pochwały ze strony Stanisława Juraszka nie były dla niej żadnym zaskoczeniem, o tyle jej stosunki z Teresą Haratyk przypominały coś na kształt zawieszenia broni, dlatego dziewczyna nigdy nie wiedziała, jakiej reakcji powinna się spodziewać po tej zgorzkniałej, schorowanej kobiecie.

Tym razem jednak szefowa mile ją zaskoczyła, w dodatku w dwójnasób. Najpierw oficjalnie uznała Ingę za najlepszą księgową, z jaką przyszło jej kiedykolwiek pracować, później zaś, gdy wszyscy zaczęli się rozchodzić, poprosiła ją do gabinetu. Piątkowska szła jak na ścięcie, pewna, że nie spotka jej tam nic dobrego.

– Niech pani siada – usłyszała, gdy tylko przekroczyła próg.

To było znaczące odstępstwo od normy; na ogół wizyty w tym pokoju odbywały się na stojąco i ta nagła zmiana bardziej zaniepokoiła dziewczynę, aniżeli uradowała. Usiadła jednak, starając się ukryć podenerwowanie.

– Doszły mnie słuchy, że ma pani narzeczonego, podobno esbeka. Czy to prawda?

Tego było już za wiele. Inga tak gwałtownie poderwała się z krzesła, że je wywróciła, lecz nie

zwróciła na to uwagi.

– Moje życie prywatne nie powinno nikogo interesować. Jeśli to wszystko...

– Siadaj, dziewczyno. Nie pytam przez ciekawość.

– Starsza kobieta uśmiechnęła się smutno. – Chcę tylko ci powiedzieć, że jeżeli to dobry człowiek, nie daj sobie wmówić, że powinnaś z nim zerwać.

– Skąd pani...?

– Mam wprawdzie chore serce, ale oczy i uszy ciągle jeszcze mi służą. Wiem, co mówią twoi koledzy z „Solidarności”. Nie pozwól, żeby odebrali ci szczęście, bo ich uznanie nie zastąpi uścisku kochającego mężczyzny.

Dla Ingi słowa szefowej, uważanej dotychczas za coś w rodzaju robota, były prawdziwym szokiem. Chciała odpowiedzieć, lecz nie umiała zebrać myśli. Ale Haratyk jeszcze nie skończyła.

– Nie popełnij tego samego błędu co ja. Mnie też mówiono, że mężczyzna, którego pokochałam, nie jest tego wart. Że pociągnie mnie za sobą na dno, bo jeśli się z nim zwiążę, żaden uczciwy człowiek nie poda mi ręki. Nie dostanę spodziewanego awansu, a przecież tak mi na nim zależy.

Kobieta przymknęła oczy, spod powiek spłynęło kilka łez. Inga wstała, podeszła bliżej i chwyciła chudą, lodowatą dłoń.

– Pani Tereso, tak mi przykro – szepnęła, zapominając o kategorycznym zakazie spoufalania się poprzez używanie tej familiarnej formy. – Serdecznie współczuję...

Szefowa skinęła lekko głową i otworzyła oczy, jednak jej dłoń pozostała w uścisku Piątkowskiej.

– Odchodzę na emeryturę – oświadczyła, nie spuszczać wzroku z dziewczyny. – Zarekomendowałam cię na moje miejsce, dlatego mówię ci to wszystko. Nie po to, żebyś się nade mną użalała, ale żeby cię ostrzec. Żadne stanowisko nie jest warte, by dla niego zrezygnować z miłości. Ono cię nie pocieszy, kiedy będzie ci źle na świecie, nie rozśmieszy, by rozpuścić twój smutek, i nie zaopiekuje się tobą w chorobie. Wtedy o tym nie wiedziałam, a potem było za późno. – Puściła dłoń Ingi i wstała. – Idź już. Odchodzę od nowego roku, a ty musisz się jeszcze dużo nauczyć.

Kilka dni po tej rozmowie milicja zatrzymała prześladowcę Ingi i dziewczyna mogła wreszcie poruszać się ulicami bez lęku, że znów zostanie napadnięta.

Inaczej było w przypadku Zaleskiej. Rozwiązanie jej problemu nie leżało w gestii milicji, a koleżanki nie wiedziały, jak mogłyby pomóc, trudno bowiem ratować kogoś, kto ten ratunek odrzuca.

Kochanek Urszuli zerwał z nią wkrótce po jej samobójczej próbie, co stanowiło ostateczny dowód, że nigdy nie pragnął przekształcić tego związku w coś więcej. Przekonawszy się, że była dla niego jedynie odskocznią od domowych problemów, Zaleska rzuciła się w wir życia towarzyskiego, za wszelką cenę chcąc jak najszybciej znaleźć nowego partnera. Żaden nie wytrwał przy niej dłużej niż miesiąc.

– Który to teraz? Ósmy czy dziewiąty? – spytała któregoś dnia Jolanta.

Owinięte w koce siedziały na tapczanie w pokoju Ingi i popijały grzane piwo. Końcówka sierpnia była

tego roku deszczowa i wyjątkowo chłodna.

Piątkowska zamyśliła się, usiłując szybko policzyć.

– Wyszło mi, że dziesiąty – odparła po chwili. – Jola, zauważyłaś, że Uśka ostatnio dzień w dzień przychodzi do pracy wczorajsza, a potem, zamiast trzeźwieć, jest coraz bardziej nawalona?

Jolanta przytaknęła ruchem głowy, po czym z ponurą miną wyznała:

– Nawet przeszukałam jej biurko. I gówno, nic tam nie było. Nie mam pojęcia, skąd bierze gorzałę, ale jestem pewna, że musi się czymś doprawiać. Skończy się tak, że dadzą jej dyscyplinarkę.

– Żal mi jej. W zeszłym tygodniu rozmawiałam z nią na hali maszyn. Mówiłam, że musi się wziąć za siebie, bo wszyscy już wiedzą, że pije. Chciałam jej pomóc, a ona kazała mi się odpierdolić i zająć swoimi sprawami.

– Ja też próbowałam z nią pogadać, ale równie dobrze mogłabym gadać do ascoty. – Jolanta ze złością rzuciła zapalniczkę na nocny stolik i sięgnęła po szklankę z piwem. – Uśka po prostu nie chce słuchać. Radzę ci, Inga, daj sobie z tym spokój, a ona niech robi, co chce. Masz teraz faceta, jesteś szczęśliwa. Szkoda twoich nerwów na idiotkę, która zawsze wszystko wie lepiej i na pewno dobrze. Ja też odpuściłam. Ani myślę się denerwować, mam dość swoich problemów.

Miała je rzeczywiście, ponieważ były mąż nie tylko się nie zniechęcił, lecz jeszcze zwiększył swoje wysiłki. Przekazywane przez portierkę hotelu robotniczego kwiaty czy bombonierki wkrótce stały się codziennością, co wywołało taki skutek, że

niemal wszyscy zapomnieli o jego wcześniejszym zachowaniu i zaczęli go uważać za wzór zakochanego mężczyzny.

– Teraz ma ich po swojej stronie, a ja wychodzę na tę złą – żaliła się Indze.

Piątkowska pozostała w mniejszości niedającej się wziąć na lep gładkich słówek i fałszywych uśmiechów Tarnawy i trwała przy niej niewzruszenie, a gdy pewnego dnia Zdzisław zaczepił ją i poprosił o wstawiennictwo, powiedziała mu dobitnie, co myśli o nim i jemu podobnych mężczyznach.

– Widziałam, co jej zrobiłeś, i to ja ją namówiłam na zrobienie obdukcji i zgłoszenie pobicia na milicji. Dla mnie jesteś zwykłym gnojem.

Oczy Tarnawy rozbłysły nienawiścią. Uniósł rękę, jakby miał zamiar ją uderzyć, lecz prawdopodobnie przeląkł się konsekwencji ataku na bezbronną dziewczynę tuż przed oknami hotelu, skąd mogły go zobaczyć czyjeś ciekawskie oczy. Opuścił pięść, zadowolając się słowną agresją.

– Ty pierdolona dziwko! Jeszcze cię dopadnę, a wtedy pożałujesz wtrącania się w nie swoje sprawy!

Przez moment miała wrażenie, że cofnęła się w czasie, a Tarnawa w jej oczach nagle zmienił się w napastnika z metalową rurką w dłoni. Z trudem powstrzymała odruch osłonięcia głowy rękami i zmusiła się do pozostania na miejscu, nie chcąc dać po sobie poznać, jak bardzo ją wystraszył.

– Nie radzę, chyba że chcesz mieć na karku całą esbecję – zablefowała.

Fortel się udał. Na twarzy Zdzisława pojawiła się konsternacja, lecz mężczyzna jeszcze nie zrezygnował.

– Już ci wierzę! – warknął. – Zresztą mój wujek...

– Jest za cienki na Służbę Bezpieczeństwa – przerwała mu bezpardonowo. – Nie zaryzykuje, dobrze wie, że nie tacy jak on siedzieli w esbeckich celach.

Rzucił jej nienawistne spojrzenie i klnąc głośno, ruszył w stronę ulicy, Inga zaś wzięła głęboki wdech i skierowała się ku wejściu. Szła wolno, starając się stłumić wewnętrzny dygot. Nagle zachichotała, uświadomiła sobie bowiem, że oto ona, jeszcze niedawno energicznie działająca w opozycji, postraszyła Tarnawę interwencją ze strony SB, jakby była co najmniej jej agentką. Gdyby Norbert się o tym dowiedział, pękałby ze śmiechu. Inna sprawa, że musi przypomnieć mu o obietnicy wybawienia Joli z kłopotów. Powinien zrobić to jak najszybciej, zanim stanie się coś złego.

Sierpień 1986, Wisła

Zaproszenie kuzynki, by z nim zamieszkała, Rajner już wkrótce uznał za jeden ze swoich najgłupszych pomysłów i szczerze żałował nierozważnego kroku.

Już samo wyrwanie jej z rodzinnego domu przysporzyło mu wrogów, i to nie tylko w rodzinie Panoczka. Wkrótce się przekonał, że przeciwko niemu opowiadają się nie tylko wszyscy Żaczkowie, nagle solidaryzujący się z krewniakiem, choć

jeszcze niedawno gotowi byli odsądzać go od czci i wiary. Kilku bliższych i dalszych sąsiadów także zapomniało o dawnych waśniach i stanęło po stronie Andrzeja Żaczka, obwiniającego nowego mieszkańca osady o porwanie. O tym, że Dorota jest już pełnoletnia i ma prawo do samostanowienia, jakoś nie chcieli pamiętać. Córka powinna słuchać ojca, i już.

Kuzynka także nie ułatwiała mu życia. Choć jej zachowanie utwierdzało mężczyznę w przekonaniu, że postąpił słusznie, udzielając jej schronienia, patrzenie na przerażoną minę Doroty i obronny ruch wyciągniętych przed siebie dłoni, gdy tylko spojrzał gniewnie lub podniósł głos, sprawiało mu niemal fizyczny ból.

- Nie musisz się mnie bać – tłumaczył cierpliwie.
- Jesteśmy przecież rodziną.
- Ojciec też jest rodziną – szepnęła do siebie.

Rajner usłyszał i aż zatrząsł się z gniewu. Zaraz potem skonstatował ze smutkiem, że nigdy by nie podejrzewał, iż lata ćwiczenia samokontroli najbardziej przydadzą mu się we własnym domu.

Pozwolił, by furia przepłynęła przez niego, wnikając w każdą komórkę ciała, a gdy już się tam rozgościła, wyciszył ją, powtarzając w myślach znajome strofy: „Cobyś Ty zrobił, Boże, gdyby mnie nie było? / Jam Twe naczynie (a gdyby się zbiło?) / Jam jest Twój napój (a gdyby to zgniło?) / Jam jest Twą szatą, rzemiosłem i siłą, / Ty sens swój stracisz, gdy stracę go ja”. Ten wiersz był jego mantrą od chwili, gdy dyrektorka domu dziecka podarowała mu na osiemnaste urodziny niepozorny tomik. Do dziś pamiętał swoje pełne rozczarowania

zaskoczenie, gdy po rozerwaniu ozdobnego papieru zobaczył niezbyt grubą książkę w mocno podniszczonej oprawie. Na niebieskim tle widniały białe litery składające się na napis: „Rainer Maria Rilke, *Księga godzin*, tłum. W. Hulewicz”.

Podziękował za prezent, choć wcale nie czuł radości. Wiersze? Też coś! Dyrektorka zauważyła jednak, że jest zawiedziony, i przytrzymała go za rękę, gdy zamierzał odejść. „Obiecuj mi, że przeczytasz tę książkę. Potem możesz mi ją oddać, jeśli uznasz, że jej nie chcesz. W zamian wybierzesz sobie inną”.

Rajner obiecał i oczami wyobraźni już się widział, jak trzyma w ręce *Misję międzyplanetarną* van Vogta, którą uważał za jedną z najlepszych książek z gatunku science fiction. Zabrał więc wydany w 1935 roku tomik i zaczął przelatywać wzrokiem strony, by jak najszybciej dotrzeć do końca. Nagle do jego świadomości dotarł sens czytanych wersów i przeszedł go dziwny dreszcz. Wrócił do początku i pogрузzył się w lekturze wierszy urodzonego blisko sto lat temu austriackiego poety.

Następnego dnia poszedł do dyrektorki, lecz nie miał ze sobą niebieskiej książki. Na pytanie, co wyniósł z lektury wierszy Rilkego, zamknął odpowiedź w jednym zdaniu: „Najważniejszy jest człowiek, bo to on kieruje swoim losem”. Długo potem dyskutowali, przedstawiając zaskakująco zbieżne interpretacje przesłań zawartych w utworach Rilkego. Gdy wychodził z gabinetu, na twarzy miał szeroki uśmiech, a w ręce *Misję międzyplanetarną*, chociaż *Księga godzin* nadal stała na jego półce i miała jej nigdy nie opuścić.

Sam nie wiedział, kiedy w chwilach podenerwowania zaczął w myślach recytować jeden z wierszy zawartych w tomiku, a kiedy odkrył, że jego wersy pomagają mu się opanować, utwór *Cobyś Ty zrobił, Boże, gdyby mnie nie było?* stał się jego wunderwaffe w walce z negatywnymi emocjami.

Teraz również się nim posłużył, by unicestwić szalejącą w nim wściekłość, i po raz kolejny odniósł zwycięstwo.

– Bo najważniejszy jest człowiek – mruknął.

Zaskoczona Dorota zwróciła ku niemu zaciekawione, chociaż pełne lęku spojrzenie i zapytała nieśmiało:

– Jaki człowiek?

– Każdy. Nie ma czegoś takiego jak zrządzenie losu, podszept diabła czy wola boska. To człowiek decyduje o swoim życiu, o tym, kim jest i jaki jest.

– Podszedł do półki i wyjął książkę w zniszczonej niebieskiej okładce. Przerzucił pożółkłe kartki i podał kuzynce. – Przeczytaj sobie wiersze mojego imiennika. Potem porozmawiamy.

Rainer Maria Rilke nie pomógł Dorocie. Nie zrozumiała jego wierszy, a jeśli nawet, to była zbyt zalekniona, by wyrazić swoje zdanie. Bardziej pomocny okazał się Rajner Milewski, chociaż nie umiał ani pisać wierszy, ani mówić poetyckimi zdaniami. Właściwie to w ogóle nie mówił. Nigdy nie był zbyt gadatliwy, a małżeństwo z Dotą nauczyło go pilnowania każdego słowa, toteż odzywał się z rzadka, na ogół w formie nakazującej lub oznajmiającej. Jego domeną było działanie, a że zawsze uważał, iż każdy powinien robić to, w czym

jest najlepszy, zajął się znalezieniem dla kuzynki bezpiecznego miejsca.

Wrzesień 1986, Wisła

Wszedł niespiesznie po schodkach prowadzących do drzwi komisariatu. Nie miał pojęcia, dlaczego polecono mu się tu stawić, ale domyślał się, że ma to związek z jego „zamrożeniem”. Czyżby chciano zaproponować mu pracę? Rajner rozważał przez pewien czas taką możliwość i w końcu doszedł do wniosku, że czemu nie. Postanowił, że nawet gdyby Hiler przestał być dowódcą, on do Plutonu Specjalnego już nie wróci. Nie po tym, jak ci, którym ufał, wystąpili przeciwko niemu.

Okazało się, że nikt nie zamierza proponować mu pracy, choć po minie rozmawiającego z nim sierżanta Pawła Szalbóta poznał, że ten chętnie zatrzymałby go w tym budynku na dłużej, niestety w zupełnie innej roli.

– Dobrze, że Helena Milewska umarła i nie zdążyła cię poznać – stwierdził, gdy tylko Rajner został wprowadzony do pokoju. – Gdyby wiedziała, kim jest jej wnuk, na pewno zapisałaby majątek komuś innemu.

Popatrzył z obrzydzeniem na Milewskiego. Na jego twarzy malowała się też ciekawość, lecz nie zdołał jej zaspokoić, gdyż jedyną reakcją Rajnera było leciutkie uniesienie lewej brwi. Szalbót odczekał chwilę i zażądał okazania dokumentu tożsamości, zadając jednocześnie pytanie:

– Gdzie pracujesz? Bo podobno całymi dniami przesiadujesz w domu.

– Tak było na początku – odparł spokojnie zapytany. – Ale teraz zabrałem się do porządkowania ogrodu, więc wcale w domu nie przesiaduję.

Sierżant poczerwieniał i już nabrał powietrza, by ryknąć na dowcipnisią, lecz w tej chwili drzwi się otworzyły i do pokoju weszła kobieta z dystynkcjami kapitana na pagonach. Na jej widok sierżant poderwał się zza biurka, lecz gestem nakazała mu, by usiadł, sama zaś podeszła bliżej i dość długo spoglądała na drugiego z mężczyzn.

– Co z dziewczyną? – spytała po dłuższej chwili.

– Dopiero zacząłem, pani komendant – odparł oficjalnym tonem, po czym dorzucił ciszej i bardziej konfidencko: – Ale isto mu się zdo, że my go tu dlo srandy wezwali. Trza mu bydzie dać parę facek.

Milewski zdążył już się nauczyć, że słowo „srand” oznacza żarty, a „facka” – uderzenie w twarz, toteż zrozumienie wypowiedzi nie stanowiło dla niego problemu. Nie potrafił jednak pojąć sensu wezwania. O jaką dziewczynę pytała milicjantka?

– Kontynuuj – poleciła kapitan sierżantowi, a ten sięgnął po dowód osobisty Rajnera i przekartkował.

– Tak jak myślałem. – Podał dokument przełożonej i zwrócił się do Milewskiego. – Nie widzę pieczątki potwierdzającej zatrudnienie. Pracujesz?

– Chwilowo nie.

– O tym, gdzie jest Dorota Żaczek, też pewnie nic nie wiesz? – włączyła się pani komendant.

Tak go zaskoczyła, że tym razem Rajner nie zdołał się opanować i na jego twarzy na moment pojawił się wyraz zdumienia.

Szalbót uśmiechnął się z triumfem.

– Wiedziałem, że pójdzie w zaparte! Od razu widać, że to bandzior, dlatego uczciwa robota mu śmierdzi. Ciekawe, z czego żył, zanim dostał spadek? Pewnie ma w domu rzeczy z kradzieży, warto by może...?

Milewski pojął, że żarty się skończyły. Jeszcze chwila, a wyląduje na dołku, a milicja zdemoluje mu świeżo wyremontowany dom, robiąc dokładne przeszukanie. Chcąc nie chcąc, musiał uchylić rąbka tajemnicy. Zwrócił się w stronę milicjantki i powiedział, przyjmując najbardziej przyjazny ton, na jaki było go stać:

– Chwilowo nie pracuję, bo jestem w zamrażarce.

– Słucham? Co to ma znaczyć?

Z westchnieniem rezygnacji sięgnął do kieszeni, wyjął legitymację i położył na biurku, a gdy już wyjaśnił kwestię odsunięcia od służby, opowiedział im historię Doroty Żaczek.

Rozdział 25

Olśnienie

Wrzesień 1986, Bielsko-Biała

Pod koniec września stało się to, czego Jola najbardziej się obawiała – Zdzisław do tego stopnia oczarował jedną z portierek, że wpuściła go na teren hotelu. Kobieta tak bardzo wzruszyła desperacja zakochanego mężczyzny, by odzyskać była żonę, że posunęła się nawet dalej, niż mógłby oczekiwać.

Jolanta nie mogła uwierzyć własnym oczom, gdy po powrocie z pracy zastała go wylegującego się na jej tapczanie. Nim zdążyła zareagować, dopadł drzwi i zamknął je na klucz, potem podszedł do niej i na odlew wałnął ją w twarz. Upadła, uderzając głową w kant stolika. Tarnawa złapał na wpół przytomną dziewczynę, zawlókł na tapczan i zdarł z niej ubranie. Usiłowała bronić się nieporadnie, lecz to wywołało w nim rozbawienie.

– Nie wysilaj się, Doris, i tak dostanę to, co chcę. Jesteś moja!

Wyciągnął rękę w stronę stolika i wówczas Jola mogła się przekonać, że przyniósł tutaj swoje ulubione gadzety – sznury, papierosy i nieduży scyzoryk, którym lubił nacinać świeżą skórę na ledwo co zagojonych oparzeniach. Przymknęła oczy, wiedząc, że to już koniec. Nigdy nie wydostanie się z jego rąk. Chyba że martwa.

– To jak będzie? – spytał, zdejmując koszulę. – Dasz mi po dobroci, jak na porządną żonę przystało?

Wola walki nagle powróciła. Dziewczyna otworzyła oczy i spojrzała na Zdzisława z nienawiścią.

– Nie jestem twoją żoną. Jeśli mnie zgwałcisz, zgłoszę to na milicję. Drugi raz nie uda ci się zrobić sędziów w konia.

Szarpała się, usiłując uwolnić ręce z więzów. Mężczyzna przyjął te desperackie próby wybuchem śmiechu.

– Głupiutka Doris! W małżeństwie nie może być mowy o gwałcie. – Rozpiął spodnie i zaczął je zsuwać. – Poza tym nie pójdziesz na żadną milicję, bo na to nie pozwolę. Niedługo wrócimy do domu i tam już zostaniesz. Nie pozwolę, by inni faceci walili konia na twój widok. A może załatwić ten problem inaczej?

Wziął ze stolika scyzoryk, podszedł do łóżka i zbliżył ostrze do gładkiego policzka Jolanty. Ponownie przymknęła powieki, by zaraz znów je otworzyć. Cokolwiek chciał jej zrobić, nie da mu poznać, że ją złamał.

Tarnawa spodziewał się ujrzeć na jej twarzy przerażenie. Nie był przygotowany na nic innego i na widok pogardliwego grymasu ogarnęła go wściekłość, a jego wielkie dłonie, na które dziewczyna od dawna nie mogła patrzeć bez lęku, same zwinęły się w pięści.

Powrót do przytomności był chyba jeszcze gorszy niż to, czego niedawno doświadczyła. Jolanta miała wrażenie, że cała jest jednym wielkim bólem, najgorsza zaś była świadomość, że tak będzie już zawsze. Były mąż musiał czuć się całkiem bezkarny, skoro zaatakował ją nawet tutaj, w miejscu, które uważała za azyl, a w takim razie wszystkie próby uwolnienia się od niego są z góry skazane na niepowodzenie.

Zdzisław leżał przy ścianie, częściowo przyciskając ją do tapczanu. Obserwowała go przez jakiś czas, podświadomie czekając na następny atak. Ten nie nastąpił, widocznie mężczyzna spał twardo, skorzystała więc z okazji, by uwolnić spod jego łydek zdrętwiałe nogi. Potem spróbowała obrócić się tyłem i wtedy zauważyła, że więzy na prawej dłoni zwisają luźno, a przytrzymujący je węzeł przestał istnieć. Przez chwilę bezmyślnie spoglądała na stolik, nim przyszło olśnienie.

Natychmiast wysunęła rękę ze zwojów sznura i wyciągnęła ją w stronę scyzoryka. Zabrakło kilku centymetrów, lecz nie zamierzała się poddać, mimo że lewe ramię przyjmowało kolejne próby dotkliwym

bólem. Musiała wykorzystać tę jedyną szansę na wyrwanie się z piekła, choćby ceną miało być wyłamanie barku ze stawu.

Jolanta zdecydowała, że warto ją zapłacić, i tak długo ponawiała próby, aż udało jej się musnąć scyzoryk koniuszkami palców, przysuwając go bliżej. Wprawdzie niedużo, ale wystarczyło, by móc chwycić go i zamknąć w dłoni.

Ramię błagało o odpoczynek, nie dała jednak sobie tego komfortu. Zdzisław mógł w każdej chwili się obudzić, zacisnęła więc zęby i zabrała się do przecinania więzów na lewym nadgarstku. W tym celu musiała obrócić się na lewy bok, twarzą do byłego męża, i gdy tak na niego patrzyła, naraz naszła ją myśl, by zagłębić ostrze w odsłoniętej szyi. *Odsiedzę swoje, ale będę mieć pewność, że już nigdy mnie nie skrzywdzi.*

Z trudem zmusiła się do porzucenia tego pomysłu, lecz nawet gdy w końcu uwolniła rękę i wstała, co rusz zerkając w stronę tapczanu, nie mogąc stłumić w sobie żądzę mordu. Złapała szlafrok, by osłonić obolałe ciało, i ruszyła ku drzwiom. Szła wolno, całą sobą odczuwając sprzeciw, jakby jakaś nieznana siła nakazywała jej zawrócić i zemścić się za lata upokorzeń. Jola przystanęła, odwróciła się nagle i w akcie desperacji odrzuciła scyzoryk, który odbił się od ściany i spadł na stół, trafiając w szklankę.

Brzęk tłukącego się szkła obudził Tarnawę. Mężczyzna jednym spojrzeniem ocenił sytuację i wyskoczył z łóżka, ale tym razem Jolanta była szybsza i zanim zdążył wciągnąć ją do środka, odwróciła się i w kilku susach dopadła sąsiednich drzwi. Szczęśliwie Inga nie zdążyła ich zamknąć.

Tuż za Jolą do pokoju wparował Zdzisław, Piątkowska miała jednak tak samo szybki refleks co koleżanka i bez wahania złapała leżącą na stole zapalniczkę w kształcie pistoletu.

– Ani kroku dalej, bo strzelę – ostrzegła i wymierzyła mu prosto w pierś. – Wynoś się stąd. Nie masz prawa przebywać w tym budynku.

Tarnawa otworzył usta, by zaprotestować, bo w jego mniemaniu był w pokoju Joli całkiem legalnie. Przecież się nie włamał, tylko otworzył drzwi kluczem wręczonym mu przez portierkę. W tej samej chwili przypomniał sobie, co ta czarnowłosa dziewczyna mówiła o Służbie Bezpieczeństwa, połączył to z tkwiącym w jej dłoni pistoletem i nagle stracił ochotę do udowadniania swoich racji.

– To jeszcze nie koniec, Doris! – krzyknął i wybiegł z pokoju.

Podbiegły do okna, by sprawdzić, czy rzeczywiście opuścił hotel, i odetchnęły dopiero wtedy, gdy zobaczyły go zmierzającego w stronę zaparkowanego po drugiej stronie ulicy samochodu. Wówczas pobiegły do pokoju Joli i zabrały najpotrzebniejsze rzeczy, na wypadek gdyby jej były mąż wrócił.

Przy kolacji Piątkowska milczała, nie śmiąc pytać o szczegóły. Tarnawa był całkiem nagi, to jednak jeszcze nie oznaczało, że zdążył dopiąć swego. Miała nadzieję, że nie. Obserwowała ukradkiem koleżankę, lecz z jej nieruchomej twarzy nie zdołała niczego wyczytać, w końcu więc przeniosła wzrok na pokój, w zamyśleniu omiatając spojrzeniem wszystkie kąty. Naraz wstała.

– Pomóż mi przesunąć tę komodę.

Jolanta bez słowa podeszła do stojącego w rogu mebla.

– Gdzie chcesz ją przestawić? I po co? Tak jest bardzo dobrze.

Inga tylko machnęła ręką, toteż Jola nie zapytała o nic więcej. Wspólnie przepchały dość ciężką komodę pod okno i dopiero wówczas Piątkowska udzieliła wyjaśnień. Tarnawa miał przecież po swojej stronie portierkę i większość mieszkańców, dysponował też kluczami, dlatego Inga zdecydowała, że koleżanka absolutnie nie może tam nocować.

– On może w każdej chwili wrócić, a ja mam takie obrzydliwe wrażenie, że nawet gdybyś wzywała ratunku, nikt ci na pomoc nie przybiegnie.

– Wiem – mruknęła zgnębiona Strzelińska. – Bo wszyscy uważają, że to on ma rację, a mnie się od dobrobytu w dupie poprzewracało.

– Wszyscy to nie – sprzeciwiła się Piątkowska. – Ale ci nieliczni, co myślą inaczej, będą siedzieć w swoich pokojach i udawać, że niczego nie słyszeli, żeby tylko nie musieć wyrazić swojego zdania. Chodź, przeniesiemy tu twój tapczan i większość rzeczy, bo ten gnój gotów je zniszczyć, żeby ci dopiec.

– Piątka, jesteś prawdziwą przyjaciółką. – W oczach Jolanty błysnęły łzy. – Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła. Czuję się taka... – Urwała, nie mogąc znaleźć adekwatnego słowa. – Taka zaszczuta – dokończyła po pauzie.

– Poradziłabyś sobie. – W głosie Ingi brzmiała niezachwiana pewność. – Ktoś, kto wylazł przez okno na piętrze i spuścił się po linie zrobionej z mężowskich pasków, poradzi sobie w każdej sytuacji. Jutro napiszesz oficjalną skargę do dyrekcji i poinformujesz, że w związku z zaistniałą sytuacją wnosisz o zezwolenie na montaż prywatnego zamka. Nasz dyrektor to niegłupi facet, na pewno wyrazi zgodę.

Optymizm koleżanki był tak zaraźliwy, że Jola wreszcie przestała dygotać, a gdy się położyła, wbrew swoim obawom spała jak zabita i obudziła się stanowczo zbyt późno. Inga także zasnęła, nie miały więc czasu sprawdzić, czy Tarnawa wrócił do hotelu.

Wbrew prognozom Piątkowskiej dyrektor nie zachował się tak, jak tego oczekiwały. Co prawda wezwał portierkę, lecz po wysłuchaniu przerywanych płaczem wyjaśnień udzielił jej jedynie ustnej nagany.

– Każdy zasługuje na jeszcze jedną szansę – tłumaczył rozczarowanej Strzelińskiej. – Nie powinna pani oceniać jej tak surowo. Popełniła błąd, ale obiecała, że to się więcej nie powtórzy, więc może pani spokojnie wrócić do swojego pokoju. Co do prywatnego zamka – z przykrością muszę odmówić. Regulamin określa to wyraźnie, a ja nie mogę robić dla pani wyjątku. Swoją drogą, nie lepiej pogodzić się z mężem? – Rzucił jej zaciekawione spojrzenie, lecz w głosie zabrzmiała nutka dezaprobaty. – Rzadko się spotyka tak oddanego mężczyznę. Nie żał pani odtrącać taką miłość?

– „Każdy zasługuje na jeszcze jedną szansę” – zacytowała z gorzkim uśmiechem jego słowa, gdy tylko znalazły się z Ingą same. – Każdy, tylko nie ja. – Ze złością rzuciła na biurko paczkę papierosów. – Piątka, to się nigdy nie skończy, a ja już dłużej nie mogę. Ten ciągły strach, nocne koszmary, kiedy śnię, że on znów mnie więzi... Jedyne wyjście to do niego wrócić.

– Zwariowałaś?! Przecież on cię zabije! – Inga spojrzała w oczy koleżanki i ogarnął ją chłód, bo nagle zrozumiała, że Jola właśnie tego oczekuje. To był jej plan na zakończenie prześladowań. – Nie rób tego – szepnęła, ściskając jej rękę. – Błagam, wytrzymaj jeszcze trochę. Pogadam jeszcze raz z Norbertem. Musi być jakieś inne rozwiązanie.

Po powrocie z pracy zmusiła Jolantę, by wraz z nią pojechała na drugi koniec miasta, gdzie przy ulicy Malowany Dworek znajdował się dom Norberta. Mężczyzna już na nie czekał, a gdy weszły do środka, ujrzały siedzącą w fotelu Lucynę i krzającą się w kuchni Jurka. Po powitaniu Jagielscy natychmiast wzięli Jolę w krzyżowy ogień, chcąc wybić jej z głowy samobójcze myśli.

– Nie jesteś sama na świecie – mówił Jurek, a jego ciepły spokojny głos miał większą siłę przebicia niż wrzaski jego żony.

– Ty durna matolico! – darła się Lucyna. – Chcesz dać mu satysfakcję? To już lepiej ty go zabij! Nawet jak dostaniesz czapę, to przynajmniej będziesz mieć satysfakcję, że trafił do piekła przed tobą. Kretynka!

– Łatwo ci mówić – odparła Jola z goryczą. – Gdybyś wiedziała...

Reszta słów uwięzła jej w gardle i tam umarła, zdławiona rozpaczliwym łkaniem. Lucyna zagryzła wargi. Jej gniew jak zawsze wypalił się równie szybko, co zapłonął, i Jagielska przytuliła szlochającą koleżankę.

– Masz rację. Przepraszam.

Inga także zaczęła pocieszać Strzelińską i trzy dziewczyny tak się zajęły sobą, że nie zauważyły, kiedy mężczyźni zniknęli. Tymczasem Jurek specjalnie zaciągnął Norberta do drugiego pokoju. Chciał z nim przedyskutować pomysł, na który wpadł po rozmowie z Ingą, nie zamierzał jednak robić tego w obecności Jolanty. Uważał, że nie powinien dawać jej nadziei, dopóki Swift nie poprze jego planu. I przede wszystkim dopóki najbardziej zainteresowany nie wyrazi zgody.

Po wysłuchaniu Jagielskiego Norbert miał minę, jakby ktoś znienacka zdzielił go w głowę czymś ciężkim.

– Kurwa, ja naprawdę jestem debilem, że na to nie wpadłem.

– Naprawdę uważasz, że to dobry plan? Że on się zgodzi? Znasz go dłużej, przyjaźnicie się od lat. Myślisz, że nie odmówi?

Swift popatrzył na niego z politowaniem.

– Gdybyś miał wątpliwości, tej rozmowy w ogóle by nie było. Dobrze wiesz, że się zgodzi, chronienie słabszych ma wpisane w charakter chyba już od urodzenia. Zresztą najlepiej sprawdzić od razu, tu za rogiem jest budka telefoniczna. Chodźmy.

Jagielski nawet nie drgnął.

– Pojechało cię? Nie możesz zadzwonić z domu?

Ku jego zdumieniu Norbert zdecydowanie pokręcił głową.

– Przypomnij sobie, co mówiły dziewczyny. Ten sukinsyn ma wysokie krycie. Jeżeli udało mu się w sądzie, to jaką masz gwarancję, że nie oskarży ich o porwanie?

– Przestań – prychnął Jurek. – Przez tę robotę w esbecji wszędzie widzisz spiski. Może psychiatra by pomógł?

Tym razem jednak Swift nie podjął żartu.

– Dobrze wiesz, że narobienie odpowiednio intensywnego smrodu wystarczy, żeby nas wzięto pod lupę. Zapomniałeś, jak było z Rajnerem? Niby tylko plotki, a wylądował w zamrażarce. A tu mieliby dowód w postaci wykazu połączeń.

– Przesadzasz. Co to, do kumpla nie można zadzwonić?

– Nie o to chodzi – zniecierpliwił się Norbert. – My mielibyśmy co najwyżej chwilowe nieprzyjemności. Ale dzięki wykazom da się ustalić adres, a ja nie będę ryzykować, że Tarnawa dorwie Jolę przez naszą lekkomyślność.

Ten argument przekonał Jagielskiego, który uznał, że w debilizmie osiągnęli remis. Cicho wymknęli się z domu i po kilku minutach znaleźli się w budce z automatem telefonicznym. Rozmowa nie trwała długo, podobnie jak powrót do domu. Teraz nie zależało im już na zachowaniu ciszy, toteż zaciekawione dziewczyny zasypały ich gradem pytań, zaintrygowane faktem, że mężczyźni wchodzi do domu, choć wcale z niego nie wychodzili.

– Przemieściliśmy się siłą woli – wyjaśnił Norbert z poważną miną. – Oficerowie milicji mają takie uprawnienia.

Lucyna nie zamierzała zadowolić się tym wykrętem, lecz mąż skutecznie ją uciszył oznajmieniem, że wymyślili sposób na zapewnienie Joli bezpieczeństwa. Po zdradzeniu szczegółów planu oraz po długiej rozmowie, w której trakcie wyjaśniali wszelkie wątpliwości, Jola postanowiła skorzystać z ich propozycji.

Już nazajutrz złożyła wypowiedzenie w trybie natychmiastowym, a następnego dnia wyjechała z Bielska-Białej. Tym razem Tarnawie nie mógł pomóc nawet wielce ustosunkowany wujek – była żona po prostu zniknęła bez śladu i mimo wszelkich wysiłków nie zdołał jej odnaleźć.

Jagielski z niechęcią wszedł do budynku prokuratury. Przeczował, że w gabinecie Ochabczyka nie usłyszy nic przyjemnego. Wprawdzie wykrycie zabójcy Brinka Speedmana mocno podniosło jego notowania, ale za to Kolekcjoner Dorot nadal przebywał na wolności i Jerzy coraz częściej zauważał, że prokurator właśnie jego obarcza odpowiedzialnością za taki stan rzeczy. Niestety nic nie wskazywało, by w kwestii ujęcia zabójcy miał w najbliższym czasie nastąpić jakiś spektakularny przełom.

– Co tam, poruczniku, w wiadomej sprawie? – powitał go Ochabczyk.

Miał dość kwaśną minę i Jerzy w zasadzie mógłby sobie pogratulować intuicji, ale jakoś mu się nie chciało. Wiedział, że za chwilę padną tutaj słowa niewiele mające wspólnego z powinszowaniami.

– Nic nie wiadomo – odparł, siląc się na spokój. – Jak pan wie, nie rozpieścił nas śladami. Właściwie nie zostawił po sobie nic ułatwiającego identyfikację, a teraz jakby pod ziemię się zapadł. Dopóki spod niej nie wypełźnie...

Urwał, gdy zdał sobie sprawę, że z jego wypowiedzi można by wysnuć wniosek, iż życzy sobie kolejnego zabójstwa. Na szczęście Ochabczyk nie zwrócił uwagi na ten lapsus, zajęty rozważaniem innego problemu. Milczał uparcie i w zamyśleniu stukał palcami w blat, zapatrzony w okno, za którym widać było wielkiego kota, wylegującego się w słońcu na parapecie sąsiedniego budynku.

– Wie pan, poruczniku, zwrócono mi wczoraj uwagę na pewną sprawę – odezwał się wreszcie. – Wiem, że w trakcie przesłuchania Ryszkiewicza ostatecznie wykluczyliśmy sprawstwo Milewskiego, ale to trochę dziwne, że zabójstwa się urwały z chwilą jego wyjazdu. Nie zastanawia to pana?

– Ani trochę – burknął Jagielski. – Bo tu nie ma nic do zastanawiania się.

Prokurator zacmokał, dając wyraz dezaprobacie.

– Nie wiem, nie wiem. Czy przypadkiem nie przemawia przez pana zawodowa solidarność? Lojalność wobec kolegów to chwalebna cecha, ale w tym konkretnym przypadku chyba została źle ulokowana.

– Panie prokuratorze, proszę wziąć pod uwagę jedną kwestię – odpowiedział podporucznik ze źle skrywanym zniecierpliwieniem. – Wykluczaliśmy sprawstwo Milewskiego nie ze względu na zeznania Ryszkiewicza, tylko z uwagi na to, że miał alibi na czas popełnienia każdego z trzech zabójstw. Zresztą już o tym rozmawialiśmy i zgodził się pan z moim zdaniem, więc nie bardzo rozumiem, czemu znowu do tego wracamy. Czy pojawiły się jakieś nowe informacje?

– Nowe nie – zaprzeczył Ochabczyk z wyraźną niechęcią. – Ale ludzie nadal gadają, że to on zabijał. I że pewnie wcale nie przestał, tylko teraz robi to gdzieś indziej. Gdzie on właściwie obecnie przebywa?

Jerzy już miał zamiar skłamać, mówiąc, że nie ma pojęcia, gdy uświadomił sobie, że jeśli prokurator zechce drażnić tę sprawę, wystarczy jeden telefon do kadr, by poznał nowy adres Rajnera.

– Milewski mieszka teraz w Wiśle, odziedziczył tam dom – odpowiedział i dodał po chwili zastanowienia: – Konkretnie w Wiśle Czarnem, ale dokładnej lokalizacji nie znam. Tylko że nie słyszałem, by w ostatnich miesiącach doszło tam do nienaturalnych zgonów, więc pomysł jest całkiem poroniony.

– Skąd pan wie, że nie doszło? – spytał Ochabczyk, lecz zaraz odpowiedział sam sobie: – No tak, biuletyn informacyjny. Wszystko jasne. – Zaraz jednak zaprzeczył swoim ostatnim słowom, werbalizując zrodzone nagle wątpliwości: – W takim razie nie rozumiem, skąd wzięły się te wszystkie plotki.

Jagielski ponownie usiadł, choć chwilę wcześniej wstał i sięgnął po kurtkę, szykując się do wyjścia.

– A ja chyba rozumiem. Już wcześniej wydawało mi się, że ktoś tym steruje, niestety nie udało mi się dojść, kto to jest i jaki ma cel w dyskredytowaniu Milewskiego. Podejrzewałem kapitana Hilera, bo były między nimi zatargi i wiem, że Hiler chciał się pozbyć Rajnera z plutonu. Ale nie sądzę, żeby dalsze szkalowanie było jego dziełem, skoro dopiął swego i Milewski wylądował w zamrażarce.

Sceptyczna mina prokuratora mówiła jasno, co starszy z mężczyzn myśli o przedstawionej mu teorii. Właściwie mógłby nie odpowiadać, ale za bardzo lubił wsłuchiwać się we własny głos, by mógł milczeć.

– Ktoś miałby sterować plotkami o Milewskim? Poruczniku, chyba pana trochę poniosło i wietrzy pan spisek tam, gdzie go nie ma. Zalecałbym ograniczenie kontaktów z przedstawicielami wiadomej służby.

Uśmiechnął się złośliwie, co milicjant przyjął ze stoickim spokojem. Znał Ochabczyka na tyle, by wiedzieć, że mężczyzna zawsze przyjmuje nieufnie wszelkie nowinki i potrzebuje czasu, by się z nimi oswoić.

– Jeśli to wszystko, to już pójdę. – Ponownie sięgnął po kurtkę, gdy wtem zamarł w połowie gestu. – Tak przy okazji, kto częstuje pana tymi plotkami o Milewskim? Bo do mnie tak szybko nie docierają.

– Wiem to od Mirka Kazimierczaka – odparł prokurator z rozbawieniem. Najwyraźniej

informacja, że jest lepiej zorientowany od podporucznika, wprawiła go w doskonały humor. Nagle dotarł do niego podtekst wypowiedzi milicjanta. Nastroszył się, poczerwieniał na twarzy i zmrużył gniewnie oczy, spoglądając wrogo na rozmówcę. – Jagielski, czy was już całkiem popierdoliło?! Sugerujecie, że to właśnie Kazimierczak celowo rozpuszcza plotki o Milewskim?

Przez lata współpracy Jerzy zdążył już poznać Ochabczyka na tyle, by wiedzieć, że gdy ten zwraca się do rozmówcy przez wy, nie wróży to nic dobrego. Prokurator był pamiętliwy i zdarzało się mu wytknąć błąd nawet po latach.

– Niczego takiego nie sugerowałem. Po prostu się zdziwiłem, bo jednak częściej mam do czynienia z innymi milicjantami niż pan.

Mówił zupełnie szczerze. Z Kazimierczakiem nie łączyło go bliskie koleżeństwo, ale nie podejrzewał, by mrukliwy technik posunął się do preparowania fałszywych informacji i puszczania ich w obieg. Przede wszystkim dlatego, że nie znał Rajnera, co wynikało z jego słów podczas oględzin w domu Milewskich.

Twarz Ochabczyka z wolna wracała do normalnego koloru, przestał też łypać gniewnie na milicjanta i podporucznik pomyślał, że z długiej znajomości wynieśli obopólne korzyści. Nie tylko on się nauczył bezbłędnie rozpoznawać nastrój rozmówcy, ale wszystko wskazywało, że w drugą stronę też to działa.

– To może się pan już przestać dziwić – mruknął prokurator. – Mirek to mój... – zawahał się, zamyślił

na moment, potem machnął ręką. – To ma jakąś nazwę, ale nie pamiętam. Nieważne. Jest mężem mojej siostrzenicy, a raczej był, dopóki ta idiotka go nie zostawiła dla taksówkarza z grubym portfelem i wielkim... – Nagle zauważył minę Jerzego i parsknął śmiechem. – Dobrze, że ma na imię Marta, a na drugie Grażyna, bo mógłby pan pomyśleć, że to on zabija, a potem zaciera ślady.

– Tak na pewno bym nie pomyślał – odpowiedział Jagielski całkiem poważnie. – Miro tak się nadaje na zabójcę, jak ja na dyrygenta orkiestry symfonicznej. Ale nasza rozmowa dała mi do myślenia. Muszę się nad tym wszystkim jeszcze raz porządnie zastanowić, bo coś mi się zaczęło rozjaśniać.

– Najwyższy czas – burknął prokurator. – Byle nie była to teoria spiskowa. Sterowanie plotkami? Też coś!

Jagielski ruszył szybkim krokiem ku drzwiom, nie zwracając uwagi na Ochabczyka, który jeszcze coś mówił. Po złapaniu za klamkę odwrócił się, rzucił krótkie „do widzenia” i wypadł z pokoju.

Rozdział 26

Podopieczna

Październik 1986, Wisła

Nie polubił jej. Właściwie to nie lubił jej, jeszcze zanim ją poznał, znieubił niejako zaliczkowo. Od pierwszej chwili, gdy tylko usłyszał, że ma jej udzielić schronienia, nastawił się negatywnie do narzuconej mu siłą towarzyszki.

Mógł odmówić. Oczywiście, że mógł, nikt mu do głowy pistoletu nie przystawiał. Sam Norbert zostawił mu furtkę, mówiąc, że jeśli to kłopot, poszukają dla niej innego miejsca. I to wystarczyło, by Rajner się zgodził. Zawdzięczał Norbertowi Swiftowi wiele, podobnie jak Jurkowi Jagielskiemu. Choć wszyscy trzej jak ognia unikali wielkich słów, tego, co ich łączyło, nie można było nazwać inaczej, jak tylko przyjaźnią. Kiedy więc dwaj najbliżsi mu ludzie poprosili o pomoc, uznał, że musi się zgodzić.

Za oknem rozpościerał się widok na tę część ogrodu, którą zdążył już uporządkować, i oczy Rajnera same zwróciły się ku niemu. Nie dojrzawszy dziewczyny od kilku dni wprowadzającej zamęt w uporządkowane z takim trudem życie, doszedł do wniosku, że pewnie ułożyła się wygodnie na leżaku pod zapewniającą cień rozłożystą jabłonią. Podszedł do drugiego okna, by to sprawdzić, i odetchnął z ulgą, gdy zobaczył, że rzeczywiście tam się znajduje. Animozja animozją, ale skoro obiecał ją chronić, musi stale mieć ją na oku.

Doszedł do wniosku, że mogło być gorzej, na przykład gdyby jego podopieczna była podobna do sąsiadki, której nawet na moment nie zamykały się usta. Na szczęście Jolanta Strzelińska nie zaliczała się do gadatliwych kobiet, za co odczuwał niewymowną wdzięczność do losu na tyle łaskawego, że nie pokarał go niewiastą nieumiejącą nawet przez chwilę milczeć. Czegoś takiego nie zniósłby nawet w imię długoletniej przyjaźni. Wystawiłby ją za drzwi razem z walizkami i niech się dzieje wola boska.

– Chociaż z tymi walizkami to chyba przesadziłem
– skonstatował, wspomniawszy chwilę, gdy Jolanta pojawiła się na ścieżce przed domem.

Siedział akurat na schodkach, popijając zimną herbatę, gdy zza zakrętu wyszła wysoka, bardzo szczupła dziewczyna uginająca się pod ciężarem ogromnej torby. Przez jakiś czas spoglądał na nią bez większego zainteresowania, lecz gdy pchnęła furtkę i weszła na teren jego posesji, zaklął, odstawił szklankę i podniósłszy się jednym zwinnym ruchem, ruszył w jej stronę.

Na ten widok przystanęła i wpatrywała się w niego natarczywie. A raczej nie w niego, tylko jego... Nie bardzo wiedział w co, lecz wzrok miała skierowany w okolice krocza. Poczuł się dziwnie nieswojo i z trudem powściągnął chęć zerknięcia w to miejsce, by przekonać się, co takiego przyciągnęło jej uwagę. Był zdania, że budową nie odbiega od przeciętnego mężczyzny, podniecenia też akurat nie odczuwał, więc raczej nie mogło jej chodzić o to, o czym pomyślał. Może nie zapiął rozporka?

Bezwiednie uniósł ręce i chciał wetknąć je we włosy, jak zawsze, gdy czuł się zakłopotany. Powstrzymał się w ostatniej chwili i znów opuścił je wzdłuż ciała, a wtedy zauważył, że spojrzenie dziewczyny powędrowało w ślad za nimi. Wtedy pojął, że to jego dłoniom tak się przyglądała, i to do reszty go zdezorientowało. Zanim zdążył się zastanowić, jak ona to odbierze, obejrzał je dokładnie, manewrując tak, by nie mogła zobaczyć ich wnętrza. Niczego szczególnego jednak w nich nie dostrzegł. Dłonie jak dłonie.

– Dzień dobry – odezwała się cicho, drżącym głosem. – Czy zastałam pana Rajnera Milewskiego?

Nie od razu odpowiedział na pytanie. Najpierw dość długo przyglądał się uważnie gościowi, nie próbując nawet tego ukrywać. Koledzy kolegami, ale on musiał wiedzieć, kogo przyjmie pod swój dach, tym bardziej że Norbert nie podał żadnego konkretnego powodu, dla którego ta dziewczyna koniecznie musi ukryć się przed światem. Powiedział tylko, że powinna na jakiś czas zniknąć.

Co ciekawe, nie zadzwonił ze służbowego czy prywatnego telefonu, lecz z automatu, w dodatku

na zakończenie rozmowy dodał, że Milewski nie powinien aż do odwołania kontaktować się z nim czy Jurkiem Jagielskim. To oni będą do niego telefonować, gdyby zaś miał do nich jakąś nieznoszącą zwłoki sprawę, niech przekaże tę informację matce Lucyny, a wtedy któryś z nich oddzwoni.

Rajner usłuchał, ale od tamtej pory cały czas się zastanawiał, kogo koledzy postanowili u niego schować. Dziewczyna zapewne była świadkiem w jakieś sprawie. W jakiej? W grę wchodziły w zasadzie tylko dwie możliwości. Mogła być świadkiem na tyle niewygodnym, że jej zeznania spowodowałyby całkowitą zmianę toru śledztwa, do czego koledzy nie chcieli dopuścić. Znał ich jednak na tyle dobrze, by wiedzieć, że nie byli zdolni do matactw, w dodatku żaden z nich nie miał aż takiego parcia na sukces, żeby posunąć się do zrobienia niewinnego człowieka. Drugi wariant wydawał mu się bardziej prawdopodobny. Jeśli ta dziewczyna wiedziała o czymś, co mogło zaszkodzić komuś ważnemu czy wpływowemu, ten ktoś mógł chcieć ją usunąć.

Istniała jeszcze trzecia możliwość, lecz Rajner odrzucił ją natychmiast jako kompletnie absurdalną. Gdyby dziewczyna weszła w konflikt z prawem, a któryś przyjaciół byłby na tyle blisko z nią związany, by czuć się w obowiązku jej pomóc, nie wybrałby takiej drogi. Nie chciałby jej ukryć, tylko wyzyskał w tym celu wszystkie legalne środki. Nie ryzykowałby zawodowej i prywatnej przyszłości, wymyślając sposób, który mógł się sprawdzić tylko przez krótki czas. Na dłuższą metę nie było szans, chyba że trzymałby ją w całkowitej izolacji od świata zewnętrznego.

Dokładne oględziny stojącego przed nim tajemniczego gościa nie dały odpowiedzi na te pytania, wyjaśniły natomiast tajemniczą uwagę Jagielskiego, by Rajner traktował dziewczynę na dystans i nie próbował się do niej dobierać. Oburzył się wtedy na to posądzenie. To, że mieszkał samotnie z dala od ludzkich siedzib, nie oznaczało, że w desperacji rzuca się na każdą istotę płci odmiennej, która znajdzie się w jego zasięgu.

Patrząc na nią, zrozumiał, co przyjaciel miał na myśli. Dziewczyna była piękna. Krótko ścięte, rude włosy lśniły w blasku słońca złotem i czerwienią, nad intensywnie niebieskimi oczami, ocienionymi długimi rzęsami, rysowały się ciemne łuki brwi, a lekko wystające kości policzkowe podkreślały niebanalną urodę.

Przeniósł wzrok z pięknie wykrojonych ust na sylwetkę i omal się nie skrzywił na widok zbyt szerokich spodni. Gdyby nie pasek, z pewnością zsunęłyby się ze szczupłych bioder i wklęsłego brzucha. Nie lubił takich wychudzonych kobiet i nigdy nie potrafił zrozumieć przesadnego dbania o linię, w czego efekcie bardziej przypominały szkielety przyodziane w modne ubrania niż żywe istoty.

Znów spojrzał jej w twarz i dopiero teraz zauważył nienaturalnie blade policzki, krople potu na czole i drżące ręce. Omal nie zaklął głośno, zły na siebie za ten brak spostrzegawczości, zaraz jednak przeniósł tę złość na nią. Od kilku dni panował niesamowity upał, co po chłodzie poprzedniego tygodnia stanowiło kontrast nie do wytrzymania. To już nie była złota polska jesień.

Jakaś pogodowa aberracja sprawiła, że pod względem temperatury październik zamienił się w lipiec, tym bardziej więc Milewski nie potrafił pojąć, dlaczego zamiast ubrać się w coś lżejszego, dziewczyna miała na sobie bluzkę z golfem i długimi rękawami. Nic dziwnego, że wyglądała, jakby miała za moment zemdleć.

– To ja – odezwał się w końcu, wcale nie dlatego, że tak wypadało. Po prostu zdecydował, że zobaczył już dość, by wyrobić sobie o niej jakąś opinię. A że nie była zbyt pochlebna, to trudno, na to już nie mógł nic poradzić. – Jurek miał ci dać mój numer telefonu. Zrobił to? – spytał swoim zwykłym, obojętnym tonem.

Drgnęła na dźwięk jego głosu i pokręciła głową.

– Podporucznik Jagielski? – upewniła się. – Nie. Dostałam ten numer od porucznika Norberta Swifta.

No to już coś wiedział. Dalej niewiele, ale wystarczyło, by ostatecznie wykluczyć trzecią hipotezę. Gdyby dziewczyna była związana z którymś z kolegów, nie mówiłaby o nich tak oficjalnie.

– Co powiedział Norbert, kiedy dawał ci mój numer? – drażył nadal, nie zważając, że cofnęła się o krok pod wpływem jego gniewnego grymasu.

– Że mam do pana zadzwonić, kiedy przyjadę na dworzec kolejowy w Wiśle – odparła tak cicho, że ledwie dosłyszał.

– Po co miałaś dzwonić?

– Powiedział, że pan przyjedzie i mnie tu przywiezie...

– No właśnie tak mi się wydawało, że miał ci to przekazać – przerwał jej jeszcze raz. – Której części tego zdania nie zrozumiałaś?

– Nie chciałam sprawiać kłopotu...

– Chryste! – znowu jej przerwał. – Wolałaś drałować w upale na dworzec autobusowy? Z torbą, która waży więcej od ciebie? A potem od „Fojtuli” do mojego domu? – wymienił nazwę gospody, przy której znajdowała się pętla autobusowa. – Myślisz, że jak dostaniesz udaru słonecznego, to będę miał mniejszy kłopot?!

Pod koniec wypowiedzi nerwy tak go poniosły, że prawie krzyczał, co nie zdarzyło mu się od wielu lat. Gdy do Rajnera dotarło, co robi, natychmiast zamilkł, zszokowany swoją niecodzienną reakcją. Stał i gapił się na dziewczynę, usiłując pojąć, jakim sposobem udało jej się to, czego nie zdołali dokonać ani przestępcy, ani kopiący pod nim dołki dowódca, ani wreszcie te fałszywe mendi, których uważał za kolegów.

Dopiero gdy się zachwiała, pojął, że zachowuje się jak ostatni kretyn. Trzymanie jej tutaj, w pełnym słońcu, bez możliwości dania bodaj chwili odpoczynku strudzonym nogom prędzej może wywołać udar niż wędrówka z przystanku autobusowego. Szybko sięgnął po torbę, zaskakująco lekką jak na ogromne gabaryty, drugą zaś ręką ujął pod ramię dziewczynę, prowadząc w stronę domu.

Niespodziewanie w połowie drogi przystanęła i usiłowała wyrwać się z uścisku, a gdy to zignorował i pociągnął ją za sobą, zaparła się gwałtownie.

– Panie Milewski, nie musi pan tego robić. Nie chcę sprawiać kłopotu – powtórzyła swoje wcześniejsze słowa. – I nie chcę pana narażać. Znajdę sobie jakieś inne miejsce, gdzie będę mogła się schować.

Ostatnie słowa podziałały niczym dźgnięcie ostrogą. Nie chce go narażać? Dobrze sobie! Bardziej narażonym już chyba być nie można, a teraz będzie miał dodatkową motywację, by chronić swoją prywatność.

– Chodź, pogadamy w środku. Nie ma sensu stać na tej spiekocie. I nie mów do mnie „pan”. Mam na imię Rajner. A ty?

– Nazywam się Jolanta Strzelińska.

Jolanta Strzelińska... Rajner poczuł nagłą ulgę, że przynajmniej tym razem los go oszczędził i nie przysłał mu kolejnej kobiety noszącej tamto przekłęte imię, zaraz jednak wyrzucił z myśli nieistotną kwestię. Były ważniejsze sprawy.

– Jeżeli masz się tu ukrywać, nie powinnaś nikomu podawać prawdziwych danych. Lepiej, żebym ja też nazywał cię innym imieniem. Masz jakieś upatrzone? Na przykład po ulubionej filmowej bohaterce?

Po jej bladych wargach przemknął cień uśmiechu.

– Angelika albo Ribanna. Ale to raczej nie chwyci.

Kącik ust mężczyzny powędrował w górę. Rozśmieszyła go i zaskoczyła jednocześnie, bo nie spodziewał się po niej poczucia humoru.

– Chyba nie przejdzie – przyznał. – Musisz wymyślić coś bardziej zwyczajnego. Może Dorota?

Sam nie wiedział, czemu to zaproponował. Czyżby naprawdę coś z nim było nie tak, że zaczął prowokować nawet los? Gdyby wierzył w istnienie sił nadprzyrodzonych, mógłby się tłumaczyć, że diabeł go podkusił, ale przecież sam niedawno tłumaczył innej Dorocie, że liczy się tylko człowiek i jego decyzje.

Zerknął na dziewczynę, stanowczo zbyt długo rozważając tę poronioną propozycję, chcąc wyjaśnić, że to był tylko żart, i zdumiał się na widok wyrazu jej twarzy. Niechęć mógł zrozumieć, ale dlaczego odraza? To imię samo w sobie nie było wcale brzydkie, skąd więc aż taka reakcja?

Jolanta zagryzła wargi i pokręciła głową.

– Tylko nie Dorota! – wykrzyknęła, po czym wyjaśniła już spokojnie: – Mam tak na drugie.

Nie wydawało mu się, by to był powód do krzyku, ale nie miał nastroju do analizowania jej dziwacznych zachowań. Doszedł do wniosku, że nigdy więcej nie powinien igrać z losem, który najwyraźniej nie miał poczucia humoru i w reakcji na niezbyt lotny żart natychmiast się zemścił, zsyłając kolejną Dorotę.

– W porządku – mruknął, starannie skrywając uczucia. – Wybierz sobie jakieś w miarę normalne. Nie musisz od razu. Zastanów się spokojnie.

– Szkoda czasu na zastanawianie, w końcu nie wybieram tego imienia na zawsze. – Zamyśliła się, o czym świadczyło wbite w niego niewidzące spojrzenie, przez które poczuł się niewyraźnie. Już miał zwrócić jej uwagę, by znalazła sobie inny obiekt, gdy zamrugła, po czym popatrzyła

przytomnie: – Elżbieta – powiedziała nieco niepewnie, jakby czekała na jego aprobatę.

– Może być – pochwalił oszczędnie jej wybór. – Ładne i nieudziwnione. Jak mam się do ciebie zwracać? Elżbieta, Ela czy Elka? Bo na żadną Elunię czy Elusię nie licz, nie cierpię takich zdrobnień.

– Jak chcesz.

Odniosł wrażenie, że miała zamiar wzruszyć ramionami, lecz w ostatniej chwili się powstrzymała. Zrobił kilka kroków w stronę drzwi, lecz przystanął w progu, znów przyjrzał jej się uważnie i stwierdził krótko:

– Elka.

– Słucham?

Spojrzała zdumiona, a Rajner ucieszył się, że wreszcie zdołał ją wyrwać ze stanu tej dziwnej, nienaturalnej obojętności.

– Będę cię nazywać Elka – sprecyzował. – Ela brzmi płasko, nijako, a Elżbieta zbyt dostojnie jak na taką drobinę.

– Ja drobina? – Parsknęła śmiechem i to był pierwszy naturalny odruch, jaki u niej zauważył, nie licząc wcześniejszych objawów zdziwienia. – Byłam najwyższa ze wszystkich pracujących ze mną kobiet. Mam sto siedemdziesiąt pięć centymetrów, a pan... a ty nazywasz mnie drobiną?

– Bo w porównaniu ze mną nią jesteś. – Zawrócił i stanął tuż obok, by mogła porównać, jak wiele brakuje jej wzrostu, by mogła się z nim zrównać. – Ale nie to miałem na myśli. Źle się wyraziłem. Drobina owszem, ale bardziej chudzina. Chyba

trochę przesadziłaś z tym odchudzaniem, nie uważasz?

– Chyba tak – przyznała, na powrót przybierając obojętny ton. – Gdzie mogę się rozlokować? Na pewno nie będę ci przeszkadzać?

Poprowadził ją na piętro, do pokoiku, który przygotował na jej przyjazd. Ciągłe jeszcze pachniało tam świeżą farbą, ale ściany na szczęście zdążyły wyschnąć, podobnie jak podłoga z heblowanych desek, którą wczoraj do późna w nocy szorował ryżową szczotką. Tylko okna pozostały brudne, pokryte wieloletnim pyłem oblepiającym szyby tak z zewnątrz, jak i od środka. Na umycie ich nie znalazł już czasu, a kiedy Dorota jeszcze z nim była, zwyczajnie o tym pokoiku zapomniał.

– Miałem zamiar zrobić to rano, ale...

Nieco zmieszany wyciągnął przed siebie dłonie, obracając je wnętrzem do góry. Czuł się głupio, obnażając własną słabość, ale wolał to, niżby miała uznać go za brudasa, nieumiejącego wysprzątać gościnnego pokoju.

Na widok dłoni pokrytych krwawiącymi odciskami Jolka (czy raczej od teraz Elka) nie zdołała powstrzymać okrzyku zgrozy.

– Matko święta, co ci się stało?

– To od łopaty, pędzla i kartacza – wyjaśnił zwięźle, a gdy nie zrozumiała, rozwinął wyjaśnienie:
– Chciałem przygotować grządki na wiosnę i musiałem przekopać kawał gruntu, no i narobiłem sobie pełno odcisków. Potem chciałem przyszykować ci pokój. Nie używałem tego pomieszczenia, dlatego nie pamiętałem, w jakim

jest stanie. Zajrzałem tu, żeby zobaczyć, czy niczego nie będzie ci brakowało, i dopiero wtedy odkryłem, że wygląda, jakby nie malowano ścian od sprzed wojny, być może nawet pierwszej. Myślałem, że to nic trudnego, ale okazało się zupełnie inaczej – mówił z krzywym uśmiechem, pokrywając zażenowanie autoironią.

Wolał nie wspominać o zdziwieniu, że dłonie, które mogły godzinami trzymać broń, zadawać ciosy groźnym osobnikom czy wytrzymywać bez uszczerbku mordercze treningi, zostały pokonane przez zwykłe prace domowe.

– Ty to malowałeś? – Rozejrzała się po skromnie urządzonej, niewielkiej pomieszczeniu. – Ładnie. – Odniósł wrażenie, że mówi szczerze. – Ale nie trzeba było, wystarczyłyby mi łóżko i jakiś koc. Nie chcę dezorganizować ci życia.

– Spałabyś bez poduszki? – Nie wytrzymał, żeby tego nie wytknąć. – Nieważne – rzucił szybko, napotkawszy puste, nierozumiejące spojrzenie, i jeszcze szybciej dokończył opowiadanie o remontowych perypetiach. – Na drugi dzień musiałem pomalować drugi raz i ten cholerny pędzel jeszcze bardziej mnie urządził, a wczoraj wyszorowałem podłogę kartaczem i to do reszty załatwiło sprawę.

– Masz na myśli ryżową szczotkę?

Przytaknął ruchem głowy, po czym opowiedział, jak niedający się w żaden sposób okiełznać przedmiot ciągle wymykał mu się z obolałych rąk, z każdym centymetrem kwadratowym umytej podłogi coraz bardziej poranionych. Pod koniec Rajner miał wrażenie, że nie ma na dłoniach

takiego miejsca, które nie byłoby pokryte odciskami zachodzącymi jeden na drugi tak, że tworzyły jedną wielką opuchliznę.

Poprzekłuiwał je potem, likwidując ogromne bąble, ale sam nie wiedział, czy bardziej bołą te przekłute, czy tamte drugie, ze skórą zdartą aż do żywej tkanki.

– Polałem rany wodą utlenioną i obwiązałem dłonie bandażem, ale już po godzinie miałem dość. Wyglądałem, jakbym stoczył walkę na gołe pięści, bolało chyba jeszcze bardziej niż przedtem, a w dodatku omal nie podpaliłem tego cholernego opatrunku, gdy chciałem zapalić papierosa.

Dziewczyna uniosła kąciki ust w leciutkim uśmiechu.

– Zaraz założę ci opatrunki, tylko najpierw chciałabym się umyć po podróży. Gdzie mogłabym...?

– Łazienka jest na dole. Będziesz ją dzielić ze mną.
– Uniosła brwi, co odebrał jako niezadowolenie i od razu poczuł złość. – Odziedziczyłem ten dom po babce – przemówił obojętnym tonem, w którym dały się jednak słyszeć ostre nieprzyjazne nuty. – Z tego, co wiem, wybudowano go ponad pięćdziesiąt lat temu, a dawniejsze standardy nie przewidywały kilku łazienek w jednym domu. Właściwie zakrawa to na cud, że w ogóle jest tutaj jakaś, bo równie dobrze mogłaby być tylko wygodka.

– Nie zamierzałam cię krytykować – odparła, również przybierając beznamiętny ton, który coraz bardziej wyprowadzał go z równowagi, choć sam używał go niemal bez przerwy. – Po prostu zrobiło

mi się przykro, że musisz dla obcej osoby rezygnować ze swojej prywatności.

– Nie wygłupiaj się.

Burknięciem pokrył wyrzuty sumienia, że tak łatwo przypisywał jej wszelkie negatywne cechy. Nigdy dotąd nie był skory do pochopnych osądów i poczuł się zaskoczony tak obcą mu reakcją.

Zaprowadził ją do łazienki, pokazał, gdzie przechowuje czyste ręczniki, i pozostawił samej sobie, sam zaś udał się do kuchni, by przygotować posiłek, nazywany szumnie obiadokolacją. Prawda tymczasem wyglądała tak, że od dawna nie miał apetytu. Nie odczuwał głodu i szykował codziennie to ciepłe danie wyłącznie dlatego, że tak nakazywał rozsądek, a i lekarz swego czasu podkreślał, jak wielką wagę dla udanej rekonwalescencji mają regularne, zdrowe i pełnowartościowe posiłki.

– Zapomniał zaznaczyć, że powinny też być smaczne – mruknął, krzywiąc się na widok brei, która w zamyśle miała być gulaszem z jarzynami.

Już dawno całkiem wrócił do zdrowia i jeszcze kilka miesięcy temu postukałby się palcem w czoło, gdyby ktoś mu powiedział, że zacznie zważać na to, co je. Tu jednak, z dala od strzelnicy i sali treningowej, musiał znaleźć inny sposób na utrzymanie dobrej formy i wysportowanej sylwetki, uznał więc, że przynajmniej będzie się prawidłowo odżywiać. Podobno zdrowa dieta to podstawa.

Nie przewidział tylko, że nie będzie to wcale takie proste, jak sobie wyobrażał. Absolutnie się nie kwalifikował do miana mistrza garnka i patelni, co nietrudno można było odgadnąć. Wystarczyło popatrzeć na przyrządzone z wielkim trudem

potrawy, których wygląd korespondował z ich smakiem.

Rozdział 27

Siła plotki

Październik 1986, Wisła

Szum wody w łazience przycichł. W przewidywaniu, że gość wkrótce pojawi się w kuchni, Rajner zamieszał w garnku, potem nabrał łyżkę potrawy, włożył do ust, przełknął i znów się skrzywił.

– Trudno. Na nic innego panienka nie powinna liczyć. Obiecałem jej schronienie, ale nikt nie mówił, że będę kuchcią.

W tej samej chwili uprzytomnił sobie, że jeśli nie chce być wzięty za osobę z problemami psychicznymi, powinien poniechać zwyczaju mówienia do siebie. Jolanta Strzelińska, którą teraz powinien nazywać Elżbietą, i tak co rusz obrzucała go ukradkowymi podejrzliwymi spojrzeniami, jakby oczekiwała, że on w każdej chwili może się na nią rzucić. *Faktycznie nie mam nic innego do roboty, tylko napastować tę chudą*

tykę – pomyślał z irytacją, lecz tym razem nie wypowiedział tych słów na głos.

Chociaż dziewczyna wzbudzała w nim niechęć, nie był na tyle bezduszny, by sprawiać jej przykrość krytykowaniem wyglądu. Minał już ponad rok od śmierci żony, pamiętał jednak dobrze łyzy Doroty, gdy czasem się zdarzyło, że uznał jej strój czy makijaż za niegustowny lub zbyt wyzywający.

– Kurwa mać!

Wściekły na siebie, że znów niebaczenie przywołał wspomnienie, rzucił łyżkę na blat szafki i wbił okaleczone dłonie we włosy. Natychmiast syknął z bólu i to go otrzeźwiło. Sięgnął po ścierkę, by wytrzeć z podłogi krople sosu, i wtedy ją ujrzał. Stała w progu, przyglądając mu się z miną wyrażającą czysty, pierwotny strach, w czym również przypominała Dorotę, tym razem tę ostatnią. Westchnął ciężko i powiedział, siląc się na żart, by rozładować ciężką, nabrzmiałą emocjami atmosferę:

– Nie bój się. Wprawdzie ten gulasz smakuje dokładnie tak, jak wygląda, ale nie jest niebezpieczny dla życia i zdrowia. Zjadłem kilka łyżek i jeszcze nie zszedłem z tego świata, więc ty też powinnaś przeżyć.

Skinęła głową, usiadła przy stole i zaczęła wyjmować z kosmetyczki jakieś tubki, bandaże, gaziki i plaster na kółku.

– Obiecałam ci opatrunek – wyjaśniła, widząc jego zagubienie.

– Najpierw zjedzmy, póki jeszcze nie wystygło. Zimne smakuje jeszcze gorzej – ostrzegł lojalnie. – Możesz się tym zająć? Bo jak ja zacznę, to skończy

się tym, że będziemy jedli z podłogi. Nie żeby gulaszowi mogło to zaszkodzić.

Uśmiechnęła się leciutko, znowu skinęła głową i bez słowa wstała, by zdjąć talerze z ociekacza. Nałożywszy potrawę, przyjrzała jej się nieufnie.

– Jesteś pewien, że to nie jest broń biologiczna? Trochę strach jeść. Masz tylko jedną łazienkę...

Zdobyła się na żart. Coś podobnego! Zaraz jednak zauważył, że jej ledwie dostrzegalny uśmiech nie objął oczu i doszedł do wniosku, że nie powinien zbyt się tym ekscytować. Może to i lepiej, że trzymała się na dystans? Przynajmniej nie będzie musiał znosić częściej paplaniny i prób zaprzyjaźniania się na siłę.

Zjedli, starając się jak najszybciej przełykać, by nie czuć obrzydliwego smaku słonej spalenizny. Po posiłku Jolanta wstawiła talerze do zlewozmywaka, wytarła stół i ponownie rozłożyła na nim medykamenty. Rajner obserwował ją, gdy szorowała dłonie nad zlewem, co rusz sięgając po mydło.

– Myjesz te ręce jak chirurg – zauważył z lekkim zniecierpliwieniem. – Masz zamiar przeprowadzić operację?

Zbyła milczeniem tę uwagę, sięgnęła po jakąś buteleczkę i nagle bez ostrzeżenia spryskała mu lewą dłoń. Jezu Chryste! Zacisnął zęby, żeby nie krzyczeć z bólu, co natychmiast zauważyła.

– Możesz wrzeszczeć albo kłąć, mnie to nie przeszkadza – powiedziała cicho. – Wiem, jak to potwornie piecze. Mam wysoki próg bólu, ale za pierwszym razem nie wytrzymałam i beczałam jak małe dziecko.

Chciał zapytać, z jakiego powodu musiała użyć tego preparatu, ale w tej właśnie chwili prysnęła płynem na prawą dłoń, więc tylko mocniej zwarł szczęki. Spod zmrużonych powiek obserwował, jak osusza dłonie gazą, wyciska z tubki jakąś maść i delikatnie rozprowadza w miejscach zranień, na koniec zgrabnie owija ręce bandażem i przylepia końcówki plastrem. Obejrzał zgrabne opatrunki, w niczym nieprzypominające niekształtnych buł, które udało mu się uformować.

– Wygląda to na fachową robotę – rzekł z uznaniem. – Jesteś pielęgniarką?

– Nie, nie jestem – zaprzeczyła, chowając medykamenty do kosmetyczki, a on na próżno czekał, aż powie coś więcej. – Za chwilę powinno podzielać. Pójdę się rozpakować, a później pozmywam naczynia.

Wyszła, nie dając mu okazji do dalszej indagacji, postanowił więc, że podda ją regularnemu przesłuchaniu, gdy znów pojawi się na parterze. Chciał wiedzieć, kim ona właściwie jest. Jeśli miał ją chronić, musiał wiedzieć, przed kim i dlaczego. I przede wszystkim, czy jest warta tego, żeby narażać dla niej życie.

Minęły dopiero trzy tygodnie jej pobytu w domu Rajnera Milewskiego, a Jolanta już czuła się całkiem innym człowiekiem. Tu nikt na nią nie wrzeszczał ani jej nie poniżał, a co do strachu... Owszem, początkowo przeraziła się, że będzie

musiała mieszkać pod tym samym dachem z mężczyzną bardziej kojarzącym jej się z bandytą niż z milicjantem. Gdy przy pierwszym spotkaniu spojrzała na jego wielkie dłonie, ogarnął ją strach, a jeszcze większą obawę poczuła, gdy zaczął na nią wrzeszczeć. Gotowa była wtedy uciec stamtąd i ruszyć przed siebie, byle dalej od niego. By nie musieć więcej spoglądać na tę ponurą, jakby wyciosaną w kamieniu twarz.

Kiedy zmieniła o nim zdanie? Sama nie wiedziała, to chyba stało się stopniowo. Za to pamiętała dobrze, kiedy się zaczęło. Od pokrytych ranami dłoni i tłumaczenia, jak do tego doszło. Najpierw zdumiało ją zażenowanie Rajnera, lecz już po chwili zrozumiała, w czym rzecz. Wiedziała o nim całkiem sporo, gdyż wypytała dokładnie Swifta i Jagielskiego, chcąc mieć pewność, że nie trafi z deszczu pod rynnę. Domyśliła się więc, że mężczyzna, dla którego stawanie naprzeciwko najgorszych bandziorów stanowiło chleb powszedni, uważa zapewne takie obrażenia za dyshonor.

Tak, to wtedy po raz pierwszy zobaczyła w nim normalnego, podlegającego zwyczajnym słabościom człowieka. Zrozumiała wówczas także, dlaczego na nią krzyczał. Nie z powodu gniewu wywołanego zlekceważeniem jego poleceń, lecz ze strachu. Po prostu się o nią bał i pewnie nie umiał sobie z tym poradzić.

Teraz czuła się przy nim całkowicie bezpieczna, choć zdawała sobie sprawę, że mężczyzna jej nie lubi. Było jej z tego powodu przykro, tym bardziej że nie przypominała sobie, by mogła go czymś urazić, i wszystko wskazywało na to, że jego niechęć do niej zrodziła się, zanim jeszcze się

spotkali. Mimo to miała pewność, że nigdy by jej nie uderzył, a w razie zagrożenia gotów byłby zaryzykować życie w jej obronie.

Lęk opuścił ją całkowicie, pozostał tylko wstyd. To dlatego zaszywała się z książkami w zakamarkach domu i udawała, że czyta. Rajner był człowiekiem inteligentnym, miał też poczucie humoru, toteż rozmowa z nim była bardzo interesująca, lecz Jolanta wolala jej unikać. Wiedziała, że znów wypytywałby ją o przeszłość.

Dotychczas udawało jej się zmieniać temat lub pomijać kłopotliwe pytania milczeniem, odwlekając to, co nieuniknione. Prędzej czy później Milewski zażąda wprost, by odpowiedziała, a wtedy będzie musiała odejść. Bo prawdy nie powie mu na pewno. Nie zniosłaby jego pogardy. Litości też nie.

Świejące prosto w twarz słońce wyrwało Jolantę z zamyślenia. Koniec października upływał pod znakiem zmiennej pogody, dlatego wcale się nie zdziwiła, że po ulewnym deszczu nagle niebo zaczęło razić w oczy czystym błękitem. *Aż grzech siedzieć w domu* – pomyślała i już ruszyła do tylnych drzwi, by wyjść do ogrodu, gdy wpadła na pewien pomysł. Pójdzie na zakupy.

Cały czas gryzła się myślą, że żyje tutaj na koszt Rajnera, jednak po jego kategorycznej odmowie przyjęcia pieniędzy nie miała odwagi po raz drugi proponować zapłaty. Ale teraz go nie było, pojechał do centrum coś załatwić, toteż postanowiła skorzystać z okazji i uzupełnić zapasy, płacąc za nie własnymi pieniędzmi. Wcześniej wyliczyła, że oszczędności wystarczy jej na trzy miesiące, o ile oczywiście opłata za wynajęcie pokoju nie będzie zbyt wysoka. Tutaj mieszkała za darmo, więc nie

musiała się obawiać, że wkrótce zostanie bez grosza przy duszy.

Szybko się przebrała w bluzkę na stójce i ze znienawidzonymi długimi rękawami, zabrała siatkę i portmonetkę, po czym wyszła z domu. Czuła się dziwnie, idąc rzadko uczęszczaną ulicą pokrytą dziurawym asfaltem. Wiedziała od Rajnera, że kiedyś była to droga prowadząca do centrum, lecz po wybudowaniu zapory spory jej kawał znalazł się pod wodą. Wybudowano nową, okrążającą tamę, a niezatopiony fragment starej służył tylko mieszkańcom tej części Czarnego.

Ale to nie maszerowanie starą drogą wywoływało w niej uczucie, którego nie umiała zdefiniować, tylko wrażenie, że zewsząd obserwują ją czyjeś czujne oczy. Zerknęła na boki, lecz nikogo nie zauważyła, przystanęła więc i obejrzała się dyskretnie, markując szukanie czegoś w torebce. Teraz już wiedziała, że uczucie bycia śledzoną nie jest symptomem paranoi. Naprawdę ktoś za nią szedł.

W pierwszej chwili spanikowała i omal nie zerwała się do ucieczki, na szczęście rozsądek wziął górę nad strachem i Jolanta zmusiła się, by pójść dalej w tym samym tempie. Idący za nią mężczyzna nie był Tarnawą. Zapewne zmierzał do sklepu lub na przystanek, a że się w nią wpatrywał? Nie widziała w tym nic podejrzanego, wszak była tutaj obca, więc siłą rzeczy musiała wzbudzić zainteresowanie.

Mimo to poczuła przebiegający po plecach dreszcz strachu, gdy usłyszała, że przyspieszył kroku. Na szczęście widziała już sklep i chyba jeszcze nigdy tak bardzo jej nie ucieszył widok prostokątnego

parterowego budynku, identycznego z innymi gęsto rozsianymi po całej Polsce. Szła teraz tak szybko, że bardziej przypominało to bieg, ale jeśli nawet ktoś z tego powodu miałby wziąć ją za wariatkę, Jolantę niewiele to obchodziło. Tu, na zewnątrz, z mężczyzną idącym za nią krok w krok, nie czuła się bezpieczna, a jak na razie prawo nikomu nie wzbraniało biec do sklepu.

Szarpnęła drzwi i wpadła do środka, gdzie znajdowało się zaskakująco dużo ludzi jak na tak małą osadę. Cztery kobiety, z których dwie chyba zdążyły już zrobić zakupy, co Jolka wywnioskowała po opartych o łydki wyładowanych siatkach, plotkowały z ekspedientką, dwie inne natomiast dyskutowały nad pogarszającą się jakością wędlin. Tuż przy drzwiach, na szerokim parapecie, siedzieli dwaj mężczyźni i popijali piwo. Dla trzeciego zabrakło miejsca, stał więc przy nich i także dzierżył w dłoni ciemnobrązową butelkę.

Na nieco zbyt głośne „dzień dobry” obecni zwrócili się w jej stronę i zgodnym chórem odpowiedzieli na pozdrowienie, a nim dziewczyna zdążyła podejść bliżej, ekspedientka gestem nakazała kobietom, by odsunęły się od lady, i zapytała:

– Co podać?

Gorejąca w jej oczach ciekawość świadczyła wyraźnie, że kobieta miała ochotę ją zaspokoić, pytając o coś zupełnie innego. Jolanta udała, że się zastanawia, choć wcześniej dokładnie przeanalizowała zasoby spiżarni Milewskiego, przez co określenie potrzeb nie wymagało przemyśleń. Szybkie zakupy nie wchodziły jednak w grę, a nie mogła przecież powiedzieć, że chce tutaj trochę pobyć, by zyskać pewność, że idący za nią człowiek

jej nie śledził, tylko całkiem przypadkiem szedł w tę samą stronę.

– Najpierw się trochę rozejrzę, dobrze? – Zrobiła zakłopotaną minę. – Zapomniałam kartki i połowa rzeczy uciekła mi z głowy.

Nie skończyła jeszcze mówić, gdy do sklepu znowu ktoś wszedł. Tym razem kobieta stojąca za ladą nie zareagowała tak przyjaźnie, jak w przypadku Jolki. Skinęła dziewczynie głową i zwróciła się do nowego klienta ze źle skrywaną niechęcią:

– A pan co? W dziupli chowany, że drzwi zamknąć nie umie?

Mężczyzna zasapał gniewnie, lecz najwyraźniej zawrócił, gdyż chwilę później rozległo się charakterystyczne trzaśnięcie. Jolanta zerknęła w tamtym kierunku i ujrzała tego samego człowieka, który podążał za nią krok w krok. *Ty kretynko* – strofowała się w myślach, walcząc z ochotą do śmiechu. Stwierdziła, że powinna zacząć się leczyć, skoro widzi napastnika nawet w takim niepozornym, niemłodym już mężczyźnie, którego jedyną przewiną było, że chciał zrobić zakupy w tym samym miejscu i czasie co ona.

Tymczasem on podszedł do lady, stanął tuż obok, lecz nie kwapił się do wymienienia potrzebnych mu towarów. Nie spuszczał wzroku z Joli, ale to ekspedientka zareagowała na jego nietypowe zachowanie.

– Tu nie kino, panie Żaczek. Chce pan coś kupić? Bo jak nie...

– Ty, Wańdziok, zawrzij gembe i mnie nie szteluj – pouczył ją mieszaniną wiślańskiej i śląskiej gwary,

po czym zwrócił się do Jolanty:

– Pani mieszka u Milewskiego.

Tym razem mówił czystą polszczyzną. Nie było to pytanie, więc nie odpowiedziała, zareagowała za to jedna z obecnych w sklepie kobiet.

– Jezderkusie! U tego mordercy?!

– Czemu mordercy? – wyjąkała zaskoczona dziewczyna. – Pan Milewski może wygląda trochę groźnie, ale nie jest żadnym mordercą, tylko...

– Nie jest? – przerwał jej Żaczek. – Akurat! Kolekcjoner Dorot, tak go nazywają w Bielsku. A wie pani czemu?

Pokręciła głową, bardziej w geście niedowierzania niż w odpowiedzi na pytanie. Na ten widok do rozmowy włączyła się inna kobieta.

– Bo zabił trzy kobiety – oznajmiła z taką satysfakcją, jakby to ona osobiście dokonała mordu. – I wszystkie miały na imię Dorota.

Jola przypomniała sobie rozmowę z Rajnerem o wyborze nowego imienia i zrobiło jej się trochę niewyraźnie. Mężczyzna zauważył to i zapytał:

– A pani jak ma na imię? Mam nadzieję, że inaczej, bo moja córka... Najpierw ją więził w domu, a na początku września zniknęła. Miała na imię Dorota.

Nie mogła uwierzyć, by Rajner zrobił coś takiego, jednak niemal wszyscy obecni w sklepie zdawali się święcie wierzyć w jego winę. Niemal, bo na twarzy ekspedientki zauważyła grymas świadczący o tym, iż kobieta uważa słowa Żaczka za brednie. Podobnego zdania musiał być także jeden

z konsumentów piwa, nagle bowiem wstał i podszedł tak blisko miotającego oskarżeniami mężczyzny, że prawie oparł się piersią o jego pierś.

– Nie pierdol, Panoczek, że ją więził, bo wszyscy wiedzą, że miała dość bicia i sama do niego poszła.

Co ciekawe, Żaczek co prawda poczerwieniał ze złości, ale nie zakwestionował jego słów, sięgnął natomiast po inny argument:

– To czemu nie wychodziła z domu? Nie przyszła odwiedzić chorej matki i nawet nie wpuściła mnie za furtkę?

– Bo wiedziała, że jak wyjdzie, to już nie pozwolisz jej tam wrócić. Tfu! – Mężczyzna cofnął się o krok i splunął Żaczkowi pod nogi. – Trzeba być ostatnim bydlakiem, żeby bić dziewczynę w ciąży!

– Moja córka, moja sprawa! – ryknął ojciec zaginionej dziewczyny. – Mordercy bronisz, ciulu?!

Ekspedientka w końcu straciła cierpliwość.

– Co się pan tak wydziera? Trza było iść na milicję... Ale pan wolał zabrać braci i kumpla i w czterech rzucić się na jednego. Tchórze! – prychnęła pogardliwie i zwróciła się do Joli z szerokim uśmiechem. – Szkoda, że pani nie widziała, jak stamtąd potem sieprzali!

– Milewski spuścił im taki wpierdol, że leżeli jak stówki, a Jura to ponoć nawet w galaty narobił – znów włączył się mężczyzna. – Tadziok Gruca mi o tym mówił, a on tam przecież był. Wzięli go do pomocy, ale był mądrzejszy i powiedział Milewskiemu, że nie chce się bić. I se poszedł, a teraz się kumplują i on mówił...

– Zamknij się, nikt cię nie pytał o zdanie! – wrzasnął Żaczek i zwrócił się do ekspedientki: – Myślisz, że nie byłem na milicji? Od razu pojechałem, jak tylko ludzie zaczęli gadać, że Milewski znowu mieszka sam. Ale te chuje z nim trzymią, bo to też ponoć gliniarz. Niby obiecali, że sprawdzą, a po paru dniach przyjechał dzielnicowy i powiedział, że Dorota wcale nie zaginęła, tylko wyjechała.

– Czyli sprawdzili – stwierdziła. – To czemu pan opowiada, że Milewski ją zabił?

– Bo dzielnicowy na pewno cygani – zaperzył się Żaczek. – Nie wierzę, że wyjechała, bo czemu nie chciał powiedzieć, gdzie teraz mieszka?

Ekspedientka już miała mu odpowiedzieć, lecz przysłuchujące się dyskusji kobiety nie dopuściły jej do słowa, mówiąc jedna przez drugą.

– Dyć to jasne, że jó zabił, a pote zakopół kajsik w lesie albo do zapory wchenył.

– Innego by downo do harestu zawrzili, ale blachorz se chodzi wolny.

– Najmłodszo dzieucha łód Bujoka ze Sigły też mo Dorota na miano. Trza mu skozać, coby wahowoł kole chałpy.

– Ale! Psińco mu przindzie z tego wahowanio! Przeca Doroty łód Panoczka morderca z chałpy nie porwoł, jeny sama ku niemu poszła.

Jeden z siedzących na parapecie mężczyzn zaproponował postawienie przed domem Milewskiego strażnika pilnującego każdego kroku mordercy i wtedy ekspedientka nie wytrzymała.

Wyszła zza lady, energicznym krokiem przemierzyła sklep i otworzyła drzwi na całą szerokość.

– Już mnie nasrało to wasze fulanie! Wynocha mi stąd!

Kobiety popatrzyły z urazą, ale widać doszły do wniosku, że lepiej ze sklepową nie zadzierać, bo bez dyskusji ruszyły w stronę wyjścia, a mężczyźni podążyli za nimi. Wkrótce w sklepie pozostali tylko Jolanta i Panoczek.

Ekspedientka wróciła za ladę, mrugnęła do Joli i zwróciła się do ojca zaginionej dziewczyny, absolutnie niewyglądającego na zgnębianego:

– Co podać, panie Żaczek? Bo pan przecież na zakupy tu przyszedł – stwierdziła z niewinną miną.

– Mam w rzuci całe zakupy – wrzasnął i wybiegł ze sklepu.

– On tu chyba przylazł po to, żeby mnie ostrzec przed Rajnerem – wyjaśniła Jola. – Szedł za mną całą drogę i już myślałam, że chce na mnie napaść.

– To idiota, w dodatku chciwus jakich mało. Jest wściekły na Milewskiego, bo chciał go naciągnąć na pożyczkę. – Ostatnie słowo wymówiła z taką intonacją, że Jolanta nie miała wątpliwości, iż był to eufemizm. – Nie wierzę w to gadanie.

– Ja też nie – odpowiedziała dziewczyna z całkowitym przekonaniem. – Pomógł mi, chociaż nie musiał. W dodatku mieszkam u niego od trzech tygodni, a ciągle żyję. – Uśmiechnęła się krzywo. – Na drugie mam Dorota i on o tym wie.

Kobieta odwzajemniła uśmiech.

– Pan Milewski to dobry człowiek. Pod koniec sierpnia przyszło tu kilku chłopaków, podobno z tej chaty, co se ją pod Wyśnim wyrzucali. Byli pijani. Zaczepiali ludzi, a jak im kazałam wyjść, zaczęli zrzucać towar z półek, rozbijali butelki z sokiem, deptali po torebkach z cukrem i mąką...

– O kurde! Dobrze, że pani nic nie zrobili.

Przejęta Jolka spojrzała pytająco na ekspedientkę i poczuła ulgę, gdy ta odpowiedziała, że nie zdążyli.

– Gdyby nie pan Milewski, mogłoby się skończyć nieciekawie. Ale... Szkoda, że pani tego nie widziała! Wszedł do sklepu, ogarnął wzrokiem pobojuwisko i powiedział, że mają zapłacić za szkody i mnie przeprosić, i dopiero wtedy będą mogli wyjść. Śmiali się i go wyzywali, a on stał i patrzył na nich z taką miną, że sama się przestraszyłam.

Jola wiedziała dobrze, o jakiej minie kobieta mówi. Widziała ją raz i miała nadzieję więcej nie oglądać.

– Wcale się nie dziwię. Kiedyś taki młody facet przechodził obok, gdy siedziałam przed domem, i nazwał mnie kurwą. Rajner kazał mu przeprosić i tak przy tym wyglądał, że gość o mało nie padł przede mną na kolana.

Ekspedientka wyjaśniła, że był to z pewnością jeden z synów Żaczka, który zaraził ich nienawiścią do kuzyna. Kiedy zmarła Helena Milewska, był pewien, że to on odziedziczy jej majątek, choć nie miał ku temu żadnych podstaw.

– O mało go szlag nie trafił, gdy wyszło na jaw, że Milewska miała wnuka i że to on jest spadkobiercą. A wtedy – wróciła do wcześniejszego tematu – to on

patrzył na nich, a potem powtórzył, że mają zapłacić, przeprosić i wypierdalać. Tylko że wie pani, jak jest, kiedy ktoś bierze odwagę z promili. Zamiast usłuchać, wystartowali do niego z łapami... – Urwała i bezradnie rozłożyła ręce. – Do dziś nie wiem, jak to zrobił. Ich było trzech, a chyba nie zajęło mu to nawet pół minuty, jak znaleźli się na ziemi z gębami wciśniętymi w mąkę zmieszaną z sokiem wiśniowym.

Na wspomnienie pociesznego widoku parsknęła śmiechem, a obdarzona bujną wyobraźnią Jolanta jej zawtórowała. Potem pokręciła głową z podziwem.

– Że też nie próbowali zwać. W końcu było ich trzech...

– Jeden próbował – opowiadała rozweselona kobieta. – Wstał, a wtedy pan Milewski zapytał, co woli mieć złamane, rękę czy nogę. Tamten od razu z powrotem padł na ziemię i wstał dopiero wtedy, gdy dostał pozwolenie. Przeprosili, zapłacili za szkody, a potem błagali, żeby nie wzywać milicji. – Zamyśliła się na moment, po czym rzuciła twardo: – Nigdy nie uwierzę, że miał coś wspólnego ze śmiercią tych kobiet, tym bardziej że podobno jedną z nich była jego żona. Moim zdaniem ktoś celowo rozpuszcza te plotki. Dobrze, że nasza milicja nie dała się na nie nabrać.

Po pewnym czasie obładowana siatkami Jolanta wróciła do domu. Rajnera jeszcze nie było, za co poczuła wdzięczność do losu, gdyż chciała najpierw schować w spiżarni świeżo kupione produkty. Przewidywała, że nie przyjąłby spokojnie faktu, że zignorowała jego słowa, iż nie potrzebuje jej pieniędzy. Nie chciała żyć na jego koszt, w dodatku z tego, co słyszała od Jagielskiego i Swifta,

wywnioskowała, że on także może zostać bez pracy, a wtedy przydadzą mu się oszczędności.

Prócz tego Rajner miał jeszcze jeden powód do gniewu, z czego zdała sobie sprawę dopiero w drodze do domu. Tak bardzo się zafiksowała na konieczności bodaj częściowego zrekompensowania mu wydatków, że zlekceważyła zasady bezpieczeństwa, które wcześniej wbijał jej do głowy. „Nigdy nie wychodź sama poza ogrodzenie”, „nie wdawaj się w pogawędki z nieznanymi”, „nie otwieraj obcym”, „unikaj skupisk ludzi” i jeszcze wiele innych, już mniej ważnych. Z tych czterech kardynalnych za jednym zamachem złamała aż trzy, więc raczej nie mogła się łudzić, że mężczyzna przyjmie to ze spokojem.

– Ale przynajmniej przestał obnosić tę obojętną minę i zachowuje się jak normalny człowiek – mruknęła.

Nie miała pojęcia, komu lub czemu przypisać tę zmianę, i nie przyszło jej do głowy, że to w niej tkwiło coś, co wyzwalało tak wielkie emocje, że Rajner nie był w stanie nad nimi zapanować.

Musiała także w spokoju przemyśleć to, co dzisiaj o nim usłyszała. Nie miała dotąd pojęcia, że był wdowcem, a już tym bardziej nie wiedziała, że utracił żonę w tak tragicznych okolicznościach. Ciekawe, czy był świadomy krążących o nim plotek i czy poznał ich treść. Miała nadzieję, że nie. Postanowiła, że od niej na pewno się o nich nie dowie. Mogła dla niego zrobić przynajmniej tyle.

Rozdział 28

Żądza mordu

Listopad 1986, Bielsko-Biała

Oderwał wzrok od notatek i rzucił w przestrzeń pustego pokoju soczystą wiązaną. Siedział nad tymi zapiskami już ponad dwa tygodnie, analizując każde słowo, lecz nadal wiedział tyle, co na początku. Czyli nic.

Na zgrzyt otwierających się drzwi Jagielski poczuł, że znów ogarnia go złość. Przecież wyraźnie zapowiedział kolegom, że aż do odwołania nie wolno im tu wchodzić i odrywać go od pracy, w przeciwnym razie budynek komendy będzie gęsto usłany trupami. Uniósł głowę, chcąc zmrozić intruza wzrokiem, a gdy napotkał kpiące spojrzenie ciemnoniebieskich oczu, westchnął ciężko i wyprostował zgarbione plecy. Może to i dobrze, że Swift go odwiedził? Oderwanie myśli od analizowanego problemu często daje zaskakujące

efekty. Jagielski liczył na taki właśnie rezultat przerwy.

– Twoi kumple powiedzieli, że nie wolno tu wchodzić – zagaił Norbert. – Byłem pewien, że cię przyłapię na trzepaniu gruchy lub podobnie miłym zajęciu, a tu nic – stwierdził z wyraźnym ubolewaniem.

– Tu jest milicja, nie esbecja – przypomniał mu Jurek. – Już zapomniałeś, co powiedział Zapała?

Tymi słowami nawiązał do wypowiedzi byłego już kolegi, który na pytanie zadane mu przez funkcjonariusza SB, dlaczego przesłuchiwał bez jego wiedzy znanego opozycjonistę, odpowiedział bez wahania: „Tu jest milicja, nie esbecja, my się z nikim nie będziemy pierdolić”. Rozmowa odbywała się przez telefon, nie mógł więc widzieć twarzy dzwoniącego i później tłumaczył się nieporadnie, że nie dosłyszał nazwiska, dlatego nie miał pojęcia, że rozmawia z naczelnikiem wydziału.

Ta gafa stała się jego ostatnim gwoździem do trumny i Zapała wreszcie opuścił wydział dochodzeniowo-śledczy. Przeniósł się do jednego z gminnych komisariatów, lecz i tam już podobno zdążono się na nim poznać.

Na dźwięk jego nazwiska Norbert parsknął śmiechem.

– Wiesz, co mówią teraz o tym naczelniku? Że zyskał u was nowe doświadczenie seksualne, bo złapał Zapałę.

Było to wielce prawdopodobne; funkcjonariusze nie zwykli przepuszczać takich okazji. Jagielski uśmiechnął się, po czym przeszedł do rzeczy.

– Masz do mnie jakąś sprawę? Bo jestem trochę zajęty.

– Pogadać chciałem. O Elce. – Norbert do niego mrugnął. – Dzwoniłeś do nich ostatnio? Bo Inga mnie męczy...

– Lucy też mnie męczy – przerwał mu Jurek. – Nie daje sobie powiedzieć, że lepiej zbyt często się z nimi nie kontaktować. Równie dobrze mógłbym przemawiać do pluszowego misia Alicji.

Machnął bezradnie ręką, a potem zaklął, gdy pęd powietrza zdmuchnął z biurka kartki i rozesłał je u stóp Swifta. Ten kucnął, by je pozbierać, rzucił przy tym okiem na widniejące na nich zapiski i zamarł.

– Co to jest? Kurwa mać, Jurek! Gromadzisz haki na kumpli czy jak?

Spojrzał groźnie, lecz Jagielski tylko wzruszył ramionami.

– Nie gromadzę żadnych haków, tylko wiedzę operacyjną. Daj mi te kartki i zapomnij, że je widziałeś.

– Wiedzę operacyjną – powtórzył Norbert wolno. – O swoich kolegach z wydziału? O innych milicjantach też? – Wziął do ręki następną kartkę, przeczytał fragment i skrzywił się jak po zjedzeniu cytryny. – Nawet „specjalnym” nie darowałeś. A my? Nie widzę tu nikogo z SB i nie wiem, czy to wyróżnienie, czy poniżenie.

Podczas swojej przemowy nie odwracał wzroku od kolegi, lecz nie zauważył zawstydzienia czy chociażby zmieszania. Jerzy spokojnie czekał, aż

Swift wypowie się do końca, i dopiero wtedy się odezwał:

– Daj mi to. Zdobycie tych informacji zajęło mi kupę czasu i szlag by mnie chyba trafił, gdyby kartki się zniszczyły.

Norbert podał mu notatki, lecz robił to z wyraźną niechęcią.

– Powiesz mi, o co w tym chodzi?

Jagielski odebrał kartki, złączył spinaczem i schował do biurka. Potem popatrzył na kolegę i odpowiedział pytaniem:

– Nie zastanowiło cię, skąd zabójca wiedział, że Rajnera nie ma w domu?

Poczuł satysfakcję, gdy ujrzał minę Swifta świadczącą o kompletnym zaskoczeniu, zaraz jednak mina mu zrzędła. Sam też w tej sprawie nie błysnął.

– Nigdy się nad tym nie zastanawiałem – przyznał uczciwie Norbert. – A powinienem był to zrobić.

– Ja też nie. Dopiero Ochabczyk... Zainteresował się tą kwestią podczas przesłuchania Karata. Planowałem się tym zająć, ale nie miałem czasu, a potem zwyczajnie zapomniałem. – Niespodziewanie Jerzy parsknął śmiechem. – Wyszło na to, że mój ulubiony prokurator działa na mnie inspirująco, bo kiedy ostatnio z nim rozmawiałem, doszedłem do wniosku, że ten, kto rozsiewa plotki o Rajnerze, musi być milicjantem.

– Skąd taki pomysł? – spytał Swift, po czym sam odpowiedział na swoje pytanie: – Chodzi ci o to, że za każdym razem te pogłoski najpierw zaczynają krążyć po komendzie, a dopiero potem

rozprzestrzeniają się dalej? Faktycznie tak jest, ale jakoś nie przywiązywałem do tego wagi.

– Ja też nie, i teraz myślę, że to był błąd. Bo jaki ktoś mógłby mieć powód, żeby kierować podejrzenia na Milewskiego?

– Hiler – zaczął Norbert, lecz Jagielski mu przerwał:

– Hiler ma już to, co chciał, bo Rajner trafił do zamrażarki, a mimo to ciągle pojawiają się nowe plotki. Poza tym ZOMO stacjonuje w Wapienicy i większość z naszych ma z nimi znikomy kontakt. Nie, Norbert, to musi być ktoś stąd.

Swift przez jakiś czas usiłował rozwikłać problem, wreszcie z cichym westchnieniem ogłosił kapitulację.

– Poddaję się. Nie mam pojęcia, po co ktoś miałby to robić.

– Tu akurat widzę tylko jedno wyjaśnienie – odparł Jerzy. – Po to, żeby odsunąć ewentualne podejrzenia od siebie.

Listopad 1986, Wisła

Minął już miesiąc, a Rajner nadal nie wiedział nic o swoim gościu. Jolanta Strzelińska nie przejawiała ochoty do spoufalania się. Stroniła nawet od zwykłej, niezobowiązującej rozmowy o niczym, przesiadując albo u siebie na piętrze, albo w dziennym pokoju, gdzie zaszywała się w jakimś zakamarku z nieodłączną książką w ręce. Pytania

o swoją przeszłość po prostu ignorowała, sama również nie mówiła o sobie niczego, co mogłoby doprowadzić go do jakichś wniosków. Na plus zapisał jej, że o nic nie pytała. Nie wiedział, czy nie chciała być wścibska, czy po prostu jej to nie interesowało, ważne, że nie musiał stosować uników czy uciekać się do kłamstw.

Wykonywała bez słowa zlecane jej prace, ale od siebie ani razu nie zaproponowała, że w czymś go wyręczy. Zjadała bez słowa protestu byle jak przyrządzone posiłki, założył więc, że na gotowaniu zna się jeszcze mniej niż on. Zaraz po przybyciu wręczyła mu plik banknotów, wyjaśniając, że to należność za pobyt i wyżywienie, a gdy zdecydowanie odmówił przyjęcia, schowała pieniądze do portmonetki i więcej nie wróciła do tego tematu. Był jej za to wdzięczny, nie zamierzał bowiem pobierać opłaty za coś, co uważał za spłatę długu wobec przyjaciół.

Na początku obserwował ją ukradkiem, bezwiednie marszcząc brwi, gdy widział, jak mało jada i jak szybko się męczy. Podejrzewał jakąś chorobę i martwił się tym, gdyż wizyta lekarza mogła zniweczyć jej incognito. Na szczęście z każdym dniem następowała poprawa i w końcu uznał, że jedyne, co dziewczynie dolegało, to stres. Prawdopodobnie miała nerwy napięte do ostatnich granic, przez co straciła apetyt, a to przełożyło się na kondycję fizyczną. W takim razie już wkrótce wszystko powinno wrócić do normy.

Ogólnie rzecz biorąc, Jolanta Strzelińska, zwana przez niego Elką, nie była kłopotliwym gościem, a jednak tkwiło w niej coś, co nie pozwalało mu jej polubić. Może to ta twarz, stanowczo zbyt piękna

dla zwyczajnej dziewczyny? Rajner nieraz łapał się na snuciu podejrzeń, że koledzy go okłamali, przedstawiając Strzelińską jako niewyróżniającą się niczym osobę, która z powodu nieszczęśliwego zrządzenia losu wpadła w kłopoty. Może była aktorką? Nie orientował się zbyt w stanie osobowym polskiej kinematografii, więc nie mógł tego wykluczyć.

Oprócz urody denerwowało go też, że Jolka farbuje włosy. Nie lubił, gdy kobiety przesadzały z kosmetykami, a farbowanie włosów przez tak młodą osobę wydawało mu się bezsensowne. W dodatku na taki kolor. Naprawdę myślała, że z tymi miedzianymi lokami wygląda naturalnie? I to zasłanianie dekoltu i ramion, jakby była zdania, że odsłonięcie kawałka nagiego ciała sprowokuje go do lubieżnego ataku.

Co dziwne, paradowanie po domu w szortach najwyraźniej nie budziło takich obaw, i Rajnera nieraz korciło, by wyznać jej, że kilkakrotnie śniły mu się te długie nogi, w dodatku w sytuacjach niepozostawiających żadnych wątpliwości co do treści sennych majaków. Widocznie trwający blisko dwa lata celibat odbił się negatywnie na psychice, stwierdził, gdy pierwszy raz uświadomił sobie, że osoba, której nie lubi, pojawiła się w roli głównej erotycznego snu.

Rajner odstawił pustą szklankę, wstał i wyszedł z domu. Zabrał łopatę z szopki na narzędzia, mierząc przy okazji wzrokiem spróchniałe deski. Będzie musiał zająć się naprawą, inaczej stary domek może nie przetrzymać zimy. Ale to później, teraz zamierzał dokończyć prace ogrodowe.

Panujące w październiku upały ustąpiły równo z nadejściem listopada, jakby nastanie nowego miesiąca spowodowało, że musiały się natychmiast wycofać. Pogoda wprawdzie nadal dopisywała, choć kalendarzowa jesień nadeszła sześć tygodni temu, ale babie lato w każdej chwili mogło się skończyć, przynosząc opady śniegu z deszczem, a nawet przymrozki. Musiał więc wykorzystać piękną aurę i wykonać to, co zamierzał.

O drugiej po południu z cichym stęknieniem rozprostował pochylony grzbiet i wbił łopatę w świeżo skopany grunt. Przeniósł wzrok na kupę uschłych badyli i zielonych łodyg chwastów i z satysfakcją skinął głową. Udało mu się wykonać zaplanowaną normę i część ogrodu jeszcze wczoraj przypominająca dżunglę została oczyszczona. Zdecydował, że jutro pojedzie do centrum na targ, kupi kilka ozdobnych krzewów i od razu je posadzi. Miał wrażenie, że można to robić zarówno na wiosnę, jak i jesienią. Zresztą może o to zapytać sprzedających, na pewno udzielą mu wskazówek.

Idąc w stronę domu, zastanawiał się, gdzie zniknęła Jolka, jeszcze jakiś czas temu snująca się bez celu w drugiej części ogrodu. Pewnie znowu siedzi w swoim pokoju i czyta. Że też jeszcze jej się to nie znudziło. Sam już dawno chodziłby po ścianach z beczynności lub na siłę znajdowałby sobie zajęcie. Ale przynajmniej wyleczyła mu ręce.

Mimo woli rozprostował dłonie i zerknął na ich wnętrza, wspominając, jak pod wpływem zaaplikowanej maści ból zelżał, by po kilku minutach całkiem zniknąć. A gdy następnego dnia Rajner, niebacznie zamoczywszy opatrunki, odwinął bandaż, ze zdumieniem odkrył, że rany

przystały ropieć i krwawić. Zaczerwienienie i opuchlizna zniknęły, a w ich miejsce pojawiły się cieniutkie strupki – znak, że rozpoczął się proces gojenia.

Teraz po ranach nie został nawet ślad i dłonie były jedynie brudne. Milewski wszedł do łazienki, wciągnął głęboko w płuca delikatny kwiatowy zapach, który pojawił się tu wraz z przybyciem Jolki, i dokładnie wyszorował ręce. Nie znosił prac ogrodowych, a na widok ziemi za paznokciami dostawał dreszczy. Przemył twarz, zauważywszy na czole ciemną smugę, potem przyjrzał się krytycznie przybrudzonej odzieży i uznał, że całe to mycie nie miało sensu. Bardziej potrzebny był mu prysznic.

Dziesięć minut później przegarnął dłonią wilgotne jeszcze włosy i ze świeżą energią poszedł do kuchni, by przyrządzić coś, co można będzie przy sporej dozie uporu uznać za posiłek. Tym razem zdecydował się na makaron z sosem, który został od wczoraj. Może zdoła ugotować te cholerne świderki tak, by nie zamieniły się w papkę?

W drzwiach kuchni stanął jak wryty, zaskoczony niecodziennym widokiem. Na piecu stały trzy garnki, w których coś perkotało, a siedząca przy stole Jolka, ubrana w koszulkę na ramiączkach, z zapalem siekała jakieś zielone listki. W pomieszczeniu unosił się intensywny zapach, tak smakowity, że mężczyzna głośno przełknął ślinę.

Zrobił to zbyt gwałtownie. Zakrztusił się, zakaszał i te odgłosy wyrwały dziewczynę z zamyślenia. Drgnęła na widok Rajnera i zerwała się z krzesła. Potem złapała wiszącą na oparciu bluzkę z długimi rękawami i obróciwszy się do mężczyzny plecami, czym prędzej ją nałożyła.

Milewski opanował wreszcie kaszel, otarł załzawione oczy i spojrzał na Jolanę uważnie, odniósł bowiem wrażenie, że coś zobaczył. Coś, czego się nie spodziewał i co absolutnie nie powinno mieć miejsca. Nie był jednak pewien, a nie chciał się dopytywać, żeby jej nie spłoszyć zbytnią nachalnością.

Pod wpływem jego wzroku dziewczyna wyraźnie się zmieszała. Nerwowo zagryzała wargi, ciało się usztywniło, a ruchy z oszczędnych stały się chaotyczne. Podnosiła i opuszczała pokrywki bez zaglądania do wnętrza garnków, przedstawiała wyjęte produkty, by już po chwili położyć je na dawnym miejscu, aż w końcu trącona kolejnym niezbornym ruchem butelka z olejem przeleciała na środek kuchni.

Jolanta zastygła w bezruchu i tylko jej oczy jak zahipnotyzowane śledziły butelkę kręcącą się wokół własnej osi i wychlustującą wkoło gęstą żółtawą ciecz. Rajner także obserwował wirowy ruch niesforne go przedmiotu. Nagle drgnął i dziewczyna bezwiednie skuliła się jak w oczekiwaniu na atak, ten jednak nie nastąpił. Bezgranicznie zdumiona popatrzyła na zaśmiewającego się mężczyznę. Nie mógł wiedzieć, że zaskoczyła ją jego reakcja, tak różna od reakcji jej byłego męża, w dodatku całkiem niepodobna do prawie zawsze opanowanego aż do granic absurdu Milewskiego.

– Ciebie też wprowadziło to w trans? – spytał, wskazując butelkę, która wreszcie zaczęła zwalniać.
– Zamiast ją złapać, gapiliśmy się na nią, jakbyśmy grali w marynarza, które z nas ma skoczyć po flaszkę. Przez to olej zachlastał całą kuchnię i teraz trzeba będzie uważać, żeby się nie poślizgnąć.

Skinęła tylko głową i drżącymi rękami sięgnęła po ścierkę.

– Zaraz to sprzątnę. Wymyję podłogę tak, że nie zostanie nawet ślad. Naprawdę. – Milczał, spoglądając na nią nieruchomym wzrokiem. Zagryzła wargi, po czym zaczęła od nowa, a w jej głosie pojawiły się błagalne tony: – Ja nie chciałam... Sama nie wiem, jak to się stało, ale zaraz posprzątam...

Początkowo słuchał tego ze zdziwieniem, gdy nagle prawda objawiła mu się z całą wyrazistością. Wreszcie pojął, dlaczego Jolanta potrzebowała schronienia, zrozumiał też powody jej dziwnego zachowania, uświadomił sobie również, że to, co przed chwilą zwróciło jego uwagę, było mozaiką blizn. Zalała go taka fala wściekłości, jakiej jeszcze nigdy nie doświadczył. Na próżno przywoływał w pamięci strofy poezji Rilkego, bezskutecznie starał się głębokimi haustami powietrza wyregulować zbyt szybki oddech. Furia nie chciała go opuścić, co gorsza, przynajmniej jakaś jej część musiała przebić maskę obojętności, gdyż dziewczyna powoli, ledwie zauważalnymi krokami przesunęła się w stronę stołu, gdzie na desce do krojenia nadal leżał świeżo naostrzony nóż. Złapała go niezgrabnie i zwróciła się w stronę nadal stojącego bez ruchu mężczyzny.

– Nie dotykaj mnie! Słyszysz? Nie podchodź do mnie, bo cię zabiję!

Z całej jej postaci biła rozpaczliwa determinacja, a Rajner poczuł niespodziewaną ulgę, bo słowa dziewczyny i ręka wymachująca nożem świadczyły, że nadal tli się w niej wola walki. Ten ktoś, kto na

całe życie ją naznaczył, nie zdołał złamać w niej ducha.

– Odłóż to – powiedział spokojnie. – Nie będzie ci potrzebny.

Pokręciła głową. Nóż znowu zatoczył łuk, zbliżając się niebezpiecznie blisko jego piersi, lecz mężczyzna tylko się uśmiechnął. Nie mogła wiedzieć, że dla niego nie stanowi to żadnego zagrożenia.

Wyciągnął prawą rękę, markując zamiar odebrania jej ostrego narzędzia, a ona bezwiednie skierowała je w tamtą stronę. Wzrok Jolanty także podążył w tym kierunku, a wtedy Rajner błyskawicznym ruchem lewej ręki złapał ją za nadgarstek, kierując go w górę i ściskając jednocześnie. Nóż z cichym brzękiem odbił się od leżącej na stole miski i spadł na podłogę, a unieruchomiona silnymi ramionami dziewczyna na próżno się szamotała, usiłując odzyskać swobodę ruchów.

– Nie szalej – mruknął. – Nic ci nie zrobię. Nie jestem...

Nie dokończył, bo naraz przyszedł mu do głowy całkiem inny powód jej dziwnego zachowania. Nie miał przecież pewności, że to, co widział na jej ramionach, było mozaiką stworzoną z blizn. Może do niej również dotarły plotki, które jakimś cudem przywędrowały tu za nim i z każdym dniem coraz bardziej się rozprzestrzeniały?

– Myślisz, że naprawdę jestem Kolekcjonerem Dorot? – spytał wprost i dopiero gdy to powiedział, pojął, że jeśli o niczym nie słyszała, będzie musiał ją uświadomić, z kim dzieli dom. Pożałował, że nie da się cofnąć wypowiedzianych słów.

– A ty myślisz, że gdybym uważała, że nim jesteś, nie znalazłabym sposobności, żeby stąd uciec? – wymamrotała niewyraźnie, z twarzą przyciśniętą do jego piersi.

Cofnął się odrobinę, tylko na tyle, by móc spojrzeć jej w oczy.

– Kiedy się dowiedziałaś, co o mnie mówią?

– Pod koniec października. Nie wspomniałam o tym, bo to podłe kłamstwa. Nigdy nie uwierzę, że mógłbyś...

– Nie? – przerwał jej pytaniem. – To dlaczego tak się mnie bałaś, że aż sięgnęłaś po nóż?

– Tak jakoś wyszło.

Nie powiedziała nic więcej i Rajner westchnął ciężko. Wiedział, że poczuje się upokorzona tym, co zamierzał zrobić, ale nie widział innego wyjścia. Musiał poznać prawdę, by móc ocenić stopień zagrożenia.

– Zdejmij bluzkę – polecił krótko.

Spłoszyła się i znów usiłowała rozerwać opasujące ją kajdany ramion.

– Nie ma mowy! – wrzasnęła, a na twarz wrócił grymas paniki.

Nie odpowiedział, zdawał sobie sprawę z tego, że jest zbyt wystraszona, by trafiły do niej jakiekolwiek argumenty. Musiał załatwić to inaczej.

Niespodziewanie zwolnił uchwyt. Stało się to tak szybko, że Jolanta nie zdążyła zareagować i tylko pisnęła, gdy tuż obok jej policzka błysnęło ostrze wielkiego, ciężkiego noża. Usiłowała się cofnąć, lecz Rajner znowu ją przytrzymał i przycisnął jedną

ręką do piersi, podczas gdy druga skierowała ostrze za jej plecy. Dziewczyna poczuła na karku zimny dotyk stali i znów krzyknęła.

– Cicho bądź – mruknął. – Odkupię ci tę cholerną bluzkę.

W tej samej chwili rozległ się chrzęst przecinanego materiału. Kilka sekund później mężczyzna niedbale odrzucił nóż, obiema rękami chwycił nadprutą bluzkę i szarpnął na boki, rozrywając ją na całej długości. Wtedy pociągnął obie poły w dół tak mocno, że zrolowały się na brzuchu i nadgarstkach, odsłaniając ramiona i dekolt.

Zaczerwieniona z gniewu i upokorzenia Jolanta usiłowała podciągnąć bluzkę, lecz tylko pokręcił głową i wyjął tkaninę z zaciśniętych kurczowo palców. Potem uważnie przyjrzał się poznaczonemu bliznami ciału, usiłując zidentyfikować ich pochodzenie.

– Te są od papierosów – stwierdził, wskazując okrągłe ślady z czerwonawą, pomarszczoną skórą. Mówił głosem tak obojętnym, jakby fakt gaszenia na ciele dziewczyny niedopałków nie zrobił na nim żadnego wrażenia. – A te od sznura. – Dotknął delikatnie jej nadgarstków, potem szyi, gdzie widniały charakterystyczne bruzdy. Ich mnogość świadczyła, że więzów użyto nie jeden raz.

Zwolnił uścisk, bo choć się spodziewał, że Jola natychmiast to wykorzysta i ucieknie do swojego pokoju, nie chciał wzmacniać jej strachu. Ale ona nawet nie drgnęła. Nadal stała bez ruchu, ze wzrokiem wbitym w podłogę, a jedyną jej reakcją były wielkie łzy spływające po pobladłych

policzkach. Wolałby, żeby krzyczała albo skłęła go od ostatnich, bo ta cicha rozpacz była dla niego nie do zniesienia.

– Przepraszam – wykrztusił wreszcie. Wziął ją za rękę, zaprowadził do pokoju i zmusił, by usiadła na wersalce. Usadowił się obok i wyjaśnił: – Nie chciałem cię wystraszyć. Ale zrozum, muszę wiedzieć, co ci się przydarzyło, żeby móc cię ochronić.

– Mąż mi się przydarzył – odpowiedziała po tak długim czasie, że stracił już nadzieję na usłyszenie wyjaśnień. – Bardzo mnie kochał. Tak bardzo, że nie chciał, żebym podobała się innym mężczyznom.

– To przed nim się ukrywasz? – dociekał, a gdy potwierdziła, pokręcił głową z dezaprobatą. – Nie prościej byłoby się rozwieść?

Czara goryczy się przelała i Jola przestała mieć na względzie, że jej rozmówcą jest mężczyzna, może więc opowiedzieć się po stronie Tarnawy. Nie zważała, że odsłania się przed nim, dając mu jeszcze jeden powód, by jej nie lubił. Był silny nie tylko fizycznie, a tacy ludzie gardzą słabeuszami. Ale dziewczyna miała już dość udawania. Odrzuciła na bok niewczesną dumę i opowiedziała mu prawdę o swoim małżeństwie, prawdę, której dotąd nie poznał nikt, bo zbyt się wstydziła, by ją wyznać.

Rajner słuchał z kamienną twarzą. Nie drgnęła mu nawet powieka i Jolanta nie mogła się rozeznać w jego uczuciach. Czy powinna powiedzieć mu także o tym najgorszym, co nadal w niej tkwiło, przypominane koszmarami nocnymi? Zdecydowała, że tak. Jest milicjantem, więc na pewno będzie wiedział, czy jest z nią coś nie tak.

Przedstawiła mu wydarzenia z dnia, kiedy ostatni raz widziała byłego męża, po czym spojrzała Milewskiemu prosto w oczy.

– Chciałam go zabić. Trzymałam w ręce ten cholerny scyzoryk i wyobrażałam sobie, że zagłębiam go w szyi Zdziska. Naprawdę chciałam to zrobić – podkreśliła, gdy nie zareagował. – Tak bardzo, że musiałam się zmusić do wyjścia z pokoju. Ale ciągle o tym śnię i w tych koszmarach albo go zabijam, albo żałuję, że tego nie zrobiłam. Powiedz mi, Rajner, czy ja z tego wszystkiego zwariowałam? Powinni mnie zamknąć w Rybniku jako niebezpieczną dla otoczenia?

Niespodziewanie mężczyzna otoczył ją ramieniem i mocno przytulił.

– Dziwię się, że tego nie zrobiłaś. Ten człowiek nie zasługuje na to, żeby żyć. Na miano człowieka też nie zasługuje. – Odsunął ją lekko i zgarnął palcem spływające po policzku łzy. – Nigdy więcej nie myśl, że coś jest z tobą nie tak. I nie mów, że się wstydzisz, bo to nie ty masz powody do wstydu.

Zerknęła na niego niepewnie.

– Powinnam była odejść już dawno, ale najpierw ciągle miałam nadzieję, że on się zmieni, a potem za bardzo się bałam. Na pewno mną gardzisz, że pozwoliłam mu tak się traktować.

– Nie bądź idiotką – burknął. – Ja tobą gardzę? Też wymyśliłaś! Widziałem zbyt dużo maltretowanych kobiet, by nie wiedzieć, jak to działa. Jeśli chcesz wiedzieć, to cholernie cię podziwiam. Za to, że odeszłaś, i za to, że znalazłaś w sobie dość siły, żeby nie zabić tego skurwysyna.

Rozdział 29

Wiem, kto to jest

Grudzień 1986, Bielsko-Biała

Jagielski każdą wolną chwilę poświęcał na analizowanie zgromadzonych informacji. Dossier milicjantów nie zawierało jednak oficjalnych danych, lecz składało się głównie z plotek, podporucznik bowiem zdawał sobie sprawę, że tego, czego szukał, nie znajdzie w kartotekach osobowych. Jego interesowały sprawy, które każdy rozsądnie myślący człowiek skrzętnie ukrywa przed przełożonymi, by nie narazić się na krytyczne uwagi, naganę czy nawet wydalenie ze służby.

Konieczność zrezygnowania z hipotezy, że któryś z kolegów celowo obciąża Rajnera, by oddalić od siebie podejrzenia, przyjął z wielką ulgą. Myśl, że być może codziennie podawał przy powitaniu rękę zabójcy, nie była zbyt przyjemna, na szczęście żaden z ewentualnych kandydatów na sprawcę nie mógł dokonać wszystkich trzech zabójstw, dzięki

czemu Jerzy z radością skreślił ich z listy podejrzanych, ograniczając w ten sposób liczbę znajdujących się na niej nazwisk do zera.

Nie mógł natomiast wykluczyć, że któryś z nich był nieświadomym narzędziem w rękach mordercy. Słusznie skądinąd założył, że funkcjonariusz rozpowszechniający z uporem plotki o Milewskim został do tego w jakiś sposób zmuszony. Zaraz na początku odrzucił hipotezę, że ów tajemniczy ktoś robił to dla pieniędzy. Tylko idiota ryzykowałby utratę dobrze płatnej pracy dla niepewnych korzyści. Idiotów co prawda nie brakowało również w milicji (sam przecież jeszcze niedawno dzielił z jednym z nich pokój), ale po sprawdzeniu kilku potencjalnych podejrzanych okazało się, że to fałszywy trop.

Wytypowani milicjanci albo w ogóle nie słyszeli o Rajnerze i krążących o nim pogłoskach, albo byli zbyt ograniczeni, by umieć puścić plotkę w obieg bez ściągnięcia na siebie podejrzeń. Pozostało trzech, których mógł wziąć pod uwagę, lecz nic nie wskazywało, by któryś z nich dysponował większymi pieniędzmi, niżby to wynikało z uposażenia. Wobec tego Jerzy postawił na szantaż.

Na początku grudnia musiał pogodzić się z faktem, że stracił tylko czas, bo chociaż dokopał się różnych przewin, te mniejsze lub większe grzeszki nie świadczyły niezbicie, że któryś z funkcjonariuszy dla ich ukrycia nie zawahał się oczernić kolegi. Poza tym część z nich jakoś Jagielskiemu nie pasowała do takiego uczynku, innych z kolei absolutnie nie mógł sobie wyobrazić jako ofiar szantażu. Taki na przykład Adamaszek

z kryminalnego. On miałby się przestraszyć gróźb i ulec szantażystcie?

– Prędzej zacząłby się w ciemnym zaułku i tak spreparowałby mu uśmiech, że facet wolałby potem pokazywać dupę zamiast twarzy – mówił do wprowadzonego w zagadnienie Norberta Swifta.

Ten skinął tylko głową i zażyczył sobie pokazania całej listy. Przeglądał ją jakiś czas i wreszcie przyznał, że także nie widzi na niej nikogo mogącego być ewentualnym kolporterem plotek o Rajnerze.

– Albo kogoś pominąłeś, albo nie tędy droga – potwierdził opinię Jagielskiego o bezowocności dotychczasowego działania. – Masz jutro służbę? – zmienił temat. – Nie? To świetnie. W takim razie przyjdźcie wieczorem do mnie, chcemy z Ingą o coś was poprosić. – Uniósł dłoń, powstrzymując protest Jerzego: – Robota nie zając, poza tym i tak utknąłeś. Może ci się rozwidni, jak wypijesz? Nie na darmo się mówi, że bez wódki nie razbieriesz.

Jagielski doszedł do wniosku, że jest w tym sporo prawdy. Przyda mu się przerwa w analizowaniu sprawy, może wtedy spojrzy na nią z innej perspektywy?

– Ktoś jeszcze przyjdzie czy będziemy sami?

– Ma wpaść Włodek, ale tylko na chwilę. I dobrze, bo ma za długi język, od razu wszystko by rozgadał, a nie chcę, żeby to się rozniosło. Muszę lecieć. Na razie.

Jerzy już miał zapytać o to coś, gdy naraz zelektryzowała go inna myśl.

– Czeka! O jakim Włodku mówisz? Chodzi ci o Stareczka? Nie miałem pojęcia, że się kumplujecie.

Norbert odwrócił się z miną człowieka wątpiącego w zdrowe zmysły rozmówcy.

– Czemu Stareczek? Zgłupiałeś? Nawet go nie znam. Mówiłem o Szczotce.

– Nie wiem. – Myśl uciekła równie niepodziwianie, jak się pojawiła, i podporucznik nagle oklapł. – Tak mi się skojarzył w związku ze sprawą Kolekcjonera, pewnie dlatego, że robił sekcję dwóch ofiar. Chyba naprawdę zgłupiałem.

Wymienili jeszcze kilka słów, potem Swift wyszedł, a Jagielski zapatrzył się w róg pokoju, zastanawiając się nad słowami kolegi. Czyżby naprawdę kogoś pominął? Nie bardzo mógł w to uwierzyć, już prędzej gotów był przyznać, że pomylił się w założeniach. Nie tędy droga? Być może, ale w takim razie którądy?

Przywołanie w pamięci rozmowy z Norbertem kazało mu podjąć próbę wydobycia z podświadomości tego, co kazało mu zainteresować się Włodzimierzem Stareczkiem. Włodek... Bezpośrednim impulsem było oczywiście imię, ale przecież niejednemu psu Burek. Dlaczego skojarzył je z nieznanym sobie bliżej patologiem, chociaż nosiło je również kilku milicjantów, w tym wspomniany przez Swifta Szczotka? Musiało w tym tkwić coś więcej. Tylko co?

W końcu się poddał. Odłożył na bok akta Kolekcjonera Dorot i zajął się inną pracą w nadziei, że myśl wróci sama, jeśli nie będzie usiłował przywołać jej na siłę. Niestety dzień pracy się

skończył, a ona się nie pojawiła, podobnie jak następnego dnia, kiedy snuł się po domu niczym dusza potępiona i odpowiadał na pytania żony tak daleko bez sensu, że zaczęła podważać jego poczytalność.

Wieczorem podrzucili córkę do dziadków i pojechali do Norberta, i dopiero tam Jerzy wreszcie zdołał uwolnić się od dręczącego go problemu, dzięki czemu Lucyna przestała przyglądać mu się podejrzliwie i zaniechała wygłaszania złośliwych uwag, podających w wątpliwość inteligencję milicjantów. Zresztą nie miała innego wyjścia, Norbert bowiem już na początku rzucił prawdziwą bombę.

– Zdecydowaliśmy z Ingą, że bierzemy ślub. Czy możemy liczyć, że zostaniecie naszymi świadkami?

Wcześniej żadne z nich nie wspomniało nawet słowem, że planują tak diametralną zmianę w życiu, toteż na pewien czas rozmowa zamieniła się w wydawane dwugłosem okrzyki zdumienia. W końcu Jagielscy opanowali się na tyle, by móc wyartykułować zgodę, po czym przeszli do zadawania pytań. Czy Inga i Norbert planują duże wesele i czy zamierzają wziąć także ślub kościelny? Gdzie odbędzie się ta impreza i jak zareagowali rodzice obojga na tak nagłą decyzję? Po usłyszeniu kategorycznego „nie” na dwa pierwsze pytania znów się zdumieli, a nie był to jeszcze koniec niespodzianek.

– Nie będzie żadnego wesela – oznajmiła Inga. – Nie mamy pieniędzy na takie fanaberie. Po wizycie w urzędzie zapraszamy was do „Patrii” na obiad, a potem tutaj na kawę i inne trunki. – Nie patrz tak – zwróciła się do Lucyny. – Dobrze wiesz, że nie

utrzymuję z rodzicami żadnych kontaktów, a przyszli teściowie nigdy mnie nie zaakceptują jako synowej. Nie jestem dla nich dość dobra.

– Dobroć akurat ich najmniej interesuje – włączył się Norbert. – Interesują ich tylko pozycja i bogactwo, dlatego mamy zamiar poinformować ich o ślubie już po fakcie. Pomysł z cichym ślubem przyszedł Indze do głowy dopiero kilka dni temu, dlatego wcześniej nic wam nie powiedzieliśmy.

– Robimy to głównie dla Lońki – wyjaśniła Piątkowska, czym zaskoczyła ich po raz trzeci, gdyż nigdy dotąd nie słyszeli tego imienia.

– To moja bratanica – powiedział Norbert, a twarz mu spochmurniała na wspomnienie nieżyjącego od siedmiu lat brata. – Apolonię wychowuje babka. To straszna kobieta. Nie tylko jest pijaczką, ale jeszcze znęcanie się nad małą jest jej ulubionym zajęciem. Jeśli pobierzemy się z Ingą, sąd na pewno przyzna nam opiekę nad dzieckiem.

Lucyna popatrzyła na przyjaciółkę z wyrzutem, lecz zmiękła, ujrawszy jej przeproszającą minę i ukradkowe znaki mówiące, że w stosownej chwili wszystko wyjaśni.

– Szkoda, że Jola wyjechała – westchnęła. – Na pewno by się ucieszyła. Macie z nią jakiś kontakt? – zwróciła się do mężczyzn.

– Bezpośrednio z nią nie, ale kiedy kilka dni temu rozmawiałem z Rajnerem, mówił, że u niej wszystko w porządku – odpowiedział Jurek.

Nie zauważył, że Norbert przytknął palec do ust, tym odwiecznym ruchem nakazując milczenie, i dość długo rozwodził się nad informacjami o Tarnawie, przekazanymi mu przez Milewskiego za

zgoda Strzelińskiej. Wiele z nich było całkowitą nowością nawet dla Lucyny i Ingi, choć do tej pory żyły w przeświadczeniu, że o gehennie koleżanki wiedziały wszystko. Tymczasem to, co wcześniej im zdradziła, było jedynie wierzchołkiem góry lodowej, resztę zaś skrywała skrzątnie nawet przed nimi.

– Pieprzony psychopata! – warknęła Lucyna. – Dla takich jak on więzienie to stanowczo za mało! Powinno się gnoja wykastrować, i to bez znieczulenia.

Inga skinęła tylko głową, zajęta innymi myślami.

– Ten Rajner... – powiedziała wolno, spoglądając na Jagielskiego. – Czy to ten, o którym mi mówiłeś, kiedy pytałeś o znajomego mojego szwagra? Ten, co lubi się bić? Nie wspomniałeś wtedy, że Dorota Milewska to jego żona – wytknęła z wyrzutem. – Podejrzewałeś, że to on ją zabił, a teraz wysłałeś do niego Jolkę? Coś mi w tym wszystkim nie pasuje. Lucy, wiesz coś na ten temat?

Lucyna zaprzeczyła i już po chwili obie kategorycznie zażądały od Jerzego wyjaśnień. Bezradny pod gradem pytań spojrzał błagalnie na Norberta, lecz ten tylko się uśmiechnął i wzruszył ramionami.

– Dawałem ci znaki, żebyś się zamknął, ale je zlekceważyłeś, to teraz radź sobie sam. Mogłeś przewidzieć, jak to się kończy, kiedy wymienisz imię Rajnera – punktował kolegę bezlitośnie. – Dobrze wiesz, jaka jest Inga. Będzie drążyć tak długo, aż powiesz wszystko, żeby tylko skończyła.

Jagielski uznał, że nie ma innego wyjścia, i skrótowo opowiedział o śledztwie w sprawie trzech zabójstw, plotkach rzucanych przez nieznanego

sprawcę na Rajnera i czasowym odsunięciu Milewskiego od służby.

– Biedny facet. Ktoś ewidentnie chce go zrobić – oceniła Lucyna.

– Też mi się tak wydaje – przyznała Inga dość niechętnie, a zapytana o powody swojej wstrzeźliwości w wygłaszaniu opinii, odpowiedziała szczerze: – Może to jakaś fobia z czasów mojej działalności w opozycji, ale nie podoba mi się, że właśnie do niego wysłaliście Jolkę. Przecież to zomowiec, a wszyscy wiedzą, jacy oni są. Bezmózgie automaty do gnębienia ludzi. W dodatku sprawia im to przyjemność.

Norbert i Jurek popatrzyli po sobie, wreszcie Jagielski uniósł dłonie, dając tym znak, że się poddaje.

– Ty jej wyjaśnij, przecież to twoja narzeczona.

Norbert skinął głową i popatrzył na oburzoną dziewczynę.

– To samo mówi się o esbekach, a jednak twierdziłaś, że nie oceniasz ludzi na podstawie tego, gdzie pracują. Mam rozumieć, że kłamałaś?

– Zwariowałaś?! – oburzyła się, po czym przeszła do ataku. – Pamiętam dobrze, jak zachowywali się ci, co mnie zwinęli rok temu.

– Szkoda w takim razie, że nie pamiętasz, kto mi pomógł cię wyciągnąć z kłopotów – wytknął. – Ingo, dobrze wiesz, że w każdej zbiorowości są porządni ludzie i gnoje, a pomiędzy nimi cała rzesza średniaków. W ZOMO jest podobnie. Trafiło tam wielu takich, zwłaszcza w stanie wojennym, którym ta odrobina władzy uderzyła do głowy i dała

poczucie bezkarności. Teraz zaczęło to się pomału zmieniać, coraz bardziej stawia się na fachowość, nie na siłę. Ale Rajnera i tak to wszystko nie dotyczy, bo on nie jest zwykłym zomowcem.

– Jak to? Nie słyszałam, żeby zomowcy się dzielili na zwykłych i niezwykłych – zauważyła cicho, bez charakterystycznej dla niej werwy. Czuła wstyd, że dała się ponieść emocjom, przez co zrobiła to, co zawsze potępiała u innych. A tyle mówiła o tym, że każdego powinno się oceniać indywidualnie, nie na podstawie zachowań ogółu.

– Słyszałaś o Plutonie Specjalnym? – włączył się Jagielski.

– Nie. A co to takiego?

Wspólnie z Norbertem przybliżyli dziewczynom temat, wyjaśniając, czym różnią się „specjalni” od zwykłych zomowców. Opowiedzieli o morderczym szkoleniu, którego program wzorowano na doświadczeniach wojskowych kompanii specjalnych oraz o tym, jak trudno było się dostać do Plutonu Specjalnego. „Specjalni” odróżniali się od reszty nawet umundurowaniem, nosili bowiem tak zwane kaski skoczka, a zamiast zwykłego moro – wersję spadochroniarską umundurowania, mającą wygodniejszy krój, uszytą z mocniejszego materiału, z większą liczbą kieszeni.

Na wyposażeniu mieli także kamizelki kuloodporne oraz broń różniącą się znacznie od broni zwykłych zomowców, a w szkoleniu od początku skupiano się przede wszystkim na działaniach z jej zastosowaniem. Wbrew pozorom mało czasu poświęcano tam zwykłym czynnościom z pałką i tarczą w ręku, gdyż według założeń był to

element szkolenia unitarnego ZOMO, które „specjalni” mieli już mieć dawno za sobą.

Dziewczyny słuchały ich z uwagą, z trudem powstrzymując się od okrzyków zdumienia. Nigdy dotąd nie słyszały o tej formacji, dlatego wszystko to brzmiało w ich uszach jak streszczenie fragmentu jakiejś książki lub filmu.

– Pamiętam taki odcinek 07 zgłoś się, gdzie występowali antyterroryści – wspomniała Inga. – Myślałam, że to tylko taka propaganda.

– Ten o porwaniu samolotu? Też byłam pewna, że to fikcja, a ty mnie nie wyprowadziłeś z błędu – wytknęła Lucyna mężowi.

– Bo Pluton Specjalny to nie antyterroryści – odpowiedział Jerzy nie całkiem na temat. – W każdym razie Rajner Milewski jest „specjalnym” i jest w tym cholernie dobry, więc wasza koleżanka nie mogłaby mieć lepszego obrońcy.

– Jeżeli jej były mąż wejdzie mu w drogę, to powinien się liczyć z długotrwałym leczeniem – dorzucił Norbert. – Znam Rajnera od czasów liceum i wiem, że nie toleruje przemocy wobec kobiet. Dlatego żona tak długo robiła go bezkarnie w konia – zakończył słowami, które przypomniały Indze o Kolekcjonerze Dorot.

– Nie złapałeś jeszcze tego, kto ją zabił? – zwróciła się do Jurka. Zaprzeczył ruchem głowy z miną oznajmającą, że nie ma ochoty poruszać tego tematu, ale udała, że nie zauważyła przekazu, i drażyła dalej: – Ale wiesz już, kto to jest?

– Nie męcz go, bo mu w ten sposób nie pomagasz – zwrócił jej uwagę Norbert, lecz już w następnej chwili sam zadał pytanie związane ze śledztwem: –

Sprawdziłeś, czy kogoś nie pominąłeś? – nawiązał do ich ostatniej rozmowy.

Jagielski przytaknął z ponurą miną.

– Myślałem o twoim stwierdzeniu, że nie tędy droga, ale nie udało mi się wpaść na żaden mądry pomysł – przyznał. Po chwili dorzucił: – Cały czas krąży mi po głowie ten Włodek. Mówiłeś o Szczotce, a ja pomyślałem o Stareczku, chociaż widziałem się z gościem tylko kilka razy. Mam wrażenie, że ktoś o nim wspomniał w związku ze sprawą, ale nie mogę sobie przypomnieć, o co chodziło.

Norbert postukał się palcem w czoło.

– Jurek, idź ty lepiej na urlop, bo zaczynasz mieć odchyły. Żona doktorka od sztywniaków była ostatnią ofiarą Kolekcjonera, a ty się dziwisz, że mówiono o nim w związku ze sprawą?

– Idiota – stwierdził Jerzy z głębokim przekonaniem. – Sam masz odchyły. Mówiono o nim w związku z Kolekcjonerem, ale nie jako o mężu zamordowanej. Teraz jasne czy mam ci to przeliterować?

– Kto mówił? – spytała Inga, a wówczas automatycznie, bez zastanowienia odpowiedział:

– Najpierw technik, potem prokurator. Oni podobno są spowinowaceni. – Dopiero gdy słowa wybrzmiały, zorientował się, co zrobił. Wziął głęboki wdech i popatrzył na zebranych. – No – powiedział cokolwiek zbyt głośno. – Nareszcie. Gdyby nie wy, mógłbym się tak zastanawiać do usranej śmierci.

Norbert nie pozwolił mu dłużej się nad tym rozwodzić i zażądał natychmiast wyjaśnień, dlaczego i w jakim kontekście tamci dwaj mówili

o doktorze. Jerzy jednak pokręcił głową, oczami wskazując na Lucynę i Ingę zajęte snuciem własnej teorii, w której patologowi do tego stopnia praca rzuciła się na mózg, że sam zaczął zabijać. Swift zrozumiał niemy przekaz i spytał krótko:

– Wiesz już, kto to jest?

– Wiem kto i wiem dlaczego, ale mam problem z dowodami. Muszę jechać do firmy. Wytlumaczysz to jakoś Lucynie?

Grudzień 1986, Wisła

Przez następne dni Jolanta konsekwentnie unikała Rajnera. Nie wiedział, czy wstydziła się chwili słabości, czy może karała go za zmuszenie jej do wyznań, lecz nie próbował nawet o nic pytać i sam schodził jej z drogi. Domyślił się, że chciała sama uporać się z własnymi problemami, i postanowił to uszanować. Dopóki życiu dziewczyny nic nie zagrażało, nie miał powodów interweniować.

Minał równy tydzień do chwili, gdy skuszony zapachami dobiegającymi z kuchni poszedł tam wcześniej niż zwykle i zastał Jolę nakrywającą do stołu. Na dwie osoby! To była całkowita nowość, a już myślał, że od czasu, gdy ugotowała pierwszy obiad, niczym go już nie zaskoczy.

Miała wyjątkowy talent do przekształcania całkiem zwyczajnych dań w coś na kształt dzieł sztuki. Rajner nie wiedział, czy można tę nazwę stosować do potraw, ale po spróbowaniu kapuśniaku i gulaszu z fasolą zdecydował, że nic

innego nie pasuje do tych specjałów. Nie mógł się ich nachwalić, co Jolanta przyjęła z wyraźnym zadowoleniem.

Od tego dnia mocą milczącego porozumienia wzięła na siebie wszelkie kuchenne zajęcia, za co był jej niewymownie wdzięczny. I właśnie dlatego nie skomentował nawet słowem faktu, że nie siadała z nim do stołu. Wiedział już, że jej spokojna, ugodowa postawa to tylko fasada, za którą czai się niezły temperament, nie chciał więc sprowokować dziewczyny do wybuchu. Mogłaby wówczas w ramach zemsty za jego prawdziwe lub wyimaginowane przewiny odmówić gotowania, a powrót do konsumpcji przypalonych i przesolonych lub niedoprawionych dań jawił się Rajnerowi jako najgorsza z możliwych tortur. Ból jakoś by wytrzymał, ale tego raczej nie.

Dlatego w żaden sposób nie odniósł się do obecności na stole dwóch nakryć, tylko zawrócił do korytarza i skręcił do łazienki, gdzie dokładnie wyszorował ręce. Pod tym względem Jola była nieugięta i nie pomagały tłumaczenia, że przecież tylko czytał, zatem nie mógł ich ubrudzić. Ręce przed posiłkiem należało umyć, i już.

Zupa gulaszowa nie była zwykłą zupą, lecz poematem, o czym nie omieszkął poinformować jej autorki. Jolanta nie odezwała się, lecz widział, że komplement sprawił jej przyjemność. Zapytała, czy życzy sobie dokładkę, lecz odmówił, nie chcąc zbytnio się napychać, bo z rondla dochodził zbyt cudowny aromat, by mógł zrezygnować z drugiego dania. Pierwszy raz w życiu pożałował, że w przeciwieństwie do wielu kolegów z plutonu nie

miał pod tym względem nieograniczonych możliwości.

Wkrótce mógł się przekonać, że postąpił słusznie, rezygnując z repety. Faszzerowane pieczarkami i serem rolady smakowały jeszcze lepiej, niż pachniały, a pachniały obłędnie. Jeszcze nigdy nie jadł czegoś równie smakowitego.

– Powinnaś otworzyć własną restaurację. Ludzie zwariowaliby ze szczęścia, mogąc zjeść taki obiad – orzekł z głębokim przekonaniem.

– Dzięki. – Obdarzyła go drżącym uśmiechem. – Nie tylko za to, że chwalisz moje potrawy – dodała po chwili. – Już dawno powinnam była ci podziękować, ale najpierw chciałam sobie to wszystko ułożyć w głowie.

– Nie musisz mi dziękować – zaproponował natychmiast. – Potrzebowałaś schronienia, a ja mam tutaj dużo miejsca. To żadne wyrzeczenie z mojej strony.

– Moim zdaniem nie masz racji, ale nie o tym mówiłam. Miałam na myśli naszą ostatnią rozmowę. O moim byłym mężu – sprecyzowała z wyraźnym wysiłkiem. – I o tym, że nie mam się czego wstydzić... – Zaczęła nerwowo przegrzebywać zawartość talerza, po czym zdecydowanie odłożyła widelec i spojrzała Rajnerowi prosto w oczy. – Może to głupie, ale jakoś mi teraz lżej.

Zauważył, że z jej twarzy zniknął grymas świadczący o wstydzie i poczuciu winy, uznał jednak, że to za mało. Potrzebowała czegoś więcej, by odzyskać bodaj odrobinę wiary w siebie, i chyba wiedział, jak jej ją przywrócić.

– Kiedy zjemy, chciałbym ci opowiedzieć o Kolekcjonerze Dorot.

Nie spuszczał z niej wzroku, czekając na jakiś nerwowy gest lub grymas strachu, na cokolwiek, co świadczyłoby, że Jolanta nie wierzy w jego niewinność. Niczego takiego jednak nie zauważył, toteż wolno wypuścił powietrze z płuc i wrócił do konsumpcji. Jola także ponownie sięgnęła po widelec.

Po obiedzie zaparzyła kawę, a Rajner zmył naczynia. Później przenieśli się do pokoju, gdzie usiedli na wersalce i przez chwilę w milczeniu popijali gorący, aromatyczny płyn. Milewski pierwszy przerwał milczenie.

– To ja wymyśliłem ten kryptonim, a potem wyszło, że nazwałem tak siebie. – Udało mu się zapanować nad atakiem furii, która ogarniała go zawsze, gdy o tym pomyślał, lecz nie zdołał ukryć goryczy. – Pierwsza ofiara Kolekcjonera nazywała się Dorota Milewska. Była moją żoną.

Opowiedział o swoim nieudanym małżeństwie, później zrelacjonował próby dotarcia do Karata poprzez Dorotę Woźnicę, której śmierć jeszcze teraz wywoływała w nim poczucie winy, by wreszcie przejść do Barbary Doroty Stareczek.

– To jej zawdzięczasz, że nie zrezygnowałeś z tego domu – uświadomiła sobie Jola. – Jak to dobrze, że jej posłuchałeś. Tutaj jest tak pięknie.

– To prawda. Nie wiem, jak bym postąpił, gdyby nie zginęła. Ale kiedy mnie zawieszono, pomyślałem, że powinienem przyjąć spadek i tu zamieszkać. Nie przewidziałem tylko, że plotka przywędruje za mną.

– Nie przejmuj się ludźmi. Przestaną gadać, kiedy się przekonają, jaki jesteś naprawdę. Zresztą Kolekcjoner Dorot prędzej czy później wpadnie w ręce milicji i wtedy będzie im cholernie głupio.

Poczuł delikatny uścisk jej dłoni i nagłe wzruszenie chwyciło go za gardło. Jeszcze nigdy żadna kobieta nie próbowała go pocieszać, to zawsze on musiał być tym silnym i nawet żonie nie przyszło do głowy, że także może czuć się niepewny, zdołowany czy zwyczajnie, po ludzku nieszczęśliwy.

Przełknął ślinę i odezwał się nieco schrypniętym głosem:

– Wymyślili sobie czwartą ofiarę. Moją kuzynkę. Pechowo też ma na imię Dorota, więc kiedy zniknęła...

– Słyszałam o tym w sklepie – przerwała mu, nie zauważając przy tym, że zdradziła coś, co chciała zachować w tajemnicy. – Jej ojciec uważa, że ją zabiłeś, a potem zakopałeś ciało w lesie. Albo zatopiłeś w jeziorze.

Rozbawiona mina świadczyła, że Jolanta ani przez chwilę nie brała oskarżeń Panoczka na poważnie, i Rajner poczuł, że spływa z niego całe napięcie. Już spokojny opowiedział skrótowo historię Doroty Żaczek.

– Gdyby jej nie bił, nie musiałaby szukać u mnie schronienia. Znalazłem jej pracę w porządnym salonie fryzjerskim w Bielsku i dałem klucze od mieszkania. – Zauważył w oczach Joli błysk aprobaty i wzruszył ramionami z udawaną nonszalancją. – Nie spiesz mi się ze sprzedażą, mogę poczekać, aż się dziewczyna trochę urządzi w nowym miejscu. Milicja zna jej nowy adres, bo

wezwali mnie na przesłuchanie. – Uśmiechnął się krzywo na wspomnienie swojej wizyty w komendzie.

- Zgodzili się ze mną, że należy zachować w tajemnicy miejsce pobytu Doroty przynajmniej do czasu, aż dogada się z narzeczoną. Potem sama zdecyduje, czy rodzina powinna je poznać.

Jolanta przeciągnęła ręką po coraz oporniejszych w ujarzmianiu włosach i westchnęła żałością.

- Fryzjerka... Przydałaby mi się, bo niedługo zwariuję z tymi kudłami.

Bezwiednie spojrział na jej głowę i nagle odkrył coś, na co wcześniej nie zwrócił uwagi.

- Nie masz odrostów! To twój własny kolor?

- Od urodzenia. Dlatego radzę ci ze mną nie zaczynać. Nie wiesz, że rude są wredne?

Rozdział 30

Czwarty do brydża

Grudzień 1986, Bielsko-Biała

Dowodów rzeczywiście nie było. Mimo to Jagielski z każdą chwilą coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że to właśnie Włodzimierz Stareczek jest Kolekcjonerem Dorot, co dodatkowo wzmagало jego frustrację.

– Jak mogłem wcześniej na to nie wpaść? – mówił do Norberta, gdy po kilku dniach znów się spotkali, tym razem już bez dziewczyn, przy których nie mogliby rozmawiać swobodnie. – Naprawdę jestem ostatnim debilem. Przecież o tym, że rzuciła go żona, wiedziałem już od dawna.

– Jesteś – zgodził się Norbert. – Ale wcale nie dlatego. Jak myślisz, ilu facetów w tym mieście nosi rogi? W samej komendzie znalazłoby się całkiem sporo. W takim razie ich też powinieneś podejrzewać. Milewski, Kazimierczak, przedtem był

jeszcze Zapała... To już trzech, a nawet nie zacząłem się zastanawiać.

– Milewski ma alibi... – zaczął Jerzy, lecz Swift nie dał mu skończyć.

– Twierdziłeś, że Stareczek też je ma.

Jagielski nie pozwolił zbić się z pantałyku i natychmiast odparował, że owszem, Stareczek przedstawił alibi na czas zabójstwa żony, ale tak naprawdę wcale nie jest pewne, czy przez cały dzień uczestniczył w sympozjum.

– Mógł się wymknąć na jakiś czas, w końcu od „Spodka” dzieli nas tylko jakieś sześćdziesiąt kilometrów.

Norbert nie wyglądał na przekonanego.

– Samochodem mogłoby mu się udać, ale sam mówiłeś, że jechał pociągiem. Chyba że kłamał.

– Niemożliwe, przedłożył nawet bilety – odparł Jerzy i zaczął głośno obliczać czas. – Pociąg jedzie godzinę i dwadzieścia minut. Do tego dojeżdżenie czy dojazd od „Spodka” na dworzec i w Bielsku z dworca do domu, gdzie ją znaleziono. Kurwa mać, nawet jak założę, że pociąg nie miał opóźnień, to i tak robią się z tego ponad dwie godziny. A jeszcze musiał wrócić. Wychodzi na to, że jednak się pomyliłem.

– Bilety nie są żadnym dowodem na to, że jechał pociągiem, bo mógł je kupić i sam przedziurkować albo wyjąć je z kosza na śmieci – zastanawiał się Norbert. – Nie są przecież imienne. Ale gdyby nawet jechał samochodem, i tak musiałby stracić ponad godzinę na dojazd. O której zaczynało się to sympozjum?

Jagielski zajrzał do akt i odszukał właściwą kartę.

– O dziewiątej. Zaczęto od listy obecności, więc musiał tam być, bo figuruje na niej jego nazwisko.
– Zamilkł, analizując coś w myślach. – Przed siódmą sąsiadka widziała Stareczkową w towarzystwie mężczyzny w szarej kurtce. Stareczek ma taką kurtkę, czas też pasuje, bo gdyby poszedł z nią do tamtego budynku i tam ją zabił, spokojnie zdążyłby dojechać na dziewiątą. Tylko że... – Urwał i znów zerknął do akt, potem się zasepił.

– Coś nie gra?

– Czas się nie zgadza. Według opinii patologa ta kobieta zginęła między trzynastą a szesnastą, a w takim razie Stareczek żadną miarą nie mógł jej zabić, bo w tych godzinach widziało go wielu uczestników tego cholernego sympozjum. Chyba że przemieścił się z Katowic i z powrotem siłą woli.

– Może to jednak nie on ją zabił? – zastanawiał się Norbert.

Jego głosowi zabrakło jednak przekonania. Swift wierzył w sławetną intuicję kolegi, tym bardziej że ta jeszcze nigdy Jurka nie zawiodła. Najwyraźniej Jagielski także był innego zdania, gdyż nagle wstał i ruszył w stronę drzwi.

– Wypad stąd, przyjacielu. Idę pogadać z Kazimierczakiem. Powinienem był zrobić to od razu, zamiast tracić czas na czytanie w kółko tych samych ustaleń.

Na widok podporucznika technik oderwał się od wertowania opasłego tomu traktującego o badaniach kryminalistycznych.

– Cześć – odpowiedział na powitanie. – Ty do mnie?

– Do ciebie – potwierdził Jagielski. – Masz chwilę? Muszę z tobą pogadać o tych zabójstwach.

Kazimierczak skinął głową i spokojnie odłożył na bok książkę.

– To może poczekać. O co chodzi? Coś spierdoliłem?

Nie wyglądał jednak na podenerwowanego taką ewentualnością, prędeż na mocno zdziwionego.

– Nie o to chodzi. – Jerzy usiadł, zapalił papierosa i w zamyśleniu zaczął bawić się zapalniczką, co rusz krzesząc iskrę. – Barbara Dorota Stareczek. Pamiętasz, co mówił lekarz stwierdzający zgon?

– A ty co, już w tym wieku demencja cię dopadła? – prychnął technik, lecz zaraz klepnął się w czoło. – Kurwa, na demencję to chyba ja cierpię. Zapomniałem, że ciebie nie było na oględzinach. Nie dostałeś notatki od Wronowicza?

– Dostałem, tylko że gównie z tego wynika. – Jerzy się skrzywił. – Mógłbyś mi opowiedzieć, jak to wszystko wyglądało?

Kazimierczak zgodził się nawet chętnie, zastrzegł jednak, że nie powie ani słowa, dopóki Jagielski nie poczęstuje go kawą. Przeszli więc do pokoju Jerzego, gdzie technik od razu sięgnął po teczkę

z aktami, a potem patrzył zdziwiony na kolegę, który wyrwał mu ją z ręki i schował do szafy.

– Co ty odpierdalasz, Jurek? Pojechało cię?

– Nie chcę, żebyś to czytał, zanim mi nie opowiesz. Muszę wiedzieć, czy będą jakieś rozbieżności między twoją relacją a tym, co jest w aktach. Miro, zrozum. – Spojrzał niemal błagalnie na technika. – Nic mi się tu nie klei i przyszło mi do głowy, że może Wronowicz coś spierdolił. Wiesz, jaki on jest.

Użyte argumenty przekonały technika. Mężczyzna odczekał, aż Jerzy zaparzy obiecaną kawę, wsypał do szklanki dwie łyżeczki cukru, zamieszał energicznie i wreszcie rozpoczął relację z wydarzeń tamtego dnia.

Po stwierdzeniu, że na parterze niewykończonego domu rzeczywiście znajdują się zwłoki, na miejsce pojechała ekipa pod dowództwem chorążego Wronowicza. Do Kazimierczaka należało zabezpieczenie śladów, tych jednak praktycznie nie było.

– Pomieszczenie nie zostało jeszcze wytynkowane, więc nie ma tam ani futryn, ani drzwi wewnętrznych. A zewnętrzne to prowizorka zbita z nieheblowanych desek, na tym odciski palców się nie utrwały. Zebrałem kilka z szyb, ale...

Technik wymownie machnął ręką, a Jagielski kiwnął głową ze zrozumieniem. Zabójca nie poszedł tam, by kontemplować zaokienne widoki, a już na pewno nie zachowałby się aż tak głupio, by wspierać się dłońmi o gładką powierzchnię szyby, wręcz idealną do utrwalenia podobnych śladów.

– A ciało? – drażył podporucznik. – Jakim cudem się nie zorientowałeś, że te obrażenia są identyczne z poprzednimi?

– Bo go nie oglądałem – odburknął Kazimierczak.
– W lutym wdrażałem Adama w obowiązki. Stary kazał nam jechać tam we dwóch, powiedział też, żeby on robił zdjęcia zwłok. Taki niby chrzest bojowy. – Uśmiechnął się krzywo. – Zająłem się czym innym i o podobieństwie dowiedziałem się dopiero ze zdjęć, ale wtedy było już po sekcji.

– Kurwa mać, a tak liczyłem, że powiesz mi coś ciekawego – zmartwił się Jerzy. – W takim razie pewnie nie wiesz, co mówił lekarz?

Niespodziewanie technik uśmiechnął się szeroko.

– To akurat wiem, bo stałem całkiem blisko. – Zawiesił na moment głos, po czym dokończył tonem sugerującym, iż zdradza wielką tajemnicę: – Powiedział, że ta kobieta na pewno nie żyje.

– Wiesz co, Mirek? Jakoś mi nie do śmiechu.

Kazimierczak zerknął na zasępioną minę Jagielskiego i również spoważniał.

– Dobra, już mówię. Doktorek powiedział coś takiego, że na pewno zależy nam na jak najszybszym stwierdzeniu, kiedy nastąpił zgon, ale on może podać tylko orientacyjny czas. Zaczął się rozwodzić nad jakimiś najnowszymi osiągnięciami nauki, ale Wronowicz go zgasił słowami, że jego interesuje tylko dokument, a od ustalenia czasu zgonu jest lekarz medycyny sądowej.

– Dureń! Pewnie kumple czekali z flaszką, a on musiał zajmować się oględzinami. Z przyjemnością nakopałbym mu do dupy – wściekał się Jerzy.

– Nie ty jeden – stwierdził technik, lecz nie było to żadnym pocieszeniem dla podporucznika, rozczarowanego, że będzie musiał poszukać innego sposobu na poznanie szczegółów lekarskich oględzin.

– Miro, jak dobrze znasz Stareczka? – zagaił ostrożnie Jagielski, zmieniając temat. Nadal nie wymyślił wiarygodnego wytłumaczenia swojej ciekawości i w końcu zdecydował, że pójdzie na żywioł.

– Trochę znam. A bo co? Chcesz z nim pogadać?

Nie spodziewał się, że Mirek sam znajdzie sobie wyjaśnienie, i miał ochotę podskoczyć z radości.

– Chciałbym, ale bo ja wiem...? – Jagielski udał zaambarasowanie. – Rozmawiałem z nim tylko kilka razy, w dodatku zawsze ściśle służbowo. Ty się z nim kumplujesz?

Kazimierczak sięgnął po papierosa z jego paczki i dość długo celebrował zapalanie, nim wypuścił z płuc pierwszą smużkę dymu.

– „Kumpluję się” to określenie trochę na wyrost. Od czasu do czasu spotykamy się na brydżu. – Ożywił się nagle. – Może ty grasz? Bo brakuje nam czwartego.

Do tej chwili Jerzy nigdy nie żałował, że nie ciągnie go do gier karcianych i jedyną, której tajniki poznał całkiem dobrze, była gra w tysiąca. Nie przypuszczał nawet, że taki moment kiedykolwiek nastąpi, teraz jednak oddałby duszę diabłu za możliwość dania twierdzącej odpowiedzi.

– Jakoś nigdy się nie nauczyłem. Szkoda. Kto jeszcze gra oprócz ciebie i Stareczka? – udał, że

pyta o tak sobie, dla zaspokojenia cieżkiej ciekawości.

– Zawsze graliśmy w składzie Włodek Stareczek, Staszek Juszczyński z PG, Kazeł Grabosz z kryminalnego i ja. Potem Juszczyński przeszedł na emeryturę i zamiast niego wskoczył Andrzej Hiler, wiesz, ten nowy komendant ZOMO.

Podporucznik z najwyższym trudem zapanował nad wyrazem twarzy, nie chcąc, by Kazimierczak się zorientował, jak cenne dla śledztwa są jego informacje. Udał, że zaintrygowało go coś innego, i zaczął demonstracyjnie liczyć, odginając palce.

– Stareczek, Grabosz, Hiler i ty. Jest was czterech, a powiedziałaś, że potrzebujecie czwartego. Chyba piątego? Myślałem, że w pięciu się nie gra.

– Bo się nie gra, ty brydżowy analfabeta – burknął technik. – Szukamy czwartego, bo pod koniec maja Hiler nagle stwierdził, że nie ma czasu, i przestał przychodzić. Szkoda, bo był całkiem dobry.

– Zadzwoń do Norberta Swifta ze śledczego. Podobno bardzo dobrze gra w brydża, jego dziewczyna zresztą też. Może się wam przydać.

Zdziwiony ostatnim zdaniem Kazimierczak uniósł pytająco brwi, ale Jagielski udał, że tego nie zauważył. Musiał się zastanowić, dlatego obecność kolegi zaczęła mu przeszkadzać. Na szczęście jak na zamówienie zadzwonił telefon, wobec czego technik podniósł się z krzesła ze słowami:

– Przyjdę później.

Owo później okazało się kilkoma minutami, ale tyle wystarczyło Jerzemu do zakończenia rozmowy

telefonicznej i ułożenia krótkiej listy pytań, jakie miał zamiar mu zadać. Kiedy więc Kazimierczak ponownie pojawił się w pokoju, podporucznik bez wstępów przystąpił do przepytывania. Czas bawienia się w podchody już minął.

– Miro, pamiętasz oględziny Doroty Woźnicy? – Napotkał puste spojrzenie technika, więc uściślił: – Druga Dorota. Powiedziałeś wtedy mniej więcej coś takiego, że chyba przestaniesz grać w brydża, bo zawsze potem trafiasz na trupa.

– Tego nie pamiętam, bez przesady, przecież to było rok temu. – Zapytany się skrzywił. – Za to pamiętam, że faktycznie wtedy graliśmy w nocy w brydża i na oględziny pojechałem całkiem wyrębany.

– Chyba narębany – wyzłośliwił się podporucznik, lecz kolega zdecydowanie pokręcił głową.

– Graliśmy u mnie, a kiedy jestem gospodarzem, to nie piję. Zresztą Stareczek też nie pił, bo o szóstej rano zaczynał dyżur. Za to Hiler był nawalony jak pershing, Grabosz też sobie nie żałował. W pewnej chwili o mało co by się pobili.

– To faktycznie musieli ładnie dać w gardło. – Jerzy się roześmiał. – Pewnie poszło im o babę.

Mrugnął domyślnie, czym sprowokował rozmówcę do gwałtownego zaprzeczenia.

– Nie wiem, jak Hiler, ale Grabosz poza swoją dziewczyną świata nie widzi. Wyobraź sobie, że wcale nie pożarli się o babę, tylko o Rajnera Milewskiego. Już drugi raz, ale przedtem nie wiedziałem, o kogo chodzi, bo używali tylko imienia. To dlatego na następny dzień się nie

skapowałem. Nie miałem pojęcia, że denatka jest żoną faceta, o którym gadali kilka godzin wcześniej.

Jagielski poczuł takie podekscytowanie, że aż zacisnął dłonie w pięści, by jakoś je rozładować i móc w miarę spokojnie skomentować wypowiedź technika. Przede wszystkim musiał jakoś uporządkować podane mocno chaotycznie informacje.

– Chyba się pogubiłem. Kiedy w końcu kłócili się o Rajnera? Przed oględzinami u Milewskich czy u Woźnicy?

Miał zamiar zaraz się poprawić, bo przypomniał sobie, że druga z Dorot zginęła w mieszkaniu nieżyjącego kochanka, lecz okazało się to zbędne. Kazimierczak odpowiedział od razu, widocznie rozgrywki brydżowe były dla niego na tyle ważne, że przechowywał w pamięci wszystko, co się z nimi łączyło.

– W noc poprzedzającą oględziny u Milewskich Hiler był cholernie nabuzowany. W którymś momencie zagrał tak głupio, że nie zrobił pięciu bez atu, chociaż miał wygraną w kieszeni. Wyobraź sobie... – zaczął, lecz machnął ręką, gdy napotkał przerażone spojrzenie podporucznika.

– Nie mów mi o kartach, i tak nie załapię, o co ci chodzi.

– Dobra, nie będę – przystał Mirek, lecz w jego głosie dała się słyszeć nutka żalu. – To było takie śmieszne. Nieważne. W każdym razie Hiler zaczął się tłumaczyć, że to przez Rajnera, który go cholernie wkurwia. Nie wiedziałem, o kim mówi, bo go nie znałem, i miałem nawet zapytać, ale włączył się Grabosz. Powiedział, że nie zna lepiej

wyszkolonego faceta i że się dziwi, że Rajnera nie awansowano na dowódcę. Wtedy Hilera o mało szlag nie trafił, zaczął się ciepać, że to prymitywny zakapior, którego ubrali w mundur, a dowódca musi być inteligentny. A ten kretyn Stareczek jeszcze ich podpuszczał.

– Myślałem, że to twój kumpel – przerwał mu Jagielski.

– E tam, od razu kumpel. – Technik się skrzywił.
– Gramy razem w karty, i tyle. A wtedy mnie wkurwił, bo mieliśmy grać w karty, a nie gadać o robocie. Próbowałem im przerwać i Grabosz też chyba miał już dość, bo poszedł na balkon zapalić, ale oni dalej wałkowali ten temat. Więc ja też polazłem na balkon. To idiotyczne – uśmiechnął się z zażenowaniem – żona odeszła ponad dwa lata temu, a ja dalej wychodzę z papierosem na balkon.

Jerzy rzucił jakąś niezobowiązującą uwagę, bo choć było mu trochę głupio wykorzystywać Mirka, nie chciał dopuścić, by rozmowa zdryfowała z interesującego go tematu. Obiecał sobie, że po wszystkim powie mu prawdę, i uspokoiwszy w ten sposób sumienie, powrócił do zadawania pytań.

– O co Hiler i Grabosz się kłócili?

– Mówiłem już – burknął technik, lecz po chwili wyjaśnił: – Hiler opowiadał o Rajnerze, który podobno twierdził, że przydzielony jego grupie UAZ nie jest całkiem sprawny. Przez to nie mógł zagwarantować, że zdążą do Katowic na czas. Hiler uznał to za miganie się od służby i nie dał innego samochodu, a Rajnerowi obiecał naganę, jeżeli się spóźnią.

– A Stareczek? Jaki miał z tym związek?

– Doktorek najpierw wypytywał, co konkretnie Rajner ma robić w Katowicach, a potem zaczął dogadywać, że to tchórz i Hiler powinien się go pozbyć. Miałem ochotę mu jebnąć, bo przez niego dalej truli o ZOMO i brydża chuj strzelił.

– Potem chyba jeszcze graliście? – Jagielski zamarkował zastanowienie. – Pamiętam, że na oględzinach byłeś wypłuty, bo siedzieliście do drugiej.

Kazimierczak podparł brodę pięścią, zapatrzył się w okno niewidzącym wzrokiem i trwał tak kilkadziesiąt sekund, nim się odezwał.

– Graliśmy, ale to już nie było to. Nie lubię grać z dziadkiem.

Udało mu się zaskoczyć podporucznika, który popatrzył z nieskrywanym zdumieniem.

– Jakim znowu dziadkiem? Mówiłeś, że graliście we czwórkę.

W odpowiedzi na te pełne pretensji słowa technik roześmiał się serdecznie, a gdy już się uspokoił, zrobił w stronę Jagielskiego pojednawczy gest.

– Nie nadymaj się tak. Ty faktycznie w ogóle nie umiesz grać w karty. Z dziadkiem, czyli bez czwartego, rozumiesz? Jego karty leżą na stole i...

– Dobra, nie tłumacz, i tak nie pojmę. Lepiej powiedz, czemu bez czwartego?

– Bo Stareczka dopadł ból nerek i doktorek zmył się grubo przed północą.

To była informacja, na którą Jerzy czekał! Omal nie podskoczył z radości, lecz jakimś cudem zdołał się opanować i spojrzał na kolegę z obojętną miną.

– To gość faktycznie miał pecha. Ale wspomniałeś, że Hiler i Grabosz później znowu się pokłócili o Rajnera. O co wtedy poszło?

Do Kazimierczaka najwyraźniej wreszcie dotarło, że pytania Jagielskiego już dawno wykroczyły poza zwykłą ciekawość, a niewinna rozmowa niespostrzeżenie przekształciła się w regularne przesłuchanie. Oderwał plecy od oparcia krzesła, pochylił się do przodu i popatrzył podejrzliwie na Jerzego.

– O co ci, kurwa, właściwie chodzi? Uczepiłeś się naszych spotkań, jakbyśmy co najmniej grali w kasynie w black jacka albo ruletę.

– Mam w dupie, w co graliście i na jakie stawki – odburknął Jagielski. – Wyjaśnię ci wszystko, ale najpierw odpowiedz na moje pytania. To ważne – zaznaczył na widok miny technika. – Załatwmy to tutaj, nie chcę w sprawę mieszać starego.

Niemile zdziwiony Kazimierczak najpierw rozdziawił usta, potem zasypał Jerzego gradem pytań.

– Naczelnika? Co ty znowu wymyśliłeś? Kroci się jakaś afera? I ja ci mam pomagać, żebyś mógł mnie udupić?

– Nie ciebie – odparł dość oględnie podporucznik, a gdy zauważył, że niewiele to pomogło, powiedział prawdę. Co prawda nie całą, ale przynajmniej nikt nie mógłby mu zarzucić kłamstwa. – Chodzi o Hilera.

Jego odpowiedź została wzięta za dobrą monetę. Uspokojony kolega ponownie rozsiadł się wygodnie i mruknął:

– Mam w dupie Hilera. Nigdy go nie lubiłem. – Strzepnął lekceważąco palcami. – W brydża gra nieźle, ale jako człowiek jest jakiś taki śliski. I kurewsko mściwy. Odniosłem wrażenie, że wypytywał o Milewskiego po to, żeby znaleźć na niego haka, i nawet ostrzegłem Grabosza, żeby tyle nie kłapał dziobem. Ale wiesz, jaki jest Kazek. Nie da sobie nic powiedzieć, a w dodatku lubi czuć się ważny.

Sierżant Kazimierz Grabosz siedział w pokoju razem z Emilem Adamaszkiem, było więc wielce prawdopodobne, że działania zmierzające do ustalenia tożsamości Kolekcjonera Dorot nie były mu obce. Ale na razie Jerzy chciał załatwić sprawę Hilera, nim przejdzie do następnej kwestii.

– Opowiedz o tej drugiej kłótni. O co im poszło, że o mało się nie pobili? – powtórzył pytanie.

Technik skrzywił się, jakby zjadł coś kwaśnego.

– Hiler to menda. Chwalił się, że specjalnie nie daje Milewskiemu żadnych odpowiedzialnych zadań, żeby reszta zespołu myślała, że mu nie ufa. Wtedy Stareczek zapytał, co w takim razie Rajner robi.

– Co odpowiedział?

W głosie Jagielskiego słychać było napięcie, którego nie zamierzał ukrywać. Teraz, gdy Kazimierczak poznał cel dociekań, nie miało to już znaczenia.

– Że każe mu robić różne niepotrzebne rzeczy albo poleca być w gotowości, a potem go opierdala, że siedzi i nic nie robi, bo inni nie chcą z nim współdziałać. Wtedy Grabosz nazwał to skurwysyństwem i zaczęli się szarpać.

– Pobili się?

– Nie, no co ty, tego jeszcze mi brakowało. Rozdzieliliśmy ich, nim zdążyli dać sobie po razie.

– Potem już był spokój? – zaciekał się Jerzy, lecz zniesmaczony technik zaprzeczył ruchem głowy i podjął relację.

– Stareczek znowu się uczepił tematu i spytał, czy Hiler przez cały czas ma Rajnera na oku, a kiedy usłyszał, że nie, powiedział, że w takim razie można by oskarżyć go o samowolne porzucenie służby. Okropnie mnie tym wkurwił i powiedziałem, że albo gramy, albo koniec imprezy, bo szkoda mi nocy na słuchanie takich pierdół. Wtedy skończyli temat, ale było już po drugiej i niedługo potem poszli.

Jagielski pokiwał głową, po czym zapytał, czy zdarzyło się jeszcze kiedyś, że Andrzej Hiler opowiadał o działaniach wymierzonych w Milewskiego. Z odpowiedzi technika wynikało, że owszem, zdarzyło się to mniej więcej w połowie lutego.

– Nie pamiętasz dokładnej daty? – dociekał Jerzy.
– Pomyśl, może sobie przypominasz. Cholernie by mi to pomogło.

– Może mam gdzieś zanotowane – odparł Kazimierczak bez przekonania. – Mogę poszukać, ale czarno to widzę.

Podniósł się z krzesła, lecz podporucznik go powstrzymał.

– Później to sprawdzisz. Teraz lepiej mi powiedz, co mówił.

– Mniej więcej to, co zawsze. Z tego, co pamiętam, narzekał, że potrzebuje na Rajnera solidnego haka,

bo nie może znieść jego obecności w plutonie. A ze Stareczka też kawał gnoja! – oburzył się nagle. – Podpowiedział mu, żeby wysłał Milewskiego na jakąś obserwację czy coś podobnego, ale tak, żeby był sam. A wtedy mógłby powiedzieć, że podwładny bez jego zgody zszedł z punktu. Jeszcze się debil śmiał, że będzie słowo przeciwko słowu, a przecież nikt nie stanie po stronie zwykłego chorążego przeciwko kapitanowi.

– Faktycznie gnój – stwierdził Jagielski. – Czy to się jeszcze powtórzyło?

Kazimierczak po dłuższym zastanowieniu zaprzeczył, a następnie wyjaśnił, że przez następny miesiąc remontował mieszkanie, więc nie miał czasu na granie w karty, a potem skrzył nogę i był na zwolnieniu.

– Wiem, że ze dwa razy się spotkali i próbowali grać z dziadkiem, ale chyba niezbyt im to odpowiadało. A może się pokłócili? – Technik bezradnie rozłożył ręce. – Nie wiem. W każdym razie czwórka brydżowa przestała istnieć, bo Hiler powiedział, że jest zbyt zajęty. Czasem gramy w trójkę, ale to już nie to.

Jerzy pomyślał, że Hiler zyskał już to, o co od początku mu chodziło, więc zapewne dlatego zrezygnował z karcianych spotkań. Nie powiedział jednak tego głośno. Właśnie miał okazję się przekonać, że dyskrecja nie jest najmocniejszą stroną funkcjonariuszy, i wolał nie ryzykować. Poprosił więc Kazimierczaka o poszukanie notatki o spotkaniu, sam zaś zadzwonił do Emila Adamaszka i poprosił, by przysłał do niego Grabosza.

– Zobaczymy, czy faktycznie ma taki długi ozór – mruknął do siebie i zmienił kasetę w przyniesionym jakiś czas temu z domu magnetofonie marki Grundig.

Rozdział 31

Długi jęzor sierżanta

Grudzień 1986, Bielsko-Biała

Zdzisław Tarnawa kolejny raz ubłagał matkę, by poprosiła Jana Przybytkę o uruchomienie kontaktów i znajomości. Wiedział, że brat matki ma coraz więcej wątpliwości, czy powinien pomagać krewniakowi, toteż nie zwrócił się do niego osobiście. Doszedł do wniosku, że mężczyzna siostrze z pewnością nie odmówi. Kobieta bez namysłu przyrzekła ukochanemu synowi spełnić jego prośbę.

– Te jej koleżanki na pewno wiedzą, dokąd Dorotka wyjechała.

Jakoś nie umiała się przekonać do obco brzmiącej Doris, a nie chciała drażnić syna, który z niewiadomych przyczyn nie znosił imienia Jolanta, nazywała więc synową Dorotką, co irytowało go trochę mniej.

– Chyba przeceniasz moje możliwości – burknął brat, niezadowolony, że znowu wrócił temat, którego miał już powyżej uszu. – Nie każę ich przecież zamknąć! Poza tym to zwykłe księgowe, nie mają możliwości ukrycia kogoś bez śladu. Zresztą już to przerabialiśmy – przypomniał zgryźliwym tonem.

Gdy Jolanta zniknęła z mieszkania rodziców, siostrzeniec ubłagał, by wuj włączył się w jej poszukiwania. Przybytek zgodził się, lecz zaznaczył, że robi to ostatni raz. Wkrótce już wiedział, że była żona Zdzisława z pewnością nie schroniła się ani u swojej rodziny, ani u krewnych Lucyny Jagielskiej. Pozostała więc tylko Inga Piątkowska i jej bliscy mieszkający w Legardzie, ale i ten trop okazał się fałszywy. Wkrótce potem się okazało, że Jolanta wcale z Bielska-Białej nie wyjechała. Przez cały ten czas mieszkała w hotelu robotniczym, chodziła normalnie do pracy i na zakupy, jednym słowem w ogóle się nie ukrywała, tylko Zdzisław nie pomyślał o takim rozwiązaniu.

– Teraz na pewno nie ma jej w Bielsku. Może ich mężowie ją gdzieś ukryli? Zdzisek mówi, że obaj robią na milicji, to pewnie mają możliwości. – Kobieta błagalnie złożyła ręce. – On tak strasznie za nią tęskni. Pomóż mu, Janku, naprawdę ostatni raz.

Mężczyzna jak zwykle się ugiął. Po śmierci rodziców starsza o trzynaście lat siostra zastępowała mu matkę i przez wzgląd na tamte lata nie umiał jej odmówić. Chcąc nie chcąc, zadzwonił do znajomego piastującego w milicji wysokie stanowisko i dość pokrętnie przedstawił powody, dla których musi wiedzieć, czy Jerzy Jagielski,

Norbert Swift lub któryś z ich bliskich znajomych nie posiadają jakiegoś dodatkowego lokum, prawdopodobnie umiejscowionego gdzieś na odludziu. Na szczęście znajomy nie dociekał powodów tego zainteresowania i obiecał pomóc.

Tym sposobem po kilku dniach Przybytek mógł zadzwonić do siostry i przekazać jej uzyskane informacje.

– Jagielski po ślubie wprowadził się do mieszkania żony, a Swift mieszka w starej ruderze odziedziczonej po dziadkach. Kazałem dyskretnie sprawdzić, dlatego wiem, że Doroty tam nie ma.

– Biedny Zdzisek, był taki pewien, że ją znajdziesz.

Żałosny ton siostry jak zwykle wywołał w Przybytku wyrzuty sumienia, dopowiedział więc to, co pierwotnie zamierzał ukryć, gdyż żal mu się zrobiło dziewczyny, mimo że prawie jej nie znał. Życie z tym idiotą na pewno nie było łatwe, nie dziwił się więc, że się rozwiodła. Tylko niepotrzebnie przedstawiła go w sądzie jako sadystę, to mogło zaszkodzić całej rodzinie. Na szczęście sędziowie drugiej instancji okazali się rozsądni.

– Jest jeszcze jedna możliwość – powiedział po namyśle. – Swift ma kolegę, który na wiosnę odziedziczył w Wiśle dom. Ten Milewski się tam przeniósł, a ostatnio podobno zamieszkała z nim jakaś dziewczyna o rudych włosach. Nie wiem, czy to Dorotka, ale warto by sprawdzić. To wszystko, co mogłem załatwić.

Wysłuchał podziękowań rozradowanej siostry, przypomniał, że więcej nie zamierza się włączać w sprawy Zdzisława, i z ulgą zerwał połączenie.

Obym nie musiał żałować tej pomocy – pomyślał w przystępie pesymizmu.

Jagielski postanowił nie tracić czasu na owijanie w bawełnę, dlatego też, gdy tylko sierżant Kazimierz Grabosz stanął w drzwiach, powitał go oficjalnym tonem i natychmiast przeszedł do rzeczy.

– Siadaj! – Wskazał mu krzesło naprzeciwko swojego biurka. – Grywałeś w karty z Kazimierczakiem, Hilerem i Stareczkiem, prawda?

– No... tak – odparł sierżant z lekkim ociąganiem.
– Ale my nie graliśmy na pieniądze, to nie był żaden hazard...

– A czy ja mówię, że był? – przerwał mu Jerzy. – Te sprawy mnie nie interesują, chciałem z tobą porozmawiać o czymś innym. Słyszałem, że na tych spotkaniach kłóciłeś się często z kapitanem Hilerem i że powodem kłótni był starszy chorąży Rajner Milewski. Czy to prawda?

Grabosz natychmiast się odprężył, co dało podporucznikowi nieco do myślenia. Te gry musiały jednak nie być tak całkiem niewinne. To jednak rzeczywiście kompletnie go nie obchodziło, miał do rozwiązania ważniejsze problemy. Jeśli komuś nie żał tracić pieniędzy na hazard, to jego sprawa.

– Kłóciłem się z Hilerem, bo z niego jest straszny skurwysyn i przez to nie jest przez nikogo lubiany. Ale dobrze gra w brydża, dlatego zapraszaliśmy go na spotkania. Od początku czepiał się Milewskiego,

nie mógł znieść, że zwykły chorąży zna się lepiej na robocie od niego. A Rajnera znam z czasów, kiedy służyłem w ZOMO. To świetny gliniarz i dobry kolega, a jako „specjalny” jest w Bielsku najlepszy.

– Rozumiem, że stawałeś w obronie kumpla – powiedział wolno Jagielski i nagle zagrał *va banque*, doszedłszy do wniosku, że z tym konkretnym mężczyzną więcej zyska szczerością niż podchodami: – Za to nie rozumiem, czemu w takim razie dostarczałeś broni przeciwko niemu.

Na twarzy Grabosza odbiła się konsternacja. Sierżant potarł dłonią gładko ogolony policzek i spojrzał niepewnie na Jagielskiego.

– Nie wiem, o co ci chodzi. I nie wiem, czy mi się podobają te wszystkie pytania. Prowadzisz przeciwko mnie jakieś postępowanie?

Wstał, lecz nie zdążył zrobić nawet kroku, gdy powstrzymało go wydane ostrym tonem polecenie.

– Siadaj! – Zawahał się, a wtedy Jerzy powtórzył: – Siadaj. I nie próbuj robić uników, bo tylko sobie zaszkodzisz.

Niechętnie usłuchał i usiadł, lecz nie była to już taka swobodna poza jak przedtem. Teraz sztywno wyprostowane plecy nie dotykały oparcia, a przytrzymujące boki siedziska ręce zacisnęły się tak mocno, że aż pobierały im knykcie.

– Szef nic nie mówił, że ma do mnie jakieś wąty – zaczął, lecz podporucznik nie pozwolił mu dokończyć.

– Nie mówił, bo o niczym nie wie. Nie prowadzę przeciwko tobie postępowania. Jeszcze nie, a ty się módl, żeby tak zostało.

– Nic nie zrobiłem – oburzył się Grabosz. – Nie masz prawa...

– Mam na głowie sprawę trzech zabójstw, a ty wyskoczyłeś mi w śledztwie, więc nie pouczaj mnie, kurwa, o swoich prawach!

Przerażony sierżant pobladł, ręce mu zadrżały. Najwyraźniej dopiero teraz pojął, że Jagielski mówi całkiem poważnie.

– Jurek, przestań. – W jego głosie zabrzmiały żalosne nuty. – Chyba nie myślisz, że to ja jestem Kolekcjonerem?

– Nie myślę – odburknął podporucznik. – Ale nie jestem pewien, czy na pewno mu nie pomogłeś. To jak będzie? Pogadamy czy mam wdrożyć oficjalny bieg?

Grabosz spoglądał na Jagielskiego, ciągle jeszcze nie mogąc uwierzyć, że dał się wykorzystać. Czy to naprawdę jest możliwe, by funkcjonariusz milicji wyciągał od niego poufne informacje? W dodatku po to, by się zemścić na podwładnym?

– To jakieś brednie – oświadczył w końcu, lecz choć chciał przydać swoim słowom mocy, zaprzeczenie zabrzmiało słabo niczym sprzeciw uczniaka wobec niesprawiedliwego werdyktu nauczyciela.

– Twoja opinia nie jest mi do niczego potrzebna – odparował podporucznik. – Fakty mówią same za siebie.

– To nieporozumienie, nie mówiłem o niczym ważnym – upierał się sierżant. – Co ci zrobiłem, że chcesz mnie udupić?

– Idiota – skonstatował Jerzy. – Przypomnij sobie. Czy to nie ty powiedziałeś na spotkaniu brydżowym, że zastanawiałem się nad Rajnerem Milewskim jako podejrzanym o zabójstwo żony?

– Nie pamiętam – mruknął Grabosz. – To było dawno temu.

– W porządku. A pamiętasz o tym, że na innym spotkaniu mówiłeś o przesłuchaniu Rajnera po zabójstwie Doroty Woźnicy?

Sierżant wzruszył ramionami z udawaną nonszalancją.

– Może mówiłem, może nie. Po takim czasie mam prawo nie być pewnym, zwłaszcza że nie są to żadne tajne informacje.

Jagielski miał ochotę porządnie nim potrząsnąć, a jeszcze bardziej wbić mu za pomocą pięści przynajmniej odrobinę rozumu do tego pustego baniaka, który Grabosz dźwigał na szyi zamiast głowy.

– Skąd wiedziałeś, że Rajner się z nią spotyka? Powiedział ci czy go śledziłeś?

– E tam, od razu śledziłem! – sprzeciwił się natychmiast Kazimierz. – Zobaczyłem, jak wchodzi do bloku, gdzie znajduje się mieszkanie operacyjne, i byłem zwyczajnie ciekawy, co tam robi. Bo czemu zomol miałby łązić do naszego punktu? Dlatego wszedłem na półpiętro powyżej i stamtąd filowałem.

– A potem wypaplałeś o tym przy brydżu – dopowiedział podporucznik. – Jak oceniłeś ich

spotkanie? Jako schadzkę?

– Nie jestem baba, żeby paplać – oburzył się sierżant. – I nie miałem czego oceniać. Milewskiemu informatorzy nie byli potrzebni, więc to oczywiste, po co się z nią spotykał. Nawet go rozumiem, też bym takiej laski z łóżka nie wygnał. Powiedziałem o tym na spotkaniu, bo to żadna informacja niejawna, poza tym tam byli sami gliniarze. – Zauważył uniesione brwi Jerzego i dopowiedział: – Stareczek przecież z nami stale współpracuje, wszyscy traktują go jak jednego z nas. Dowiem się wreszcie, o co chodzi?

– Momencik, nie nerwowo – uspokajał go Jagielski. – Zaraz ci powiem, tylko chcę jeszcze usłyszeć, jak to było po akcji ujęcia Karata. Co konkretnie przekazałeś swoim kumplom od brydża?

Tym pytaniem wreszcie zdołał wytrącić Grabosza z równowagi. Sierżant zaczął zdradzać oznaki podenerwowania, wreszcie wybuchnął:

– Byłem pewien, że Rajner odstrzelił Karata, dlatego im o tym powiedziałem. A z Hilera jest kawał gnoja. Następnego dnia naskoczył na mnie i zjechał tak, jakbym miał obowiązek meldować mu o tym, co się dzieje w wydziale, i celowo wprowadził go w błąd. – Kazimierz zacisnął dłonie w pięści. – Nazwałem go głupim chujem, a on zaczął mi grozić postępowaniem za znieważenie. Na to wszystko napatoczył się Kazimierczak i go wyśmiał, wtedy on się obraził i tym sposobem zostaliśmy bez czwartego. Pewnie będzie prosić, żeby znowu mógł przychodzić, ale...

– Nie będzie, bo już dostał to, co chciał – przerwał mu Jerzy. – Dzięki twoim informacjom znalazł wreszcie sposób, jak pozbyć się Rajnera, więc nie ma żadnego interesu spotykać się z wami i udawać dobrego kumpla.

W oczach Grabosza błysnęło przerażenie. Potrząsnął głową, nie mogąc uwierzyć w to, co właśnie usłyszał.

– Ale jak to? – jęknął bezradnie. – Jak on mógł...? Tak się nie robi, to jest zwyczajne skurwysynstwo...

– Bo z kapitana Hilera jest kawał skurwysyna – znowu przerwał mu Jerzy, nie zamierzając tracić czasu na wysłuchiwanie bezproduktywnych wyrzekań. – A z ciebie z kolei naiwniak, który dał się wykorzystać niczym kurwa alfonsowi.

Sierżant przyjął tę opinię z rezygnacją. Wyglądało na to, że wreszcie pojął, jaką rolę wyznaczył mu brydżowy partner. Nagle zbladł.

– Co teraz ze mną będzie? – spytał, spoglądając błagalnie na Jagielskiego. – Zgłosisz to naczelnikowi?

– Nie wiem – odparł zapytany, dotychczas bowiem w ogóle nie zastanawiał się nad tą kwestią. – To będzie zależało.

– Od czego? – spytał Kazimierz bez tchu.

– Od twoich odpowiedzi. – Podporucznik zauważył zdziwienie sierżanta i uprzedził jego pytanie: – Jeszcze nie skończyłem. Teraz opowiedz mi o tym, co mówiłeś o Rajnerze już po kłótni z Hilerem.

– Ja nic nie... zaczął Grabosz, lecz zmienił treść wypowiedzi pod wpływem groźnego wzroku Jerzego: – Stareczek się zastanawiał, czemu Kolekcjoner

nagle przestał zabijać. Odpowiedziałem, że pewnie wyjechał z Bielska i teraz zabija gdzieś indziej. Tylko tyle, przysięgam. Poza tym to przecież swój człowiek...

– Hiler też jest swój. – Jagielski przerwał mu po raz trzeci. Na widok przygnębienia sierżanta nie poczuł nawet cienia współczucia, tylko ogromny gniew. Przez tego człowieka zginęła Dorota Woźnica. – Wróćmy teraz do początku. Skąd wiedziałeś, że Milewskiego zdradza żona, i kiedy o tym opowiedziałeś swoim kolegom od kart? No, gadaj, bo zaczynam tracić cierpliwość. A może mam poprosić szefa, żeby mnie wyręczył?

Wkrótce potem wiedział już wszystko, gdyż Kazimierz wreszcie zrozumiał, że jego przyszłość w milicji zależy wyłącznie od tego, czy powie prawdę.

O tym, że Milewski jest rogaczem, Grabosz dowiedział się przypadkiem, gdy natknął się na nią, przechodząc obok cukierni „Murzynek”. Z przyzwyczajenia zerknął do środka przez wychodzące na ulicę ogromne okno i zdziwił się, ujrawszy znajomą twarz, bo kobieta, będąca żoną kolegi, tuliła się do obcego mężczyzny, a namiętny pocałunek nie pozostawiał złudzeń co do charakteru ich związku.

Sierżant opowiedział o tym kolegom od kart, a ci od razu podchwycili temat i dość długo dyskutowali na temat niewierności kobiet, gdyż Stareczek nie chciał uwierzyć w słowa Kazimierza. Nazwał nawet Grabosza sfrustrowanym starym kawalerem, obwiniającym wszystkie kobiety o niewierność dla podbudowania ego, nadwątłonego niepowodzeniami w sferze uczuciowej.

Rozmowa miała miejsce na kilka dni przed śmiercią Milewskiej.

Jagielski zapisał pozyskane informacje i wrócił do Doroty Woźnicy. Wcześniejsze słowa Grabosza wyjaśniły mu, skąd Stareczek dowiedział się o jej spotkaniach z Milewskim, ale Jerzy nie czuł się jeszcze usatysfakcjonowany.

– Czy to ty wspomniałeś, że Woźnica mieszka w lokalu wynajmowanym przedtem przez Pieczyka?

Sierżant zdecydowanie zaprzeczył.

– To Hiler. – Na widok pełnej niedowierzania miny podporucznika czym prędzej rozwinął odpowiedź: – Mówił, że podsłuchiwał kiedyś rozmowę Rajnera. Że nawet się zastanawiał, kim jest ten Pieczyk, o którym wspomniał Milewski, i z ciekawości sprawdził adres, który Rajner zapisał na bloczku leżącym obok telefonu. Śmiał się, że ma go wyrytego w pamięci, i nawet go wyrecytował. Ja naprawdę nie miałem z tym nic wspólnego.

– W porządku – uspokoił go Jagielski. – Kiedy to było? Tylko nie mów, że nie pamiętasz – ostrzegł zimno.

Kazimierz zdobył się na lekko drżący uśmiech.

– Tym razem akurat bardzo dobrze pamiętam, bo to było w Mikołaja i Hiler miał wyrzuty sumienia, że...

Wyrzuty sumienia Hilera Jerzego kompletnie nie interesowały. Przestał słuchać i skupił się na wcześniejszych słowach. W Mikołaja? Woźnica zginęła trzynastego grudnia, zatem Stareczek miał dość czasu, by sprawdzić, czy jej adres jest

aktualny, a także poznać rozkład dnia i zwyczaje dziewczyny.

Zastanawiał się, dlaczego lekarz zabił dwie w gruncie rzeczy nieznane mu bliżej kobiety. Czyżby po odejściu żony coś przestawiło mu się w głowie i postanowił ukarać w ten sposób wszystkie zdradzające mężów Doroty? Tylko że Woźnica nie była mężatką, a jej chłopak nie żył, nie podpadała więc pod definicję niewiernej. Chyba że Stareczek dowiedział się skądś o jej podwójnej roli w organizacji Karata, ale to chyba niemożliwe, skoro Rajner działał na własną rękę.

Jagielski postanowił odłożyć na razie ten problem na bok i zająć się trzecią ofiarą Kolekcjonera. Ponownie zwrócił się do sierżanta.

– Czy na tych waszych karciano-plotkarskich spotkaniach była kiedyś mowa o Barbarze Stareczek? Żonie doktora – sprecyzował, gdy napotkał puste spojrzenie Kazimierza. Ten natychmiast się ożywił i zdecydowanie pokręcił głową.

– Nie Barbara, tylko Dorota. Stareczek nigdy nie nazywał żony pierwszym imieniem, a kiedy Hiler powiedział, że widział Baškę z Milewskim i że mówili o jakimś świadku, o mało mu do piór nie skoczył. Potem się tłumaczył, że to przez tę Baškę tak go poniosło. Nie rozumiem tego. – Grabosz zrobił zniesmaczoną minę. – Wkurwić się z powodu imienia, a nie z powodu rogów?

– Jego żona wcale nie sypiała z Milewskim. Znali się od dawna, ale...

Tym razem to sierżant przerwał Jerzemu.

– Przecież wiem. Ale dla nikogo nie było tajemnicą, że odeszła od męża i żyła z tym Italiańcem, więc tak czy owak Stareczek był rogaczem.

To prawda – rozmyślał podporucznik. Tylko że gdyby jawnie okazywał swoją frustrację, w razie śmierci żony stałby się pierwszym podejrzanym. A dzięki trzymaniu nerwów na wodzy nikt nie brał go pod uwagę i jeszcze wszyscy mu współczuli. Sukinsyn! Jak mam go udupić? Na podstawie zeznań Grabosza? To za mało nawet na areszt, a nie mam żadnych dowodów, że to on jest zabójcą.

– Jednego tylko nie rozumiem. Z twojego opowiadania wynika, że nie lubisz ani Hilera, ani Stareczka. To po kiego chuja się z nimi spotykałeś? Nie ma w Bielsku innych ludzi grających w brydża?

– W dupie mam całego brydża, Mirek tak samo. Chcieliśmy się odegrać.

Odegrać? To słowo wywołało w głowie Jagielskiego prawdziwy rozbłysk. Wreszcie zrozumiał, czemu Grabosz chodzi w starych łachach jak jakiś lump i dlaczego Kazimierczaka zostawiła żona. I czemu obaj nigdy nie mają pieniędzy.

– W co gracie? Tylko nie mów, że w brydża, bo ci jebnę.

– Czasem w pokera, ale Stareczek najbardziej lubi grać w oko.

Jerzy westchnął, nie mogąc zrozumieć podobnej głupoty. Teoria, że hazard to rodzaj uzależnienia, jakoś nie trafiała mu do przekonania.

– Idioci – ocenił bezlitośnie. – To prawdziwy cud, że nie graliście w trzy karty. Hiler też dużo przegrywał?

– Nie, raczej wychodził na swoje.

Bo przychodził w innym celu – pomyślał Jagielski. Uznał, że niczego więcej z sierżanta już nie wyciągnie, toteż po odebraniu solennego przyrzeczenia, że Kazimierz nie wspomni nikomu nawet słowem o treści ich rozmowy, odesłał go do pracy. Gdy został sam, ponownie zagłębił się w czytaniu akt, choć treść najważniejszych dokumentów znał już na pamięć. Pamiętał nawet, na której stronie opinii sądowo-medycznej znajdował się poprawiony fragment, opatrzony pieczęcią i parafką lekarza przeprowadzającego sekcję.

Czytał uważnie karta po karcie, lecz nic nie zwróciło jego uwagi. Wszystko wskazywało na to, że zabójca nie pozostawił po sobie żadnych śladów. *A może zostawił, tylko ja jestem za głupi, żeby je dojrzeć?* – zastanawiał się milicjant, zaczynający wątpić nie tyle w winę Stareczka, ile we własne umiejętności.

Przełożył kolejną kartę i zatrzymał wzrok na następnej.

– Opinia sądowo-medyczna – przeczytał głośno nagłówek.

Naraz przyszło mu do głowy, że powinien porozmawiać z lekarzem, który wystawił dokument. Może w trakcie sekcji wniknęły jakieś wątpliwości nieujęte w dokumencie? Na wszelki wypadek postanowił zadzwonić najpierw do Wronowicza.

Jeśli chorąży uczestniczył w autopsji, mógł coś wiedzieć.

– Miałem ważniejsze sprawy do roboty niż przyglądanie się, jak ktoś grzebie w cudzych bebeciach. I tak się na tym nie znam. Wystarczy mi protokół, nie muszę oglądać tego na żywo – odburknął Wronowicz, nim jeszcze Jagielski skończył mówić. – I nie pierdol mi, że to przyspiesza sprawę – dodał, choć Jerzy nic takiego nie powiedział. – Dostałem papier już następnego dnia, sam Stareczek przyniósł mi go w zębach. Ty chyba nie masz takich względów, chociaż uważasz się za najlepszego w wydziale.

Zarechotał złośliwie i się rozłączył, nie dając podporucznikowi czasu na ripostę. Jagielski jednak zlekceważył zaczepkę, zapatrzony w coś, na co wcześniej nie zwrócił uwagi, choć spoglądał na ów dokument wiele razy.

Rozdział 32

Ostateczne rozwiązanie

Grudzień 1986, Wisła

To, co uważał za dziecinnie łatwe, po przyjeździe na miejsce okazało się niewykonalne. Tarnawa nigdy jeszcze nie był w Wiśle i nawet nie przypuszczał, że miasto jest tak rozległe. Jawornik, Czarne, Malinka, Głębcze... A to wcale nie były wszystkie dzielnice, do tego dochodziło mnóstwo pomniejszych osiedli, co do których nie miał pojęcia, czy wchodzi w skład tych pierwszych.

Jak miał odszukać wśród tej masy nazw tę właściwą, jeśli jedyna informacja, którą dysponował, nie precyzowała, w której części miasta znajduje się odziedziczony przez Milewskiego dom? W dodatku wcale nie było gwarancji, że właśnie w jego domu Doris znalazła schronienie, a on nie miał możliwości, by to sprawdzić.

Właśnie zamierzał wrócić, gdy uświadomił sobie, że jednak ma pewną szansę. Matka przed odejściem na emeryturę szefowała jednemu z wydziałów urzędu wojewódzkiego, a wcześniej, przed reformą administracyjną z 1975 roku, dzięki której Bielsko-Biała uzyskała status województwa, pracowała w bielskim biurze ewidencji ludności. Na pewno знаła różnych ludzi, być może również kogoś z Wisły.

Nieco podbudowany Tarnawa ruszył na poszukiwanie poczty, by natychmiast się dowiedzieć, czy jego rozumowanie jest słuszne.

Zgodnie z jego przewidywaniami matka nie dość, że obiecała natychmiast uruchomić dawne kontakty, to jeszcze się sumitowała, że sama nie wpadła na ten pomysł, przez co naraziła syna na stres i niewygodę. Po zakończeniu rozmowy Zdzisław udał się do hotelu, a po półgodzinie poszedł na obiad do restauracji mieszczącej się tuż obok. Po posiłku zamówił jeszcze piwo, lecz go nie dopił, gdyż niepewność co do matczynych działań nie pozwoliła mu delektować się napojem.

Zgodnie z umową miał zadzwonić ponownie dopiero po upływie trzech godzin, wrócił więc do hotelu z zamiarem ucięcia sobie krótkiej drzemki, lecz gdy tylko podszedł do recepcyjnej lady, spotkała go miła niespodzianka.

– Proszę pana!

Ze zdziwieniem popatrzył na dziewczynę przyciskającą do ucha słuchawkę telefonu, wolną ręką dającą mu znaki. Skreślił w tamtym kierunku i usłyszał jej słowa skierowane do rozmówcy po drugiej stronie linii.

– Właśnie wszedł, proszę pani. Już oddaje słuchawkę.

Coraz bardziej zaciekawiony wyciągnął rękę i po chwili mógł się już przekonać, że to matka nie mogła się doczekać przekazania mu miłych wieści. Zaraz po słowach, że zdobyła interesujący go adres, zaczęła się rozwodzić nad trudnościami, które musiała pokonać, by spełnić prośbę jedynaka. Zniecierpliwiony Tarnawa przerwał jej niezbyt grzecznie, nie mogąc się doczekać najważniejszego.

– Ruch tu jak diabli, a ty blokujesz telefon opowiadaniem o pierdołach. Przyjadę do ciebie jutro, to mi wszystko opowiesz.

– Może lepiej ja przyjadę? Tak dawno nie widziałam Dorotki. Będiesz zmęczony po podróży, a ja przecież bardzo chętnie...

– Mamo! Daj mi, kurwa, ten adres, zamiast pierdolić głupoty! – wrzasnął, nie zważając na przysłuchującą się recepcjonistkę.

Bez pytania sięgnął po leżący na kontuarze bloczek z kartkami, wyszarpnął z ręki dziewczyny długopis i zapisał podane mu wreszcie dane. Wydarł kartkę, schował do kieszeni marynarki i pobiegł do pokoju tak szybko, jakby naraz urosły mu skrzydła. Miał zamiar zaraz wyruszyć po Doris. Chciał jak najszybciej mieć ją tam, skąd w żadnym wypadku nie powinna była odchodzić. Jej miejsce było w domu i zamierzał zrobić wszystko, by więcej go nie opuściła.

Jeszcze nigdy pakowanie nie zajęło mu tak mało czasu, ale też tym razem nie bawił się w dokładne składanie ubrań i skrupulatne układanie kosmetyków w specjalnej saszetce. Wrzucał do

walizki wszystko jak leci, nie troszcząc się, że pasta do zębów została źle zakręcona, a zwinięte w kłębek spodnie od garnituru będą doszczętnie pogniecione. Po powrocie każe Doris się tym zająć. Była przecież jego żoną.

Zamknął walizkę, złapał uchwyt i ruszył już ku drzwiom, gdy uświadomił sobie, że nie może od razu pojechać po żonę. Rezygnacja z opłaconego noclegu z pewnością wzbudziłaby zaniepokojenie recepcjonistki, tym bardziej że dziewczyna przysłuchiwała się rozmowie Zdzisława z matką. Gdyby więc musiał siłą odebrać Doris temu gliniarzowi, jej zeznania z pewnością właśnie na niego skierowałyby podejrzenia. Musiał poczekać.

Nazajutrz wstał wcześniej, napędzany chęcią jak najszybszego odebrania swojej własności, i musiał stoczyć ze sobą prawdziwą walkę, by jej nie ulec.

– *Langsam, langsam, aber sicher* – powtarzał szeptem swoją ulubioną maksymę, gdy schodził do recepcji, by zamówić rozmowę z Bielskim. Wprowadzał w życie nowy plan, a niecierpliwość mogła mu poważnie zaszkodzić.

– Przykro mi, mamó, ale wprowadzono cię w błąd – powiedział, gdy tylko uzyskał połączenie. – Pod tym adresem nikt taki nie mieszka. Nie płacz, prędzej czy później go znajdę – oznajmił ni w pięć, ni w dziesięć, i dorzucił szybko, zagłuszając trajkotanie kobiety, która ani myślała płakać. – Właśnie wyjeżdżam. Będę w domu najdalej za dwie godziny, wtedy wszystko ci opowiem.

Podczas rozmowy nie spuszczał oczu z recepcjonistki, miał więc pewność, że słyszała jego słowa, zwłaszcza że celowo mówił bardzo

głośno. Potem zdał klucz od pokoju, pożegnał się uprzejmie i wyszedł, lecz zamiast do auta skierował się do restauracji. Nie zamierzał dla Doris rezygnować ze śniadania.

Grudzień 1986, Bielsko-Biała

Ubrany w lekarski kitel mężczyzna ze zdziwieniem spoglądał na stojącego przed nim milicjanta.

– Byłem pewien, że śledztwo prowadzi chorąży Wronowicz – odezwał się po chwili milczenia. – My się chyba jeszcze nie znamy. Mariusz Krzycki.

– Podporucznik Jerzy Jagielski. – Milicjant uścisnął podaną mu dłoń. – Ma pan chwilę na rozmowę?

– Jak na razie żaden pacjent się nie awanturuje. – Lekarz się roześmiał i wskazał gościowi fotel, sam zaś zajął drugi. – Ma pan jakieś wątpliwości co do moich ustaleń? – spytał otwarcie, nadal z przyjaznym uśmiechem.

– Absolutnie nie. Jak mógłbym mieć? Przecież się na tym nie znam. Interesuje mnie jedynie, czy w trakcie sekcji nie nasunęło się panu jakieś spostrzeżenie, którego nie umieścił pan w opinii.

– Musiałbym najpierw ją odszukać, żeby sobie przypomnieć, co w niej napisałem. To było przecież rok temu.

Patolog wyglądał na zaniepokojonego nietypową prośbą, toteż Jerzy już bez żadnych skrępowań wyjął z teczki swój egzemplarz.

– Przewidziałem to, dlatego przyniosłem ją ze sobą. – Podsunął Krzyckiemu dokument. – Pan chyba u nas od niedawna? – zaciekał się, wcześniej bowiem nigdy nie spotkał się z tym nazwiskiem, pojawiło się dopiero na tej opinii.

Lekarz podniósł wzrok znad kartki wypełnionej gęsto maszynowym pismem.

– Zacząłem tu pracować na krótko przed tym – znaczącym gestem wskazał dokument. – Ta sekcja była w Bielsku moją drugą i jednocześnie pierwszą stwierdzającą zabójstwo. W dodatku takie! Nie ma pan pojęcia, jaki byłem podekscytowany, kiedy odkryłem powiązania z dwoma poprzednimi.

Jagielski zapatrzył się na niego z niezbyt mądrą miną. Po raz pierwszy od bardzo długiego czasu zabrakło mu słów. Krzycki pod wpływem nieruchomego spojrzenia zmieszał się i spytał niespokojnie:

– Coś nie tak? Chodzi panu o to, co powiedziałem? Może niezręcznie się wyraziłem. Nie to, że się cieszyłem...

– Doktorze – przerwał mu Jerzy. – Byłem pewien, że te powiązania odkrył doktor Stareczek. Tak przynajmniej przedstawiono mi sytuację.

Po twarzy Krzyckiego przemknął grymas irytacji. Patolog na moment zmarszczył brwi, potem uśmiechem usiłował zamaskować okazane wcześniej emocje.

– Nieważne. Może powiedział tak, bo poczuł się zagrożony? Przedtem był tutaj niekwestionowaną gwiazdą, aż tu nagle pojawia się inny lekarz, młodszy i...

Nie dokończył, więc Jagielski zrobił to za niego.

– I zdolniejszy. Zrobiłem mały wywiad na pana temat, więc wiem, że to prawda. – Uśmiechnął się, widząc, że kolejny raz zaskoczył Krzyckiego. – Ale w tym konkretnym przypadku nie podejrzewam, by chodziło mu właśnie o to. Niech pan najpierw zerknie na swoją opinię, a ja później wszystko wytłumaczę.

Lekarz pochylił się nad maszynopisem i przebiegł uważnie wzrokiem pierwszą stronę. Gdy zbliżał się do końca drugiej, Jerzy bezwiednie zacisnął dłoń w pięści w oczekiwaniu na ostateczne rozstrzygnięcie.

– Co to, kurwa, jest?!

Okrzyk zbulwersowanego Krzyckiego zabrzmiał w jego uszach jak najpiękniejsza muzyka, mimo to zdławił ogarniającą go euforię i zdobył się na obojętność. Musiał usłyszeć to z ust patologa.

– Co się stało?

– Ktoś poprawił moją opinię! To nie jest mój podpis! Niech pan sam zobaczy!

Podenerwowany mężczyzna dźgnął palcem w miejsce, gdzie przebito pierwotne litery, zastępując je nowymi. Obok nich nieco krzywo przybito pieczęć szpitala i umieszczono nieczytelną parafkę.

Krzycki podniósł wzrok na podporucznika i znów się zdumiał, ujrzał bowiem szeroki uśmiech milicjanta.

– Odkryłem to dopiero dzisiaj, dlatego przyszedłem. Musiałem się upewnić, bo wprowadzie

pana podpis nie wzbudził moich podejrzeń, ale pieczętka już tak.

Lekarz znów spojrzał na opinię i pokiwał głową.

– Do parafowania poprawek używam imiennej, a tu jest nagłówkowa. Nie zwróciłem na to uwagi. Dobry pan jest – stwierdził z uznaniem i niespodziewanie zaproponował: – Mówmy sobie po imieniu, tak będzie prościej.

Jagielski natychmiast przystał na propozycję.

– Powiedz mi, kto mógł to zrobić? – spytał, swoim zwyczajem wnosząc w duchu modły do Boga, Marksa i Lenina, by odpowiedź rozwiązała resztę wątpliwości.

– Sam to napisałem, dlatego jest tyle błędów – odpowiedział Krzycki. – W poprzednim szpitalu od takich spraw mieliśmy sekretarkę. – Zamyślił się na kilkadziesiąt sekund, lecz nie minęła nawet minuta, gdy odpowiedział: – Właśnie skończyłem przybijać pieczętki, gdy pojawił się doktor Stareczek. Zauważył, co robię, i zapytał, czy może przeczytać. Nie powinienem był się zgodzić, ale...

Urwał, więc milicjant dokończył za niego:

– Trudno odmówić nowemu koledze, zwłaszcza gdy sprawa dotyczy jego żony.

– Właśnie. No więc Stareczek przeczytał tę opinię, a potem zaproponował, że może ją zanieść do chorążego Wronowicza, bo i tak musi się tam udać w związku ze śledztwem. – Krzycki przegarnął nerwowym gestem bujną czuprynę. – Tylko on mógł wprowadzić te poprawki. Tylko po co? Nic z tego nie rozumiem. A ty?

Jagielski rozumiał znacznie więcej, lecz nie zamierzał informować lekarza o swoich podejrzeniach. Krzycki był sympatyczny i wydawał się szczerze przejęty, lecz znali się zbyt krótko, by milicjant mógł mu zaufać. Zresztą zaufanie nie miało tu nic do rzeczy, o kulisach śledztwa nie opowiada się nikomu, nawet żonie.

– Całkiem możliwe, że z zazdrości chciał cię wpuścić na minę. Wykazać, że jesteś niekompetentny – rzucił pierwsze wytłumaczenie, jakie przyszło mu do głowy. – Mariusz, na pewno masz tu gdzieś swoją kopię. Mógłbyś ją teraz odszukać?

– Jest w archiwum. Oddajemy tam dokumenty co pół roku, inaczej zginęlibyśmy pod stosami papierów. – Patolog się skrzywił. Nie wyglądał na zachwyconego pomysłem. – Po co ci kopia?

– Chcę sprawdzić, czy poprawiono tylko oryginał, bo jest szansa, że tak. Wtedy byłoby mi łatwiej.

– Masz zamiar to zgłosić?

– Muszę, choćbym nawet nie chciał. To przestępstwo przeciwko dokumentom, a w dodatku cała moja robota poszła się pierdolić, bo trzeba ponownie ustalić alibi wszystkich mających do czynienia z denatką.

Krzycki skinął głową i poszedł do sekretariatu, żeby się dowiedzieć, gdzie znajduje się szpitalne archiwum. Jak wyjaśnił, dotychczas ta kwestia w ogóle go nie interesowała. Ku zaskoczeniu Jagielskiego po kilku minutach wrócił szeroko uśmiechnięty, triumfalnie dzierżąc w dłoni jakieś kartki.

– Jak to dobrze, że jestem tu nowy – mówił od drzwi. – Nie wiedziałem, w jakim terminie należy przygotować dokumenty do archiwizacji, i spóźniłem się o dwa tygodnie. Później pani Leokadia dość długo była na chorobowym, a po powrocie miała tyle zaległości, że na śmierć zapomniała o moich dokumentach. Segregator nadal stał w sekretariacie na półce, więc wystarczyło to wypiąć.

Podał Jerzemu kopię opinii, a ten zaraz spojrzał na drugą stronę, gdzie na dole kartki został określony czas zgonu. Tutaj nie było żadnych poprawek, widniał natomiast zakres od ósmej do jedenastej, co diametralnie zmieniałoby postać rzeczy. Skoro Stareczek o dziewiątej znajdował się w Katowicach, gdzie podpisał listę obecności, nie mógł zabić żony.

– Kurwa mać!

– Coś nie tak?

Teraz podporucznik nie miał już powodów do ukrywania przed lekarzem przyczyny zainteresowania opinią. Wyjaśnił, że liczył na to, iż rzeczywisty czas zgonu będzie dużo późniejszy, wcześniejszych godzin natomiast w ogóle nie brał pod uwagę.

– Twój podejrzany ma na rano alibi – domyślił się patolog.

– W dodatku niezbite. Był na sy... szkoleniu. – Jerzy zająknął się lekko i szybko zmienił słowo na inne, nie chcąc naprowadzić lekarza na właściwy trop. – Przed rozpoczęciem wyłożono listę obecności, a on ją podpisał, więc jest nie do ruszenia.

Odpowiedział mu śmiech. Podporucznik posłał Krzyckiemu urażone spojrzenie, lecz ten nie wykazał objawów skruchy, tylko zaśmiewał się dalej. Wreszcie uspokoił się na tyle, żeby móc wyartykułować w miarę zrozumiałe słowa.

– Nie wiem, o jakim szkoleniu mowa, ale jeśli było choć trochę podobne do sympozjum medycznego, to podpis twojego podejrzanego niewiele znaczy. Każdy robi wszystko, żeby tylko uniknąć słuchania tych bzdetów, dlatego jeden uczestnik podpisuje się za kilku, zazwyczaj dwóch lub nawet trzech. Jedyne, co możesz zrobić, to pogadać z prowadzącymi to szkolenie, ewentualnie porównać podpis z listy obecności z podpisem tego gościa. Ale to już chyba zajęcie dla grafologa.

Grudzień 1986, Wisła

Tarnawa dość długo obserwował dom, nim zyskał pewność, że Doris jest w nim sama. Nie mogło być inaczej, skoro przez tyle czasu w oświetlonym oknie widział tylko ją, a mężczyzna nie pojawił się ani razu.

Chyba jeszcze nigdy Zdzisław tak się nie cieszył z wyjątkowo paskudnej pogody. Gdyby nie półmrok spowodowany tkwiącymi nieruchomo na nieboskłonie ciężkimi, burzowymi chmurami, Doris nie zapaliłaby światła i wówczas nie mógłby zobaczyć jej sylwetki poruszającej się tanecznymi ruchami za gęstym woalem firanki.

Na ten widok poczuł wściekłość. Przy nim żona nigdy nie poruszała się tak pięknie i podniecająco zarazem. Może zaraz po ślubie, ale to wkrótce minęło, zastąpione ostrożnym, przypominającym skradanie się stąpieniem.

– Tak szybko przestała mnie kochać – mruknął do siebie, a jego wściekłość jeszcze się wzmożyła.

Jak Doris śmiała zachowywać się tak prowokacyjnie w domu mężczyzny niebędącego jej mężem!? Będzie musiał dać jej solidną nauczkę, zanim pozwoli jej ze sobą spać. A jeśli to nie poskutkuje, przygotuje dla niej słomiankę, niech sypia na podłodze w przedpokoju jak suka, bo nią właśnie jest.

– Goniąca się suka – syczał przez zęby, gdy po przeskoczeniu ogrodu zbliżał się do drzwi wejściowych.

Nacisnął na próbę klamkę i aż się cicho zaśmiał, gdy zamek ustąpił pod naporem ręki. *Co za durni ludzie tu mieszkają* – pomyślał, a usta wykrzywił mu pogardliwy grymas. *Trzeba mieć nierówno pod sufitem, żeby tak nie dbać o dobytek i własne bezpieczeństwo. Ale dla mnie to kolejny znak, że racja jest po mojej stronie.*

Przemknął na palcach w stronę pomieszczenia, skąd dochodził głos Doris. W pierwszej chwili Zdzisław uznał, że żona z kimś rozmawia, lecz w następnej musiał zweryfikować tę opinię. Doris śpiewała. Naprawdę śpiewała, choć w domu nigdy nie słyszał, by bodaj nuciła. Jakim prawem robi to tutaj?

Portowa ulica

Trudno z gorąca oddychać

Nagie ramiona, obraz zamglony

Tu zdradza się tylko raz[\[2\]](#)

Gdy do Tarnawy dotarł sens śpiewanego przez Jolantę tekstu, oczy zasnuła mu czerwona mgła. Przestał zważać na zachowanie ostrożności, teraz nie obchodziło go nic prócz konieczności natychmiastowego ukarania tej zdradzieckiej dziwki, która tak jawnie oznajmiała o tym, że przyprawiła mu rogi.

– Zamknij się, kurwo! – ryknął, wpadając do pomieszczenia, które okazało się kuchnią. – Stul pysk i na kolana! Błagaj o wybaczenie, to może cię nie zabiję.

Patrzyła na niego wielkimi oczami, w których nie dojrzał jednak przerażenia, tylko zaskoczenie i gniew. To rozjuszyło go jeszcze bardziej. Ona śmie okazywać niezadowolenie? Powinna się trząść ze strachu, a nie patrzeć tak spokojnie i tak... Współczująco? Nie, to niemożliwe, to chyba jakiś żart!

Odpiął klamrę paska i wyciągnął go ze szlufek, zdecydowany od razu dać jej pierwszą lekcję. Musi wreszcie zrozumieć, że to on jest w ich małżeństwie władzą, której należy się bezwzględny posłuch.

– Rajner?

Ręka zamierzająca wziąć zamach zamarła w bezruchu.

Co ona bredzi? – zastanawiał się Zdzisław. Co to jest rajner?

– Nie bój się, chudzinko – rozległ się męski głos, dobiegający z przedpokoju. – Zaraz tu posprzątam, nie chcemy przecież mieć w kuchni żadnych śmieci.

Tarnawa już chciał wybuchnąć stekiem przekleństw, gdy w przeszklonych drzwiach kredensu zobaczył jakiś ruch. Na usta wypłynął mu uśmiech zadowolenia, gdy pojął, że to sylwetka przybysza odbiła się w szybie niczym w lustrze. Odczekał jeszcze chwilę, a gdy zyskał pewność, że tamten zbliżył się już dostatecznie, odwrócił się błyskawicznie, zadając jednocześnie straszliwy cios w nieosłoniętą twarz kochanka Doris.

Kopniak w pierś wycisnął z jego płuc całe powietrze. Zdzisław zgiał się wpół, usiłując wziąć oddech, jednocześnie zaś przeszukiwał wzrokiem pomieszczenie, chcąc zdobyć jakąś broń. Zobaczył leżący na stole nóż i skoczył w tamtym kierunku, bezwiednie kuląc ramiona w oczekiwaniu na atak. Ten jednak nie nastąpił. Wysoki mężczyzna o twarzy pozbawionej jakiejkolwiek mimiki stał spokojnie z rękami założonymi na piersi, jakby czekał na inicjatywę przeciwnika.

Tarnawa od razu poczuł się pewnie, gdy jego dłoń zacisnęła się na ebonitowej rękojeści, a stalowe ostrze zamigotało w świetle lampy.

– Odsuń się od drzwi i pozwól nam wyjść, a nic ci nie zrobię – obiecał, dobrze wiedząc, że nie dotrzyma słowa. Ten tępą osilek leżał między nogami Doris i Bóg jeden wie, ile razy wlał w nią swoje nasienie. Nie miał prawa żyć. A ona? – Rusz

się, Doris, musimy już iść. W domu wybije ci z pamięci jego kutasa.

– Nie powinienes być tu przyjeżdżać – odezwał się obojętnie tamten. – A już tym bardziej wchodzić do tego domu. Jeszcze masz szansę. Wyjdź stąd i zniknij nam z oczu na zawsze, a będziesz żyć.

– Z drogi, kretynie! – ryknął Zdzisław, rozwścieczony jego spokojem. – Doris, na co czekasz? Mam ci pociąć tę śliczną buzię, żeby wreszcie dotarło, że to ja dyktuję warunki? Żałuję, że tego nie zrobiłem tam w hotelu, kiedy pode mną leżałaś. Wtedy ten dupek nawet by na ciebie nie spojrzał.

Stojący bez ruchu mężczyzna po raz pierwszy okazał, że jednak coś czuje. Na jego twarzy ukazała się litość.

– Tarnawa, ty naprawdę jesteś debilem. Mieć taką wspaniałą żonę i nie umieć tego docenić, to trzeba w ogóle nie mieć mózgu. Kochałbym ją nawet wtedy, gdybyś przerobił jej twarz na siekany kotlet, bo uroda to najmniejsza z jej zalet. Ale ty jesteś za głupi, żeby to zrozumieć. Jolka, pamiętaj o spiżarni.

Wszystko powiedział jednym tchem i skupiony na szukaniu stosownej riposty Zdzisław w pierwszej chwili nie zwrócił uwagi na ostatnie zdanie. Jolanta natomiast pojęła od razu jego sens. Wspomniała, jak Rajner opowiadał jej o kuzynce, i czym prędzej przemknęła w stronę wąskich drzwi. Wbiegła do środka, zanim były mąż zdążył zareagować.

– Wracaj, ty kurwo!

Miotając wyzwiska, ruszył w tamtym kierunku, lecz gospodarz błyskawicznie zastąpił mu drogę.

– Nie dostaniesz jej. Odejdź, póki jeszcze możesz.

Cichy, lecz zdecydowany głos podziałał na Tarnawę bardziej, niż gdyby mężczyzna krzyczał. Zdzisław odebrał to jako kpinę i to było więcej, aniżeli był w stanie znieść. Niespodziewanie doskoczył do gospodarza. Trzymał nóż w opuszczonej dłoni i zdawać się mogło, że nie zamierza go użyć, lecz zwrócone w górę ostrze świadczyło o czymś przeciwnym. Znalazł się już całkiem blisko, gdy nagle wziął od dołu zamach, mierząc w brzuch przeciwnika, i gdyby pchnięcie sięgnęło celu, rozplątałby go od pasa aż po mostek.

Ale cel zniknął, a Zdzisław siłą impetu poleciał do przodu. Chcąc się zaasekurować dłonią przed zderzeniem z piecem, wyciągnął przed siebie wolną rękę, strącając przy tym rondel z jakąś potrawą. W ostatniej chwili skierował ją w bok, unikając rozgrzanej blachy, a już w następnej ryknął z bólu, gdy opuszki palców przejechały po leżącej na blacie tarce. Odskoczył w bok, poślizgnął się na rozległej brązowej plamie sosu, przyozdobionej pomarańczowymi talarkami marchewki, beżowymi płatkami pieczarek i czerwonymi kostkami papryki, runął jak długi na podłogę, jęknął głucho i znieruchomiał.

Rajner nie spuszczał z niego wzroku. Po tym, jak dziecinnie prostym unikiem zdeorientował Tarnawę, wiedział, że mężczyzna nie jest dla niego żadnym przeciwnikiem. Ale zlekceważenie słabszego lubi się mścić, dlatego nie zamierzał podejmować zbędnego ryzyka. Podszedł bliżej i czubkiem buta trącił leżącego w bok. Ten nawet nie drgnął, więc nieco zdziwiony Milewski schylił się, by sprawdzić jego kondycję. Wtedy to poczuł.

Przez woń rozsmarowanego na podłodze gulaszu przebijał metaliczny zapach krwi.

Wzruszył ramionami i podszedł do drzwi spiżarki, by poinformować Jolę, że już nie musi bać się byłego męża, gdy usłyszał za sobą jakiś ruch. Odwrócił się błyskawicznie, gotów odeprzeć atak, ale Tarnawa nie zamierzał kontynuować walki. Przemykał właśnie w stronę drzwi z dłonią kurczowo przyciśniętą do zranionego boku, a po chwili jego kroki zatupotały w korytarzu. Potem rozległ się ryk silnika samochodu i wreszcie nastała cisza.

[2] Fragment utworu *Lucciola* zespołu Maanam.

Rozdział 33

Zaskakujący motyw

Grudzień 1986, Bielsko-Biała

Był już późny wieczór, gdy Jagielski wreszcie wjechał na parking przed komendą. Czuł się tak zmęczony, jakby przez cały dzień rozwalał kilofem kamienne bloki, a nie siedział za kierownicą samochodu. Zresztą to zajęcie wcale nie dało mu w kość tak bardzo, jak użeranie się z urzędnikami odpowiedzialnymi za organizację ubiegłorocznego sympozjum lekarskiego. Biurokracja wbrew obietnicom rządzących nadal miała się w Polsce świetnie, kto wie, czy nawet nie lepiej niż przed stanem wojennym.

– Mam wrażenie, że mózg mi wyciekł uszami – pożalił się Norbertowi, gdy spotkał go przy portierni. – Czy ty też masz takie uczucie, kiedy jesteś u lekarza, że oni wszyscy mówią w jakimś niezrozumiałym dla ludzi języku, w którym mimika i gestykulacja odgrywają większą rolę niż słowa?

Swift obdarzył go przeciągłym spojrzeniem, jakby sprawdzał, czy pytanie zostało zadane na serio.

– A wiesz, że tak? Nie zastanawiałem się nad tym, ale masz rację.

– To teraz wyobraź sobie taką rozmowę, ale zwielokrotnij odczucia o co najmniej pięć razy. Wtedy będziesz mieć przybliżony obraz tego, przez co musiałem przejść.

– Czy chociaż było warto?

Szeroki uśmiech wystarczył za odpowiedź. Jerzy ruszył ku schodom, lecz naraz przystanął i odwrócił się w stronę kolegi.

– Opowiem ci jutro, teraz muszę wydzwonić Ochabczyka i zdać relację z najnowszych ustaleń. Wiesz, jaki on jest, dostaje wściku macicy, kiedy nie jest na bieżąco.

W pokoju rozpiął kurtkę i nie tracąc czasu na jej ściąganie, wykręcił domowy numer prokuratora, nie podejrzewał bowiem, by ten nadal był w pracy. Prokuratura to nie milicja, tam się pracuje od-do i do rzadkości należały przypadki, by któraś z zatrudnionych tam osób zostawała po godzinach.

Ochabczyk odebrał telefon dopiero po czwartym dzwonku. Z gwaru dobiegającego ze słuchawki milicjant wywnioskował, że mężczyzna nie jest sam, a cedzone rozwlekłe słowa świadczyły o negatywnym wpływie alkoholu na organ mowy. To zbiło go z tropu. Nie miał pojęcia, jak bardzo prokurator jest pijany, tak samo jak nie wiedział, kto u niego gości. Na myśl, że mógłby powielić błąd sierżanta Grabosza, zrobiło mu się gorąco i czym prędzej odwiesił słuchawkę.

Następnego dnia siedział jak na szpilkach, wiedział jednak, że wyjście z komendy o tej porze nie ma najmniejszego sensu. I tak musiałby czekać, aż prokurator wypełni wielkie brzuszysko obfitym śniadaniem i poprawi ciastkiem popijanym kawą. Dopiero wtedy mógł podjąć czynności.

Co gorsza, dotyczyło to nie tylko Ochabczyka, ale także większości prokuratorów, którzy nieraz polecali milicjantom przyjść o ósmej lub nawet wcześniej, a potem i tak kazali na siebie czekać do dziewiątej.

O ósmej trzydzieści wszedł do sekretariatu, by wpisać się w książce wyjść, i natknął się na naczelnika. Zmieszał się nieco, gdyż nadal nie podjął decyzji co do Grabosza i Kazimierczaka, choć prawie całą noc spędził na rozważaniach. Z jednej strony uważał, że koleżeństwo zobowiązuje go do dyskrecji, lecz z drugiej nie mógł pozwolić, by knowania przeciwko Milewskiemu uszły Hilerowi na sucho. A tak się stanie, jeśli będzie milczał.

– Co to za afera z Kazimierczakiem? – spytał major Kastelik zaraz po przywitaniu. – Przyszedł do mnie przed końcem pracy i prawie się popłakał. Mówił, że to jego wina i gotów jest ponieść odpowiedzialność do złożenia raportu o zwolnienie włącznie, a ja patrzyłem na niego jak na głupka, bo nie wiedziałem, o co chodzi. Czemu nic nie wspomniałeś o jakichś nieprawidłowościach? Bo kolegów się nie podpierdala? Uważaj, żebyś tylko potem nie musiał za to zapłacić.

Mówił spokojnie, nie podnosząc głosu, ale podporucznik znał go zbyt dobrze, by nie wiedzieć, że major jest na granicy wybuchu. Na ogół tolerancyjny dla ludzkich słabości, nie znosił

krętaczy i kłamców. *Trudno, los sam zdecydował* – pomyślał Jerzy i odważnie przekroczył wrota piekieł, jak niektórzy dochodzeniowcy mieli w zwyczaju nazywać drzwi prowadzące do pokoju naczelnika.

– Wczoraj nie zdążyłem z panem porozmawiać – zaczął i urwał na widok uniesionych brwi szefa.

– No właśnie. Co takiego pilnego szanowny porucznik Jagielski robił? W pokoju go nie było, a w książce ani śladu wypisu.

– Zapomniałem! – Jagielski dopiero teraz uświadomił sobie, że wybiegł z komendy, nie wspomniawszy nikomu nawet słowem, dokąd idzie.

– Po wysłuchaniu Kazimierczaka i Grabosza musiałem pilnie porozmawiać z patologiem, a potem pojechałem do Katowic. Wróciłem dopiero przed dziewiętnastą.

– Jaki związek mają Kazimierczak i Grabosz z patologiem i Katowicami? Cholernie to wszystko skomplikowane. Zacznij może od początku.

Jagielski odnotował, że Kastelik porzucił ironiczny ton, i odetchnął z ulgą. Gniew majora miał to do siebie, że gasł równie szybko, jak się rozjarzał. Podporucznik przysunął sobie krzesło i zaczął opowiadać.

Przełożony nie przerwał mu ani razu, natomiast w którymś momencie przysunął sobie kartkę i coś na niej notował. Włączył się dopiero po wysłuchaniu streszczenia rozmowy z Mariuszem Krzyckim.

– Na pewno nikt obcy nie miał tego dokumentu w ręce?

– Doktorek przysięga, że tylko Stareczek.

Naczelnik skrzywił się znacząco.

– Dasz głowę, że to on? Bo z tego, co pamiętam, ma alibi. I kumpli w komitecie.

– Co do kumpli, to nie wiem, za to alibi... – Jagielski zawiesił głos i uśmiechnął się z satysfakcją. – Już go nie ma. Właśnie dlatego byłem w Katowicach.

Major zerknął na zegarek i znów się skrzywił.

– Kurwa, już dziewiąta. Opowiesz mi o tym później. Co teraz zamierzasz?

– Chciałem najpierw pogadać z Ochabczykiem, tylko nie wiem... On się kumpluje ze Stareczkiem...

– Olej go – polecił Kastelik. – Do zatrzymania nakaz nie jest ci potrzebny, a może Stareczek pięknie, zanim dojdzie do przedstawienia zarzutów. Zwiń doktora, a z Ochabczykiem ja będę rozmawiać.

Pozbawiony typowych atrybutów w postaci lekarskiego kitla, maseczki i jednorazowych rękawiczek, Włodzimierz Stareczek bardziej przypominał w tej chwili urzędnika niż lekarza. Siedział przy biurku z nogami wyłożonymi na blat i przeglądał „Panoramę”. Na widok podporucznika wolno odłożył gazetę i opuścił nogi.

– Dzień dobry. Co pana do mnie sprowadza?

– W śledztwie wyskoczyły mi pewne nieścisłości i powinienem jak najszybciej je wyjaśnić, dlatego musi pan pojechać ze mną. Przepraszam, takie mamy procedury.

Jerzy uśmiechnął się z lekkim zaambarasowaniem, co sprawiło, że lekarz odpowiedział mu tonem świadczącym o rozbawieniu.

– Wszyscy wiemy, że procedury to rzecz święta i biada temu, kto je zlekceważy. Musi to być teraz czy mogę przyjechać później?

– Wolałbym teraz. Potem mam kupę zajęć i nie wiem, o której skończę.

Stareczek wstał i zdjął z wieszaka szarą kurtkę.

– Jedźmy zatem i miejmy to już za sobą.

W radiowozie milczał, za co podporucznik był mu autentycznie wdzięczny, obawiał się bowiem dopytywania o konkrety. W komendzie natomiast lekarz pierwszy zadał pytanie, jakby to on był tutaj dochodzeniowcem.

– Co to za nieścisłości?

– Chodzi o pana alibi. Zeznał pan, że w dniu śmierci żony w godzinach od dziewiątej do szesnastej przebywał pan w Katowicach na sympozjum medycznym.

Jerzy popatrzył na Stareczka, który odwzajemnił się spojrzeniem pełnym doskonałej niewinności.

– Co w związku z tym? Nie bardzo rozumiem...

– Niestety to nieprawda – stwierdził z ubolewaniem milicjant. – O dziewiątej wcale pana tam nie było. Zadzwoił pan rano do kolegi

z prośbą, by podpisał pana na liście obecności. Rozmawiałem z doktorem Tatarskim, więc nie ma sensu zaprzeczać.

Przez twarz patologa przemknął wyraz irytacji, niemal natychmiast zastąpiony porozumiewawczym uśmiechem.

– Przyłapał mnie pan. To prawda, skłamałem, ale sam pan wie, jak to jest. Nie miałem ochoty marnować całego dnia na wysłuchiwanie pieprzenia jakichś mądrali, dlatego pojechałem później.

Jerzy pokiwał głową, udając, że przyjmuje wyjaśnienie za dobrą monetę.

– Dotarł pan na sympozjum dopiero przed trzynastą. Portierka zapamiętała godzinę, bo tak samo jak ja się zdziwiła, że opłacało się panu przyjeżdżać praktycznie na samą końcówkę. Z tego, co mi wiadomo, o czternastej był obiad, a od piętnastej do szesnastej luźna dyskusja, więc za wiele pan nie skorzystał.

Na oblicze Stareczka znowu wypłynął grymas irytacji, lecz tym razem zagościł tam na dłużej.

– Uczepił się pan tematu, jakby miało jakieś znaczenie, czy przyjechałem na dziewiątą, czy na trzynastą. Nie widzi pan, że to niczego nie zmienia? Moja żona zginęła między trzynastą a piętnastą, a wtedy na pewno byłem w Katowicach, więc mógłby pan sobie już dać spokój z tym drażnieniem.

– Za to między ósmą a jedenastą był pan w Bielsku, nieprawdaż? – spytał podporucznik jakby od niechcenia.

Palce lekarza, dotychczas spoczywające nieruchomo na blacie biurka, zaczęły wystukiwać niespokojny rytm, a irytacja zamieniła się w gniew.

– Byłem. I co z tego?

Twarz Jagielskiego również przeszła metamorfozę; zamiast pełnego kurtuazji ubolewania pojawił się na niej wyraz pełnego skupienia zdecydowania.

– To, że uważanie siebie za geniusza, a innych za idiotów lubi się mścić. Pana żona nie zginęła między trzynastą a szesnastą i pan dobrze o tym wie. Trzeba było poprawić także kopię, a nie tylko oryginał.

Patolog poderwał się z krzesła tak gwałtownie, że prawie je przewrócił. Odtrącił mebel kopniakiem i nachylił się nad siedzącym milicjantem.

– Dosyć mam tego twojego pierdolenia, Jagielski. Zaraz zadzwonię do Komitetu i powiem, co się tu wyprawia. Dobrze będzie, jak po wszystkim pozwolą ci kierować ruchem, ty głupi bucu.

– Buc ze swojej natury jest głupi, więc twoja odżywka to takie masło maślane – zauważył Jerzy z niezmaconym spokojem. – Siadaj, Stareczek, jeszcze nie skończyłem. Jesteś zatrzymany...

– Ale ja skończyłem z tobą – warknął lekarz, nie pozwalając mu dokończyć. – Nie mam nic do powiedzenia. Chcę zadzwonić.

Podporucznik sięgnął po telefon, lecz nie po to, by spełnić życzenie lekarza. Wybrał numer wewnętrzny i powiedział zwięźle:

– Mówi Jagielski. Sprawa ka de cztery.

Potem zaczął metodycznie porządkować leżące na biurku dokumenty, nie poświęcając mu nawet spojrzenia.

Stareczek obserwował podporucznika przez jakiś czas, a gdy się przekonał, że mężczyzna nie zwraca na niego uwagi, zrobił ostrożny krok w stronę drzwi. Bywał nieraz w tym budynku, miał więc pewność, że brak przepustki nie przeszkodzi mu go opuścić. Tylko ten Jagielski... Trzeba by go jednak uciszyć.

Powolnym ruchem sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki i namacał znajomy kształt. Zacisnął na nim dłoń, a dotyk chłodnego metalu sprawił, że przez ciało przebiegł mu przyjemny dreszcz. *Korzyść uboczna* – pomyślał z rozbawieniem. Nie spodziewał się, że coś, co miało być jedynie koniecznością, przyniesie mu tyle zadowolenia.

Gwałtowny skok adrenaliny sprawił, że zaszumiało mu w uszach, a w głowie rozległ się szybki, rytmiczny łomot tętniącej w żyłach krwi, zagłuszając wszystkie odgłosy. Patolog zdecydowanym ruchem wyszarpnął rękę spod kurtki, a wtedy światło jarzeniówki odbiło się od ostrza skalpela.

Mężczyzna sprężył się do skoku, ręka trzymająca śmiertcionośne narzędzie powędrowała w tył, szykując się do zadania ciosu.

– Rzuć to! – rozległ się głos od strony drzwi. Stareczek zawahał się, lecz nie usłuchał. – Rzuć to!

– powtórzył tamten. – Ale już, albo odstrzelę ci rękę.

Patolog odwrócił się wolno i zobaczył opartego o futrynę ciemnowłosego mężczyznę z pistoletem wymierzonym w dłoń trzymającą skalpel. W ciemnoniebieskich oczach dostrzegł drwinę i zatrzęsała nim furia.

– Nie myśl, że wygrasz, ty... ty nieudaczniku! – wrzasnął do Jagielskiego. – Gdyby nie ten tam – machnął uzbrojoną ręką w stronę mężczyzny stojącego tak nieruchomo, jakby na zawsze zespolił się z futryną – już byłbyś martwy.

– Nie sędzę. – Jerzy się uśmiechnął. – Jak myślisz, kto go tu wezwał? Pamiętasz, co powiedziałem do telefonu? Sprawa ka de cztery. Kolekcjoner Dorot, czwarte zabójstwo. Taki nasz kod mówiący, że już pora. A gdyby Norbert nie zdążył, to miałem jeszcze przyjaciela. – Wyciągnął spod biurka lewą dłoń zaciśniętą na rękojeści pistoletu. – Bycie oburęcznym daje zaskakujące korzyści. A teraz lepiej oddaj ten nożyk, bo jeszcze się niechcący skaleczysz i będzie cię bolało.

Przez chwilę Stareczek był pewien, że już nigdy nikt go nie doprowadzi do takiej furii, jak ten niesłusznie zlekceważony podporucznik, lecz zaraz musiał zweryfikować swoją opinię. Zza stojących za otwartymi drzwiami funkcjonariuszy gapiących się na niego niczym na dwugłowe cielę wysforowała się pękata postać. Prokurator zatrzęsnał gapiom drzwi przed nosem, poszedł bliżej i wyjął skalpel z niestawiającej oporu ręki.

– Siadaj, Włodek, i opowiedz nam, dlaczego zabiłeś te kobiety.

Znali się od tylu lat, a jednak ten tłusty wieprz zwracał się jak do obcego, oficjalnie i bez cienia sympatii. Dobrze, niech tak będzie, ale w takim razie grubas może zapomnieć o wyjaśnieniach.

– Nie mam zamiaru z wami gadać – oznajmił wyniośle. – To wy powinniście dojść do prawdy, bo od tego jesteście.

Ucieszył się, gdy Ochabczyk zamachał gwałtownie rękami. Już otworzył usta, by zaproponować negocjacje, gdy w sprawę znów włączył się Jagielski.

– Nie musisz nic mówić, wszystko jest jasne. Kombinowałeś, jak by tu się pozbyć żony, aż pewnego dnia twoi koledzy od brydża podali ci sposób jak na tacy, opowiadając o zdradzającej męża Dorocie Milewskiej. Wymyśliłeś sobie, że jeśli zaczniesz zabijać niewierne kobiety mające na pierwsze lub drugie imię Dorota, wszyscy pomyślą, że to jakiś opętany żądzą zemsty wariat. Pomysł niezły, chociaż wtórny.

– Jak to wtórny? – oburzył się Stareczek, zapominając o postanowieniu nierozmawiania z przedstawicielami władzy wykonawczej. – Nie słyszałem, żeby ktoś inny wymyślił taką intrygę.

– Co tylko oznacza, jak mało wiesz – skwitował podporucznik ku jego wściekłości. – Powinieneś czytać kryminały. Mogło się udać, ale przedobrzyłeś. Dwadzieścia jeden pchnięć nożem za każdym razem za bardzo dawało do myślenia. Każdy doszedłby do wniosku, że musi to być jakiś symbol. Lub... oczko.

Patologowi nagle zrobiło się gorąco, wzdłuż kręgosłupa spłynęły krople potu. Z trudem zdobył

się na uśmiech mający znamionować zdziwienie.

– Jakie oczko? Pojebało cię, Jagielski?

– Gdzie twoja ogłada, doktorku? – prychnął milicjant. – Oczko to taka gra. Jeśli nie wiesz, o co chodzi, spytaj Kazimierczaka albo Grabosza. A wracając do błędów, to główny popełniłeś już w fazie planowania. Nie pomyślałeś, że Dorota wcale nie jest popularnym imieniem i nie tak łatwo będzie ci znaleźć takie, które zdradzają mężów. Dlatego musiałeś się zadowolić Woźnicą, chociaż nie spełniała tego warunku. Nie lepiej było zabijać Barbary? Jest ich dużo więcej...

– Nigdy więcej nie chcę słyszeć tego imienia! – wrzasnął Stareczek. – Nie masz pojęcia, co ona mi robiła!

Na wspomnienie tortur zadawanych mu przez matkę wstrząsnął nim szloch, jakby nadal był niedorostkiem, bezradnym i przerażonym nie tylko okrucieństwem kobiety, ale i własną innością, której nie umiał w sobie zabić.

Jak z bardzo daleka dobiegł go stłumiony głos Jagielskiego.

– Masz rację, nie mam o tym pojęcia. Ale za to wiem, dlaczego to robiła. Z tego samego powodu odeszła od ciebie żona.

– Zamknij się. Zamknij tę parszywą mordę, gnoju!

Chciał się rzucić na podporucznika, lecz ten drugi, czarnowłosy, zastawił mu drogę.

– Nie próbuj.

Nie dodał nic więcej, ale w jego oczach było coś takiego, że patolog oklapł i posłusznie wrócił na

krzesło.

– Nie ma się o co rzucać, nie ty pierwszy, nie ostatni – odezwał się znów Jagielski. – Nie oceniam cię, stwierdziłem tylko fakt. Żona też cię nie oceniała, nie powiedziała o tobie złego słowa. I właśnie to dało mi do myślenia, bo dlaczego w takim razie odeszła? Kiedy poznałem odpowiedź na to pytanie, stało się jasne, dlaczego ją zabiłeś.

– Bo go zdradziła – burknął Ochabczyk, najwyraźniej niezadowolony, że wyznaczono mu rolę biernego obserwatora.

– Nie, panie prokuratorze, to akurat mu zwisało i powiewało, bo pod tym względem od dawna nie był nią zainteresowany.

– Miał lewą dupę?

– Można tak powiedzieć. W każdym razie, dopóki pani Stareczek żyła sobie ze swoim *ragazzo* na kocią łapę, nie tylko nie miał powodu do niepokoju, ale nawet był zadowolony. Tak było, doktorze? To musiało być cholernie męczące, najpierw udawać zakochanego i zmuszać się do sypiania z kobietą, a potem szukać wytłumaczenia, dlaczego się tego nie robi. Na pewno odetchnąłeś z ulgą, kiedy sobie poszła.

– O czym pan mówi? – dopytywał się Ochabczyk.

– Chce pan powiedzieć, że on jest homoseksualistą?

– Brawa za domyślność – odpowiedział ironicznie milicjant. – A tyle się mówi o tym, że swój zawsze pozna swego – dodał ciszej, jakby do siebie, po czym podjął właściwy temat: – Dopóki żona nie mówiła o rozwodzie, mogła żyć. Nagle jednak się dowiedział, że w rozmowie z Milewskim użyła słowa

„świadek”, i dopowiedział sobie resztę. Nie miał pojęcia, że rozmawiali o spadku, dlatego był pewien, że żona chce się rozwieść i poprosiła Rajnera na świadka swojego ślubu z Merottim. Zwłaszcza że Włoch ciągle naciskał, żeby się rozwiodła i za niego wyszła. Do tego Stareczek absolutnie nie mógł dopuścić, dlatego ją zabił, choć miał zamiar powiększyć przedtem swoją kolekcję Dorot.

– Cholernie to skomplikowane – sarknął prokurator. – Czemu nie chciał rozwodu? Przecież jej nie kochał.

– Za to bardzo kocha pieniądze, a to ona je miała. Odziedziczone po rodzicach, a więc niewchodzące do wspólnego majątku. Po rozwodzie zostałyby z niczym.

Te słowa przelały czarę goryczy i Stareczek po raz kolejny nie zdołał zapanować nad wściekłością i rozżaleniem.

– I tak zostałem z niczym, bo ta dziwka zapisała wszystko Merottiemu!

Zaraz jednak pożałował swojego wybuchu i nie odezwał się już ani słowem. Bał się, że powodowany gniewem mógłby wykrzyczeć, jak wielką satysfakcję przyniosło mu zadawanie Dorotom cierpienia, a później obserwowanie, jak powoli gaśnie w nich życie. Gdy milicjant debatował z prokuratorem, patolog snuł nowe, cudowne plany. Nie będzie przecież siedział wiecznie. Kiedyś wyjdzie, a wtedy wróci Kolekcjoner. Dorot? Niekoniecznie. Tyle jest innych, równie pięknych imion...

Styczeń 1987, Wisła

– Typowałem zabójstwo z zazdrości, a tymczasem cały czas chodziło o pieniądze – zakończył Jerzy, zmuszony przez trzy kobiety do opowiedzenia historii Kolekcjonera Dorot.

– Dobrze, że nie słyszał o mnie, bo pewnie powiększyłby kolekcję – stwierdziła Jolanta. – Dlaczego nie? – spytała Rajnera, ujrawszy, że mężczyzna kręci głową. – Mam na drugie Dorota, rozwiodłam się z mężem i zamieszkałam z tobą. Moim zdaniem świetnie się wpisuję w zakreślone przez niego ramy.

– Nie powiększyłby kolekcji, bo ja bym mu na to nie pozwolił – sprecyzował Milewski. – Zobowiązałem się, że będę cię chronić, a ja zawsze dotrzymuję słowa.

Wzrok Joli bezwiednie powędrował w stronę kuchni, gdzie już tylko jaśniejsza plama wielokrotnie szorowanych desek przypominała dziewczynie, że jeszcze niedawno widniała tam krew jej byłego męża. Nie żałowała go ani trochę. Gdyby nie nadział się na własny nóż, Rajner pewnie musiałby go zabić, jeżeli nie chciał sam zginąć. To było najlepsze i najmniej kłopotliwe wyjście, o czym nie omieszkała poinformować matki Zdzisława, gdy ta oskarżyła publicznie ją i Rajnera, że wspólnie pozbawili życia jej synka.

Tarnawa nigdy nie wrócił do domu, nikt też go więcej nie widział, dlatego jego matka podburzała milicję i straszyła interwencją na wyższych szczeblach. Na szczęście milicjanci nie byli skorzy dać wiary jej słowom, tym bardziej że wiedzieli już

o intrygach kapitana Hilera. Milewski został zrehabilitowany, a jego dowódca musiał odejść z szeregów milicji. Prócz tego znaleźli się świadkowie, którzy widzieli, że Tarnawa opuścił dom Rajnera i odjechał tak szybko, jakby brał udział w wyścigach samochodowych.

– Ciekawe, gdzie ten gnój się ukrył – głośno rozmyślał Norbert. – Nikt go więcej nie widział, całkiem jakby się pod ziemię zapadł.

– Już się nad tym zastanawialiśmy z Jolą – odpowiedział Rajner. – Tadek Gruca mówił, że odjechał spod domu tak szybko, że aż go na zakręcie zniosło na pobocze. To samo zeznała na milicji Bujokowa. Myśleliśmy, że może miał wypadek i dlatego nie wrócił do domu, ale przecież wtedy by nie zniknął.

– To prawda – przyznał Jurek. Miał zamiar kontynuować rozważania, lecz przerwała mu Inga, ponagłając towarzystwo.

– Musimy się zbierać, inaczej nasza córka zamieni waszą w bałwanka.

Lucyna odwróciła się, by spojrzeć w okno, i wybuchnęła śmiechem na widok kompletnie białego berbecia skaczącego wokół tylko odrobinę mniej ośnieżonej ośmiolatki. Potem obie zaczęły tarzać się w świeżym puchu, a złociste loki, podobne do jej własnych, mieszały się z czarnymi.

– Lońka jest doskonała w roli opiekunki – zwróciła się do przyjaciółki. – Nie pomyślałabym, że ośmioletnie dziecko może być tak uważne.

Zamiast Ingi odpowiedział Norbert, także śledzący poczynania dziewczynek.

– Apolonia oszalała ze szczęścia na wieść, że zamieszka z nami. Nigdy dotąd nie miała prawdziwej rodziny, a was także traktuje jak bliskich krewnych. Bądź pewna, że nie pozwoli skrzywdzić małej Fortalicji.

Jolanta przeprosiła towarzystwo i poszła na górę po swoje rzeczy. Stała przed jednym z symetrycznie rozmieszczonych ukośnych okienek i zapatrzyła się w pokrytą lodem i śniegiem zaporę. Żał jej było wyjeżdżać, zwłaszcza że nie miała dokąd wrócić.

Za jej plecami cicho skrzypnęły drzwi. Gdyby nie one, nie wiedziałyby, że Rajner wszedł na górę, tak bezszelestnie się poruszał.

– Zostań. Zapomnij o tym, co powiedziałem Tarnawie. Nie mam zamiaru do niczego cię zmuszać. Zostań na tych samych warunkach, jako znajoma, koleżanka lub przyjaciółka.

Wiedziała, że mówi prawdę, i mało serce jej nie pękło na myśl, że musi go opuścić.

– Nie mogę. Rajner, naprawdę nie mogę. Przykro mi.

– Nie będziesz tam bezpieczna – użył ostatecznego argumentu. – On może w każdej chwili wrócić.

– Tutaj też nie będę bezpieczna, bo on już wie, gdzie mnie szukać, a ty nie będziesz mógł mnie chronić. Nie możesz dla mnie zrezygnować z pracy, którą kochasz.

Złapała torbę i zbiegła po schodach tak szybko, jakby ścigały ją demony.

Nie wrócił do tego tematu nawet wtedy, gdy przy pożegnaniu na moment przytulił ją z całych sił.

Była mu za to wdzięczna, a jednak czuła dziwny żal.

– Mogłaś zostać – odezwała się Lucyna, gdy wjechała na odśnieżoną na czarno drogę. Wcześniej nie chciała się rozpraszać.

Jechały w trójkę autem Jagielskich, chcąc porozmawiać z Jolantą bez męskiej asysty, a Jurek i dziewczynki załadowali się do poloneza Norberta.

– Rajner się w niej zakochał – stwierdziła oczywistość Inga, po czym dodała z głębokim przekonaniem: – Ta jego Dota była kompletną kretynką.

Lucyna w lot pojęła tok rozumowania przyjaciółki i przytaknęła energicznie, a w następnej chwili orzekła:

– Ale to dobrze, bo dzięki temu jest wolny. Jolka, chyba nie zrezygnujesz z takiego faceta?! Gdybym nie była mężatką...

– Myślałby kto, że zamieniłabyś Jurka na innego – prychnęła Inga.

– Ale mogę chyba czasem pomarzyć, że taki nieokazujący uczuć twardziel pokochał mnie do szaleństwa? Jola, czemu nie zostałam? Przecież nawet ślepy by zauważył, że Rajner nie jest ci obojętny.

Jolanta włożyła głowę pomiędzy zagłówki przednich siedzeń, żeby móc przynajmniej częściowo spojrzeć Lucynie w twarz.

– Nie mówiłam, że nic do niego nie czuję. Ale to, że on kocha ją, a ona jego, nawet w bajkach nie zawsze oznacza, że żyli długo i szczęśliwie. Nie

zostałam, bo nie mogłam, i to musi wam wystarczyć.

Cofnęła się, usadowiła w kącie i przymknęła powieki, i przez całą drogę do Bielska-Białej nie powiedziała już ani słowa. Wiedziały, że nie śpi, lecz nie próbowały jej zagadywać. Przyjaźń to także umiejętność wspólnego milczenia.

24 kwietnia 1987

Notka w tygodniku „Głos Ziemi Cieszyńskiej”:

Podczas konserwacji zbiornika zaporowego w Wiśle Czarnem po obniżeniu poziomu wody odkryto samochód marki Opel Kadett. Według ustaleń milicji pojazd należał do Zdzisława T., którego ciało znajdowało się w środku zatopionego samochodu. Zdzisław T. od stycznia tego roku miał status osoby zaginionej.

Prokuratura wykluczyła udział osób trzecich.

Jako prawdopodobną przyczynę tragedii podaje się niezachowanie należytej ostrożności. Według opinii biegłych Zdzisław T. prawdopodobnie pomylił drogę i zjechał wprost do zapory, a nadmierna prędkość nie pozwoliła mu w porę zahamować.

KONIEC



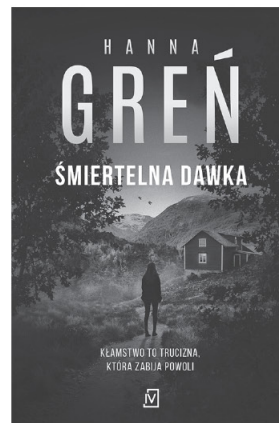
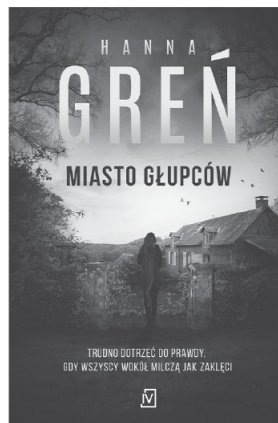
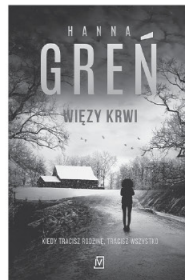
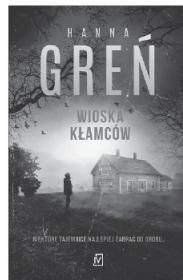
POZNAJ PIERWSZY TOM SERII BIELSKIEJ

Rok 1980. Inga Piątkowska staje u progu dorosłego życia z niemałym bagażem doświadczeń. Choć od samobójstwa jej przyjaciela minął rok, kobieta wciąż nie może się pogodzić z tą stratą, a tajemnicza śmierć pozostaje niewyjaśniona.

W czasie wyjazdu służbowego Inga poznaje Brinka Speedmana. Kanadyjczyk przyjechał do Polski, aby odwiedzić nieznaną dotąd rodzinę i odnaleźć cenną pamiątkę po pradziadku. Co ciekawe, od pierwszego spotkania mężczyzna nie może się pozbyć wrażenia, że kobieta wygląda dziwnie znajomo.

Gdy Speedman znika w niewyjaśnionych okolicznościach, Inga zostaje uwikłana w sprawę jego zaginięcia. Od tej pory każda z trudem zdobywana wskazówka będzie na wagę złota.

ROZWIĄŻ KRYMINALNE ZAGADKI Z DIONIZĄ REMAŃSKĄ





**KSIĄŻKI, E-BOOKI, GADŻETY
I MNÓSTWO OKAZJI ZNAJDZIESZ NA:**

WWW.WYDAJENAMSIE.PL



Jeśli doświadczasz przemocy domowej, zgłoś się do Centrum Praw Kobiet.

Fundacja oferuje:

- bezpłatne porady prawne i psychologiczne
- pomoc w kontaktach z policją, prokuraturą i sądami
- bezpłatne poradniki i ulotki
- udział w warsztatach, grupach wsparcia
- możliwość pobytu w Specjalistycznym Ośrodku Wsparcia (SOW) dla kobiet i dzieci ofiar przemocy

Fundacja Centrum Praw Kobiet
ul. Wilcza 60 lok. 19
00-679 Warszawa
tel./fax (22) 622 25 17

www.cpk.org.pl
[Facebook.com/Centrum.Praw.Kobiet](https://www.facebook.com/Centrum.Praw.Kobiet)
[Instagram.com/centrumprawkobiet](https://www.instagram.com/centrumprawkobiet)

sekretariat@cpk.org.pl
porady.prawne@cpk.org.pl
porady.psychologiczne@cpk.org.pl

Pomoc możesz uzyskać również w oddziałach Fundacji:

Oddział CPK w Gdańsku
ul. Gdyńskich Kosynierów 11
80-866 Gdańsk
tel. (0 58) 341 79 15

Oddział CPK w Poznaniu
Al. Karola Marcinkowskiego 21/4
61-754 Poznań
tel. 511-660-128

Oddział CPK w Łodzi
ul. Piotrkowska 17, lok. 4U
90-407 Łódź
tel. +48 736 608 493

Oddział CPK we Wrocławiu
ul. Ruska 46A, III p., pok. 302
50-079 Wrocław
tel. (0 71) 358 08 74

Oddział CPK w Krakowie
ul. Dunajewskiego 5
31-133 Kraków
tel. 780 079 988

Filia CPK w Żyrardowie
ul. Żeromskiego 13
96-300 Żyrardów
tel. 882 512 900

600-07-07-17

Całodobowy telefon interwencyjny dla kobiet doświadczających przemocy.



Wpłacając na konto Fundacji Centrum Praw Kobiet, pomagasz kobietom potrzebującym pomocy.

59 1020 1156 0000 7102 0059 9241
KRS: 0000188668

Spis treści

Rozdział 1. Przemoc

Rozdział 2. Zaczątek kolekcji

Rozdział 3. Pierwszy podejrzany

Rozdział 4. Maszyna do walki

Rozdział 5. Tajemniczy mąż

Rozdział 6. Komandos i Szerszeń

Rozdział 7. Porwanie

Rozdział 8. Ucieczka

Rozdział 9. Na tropie Karata

Rozdział 10. Plan Rajnera

Rozdział 11. Zasadzka

Rozdział 12. Pułapka

Rozdział 13. Druga w kolekcji

Rozdział 14. Siła plotki

Rozdział 15. Kolekcja się rozrasta

[Rozdział 16. Mężczyzna w szarej kurtce](#)

[Rozdział 17. Kłopotliwy legat](#)

[Rozdział 18. Kocioł](#)

[Rozdział 19. Zamrażarka](#)

[Rozdział 20. Zerwane więzy](#)

[Rozdział 21. Ten by się nadał](#)

[Rozdział 22. Kuzynka](#)

[Rozdział 23. Trzej bracia i drwał](#)

[Rozdział 24. Najważniejszy jest człowiek](#)

[Rozdział 25. Olśnienie](#)

[Rozdział 26. Podopieczna](#)

[Rozdział 27. Siła plotki](#)

[Rozdział 28. Żądza mordu](#)

[Rozdział 29. Wiem, kto to jest](#)

[Rozdział 30. Czwarty do brydża](#)

[Rozdział 31. Długi jęzor sierżanta](#)

[Rozdział 32. Ostateczne rozwiązanie](#)

[Rozdział 33. Zaskakujący motyw](#)

[Polecamy również](#)